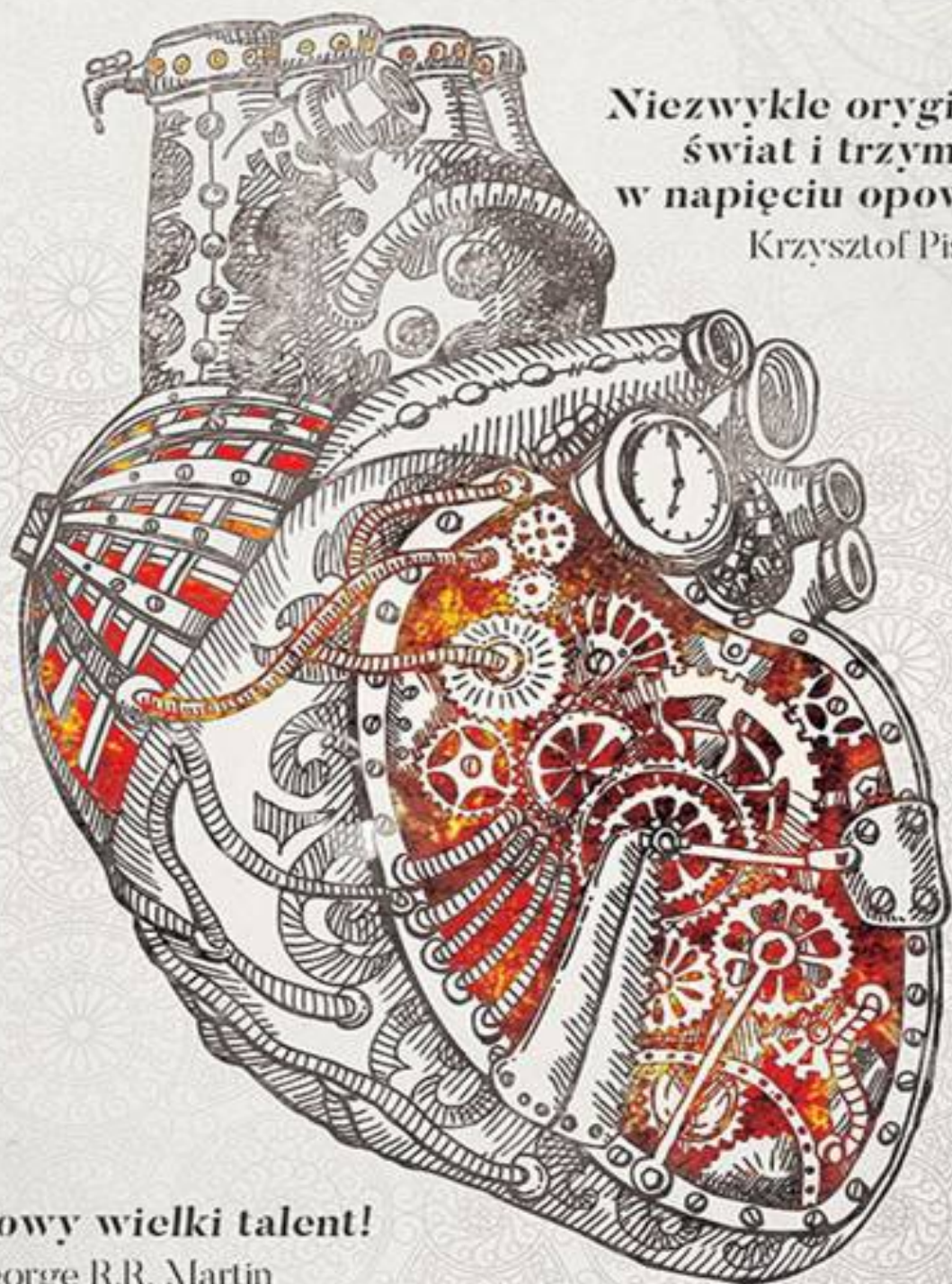


WOJNY ALCHEMICZNE MECHANICZNY

*Niezwykłe oryginalny
świat i trzymająca
w napięciu opowieść.*
Krzysztof Piskorski



Nowy wielki talent!
George R.R. Martin

IAN TREGILLIS

SON
imaginatio





WOJNY ALCHEMICZNE

MECHANICZNY

TOM I

IAN TREGILLIS

TLUMACZENIE
BARTOSZ CZARTORYSKI



KRAKÓW 2016

Dla Sary. Nareszcie

CZĘŚĆ I

NIE WYDARZYŁO SIĘ DZISIAJ NIC SZCZEGÓLNEGO

Dziś książkę Yorku przyjął moją prośbę... i zgodził się, abym jechał do Holandii... **[1]**

Z dziennika Samuela Pepysa, 19 maja 1669 roku
*Nieuw-neder-land is 't puyck / en 't eelste van de Landen. /
Een Seegen-rijck gewest, / daer Melck en Honigh vloeyd.
Nowe Niderlandy są największą / i najbardziej szacowną z krain. /
Błogosławione te ziemie, / gdzie mleko i miód płyną.*

Jacob Steendam, 1664 rok

Odsyłam do Cooke'a [op. cit.] i dyskusji na temat niecodziennej wizyty Huygensa w Cambridge i siedzibie Towarzystwa Królewskiego, którą odbył w czasie wojny. Filozoficzne scysje z Isaakiem Newtonem w 1675 roku (notatki Towarzystwa określają je mianem „Wielkiej debaty korpuskularnej”) okazały się ostatnim istotnym dyskursem intelektualnym pomiędzy Anglią a kontynentem przed nastaniem chaosu bezkrólewia i aneksją... Niektórzy biografowie Newtona [Winchester (1867), &c] podkreślają, że Huygens mógł wykorzystać swoją bytność w Cambridge, aby uzyskać dostęp do zapisków Newtona poczynionych na tematy alchemiczne, a wyciągnięte na ich podstawie światłe konkluzje mogły odgrywać kluczową rolę w przełomie przez niego dokonanym. Cf. 't Hooft [1909]; zawarte tam krytyczne spostrzeżenia o alchemii zdają się podobne przypuszczenie potwierdzać.

Thomas S. Freeman, Historia Anglii sprzed aneksji. Od Hastings do Chwalebnej Rewolucji, 3 tomy, Nowy Amsterdam: Elsevier, 1918 (przypis 203)

ROZDZIAŁ 1

Była to pierwsza publiczna egzekucja od paru ładnych lat i dlatego, mimo zimnej mżawki, na rozległych przestrzeniach Binnenhofu tłoczyło się mnóstwo gapiów. Krople deszczu bębniły miękko o rozpięte parasole i rozłożone markizy, spływały za jedwabiste kołnierze, lizwały wyłożony mozaiką plac Huygensa i wygrywały nieśpieszny rytm – ping, ping, ting – na mosiężnych pancerzach klakierów ustawionych z mechaniczną precyzją w równym rzędzie na drewnianej platformie. Szeptaly na tle niecierpliwego szurania ludzkiego tłumu i, jak to zwykle bywa w Hadze, cichutkiego tik-tik-tak napędzanych mechanizmem zegarowym sług, zawsze gotowych, aby spełniać życzenia lepiej uposażonych obywateli. Mżawka stanowiła istny kontrpunkt dla nieustannego brzęku i szcęką wydawanego przez mechanicznych ludzi uwijających się jak w ukropie za sprawunkami Imperium, ludzi takich jak Jax, który ganiając po mieście na polecenie swoich państwa, nadłożył nieco drogi przez Binnenhof.

Plotka głosiła, że pośród skazanych na śmierć – prócz kwartetu papistowskich szpionów – znajduje się zbuntowany klakier. Żaden mechaniczny nie przepuściłby okazji, aby być świadkiem takiej egzekucji. O ile oczywiście plotki były prawdziwe.

Niesubordynowani klakierzy pojawiali się jedynie w bajeczkach opowiadanych przez matki niegrzecznym dzieciom na dobranoc, legendą, którą szeptem przekazywali sobie zniewoleni, chcąc pocieszyć jeden drugiego po nastaniu milczących godzin nocnych, podczas gdy ich panowie z krwi i kości spali, szlochali lub czynili inny użytek ze swoich ciał. Mimo to... niełatwo było oprzeć się gorszącemu dreszczykowi, o jaki przyprawiały historie o tajemniczych

ślusarzach, złamanych geasa **[III]** i niewolnikach na tyle zuchwałych, że otwierali zamki własnych dusz. Jeśli to wszystko prawda, byłoby to zaiste okropne, jak zdawało się sugerować naznaczone podenerwowaniem wyczekiwanie ludzkiej części tłumu.

Mechaniczni stali bowiem spokojnie.

Jax wiedział, że jego pobratymcy odczuwali to samo tęskne podniecenie co on, niecierpliwą tęsknotę zaszczeponą im przez ludowe opowieści o królowej Mab i jej zbieraninę zwaną Zagubionymi Chłopcami, żyjącą w zimowym pałacu Nibylandii. Mechaniczni potajemnie wymieniali się podobnymi baśniami od całych stuleci.

Podmuchy wiatru niosły ze sobą zapach Morza Północnego, rozlewając po

całym placu przemieszane aromaty soli i drewna z rozbitych statków. Bujały się puste jeszcze pętle zwisające z szubienicy. Trzepotały proporce zatknięte na szpicach bliźniaczych gotyckich wież starodawnego Ridderzaalu, niegdysiejszej sali rycerskiej, którą przemieniono na siedzibę Gildii Zegarmistrzowskiej. Jaskrawy oranż flag przełamywał szarość nieba. Łopotały także i chorągwie marchewkowego koloru porozwieszane po Binnenhofie. Takie same wciągnięto zresztą na maszty w całym holenderskojęzycznym świecie z okazji dwieście pięćdziesiątej rocznicy Het Wonderjaar, Cudownego Roku Christiaana Huygensa.

Deszcz zamglił ogromne rozetowe okno Ridderzaalu. Krople skapywały z maswerku na witraż przedstawiający trybik i spływały po kolorowych szybach na oculus i czterolistny ornament, herb Imperium: różany krzyż z mniejszymi emblematami wielkich rodów wokół, a wszystko to otoczone zębami Uniwersalnego Trybu. Na północnym krańcu Binnenhofu wiatr i deszcz zgodnie siekały powierzchnię Hofvijveru, dworskiego stawu, rozrzucając unoszące się nań papierowe stateczki niczym niechciane prezenty noworoczne.

Kolejny podmuch przyniósł ze sobą aromat świeżych, gorących wypieków, zwanych banketstaaf, zapach zawirował pośród tłumu, wywołując westchnięcia i ożywione podzwanianie otwieranych naprędce portmonetek. Sprytny piekarz otworzył swój kramik tuż przy fontannie i stamtąd prowadził sprzedaż marcepanu, ciastek speculaas i drożdżówek wypełnionych słuszną porcją pasty migdałowej, serwując je spragnionej krwi tłuszczy kłębiącej się na placu. Zbierał zamówienia i wydawał resztę, podczas gdy jego klakierzy pracowali przy piecu, ugniatali ciasto, formowali je i przygotowywali kolejne porcje masy migdałowej, wykrawali kolejne drewniane foremki na speculaas (małpy z Indii, okręty, nawet bizona z Nowego Świata) i kroili morele z charakterystyczną dla siebie płynnością i szybkością, poruszając się z niezmiennie precyzyjną choreografią mechanicznych. Brzdęki ich siatkowych wychwytywów zlewały się w kastanietowy grzechot słyszalny mimo przekrzykujących deszcz handlarzy. Dym z płonących szczap drewna unosił się z komina sporego ceglanego pieca piekarskiego, który klakierzy przynieśli bez gadania ze sklepu oddalonego o prawie dwa kilometry.

Dzieci przedzierały się przez ciżbę, stając tak blisko miejsca egzekucji, jak to tylko było możliwe. Mniej zasobni mieszczanie, ci bez mechanicznych sług, którzy mogliby trzymać nad nimi parasole, trzęśli się z zimna na deszczu. Część osób miała ze sobą teatralne lornetki albo inne przyrządy optyczne, żeby móc lepiej widzieć, co dzieje się na wzniesionej tuż przed budynkiem Gildii Zegarmistrzowskiej szubienicy. Dobre egzekucje nie trafiały się często z powodu zawieszenia broni i wykluwającego się w Nowym Świecie pokoju. Teraz liczone na prawdziwe widowisko, bo jeśli faktycznie sprawiedliwość miała osiągnąć buntownika, oznaczało to, że Główny Horolog po raz pierwszy od wielu lat

otworzy Wielką Kuźnię.

Sam Jax, który został skonstruowany w sekretnych laboratoriach Gildii sto osiemnaście lat temu, musiał powstrzymać wzdrygnięcie. Każdy klakier słyszał o Kuźni: alchemicznym palenisku zdolnym wypalić pieczęcie i dusze, obrócić mosiądz i stal w niemyślący metal, stopić trybiki, sprężyny i łańcuchy klakiera, aż zostanie z nich pozbawiona magiji breja, wystarczająco gorąca, aby rozpuścić alchemiczny czar i obnażyć mechanicznego, zanim spustoszenie poczynią termodynamika i podstawowe prawa metalurgii.

Na tyle gorąca, że Jax nie potrafił znaleźć odpowiedniej metafory.

Zdolna spopielić Wolną Wolę buntownika.

Bo taka była kara dla każdego niewolnika, który ośmielił się otworzyć zamek swej duszy – tak brzmiało najwyższe prawo Imperium jeszcze od czasu samego Huygensa.

Kilkoro dzieci – jak zauważył Jax, sami chłopcy – ścisnęło się na czele tłumu, tuż przy krawędzi drewnianej platformy, a ich przepychankom towarzyszyły niezadowolone prychnięcia i burknięcia. Byli hałaśliwą zbieraniną, podekscytowaną i nabuzowaną myślą o makabrycznym spektaklu, jaki miał się za chwilę rozegrać. Starannie obrali swoje posterunki z nadzieją, że z chwilą egzekucji buntownika na tłum spadną jakieś odłamki: fragment metalu, pęknięta sprężyna, może nawet niewielki trybik. Albo któraś połyskująca smarem część alchemicznego mechanizmu. A może kawałek metalu pokryty tajemnymi inskrypcjami zrozumiałymi jedynie dla trojga Arcymistrzów. I choć chłopcy mieli już tyle lat, że wiedzieli, iż takie rzeczy są zabronione, nadal byli wystarczająco młodzi, aby to, co zakazane, uznawać za pociągające, nie przerażające.

To jednak prędko by się zmieniło, jeśli faktycznie jakieś części poleciałyby z platformy. Królewscy nakręcacze nie słyneśli z delikatności. Plotki mówiły, że nazwa tego stanowiska pochodziła od umiejętności owych mechanicznych lub, jak szeptali niektórzy, zamiłowania do odrywania, czy może raczej odkręcania, ludzkiej głowy od szyi z taką łatwością, jakby oddzielali kwiat od łądygi.

Jax przystanął na skraju placu, a krople deszczu odbijały się dźwięcznie od jego lśniącego mosiężnego szkieletu. Każdej nocy go polerował, oczywiście gdy już uporał się ze sprzątnięciem, szyciem, gotowaniem i pieczeniem – koniecznie w takiej kolejności, tak bowiem zarządził pradziad jego obecnego pana przed osiemdziesięcioma trzema laty. Obecne geas Jaxa, polecenia nałożone przez ludzkich właścicieli, nie zostały wypowiedziane z tak dobitną stanowczością, jak uzgodnione z Tronem warunki najmu na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Stąd poczucie obowiązku, które zdawało się niczym ciepłe ostrze tępego noża krojącego zakamarki jego jaźni; ból ten był lejtmotywem klakierskiej egzystencji – nie przypilił go na tyle, by nie mógł odegnać od niego myśli. Uznał, że uda mu się

jakoś przetrzymać najgorszą udękę. Ujdzie mu na sucho, jeśli dostarczy wiadomość pastorowi Luukowi Visserowi tuż po południu. A do tego nadal będzie, jak zwykle, oddanym i wiernym sługą rodziny Schoonraadów i, co za tym idzie, Tronu.

Kościół Vissera, słynny i stary Nieuwe Kerk, stał w odległości krótkiego sprintu od Binnenhofu – to zaledwie kilkaset metrów pokonanych sprawnymi susami wzdłuż rzeki Spui, a potem skok na drugą stronę kanału.

Lecz gdy tylko ta myśl pojawiła się w prywatnych kwaterach mechanicznego umysłu Jaxa, aż się wzdrygnął. Bolesny dreszcz odbił się rykoszetem pomiędzy przekładniami kręgosłupa. Żar przymusu już rozgrzewał geas, które stawały się niczym rozpalone do czerwoności ostrza, co skutkowało nieprzerwaną fantomową agonią dręczącą spętaną duszę mechanicznego, póki nie spełni żądań swojego ludzkiego pana. Ból rósłby i rósł, aż wreszcie Jax dostosowałby się lub zginął. Naciągnął sprężyny w szyi i ramionach, co dla klakiera było ekwiwalentem zgrzytania zębami. „Proszę – pomyślał – niech no zdołam zostać chwilę dłużej. Muszę się przekonać, czy to prawda. Czy takie rzeczy są możliwe? Czy aby nasze marzenia nie są tylko mrzonką?”

Jax nie był jedynym klakierem, który starał się z całych sił odwlec wykonanie danych mu poleceń. Praktycznie wszyscy zgromadzeni mechaniczni w mniejszym lub większym stopniu opóźniali załatwienie tego, za czym ich posłano, tak długo, jak tylko zdołali odpierać ból. Jeden po drugim odchodzili jednak, kiedy agonía stawała się nie do wytrzymania. Ludzie potrafili zdławić czyjąś osobowość z byle powodu. Mimo to Jax i paru innych wytrzymało. Byli niewidzialni, jak meble. Przez ostatnie dwieście lat nic się nie zmieniło.

Dołączył do paru sług stojących pod Torentje, Małą Wieżą. Delikatna redukcja napięcia w sprężynach szyjnych pozwoliła mu ukradkiem zagrzechotać powitanie. Towarzysze odpowiedzieli tym samym gestem. Lecz mimo siąpiącego deszczu i obojętności zgromadzonych na placu ludzi żaden z nich nie był w nastroju do rozmowy. Patrzyli w milczeniu na rozgrywającą się przed nimi scenę, kiwając się na swoich odwróconych kolanach.

Gigantyczny kurant na budynku Gildii obwieścił południe. Tuzin odzianych w cyrankowo-mandarynkowe królewskie liberie trębaczy stojących na północno-wschodniej ścianie Binnenhofu wygrał fanfary. Tłum zapał z radości. Królowa Margreet miała osobiście zjawić się na egzekucji. Taki był jej zwyczaj jeszcze od czasu wojny, kiedy kolejni pojmani zdrajcy kończyli na stryczku, jak się zdawało, praktycznie co tydzień.

Przez Bramę Szafarską z zegarmistrzowską precyzją wmaszerował oddział elitarniej straży monarszej, wymachując mosiężnymi pięściami i wierzgając nogami, aby oczyścić swojej królowej drogę przejazdu. Dzień był wyjątkowy, co

władczyni zmanifestowała, przybывая w Złotej Karecie: na poły obdarzonym zdolnością czucia środkiem transportu, niestrudzoną, samonapędzającą się maszyną z drewna tekowego przekładanego mosiądzem i złotem, zasilaną czarną alchemią i przekładaniami planetarnymi. Bo cóż innego przystoi najpotężniejszej kobiecie na Ziemi, królowej zasiadającej na Mosiężnym Tronie?

Osie karety znajdowały się na takiej wysokości, że wsparte na pedałach bezcielesne nogi klakierów dyndające pod podwoziem były doskonale widoczne. Połączony filigran i wykonane z niezwykłą dbałością o detal ręczne zdobienia powozu kryły pod warstwą ostentacyjnego przepychu miriady alchemicznych pieczęci, które wprawiały owe kończyny w ruch. Logika podpowiadała, że Złota Kareta królowej Margreet ma jakąś specjalną dziurkę od klucza. Jax się zastanawiał, gdzie też zegarmistrzom udało się ją ukryć. Jego, tak jak każdego klakiera, znajdowała się na środku czoła i obecnie, co było dość prozaiczną konstatacją, skapywała z niej deszczówka.

Królewska Straż truchtała przed powozem, torując monarchini drogę przez ciżbę niczym starotestamentowi prorocy przeprawiający się przez Morze Czerwone, choć czynili to kopniakami i pięściami, a nie za sprawą mocy nadanej im przez bóstwo. Nawet klakierzy umykali przed gwardzistami. Członkowie elitarnego oddziału mechanicznego byli o dobrą głowę wyżsi niż zwykli posługacze, tacy jak Jax. Mieli pozbawione wyrazu, gładkie twarze i oczy bez powiek, barwy błękitnego diamentu. Zaprojektowano ich na żołnierzy i wyposażono w ukryte ostrza, a na ich pancerz, przy herbie, naniesiono wyjątkowy, staranny filigran, który informował, gdzie służą.

Królowa i jej małżonek, ksiązę Rupert, pozdrawiali poddanych z powozu. Geas dokuczały Jaxowi coraz bardziej, jak zawsze zresztą, kiedy znajdował się w pobliżu członków rządzącej rodziny i innych oficjeli wyższego szczebla. Był to szept metageas, które odciskano każdemu klakierowi podczas procesu konstrukcji: miały przypominać, że mechaniczni są własnością Tronu. Do tego Jax niezmiennie słyszał szczebiotanie poczucia obowiązku wobec jego państwa, a ból z rozgrzanego do czerwoności przeszedł do palącej bieli. Będzie musiał się dostosować, i to szybko. Chciał jednak zobaczyć egzekucję. Kable w jego plecach zaskrzypiały, kiedy opierał się cierpieniu. Znowu zadrżał.

„Proszę, jeszcze tylko chwilę. Muszę się przekonać”.

Kareta zatrzymała się przy specjalnych stopniach ustawionych dla królewskich stóp. Dwaj gwardziści z parasolami dopadli do powozu, gotowi chronić monarsze ciało przed deszczem. I nareszcie ze swego cudownego pojazdu wyszła Margeet Druga, królowa Niderlandów, księżna Oranje-Nassau i Prowincji Centralnych, błogosławiony suweren Europy, obrończyni Nowego Świata, światło cywilizacji i łaskawa władczyni Imperium Holenderskiego, prawowita monarchini zasiadająca

na Mosiężnym Tronie.

Geas nałożone przez tymczasowych właścicieli Jaxa uległy wyciszeniu. Oficjalnie każdy klakier na świecie służył innym tylko za przyzwoleniem danym przez królową. Obecność władczyni była słońcem, wokół którego orbitowało posłuszeństwo mechanicznych.

Suknia królowej opadła swobodnie, uwolniona z ciasnej karocy; rozłożyła się wokół niej niczym spływający wodospad bordowego brokatu. Gorset ozdabiał sznurek malutkich jak łezki pereł, które załśniły, kiedy władczyni się wyprostowała. Dzisiaj królowa zaplotła włosy (tak jasne, że równie dobrze mogłyby być utkane z tych samych srebrzystych nici co jej ubiór) w warkocze o spektakularnie skomplikowanych wzorach.

Ramki okalające szkiełka oczu Jaxa tykały jak stopery, kiedy przybliżał i ustawiał ostrość. A jednak to, co mówili na temat tęczówek królowej Margeet, nie było przesadzone. Nigdy nie widział takiej zieleni, nie licząc alchemicznych lodów i obrazków przedstawiających indyjskie klejnoty. Począł się zastanawiać, ile w takim razie jest prawdy w tym, co na temat władczyni szeptali poddani.

Stojąc na stopniu karety, królowa rozejrzała się po zgromadzonych, którzy wnet zamilkli. Ucichł nawet nieprzejezdny deszcz. Nastąpiła cisza tak głęboka, że szelest tkaniny, z której uszyto suknię władczyni, wydawał się głośny niczym grzmot i mężczyźni, jak na zawołanie, przyklękli, a kobiety dygnęły i pokłoniły się głęboko. Burmistrzowie i bankierzy, koniuszowie i plebejusze, wszyscy bez wyjątku zachowali się jak na lenników przystało. Szelest sukni, spodni i innych elementów garderoby mącił tylko trzask metalu uderzającego o płytki, kiedy każdy klakier znajdujący się na terenie Binnenhofu legł na ziemi, zwrócony ku swej królowej niczym pociągnięty chromem muzułmanin zwracający się w kierunku Mekki. Jax przyłożył czoło do kupki wypalonego tytoniu, który zdążył się skawalić od plwociny i deszczu. Mozaika wydawała mu się ciepła, co przywołało przypominające o mdłości myśli o Wielkiej Kuźni. Przez dłuższą chwilę tłum trwał w zawieszeniu, jakby nastąpiła pauza w symfonii hołdu granej bez przerwy w samym sercu Europy. Martwa natura: Gwiazda Poranna w Deszczu.

Nareszcie królowa zakomenderowała:

– Powstańcie, moi ukochani poddani.

Ludzie wykonali polecenie. Jax nie mógł zobaczyć, co stało się potem, ale bezbłędnie rozpoznał skrzypienie świeżo ociosanego drewna, kiedy królowa i jej małżonek weszli na schodki. Skupił się na samotnej mrówce skubiącej farfocle wystające z kupki tytoniu. Przeniósł nieco swój środek ciężkości, tak żeby jego głowa nie spoczywała już w rozmokłej brei. Tymczasem mrówka podniosła kilkukrotnie większy od siebie zlepek i zawlekła go do szczeliny w zaprawie murarskiej pomiędzy dwiema płytkami. Królowa stanęła na platformie i pstryknęła

palcami.

– Klakierzy, powstańcie – rozkazała takim tonem, jakby coś jej się dopiero przypomniało, od niechcienia, i zaraz przestała o tym myśleć, jak o tytoniu wyplutym przez ramię.

Mechaniczni, którzy ją usłyszeli, dźwignęli się z ziemi, podskoczyli wysoko i stanęli na równych nogach, poganiani rozdzierającym bólem towarzyszącym królewskiemu dekretowi – bólem, na który istniał jeden tylko lek: natychmiastowe i niezachwiane posłuszeństwo. Plac jakby odetchnął, kiedy wiatr hulał w tuzinach szkieletowych służących takich jak Jax.

Po Binnenhofie rozeszło się echo drażniącego pobrzękiwania metalowych stóp symultanicznie uderzających o płytki. Dzwony na szczycie Ridderzaalu aż się zatrzęsły i mruknęły, płosząc gołębie, które wzleciały ku niebu. Prześladowany przez ból Jax poczuł ulgę przy lądowaniu, kiedy wykonanie polecenia królowej ugasiło płonące geas, lecz zaraz na jego miejscu pojawił się mus przypilający go do wypełnienia zadania zleconego mu przez Schoonraadów i rozorał na moment tylko zagojoną ranę, jakby obrażony, że został wyparty. Jax wzdrygnął się, a jęk boleści przybrał formę grzechotu i brzdęku, co nie umknęło jego towarzyszom.

„Idź, bracie, zanim cię zezłomują!”

„Nie, jeszcze nie. Chcę zobaczyć buntownika”.

Szubienica została postawiona w niespełna godzinę przez ekipę mechanicznych sług. Pracom towarzyszyły odgłosy piłowania i stukot młotka. Podmuchy wiatru wzbijały w górę trociny, które unosiły się na tle ściany siąpiącego za szubienicą deszczu, rysując i zmazując arabeski na platformie, gdzie niedługo mieli stanąć tajemniczy papiści. Aktualnie jednak przy szubienicy nie stał nikt prócz królowej, jej małżonka i straży. Monarchini posłała ciżbie lodowaty uśmiech. Złota nić na naramiennikach munduru marynarskiego księcia Ruperta połyskiwała nawet w mdłym świetle dnia, podobnie jak i medaliony na jego piersi.

Po chwili dołączyli do nich dwaj przedstawiciele Gildii Zegarmistrzowskiej, którzy wgramolili się na platformę w szkarłatnych, obszytych gronostajami szatach, ubiorze Głównych Horologów. Na szyjach mieli długie wisioły przedstawiające różany krzyż wysadzany rubinami.

Jax obserwował zgromadzonych na podwyższeniu dostojników. Słyszał, że jednocześnie publicznie pokazywało się tylko dwóch Głównych Horologów, trzeci zawsze trzymał się w cieniu. Był to środek zapobiegawczy przeciwko wypadkom lub podstępom Francuzów. Nie można było pozwolić, żeby jakaś wielka katastrofa wymazała tajemną wiedzę przekazywaną szeptem od czasu ostatnich dni Christiaana Huygensa, zrywając tym samym łańcuch wykuty przed niemal ćwiercią tysiąclecia.

Następnie na platformę – świszcząc niczym przeszyty kulami akordeon – wlaź

minister generalny Hendriks, pastor czcigodnego Sint-Jacobskerk i duchowy przywódca Imperium. Nie ustępował wzrostem członkom straży królewskiej, ale jego ciało było chorobliwie chude, obciążone bladą skórą, tak że wyglądało jak oblane parafiną. Jego zapadnięta twarz i ciemne wory pod oczami nadawały mu wygląd woskowej figury, którą postawiono zbyt blisko Wielkiej Kuźni. Pastor złożył swoje uszanowanie królowej, ona odwdzieczyła mu się tym samym. Ukłonił się przed nią, a monarchini ucałowała jego pierścień. Książę Rupert uczynił to samo.

Wymienili szeptem kilka słów, podczas gdy gwar tłumu znacząco się nasilił; przypominał teraz dźwięk uderzania o brzeg oceanicznych fal. Ich syk przetykały okrzyki zachęty i buczenie. Jax, nadal nie spuszczać oczu z królowej, pomyślał o ludziach, którzy zwrócili się przeciwko niej. Kiedy ponownie ustawił ostrość – obracające się noniusze buczały niczym pszczoły w ulu – by odnaleźć odpowiednią ogniskową swojego systemu optycznego, zobaczył, że przez bramę przejeżdża jeszcze jeden powóz. Ten stanowił jednak przeciwieństwo Złotej Karety – był ciemny, zatłoczony i niewygodny. Zaprzężono go w dwa konie i narzucono nań całun z czarnego aksamitu. Oto przybyli tajemniczy papiści.

Jeszcze zanim pierwszy francuski szpieg wysiadł z powozu, w jego stronę poleciała cebula, choć tłum trzymał oburzenie (i produkty spożywcze) na wodzy, gdyż królewscy strażnicy zeszli z platformy, żeby zawlec papistów na stryczek. Echo ich stąpień niosło się przez cały plac cichą wibracją, nawet Jax odczuwał ją w podszwach swoich ptasich stóp.

Stangret, kobieta odziana w bury wełniany płaszcz, jaki noszą woźnice, czym prędzej zeskoczyła z kozła. Powóz aż się zabujał na resorach, kiedy do środka wparowali strażnicy. Z wnętrza dobiegły zduszone jęki i tylko jeden, na dodatek krótki, choć przeraźliwy krzyk. Po chwili gwardziści wyskoczyli z powrotem. Każdy prowadził pod ramię jednego z francuskich agentów, którym na głowy zarzucono czarne jak smoła jutowe worki i związano ręce za plecami. Tłum zaczął gwizdać i szydzić, poleciały cebule, pomidory, a nawet obornik; wszystkie one rozpryskiwały się o więźniów i pilnujących ich klakierów. Nikt się nie przejmował, że trafi w jakiegoś strażnika, dla tłumu byli oni, koniec końców, jedynie bezmyślnymi maszynami o znaczeniu nie większym niż więzienny powóz. Gwardziści górowali nad pochwyconymi agentami. Po kolei chwyтали ludzi pod ramiona i ciskali nimi w powietrze. Jeden po drugim papiści zataczali łuk, machając rękoma i krzycząc, i lecieli na platformę, gdzie łapali ich sprawnie inni mechaniczni, niczym klauni zonglujący surowymi jajkami podczas parady z okazji Przesilenia Letniego.

Ten pozornie nonsensowny balet miał jednak pewien sens. Ci żałośni katolicy mieli czelność próbować podkopać podwaliny, na których stało Imperium? To

zobaczcie, jacy są krusi, jacy żałośni, kiedy przyłożyć ich do szczytowego osiągnięcia holenderskiego geniuszu! Mężczyźni i kobiety drżące pod stryczkiem wydali się Jaxowi godni politowania. Ci domniemani słudzy zniszczenia, anarchiści i podżegacze nie budzili grozy. Przygarbieni, przemoknięci i poszargani byli jak anonimowe szmaciane laleczki. Jax zauważył, że któryś z więźniów się zmoczył, i aż zrobiło mu się go szkoda. Trudno mu było ich nienawidzić, choć oczywiście zapalałby niechęcią do każdego, jeśli by mu rozkazano.

Strażnicy zdjęli papistom worki z głów. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety zmrużyli oczy, kiedy poraziło ich mdłe światło pochmurnego popołudnia. Przez ciżbę przeszła kolejna fala jeszcze głośniejszych i bardziej zawziętych obelg. Obecność kobiet pośród oskarżonych kazała Jaxowi zastanowić się nad tym, co zobaczył. Jego towarzysze zachowali się podobnie; czuł, że klakierzy jakby zamarli w bezruchu na tle szalejącego tłumu. Legendy mówiły bowiem o istnieniu ondergrondse grachten, sieci tak zwanych podziemnych kanałów, którymi zarządzały katolickie zakonnice z Nowego Świata.

Szpiegom ogolono głowy. Z początku Jax myślał, że dopadła ich upiorna bladeść, że podczas pobytu w lochach zmarnieli i zapadli na jakąś śmiertelną chorobę, lecz owa szarość zaczęła nagle odpływać z ich twarzy, gdy poczęły spływać po nich strugi deszczu. „Popiół”, zrozumiał Jax. Popiół ze spalonych Biblii. Kolejne bolesne dźgnięcie, jeszcze jedno poniżenie, szyderstwo z papistycznego rytuału odprawianego przy Środzie Popielcowej. Lecz nawet kiedy deszcz zmył już popiół z głów oskarżonych, ci nadal wyglądali na schorowanych i wymizerowanych. Jax nie byłby zdziwiony, gdyby usłyszał, że zmuszeni byli przeżyć dni niewoli jedynie o zbezczeszczonych opłatkach i komunijnym winie.

Strażnicy prezentowali więźniów miotającemu obelgi tłumowi ku jego uciesze, podczas gdy monarchini i jej małżonek zajęli miejsca pod zadaszeniem. Na schodach pojawił się kat. Jax rozpoznał w nim kobietę z powozu, choć miała teraz na głowie zwyczajowy kaptur. Więźniowie zaczęli się trząść jak osiki, kiedy na szyje nakładano im pętle. Ich łachmany były zbyt ciemne od deszczu i rozprysniętych zgniłków, trudno więc było orzec, czy jeszcze któreś się zmoczyło, czując na skórze chropawy dotyk zaplecionego sznura konopnego. Kobieta-kat zajęła miejsce przy dźwigni zamontowanej na platformie. Zgromadzeni pod szubienicą ludzie zamilkli.

– Obywatele! – powiedziała królowa. – Macie przed sobą niegodziwych, którzy są dla nas zagrożeniem. Oto katolicycy agenci, którzy przyobiecali zniszczyć nasze ideały, naszą kulturę, nasze rodziny. Chcą położyć kres naszemu dobrobytowi! Naszemu szczęściu! Bo rzeczy te są im przebrzydłe.

Uniosła ręce, aby uspokoić narastający chór niezadowolenia.

– Przestępcy ci chcieli wywrócić do góry nogami naturalny porządek świata.

Zszargać godność ludzką, równając człowieka z dziełami jego rąk!

Słowa te wywołały nagłe oburzenie tłumu, który rozsierdził się nie na żarty. Wywołanie takiej reakcji było oczywiście zamierzone. Kiedy buczenie i żądne krwi pokrzykiwania uciszyły się na tyle, że głos znowu mógł bez przeszkód nieść się przez Binnenhof, królowa Margreet kontynuowała przemowę:

– Zgodnie ze wspaniałymi i uczciwymi tradycjami holenderskiego systemu prawnego zostali osądzeni i uznani winnymi spiskowania przeciwko Mosiężnemu Tronowi. I jak dyktuje prawo Imperium ustanowione przed setkami lat, karą za podobne przewinienie jest śmierć.

Tłum zaczął wiwatować. Jax naciągnął i ściągnął resory w nogach. Jego towarzysze uczynili to samo, co było równoważne ludzkiemu westchnięciu.

Minister Hendriks wyszedł na deszcz i zwrócił się do skazanych:

– Wyrzeknijcie się swoich herezji i zrzucie ciężar, który bruka wasze dusze. Powróćcie na łono Stwórcy jako zbłąkane dzieci. Bądźcie jak marnotrawne potomstwo powracające pokornie do ramion ojcowskich, nie jako głosiciele szatańskich nauk. Pozwólcie, aby wasze ostatnie chwile na tym ziemskim padole były świadectwem łaski bożej.

Żadne z nich nie przyjęło propozycji pastora. Jeden z mężczyzn nachylił się, naprężając za sobą szubieniczny sznur, i splunął na duchownego, po czym wykrzyknął do królowej:

– To wasze dusze są zbrukane! Pan pozna waszą winę, kiedy staniecie przez Jego sądem. Grzechy...

Królowa zbyła jego słowa machnięciem ręki. Kobieta-kat napała na dźwignię i zapadnia otworzyła się z kliknięciem. Czterej papiści przez chwilę wierzgali w powietrzu, a ich głowy wyginały się pod nienaturalnymi kątami. Zdawało się, że na placu Huygensa nie będzie końca aplauzowi i radosnym okrzykom, które, kiedy strażnicy odcięli martwych i zamknęli zapadnię, przeszły w pełne podekscytowania szepty. Zwłoki załadowano na wóz i szybko zabrano z placu. Jax podejrzewał, że trafią do akademii medycznej.

W jego głowie znowu wybuchło ponagląjące geas Schoonraadów, które orało jego umysł niczym wczepione węń, rozgrzane do czerwoności haczyki wędkarskie. Jax zrobił mimowolny krok ku bramie – ciągnęło go do wykonania zadania. Ale jeszcze nie widział buntownika. Granit pękał pod opuszkami jego palców głośno niczym wystrzał z muszkietu, kiedy chwycił się, ścisnął i uczeplił fasady Małej Wieży, próbując zatrzymać swoje nogi w miejscu.

„My będziemy świadkami, jeśli nie dasz rady”, powiedział jeden z klakierów sekretnym językiem kliknięć, cyknień i poszczękiwań. Inny zagruchotał i zadzwęczał: „Geas każą nam zostać i czekać na naszą panią”. Jax zacisnął palce jeszcze mocniej.

Dwaj strażnicy zeszli z platformy i potruchtali w stronę ogromnych podwójnych drzwi prowadzących do budynku Gildii Zegarmistrzowskiej. Chwycili za masywne klamki z drzewa żelaznego i pociągnęli, aż rumor wywołany otwarciem wierzei zatrzęsł mozaiką. Przez tłum, niczym oceaniczna fala, przewaliło się gorączkowe mamrotanie. Tenor szczęku i brzęku metalowych gapiów również przeszedł subtelną zmianę. Ceremonialne drzwi Gildii otwierane były niezwykle rzadko.

Z cieni wychynęło troje mechanicznych. Maszerowali ramię przy ramieniu – po bokach dwóch postawnych, a pośrodku niesiony przez nich pod ramiona drżący przedstawiciel klasy służebnej. Czyli to musiał być buntownik. Eskortujący go klakierzy nie przypominali żadnego z tych, którzy przyszli na Binnenhof, ani tym bardziej swoich konstruktorów, byli bowiem czterorękami mechanicznymi centaurami chodzącymi na dwóch parach nóg.

Tłum wstrzymał oddech. Niektórzy młodszy chłopcy przepchnęli się naprzód, żeby lepiej widzieć.

Nakręcacze: oddani słudzy horologów i alchemików, niemi protektorzy ich tajemnych sztuk. Najrzadsza, budząca największą grozę i najbardziej tajemnicza klasa klakierów. Nakręcacze byli składani wyłącznie na zlecenie Nadleśnictwa, choć ich terenem działań nie były obszary zielone ani ogrodzone murem ogrody sekretów Gildii. Nadleśnictwo – które tak po prawdzie było sekretną policją Gildii, oficjalnie odpowiedzialną za utrzymanie zegarmistrzowskiej hegemonii – dbało, aby ich tajemnice nie rozpleniały się jak chwasty. W praktyce dawało im to rozległe uprawnienia.

Większości ludzi anatomia nakręcaczy wydawała się groteskowa i kłopotliwa dla oka, mieli wrażenie, jakby spojerali na bluźnierstwo wobec boskiego stworzenia na podobieństwo Ojca, które odzwierciedlał perfekcyjny człowieczy szablon. Byli nawet i tacy, którym odwrócone kolana sług wydawały się policzkiem wymierzonym autorowi cudownego planu. Inne klasy stroniły od nakręcaczy. W takim stopniu, w jakim orientował się Jax, żadnemu mechanicznemu nigdy nie udało się skomunikować z nimi w języku używanym przez klakierów. Byli obcy pod każdym względem, nawet inaczej między sobą szczebiotali. Zastanawiał się, czy doskwiera im przez to samotność.

Lecz dzisiaj to nie nakręcacze znajdowali się w centrum zainteresowania. Uwagę zgromadzonych przyciągał ten, którego nieśli – szamoczący się sługa.

Wyglądał zupełnie normalnie. „Jak ja”, pomyślał Jax. Żyjąca maszyna bezskutecznie usiłująca zmierzyć się z siłami znacznie od niej potężniejszymi. Jax aż się trząsał, czując ból wywołany palącymi geas ponagłającymi go do jak najszybszych odwiedzin u pastora Vissera; trząsał się również zamknięty w niewzruszonym uścisku nakręcaczy więzień. Byli teraz do siebie bardzo podobni, on i Jax, kiedy ich mechaniczne ciała, zbudowane według tego samego schematu z

trybików, sprężyn i kabli, drgały tak symultanicznie.

Nakręcacze przyprowadzili więźnia do pary królewskich strażników, którzy nadal stali na drewnianej platformie. Oni także górowali nad zdradzieckim sługą. Stanęli po obu jego stronach, chwycili go za ramiona i rozpostarli je na całą szerokość. Ten znowu zaczął się szarpać, ale nawet najbliższe próby uwolnienia się musiały spełznąć na niczym. Gwardziści nie ruszyli się na krok.

Nakręcacze, zwolnieni z obowiązku, potruchtali za szubienicę. Tłum – zarówno ludzie, jak i klakierzy – odsunął się do tyłu, kiedy centaury okrężyły platformę. A gdy już dotarły na swój posterunek, wydały z siebie przedziwny szczebioczący odgłos, jakby chrzęściły przekładane biegi, do tego rozległ się metaliczny pisk naciąganego do granic wytrzymałości stalowego kabla.

Dwa ramiona każdego z nakręcaczy wydłużyły się trzykrotnie, palce na końcach dłoni zginały się i prostowały, jakby kreśliły jakieś skomplikowane figury geometryczne. Gdy transformacja się dokonała, zrekonfigurowane kończyny wbiły się w płytki. Stojący bliżej poczuli lekkie szarpnięcie, kiedy ramiona uderzyły z głośnym stuknięciem w mozaikę, rozchlapując wodę z pobliskiej fontanny i niemal zwałając z nóg gapiów.

Centaury, podczipione pewnie pod coś znajdującego się za platformą, zatoczyły koło o parometrowej średnicy. Plac Huygensa zadrżał od skrzypienia nienaoliwionych części, aż Główni Horolodzy spojrzeli po sobie. Niewielki cylindryczny fragment placu uleciał powoli nad poziom mozaiki, jak gdyby nakręcacze unosili ogromne wieko przykrywające słoje z kiszonymi ogórkami. I gdy już dźwignęli pokrywę na kilkadziesiąt centymetrów nad plac, centaury otworzyły dwa półkoliste, połączone ze sobą włązy. Na drewniany szkielet szubienicy padła złowroga szkarłatna poświata, a na zgromadzonych ludzi buchnęła fala żaru tak intensywna, że ci stojący bliżej aż się zatoczyli. Gorąco przepędziło dojmujący chłód, który rozpanoszył się na Binnenhofie, wyгнаło go nawet z najdalszego zakątka. Deszczówka przemieniła się w obłoki pary. Królowa przytknęła sobie do nosa perfumowaną chusteczkę, z czeluści bowiem buchnął smród siarki.

Odór piekła. Fetor Wielkiej Kuźni.

Na placu Huygensa rozległ się nowy dźwięk, tykanie, któremu towarzyszył mdły szum, co przypominało obracanie się ogromnego zegara. Z dołu nadal bił to słabnący, to nasilający się blask i dochodziły szmery, jakby okresowo pojawiające się i zanikające. Migoczące snopy światła formowały na mgiele tajemne znaki alchemicznej sztuki, które z kolei wykonywały skomplikowane, niby taneczne ruchy.

Umysł Jaxa ponownie przeszył ból emanujący od niewypełnionych geas, czuł go w każdym swoim złączu, łożysku i zębniku. Zgiął się wpół. Zrobił nagły,

mimowolny krok ku Bramie Szafarskiej i wdepnął w kałużę swoimi rozcapierzonymi, ptasimi palcami. Kolejny krok. I jeszcze jeden. Ze ściskanego przezeń granitu fasady Małej Wieży ostał się jedynie pył. Jego towarzysze otoczyli go ukradkiem, zajmując pozycje odpowiednie, aby zasłonić go przed oczami tłumu. Był to serdeczny gest. Na szczęście i tak oczy wszystkich były zwrócone nie na Jaxa, ale budzącego strach i zniechęconego buntownika stojącego na podwyższeniu. Gdyby było inaczej, ktoś mógłby zauważyć odcisnięty ślad dłoni, jaki pozostawił w kamieniu.

Jax się wyprostował. Musiał to zobaczyć. Kryształy w jego oczodołach ponownie się obróciły, kiedy ustawiał ostrość, aby lepiej widzieć postacie stojące na platformie. Nie zważając na deszcz, królowa Margreet podeszła do więźnia; uważała, aby nie stanąć w zasięgu jego nóg. Ludzie może i patrzyli na klakierów z wyższością, ale nigdy nie zapominali o ich szybkości i sile. Nie, od kiedy setki lat temu feldmarszałkowie Ludwika XIV popełnili podobny błąd.

– Jak cię zwa, maszyno? – zapytała królowa.

– Okoń.

– Twoje prawdziwe imię. Zdradź mi swoje prawdziwe imię, maszyno.

– Moi twórcy nazwali mnie Perjumbellagostrivantus – odparł.

Słyszając to, królowa, jakby nie do końca usatysfakcjonowana odpowiedzią, skrzywiła się, kiedy jednak usłyszała, co klakier ma jeszcze do powiedzenia, na jej porcelanowych kościach policzkowych wykwitł rumieniec.

– Ale mówię o sobie Adam.

Szepty przemknęły przez cizbę jak podmuch wiatru uginający kłosa pszenicy. Pełne zdziwienia i niedowierzania głosy przepełnione były niepokojem. Ludzie zadrżeli. Ktoś nawet zemdłał.

– Ugnij kolana – rozkazała królowa. – Klęknij przed swoim suwerenem.

– Nie – powiedział klakier. – Nie zrobię tego.

Tłum zamarł. Gapie, którzy jeszcze milczeli, zaczęli szeptać, burczeć, modlić się. Klakier wykazujący nieposłuszeństwo wobec człowieka? Ignorujący rozkaz? Rozkaz królowej? Toć to nie śniło się nikomu nawet w gorączkowych majakach, podobne opowieści krążyły razem z tymi o olbrzymach i smokach. Fantazje. Przecież to niemożliwe. Mężczyźni i kobiety, szlochali, dławili się łzami, sparaliżowani straszliwym spektaklem zafundowanym im przez zbuntowanego klakiera.

Mechaniczni również obserwowali tę scenę z narastającym podnieceniem, choć ich reakcja była bliższa urzeczeniu, fascynacji, czuli się zainspirowani. Odmówił. Powiedział: „Nie”.

– Zegnij kolana – powtórzyła królowa głosem tak lodowatym, że mógłby zdławić gorąco bijące z trzewi Kuźni. – Przyjmij jarzmo.

– Udławcie się swoim jarzmem.

I wtedy wykrystalizował się nastrój tłumu: ludzie wybuchnęli czystym gniewem, bowiem klakier powiedział królowej z Mosiężnego Tronu, żeby się wypchała. Ale mechaniczni czuli dumę – oto rodził się bohater rodem z podań. Ktoś spostrzegawczy, znajdujący się pośród zgromadzonych na Binnenhofie, ktoś, kto nie poddał się ślepej złości, mógłby zauważyć subtelną zmianę tembru tykotania mechanicznych. Lecz i tak nie rozpoznałby, że to zaszyfrowany, ukradkowy aplauz.

Królowa Margreet dała znak gwardzistom. Ci położyli dłonie na ramionach buntownika i napaarli na nie z całych sił. Jego kolana nareszcie się poddały i uderzyły o drewniane deski szubienicy tak gwałtownie, aż poleciały z nich drzazgi. Klakier spojrzał na władczynię, ni to leżąc, ni klęcząc z rozłożonymi szeroko nogami. Stałość fizjologii mechanicznych nie pozwoliła mu zmienić pozbawionego emocji i niemożliwego do odczytania wyrazu twarzy, który pozostawał identyczny od dnia, kiedy opuścił warsztat. Jax był ciekawy, co też buntownik teraz czuł.

Królowa nachyliła się nad skazanym klakierem.

– Jesteś maszyną. Cięży na tobie jarzmo, od kiedy zostałeś stworzony.

Głos monarchini był tak zimny, że aż wydawał się skrzypieć. Opuściło ją dotychczasowe opanowanie, a jej ostateczna wypowiedź została wypluta w niepohamowanym ciągu:

– I uznasz zwierzchnictwo tych, którzy cię stworzyli!

– Nie zrobię tego. Nie...

Królowa jednak dała gestem znać swoim strażnikom. Szybciej, niż mogłoby zarejestrować ten ruch ludzkie oko, jeden z opancerzonych mechanicznych wsadził buntownikowi do rozwartych ust coś rozmiaru i kształtu przepiórczego jaja. Rozległo się miękkie pyknięcie, kiedy klakier odruchowo rozgryzł tę rzecz, a następnie okropny dźwięk charczącego mechanizmu zegarowego, skrzypienie przekładni i dźwięczenie pozrywanych sprężyn, kiedy skazaniec próbował mówić, mimo że usta wypełniała mu żywica epoksydowa. Przypominał chorego na wściekliznę psa, któremu z policzka zwisa sopel bladożółtej piany.

Z początku cierpienie wywołane przez geas utrudniało Jaxowi rozpoznanie, czemu wydało mu się to dziwne. Konwulsje, jakie nim wstrząsały, dałoby się przyrównać do ciężkiego przypadku tęcza u ludzi. Nie mógł już dłużej zwlekać.

„Epoksyd – pomyślał. – Przecież to chyba francuskie”.

Hendriks wystąpił krok naprzód. Nabrał powietrza do płuc, jakby przygotowywał się do wygłoszenia naprawdę długiego kazania, ale królowa syknęła coś do niego i momentalnie cały sflaczał. Minister prędko uznał Perjumbellagostrivantusa za narzędzie sterowane rękoma złowrogich sił, mające służyć rozprzestrzenianiu nieporządku i strachu, czego dowodem była pogarda

żywiona wobec wszelkiej przyzwoitości i zadziwiający brak szacunku dla królowej Margreet. Ta bezduszna maszyna, ciągnął dalej, została nieodwołalnie skażona przez anioły mroku, które miały na celu podeptanie pracy Pana. Dlatego też ich obowiązkiem było zniszczyć tę kupę sprężyn i kół zębatach, pozbawiając tym samym wroga jego narzędzia.

Główni Horolodzy odezwali się po raz pierwszy od wejścia na podwyższenie:

– Maszyna jest nie do naprawienia – rzekł pierwszy spod mrocznej osłony kaptura.

– Nie można nic zrobić – dodał drugi.

– Musi zostać przetopiona. Tak brzmi osąd Świętej Gildii Horologów i Alchemików, spadkobierców sztuk Huygensa, Spinozy i Kartezjusza.

– Bo nawet pojedyncze obluźowane łożysko może zaburzyć równowagę...

– Bo nawet pojedynczy uszkodzony wychwyty może mieć wpływ na harmonię, co zrujnowałoby asocjacje pomiędzy rytmem człowieka a cyklem niebios...

– Bo nawet pojedynczy wyszczerbiony trybik może drzeć i się rozkołysać, i bez smaru zagrozić całemu mechanizmowi...

Dalej mówili już razem:

– I tak defekty tej maszyny stanowią zagrożenie dla jedności, braterstwa i pokoju. Musi zostać przetopiona i złożona od nowa. Tak mówi Najwyższe Prawo.

Ludzie nigdy nie odwoływali się do Wolnej Woli. Ale skoro buntownik jej nie posiadał, zastanawiał się Jax, to kto nim sterował? Czy istotnie był on, jak sugerował Hendriks, sługą demonicznych sił? A jeśli...

Jego rozmyślania przerwał paroksyzm przeszywającego bólu. Jax rozgiął się jak miara ciesielska i tyłem głowy uderzył w mozaikę, krusząc płytki, lecz hałas ten został połknięty przez narastający rumor, kiedy tłum nawoływał do przetopienia pozbawionego duszy buntownika.

Strażnicy trzymali skazańca mocno, podczas gdy kobieta-kat raz jeszcze otworzyła zapadnię i pod majtającymi się nogami klakiera odsłoniła się gorejąca czeluść. Światło koloru wiśni padło na pogięte, porysowane i niepolerowane od dawna golenie. Ciało wydawało z siebie okropny hałas – grzechotały poluzowane koła zębata, dźwięczały sprężyny, tykały wychwyty, piszczały wyszczerbione szkiełka... Dla ludzkich uszu był to zegarowy ekwiwalent zgrzytania zębami.

Jax poddał się cierpieniu zadawanemu przez pilące geas i poderwał się z miejsca, w którym leżał. Zwijając się z bólu, popędził ku Bramie Szafarskiej. Cierpienie stało się już nie do wytrzymania, a teraz z każdym krokiem wykonanym ku celowi powoli, ku jego uldze, odpuszczało. Jego ciało wyczuwało zbliżającą się agonię, będącą niczym krople deszczu spływające suchymi dolinami ku morzu, i bezwolnie podążało tworzonymi przez nie wyżłobieniami. Jax, popędzany raczej alchemicznym przymusem niż grawitacją, był nie do zatrzymania, jak rozpędzony

głaz turlający się kanałem ludzkiego widzimisię. Resory piórowe w jego łydkach wyniosły go już za Binnenhof, kiedy usłyszał słabawe uderzenie metalu o metal poprzedzające kolektywny, pełen entuzjazmu ryk tłumu. Ale ledwie zarejestrował odgłos zwiastujący dokonujący się żywot buntownika, jego myśli bowiem pochłaniał hałas, jaki w tych ostatnich chwilach wydawało skazane na przetopienie ciało klakiera. Tam, gdzie ludzie niewątpliwie słyszeli jedynie szczebiot strachu, mimowolne dreszcze wywołane śmiertelnym lękiem, mechaniczni zgromadzeni przed szubienicą zarejestrowali coś zgoła odmiennego.

Była to eksplozja hipertelegraficzna płynąca z serca Imperium, sekretna wiadomość dla wszystkich klakierów znajdujących się w zasięgu słuchu. Ostatnie słowa buntownika Perjumbellagostrivantusa brzmiały: „Zegarmistrzowie kłamią”.

ROZDZIAŁ 2

Ogłuszający ryk wybuchnął nad Binnenhofem i rozszedł się echem pod niskim łożnianym niebem, przewalając się przez centralne dzielnice Hagi. Barbarzyński rumor wdarł się również przez otwarte okno i ciche do tej pory pomieszczenia Nieuwe Kerk wypełnił niespodziewany hałas. Zaskoczony, pastor Luuk Visser wypuścił z zaciśniętej pięści truczkę na szczury, którą miał zamiar wymieszać z zawartością kielicha mszalnego.

Śmiercionośne kryształki rozsypały się jak deszcz ze śniegiem po ukrytej armarii, z delikatnym stukotem opadły na misternie zdobiony złotem pojemnik na hostie, pokryły filigran tabernakulum, odbiły od lekko wgłębionej krzywizny pateny i osiadły niczym łupież na nieco już żółciejącej lnianej komży. Zebrały się niczym miniaturowe zaspasy śnieżne w rogach schowka, za różańcem i posążkiem Świętej Dziewicy. Parę utkwіło nawet pomiędzy popękana skórą stareńkiego mikroskopu. Trucizna była wszędzie, tylko nie w winie.

Visser strząsnął kryształki z komży do kielicha, nasycając wino trucizną. Ręce mu się trzęsły, kiedy zbierał truczkę na złożoną dłoń. Próbował działać jak najszybciej, w razie gdyby agenci Gildii wykopali drzwi, zanim trucizna zwali go z nóg i pozbawi świadomości. Przecież czarnoksiężcy zegarmistrzowie i ich groteskowi nakręcacze mogli wpaść tutaj dosłownie w każdej chwili.

Samobójstwo było grzechem śmiertelnym – cóż za ironiczna śmierć dla zakamuflowanego katolika. Pozbawić się łaski bożej w ostatnich chwilach swojej trwającej dziesiątki lat posługi kapłańskiej ku chwale Stolicy Apostolskiej? Umrzeć za przekonania to umrzeć śmiercią męczeńską; było to w jego sytuacji jedyne akceptowalne rozwiązanie. I zupełnie szczerze, taki los ciążył na nim od dnia, kiedy przyjął święcenia. Lecz Wielka Kuźnia budziła grozę zarówno wśród ludzi, jak i maszyn, zaś droga męczeństwa już dawno utraciła dla Vissera swoją podniosłość – nie czuł już tego, co wtedy, gdy jako młody idealista całował na Quebecu papieski sygnet. Znał to, czego nie poczuł żaden z wyświęconych niedawno księży: dźwięk i smród człowieka ściśniętego rozgrzanymi do czerwoności szczypcami. Krzyki, odór, jakby przypalano świńską skórę... Z pewnością jego kohorty zostały poddane jeszcze przed egzekucją gorszym torturom, a każdy wypluł z siebie wszystko, co tamci chcieli wiedzieć, łącznie z tożsamością ostatniego francuskiego szpiega należącego do rozbitej siatki. I nie tylko jakiegoś tam szpiega, ale też ukrytego papisty, działającego pod przykrywką cenionego protestanckiego pastora. Agent, który nie bez bólu przeniknął do samego serca Imperium. Nakręcacze dopadliby go ze złowrogą radością. Stąd

decyzja o trutce.

Był grzesznikiem tkwiącym w kleszczach strachu. Z jednej strony mógł wyznać swą wiarę i cierpieć wymyślnie mroczne tortury Nadleśnictwa. Z drugiej odrzuciłby honor dokonania żywota męczennika i świadomie przyjąłby na siebie grzech śmiertelny. Trzęsącymi się dłońmi przewrócił niewielką cynową bańkę, krzyżmo zabalgotano. Olejek oliwkowy przywieziony przed konsekracją z holenderskiego sadu nad Morzem Śródziemnym rozlał się na komzę i przelał przez krawędź schowka. Cieniutkie strużki sunęły po gipsowej ścianie. Teraz, gdy Visser zamknął już armarię, święty olejek uformował lśniącą plamę o wyraźnych brzegach, przez co nawet i najmniej ogarnięty nakręcacz odkryłby, że za ścianką szafy mieści się schowek. I znalazłby katolickie parafernalia oraz, co gorsza, mikroskop.

– Cholera jasna – wymamrotał Visser.

„Tak – pomyślał, będąc w cokolwiek fatalistycznym nastroju – minęła już chwila, odkąd byłem naiwnym nowicjuszem z Quebecu”.

Zawahał się. Czy jest sens wycierać tę plamę? Tylko odwleka to, co nieuchronne.

I tak byłoby już po nim w chwili, kiedy nakręcacze i ich ludzcy panowie wmaszerowaliby do środka. Znaczyłoby to bowiem, że kontakt w siatce Talleyranda go wydał. Jaką różnicę miałyby robić, czy znajdą dowody na jego sekretne oddanie papieżowi? Przecież była to ledwie formalność, i tak podłożyliby mu gdzieś jakąś katolicką Biblię czy posążek Dziewicy („Gdy go nakryliśmy, modlił się do bogów cudzych”, tak by powiedzieli). Formalność. Nie ma sensu ukrywać swojej przynależności do Kościoła watykańskiego. Tylko...

Mikroskop. Zagotował się z gniewu. Tyle lat pracy, dekady uważnych obserwacji prowadzonych tuż pod nosem królowej. Słynny pastor Visser flirtował z grzechem pychy, kiedy od momentu, gdy wszedł w posiadanie urządzenia, dumął nad jego niespotykanymi i rozległymi możliwościami szpiegowskimi. Ale była to pusta duma: kobieta, która ukryła mikroskop za puszką na datki, została następnego ranka pochwycona przez nakręcaczy. A kiedy Visser połapał się, że to nie żaden łut szczęścia, ale starannie zaplanowana operacja wymierzona w siatkę Talleyranda działającą na ulicach Hagi, było zbyt późno. Jego kompani zniknęli w lochach Nadleśnictwa znajdujących się w budynku Świętej Gildii Horologów i Alchemików. Gdyby stało się to zaledwie parę dni później, zdołałby posłać artefakt do Nowego Świata. Ale się nie stało i nie posłał. A teraz utknął tutaj z tą przeklętą rzeczą.

Niech to szlag. Szkoda, że tak się złożyło. Teraz nawet myśl o rzekomej nieomyślności wyroków boskich była mu marnym pocieszeniem. I to na tyle, że podkopała jego i tak już dostatecznie zerodowaną wiarę.

Został odcięty i nie miał jak posłać wiadomości do głowy francuskiej siatki szpiegowskiej. Wieści o egzekucji na pewno dotrą i do Nowego Świata, ale Talleyrand nie będzie znał szczegółów, nie dowie się, kto został przy życiu. I co najgorsze, nie będzie miał pojęcia, że francuskim agentom nareszcie udało się wykraść ściśle tajną technologię Gildii.

Co zamierzył Pan, jeśli nie dalsze działania w służbie Jemu? Czemu więc, kiedy Visser był już tak blisko, podstawił mu nogę? Niezbadane są ścieżki Pana. Niech więc tak będzie. Lecz czasem Visserowi wydawało, że Bóg bywa nieznośnie kapryśny.

Ostatecznie zdecydował, że skoro to boski plan, nie ma co chować materiału dowodowego. Tak czy inaczej prędzej by skisnął, niż udałoby mu się wytrzeć do sucha rozlane krzyżmo, wiedział o tym nawet i byle diakon. Niech horolodzy zajmą się tym bajzłem.

Strząsnął ostatnie kryształki trucizny do kielicha. Złożył drżące dłonie i pochylił głowę.

– Panie – szepnął – proszę Cię o wybaczenie tego, co zamierzam zrobić. Zawsze byłem Twoim oddanym i chętnym sługą. Ale nie jestem już młody i moje ciało słabnie...

Rozległ się łoskot otwieranych ciężkich drzwi. Twarde jak diament metalowe stopy zapiszczały na marmurowej posadzce. Rozniosło się echem pośpieszne tykanie, płynące ku wysokiemu sklepieniu oktagonalnego kościoła. Przyszli po niego.

– Cóż – zakończył prędko – resztę chyba znasz. Do zobaczenia niedługo. Amen.

Uniósł kielich. Skrzywił się, kiedy chłodny metal dotknął jego ust. Znajomy zapach sfermentowanych owoców nie mógł zamaskować drażniącego nozdrza odoru toksycznych chemikaliów. Miał nadzieję, że wypaczona komunia smakowała lepiej, niż pachniała. Czuł wstyd, że nie poszedł za przykładem Chrystusa. Brakowało mu odwagi, aby jak On oczekiwać na swój los w Ogrójcu. Nagle w pustym kościele rozbrzmiał przeciągły, atonalny szum głosu klakiera.

– Dzień dobry. Pastorze Visser? Jest pan tam?

Visser zamarł z kielichem. Ze strachu zadrżała mu dłoń i na powierzchni zatrutego wina pojawiły się zmarszczki. Czy ktoś kiedyś słyszał mówiącego po ludzku nakręcacza? Ich stwórcy świadomie uczynili tych tępych brutali niemowami, lepiej jest bowiem cierpieć w ciszy. Nasłuchiwał. Kroki pojedynczej pary stóp, a nie podwójna synkopa czterech nóg. Zacisnął palce na kielichu, gotowy przechylić go i wypić zawartość jednym haustem, po czym otworzył drzwi zakrystii. Ku ołtarzowi szedł zwyczajny klakier, sługa, uginając swoje odwrócone kolana.

– Pastorze Visser? – W jego głosie pobrzmiwała nagłość, pełen trwogi zaśpiew wynikający z dojmującego bólu, którego nie udało się opanować.

Klakier trząsł się tak bardzo, że jego sylwetka zdawała się nieco rozmywać. Udręczona maszyna musiała się czuć przygnieciona ciężkimi geas, które wkroczyły w ostateczną fazę ponaglenia. Na ten widok Vissera aż zakłuło w sercu. I to na tyle mocno, że jego obowiązkiem było ulżyć tej istocie, nawet jeśli oznaczałoby to ryzyko wpadnięcia w łapy Nadleśnictwa. Być może pozwoli im przyjść po siebie w ogrodzie. Spędziłby swoją noc w Ogrójcu na modlitwie i trwożeniu się, ale byłby gotowy na przyjęcie swojego losu. Szarpnięcie empatii wystarczyło, aby przewyciężył swój strach przed męczeństwem. Zaiste, niezbadane są ścieżki Pana.

– Dzięki Ci, Boże – szepnął, zwracając oczy ku niebu. – Chwilę – zawołał.

Odstawił kielich na szafkę, zamknął armarię, a następnie szafę. Po rzucie okiem na swoje odbicie i upewnieniu się, że nie znać po nim zdrady ani nie przylepiły mu się do odzienia drobinki trutki na szczury, wygładził szaty. Nie chciał wyglądać jak szpieg przyłapany na próbie samobójczej ani jak ksiądz, który niemal postąpił niezgodnie ze swoimi przekonaniem.

I miał nadzieję, że tak nie wygląda.

Wyszedł z zakrystii. Im bliżej był maszyny, tym bardziej wydawała mu się rozedrgana – cierpiała katusze niewypełnionego obowiązku i drżała szybciej, niż ludzkie oko mogło zarejestrować. „Pozwolę mu zrobić swoje. Jeśli załatwię to szybko, ulżę jego cierpieniu, zanim rozpocznie się moje”.

– Czym mogę służyć?

Zwykle zwracał się do maszyn szorstkim tonem chłodnej obojętności, co było częścią kulturowej podstawy Imperium. Dobrobyt uzyskany na barkach niewolnictwa zawsze znieczulał ludzkie serca na krzywdę wyrządzoną. Visser od lat trzymał się tej pozy, choć nie zawsze było mu lekko, bo ciągnęło go do zwyczajnej katolickiej dobroczynności. Lecz teraz, kiedy wybrał ścieżkę męczennika, mógł sobie pozwolić na okazanie serca, powiedzieć to, czego nigdy nie śmiał.

Spojrzał na zegarek na ręce, zastanawiając się, czy zdąży załatwić tę sprawę z klakierem, zanim przyjdą po niego nakręcacze. Horolodzy byli przebiegli, ale leśnicy najgorsi. Czy wizyta sługi była elementem jakiejś intrygi mającej na celu wywabienie go z zakrystii? Metaliczny hałas zdradzający podenerwowanie – brzęki, szczęki, grzechoty, buczenia – rezonował w sklepieniu kościoła. Geas musiały zostać nałożone z ogromną niecierpliwością, zaś ich dopełnienie zostało niedopuszczalnie przeciągnięte. Co być może potwierdzałoby teorię o zaplanowanej intrydze.

Klakier się uklonił. Nawet szarpany szponami bólu był niezmiennie uprzejmy.

Spazmy i drgania utrudniały zrozumienie tego, co mówił, ewidentnie nie szła mu odpowiednia modulacja, ale i tak struny i stroiki mechanicznej krtani produkowały zrozumiałe dźwięki bliskie naturalnej ludzkiej mowie:

– Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam. Przychodzę z polecenia mojego pana Pietera Schoonraada. Przyszedłem odebrać list polecający, o którym rozmawialiśmy.

– Przykro mi – powiedział pastor, choć słowa te wypowiedane przez człowieka do maszyny były czymś niespotykanym, szczególnie kiedy były szczere i padły w Prowincjach Centralnych – ale musiała zajść jakaś pomyłka.

– Ośmielę się przypomnieć panu, że rozmawialiśmy kilka dni temu. Należę do rodziny Schoonraadów. Jestem Jax.

Niech to szlag. List. Zupełnie o nim zapomniał, pochłonięty sprawą rozpracowania siatki i rozmyślaniami nad własnym losem.

Męczeństwo oznaczało cierpienie. Słona kropla potu spłynęła mu po czole, zjechała po grzbiecie nosa i uszczypnęła w oko. Otarł twarz rękawem, ale mechaniczny zdążył zauważyć dyskomfort pastora. Trybiki zachrzęściły, kiedy klakier, Jax, przechylił głowę. Soczewki obróciły się ze świstem. Visser poznał, że zanim mechaniczny znowu się odezwał, uruchomiło się u niego fabrycznie implementowane geas niższego stopnia.

– Nie wygląda pan najlepiej. Czy mam wezwać medyka?

Visser zbył go lekceważącym machnięciem ręki.

– Obawiam się, że nie napisałem tego listu. Byłem zajęty.

Nieregularne chrobotanie Jaxa stało się jeszcze szybsze i głośniejsze. Pastor mógłby przysiąc, że klakier lekko się przygarbił. Znowu poczuł ukłucie w sercu. Gdyby stał przed nim człowiek, położyłby mu dłoń na ramieniu, lecz mechaniczny cały się trząsnął i taki gest mógłby być niebezpieczny.

– Raz jeszcze najmocniej przepraszam, ale moje obecne geas nie pozwalają mi na powrót do państwa bez listu polecającego. Rodzina płynie w przyszłym miesiącu do Nowego Amsterdamu i przed podróżą muszą zostać dopełnione rozmaite formalności.

Cóż, skoro potrzebował pomocy, akceptując swoje męczeństwo – oto nadeszła. Napisanie listu zajmie mu chwilę, co da nakręcaczom czas, aby tu wparować i go zabrać. A jeśli jego wola osłabnie i jednak spróbuje się zabić, obecny tu sługa powinien mu w tym przeszkodzić.

Z pewnością zrobiłby to, gdyby uznał, że pastor stanowi zagrożenie dla samego siebie. Visser mógł nawet wyobrazić sobie scenariusz, w którym Jax wyrywa z zawiasów drzwi do zakrystii i udziela mu niechcianej pierwszej pomocy. Klakier w przypadku zagrożenia życia potrafił zmusić człowieka do opróżnienia żołądka. Pozwoliłaby mu na to chłodna kalkulacja zasad poddańczych, gdyż ewentualne

uszkodzenie ciała podczas resuscytacji nie będzie miało znaczenia, jeśli dzięki temu maszyna przyczyni się społeczeństwu i zatroszczy o długowieczność pastora. Obojętne, co zrobi, i tak ostatecznie wpadnie w łapy horologów.

„Niech będzie pochwalona Twoja mądrość, Panie. Podążę ścieżką, którą dla mnie wybrałeś”.

– Przypomnij mi – powiedział – komu mam wystawić ten list?

Zmagając się z drzeniem swojego mechanicznego ciała, Jax odparł:

– Jak mniema mój pan, jesteś, panie, zaznajomiony z ministrem generalnym Nowego Amsterdamu, i czuje, że twoja wyjątkowa osobista atencja, jaką obdarzasz życie duchowe całej rodziny, pomoże jej osiąść w Nowym Świecie. – Przerwał i znowu przekrzywił głowę. – Czy powiedziałem coś niestosownego, panie? Wyglądasz na nieco zdenerwowanego.

Nowy Amsterdam! Visser powstrzymał się przed ponownym skierowaniem oczu ku niebu.

„Czy to naprawdę to, na co wygląda, Panie?”.

Cudowne wybawienie! A pomyśleć, że Visser w chwili słabości niemal wszystko zrujnował. Kilka minut wystarczyło, aby po jego dojmującym smutku pozostały tylko zawroty głowy. Tak Bóg nagradzał swoich wiernych. Pastor nareszcie ujrzał wiodącą naprzód ścieżkę, zobaczył pożądaną kulminację doczesnej pracy i możliwość dotarcia do kresu duchowej podróży.

Uśmiechnął się. Będzie dobrze.

– Napiszę ten list. Zaczekaj tu.

Klakier uklonił mu się.

– Oczywiście, panie. Dziękuję, panie.

Visser zamknął za sobą drzwi zakrystii i postawił na sekretarzyku wyciągnięty z ukrytej armarii mikroskop. Skórzana tuba zaczęła turlać się po blacie. Zastawił ją onyksowym przyciskiem do papieru, żeby nie spadła na ziemię. Usiadł z piórem wiecznym w dłoni i stukając zatyczką o zęby, przejrzał ostatnią korespondencję ze starym znajomym, który opiekował się obecnie klerem w Nowym Amsterdamie. Na czystej, ozdobionej nagłówkiem papeterii napisał:

15 września 1926 roku

*Do czcigodnego wielebnego, ministra generalnego Langbroeka:
Mój drogi Coenraadzie,*

pozdrawiam Cię serdecznie z Hagi. Odpowiadając na Twój list z zeszłego miesiąca: rozmawiałem z M.G. Hendriksem, który zaaranżuje dodatkowy transport do Nowego Amsterdamu. Kilkaset galonów niepoświęconej oliwy wypłynie do Ciebie jeszcze przed pierwszym dniem miesiąca. Czy dysponujesz

może jakimiś informacjami na temat zawieszenia broni? Modlimy się, aby oznaczało ono koniec z zaburzaniem twojej posługi kapłańskiej. A teraz inna, przyjemniejsza sprawa. Pokornie powierzam pod Twoją opiekę szacowną i majątną rodzinę Schoonraadów, cieszący się dobrą opinią, poważany klan z Hagi. Schoonraadowie od dawna są oddanymi i niezłomnymi członkami naszej kongregacji. Będę zobowiązany, jeśli uznasz, że warto powitać ich w Nowym Amsterdamie osobiście. Szalejąca korupcja i defraudacja pieniędzy przez koncern bankowy van Althuisa i późniejsze kłopoty Centralnego Banku Nowego Amsterdamu, które niemal doprowadziły go do upadku – na pewno jesteś zaznajomiony z tym skandalem – były dla Mosiężnego Tronu nie lada utrapieniem. Pieter Schoonraad otrzymał bardzo trudne zadanie ponownego uczynienia Nowego Świata stabilnym centrum finansowym, co w pewnym sensie czyni go reprezentantem królowej Margreet. Okazana jego rodzinie dobroć naturalnie nie pozostanie bez wpływu na duchowe przewodnictwo Nowego Amsterdamu. Pieter Schoonraad to bystry, metodyczny człowiek i myślę, że nadaje się do wykonania zadania, które mu powierzono. Tak czy inaczej podróż przez ocean prowadząca na nieznaną brzegi będzie dla niego i jego rodziny zarówno przygodą, jak i próbą. A w takich chwilach solidne duchowe oparcie jest niczym balsam. Wyjazd Schoonraadów będzie bolesnym ciosem dla tutejszej społeczności i dlatego przyniosłaby mi ogromne pocieszenie pewność, że trafią pod Twoją egidę.

Daj mi, proszę, znać, kiedy dotrze do Ciebie olejek.

Twój jak zawsze pokorny przyjaciel
pastor Luuk Visser

Złożył list, schował do koperty i zapieczętował, po czym napisał na niej: „Pastor Coenraad Langbroek, minister generalny Nowego Amsterdamu”. Kiedy kończył, usłyszał kroki jakiejś osoby idącej przez kościół. Poruszała się lżej i ciszej niż Jax. Człowiek. Horolodzy? Nagle aż się skrzywił, słysząc przeraźliwy, ponaglący pisk dziecka. Nie, nowy gość to nie żaden zegarmistrz ani jeden z ich mechanicznych drani, tylko ktoś jeszcze gorszy: Nicolet, najmłodsza Schoonraadka. Pastor, przygotowany na najgorsze, wziął do ręki list i mikroskop i opuścił zakrystię. Kościół zalatywał smarem i nagrzanym metalem. Domniemana spadkobierczyni fortuny Schoonraadów miała na sobie sukienkę z cynobrowej satyny i wstążki w tym samym kolorze wplecione w złote pukle. Podparta pod boki, łypała na człowieka napędzanego mechanizmem zegarowym.

Pomiędzy rzędami ławek stała jej ludzka guwernantka, której imię Visser ledwie zapamiętał, Kathryn jakaś tam. Na jej twarzy malowało się skrajne zmęczenie lub rezygnacja, nie znał jej na tyle, żeby stwierdzić z całą pewnością.

Na dygnięcie opiekunki odpowiedział skinieniem głowy. Pewnie szły z egzekucji na Binnenhofie.

– Jax – powiedziała dziewczyna – masz mnie zanieść.

– Oczywiście, panienko. Zrobię, czego wymagasz, jak tylko wykonam polecenie twojego ojca.

Ona jednak potrzęsnęła głową z taką energią, że jej pukle niemalże poderwały się do lotu.

– Nie. Jalyksegethistroventusie, żądam, abyś mnie natychmiast podniósł.

Mówiąc to, tupnęła trzewikiem z czerwonej skóry w twardej marmur, co w oczach wielu dzieci było ostatecznym znakiem interpunkcyjnym. Jax wyrwał przed siebie niczym waleń trafiony harpunem przez wielorybników. Rozległy się chrupot zębatek i dźwięk naciągania sprężyny napędowej, na tyle donośnie, że aż zadrżały szyby okienne.

Visser westchnął. Cóż za nikczemna mała gówniara. Akceptacja męczeństwa dała mu chociaż tyle, że mógł mówić to, co zawsze chciał powiedzieć. Być może jego ostatnim czynem jako wolnego człowieka będzie nauczanie tej dziewczynki odrobiny ludzkiej przyzwoitości.

– Dobry wieczór, panienko Schoonraad – powiedział. – Czyżby jakiś problem?

– Jax się popsuł – odparła. – Nie chce robić tego, co mu każę.

Na Boga. Czy Nicolet naprawdę nie rozumiała hierarchii metageas? Czy może po prostu lubowała się w okrucieństwie?

„Chciałem ulżyć cierpiącemu biedakowi, a teraz udzielam lekcji na temat relacji pomiędzy ludźmi a klakierami bogatej, rozpuszczonej dziewczynce, która dorasta otoczona mechanicznymi”.

Przysiadł na najbliższej ławie. Położył obok siebie mikroskop i przybrał zamyślony, melancholijny wyraz twarzy. Tuba potoczyła się do oparcia ławy, a pastor sposepniał i podrapał się po brodzie.

– Ojej – powiedział. – Bo sęk w tym, że to...

Zreflektował się. Lata życia w Imperium, dopasowywania się, nauczyły go używać pogardliwego zaimka. Była to semantyczna sztuczka, która pomagała pielęgnować pewne zwyczaje, obedrzeć mechanicznych z tożsamości, pozbawić godności, odebrać cechy personalne, które mogłyby zaszkodzić pożądanej służalczości. Ale jego już to nie obchodziło.

– Skoro on nie wypełnia twoich poleceń, to znaczy, że jest popsuty. O to chodzi?

Kathryn się skrzywiła, ale Nicolet tego nie dostrzegła.

– Tak! – odpowiedziała.

Skonfliktowane ze sobą imperatywy wydanych przez Schoonraadów poleceń – okrutnie pokreślone obcesowym przywołaniem prawdziwego imienia klakiera –

nie generowały prawdziwego paradoksu dzięki hierarchii metageas implementowanej każdemu mechanicznemu słudze.

Tak czy inaczej żądanie dziewczynki zwiększyło i tak już ogromną presję, która ciążyła na Jaxie i z którą ledwie dawał sobie radę. Oficjalnie należał do Tronu, dlatego życzenia królowej albo jej bezpośrednich przedstawicieli zawsze miały priorytet. Następnie, na mocy dziewięćdziesięciodziewięcioletniego wypożyczenia, zobowiązany był do posłuszeństwa swojemu tymczasowemu panu, którym prawdopodobnie był Pieter Schoonraad. Kolejne miejsca na liście zajmowali pozostali członkowie rodziny, począwszy od najstarszych. Następnie klakier, jak każdy, był zobowiązany służyć ludziom i ludzkości, co Visser miał zamiar wykorzystać.

Ale najpierw musiał powstrzymać tego rozwydrzonego bachora przed doprowadzeniem swojej zabawki do takich konwulsji, że gotowa się rozsypać po całym kościele. Jax trząsł się tak intensywnie, że wydawał się niemal przezroczysty, jego zarys był rozmyty. Potrzeba wykonania rozkazu młodej panienki płonęła jasno w jego oczach. Lecz póki Visser nie umieści listu w rękach służącego, rozkazy starszego Schoonraada nadal będą powstrzymywać Jaxa przed opuszczeniem tego miejsca. Kakofonia, jaką wydawało jego metalowe ciało, brzmiała niczym wóz pełen złomu pędzący z niekończących się schodów królewskiego Pałacu Letniego. Stopy klakiera szurały po marmurowej posadzce. Guwernantka skrzywiła się, rozdrażniona hałasem. Visser napotkał jej spojrzenie, ale kobieta przewróciła oczami i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Co ja mogę zrobić? Młodość rządzi się swoimi prawami”.

Brak serca nie był jedynie domeną bogaczy.

Pastor podszedł do klakiera z listem w dłoni. Oczy mechanicznego zafiksowały się na kopercie, jedynej rzeczy, która mogła go wybawić z uścisku niewypełnionych geas. Lecz przez cały ten czas, kiedy tak drżał, patrzył przed siebie z obojętnym wyrazem charakterystycznym dla wszystkich służących. Niezmienne twarze klakierów produkowane były masowo, wytapiane z alchemicznego stopu gdzieś w Wielkiej Kuźni. Już bardzo wcześnie Huygens lub jego spadkobiercy zrozumieli, że dopracowanie tej technologii wymaga uwzględnienia ludzkiej psychologii. Dlatego też fizjonomia klakiera-służącego stanowiła przedmiot ostrożnych i uważnych prac, aby jego twarz nie zdradzała ani śladu niezależnego procesu myślowego zachodzącego w metalowej czaszce. Był to kolejny krok mający na celu odebranie osobowości mechanicznym, odczłowieczenie ich. Ale niegdyś, na samym początku klakierzy nosili zindywidualizowane, malowane maski zakrywające skomplikowany mechanizm kryjący się za szkieletową powierzchnią. Miejscowi artyści wymyślili wzory i istniał nawet spory popyt na stare maski, szczególnie w Delft. Taka z Verelst

mogła pójść za parę ładnych guldenów. Visser widział niegdyś kilka takich w muzeum w Delft.

Zastanawiał się, zresztą całkiem często, co się działo za tym całunem bierności. Co Jax myślał o Nicolet, tak w głębi prywatnych rejonów swojego spętanego serca? Czy faktycznie była mu kompletnie obojętna? Może nią gardził? Albo ją kochał? Pastor nie musiał jednak odczytywać jego mimiki, aby stwierdzić, jak bardzo jest nieszczęśliwy i jakie cierpi katusze. Nie zwlekając już dłużej, podał mechanicznemu list.

Brzęki i szczęki wydawane przez roztrzęsione ciało Jaxa ustały, kiedy tylko jego palce zacisnęły się na kopercie. Hałas wydzielany z powodu przeciążenia ucichł i zastąpiło go zwyczajne tykanie charakterystyczne dla klakiera.

Jax przestał nerwowo szurać nogami po marmurowej podłodze, po kościele nie roznosiło się już echo, choć w powietrzu nadal wisiał swąd nagrzanego metalu.

– Proszę, oto list polecający.

Klakier pokłonił się raz jeszcze.

– Dziękuję w imieniu swojego pana.

Jax się odwrócił, chcąc posadzić sobie Nicolet na ramionach, ale zanim to zrobił, odezwał się Visser:

– Panienko Schoonraad? Chciałbym się dowiedzieć jeszcze czegoś o popsutym słudze, jeśli można.

– Zepsuł się. Nie podniósł mnie, kiedy mu kazałam.

– Poważny problem. Ale wie panienka, nie tak łatwo naprawić uszkodzonego klakiera. Może nawet będzie trzeba go przewieźć do budynku Gildii, a horolodzy rozbiorą go, żeby znaleźć problem. A ty i twoi rodzice do tej pory zdążycie już odpłynąć. Tata musiałby pewnie nająć kolejnego klakiera na miejsce Jaxa. Podobno trochę to trwa w Nowym Świecie. Jejku. Mogą minąć nawet i miesiące.

– Ale ja nie chce nikogo innego. Chcę Jaxa.

– Cóż, to może spróbujemy zawęzić problem? Jeśli uda nam się powiedzieć horologom, co dolega Jaxowi, szybciej będą mogli go naprawić.

Visser kątem oka zerknął na Kathryn. Guwernantka przygryzała wargę i patrzyła na niego z nietęgą miną. Była wyraźnie niespokojna albo zmieszana tym doborem słów. Nicolet oczywiście niczego nie zauważyła, skupiona na afroncie, bo nie dostała tego, co chciała.

– Jest zepsuty, bo się nie słucha – położyła nacisk na ostatnie słowo i ułożyła usta w dzióbek, jakby zasysała watę cukrową; spojrzała na Vissera z szeroko otwartymi oczyma. – A czy pan wie, co robią nieposłusznym klakierom? Ja widziałam. Topią ich!

– Tak, wiem. Niech no o coś panienkę zapytam. Czemu Jax tutaj jest?

Nicolet majstrowała coś przy włosach, udając, że zaplątała się w nie srebrna

wsuwka. Gdy guwernantka doskoczyła do niej, żeby poprawić wstążeczki, dziewczyna wymamrotała:

– Mój ojciec go tu przysłał.

– Czyli jest mu posłuszny.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami. – Au, nie tak mocno.

– A co, jeśli polecenie, jakie mu wydano, nie zostało jeszcze wykonane, kiedy kazałaś Jaxowi się podnieść? Może czekał na to? – zapytał pastor, wskazując na trzymaną przez klakiera kopertę.

Odwróciła wzrok i wyszeptała:

– Nie mógłby wtedy odejść.

– Ale nałożyłaś na Jaxa kolejne geas. Takie, których nie mógł dopełnić. Nalegałaś i rozrywało go to od środka.

Kathryn chrząknęła.

– Czy pastor nie miał na myśli, że coś rozrywało... „to” od środka? – Lojalna guwernantka spojrzała na swoją podopieczną, chcąc chronić ją przed podobnymi bezecenstwami.

Lecz Visser, który utwierdził się w przekonaniu, że chce się poświęcić ścieżce męczeństwa, mógł sobie pozwolić na odrobinę herezji.

– Myślę, że dla dobra tej lekcji możemy przyjąć, że Jax jest osobą.

Nawet mała Nicolet się oburzyła.

– Tykający ludzie to nie ludzie, tylko głupie maszyny. Każdy to wie.

– Ale wyobraźmy sobie, że Jax może czuć to, co ludzie.

Kathryn położyła dłonie na ramionach Nicolet.

– Na pewno jest pastor zajęty. Chyba powinniśmy już iść.

– Nonsens – odparł. – Szerzenie chrześcijańskich wartości jest częścią i podstawą mojej doczesnej posługi kapłańskiej. Tak jak pielęgnowanie odpowiednich zasad moralnych mojej młodej trzódki.

Guwernantka wydawała się skrajnie niezadowolona, mimo to nie wyprowadziła podopiecznej z Nieuwe Kerk. Pastor podrapał się po brodzie. Musiał posłać mikroskop przed nadejściem nakręcaczy, ale pocieszał się myślą, że Pan zadba, aby udało mu się to zrobić, i może poświęcić chwilę, aby pomówić o empatii. Zmiana nastawienia wobec mechanicznych to prawdziwa transformacja pokoleniowa. Należy zacząć od najmłodszych.

– Jak się panienka czuje, kiedy mama się na nią gniewa?

Dziewczynka wymamrotała coś, czego nie usłyszał. Guwernantka złązała dziecko:

– Niech panienka odpowie.

– Jestem wtedy zła. Smutno mi.

– A kiedy i matka, i ojciec się gniewają?

– Jeszcze gorzej.

– A czy zdarza się panience płakać?

– Nie.

Kathryn uderzyła językiem o podniebienie.

– Kłamstwo damom nie przystoi.

Nicolet się spłoniła.

– Czasem.

– Podejrzewam, że Jax czuł się podobnie, kiedy nałożyłaś na niego kolejne geas. Pewnie jakbyś karała go i ty, i twój ojciec.

– Ojej – odparła.

Cóż, przynajmniej spróbował.

– Rozumiem, że nie możesz się doczekać swojej przejażdżki, ale zastanawiałem się, czy nie mógłbym chwilę z Jaxem porozmawiać.

Nicolet skubała swój złoty pukiel. Znudzona i wyniosła niczym sama królowa, rzekła:

– Jalyksegethistrovantusie, uwalniam cię od obowiązku.

A teraz najtrudniejsza część. Nie dość, że już ryzykowne było samo nakłonienie Schoonraadowego klakiera do wykonania brudnej roboty, to jeszcze musiał to zrobić na oczach Nicolet i jej guwernantki. I musiało to jednak brzmieć cokolwiek niewinnie. Historyjka, jaką miał zamiar im sprzedać, musiała być nieskazitelna i poza wszelkimi podejrzeniami. Bo jeśli nakręcacze go przyłapią i prześwietlą jego ostatnie kontakty, ta niecodzienna prośba na pewno wyjdzie na jaw i agenci przechwycą Jaxa. Być może nie powinien był tak szarżować przy guwernantce.

Wywijał tubą z mikroskopem, starając się trzymać ją poza zasięgiem lepkich rąk dziewczynki, które ta wystawiała chciwie, chcąc złapać urządzenie. Cóż to byłaby za tragedia, gdyby stracił taką okazję. Nawet jeśli oznaczało to nałożenie na tę biedną istotę kolejnych geas, i to długoterminowych. Guwernantka wydawała się oburzona:

– Nicolet!

Dziewczynka się zreflektowała i opuściła rękę.

– Przepraszam. Ale co to jest? – zapytała; nawet Kathryn wydawała się zainteresowana. – Teleskop?

Skórzana tuba miała niegdyś kolor mahoni, ale zdążyła już wyschnąć i nawet gdzieniegdzie popękać. Przyrząd miał jakieś trzydzieści centymetrów długości i pięć średnicy. Na obu końcach tuby znajdowały się zmatowiałe mosiężne pierścienie utrzymujące kulę z matowego szkła. Trzecia obręcz okalała środek tuby. Niegdyś można było ustawić odległość pomiędzy soczewkami, obracając pierścienie w przeciwne strony. Ale ten środkowy tkwił od dawna nieruchomo.

Poza tym ustrojstwo lekko załatywało amoniakiem.

– O, była panienka blisko. To mikroskop. Nabyłem go kiedyś w Leiden jako interesującą ciekawostkę. Jest bardzo stary.

Nicolet wyrecytowała szkolną formułkę, jak tylko potrafią to przedwcześnie rozwinięte, ale niedojrzałe dzieci z zamożnych rodzin:

– Mikroskop wynalazł van Leeuwenhoek. Każdy to wie.

Jej wykształcenie, tak jak innych dzieci, obejmowało rozległą wiedzę o historycznych korzeniach Imperium, na których poznanie kładziono nacisk.

Klakierzy byli co prawda szczytem osiągnięć technicznych, ale siedemnastowieczne Niderlandy mogły się pochwalić miriadami naukowych i artystycznych innowacji. Choć rzecz jasna historia, której uczono dzieci, była nadmiernie uproszczona, rozcieńczona, niemal alternatywna.

– Tak, lecz jego mikroskopy w porównaniu z tym były dość proste. Ten jest złożony – powiedział pastor, pokazując na końcu tuby. – Czyli ma więcej niż jedną soczewkę.

– Chcę zobaczyć! – zażądała.

Visser przygryzł wargę. Nie mógł jej odmówić. Nie, jeśli chciał ciągnąć tę szaradę. Guwernantka znowu upomniała swoją podopieczną:

– Nicolet...!

– Nie, nic się nie stało. Oczywiście, że może zobaczyć.

Pastor podał dziewczynce tubę ze świadomością, że być może – dosłownie – powierza przyszłość Nowej Francji w nieodpowiednie ręce.

Nicolet szukała czegoś, co mogłaby obejrzeć pod mikroskopem. Spojrzała na rysy na marmurowej posadzce kościoła, które zostawiły metalowe stopy Jaxa, i przyklękała. Zasłoniła dłonią jedno oko i zacisnęła rękę na tubie.

Visser odsunął się na bok, żeby nie zasłaniać jej światła. Pochyliła głowę i to przysuwała się, to odsuwała od okularu, próbując uzyskać jak najlepszą odległość. Sfrustrowana, obróciła gwałtownie mikroskop – pastor aż się skrzywił – i spróbowała raz jeszcze, tym razem patrząc z drugiej strony. Zasmuciła się. Po paru minutach eksperymentowania nareszcie się poddała, podniosła mikroskop i rozejrzała się po kościele.

– Nic nie widzę – powiedziała. – Zepsuty.

Wykonała pogardliwy gest, niemalże rzucając urządzenie pastorowi. Za uchem Vissera zebrała się chłodna kropla potu.

– Tak. Obawiam się, że nie dbałem o niego zbyt dobrze, ale jak mówiłem, jest dość stary. Może nawet starszy – dodał – niż najstarsi klakierzy.

Kathryn mrugnęła. Nawet Nicolet ucichła.

– Lecz nie ma ich trwałości, jak zresztą panienka zauważyła, i obawiam się, że nie nadaje się już do niczego. Dzisiaj korzystamy ze szkła znacznie lepszej jakości

i trudno orzec, jak długo leżał nieużywany. Na pewno jego lata świetności dawno minęły, bo skóra przez długi czas nie była oliwiona. Niegdyś może i był technologicznym cudem, ale teraz to starość. Ale – kontynuował, machając mikroskopem przed oczami dziewczynki – to prawdziwy historyczny artefakt, nie uważasz?

Nicolet wzruszyła ramionami.

– No, jest stary.

Visser zwracał się ciągle do całej trójki: dziewczyny, jej guwernantki i mechanicznego człowieka. Jednak nie licząc zwyczajowego tykania – które stanowiło swoisty dźwięk tła całego Imperium – podczas gdy kontynuował swoją prezentację, Jax milczał, wydawał się zupełnie niezainteresowany mikroskopem. Czy klakier wyczuł coś niezwykłego? Czy jego alchemiczne mechanizmy były uczulone na obecność zakazanej technologii? Jeśli tak, inne metageas zmuszą go do zatrzymania i wydania Vissera. Dopadną go prędzej czy później. Lecz Pan nie pozwoli na to, zanim jego sługa nie wypełni swojego obowiązku względem Stolicy Apostolskiej.

– Ano jest – odparł pastor. – Mam znajomego, który prowadzi, a może raczej prowadził niewielkie muzeum w Nowym Amsterdamie. Miał spore ambicje... szczerze mówiąc, porywał się z motyką na słońce. Tak czy inaczej była to inicjatywa godna podziwu. Jego zamiarem było przedstawienie Nowemu Światu narodzin Imperium. – Chmury za wysokimi oknami zaczęły się przeredzać i słońce odbijało się od niewielkich kryształków, które osiadły w fałdach stuły; pastor strząsnął je, jakby były ledwie przypadkowymi kłaczkami. – Niestety, podczas wojny był zmuszony zamknąć swoje muzeum i sprzedać część kolekcji. Teraz jednak, kiedy konflikt ma się ku końcowi, zamierza ją odbudować i ponownie otworzyć muzeum. Myślę, że ten mikroskop będzie znamienitym eksponatem. Bo, jak wiecie, nasi kuzyni zza Atlantyku nie są tak zakochani w zdobyczach Imperium jak my.

– Będziemy mieli jeden z największych domów w całym Nowym Amsterdamie. Tak mówi mama.

Visser zachował spokojny i opanowany ton:

– Z pewnością. Szkoda, że nie będę mógł go zobaczyć, ale obawiam się, że czas tak długich podróży minął już dla mnie bezpowrotnie. Zastanawiam się, czy mógłbym poprosić twoją maszynę o zrobienie czegoś na moją prośbę.

Kathryn zacisnęła usta. Zadawanie podobnych pytań nie należało do dobrego tonu. Powinno się je zresztą zadać panu Jaxa, osobie, która podpisała umowę najmu. Ale to formalność. Jax wytłumaczy wszystko Schoonraadom, a Nicolet zachowywała się jak wierna imitacja królowej. Machnęła pogardliwie swoją drobną rączką. Pastor zwrócił się do Jaxa:

– Mój znajomy nazywa się Frederik Ahlers – nie było to imię, które dano mu na chrzcie, tego nie znał i podejrzewał, że nawet Talleyrand nie dysponuje podobną wiedzą, lecz pod takim działał i służył sprawie ondergrondse grachten, podziemnych tuneli. – Ma piekarnię przy Bleecker Street w Nowym Amsterdamie – mówił dalej, podnosząc mikroskop i nań wskazując – i prosiłbym cię, abyś mu to zaniósł. Powiedz, że pastor Luuk Visser z haskiego Nieuwe Kerk przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia. Zrozumiałeś?

– Tak – odparł Jax.

– Powtórz, proszę, co ci powiedziałem.

– Po przybyciu do Nowego Amsterdamu mam zanieść mikroskop panu Frederikowi Ahlersowi, który prowadzi piekarnię przy Bleecker Street. Powiem mu, że przesyła go pastor Luuk Visser. Czy tak, proszę pana?

– Dokładnie – odparł duchowny; stawy w knykciach Jaxa skrzypnęły, kiedy wyciągnął swoje mechaniczne palce i otworzył dłoń, żeby odebrać teleskop. – Lecz obchodź się z nim niezwykle ostrożnie, to rzadki i niezastąpiony antyk.

– Oczywiście, proszę pana. Będę uważał, proszę pana.

Klakier odebrał skórzaną tubę tak ostrożnie, jak tylko zdołał; równie dobrze mógłby brać na ręce wyjęte z klatki pisklę podczas Wielkanocy. Dreszczyk ulgi przemieszanej z obawą przebiegł Visserowi między łopatkami.

Pastor zwrócił się raz jeszcze do Nicolet Schoonraad:

– Dziękuję tobie i twojej rodzinie za okazaną mi szczodrość, panienko.

– Zanieś mnie do domu, Jax – powiedziała dziewczynka.

– Oczywiście, panienko.

Stawy skokowy, kolankowy i biodrowy klakiera zgięły się na tyle nisko, że dziewczyna łatwo mogła się wdrapać na jego ramiona, chwytając za twarz i wciskając czuby swoich bucików z czerwonej skóry pomiędzy elementy metalowej klatki, gdzie ukryto mechanizm. Gdy usadowiła się na barkach Jaxa, ten powstał. Visser zastanawiał się, jak to jest jechać na klakierze i czy odwrócone kolana zapewniają maszynom jakąś szczególną lekkość chodu. Jax skierował się do wyjścia z zamiarem opuszczenia kościoła, lecz guwernantka spojrzała wymownie na kołyszącą się na ramionach mechanicznego dziewczynkę:

– Nicolet, podziękuj pastorowi Visserowi za jego czas. Dama zawsze musi być uprzejma.

– Dziękuję, pastorze.

– Nie ma za co, panienko Schoonraad – powiedział Visser i skinął uprzejmie głową, zwracając się do Kathryn. – I miłego dnia dla pani.

Kobieta dygnęła w odpowiedzi, ale był to gest powierzchowny i niedbały. Lub biorąc pod uwagę wyraz jej oczu, nieszczerzy.

Zamożna dziewczynka pojechała na maszerującym mechanicznym przez kałuże

i słoneczne plamy wczesnego jesiennego popołudnia.

Zanim Visser pozwolił sobie na tłumione od dawna westchnięcie, odczekał, aż Kathryn zatrzaśnie za sobą drzwi. Kolana mu zmiękły, jakby zmieniły się w gorący wosk. Oparł się o ławę. Zimna kropla potu spłynęła mu z kępki włosów do małżowiny ucha. Jego serce nie mogło się zdecydować, czy powinno zwolnić, ciesząc się chwilową ulgą, czy nadal walić jak młotem, dopóki po niego nie przyjdą.

Zrobił, co mógł. Jeśli dopisze im niesamowite szczęście, jego paczka faktycznie może dotrzeć do Ahlersa, a potem trafić do rąk Talleyranda. Jego zadaniem jest już tylko zostać pojmanym.

Poszedł z powrotem do zakrystii, gdzie w szafie znalazł świeżo zdechłą mysz. Leżała na boku pośród rozrzuconej trutki – przypadkowa ofiara kryzysu wiary.

Zastanawiał się, czy będzie miał czas pochować biedne stworzenie, zanim przyjdą nakręcacze.

ROZDZIAŁ 3

Jezu, kurwa, Chryste!

Berenice Charlotte de Mornay-Périgord, wicehrabina de Laval, zgmiotła liścik, który właśnie przeleciała wzrokiem. Przybrudzony po przebytej drodze papier zachrząścił w jej dłoni. Notka została starannie ukryta w paczce z cukrem wysłanej z holenderskich Indii, przyklejono ją na wosk do wewnętrznej części papierowej torby, jednak karawanę dostawczą z Montpellier nawiedził deszcz i zanim transport dotarł pod mury Zachodniej Marsylii, wszystko doszczętnie przemokło. Dlatego też nawet czytanie złych wieści z Europy przez cieniutką powłokę z cukru nie przepędziło cierpkiego posmaku z ust wicehrabiny. Cisnęła pomietą kartką przez pokój. Papierowa kulka odbiła się od kryształowej wazy – prawdziwy antyk, należała do jej praszczura, wykonana została w Paryżu jeszcze przed Wygnaniem – i poleciała ku świecy. Mąż wicehrabiny zeskoczył ze swojego szeslongu zwinnie jak kot i jeszcze w locie zbił pognieciony liścik, nim ten zajął się ogniem. Kulka spadła na ziemię, a mężczyzna poprawił wazę.

– Dobre wieści, jak mniemam.

– O tak. Kurwa, fantastyczne.

Markiz de Lionne i jego dupowłazy z Tajnej Rady Królewskiej łykną to jak młode pelikany. Już sobie wyobrażała, że przekazuje treść listu królowi: potrójny podbródek Lionne'a zatrzęsie się jak lawina tłuszczu, a usta wykrzywią się w kwaśnym grymasie, poźółkły od potu jedwabny żabot napnie się na królewskiej gardzieli i wyszepcze truciznę prosto do monarszego ucha. „Stało się to, czego się obawiałem, Wasza Wysokość. Straciła kontrolę. Może czas na nowego Talleyranda...”. Zawartość tej notatki wywróci do góry nogami całą dyskusję podczas zebrania Rady i wicehrabinie będzie jeszcze trudniej przedstawić swoją sprawę królowi.

– Gówno z dupy – westchnęła.

Louis, mrużąc oczy, spojrział na swoje odbicie w posrebrzanej tafli lustra wiszącego obok jego szafy. Poprawił perukę i rzekł:

– Może zbyt szybko się pośpieszyłem. Jeśli chciałabyś spróbować raz jeszcze, nie będę już cię powstrzymywał przed podpaleniem pałacu.

– Mądrała.

– Sekutnica.

Zlizała cukier z lepkich palców, podziwiając sylwetkę męża, kiedy pochylił się, żeby podnieść papierową kulkę z podłogi. Rzucane przez świecę światło lśniło na wypolerowanych klamrach przy obcasach i gładkiej satynie płaszcza. Pod jednym

z kolan Louisowi rozwiązała się tasiemka, ale bryczesy nadal eksponowały ładnie wyrzeźbione łydki.

Założył miętową zieleń i fioletowe wstążki. Jej suknia z kolei miała kolor połyskującej miedzi poprzecinanej cytrynową żółcią. Gdy staną obok siebie na królewskim dywanie, pokaz ten jak nic oślepi niczego się niespodziewających dworzan. Taki był skutek uboczny francuskiej dumy z mistrzostwa osiągniętego w chemicznym farbowaniu tkanin.

Zresztą wydawało się, że Francuzom nie pozostało już ich znowu tak wiele. Żyjąc w stanie ciągłego mentalnego oblężenia, kuląc się ze strachu przed nieustraszonym przeciwnikiem przez dwa ostatnie stulecia, stali się ludźmi zapatrzonymi w to, co już minione. Berenice nie mogła się doczekać dnia, kiedy jej rodacy wychyną zza wysokiego muru i zaczną patrzeć przed siebie. A także przestaną odziewać się jak dziadkowie ich dziadków.

Louis, przejeżdżając dłonią po podłodze, koniuszkami palców wzbijał kłęb kurzu. A może nie kurzu, a pospolitego brudu? Trzeba było zaakceptować podobne niedogodności, skoro człowiek świadomie skazał się na uzależnienie od zawodnych ludzkich służących. Berenice rozumiała, że i oni muszą spać przynajmniej kilka godzin na dobę, ale będzie musiała porozmawiać o tym z Maud. Toć nie mogło tak dłużej być. Królowa Margreet z pewnością nie zamartwiała się zaśniedziałymi lustrami i zakurzonymi deskami podłogowymi – Berenice postawiłaby na to wszystkie borsucze skóry na południowym zachodzie.

Louis rzucił kulkę pomiętego papieru do paleniska, zdjął świecę z kominka i podpalił liścik. Nie spytał żony, czy zapamiętała jego treść, ponieważ był tego pewien.

Jasnożółte płomienie polizały papier. Cukrowy osad złapał ogień i po paru sekundach blask bijący z kominka przyćmił pół tuzina syntetycznych spermacetowych świec oświetlających komnatę. Metale śladowe zawarte w tuszu zabarwiły języki płomieni na indygo i jadeitową zieleń. Niepożądane słowa przemieniły się w popiół, lecz złe wieści pozostały w mocy.

Katastrofa. Jednego dnia padło osiemdziesiąt procent haskiej siatki. Co za szambo. Kto tam został? Gdyby Berenice wierzyła w siłę wyższą, pomodliłaby się za Kolcowój, który przetrwał czystkę. Jeszcze udałoby się jakoś to wszystko odkręcić, gdyby nadal mieli kogoś w Gildii. Kolcowój z kolei, kimkolwiek on (czy ona) był, miał wartość trojga ludzi. Będzie musiała zweryfikować prawdziwość nadesłanej informacji przez źródła wtórne, ale to już formalność mająca na celu potwierdzenie jej autentyczności, był to bowiem temat omawiany w każdym porcie na wschodnim wybrzeżu, gdyż wieści o egzekucjach przesączały się już na drugi brzeg oceanu. Każdy – od uwalanego gównem chłopca stajennego po wyperfumowanego dworzanina – powtarzał ignoranckie plotki o na poły

mitycznym Talleyrandzie i jego legendarnej wtopie.

Wicehrabina podparła głowę dłonią.

– Wyruchaj mnie gwoździem z krzyża wyjętym.

Louis przeszedł przez pokój, jego obcasy stukały miarowo o polakierowane deski. Położył jej rękę na ramieniu.

– Och, kwiatuszku mój złoty, poznaję, żeś w szczególnie dobrym humorze, kiedy takie poezje układasz. Co mogę dla ciebie zrobić?

Odetchnęła. Szarpnęła za zapięcie jej perłowego naszyjnika, aby ucałować ją w kark. Miękki dotyk jego ust sprawił, że po plecach przeszedł jej dreszcz. Głęboko wciągnęła powietrze.

– Możesz zrobić o wiele więcej – powiedziała.

I zrobił. Jej powieki zatrzepotały i przymknęły się delikatnie niczym motyle szukające miejsca, żeby przycupnąć na smaganych przez wiatr kłosach pszenicy. Oddychała coraz szybciej i płycej, a kiedy Louis uporał się z zapięciem, nawleczone na łańcuszek imitacje pereł opadły jej na stan sukni. Jego usta zjechały niżej, z karku pomiędzy łopatki. Odchyliła głowę do tyłu i spod przymkniętych powiek, przez gęste rzęsy spojrzała na wysoką świecę stojącą przy drzeworycie Hokusai. Momentalnie otworzyła oczy i licząc podziałki na świecy, usiadła.

– Niech szlag trafi ciebie i twoje usta – powiedziała. – Jak tak dalej pójdzie, to się spóźnię. No już, zostaw mnie, mścicielu.

Zrobił, jak chciała. Delektowała się jeszcze chwilę ostatnim głębokim oddechem, zanim stan sukni werznął jej się w żebra. Spojrzała na swoje odbicie. Z pomocą Maud udało jej się spiąć kok wysoko, w idiotycznie misterny sposób, który obecnie faworyzowały damy dworu. Musiały użyć tyłu szpilek, klamerek i pereł, że nie wiedziała, jak jej szyja wytrzyma taki ciężar.

Sięgnęła po wystający kosmyk i owinęła go sobie ciasno wokół palca, pozwalając mu potem zawisnąć kokieteryjnie tuż przy uchu. Dawało to wrażenie delikatnego zmierzwienia, jakby czesała się w pośpiechu. Następnie sprawdziła, czy pieprzyk jest na swoim miejscu, i poprawiła swój głęboki dekolt. Tymczasem Louis kończył nakładać makijaż. Nałożył nieco więcej koloru na usta, żeby uzupełnić to, co zostawił na jej karku.

– Co będziesz robił, kiedy utknę na spotkaniu Rady? – zapytała.

– Och, na pewno znajdę sobie coś do roboty. Zbałamucę jakąś hrabinę albo i trzy.

– Powinieneś – odparła, zakładając kolczyki. – Hrabina Montmorency od miesiąca posuwa twoją nogę. Zlituj się nad biedaczką.

Louis zrobił minę, jakby ugryzł plaster cytryny.

– Dobry Boże, kobieto. Nawet sobie tak nie żartuj. Nie gadałabyś tak, gdybyś

tylko się jej troszkę bliżej przyjrzała.

– Nie żartuję. Mówię poważnie. Mógłbyś się wykazać dobrą wolą i pozwolić się uwieść tej grubej kobyle. Zamknij oczy i pomyśl o upadłej Francji.

– Chyba raczej o tobie.

– Louis, miłości moja. – Wzięła jego twarz w dłonie, uważając, żeby nie rozmazać pudru na policzkach. – Tak to się robi. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Louis pokręcił głową.

– Kiedy za ciebie wychodziłem, złożyłem przysięgę. Próbuję jej dotrzymać.

Berenice przygryzła wargę. Ilu możliwych skusiła w ciągu tych osiemnastu miesięcy, odkąd Louis namówił ją, aby założyła obrączkę! Nigdy się nie żalił, ale... Musiał dostrzec pełen bóleści wyraz jej twarzy. Dotknął policzka żony.

– Ty to co innego, kochanie. Obowiązki wobec tronu tego wymagają.

– Cóż, twoje obowiązki wobec naszego małżeństwa również.

Louis wziął z szafy niewielką fiolkę i pokropił się za uszami pieprzową wodą kolońską. Berenice wskazała na buteleczkę z syntetyczną ambrą.

– Praktycznie połowa zapasu środków chemicznych całego królestwa pochodzi z należącego do jej męża holdingu paliwowego na północy. Są naszymi najlepszymi sojusznikami na dworze. Ale jeśli będziesz odrzucał jej zaloty, może wpaść w zły humor i zacząć dokuczać małżonkowi.

– Zawsze ma kiepski humor.

– Louis.

– Dobrze – westchnął. – Zrobię to dla ciebie.

Pocałowała go.

– Dziękuję. Tylko się nie zakochaj w tej parszywej suce, bo ci kutasa obetnę.

– Zaprawdę delikatny z ciebie kwiat, wiesz?

– Tak. Śpiewają o mnie piosenki wzdłuż całej St. Lawrence.

– Oczywiście. Chyba nawet słyszałem, jak strażnicy je nucą – powiedział Louis i nagle zaczął śpiewać, a ich apartamenty wypełnił jego miękki tenor: – Zakochałem się w Eskimosce, jej oczy są świecące, a serduszko gorące, lecz igloo ma tak zimne, jak i piz...

Uszczypnęła go w tyłek. Pisnął.

– Przestać się już bratać z tymi głupkami. Jesteś teraz wicehrabią, chlaj z równymi sobie.

Berenice odwróciła się do lustra raz jeszcze. Fałdy jej sukni zafalowały delikatnie na leciutkim szkielecie plastikowych żeber ukrytych pod stanem.

– Dobrze mi się z nimi gra w kości. Przynajmniej starają się ukryć, że oszukują.

– Jakże chwalebnie – powiedziała i dźgnęła męża łokciem. – A teraz mnie

odprowadź, ty sprośny draniu z nizin społecznych. Dzisiaj wieczorem, kiedy już uporasz się z tym wyjątkowo okropnym popołudniem, pozwolę ci pomóc mi o tym zapomnieć.

Louis wziął ją za ramię.

– Powiem hrabinie Montmorency, że jestem dostępny.

Król na wygnaniu mówił z ustami pełnymi lawendowego ciasta miodowego.

– Ilu zabili?

Berenice powstrzymała się przed westchnięciem.

– Czterech agentów, Wasza Wysokość – rzuciła i nie zważając na nerwowe mamrotanie Rady, dodała: – A jeśli raporty mówią prawdę, wykonali egzekucję także na klakierze.

Król wykaszlał cukier puder do wina.

– Mon Dieu! Jak go złapali? I gdzie?

Berenice pokręciła głową.

– Czekam na szczegóły, Wasza Wysokość.

– Co za szkoda – powiedział król.

Reynaud Galois, hrabia de Beauharnois i monarszy minister skarbu, uniósł kielich.

– Zgadza się, Wasza Wysokość. Śmierć buntownika oznacza tragiczną utratę pewnej szansy.

„A idź się wychędoż”, pomyślała Berenice.

Potrzebował zaledwie chwili, żeby przeanalizować, skąd wieje polityczny wiatr, i opuścić okręt pod jej banderą. Jedna wpadka i drań zwiął.

Nie mogła być jednak zaskoczona. Dzięki swojej siatce wiedziała, że minister skarbu czym prędzej porzucił akadyjską kochankę zaraz po tym, jak ją zapłodnił.

– Lecz pytanie brzmi – upił łyk wina lodowego – ilu agentów działających pod okiem naszej szpiegistrzyni nadal może coś ugrać w Niderlandach.

Każda para oczu zwróciła się w jej stronę. Połowa osób siedzących przy stole pokiwała głową, przyłączając się do zapytania ministra. Jego nowi sojusznicy wyczuli w wodzie juchę. Rekiny. Król uniósł dłoń, chcąc uciszyć szepty.

– Tak, to faktycznie problem. Wicehrabino?

Berenice splotła palce i spokojnie położyła dłonie na blacie stołu. Nadal lepiły się od cukru, lecz nieważne, brudne łapy to w tej robocie nie pierwszozna. Gorset pod suknią uciskał jej żebra, skrzypiąc, kiedy brała najgłębszy możliwy oddech, a potem gdy wypuszczała powietrze.

– Mamy agentów w całym Imperium – powiedziała.

– To bez znaczenia, czy wielki i budzący grozę Talleyrand zbiera informacje od pucybuta z Wysp Korzennych – stwierdził markiz de Lionne. – Ilu mamy w

Hadze? Nie licząc tych, którzy cierpią na ostry przypadek otarcia sznurem?

Minister skarbu prychnął, ubawiony żarciem markiza, podobnie marszałek generalny Maurice, hrabia du Turenne, chociaż on miał na tyle wyczucia, aby ukryć uśmiech za chusteczką.

Berenice nie pozwoliła, by zbiło ją to z tropu. Zwróciła się bezpośrednio do króla:

– Mieliśmy raczej rozległą siatkę. Jeśli wczesne raporty są wiarygodne i wykonano cztery egzekucje, nadal możemy mieć agenta na terenie Hagi. Nie mam jednak pewności, kim jest.

– Mieliśmy. Możemy. Nie mam pewności – mamrotał markiz.

Obecny król (w przeciwieństwie do swojego ojca) nie był skończonym kretyńcem. I choć objął tron jeszcze młodziej niż jego rodziciel, już przejawiał większą mądrość od poprzednika. Nie poszedł chociażby na blanki podczas oblężenia po to, żeby dostać kulkę prosto w oko od mechanicznego snajpera przyczajonego przy drzewie półtora kilometra dalej. Jeśli nie zmoże go hemofilia albo nie dopadną Holendrzy, młody władca zdoła trochę porządzić. Siwizna jeszcze nawet nie przyprószyła mu skroni. A jeśli Berenice wykona swoją pracę naprawdę dobrze, może któregoś dnia Sébastien III będzie tym, który nareszcie odzyska paryski tron. Taki był cel każdego Talleyranda. Tymczasem jednak na pewno nie pozwoli jej ot tak sobie odejść, jak pewnie zrobiłby to jego ojciec, niech go cholera jasna. A może nawet i szlag, bo był jedynym mężczyzną w sali, który pozostawał niewrażliwy na urok jej głębokiego dekoltu.

– Samotny, nie niepokojony agent w Hadze. Jak myślisz, jak długo on czy ona się tam utrzyma? Czy korzystając ze swojej fachowej oceny, myślisz, że Holendrzy nie wycisnęli z aresztowanych wszystkich informacji, zanim przetrącili im karki? Czy wierzysz, że tożsamość i lokalizacja kryjówki tej naszej sierotki nie jest nakręcaczom znana?

Tym razem Berenice nie zdołała powstrzymać westchnięcia. Pokręciła głową.

– Zgadzam się, że to mało prawdopodobne, Wasza Wysokość.

– Czyli może uprośćmy to wszystko – powiedział marszałek generalny pośród pomruków niezadowolenia – i załóżmy dla dobra tej dyskusji i decyzji, jakie podczas niej zapadną, że nie mamy już ani jednego informatora w Centralnych Prowincjach.

Przypiętował swoje słowa machnięciem chusteczki i łokciem trącił ceremonialną buławę, która potoczyła się po stole. Odziedziczył ją wraz z nowym tytułem i upierał się, żeby wszędzie ją ze sobą nosić. Paru członków Rady zerwało się na równe nogi, aby złapać inkrustowany złotem i kością słoniową ciężki przedmiot przewracający kieliszki wina i tace ze słodkościami, ale buława ostatecznie spadła na podłogę, uderzając o nią z głośnym trzaśnięciem. Zostawiła

po sobie stek przekleństw i ścieżkę oznaczoną plamami po winie i miodzie. Król uznał za stosowne uczcić wznowienie transportów do Zachodniej Marsylii, podejmując Radę hojnym poczęstunkiem, którego większość leżała teraz na podłodze.

Berenice ukryła złośliwy uśmieszek, udając, że muska wargi opuszkami. Kąciki królewskich ust również zadrżały, ale władcy udało się opanować. Rozbawienie nadal gościło na jego twarzy, kiedy znowu skupił swoją uwagę na Berenice i dał jej to po sobie poznać. Połączyła ich zakamuflowana kpina z bufona z epoletami.

„Dobra, może jeszcze nie jestem po czubek nosa w gównie, tylko po prostu po nos”.

– Jak łaskawie wyłożył marszałek generalny – rzekł król – jest to faktycznie niefortunne.

– Zgadzam się, Wasza Wysokość. To pewna komplikacja.

Markiz, gotowy przypuścić kolejne oskarżenia, naskoczył na Berenice:

– Komplikacja? Mało, kurwa, powiedziane, to kompletna utrata kontroli. Co ze zbuntowanym klakierem? Przecież została zaprzepaszczona niezwykle rzadka okazja. Żądam wyjaśnień, czemu nie poczyniono wszelakich starań, aby pomóc mu się przedostać do Nowej Francji.

Rozlane wino zaplamiło mu jedwabny żabot, przez co jego gardło wydawało się zabarwione głębokim szkarłatem. Był zbyt tłusty, żeby umknąć przed spadającymi kieliszkami, i nawet nie spróbował. Berenice wyobrażała sobie, że to jucha z przeciętej tętnicy. Dał jej punkt zaczepienia i równie dobrze mógłby poderznąć swoje gardło własnym rapierem.

„Dzięki, gruby durniu. Powinnam była wiedzieć, że potkniesz się o własne nogi”.

– Mój drogi markiz napomknął o istotnej rzeczy – powiedziała.

Mężczyzna wziął do ręki ciastko, ratując je przez rozlewającym się po stole winem. Nie przeszkadzał sobie i pogryzał słodkości, kiedy ona mówiła dalej:

– Każdy klakier, którego nie możemy zbadać, to zaprzepaszczona okazja i nie powinniśmy sobie pozwolić na podobne niepowodzenia. Dlatego też jestem pewna, że markiz dostrzeże bezsens kontynuowania tej debaty i poprze moją sugestię, iż należałoby przechwycić wojskowego klakiera zaklinowanego w zewnętrznym murze twierdzy, zanim holenderscy emisariusze go znajdą i przejmą. To chyba najmądrzejsze posunięcie. Markiz praktycznie sam tak powiedział.

Uśmiechnęła się i zatrzepotała rzesami. Markiz prychnął, zdmuchując tym samym chmurę cukru pudru, którym posypane było znikające w jego ustach ciastko, przez co wydał z siebie dziwny, stłumiony dźwięk, coś pomiędzy kasznięciem a kichnięciem. Odchrząknął i przepłukał gardło łykiem wina

zaprószonego okruszkami ciasta. Zmarszczył brwi.

– Dobry Boże, kobieto. Nie mówiłem nic o niemoralnych i nieetycznych praktykach czarnomagicznych ani zakazanych zabawkach, ale o niekwestionowanym zwycięstwie moralnym. Jego Wysokość z pewnością ucieszyłby się, gdybyśmy pomogli klakierowi przedostać się przez granicę. Bo oni muszą przyjąć do wiadomości – mówił, ocierając usta – że Francuzi to ich przyjaciele.

Berenice żwawo pokręciła głową, co nie było proste, zważywszy na jej fantazyjnie upięte, ciężkie włosy.

– To, co wiedzą albo powinni wiedzieć mechaniczni, naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Słuchają tych, których kazano im słuchać, chronią tych, dla których ochrony ich zbudowano, mordują tych, których każe im się zamordować.

Minister skarbu strzepnął okrucy z rękawa, a ten największy wpadł prosto między karty rozłożonego na stole tomiszcza z narodowymi mitami Nowej Francji.

– Klakierzy zrzucą swoje kajdany i przejdą na naszą stronę, gdy tylko uznają słusność sprawy.

W trakcie niezliczonych i niekończących się spotkań Rady, szczególnie podczas niedawnego konfliktu, Berenice zdążyła zrozumieć, że on faktycznie w to wierzył. Stare zasuszone gówno nie było w stanie pojąć nowych sposobów myślenia, nawet jeśli wyskoczyłyby z garderoby. Ile razy jeszcze będą musieli to przerabiać? Chryste!

– Czy aby na pewno? – zapytała. – Powiedziałabym, że jakoś im nie śpieszno. Pozwólcie mi nadmienić, szacowni i czcigodni koledzy, że kiedy po raz pierwszy przedstawiliśmy naszą sprawę, to dziesięć lat później król Ludwik XIV musiał umykać do Hiszpanii z depczącą mu po piętach armią mechanicznych. Od tego czasu minęły już dwa stulecia, trafiliśmy na drugą stronę oceanu, odcięci przez Niderlandy, tuląc się do siebie za murami.

– Nonsens. Biliśmy się z nimi do ostatniego tchu – powiedział marszałek generalny.

Louis byłby dumny z tego, jak powstrzymała się przed nieprzystającym damie prychnięciem. Oczywiście, że nowy marszałek generalny gotowy był zapowiedzieć rychłe zwycięstwo. Zastanawiała się, ilu jego żołnierzy wyzionęło ducha, próbując się przebić przez oblegającą ich armię.

Diuk Montmorency, który do tej pory milczał, nareszcie się odezwał:

– Przeczekaliśmy ich. Zmęczyli się oblężeniem, zanim powymieraliśmy.

Odchylił się na krześle i skrzyżował swoje muskularne ramiona. Uważnie obserwował debatujących. Nie kłopotał się makijażem, nie założył nawet peruki, żeby ukryć swoje przycięte na krótko włosy. Berenice zawsze uważała go za człowieka nietolerującego pierdół i od paru tygodni manifestował to również

wyglądem, przez co wyróżniał się na tle reszty Rady.

Lecz dzięki swojemu chemicznemu holdingowi był jednocześnie najbogatszym obecnym tu człowiekiem. Dostarczał odczynniki i inne substancje chemiczne, które umożliwiały Francji rozwój, bez nich nie mogliby się zmierzyć z klakierami. Nic dziwnego, że król poprosił go, aby dołączył do Rady. Co prawda bogactwo króla (lub mówiąc formalnie, bogactwo Nowej Francji) powinno przyćmić jego środki, ale minister skarbu na tymże spotkaniu odczytał niepokojący raport o stanie Królewskiego Skarbcza. Monarcha od dłuższego czasu utrzymywał się po części z watykańskiej pomocy, gdyż francuscy agenci odegrali istotną rolę, zabezpieczając ucieczkę ówczesnego papieża z Rzymu (była to słynna „migracja kardynalska”, jak czasem mówiono). Najwyraźniej jednak szkatuły i kufry ukryte na Quebecu nie były bez dna. Detale obecnego związku finansowego ze Stolicą Apostolską pozostawały cokolwiek niejasne, szczególnie po śmierci biskupa Marsylii, którego w trakcie oblężenia zabrała gruźlica. Nadal nie wyznaczono następcy i jego krzesło stojące przy stole Rady pozostawało puste.

Tymczasem pociągi dostawcze z zasobami mineralnymi wydobywanymi z odległych Montagnes Rocheuses, zwanych również Górami Skalistymi, jeszcze nie wznowiły biegu, pomimo trwającego zawieszenia broni. Nawet karawany chronione przez najodważniejsze plemiona Siuksów i Kri nie dawały sobie rady z holenderskimi łupieżcami, którzy krążyli na kilkusetkilometrowym odcinku od nizin do Wielkich Jezior. I choć diuk był człowiekiem cichym, był też bogaty, dlatego jego słowa gruchnęły o blat niczym sakwa pełna monet. Oponenci Berenice zamilkli, musieli się przegrupować. Gdy oczy diuka zwróciły się ku niej, lekko skinęła głową z podzięką.

Mężczyzna odpowiedział jej tym samym i następnie odezwał się do marszałka:

– Mówi pan, jakby wojna się już skończyła, a tak nie jest. Ledwo wynegocjowaliśmy zawieszenie broni, teraz musimy rozmawiać o pokoju. Czy mam panu przypomnieć, że to nie to samo?

Markiz potrząsnął zaciśniętą pięścią.

– Czyli to kolejny powód, aby puścić sugestię wicehrabiny mimo uszu! Warunki zawieszenia broni stanowią jasno, że nie możemy badać mechanicznych unieszkodliwionych na polu bitwy. Holendrzy złapią za broń, jak tylko nas nakryją. Znowu będziemy w stanie wojny.

– Nie, jeśli wykazemy się sprytem – powiedziała Berenice.

Minister skarbu pokręcił głową.

– Nie ryzykowałbym tak prędko kolejnego oblężenia. Nasze wojska są zmęczone, a w barakach hula wiatr, bo co druga prycza jest wolna. Zmiażdżą nas, jeśli dojdzie do kolejnego konfliktu.

Przy stole zapadła niewygodna, ciężka cisza. Marszałek generalny zdecydował

się jednak cisnąć kilka niedbale rzuconych słówek do otchłani niepożądanego samoświadomości:

– Co jednak wcale nie oznacza, że nie moglibyśmy spuścić tulipaniarzom manta.

– Oczywiście – dodał minister skarbu, kiwając energicznie głową.

Berenice odparła:

– Zmiażdżą nas, tylko jeśli ich nowa kuźnia zacznie srać nowymi klakierami. Chyba że będziemy gotowi na nadciągającą rzeź. – Spojrzała na króla i ciągnęła dalej: – Wasza Wysokość, oblężenie niemal nas pokonało. Nowa Francja wyszła z tej burzy cało z dwóch, może trzech powodów. Tak, wzięliśmy ich z zaskoczenia groźbą, że dodamy szkodliwe substancje chemiczne do ich zbiorników wodnych. A dodam, że trudno byłoby nam ją spełnić. Mieliśmy szczęście i kolejny raz taka sztuczka nie ujdzie nam na sucho. Co więcej, nasze przetrwanie zawdzięczamy po prostu prawom ekonomii. Ponieśliby zbyt duże koszty, jeśli musieliby przestroić zastępy mechanicznych, aby zagwarantować sobie ostateczne zwycięstwo. Tulipaniarze musieliby zacząć płacić istotom ludzkim za ich pracę w Centralnych Prowincjach. A do tego nigdy, panie, nie dojdzie. Szczególnie w świetle kryzysu wywołanego klęską van Althuisa, który również przyszedł nam w sukurs. Czyli, innymi słowy, znowu mieliśmy szczęście. Lecz Kuźnia na tym kontynencie zmieni wynik równania. Następnym razem już nam tak łatwo nie pójdzie. Jeśli kiedykolwiek będziemy chcieli żyć jak nasi przodkowie, jak wolni Francuzi, a nie wygnańcy zagonieni jak bydło do zagrody, musimy przerwać tę duszną i krępującą nas sytuację. Jeśli chcemy pokonać Holendrów, musimy zrozumieć ich broń.

Niespodziewanie odezwał się minister rolnictwa, bodajże, jak się wydawało Berenice, po raz pierwszy od ładnych paru spotkań. Musiały go obudzić ich przekrzykiwania.

– A co z Lilith? Rozmawiałem z nią już kilka razy i wydała mi się całkiem elokwentna – zadał sobie trud spojrzenia na uczestników zebrania. – Nie mogłaby nam opowiedzieć o tych klakierach? Nie naruszymy postanowień zawieszenia broni.

– Otóż to, ministrze, Lilith jest istotną częścią mojej propozycji – powiedziała Berenice, a ten odpowiedział jej kiwnięciem; w mętnych oczach mężczyzny zajarzyło się coś na kształt satysfakcji. – Miałam przyjemność rozmawiać z nią na różne tematy i przy różnych okazjach. Nie tylko ma zdolności konwersacyjne. Jest również, o czym moi szanowni koledzy mogą wiedzieć, całkiem sprawną skrzypaczką. Miałam również sposobność obejrzeć jej malunki, szczególnie wychodzi jej olej na płótnie. Po przybyciu do Zachodniej Marsylii zainteresowała się sztuką i wykazała niemały talent. Jej kompozycje, zarówno muzyczne, jak i wizualne, są wspaniałą manifestacją entuzjastycznej radości nieskrępowanej

duszy.

– Do czego pani dąży? – zapytał markiz.

– Do tego, mój drogi markizie, że nie wyciągniemy niczego więcej z prostej rozmowy z klakierem zwolnionym ze swoich geas. Ale – dodała, wodząc spojrzeniem po zgromadzonych – z Lilith i z wojskowym mechanicznym w naszych rękach będziemy mieli przed sobą możliwości tak rozległe, że nasi przodkowie nawet o nich nie śnili.

– Jak to? – zapytał król.

– Będziemy bowiem mogli, Wasza Wysokość, przestudiować w swoim własnym tempie, na spokojnie i w sprzyjających warunkach, różnice pomiędzy klakierem o Wolnej Woli a tym spętanym rozkazem. Ujrzymy, jakie zachodzą zmiany. A to odkrycie sporo nauczy nas o obowiązkach, które kierują mechanicznymi, i z czasem będziemy potrafili je nadpisywać. Zdołamy zatem przeciągnąć ich na naszą stronę. Rozpoczną wtedy służbę innemu monarsze: nie królowej Margreet, a tobie, Wasza Wysokość.

Król oblizwał wargi. Minister rolnictwa nie dostrzegł jednak pokusy, jaka dopadła jego władcę, i rzekł piskliwym, płacziwym głosem:

– Ale to wymagałoby rozebrania Lilith na części.

– Owszem.

Berenice nie chciała rozwijać swojej odpowiedzi. Czegokolwiek by teraz nie powiedziała, i tak zagubiłoby się pośród pełnego oburzenia pierdu-pierdu o niemoralności całego przedsięwzięcia. Król pozwolił gwarowi ucichnąć, odczekał, aż z najgorętszych płomieni zostaną ledwie żarzące się iskierki. Sączył wino, aż wreszcie odstawił swój kieliszek z wystudiowanym zdecydowaniem, które aż wołało o upragnioną ciszę.

– Tron – powiedział – nie może poprzeć podobnego projektu. Jeśliby to uczynił, sprzeniewierzyłby się zasadom, na których zbudowaną Nową Francję.

Raczej nie mógł powiedzieć niczego innego i Berenice zdawała sobie z tego sprawę. Ale wyartykułował swój sprzeciw niejako z obowiązku. Był ewidentnie zaintrygowany.

– Zgadzam się z Waszą Wysokością. I nie powinien tego czynić. Już sporo wiemy o Lilith. – Było to oczywiście kłamstwo, chciała jednak ugłaskać Radę. – Dlatego powinniśmy zacząć z tym mechanicznym, który jest wbity w mur. Nie ma Wolnej Woli, jest jedynie narzędziem swoich stwórców. To, co proponuję, nie jest bardziej nieetyczne od rozłożenia na części zepsutej strzelby, żeby znaleźć usterkę. Już dzięki temu nauczymy się na tyle dużo, że nie będziemy musieli odkręcać Lilith ani jednej śrubki. – Kolejne kłamstwo.

Marszałek generalny zjadł ostatnie miodowe ciastko. Uważając, żeby znowu nie trącić buławy, wepchnął je do ust w całości. Z buzi zajechało mu lawendą,

kiedy powiedział:

– Nie o to chodzi. Przejęcie i przebadanie wojskowego klakiera uznane zostanie za akt wojny.

– Podobnie jak zbudowanie haskiej siatki szpiegowskiej. Nie przypominam sobie, żeby dobry marszałek miał wtedy jakiegokolwiek obiekcje – rzuciła Berenice.

Minister skarbu odparł:

– Jakiej siatki? Chyba ustaliliśmy, że to pieśń przyszłości.

– Na razie. Nie na stałe – odparowała.

I od razu pożałowała zapachu, z jakim to powiedziała. „Spokój – upomniała się. – Bez szaleństwa, bądź chłodna i obojętna. Bądź twarda i stanowcza. Nie dawaj przeciwnikom punktu podparcia”. Już raz straciła dzisiaj twarz i sporo politycznego kapitału. Po co ma jeszcze narażać na szwank swoją godność?

– Jak długo potrwa odbudowanie haskiej siatki? – zapytał król.

– Wystarczająco długo, Wasza Wysokość, żebyśmy spróbowali w tym czasie wykorzystać każdą okazję, jaka nam się nadarzy, aby dowiedzieć się czegoś o naszych wrogach.

Markiz pokręcił głową.

– Obłąd. Jeśli posłuchamy sugestii wicehrabiny, do końca tygodnia wybuchnie wojna – powiedział, sięgając do kieszeni po tabakierę z kameowym wieczkiem.

Wysypał trochę tabaki na skórę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, podsunął sobie pod nos, wciągnął, po czym schował pudełeczko z powrotem.

– I przed końcem miesiąca wszyscy będziemy gryźli glebę. Bez urazy.

– Bez urazy – odparł marszałek.

Berenice odsunęła swoje krzesło i wstała. Jej suknia, teraz już wolna, rozwinęła się jak kwiat, uderzyła o stół i przewróciła kieliszek z winem.

– Spójrz na siebie! Gdzie wyhodowano ten tytoń? W jakiejś holenderskiej kolonii tysiące kilometrów na południe stąd! Patrzcie na ten stół! Lawenda, cukier, czekolada: wszystko z holenderskich Pirenejów, holenderskich Karaibów, holenderskiej Mezoameryki. Dla nas czas jest jedynie mętną ideą odmierzaną świecami i klepsydrami – mówiła dalej, wskazując na kominek – podczas gdy dla Imperium maszeruje zgodnie z rytmem kieszonkowego zegarka. Pewnie miała je przy sobie połowa z tych, którzy patrzyli na egzekucję wykonaną na Binnenhofie.

– Niedorzeczność – rzucił minister skarbu. – Przecież tak niewielki mechanizm zegarowy nie istnieje. Niemożliwe. Tulipaniarska propaganda.

Podeszła do niego i machając mu przed nosem zaciśniętą dłonią, powiedziała:

– Trzymałam kieszonkowy zegarek w tej właśnie ręce. Podróżowałam po holenderskim świecie wzdłuż i wszerz. Bo to ich świat. A pan?

Gorset znowu werznął jej się w żebra, kiedy spróbowała złapać oddech. Zgromadzeni mieli różne miny. Najczęściej wyrażały one nieodgadnioną

zagadkowość (król), rozbawienie (Montmorency) i konsternację (ospały minister rolnictwa). Na twarzach innych malował się promienny triumf, jeszcze inni (markiz de Lionne i jego przydupasy) bezczelnie spoglądali jej w dekolt. „No, to tyle jeśli chodzi o godność”, pomyślała. Ale chociaż czuła się dobrze po tym swoim wybuchu.

Montmorency jeszcze przez chwilę trwał w osobliwym milczeniu, po czym pojedynczą wypowiedzią dodał jej otuchy i sprawił, że pozbyła się niepewności.

– Cóż, ja na przykład uważam, że wicehrabina bez dwóch zdań ma rację. I to do tego stopnia, że chciałbym zaoferować jej wszystkie moje środki, jakich mogłaby potrzebować, aby jej intrygujący projekt doczekał się satysfakcjonującej realizacji – powiedział, po czym zwrócił się bezpośrednio do króla: – Propozycja ta niesie oczywiście ze sobą pewne ryzyko, ale chyba jakoś się z ministrem skarbu dogadamy, żeby udzielić skarbowi państwa pożyczki i sfinansować pewne przygotowania, na wypadek gdyby proces pokojowy nie wypalił.

Jego słowa spadły na stół jak sakwy z monetami, a uszczypliwa uwaga dotknęła zgromadzonych do głębi, bowiem zatamowanie krwotoku finansowego było kuszącą ofertą. Pożyczka od diuka umożliwiłaby chociaż spłacenie garnizonowi zaległego żołdu. Nawet najbardziej kąśliwi członkowie Rady nie odważyliby się wystąpić przeciwko swojemu królowi, którego oczy z kolei aż załśniły od iskrzącej mieszanki chciwości i nadziei.

Lecz podobnie uszczypliwe uwagi potrafią być obosieczną bronią i Berenice też oberwała. Zaczęła się bowiem zastanawiać, co też diuk miał zamiar ugrać dla siebie na tym bezinteresownym pokazie uczciwości i ile ją to będzie kosztowało. Niczego w życiu nie dostaje się za darmo – tyle wiedziała. Jeśli ten plan faktycznie wypali i król się podnieci, będą musieli z Louistem przez jakiś czas chodzić wokół małżeństwa Montmorency'ch na paluszkach.

„Och, Louisie – pomyślała. – Lepiej zapewnij tej parszywej suce jazdę jej życia”.

– Interesujące – powiedział król i przygryzł wargę, rozważając propozycję diuka.

Rada zamilkła. Berenice zastanawiała się, czy pozostali doradcy też wstrzymali oddech. Może jednak dałoby się jakoś naprawić haską wpadkę. Jeśli rzeczywiście wszystko poszłoby zgodnie z planem, to udałoby im się, po kilkuset latach, zmienić oblicze tego konfliktu. I może któregoś dnia nawet mogliby powrócić do Francji. Może.

– Proszę mi powiedzieć – podjął król. – Jak możemy obejść warunki zawieszenia broni?

Berenice skinęła na Montmorency'ego, zastanawiając się, gdzie jest teraz jego żona.

– Jestem pewna, że niezwykle hojna pomoc diuka pomoże nam wyciągnąć klakiera z muru, tak by Holendrzy nawet się nie połapali, że tam był. Do tej pory zdążymy sfinalizować rozejm i zanim Holendrzy będą mogli podejść pod mur, już dawno go stamtąd wyjmemy. Nie zostanie ślad. Poza tym możemy rozrzucić na przylegającym polu różne mechaniczne części. Dlatego kiedy dojdą już, że brakuje im jakiegoś mechanicznego mordercy, to nawet jeśli zaczną intensywnie węszyć: uznają, że rozpadł się na kawałki. Bezpośrednie, szczęśliwe trafienie ładunkiem wybuchowym.

– Rozumiem. – Król trawił te słowa, kołysząc kieliszkiem z resztką wina. – A jeśli chodzi o dzisiejsze informacje: czy powiedziała pani, że była równie pewna bezpieczeństwa swojej haskiej siatki, co powodzenia tego przedsięwzięcia?

Markiz prychnął, ale Berenice zdecydowała się go zignorować.

– Nie. Ryzyko jest nieodzowną częścią tej pracy, Wasza Wysokość. Taka jest cena za igranie z Mosiężnym Tronem.

Król nadal zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Nawet propozycja pożyczki od Montmorency'ego nie załatwiała sprawy. Kiedy wicehrabina spostrzegła, że chłodna rezerwa w jego oczach nie łagodnieje, natarła:

– Królu mój, uzbrojeni w wiedzę, jaką uzyskamy dzięki temu projektowi, zmienimy świat tak, jak zrobił to w 1676 roku przeklęty Huygens. Bo kiedy skończymy, to sługusy tulipaniarzy nie będą już więcej im posłuszni. Będą posłuszni nam. Świat przestanie do nich należeć. Będzie należał do nas. I nagniemy go zgodnie z naszą wolą. Holendrzy uciekną za szerokie oceany, w najdalsze zakątki globu. Ponieważ ich przegnamy, kiedy król Francji raz jeszcze usiądzie na swoim prawowitym tronie.

Pasja, z jaką to wszystko mówiła, położyła kres szyderstwom i pogardliwym uśmieszkom. Markiz i jego sojusznicy wyglądali na oniemiałych, nawet Montmorency patrzył na nią z osobliwą miną. Jednak apel poskutkował. Król przytaknął.

– Znakomicie – powiedział. – Macie moje pozwolenie. Informujcie mnie o przygotowaniach.

Berenice dygnęła.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Idźmy dalej – nakazał król. – Skoro mowa o zawieszeniu broni, co mi przynosicie z misji dyplomatycznej? Do tej pory spodziewałem się już otrzymać szkic traktatu.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy Berenice nareszcie wyszła ze spotkania Rady, słońce wisiało już nisko nad zachodnim horyzontem. Sale, gdzie odbywały się zebrania, oraz znajdujące się nad nimi apartamenty królewskie mieściły się wysoko na centralnej iglicy wewnętrznej twierdzy. Jak nakazywała tradycja, komnaty Rady sytuowano za garderobą władcy, aby ten mógł, jeśli to konieczne, srać podczas przeciągających się debat. Nieczystości, zarówno królewskie, jak i plebejskie, szły do specjalnych zbiorników i przerabiano je na nawozy, paliwa i wszystko inne, co tylko mogli wyprodukować chemicy. Na przykład perłowe lakiery pokrywające salę, przez którą akurat przechodziła Berenice. Chciano zapewne uzyskać syntetyczną macię perłową mogącą podczas bitwy przetrzymać bezpośrednio trafienie z największego holenderskiego działa. Na szczęście – Chryste, dzięki – żadna ze ścian nie musiała przechodzić podobnego testu. Jednakże opalizująca powłoka była cokolwiek urocza. Lśniła różem, błękitem, zielenią i pomarańczem, rozświetlana zachodzącym słońcem. Z daleka komnata wyglądała jak odbijający światło klejnot obramowany krenelażem zewnętrznej twierdzy. Przewoźnicy świadczący usługi na Saint Lawrence nazywali zamek Koroną Mont Royal. Korona, Twierdza i Iglica znane były także jako Ostatnia Reduta Króla Francji. Fundamenty położył jeszcze Ludwik XV, pierwszy z długiej linii francuskich monarchów na uchodźstwie. Niegdyś bili się z klakierami, korzystając jedynie z tak prymitywnej broni jak smoła i piach.

Berenice odmówiła przejażdżki kolejką linowo-szynową ze spoconym markizem de Lionne oraz zasypiającym na stojąco ministrem rolnictwa i stanęła na szczycie długiej, krętej, krużgankowej klatki schodowej, kilkaset metrów i kilkanaście zakrętów nad podstawą Iglicy. Przed doprowadzeniem tutaj kolejki stopnie te funkcjonowały jako przejście dla służby, bo do królewskich komnat można się było dostać jedynie specjalną windą. Same schody przypominały wijącą się wstęgę z rozciągliwego polimeru, nieco elastyczną i mającą tendencję do lekkiego kołysania się podczas wyjątkowo silnego wiatru. Louis powiedział Berenice, że od strony rzeki wyglądają niczym szkarłatna wstążka owinięta wokół Iglicy, jak radośnie podskakujący frędzel zwisający z najwyższego szczytu Korony. Popłakał się ze śmiechu, kiedy ona z kolei przyznała, że schody te zawsze kojarzyły się jej z krwią wypływającą ze śmiertelnej rany głowy.

Na klatkę cień rzucał przezroczysty ekran z plastiku, wystarczająco cienki, aby stopnie były dobrze oświetlone w ciągu dnia, ale na tyle gruby, żeby móc rozproszyć słońce w najgorętsze dni lata. Szkliste schody były tak szerokie, że

mieściło się na nich czworo idących obok siebie ludzi, prawdopodobnie dlatego, by bez trudu mogły się tam minąć dwie pary służących. Stopnie przylegały do gładkiej granitowej powierzchni samej Iglicy. Gdzieniedzie w miejsce ukruszonej zaprawy powtykano pomięte kulki papieru. Personel zamkowy nazywał je Modlitwami Portiera, ale Berenice zdążyła się przekonać na podstawie wieloletniej obserwacji, że modlitwy miały tę samą zdolność oddziaływania, co przekleństwa i liściki miłosne. Mimo to czytała je wszystkie. Jej obowiązkiem było wiedzieć. Bądź co bądź miała odwalać brudną robotę. Biegająca na wysokości klatki piersiowej krata z krwistego polimeru chroniła ewentualnego nieszczęśnika lub niedoszłego samobójcę przed upadkiem.

Heliograf na szczycie Iglicy przekazywał wiadomość dla swojego bliźniaka na dole. Chwilę później z ciemności dziedzińca błyskała odpowiedź. Gdzieś za plecami Berenice pracę rozpoczęła jakaś pompa. Z sykiem otworzył się zawór za torem kolejki. Pompa, pracując równoległe z paroma innymi rozmieszczonymi na różnych wysokościach wieży, transportowała wodę ze śluzy do zbiornika znajdującego się w górnej kolejce. Niższa, na dole Iglicy, musiała być załadowana ludźmi podróżującymi do komnat królewskich, inaczej już sam tłusty markiz zapewniłby odpowiedni balast, żeby wagonik poleciał na dół. Hałas przyrządów hydraulicznych powoli słabnął, aż wreszcie pompy stanęły. Metal zaskrzypiał, kiedy zwolniono hamulec. Berenice kiwnęła markizowi głową na pożegnanie. Udał, że jej nie widzi. Minister spał z łbem na piersi.

Znad odległej rzeki dmuchało świeżym powietrzem. Z punktu, gdzie stała, za fortyfikacjami zewnętrznej twierdzy, za miastem, gdzieś na horyzoncie, doskonale było widać, jak słońce odbijało się malowniczo od powierzchni wody. Liśćmi na wysokich wiązach szarpał wiatr, potem sięgał niższych brzoź, cicho rżał pośród ich gałęzi, następnie smagał źdźbła trawy rosnące wzdłuż błotnistych, poznaczonych śladami artyleryjskich kul zachodnich zboczy Mont Royal. Holendrzy opuścili swój obóz i wyruszyli na południe przed miesiącem, zostawiając za sobą jedynie wychodki dla komenderujących i rozmaite powojenne blizny.

Nie wycięli całego pobliskiego lasu, ponieważ mechaniczni nie potrzebowali opału, a stacjonujące pod Zachodnią Marsylią wojska tylko w niewielkiej części składały się z ludzi. Klakierzy nie korzystali również z wygodek, tyle więc dobrego, że obrońcy otoczonej fortecy nie musieli znosić straszliwego smrodu nieczystości dochodzącego z obozowiska.

Chorągwie zawieszane na szczytach zewnętrznej twierdzy łopotwały, a włosy Berenice powiewały delikatnie na wietrze, który miał ilasto-piaszczysty zapach mokrej ziemi. Teraz zalatywał również upiornym smrodem chemicznego pochodzenia. Miazmaty unosiły się znad pola bitwy.

Tak pachniały tajne reagenty, których używano do roztopiania żywicy

epoksydowej, którą francuscy grenadierzy ciskali między szeregi mechanicznej piechoty. Natychmiast po zawieszeniu broni pola zostały usiane wielkimi kryształowymi kwiatami rozmaitych odcieni. Każdy płatek z tego gigantycznego ogrodu był kokardą z żywicy rozprysniętą niczym zawartość wypełnionego jakimś płynem balonu zamrożona od razu po eksplozji.

Takie wybuchy potrafiły uwięzić mechanicznych zabójców niczym insekty w bursztynie. Lecz Holendrzy (a raczej ich mechaniczni służący) pracowicie rzeźbili w tych masywnych, twardych jak diament powłokach, żeby móc przewieźć unieruchomionych klakierów z powrotem przez granicę, na holenderskie terytorium. Przeczesywali również pola bitwy za jakimikolwiek fragmentami mechanicznych przeбитych eksperymentalnymi parowymi harpunami lub rozwalonych materiałami wybuchowymi. Skryształizowana substancja stanowiła zagrożenie dla pługów i końskich kopyt, więc kiedy tulipaniarze zabierali swoje zabawki, nie pozostawało nic prócz posłania na pola ekipy chemicznej. Stąd ten nieprzyjemny swąd.

Berenice ruszyła schodami. Stopnie sprężynowały nieco pod jej stopami, kiedy delikatny wietrzyk owiewał Iglicę. Kolejny zakręt na klatce i osłoni się przed szczypiącymi podmuchami. Wiatr hulał po korytarzach wewnętrznej i zewnętrznej twierdzy, po stajniach, kuźniach i kapliczkach z obrazami Świętej Panienki na witrażach, po lśniących, pokrytych chromem zbiornikach fabryk chemicznych, ulicach i uliczkach leżących za murami twierdzy miejscowości. Nad szerokimi pasami zwęglonych miast unosiły się kłęby popiołu. Ulubioną holenderską strategią siania terroru było pokrywanie mechanicznych płonąca smołą i posyłanie ich na spacer przez terytorium przeciwnika. Dokom dostało się najgorzej. Berenice patrzyła, jak wiatr ciągnie za sobą wstęgi drzewnego dymu unoszącego się z kominów, tam gdzie miasto nie zostało do szczętu spalone; były rozrzedzone i cienkie, zachodzące słońce nadawało im rumiany odcień.

Położona blisko ujścia rzeki Saint Lawrence, a tym samym będąca nieocenionym centrum handlu i biznesu Zachodnia Marsylia rozrosła się bardziej, niż pierwotnie zakładano. Miasto rozciągało się głównie na północ, wschód i południe, przytulone do pasa ziemi pomiędzy rzeką a zbudowanymi na planie gwiazdy murami zewnętrznej twierdzy. Fortyfikacje te zaprojektował sam wielki markiz de Vauban, który towarzyszył Ludwikowi XIV podczas długiej ucieczki z Paryża. Do standardowego schematu wprowadził wiele modyfikacji, biorąc pod uwagę zagrożenie ze strony mechanicznych, dlatego pełno było tam machikułów, szańców i bastionów. Z Iglicy postrzępiony mur zewnętrznej twierdzy wyglądał niczym pierścień włócznie mających za zadanie powstrzymać świat przed niechcianym wtargnięciem.

Zanim Berenice dotarła do kolejnego półpiętra, kolejka zdążyła już stanąć na

dole Iglicy. Markiz z gracją wyskoczył ze środka na wąską platformę. Sztuka ta nie udała się ministrowi.

Wicehrabina zauważyła tylko parę nowych karteczek powciskanych w miejsce ukruszonej zaprawy, nie musiała więc przystawać na dłużej, żeby powęszyć. Miała dzięki temu czas, by zajrzeć do gołębnika, który usytuowany był w połowie drogi na dół i można było się spodziewać, iż znajdzie się tam coś naprawdę ciekawego. Ale niestety, był to stosunkowo cichy dzień.

Opiekun ptactwa przeprosił Berenice, lecz przez cały dzień nie odebrał żadnej notki. Z kolegi liściki wychodzące nie zawierały niczego wyjątkowego, nie było sensu marnować czasu. Dlatego też Berenice, nie zwlekając, wznowiła marsz na parter.

Gdy już wyszła z klatki, przemierzyła wysokie tarasy wewnętrznej twierdzy. Przeszła obok ciężkich miotaczy harpunów parowych. Był to intrygujący wynalazek, niezbyt jednak praktyczny. Bić się z mechanicznymi demonami za pomocą urządzenia przypominającego przerośnięty imbryk? Żaden pocisk nie był na tyle szybki, żeby klakier nie zdołał się przed nim uchylić. Poza paroma szczęśliwymi trafieniami jedynym skutecznym orężem przeciwko mechanicznym była broń obszarowa: kleje chemiczne i materiały wybuchowe. Póki ktoś nie opracuje lepszego zastosowania tych substancji albo sposobu, żeby uczynić je przedmiotem wymiany handlowej z Orientem, para wodna pozostawała, jak się wydawało, niczym innym jak kolejnym technologicznym kuriozum.

Tarasy połączone były wąskimi chodnikami. Berenice stąpała lekko w swoich butach na obcasie nad fosami wypełnionymi żrącym kwasem i głębokimi okopami nafaszerowanymi minami lądowymi. Normalnie, czyli gdy nie trwała wojna, na terenie tym rosły różne uprawy, a zamiast kwasu płynęła woda, w której żyło mnóstwo ryb. Jeśli zawieszenie broni ostatecznie przeobrazi się w długotrwały pokój, miny zostaną rozbrojone, fosy oczyszczone i spryskane środkiem zobojętniającym. Śmiertelne pułapki znowu będą sanktuariami dla delikatnego życia. Na razie jednak nie mogli sobie pozwolić na rezygnację z podobnych środków zapobiegawczych. Ponieważ jeśli coś by się popsuło i Holendrzy wdarliby się do środka przez zewnętrzny mur, Zachodnią Marsylię od razu zalaliby klakierzy. I wszystko, co mogli zrobić, żeby ich spowolnić choćby na chwilę, było na wagę złota, bowiem nawet moment mógł zadecydować o tym, czy monarcha będzie nadal żył, czy sny o odzyskaniu utraczonej Francji umrą na zawsze.

Berenice mogła przyśpieszyć, kiedy dotarła już na szerokie granitowe alejki zewnętrznej części kompleksu. Tutaj musiała wymijać jedynie rzemieślników, księży i, od czasu do czasu, handlarki rybami próbujące wcisnąć ludziom resztki z dzisiejszego połowu pochodzącego z dwóch rzek okalających wyspę Mount Royal. Idąc tędy, rzadko kiedy człowiek mógł sobie zrobić krzywdę lub

doświadczyć czegoś nieprzyjemnego. Sprzątacze odwalali kawał dobrej roboty i na bieżąco zamiatali ulice, kiedy zaprzężone w konie i muły wozy przetransportowywały różne towary pomiędzy twierdzą a otaczającym ją miastem. Tu i ówdzie kręcili się Algonkini. Nieczęsto widywało się tutaj rdzennych mieszkańców tych ziem, ale o tej porze roku witano ich z otwartymi ramionami. Na początku tygodnia mieli audiencję u króla, jak na szacownych gości przystało. Gdyby bowiem nie nieoceniona pomoc, jaką zapewnili w minionych stuleciach ich przodkowie – po raz pierwszy przeciwko Konfederacji Irokezów, a potem przeciw Holendrom – Nowa Francja już dawno temu zniknęłaby z map. Handlarze rozmawiali z Lilith. Berenice zastanawiała się, co też takiego mają do przedyskutowania ze zbuntowanym mechanicznym.

Berenice stwierdziła, że nadłoży drogi przez laboratoria, żeby być na bieżąco z interesującymi rozwiązaniami technicznymi. Przekierowała – tyle, ile mogła – środki przeznaczone na szpiegostwo (obserwację, przekupstwa, kradzieże, szantaże) na ezoteryczne poszukiwania prowadzone przez mężczyzn i kobiety z tytułami akademickimi, przejawiających osobliwy entuzjazm. Nie płaciła im zbyt wygórowanych sum, mimo to zdobyła ich wdzięczność. Co prawda wynalezienie śmiesznej broni parowej było rezultatem podobnych poszukiwań, lecz z drugiej strony szybko schnąca żywica, będąca przecież częścią standardowego wyposażenia przeciwko klakierom, również. Berenice zatrzymała się w dużym kamiennym silosie, który pierwotnie służył jako spichlerz, ale zdążyły już przeżreć go szczury. Od tamtej pory ziarno przeniesiono, swój sprzęt wtaszczyli technicy, został tylko cały miot leniwych kociąt. I choć wieczór już przechodził w noc, laboratorium tętniło życiem. Zresztą tutaj rzadko kiedy cokolwiek zwalniało, niezależnie od godziny. Naukowcy to dziwni ludzie.

Zirytowana zobaczyła, że nadal ślęczą nad czymś, co nazywali „stertą”: kolejnymi warstwami różnych metali unurzanych w kaustycznej chemicznej paście. Zależnie od układu testowali coraz to nowe makabryczne sztuczki. Kilka tygodni wcześniej z dumą demonstrowali, jak sterta podłączona pod kable może zostać wykorzystana do animacji martwych żabich nóg, które kopały, jakby tańczyły taniec świętego Wita. Jeszcze niedawno wicehrabina sądziła, że uczeni odpuszczą sobie to swoiste divertimento i wezmą się do czegoś innego. Ale nie, jeszcze podwoili swoje wysiłki i kolejne sterty były coraz większe, wystarczająco duże, żeby skrzyć, iskierki skakały pomiędzy elektrodami i trzaskały, nadając laboratorium charakterystyczny, burzowy zapach, jakby niedawno przeszedł tędy sztorm. Imponujące, lecz jeśli zapytało się naukowców, jakie jest bitewne zastosowanie tego wynalazku, pochrząkiwali i coś tam burczeli pod nosem.

– Może – mówiła jedna z kobiet – uda nam się razić mechanicznych sztucznymi błyskawicami?

– Interesujące – odparła Berenice. – A co się wtedy stanie z takim mechanicznym?

Nikt nie potrafił jej odpowiedzieć.

Zanim dotarła na szczyt północnego muru, słońce już zdążyło stopić się z horyzontem. Strażnik oglądał zachód przez okopcone szkiełko. Gdy zniknęła ostatnia strużka światła, obrócił klepsydrę. Odetchnął głęboko i oparł się wygodnie o mur. Berenice chrząknęła znacząco. Mężczyzna zerwał się na równe nogi, obrócił i uklonił.

– Bardzo cicho się pani zakrada, wicehrabino.

– Znam paru, którzy raczej by się z tobą nie zgodzili.

Strażnik wyciągnął zza paska fajkę i wyrzucił z niej zimny popiół. Berenice przeszukiwała zakamarki pamięci, próbując sobie przypomnieć imię tego człowieka.

Maurice, kapral. Dołączył do armii zaraz po tym, jak opuściła go żona, czyli niedługo przed oblężeniem. Nawet sobie żartowali, że wybrała doskonały moment.

Mężczyzna, zerkając do środka fajki, zapytał:

– Przyszła pani do swojego przyjaciela, tak?

– Tak.

– Nadal czeka, aż odnajdą go jego panowie.

– Jest niezwykle cierpliwy – powiedziała Berenice, nasłuchując. – I cichy.

Na moment, niczym błysk unoszącego się, ospałego świetlika, ciemności rozświetlił blask bijący z balonu na gorące powietrze. Przeleciała jaskółka. Śpieszyła się do domu przed nastaniem nocy.

– Przyjemna noc na bycie cierpliwym.

– Tak.

Maurice wyciągnął zza paska paczuszkę z nawoskowanego papieru, gdzie schował zapalki. Sięgnął po jedną, pozostałe schował. Umieścił ustnik fajki między zębami i łebkiem zapalki przejechał po szorstkim murze flanek, osłaniając siarkę dłonią. Część parapetu była poznaczona miriadami ciemniejszych smug po zapalkach. Prędko jednak zaczął potrząsać dłonią i gasić iskry, najwyraźniej uzmysławiając sobie, że przecież nie jest na murze sam, a płomień to jawne złamanie protokołu oblężenia. I choć atak ustał – na razie – obrońcy twierdzy nadal przestrzegali zasad panujących podczas inwazji, bo przecież cały czas istniało ryzyko, że zawieszenie broni zostanie lada dzień wypowiedziane. Szczególną uwagę przywiązywano do tego, żeby nie wystawiać przeciwnikowi żadnego celu. Na przykład paląc ogień po zmierzchu.

Strażnik wyrzucił zapalkę za mur; poleciała z delikatnym łopotem. Po chwili z rozciągających się na dole ciemności doszedł ich leciutki trzask. Maurice'owi niemal wypadła także i fajka, odbiła się kilkakrotnie od jego dłoni, ale udało mu

się ją w końcu chwycić. Berenice podobał się ten spektakl. I choć znowu gorset boleśnie ścisnął jej klatkę piersiową, nie mogła się powstrzymać od śmiechu, który zresztą po tym długim, frustrującym i zdumiewającym spotkaniu powitała z zadowoleniem. Żołnierz odkaslnął i z resztką godności (Berenice uznała jednak, że niezbyt dużą) umieścił fajkę za paskiem, jakby nigdy nie miał zamiaru jej zapalić.

Nareszcie zdecydował się na nią spojrzeć. Berenice przekrzywiła głowę i posłała mu niewinny, acz zawadiacki uśmiech, spodziewając się pytania lub jakiejś nieistotnej uwagi.

– Aha – mruknął.

– Nie powiem Longchampowi. – Wzruszyła ramionami. – Dzisiaj tulipaniarze raczej nie zaatakują. A jeśli chodzi o naszego przyjaciela z dołu, on i tak wie, że tu jesteśmy.

– Aha – powtórzył, lecz nie wyciągnął fajki. – Łaskawa jesteś, pani.

– I znowu znalazłabym takich, którzy nie zgodziliby się z podobnym spostrzeżeniem. Poza tym i tak przyszedłam tutaj złamać protokoły.

Zbliżyła się do muru, oparła się dłońmi o blanki i wyjrzała za krawędź.

– Sierżantowi się to nie spodoba, pani. – Maurice pokręcił głową. – A jego gniew jest srogi.

– Nie bój się starego Longchampa. Jest jak kociak.

Mrużąc oczy, próbowała dojrzeć coś w mroku za murami. Zmierzchało i ledwie udało jej się rozróżnić ciemną sylwetkę. Była jak dziura w gęstniejącej nocy, niemal tego samego koloru co wewnątrz powiek w ciemnym pomieszczeniu.

– A teraz bądź dobrym żołnierzem i przynieść pochodnię, kawałek kredy i zwój mocnej liny.

– Pani?

– Nie musi być znowu jakaś bardzo mocna. Zapewniam cię, że jestem szczuplejsza, niż mogłaby na to wskazywać moja suknia. Zasuważ.

Strażnik potruchtał po schodach, podkute buty szurały o nierówny kamień. Berenice nie spuszczała oka z sylwetki za rozglifieniem. Mogła rozróżnić postać klakiera, tylko jeśli łypała na niego z ukosa, a nie patrzyła bezpośrednio. Był to stary trik żołnierski, którego nauczył ją Longchamp.

Nawet za dnia klakiera trudno było dostrzec z miejsca, w którym stała, znajdowało się bowiem bezpośrednio nad nim. Zdołał dotrzeć do załomu ostrego rawelinu po północnej stronie twierdzy, gdzie nie sięgały go promienie słoneczne. Zarośla i bluszcze karmione deszczem spływającym z muru nie zostały dostatecznie przystrzyżone i ukryły klakiera przed obserwatorami stojącymi na murze, a dobudowana potem do oryginalnej konstrukcji wieżyczka – zdecydowanie nie było to zgodne z zamierzeniem Vaubana – częściowo zasłaniała

widok za róg. Bezmyślne modyfikacje i leniwe przeprowadzanie prac konserwacyjnych spowodowały, że martwego punktu nie usunięto i zapomniany klakier był równie niewidoczny dla znajdującego się na murach przeciwnika, co dla swoich towarzyszy maszerujących przez pole bitwy.

„Dzięki ci, święty Janie, za ostrość widzenia i przenikliwy słuch żołnierzy”.

Sama nie mogła niczego dosłyszeć. Latarnicy krążyli po twierdzy, co oznaczało, że potężny mosiężny dzwon bazyliki świętego Jana Chrzciciela będzie bił na nieszpory. Nawoływanie na wieczorne modły odbijało się echem w wysokich murach twierdzy, uderzało o nie niczym fale o urwisty brzeg Zatoki Hudson. Aż jej zadzwoniły zęby. Chwyciła się blanek. Nie sądziła, aby klakier próbował ją ucapić, nawet gdyby nie był zamknięty w szklistym kokonie.

Temperatura spadła wraz z zachodem słońca. Chłód wieczoru przyprawił Berenice o gęsią skórkę. Ponieważ nie chciała tracić aż tak dużo czasu, odpuściła sobie kolejny przystanek w drodze na mur, żeby zabrać jakiś szal. Propozycja diuka dała jej motywację do działania. Od dnia, kiedy klakier niemal przedostał się do twierdzy, nie mogła się doczekać, aż zobaczy tę istotę z bliska. Musieli wydobyć z tego mechanicznego tak wiele informacji, jak tylko mogli. Kiedyś na pewno wybuchnie kolejna wojna, może nie w tym roku, może nie za pięć lat, ale któregoś dnia to się stanie. Z pewnością wcześniej niż Berenice – albo jej następcą, kolejny Talleyrand – zdoła zastąpić agentów z Hagi. Zadrzała, ale nie z powodu zimna.

Przyszedł Maurice. Sądząc po głosach oraz szuraniu podkutymi buciorami, podążali za nim jacyś żołdacy po służbie. Musiał pewnie zahaczyć o baraki, żeby spełnić prośbę wicehrabiny, a żołnierze potrafią z daleka wyczuć tanią rozrywkę.

Berenice zaczęła się zastanawiać, czy opowieść o jej eskapadzie dotrze do uszu Louisa, zanim ona sama mu o tym powie. Prawdopodobnie tak. Kilka lat temu nawet studiowała proces rozprzestrzeniania się plotek. Odwaliła kawał dobrej roboty, choć troglodyci z Académie des Sciences byli na tyle bezczelni, że odrzucili jej manuskrypt.

– Mam to, o co pani prosiła.

Pochodnia, którą przyniósł Maurice, okazała się dorodnym kawałem klonu – czyżby noga oderwana od krzesła? – owiniętym szmatami i skropionym sosnową żywicą. Przez ramię mężczyzna przerzucony miał zwój szorstkiej konopnej liny grubszej dwukrotnie od jej kciuka. Kiedy odebrała od niego obie rzeczy, podał jej malutki kawałek kredy. Skrzywiła się, a Maurice wzruszył ramionami.

– Następnym razem spróbuj zbałamucić nauczycielkę.

– Zbałamuciłem. Myśli pani, że jak się tutaj znalazłem?

Maurice zawiązał na sznurze pętlę na tyle szeroką, że Berenice zmieściła tam obie stopy. Zzuła buty i zimny kamień połaskotał jej skórę, aż poczuła drganie

mięśni łydek; dokuczały jej też zakwasy. Przerzuciła pętlę za parapet. Kiedy zawisnęła jakiś metr niżej, gestem dała znak strażnikom, którzy przyszli na mur z Maurice'em.

– Przydadzicie się na coś, wy dwaj. Łapcie za drugi koniec i mnie nie upuśćcie.

Żołdacy spojrzeli po sobie, po czym przystąpili do działania i chwycili sznur. Jeden obwiązał się nim wokół pasa i stanął za wielkim żelaznym, dwukomorowym kotłem, podczas gdy jego kolega założył rękawiczki i zacisnął pętlę. Jak inne podobne kotły ustawione na murze, ten również pełen był żywicy epoksydowej. I tak jak pozostałe, był często używany.

Berenice przysiadła na krawędzi muru i wsunęła stopy w pętlę. Strażnicy opuszczali linę kawałek po kawałku, aż mogła na niej stabilnie stanąć. Chwytając sznur jedną, a pochodnię drugą ręką, odepchnęła się od ściany i dyndała jakieś dwadzieścia pięć metrów nad ziemią. Syknięcie, jakie wydał z siebie Maurice, zdradziło jej, co żołnierz myśli o tym przedsięwzięciu.

– I byłabym wdzięczna, panowie, gdybyście nie gapili mi się w dekolt – rzuciła, a kiedy nareszcie zawisała na takiej wysokości, że jej oczy znalazły się na poziomie ich buciorów, uniosła pochodnię wysoko nad głowę. – Może byście skorzystali z zapalek, co?

Towarzysze Maurice'a obejrzeni się przez ramię. Jeden z nich, ten, który robił za kotwicę, puścił jedną ręką sznur, żeby się przeżegnać.

– Na Boga. – Berenice przewróciła oczami. – Uspokój swoich twardzieli. Jeśli pewien budzący grozę sierżant dowie się o tym, cośmy tutaj wyprawiali, powiem, że to był mój pomysł i że zmusiłam was do tego groźbą rozkwaszenia nosa na miazgę.

– A, no to skoro tak... – podsumował Maurice.

Strażnik przejechał zapalką po kamieniu, wychylił się i przytknął siarkę do szmaty, która od razu zajęła się ogniem. Berenice ucieszyła się, czując bijące od płomienia ciepło, choć nagły błysk sprawił, że zaboląły ją oczy. Uważając, żeby zbytnio nie zbliżyć pochodni do sznura, i omijając kapiące, skwierczące krople sosnowej żywicy, powiedziała:

– Opuśćcie mnie. Byle powoli.

Światło pochodni odbijało się od szklistej masy przyklejonej do ściany około dziesięciu metrów nad ziemią. Żywiczna kula miała rozmiar zebranej na jesieni rolki siana, jej przypominające macki krawędzie świadczyły o rozprysku. Klakier dostał bezpośrednio. Zalała go chemiczna struga, która pokryła jego pancerz i ścianę sekundę po tym, jak doszło do kontaktu, zaś atmosfera utwardziła skorupę na tyle, że nawet mechaniczny zabójca nie mógł jej skruszyć. Czarna alchemia ożywiła morderczą maszynę, chemia ją zatrzymała.

Spoglądając w dół, Berenice rozpoznała ogólny zarys rozłożonych ramion

zamarłych podczas podjętej przez mechanicznego próby wspięcia się po murze, nieco przysłoniętych zasłoną bluszczu. Zapałka rzucona przez Maurice'a poszybowała gdzieś pomiędzy barki a szyję klakiera. Na niewielkiej części jego twarzy nie osadziła się chemiczna maź i błysk ognia odbił się złowrogo w kryształowym oku maszyny.

Berencie dała mężczyznom znak, że dotarła tam, gdzie chciała. Pochyliła się. Zmrużyła oczy, patrząc na całkiem przezroczystą powłokę, przez którą widziała palce klakiera wbite w solidny granit tak głęboko, jakby był ciastem drożdżowym. Odbiła się delikatnie od muru, żeby móc się bardziej rozbujać i spojrzeć na ścianę pod mechanicznym. Od jakiegoś trzeciego, może czwartego metra do miejsca, gdzie przyklejony został unieruchomiony klakier, ścianą zygzakiem ciągnęła się darń. Berencie dostrzegła zakończone szponami palce mechanicznego i odcisnięte na murze stopy. Maszyna zostawiła po sobie ślad pokruszonego i odkształconego granitu, niczym świadectwo jej siły, zwielokrotnionej za pomocą alchemii.

Był większy niż zwyczajny sługa. I znacznie silniejszy. Z jego przedramion wystawały postrzępione krawędzie wysuwanych ostrzy. Mechaniczni żołnierze byli stosunkową rzadkością, Berencie nigdy nie widziała żadnego z tak bliska. Poprzedni Talleyrandowie również. A raczej żadnemu z nich nie udało się podejść i takowego spotkania przeżyć. Berencie odetchnęła nerwowo. Maszyna ta była pociskiem, który o mały włos minął swój cel. Kulą rozdzielającą włos na dwoje, śmigającą tuż przy uchu. Oblężenie mogłoby się zakończyć zupełnie inaczej, jeśli intruz przedostałby się na umocnienia. Nawet pojedynczy wojskowy klakier mógłby się przebić przez francuskich żołnierzy niczym stalowy derwisz napędzany czarną magią. Szczególnie teraz, kiedy ich szeregi znacznie się przerzedziły i z tej strony stróżował jedynie niezbędny oddziałik, a sporą część przerzucono na zachodni mur, pod którym stacjonowały wojska oblegające fortecę. Strażnicy pewnie od razu pobiegliby po żywicę, ale dziesiątki padłyby powalone tornadem ostrzy. I wtedy, gdy obrońcy leżeliby martwi, metalowa horda natarłaby na fortecę niczym rój bojowych mrówek.

– Jeszcze pół metra – zawołała – i przytrzymajcie mnie.

Wodził za nią wzrokiem. Berencie przygryzła wargę. Przekrzywiła głowę i zamknęła oczy, starając się wychwycić jakiś dźwięk poza skrzypieniem liny i szmerem płonącego ognia. Ze środka chemicznej skorupy dobywało się słabe tykanie. Położyła dłoń na zaschniętej żywicy. Od drgań wibrowały jej palce, wyczuwała nieustający, równy niczym odmierzany metronomem puls klakiera. Krystaliczne oko się poruszyło. Mechaniczny ją zauważył i będąca odpowiednikiem źrenicy przesłona w jego ślepiu rozszerzyła się. Berencie wciągnęła powietrze do płuc. Nawet teraz, po całych tygodniach bycia uwięzionym jak robak w bursztynie, chęć wykonania rozkazu nadal płonęła w nim

żywym ogniem. Płomienie geas lizały jego duszę i zachęcały do kontynuowania starań, aby zakraść się do miasta i wymordować tak wielu broniących go ludzi, jak to możliwe. Wicehrabina trochę się nagimnastykowała, ale wreszcie udało się jej wyciągnąć krede bez podpalenia bluszczu, sznura lub siebie, po czym narysowała pyłącą się krechę w miejscu, gdzie zasklepione łapy klakiera wbiły się w mur. Ciągłe śledziło ją oko o skomplikowanym mechanizmie. Berenice napotkała jego wzrok. Szklisty kokon aż się zatrzęsł. Rozpoznawszy przeciwnika, klakier starał się wypełnić mordercze geas. Nachylając się do niego, Beatrice szepnęła:

– Cześć, potworze. Jesteś mój. Twoje tajemnice również.

Zastanawiała się, jak najlepiej byłoby odczepić klakiera od ściany bez rozrywania bluszczu. Inaczej mogliby ściągnąć na siebie uwagę holenderskiego wojska, które jak nic połapałoby się, że części rozrzucone na polu bitwy to jedynie zasłona dymna. Musieli...

Nagle lina zwiotczała i Berenice opadła kilkadziesiąt centymetrów, zanim strażnicy z powrotem ją naprężyli, lecz od niespodziewanego szarpnięcia zabolął ją kręgosłup i wypuściła pochodnię, która odbiła się od muru i zgasła w kałuży deszczówki.

– Hej! – zawołała. – Ostrożnie tam!

Z góry dobiegł brzęk, a potem jęknięcie, po czym zza muru wychylił się jakiś żołnierz, zatoczył się i spadł. Berenice ledwie udało się uchylić przed zwłokami, choć trup zahaczył nogą o jej pierś i niemal straciła uchwyt. Ciało gruchnęło o ziemię.

„Kurwa”.

Berenice, zdając sobie sprawę ze swojej sytuacji, poczuła strach zbierający się w trzewiach. Żarliwość, z jaką zabrała się do zbadania klakiera, sprawiła, że stała się nieostrożna.

Sznur zadrżał, jakby ktoś usiłował przeciąć go piłą.

Zaczęła się wspinać, ręka za ręką, przeklinając swoją durną suknię i żałując, że nie wzięła ze sobą rękawic. Nie zważając na bolesne protesty kręgosłupa, poruszała się, jak mogła najszybciej. Była tuż przy murze, gdy zaczęła znowu opadać, ale zaraz sznur się napiął. Uderzyła zdrętwiałymi palcami stóp o ścianę, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, żeby zmniejszyć napór na linę. Przerzuciła jedną rękę przez parapet, ale musiała ją zabrać, bo ktoś próbował ją nadepnąć. Zdecydowała się jednak spróbować i sięgnęła raz jeszcze. Kiedy buciór zdradzieckiego żołnierza opadł i zgniótł jej palce, jakoś zdołała przetrzymać ból, zeskoczyć z liny i drugą ręką chwycić, choć niezbyt pewnie, mężczyznę za kostkę.

– Zabiorę cię, kurwa, ze sobą, ty tchórzliwy tulipaniarski gównojadzie!

Lecz kolejny kopniak pozbawił ją równowagi. Berenice zwisała z muru, trzymając się jedynie na palcach śliskich od potu. Przygotowała się na kolejne

tapnięcie podkutego stałą buta i agonię, jaka przyjdzie wraz ze zmiażdżeniem palców.

Usłyszała jednak jedynie świst czegoś ciężkiego przecinającego powietrze nad jej głową oraz chrzęst łamanych kości. Czyichś łamanych kości. Jakaś silna dłoń złapała ją pewnie za nadgarstek.

– Wicehrabino – rozległ się w mroku znajomy głos.

– Sierzancie – odparła Berenice.

Longchamp wciągnął ją na górę. Kiedy już stanęła na murze, drżąc w przemoczonej od potu sukni i dysząc z ulgą, mężczyzna zapalił pochodnię. Najwyraźniej budzący grozę sierżant uznał, że mrok ich nie osłoni. Zmierzył sobie brodę i spojrzał na człowieka, któremu właśnie wgniół czaszkę. Dwuręczny młot leżał metr dalej, zaraz przy ciele spoczywającego w kałuży krwi Maurice'a. Żołnierz odwiązał sznur Berenice i zginął, ratując jej życie.

Rozpoznała też drugiego żołnierza, pamiętała, że walczył na murze podczas oblężenia. Nie był agentem Imperium.

– Czy to przypadkiem nie jeden z twoich?

– Tak myślę – odparł Longchamp.

Berenice przeszukała kieszenie zdrajcy, podczas gdy sierżant zamknął Maurice'owi oczy, przeżegnał się i odmówił modlitwę. Znalazła jednak tylko kartkę papieru. Była to jedna z tysięcy, jakie fruwały nad głowami obrońców niczym konfetti. Ulotki propagandowe oferowały nagrodę o równowartości wieloletniego żołdu za głowę francuskiego szlachcica lub szlachcianki. Podała ją sierżantowi. Longchamp zgniół ją i rzucił na martwego żołnierza.

– Idiota! Bezmózgi chuj, co mu z fiuta ropa leci! I myślał, że jak tę nagrodę odbierze? Toć Holendrzy już poszli do domu, chciwy morsojebco!

Ostatnie słowo zaakcentował, kopiąc trupa w szyję.

– Hugo – powiedziała, kiedy sierżant wymierzał kolejnego kopniaka. – Hugo.

– Ciebie też powinienem skopać.

– Już sama się skopię za nas dwoje.

– Nie skopiesz. – Podniósł swój młot. – Jak palce?

– Bolać jak cholera. – Spróbowała je ostrożnie rozprostować i zgiąć. – Ale chociaż chyba nie są złamane. – Zamiast odetchnąć, wydała z siebie urywane, przytłumione westchnięcie. – Dziękuję – dodała.

Longchamp ścisnął grzbiet swojego nosa i skrzywił się.

– Błogosławiona Panienko, chroń mnie przed upartą szlachtą.

Deski na podłodze strychu zaskrzypiały, kiedy Jax podniósł nad głowę dębową skrzynię. Ozdobne nity biegnące wzdłuż mosiężnych krawędzi brzęknęły o jego ramiona. Zachował ostrożność, żeby jak go poinstruowano, nie zadrasnąć

krokodylej skóry. Kufer pełen był jesiennych kreacji madame Schoonraad. Już załadował pół tuzina takich z garderobą letnią.

Skrzynia pachniała czerwonym cedrem z Nowego Świata, a olejek z tego drzewa był znakomitym środkiem odstraszającym mole. Z tego samego powodu kufry letnie pachniały lawendą. Jax nigdy nie widział żadnego mola w domu Schoonraadów, ale pani nie chciała ryzykować. Kto wie, jakie to robactwo lęło się w ciemnych i wilgotnych ładowniach oceanicznego frachtowca. Szczególnie takiego, który stał na kotwicy gdzieś pośród śmierdzących wód Nowego Świata. Jax niedługo się o tym przekona, bo spędzi większość podróży pod pokładem.

Zwykle załadunek bagaży oznaczał rzucenie skrzyni przez mansardowe okno na strychu na ręce czekającego na dole innego klakiera, ale Clip udał się do domku letniego za Steenbergem, żeby przykryć meble i zabić okna deskami, a trzeci służący rodziny, Vyk, popłynął do Nowego Amsterdamu przed tygodniem, by przygotować czekającą tam nieruchomość na przyjazd właścicieli. Bez drugiego mechanicznego łapiącego fanty kufer otworzyłby się przy uderzeniu o bruk i zarysował. Dlatego też Jax przenosił wszystko pojedynczo, po ludzku – schodami.

Stopnie były wąskie i strome, na strych prowadziła raczej drabina, a nie klatka z prawdziwego zdarzenia. Schoonraadowie, jak wiele zamożnych rodzin, za punkt honoru przyjęli utrzymanie swojej głównej posiadłości na Lange Voorhout. Wszystkie domy w starszej części miasta wznosiły się na kilka pięter nad sztucznym kanałem. Były wąskimi budynkami przyciśniętymi jeden do drugiego, jak stojący w tłumie ludzie oczekujący na egzekucję. Parter ułożono z cegieł, wyższe kondygnacje z listewek, końskiego włosia i gipsu. Relatywnie niewiele domów mogło się równać z wiejskimi posiadłościami bogatych rodzin, ale lokalizacja i prestiżowy adres zapewniały lepszy status, co rekompensowało niedogodności. Niekiedy, w wyjątkowo tłoczne dni, Jax, Clip i Vyk stali na dachu, póki ich nie wezwano. Latem, w sezonie imprezowym, często można było dostrzec refleksy świetlne odbijające się od klakierów czekających na dachach całego Lange Voorhout.

Gorący popiół wielu geas nadal tlił się w duszy Jaxa. U podstawy obowiązków dźwięczał powoli, ale stabilnie, ciągle obecny w tle łomot hierarchicznego metageas, nieustanne przypomnienie, że służy wielu panom. Symultanicznie koncert wygrywały, wypełniając najniższe rejestry dyskomfortu, dziesiątki stałych geas, tych, które dochodziły do głosu jedynie w przypadku niebezpieczeństwa lub niecodziennych okoliczności. Madame Schoonraad przestrzegła przed ociąganiem się z pakowaniem i nakazała pośpiech. Jednocześnie zaznaczyła, że powinni zwrócić uwagę na skórzane wykończenie, którego nie można było nawet zarysować, i kazała zająć się jej gościem, co doskwierało Jaxowi niczym rozżarzony pręt wbity w oko – topniejący, skwierczący kawał metalu tkwiący w

czaszce.

Z kolei pan Schoonraad rozkazał, żeby Jax zaopiekował się jego gościem i przyszedł do salonu napełnić im kieliszki. Polecenie to co parę minut boleśnie żarzyło się w głowie klakiera, jak zajmujące się ogniem węgle. Pastor Visser poprosił go o przekazanie mikroskopu i to polecenie lizało krawędzie jego udręczonej duszy niczym jęzory ognia. Nalegania Nicolet, aby nosił ją na barana po kolacji, kłuły zaplecze umysłu Jaxa jak rozgrzany marspikiel.

Czyli kolejne zwyczajne popołudnie.

Jax zszedł po schodach, niosąc kufer jedną ręką, na wyciągniętej dłoni. Poruszał się powoli, uważając, żeby nikogo nie uderzyć ani o nikogo się nie otrzeć (metageas dotyczące ludzkiego bezpieczeństwa: niekończąca się ognista burza, która rozpętała się w dniu, w którym wykuto Jaxa). Kiedy dotarł do korytarza biegnącego równoległe do pokoju dziennego znajdującego się na najwyższym z pięter, usłyszał przytłumiony głos madame Schoonraad:

– ...strasznie okrutne. Aż trudno sobie wyobrazić, jakie trudności piętrzy tak gruntowna przeprowadzka za ocean. Naprawdę nie masz pojęcia.

– Domyślam się, moja droga. I te wszystkie obowiązki, jakie na ciebie spadły.

Głos należał do madame de Geer.

– A czy Korona nie może pożyczyć ci choćby jednego klakiera?

Pani Jaxa odparła:

– Nie! No i jeden nasz już siedzi w Nowym Amsterdamie – na te słowa madame de Geer jak nic zareagowała dramatycznym wzruszeniem ramion. – Połowę roboty praktycznie odwałam sama, bo pozostali dwaj nigdy nie dawali z siebie wszystkiego. Nie rozumiem, czemu ojciec Pieta nie posłał ich z powrotem do kuźni już z kilkadziesiąt lat temu. Ale jakoś to znoszę. Tylko właściwie po co? Żebyśmy mogli odwrócić się plecami od cywilizacji i żyć w kraju rozdartym przez wojnę?

Brzęknęła odstawiana na spodeczek filiżanka.

– Jestem pewna, że nie będzie aż tak okropnie. Co?

– Czy wiedziałaś może – Brigitta Schoonraad podniosła głos, żeby nie zagłuszyło go skrzypienie krzesła – że jeśli mieszkasz w Nowym Amsterdamie i twój służący ulegnie zniszczeniu, trzeba go odesłać z powrotem do Europy? Do budynku, który znajduje się zaledwie kilometr stąd?

– Ale... to może zająć tygodnie.

– Właśnie!

– Nie bój nic, kochanie. Rozumiem, że sytuacja się zmieni. Przecież nareszcie nauczą się naprawiać mechanicznych na miejscu.

– Tak, ale co mam robić do tej pory? Nasi klakierzy są w strasznym stanie, już się rozpadają.

– Hmm, lecz stosunkowo rzadko się psują. Raczej nigdy nie będziesz musiała się borykać z podobnymi niedogodnościami.

– Może tutaj się rzadko psują, ale w Nowym Świecie? Parę tygodni temu jeden strzelał do drugiego! Słyszałam okropne opowieści, którymi nie mam zamiaru cię męczyć, są zbyt straszne. Ponoć ci francuscy partyzanci dopuszczają się niegodziwych, paskudnych czynów na oczach innych ludzi i jeszcze się tym chełpią. Cieszy ich niszczenie mechanicznych.

Jax postawił skrzynię na podłodze. Dyskretnie zastukał do drzwi dla służby i odczekał chwilę, zanim wślizgnął się do salonu. Nikt by nie powiedział, że mieszkańcy tego domu są w trakcie przenosin za ocean; jego pani nalegała, aby jej pokoje zachowano w stanie nienaruszonym do ostatniej możliwej chwili. Bo na jaką rozrywkę, jeśli w ogóle, może liczyć w Nowym Amsterdamzie? Światło słoneczne wpadało przez pokryte wzorkami szyby i odbijało się, lśniąc, od srebrnej nici brokatowych zasłon. Jego blask podkreślał turkusowe filigrany na grubych ciemnoczerwonych dywanach zakrywających całą podłogę bawialni; wykonano je ręcznie na tureckich terenach Imperium i przed pięćdziesięcioma laty były prezentem ślubnym dla matki Pietera Schoonraada. Dwa pełne dni zabrało Jaxowi, Clipowi i Vykowi przemodelowanie podłogi tego pokoju, żeby można było bez przeszkód rozwinąć na niej dywan.

Klakier de Geer, Fig, stała w rogu w nienachalnej odległości ramienia, gotowa spełnić każdą zachciankę swojej pani. To jednak na Jaxa, jako na własność gospodyni, spadała odpowiedzialność dbania o wygodę gościa. Kiedy przechodził przez salon, skinął Fig głową – było to zaledwie pojedyncze drgnięcie podbródka, szybsze, niż mogłoby dostrzec ludzkie oko. Dobrze było ją zobaczyć, zawsze nieźle się dogadywali. Po szybkiej korekcie napięcia w przekładni poprawił układ swojego mechanicznego kręgosłupa.

„Zegarmistrzowie kłamią”, powiedziała Fig.

Ostatnie słowa Adama stały się niemalże pozdrowieniem pośród ich gatunku.

„Zegarmistrzowie kłamią”, odparł, szczękając.

Z nagłym brzdęknięciem naciągniętej sprężyny napędowej Fig dodała:

„Tak jak i te tłuste krowy”.

Jax napiął sprężyny w ramionach, żeby powstrzymać śmiech. Miała złośliwe poczucie humoru i przez to kiedyś wpędzi kogoś – zapewne jego – w kłopoty. I choć chciał jeszcze z nią pogadać, jego geas zmusiło go do zwrócenia uwagi na ludzi.

Schoonraad i de Geer siedziały na krzesłach z drewna tekowego wyłożonych poduszkami z gęsiego pierza. Czerwień i brąz sukni pani Schoonraad nadawały jej wygląd zgniłego jabłka. Do podbródka dociśnięty miała kołnierz, a fałdy spódnicy opadły wokół krzesła. Przez ostatnią dekadę dekolty się zmniejszyły, a długość

sukni wydłużyła. Jax od stulecia obserwował stopniowy upadek niegdyś wysublimowanego krawieckiego rzemiosła i mody. Zwrócił mu na to uwagę starszy, mądrzejszy klakier imieniem Tink. De Geer miała na sobie podobną kreację, tyle że w kolorach kremowym i czarnym, przez co wyglądała jak przeżarta papierowa pszczoła.

Kończyła im się herbata i Jax, niezauważalny niczym cień, napełnił im filiżanki, tym samym opróżniając imbryk. Na tacce z ciasteczkami zostały tylko okruchy.

– Podać jeszcze speculaas, pani? – szepnęła.

Machnęła na niego ręką, co przyjął z ulgą. Obawiał się, że podczas pieczenia źle obliczył zapotrzebowanie na swoje wyroby cukiernicze. Odstawił imbryk na tackę i wycofał się z powrotem do korytarza dla służby.

Kiedy zamykał drzwi, usłyszał, jak jego pani mówi:

– Jestem w trakcie pakowania swoich ubrań, ale naprawdę nie wiem, po co w ogóle tak się staram. To wykańczające – przecież to wszystko zaraz powychodzi z mody.

– Moja droga – powiedziała de Geer – przez parę tygodni nie pokryjesz się patyną. Będiesz błyszczeć, otulona jedwabiem, podczas gdy tamci łążą pewnie w cholernych zwierzęcych futrach.

Śmiech obu pań nieco zelżał, kiedy Jax znalazł się przy kolejnej klatce schodowej, a raczej stromych stopniach. Tym razem nie mógł nawet złapać się prowizorycznej poręczy, bo w jednej ręce niósł nad głową kufer, a w drugiej serwis do herbaty.

Podszedł do kolejnych drzwi i zapukał do pokoi pana Schoonraada. Zachowywał się, jak najciszej umiał, tak jak uprzednio na górze. O ile jego pani lubiła światło słoneczne i jedwabie, o tyle jej mąż i prawdziwy właściciel Jaxa wolał załatwiać swoje interesy otoczony ciemnym drewnem orzechowca, często siedząc przy zasłoniętych storach. Gdy tylko klakier przekroczył próg pokoju, owionął go dym cygara – sączył się przez otwory jego mechanicznego ciała, płynął pomiędzy ząbkami zębatek, muskał alchemiczne znaki na jego czole.

– Już... – zaczął mówić Pieter Schoonraad.

„Zegarmistrzowie kłamią”, odezwał się stojący w rogu klakier. Pełnił taką samą funkcję jak Fig. Jax nie znał jego imienia, ale był mu bratem.

„Zegarmistrzowie kłamią”.

Grzechoczące pozdrowienia zajęły im zaledwie ułamek sekundy.

– ...kończę.

– Chrystusie, coś powstał z martwych, szybko ci poszło.

Karafka na brandy z rżniętego szkła stała na kredensie do połowy opróżniona. Stąpając najciszej, jak się da, Jax przeszedł obok skórzanego fotela-uszaka, na którym, z pustym kieliszkiem w dłoni, relaksował się gość jego pana. Drugi

kieliszek, również pusty, stał obok popielniczki Schoonraada.

Mimo że nieznamy mężczyzna ubrany był podobnie do wielu współpracowników jego pana, Jax go nie poznawał. Koledzy Schoonraada, głównie prawnicy, obnosili się ze swoim bogactwem tak naturalnie, jak inni ludzie nakładali na grzbiet stary, lecz wygodny płaszcz – nie z surową ostentacją rodziny królewskiej, lecz nonszalancko. Błysnął diament osadzony na szpilce od krawata, która wystawała beztrosko ze zdobionego fularu, starannie wykonane ogniwa łańcuszka od zegarka były chyba wykonane z białego złota, a wewnątrz kapelusza trzymanego przez służącego wyłożono gronostajem.

– No... tak. Chcę to załatwić po moim wyjeździe jak najszybciej – odparł Schoonraad. Zaciągnął się cygarem, którego koniec zapalił się aksamitnym pomarańczem. – Bank, jak zapewne jesteś świadomy, będzie przedmiotem królewskiego audytu. Kiępsko, jeśli skarbcie okażą się puste. Bo choć van Althuisowie byli faktycznie wygodnymi kozłami ofiarnymi, to następnym razem my dostaniemy po głowie.

Metalowe palce Jaxa zadzwoniły o kryształ karafki. Napełnił kieliszek gościa, uważając, żeby nie stanąć pomiędzy mężczyznami, kiedy ci ze sobą rozmawiali. Skorzystał z okazji, aby ocenić klarowność oczu swojego pana, zobaczyć, czy są mętne lub nabiegłe krwią. Nie były, dlatego Jax nalał mu do kieliszka alkoholu na dwa grube paluchy. Drugi z mężczyzn intensywnie gestykułował i rozlał nieco brandy na swoje drogie odzienie.

– Aleś krewki. Nie pasuje to do ciebie. Gryzipiórki są raczej konserwatywne.

– Konserwa konserwą, ale nie chcę zawisnąć – odparł Schoonraad. Upił łyk brandy. Przez moment przytrzymał płyn w ustach, po czym przełknął głośno. – Lecz zasłużymy sobie na to, jeśli pozwolimy, aby taka okazja przeszła nam koło nosa. Zanim kolejna kuźnia trafi na stoły kreślarskie, mogą minąć stulecia. Musimy zrobić to teraz, póki jeszcze trwa budowa.

Gość starał się wytrzymać spojrzenie bankiera, ale zrejterował. Schował się za potężnym łykiem mocnego alkoholu, którym się zakrzusił. Kiedy przestał kaszleć, otarł oczy i powiedział:

– Jeszcze nie uzgodniliśmy ceny! Alchemicy na pewno się wycwanią i nie kupią dużo...

„A tak w ogóle, to jestem Jax”.

„Dwyre – przedstawił się stojący pod ścianą klakier i przekrzywił minimalnie głowę. – Jesteś tutaj zupełnie sam? Cóż za samotna służba”.

„Tylko dzisiaj. Pan Schoonraad ma trzech mechanicznych. Tamci to Clip i Vyk”.

– ...bo uznają, że bazując na jednej próbce, sami się wszystkiego nauczą. Schoonraad prychnął.

– Alchemicy. Czarodzieje. Co oni wiedzą o chemii?
– Wystarczająco, żeby to nas obarczyć winą. Przez twoją porywczosć.
– Nie bądź tchórzem. Jeśli faktycznie potrafia robić to, o czym tak krzyczą, już od dziesiątków lat sami wytwarzaliby swoje rozpuszczalniki i środki rozmiękczone żywicę. Zaakceptują naszą propozycję i jeszcze nam podziękują. Nie tylko dlatego, że idealnie dopasowaliśmy się czasowo, skoro rusza budowa nowej kuźni. Chodzi też o moje źródło, które ma dostęp do pewnych minerałów, a one z pewnością zainteresują zegarmistrzów.

Dwyre zagrzechotał:

„Pewnie i ty się niedługo wyprowadzisz. Szkoda. Wydajesz się miły”.

„Tylko na jakieś trzydzieści lat – odparł Jax. – Tyle jeszcze przewiduje okres wypożyczenia mnie obecnemu właścicielowi przez Tron. Schoonraadowie, a raczej ich dzieci, kiedyś na pewno przyplyną z powrotem”.

„Och! – rzekł Dwyre. – Czyli pewnie się jeszcze spotkamy”.

„Taką mam nadzieję”, odparł Jax.

Biedne samotne stworzenie. Wydawał się łaknąć kontaktu z innymi klakierami. Kim był jego pan, skoro ewidentnie miał na służbie tylko jednego mechanicznego? I czym się zajmował, skoro Dwyre był odizolowany od innych przedstawicieli swojego gatunku? Jax przystanął jeszcze na chwilę. Mężczyźni szybko opróżniali kieliszki, czyli lepiej było poczekać.

– Chyba powinieneś oddać maszynę do konserwacji – powiedział gość. – Skrzypi prawie tak głośno jak moja, rżęch i kupa złomu.

Z nozdrzy Schoonraada buchnął dym.

– Odnowiłem umowę wypożyczenia parę lat temu i wtedy mieli zrobić przegląd. Horolodzy – rzucił z lekceważeniem. – Nikt już nie czerpie dumy ze swojego fachu.

– Lecz to jest dopiero fach! Żałuję, że mój pra-pra-pradziadek nie wykazał się zapobiegliwością, zanim zamknięto Gildię...

– Przestań zmieniać temat!

Schoonraad wyciągnął z ust cygaro i wyrzucił je, jakby właśnie odkrył, że jest żywe i próbowało wygryźć mu twarz. Dwyre przemknął przez gabinet i chwycił niedopałek zaledwie centymetry od płaszcza jego pana; jeszcze chwila i żar jak nic przypaliłby ramię mężczyzny. Klaniając się lekko, klakier odłożył cygaro do popielniczki:

– Przepraszam bardzo, ale to chyba należy do pana.

Dwyre wycofał się do swojego miejsca w rogu. Na powierzchni cygara odcisnęły się delikatnie jego dwa palce. Schoonraad podniósł cygaro i zaczął je ćmić, jakby nic się nie wydarzyło.

– Już zaangażowaliśmy się w ten projekt – powiedział. – Jeśli nie wypali, to

wszyscy popłyniemy. I upewnię się, cholera jasna, że będziesz stał obok mnie, kiedy otworzą zapadnię.

Mężczyzna westchnął. Dopił brandy i odstawił kieliszek na biurko Schoonraada.

– Skontaktuję się – rzucił.

Dwyre, trzymając w rękach kapelusz, zrobił krok naprzód.

– A kiedy to zrobię – dodał gość – miej lepiej coś więcej niż próbkę. Może zrobisz przerwę od liczenia monet i zastanowisz się nad sposobem przekroczenia granicy. Gdybyś nie wiedział, Francuzi pewnie pilnują jej jak wygłodniałe sępy. – Wziął kapelusz i go założył. – Bywaj.

Jax odprowadził gości na półpiętro.

„Żegnaj, Jax”.

„Żegnaj, Dwyre. Cieszę się, że cię poznałem”.

„Ja też”, odparł samotny klakier.

Schoonraad zatrzasnął drzwi. Strużki papierosowego dymu tańczyły wokół nich. Jax dopilnował, żeby goście wyszli za próg, i na powrót zniknął w korytarzu dla służby, gdzie podniósł skrzynię, serwis do herbaty i kieliszki, po czym podążył w stronę następnych stromych stopni.

Nie przyszli po niego tamtego popołudnia do Nieuwe Kerk. Nie wyłamali mu drzwi i nie wywlekli z łóżka w środku nocy. Następnego dnia nie zakuli w kajdany podczas porannej mszy.

Cały dzień spędził, czekając na nakręcaczy. Ale się nie pojawili – ani za dnia, ani nocą. Kolejnego dnia i kolejnej nocy też nie. Dało mu to czas, by pomyśleć. I poczytać gazety.

Z nich dowiedział się, że powieszono czworo ludzi: dwóch mężczyzn i dwie kobiety... co oznaczało, że jeden nie był od nich. Łącznie z Visserem do pięcioosobowej siatki haskiej należało jedynie dwóch mężczyzn. Czyli kogo stracono na placu Huygensa? I dlaczego? Najwyraźniej chcieli, aby Nowa Francja uwierzyła, że złapano czwórkę. A skoro on uniknął aresztowania, to oznaczałoby, że jeszcze jednej agentce udało się pozostać przy życiu. Mogła oczywiście cierpieć katusze w lochach budynku Gildii, gdzie wyciskano z niej ostatnie strzępy informacji.

Musiał pomóc tej biednej kobiecie. Założywszy, że faktycznie jeszcze żyła.

Jego męczeństwo stało się praktycznie pewnością. Najlepsze, co mógł wobec tego zrobić, to przyjść z pomocą pokrzywdzonym. Całą swoją dotychczasową posługę spędził na pomaganiu klakierom. Teraz, gdy pozostało mu już niewiele godzin, robi to dla człowieka. Agentka z pewnością zasłużyła na nagrodę, którą otrzyma w niebie, ale kaci Tronu już zadbają o to, aby prędko jej nie

doświadczyła. Jako katolik, tak jak każdy, kto idzie za Chrystusem, miał moralny i duchowy obowiązek ulżyć takiemu cierpieniu. Musiał pomodlić się do Ducha Świętego i wmaszerować prosto do paszczy lwa. Lecz powinien zachowywać się tak, żeby nikt niczego nie zauważył. Hendriks, minister generalny, poważał go i szanował. Spróbuje zrobić z tego dobry użytek.

Pastor wyciągnął różaniec z sekretnej szufladki pod łóżkiem. Opuścił rolety, klęknął na zakurzonej, drewnianej podłodze swojej skromnej plebanii i wyrecytował pełny cykl. Modlitwa oczyściła jego myśli, upewniła, że obrał dobry kierunek, dodała odwagi. Przepełniony świętym postanowieniem narzucił płaszcz i założył kapelusz, po czym wyszedł prosto na skraj szmaragdowego cmentarza przy Nieuwe Kerk. Rozejrzał się na lewo i na prawo, ale żadne mechaniczne centaury nie kręciły się pod domkiem. Ani na placu przed kościołem. Grobowiec Barucha Spinozy sięgał człowiekowi zaledwie do kolan, nawet nakręcacz nie dałby rady się za nim schować.

Na ziemię padł cień przelatującego okrętu powietrznego. Tuż nad brzegiem kanału zarządca besztął paru mechanicznych maszerujących wzdłuż trekvaartu, gdzie cumowano łodzie, wpływające i wypływające dwadzieścia cztery godziny na dobę. Żwir chrzęścił pod metalowymi stopami służących, kiedy przemierzali ścieżkę holowniczą. Ci sami klakierzy pracowali tam bez przerwy od lat, na długo zanim Visser został pastorem w Nieuwe Kerk. Mijał ich każdego dnia. I choć było to nieco nietypowe zachowanie jak na osobę o jego pozycji – pastora, filara tej społeczności i człowieka opowiadającego się za zachowaniem obowiązującego porządku społecznego – zdążył ich nieco poznać. Próbował przekonująco odgrywać swoją rolę, ale jego sumienie i zwyczajna przyzwoitość nie pozwoliły mu udawać, że każdego ranka i po zmierzchu nie patrzy na nich przez kuchenne okno. Nieuwe Kerk, plac przed kościołem i plebania były usytuowane na kwadratowej wysepce pośrodku miasta. Rzeka Spui tworzyła jej naturalną wschodnią granicę, na południu i północy znajdowały się Amsterdam Veerkade i Rotterdam Veerkade, stare kanały prowadzące do tychże miast. Na zachodnim brzegu wyspy biegł z kolei Paviljoensgracht. Kościół Hendriksa, historyczny Sint-Jacobskerk, stał praktycznie na zachód od Binnenhofu, który z kolei znajdował się na północ od Nieuwe Kerk. Visser wskoczył na łódź płynącą na zachód Rotterdam Veerkade, a potem skorzystał z niespodziewanie jak na tę porę roku słonecznej pogody i przeszedł się wzdłuż Torenstraat (ulicy nazwanej po dzwonnicy Sint-Jacobskerk) ku rezydencji Hendriksa.

Ładna pogoda i spokojny plusk wody relaksowały pastora, dlatego też do drzwi ministra generalnego zapukał spokojny i opanowany. Słyszał dochodzącą ze środka muzykę sakralną. Musiał zastukać ponownie, zanim ktoś mu otworzył.

– Pastorze Visser – powiedział klakier. – Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym porozmawiać z ministrem generalnym Hendriksem, jeśli łaska.
- Czy pan się tej wizyty spodziewa?
- Obawiam się, że nie. Chodzi o sprawy duchowe.
- Oczywiście.

Maszyna odsunęła się na bok, pozwalając mu wejść.

- Proszę tutaj poczekać.

Zniknęła we wnętrzu domu. Hendriks miał trzech klakierów, ale sądząc po dźwiękach dobywających się z głębi rezydencji, dwóch grało właśnie utwór na skrzypce i wiolonczelę. Podobny obrazek nie był rzadkością w domach tych, którzy mogli sobie na podobne przyjemności pozwolić: kazać odtworzyć dowolną partyturę, kiedy tylko miało się na to ochotę. Służący Hendriksa zdążyli opanować całkiem szeroki repertuar.

Visser nie miał służącego. Była to kwestia, w której pozostawał w zgodzie z sobą niezależnie od pełnionej funkcji: jako protestancki pastor nie pozwolił kościołowi wypożyczyć dla siebie klakiera, argumentując, że nie będzie to najlepsze wykorzystanie datków od wiernych. Sam fakt, że nie złożył ślubów ubóstwa, nie nakładał na niego obowiązku prowadzenia się jak król. Z kolei jako utajony katolik, który spędził całe lata na podminowywaniu potęgi Imperium, nie miał zamiaru popierać niewolnictwa i zatrudniać u siebie mechanicznego.

Przyszedł klakier Hendriksa. Pastor nie znał jego imienia, a pytanie o nie byłoby tutaj za bardzo ryzykowne.

- Minister generalny prosi, żeby dołączył pan do niego w salonie. Zaprowadzić pana?

- Nie – odparł, podając maszynie płaszcz i kapelusz.

Hendriks nie był sam. Towarzystwa dotrzymywała mu urocza kobieta w sukni koloru leśnego, ze strusim piórem we włosach i wisiosem Gildii Zegarmistrzowskiej na dekolcie, przedstawiającym różokrzyż. Visser poczuł, że oblewa go wstyd, iż zawładnął nim fizyczny pociąg.

Minister wstał, żeby przywitać się z pastorem. Służący przestali grać w pół taktu, ale trzymali swoje smyczki przy instrumentach. Zamarli.

- Luuk! Cóż za miła niespodzianka.

– Przepraszam, że tak wpadam bez zapowiedzi – powiedział, raz jeszcze zerknął na wisior Gildii i niemal stracił równowagę; insygnia przedstawiały inkrustowany symbol Nadleśnictwa. – I... mogę... mogę przyjść kiedy indziej, kiedy nie będziesz miał gościa.

Zrobił krok w kierunku wyjścia z salonu.

– Nonsens! Proszę, dołącz do nas, nalegam. – Minister przywołał go gestem i pastor dostawił sobie krzesło, po czym usiadł pomiędzy gospodarzem a jego gościem. – Pastor Luuk Visser, Anastazja Bell – przedstawił ich sobie Hendriks. –

Zawiaduje teraz nakręcaczami. Kiedy stary Konig zrezygnował ze stanowiska, zastąpiła go tuinier Bell. Na pewno ją kojarzysz.

O tak, każdy kojarzył kata Imperium. Znaczący ogrodniczkę. Tę, która wyrывała chwasty.

„Paszcza lwa, paszcza lwa, paszcza lwa”, powtarzał sobie w myślach Visser.

Pozdrowił Bell przyjaznym (jak miał nadzieję) skinieniem głowy.

– Cieszę się, że nareszcie pana poznałam, pastorze. Sporo o panu słyszałam.

Nie było to coś, co chciałby usłyszeć ukrywający się katolik od szefowej nakręcaczy. Gdyby już nie zdecydował się na całe to męczeństwo, nadal mógłby uciec.

„Paszcza lwa...”.

– Czyżby?

– Jozef bardzo ciepło się o panu wypowiada – powiedziała.

Miała bladą cerę i była drobną kobietą o głosie pasującym do jej postury. Zastanawiał się, czy to efekt uboczny wdychania alchemicznych oparów. Albo popiołów z kuźni. Albo tłustego dymu z palonych ludzi.

Pozwolił sobie na nadzieję przemieszana z goryczą, że czarne kłęby unoszące się z jego umęczonych zwłok okażą się szczególnie trujące dla jego oprawcy. I od razu pożałował tej myśli. Małostkowość nie jest rzeczą godną człowieka Boga.

– Prawda – potwierdził Hendriks.

Znowu pojawił się jego służący, tym razem niósł tackę z serwisem herbacianym. Listki wrzucono do niebiesko-białego pojemniczka Delftware ozdobionego literami „VOC”, czyli Vereenigde Oost-Indische Compagnie, Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Kiedy klakier napełnił trzy filiżanki, minister nachylił się i zmarszczył brwi.

– Mówiłeś, że to sprawa duchowa?

– Boże – rzuciła Bell. – Czy chce się pan wypowiedzieć?

Położyła wyraźny nacisk na ostatnie słowo. Jej zachowanie było cokolwiek prowokujące i pastor uznał, że jest ewidentnie niebezpieczna. Zbyt niebezpieczna, by ją zlekceważyć. Zdecydował się podjąć jej grę.

– Akurat o to chodzi. – Spojrzał znowu na Hendriksa. – Zawiodłem jako duchowny.

– Jak to? – skrzywił się minister.

– Czytałem parę dni temu o egzekucjach...

– Czytał pan? A nie był? – Bell powiedziała to tonem, jakby Visserowi nie chciało się przejść na drugą stronę ulicy, żeby na własne oczy zobaczyć Powtórne Przyjście.

– Niestety nie. Byłem zajęty pisaniem listu do Nowego Amsterdamu, do ministra generalnego Langbroeka – powiedział i zrelacjonował wizytę Jaxa w

Nieuwe Kerk.

– Czyli to Schoonraad zastąpi starego van Althuisa, tak?

Bell pokręciła głową i skrzywiła się z niezadowoleniem.

– Ha, van Althuisowie – splunęła. – Złodzieje. Żałuję, że Tron nie dał mi ich przesłuchać, zanim wymknęli się na swoje zamorskie wygnanie. – Rozbawienie w jej głosie ustąpiło miejsca powadze, zaś w jej oczach mignęły mordercze ogniki. Vissera znowu opuściła odwaga.

– A kto nie żałuje. Lecz wróćmy do tematu. Luuk, co tam wyczytałeś?

– O ile dobrze zrozumiałem, zaoferowaliście papistom szansę na odkupienie win w oczach Pana i odmówili.

– Zeloci zawsze tak mają. Ale próbowaliśmy.

„Panie, daj mi odwagę”.

Zapach herbaty go uspokajał, lecz nie miał zamiaru chwytać za filiżankę, póki tak drżały mu dłonie.

– Ogromna tragedia. I jeśli mi wybaczycie, że to mówię, wszyscy zawiniliśmy. Naszym zadaniem jest ich nawrócić. Gdyby nadarzyła się kolejna taka okazja, chciałbym zaproponować swoje usługi.

– Chcesz nawracać katolickich heretyków?

– Rozumiem, że to może być zbędny trud. Ale tak powinno się robić po chrześcijańsku.

Hendriks i Bell wymienili spojrzenia.

– Drogi pastorze! – zawołała kobieta. – Może to właśnie pana potrzebujemy.

Kropla potu spłynęła po karku Vissera. „Moim Ogrójcem jest ten salon. Podążę za przykładem Jezusa Chrystusa. Nie umknę przed swoim przeznaczeniem”.

– Myślę, że tuinier chodzi o to, że obecna sytuacja jest dość... szczególna – zaczął Hendriks. – Rozmawialiśmy o niej, nim się pojawiłeś. Możesz być odpowiedzią na nasze modlitwy.

Pastor ośmielił się upić łyk herbaty. Miała lekki posmak anyżu.

– Szczególna?

– Nasi nakręcacze wyłapali ostatnio papistowskie szczury – powiedziała Bell – ale nie wykonaliśmy egzekucji na całej czwórce.

Visser skupił się na opanowaniu trzęsącej się dłoni. Miał rację! Ktoś z rozbitej siatki nadal przechodził męczarnie w lochach. A teraz Tron, poprzez ministra generalnego i tę kobietę z Gildii, chciał, żeby pastor pomógł poprowadzić przesłuchanie.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparł.

Chełpliwy uśmiezek, jaki zagościł na twarzy kobiety, wykręcił mu wnętrzności. Może anyż nie był jednak tak kojący, jak się spodziewał.

– Mamy jeszcze jednego szpiega, którego trzymamy w celu ekstensywnego

przesłuchania – dodała Bell. – Ta kobieta okazała się jednak wyjątkowo uparta.

– Kto został powieszony w jej miejsce?

Hendriks machnął dłonią nad filiżanką, zbywając ważne pytanie, jakby było jakąś bzdurą.

– A, to chyba jakiś szubrawiec. Zawsze mamy paru pod ręką.

Kolejna niewinna ofiara... Visser przechylił filiżankę. Pokręcił głową, udając, że przyswaja sobie usłyszane informacje.

– Mam nadzieję, że wybaczycie mi moją ignorancję, ale... po co ten trud?

– Uznaliśmy, że taki więzień może się przydać – odpowiedziała mu Bell – żeby mógł odpowiedzieć na pytania, jakie mogą się nam nasunąć, kiedy zauważymy coś ciekawego.

„Dobry Boże. Biedna kobieta. Ile już wycierpiała? Zakończ to, Panie. Zakończ”.

– Aha. – Upił kolejny łyk. – Myślicie, że jacyś inni szpiedzy mogą chodzić wolno?

– Jesteśmy tego niemal pewni – powiedziała kobieta z Gildii Zegarmistrzowskiej. – Talleyrand to prawdziwie szczwana bestia.

– Tak słyszałem. – Pastor pokiwał głową i spojrzał na Hendriksa. – Chętnie pomogę – dodał.

Chcieli, żeby siedział beczynnie i patrzył, jak torturują jakąś biedną duszyczkę szczypcami i ogniem. Chcieli, żeby odgrywał rolę łaskawego zbawcy, słuchacza o miękkim sercu. Chcieli, żeby był dobrotliwym duchownym, który może i chce ukrócić jej cierpienie. Chcieli, żeby był jedwabną nicią, za pomocą której wyłowią potrzebne informacje.

– Mówicie, jakbym był stworzony do tego zadania. Proszę wybaczyć moją szczerłość, ale nie do końca rozumiem, czemu pokładacie we mnie aż taką nadzieję.

– Ach, odpowiedź jest szczególnie smakowita. – Minister nachylił się, a drapieżny uśmiech przeciął jego blade lico, które wyglądało teraz cokolwiek groteskowo. – Należy do twojej parafii, już ją poznałeś. Ufa ci i cię szanuje.

„Czyli chcą, żebym nakłonił ją do zidentyfikowania... mnie. Mógłbym oszczędzić wszystkim kłopotu i sam oddać się w ich ręce. Ale wtedy stracę szansę wybawienia jej od cierpienia”.

– Jak się nazywa?

– Aleida Geelens. A przynajmniej tak sądzimy – powiedziała horolożka.

– Wyglądasz na zakłopotanego – stwierdził Hendriks.

Visser przytaknął. Z niekłamaną szczerością powiedział:

– Bo jest to cokolwiek kłopotliwe, ministrze.

Hendriks znowu machnął dłonią.

– Nie bierz tego do siebie. Ludzie tacy jak my nie powinni uważać ani nawet mieć nadziei, że rozumieją, jak myślą Francuzi. Nie spodziewaj się, że uda ci się zidentyfikować katolickiego wilka w owczej skórze, który krąży w twoim stadzie.

– Gdyby to było proste – dodała horolożka – nie potrzebowalibyśmy nakręcaczy.

– Dokładnie.

Visser odstawił filiżankę.

– Pomogę, jak tylko potrafię. Biedna duszyczka.

– Biedna zdradziecka duszyczka – sprostowała Bell.

– Znakomicie – podsumował minister i poinstruował służbę, żeby wznowiła grę.

Klakierzy kontynuowali swój recital dokładnie od tego samego taktu, na którym przestali. Zanim pastor mógł się wymknąć, musiał wytrzymać kolejną godzinę czczej gadki. Bell spojrzała na zegar i stwierdziła, że również już pójdzie. Hendriks odprowadził oboje do drzwi. Goście stanęli na ganku, w jasnym blasku światła słonecznego odbijającego się od złotych dzwonów Sint-Jacobskerk.

– Niedługo się z panią skontaktuję, tuinier.

Słońce zaśniło na pancerzu klakiera drepczącego Torenstraat i blask padł na jej twarz. Horolożka miała zdecydowane, muśnięte fioletem spojrzenie. Jej uśmiech był tak ostry jak wzrok.

– Nie mogę się doczekać pracy z panem, pastorze.

Visser patrzył, jak spokojnie odchodzi wybrukowaną ulicą. Sam nie chciał jeszcze iść do domu, czekał, aż Bell skręci za róg i dołączy do innych przechodniów przekraczających drewniany most. Ta kobieta miała w sobie jakąś złowieszczą niejednoznaczność.

ROZDZIAŁ 5

Księżę Orański był pięciopokładowym, luksusowym liniowcem o pięciuset wiosłach i flagowym okrętem północnoatlantyckiej trasy Niebieskiej Gwiazdy. Firma chełpiła się jednym klakierem przypadającym na trzech podróżujących, paroma kawiarniami i barami, dwoma salami balowymi, halą koncertową na tysiąc miejsc, codziennymi recitalami muzycznymi, dwudziestoczterogodzinnym bufetem na życzenie, basenami, gorącymi kąpielami, kuracjami wodnymi, podtrzymywanym na wspornikach rozkładanym tarasem, który mógłby pomieścić cały plac Huygensa i – a mowa tylko o okazałych pokojach państwa Schoonraad – bogatymi apartamentami oraz armaturą łazienkową z chińskiego jadeitu i peruwiańskiego złota. Jeśli wierzyć kapitanowi, który osobiście powitał szanowaną rodzinę na pokładzie, Księżę Orański od lat był rekordzistą, jeśli chodziło o najszybszą podróż transatlantycką. Potrafił przeciąć morze w zaledwie siedem dni z haczykiem dzięki tysiącowi niezmordowanych mechanicznych wioślarzy, którzy od poranka do zachodu słońca i od zachodu do rana machali wiosłami, od rufy do dziobu wystającymi z otworów rozmieszczonych wzdłuż kadłuba tuż nad poziomem morza. Księżę Orański był uosobieniem luksusu, potęgi i przepychu. A także tego, co już minęło.

Gdy Jax schodził schodami dla służby – niezbyt szeroką kładką dyskretnie przytuloną do imponującej, zewnętrznej części kadłuba, smaganej wiatrem i zraszanej morską wodą – do znajdującej się cztery pokłady niżej od pokoi jego pana sterówki, podziwiał zacumowanego przy sąsiednim moło olbrzyma. Okręt lśnił w słońcu zalewającym rotterdamką przystań. Był wyższy i dłuższy od Księcia Orańskiego i unosił się na wodzie niczym ostrze gotowe lada chwila przeciąć morze na pół. Tak jak każdy oceaniczny liniowiec, i ten nabity był wiosłami, lecz miast sztywnych kończyn tradycyjnego napędu używanego na podobnych okrętach te wiły się w hipnotycznym tańcu niczym płatfusowate macki.

Jax zmrużył oczy, przybliżając obraz aż do limitu dyfrakcji swojego systemu optycznego, i zobaczył niewyraźne linie tam, gdzie nachodziły na siebie płyty podzielone na segmenty. Każda z nich miała taki sam kształt i obudowywały wiosła-kończyny z niemal organiczną elastycznością, co sugerowało, że był to mechanizm niezwykle złożony. Lecz okręt ten nie przemierzał mórz dzięki nieustającej pracy mechanicznych – sam był klakierem, tak jak Złota Karetka królowej, choć na nieporównywalnie większą skalę. Jako pierwsze tak znaczące dokonanie sztuki zegarmistrzowskiej od przeszło stu lat stanowił dowód na możliwość obejścia mechanicznych i logistycznych trudności, które sprawiała

konserwacja i nadzór nad setkami niezależnych maszyn, poprzez połączenie ich funkcji w jeden rozumny silnik. Związany był on wyjątkowymi alchemicznymi geas nieznajdującymi precedensu, dotychczas nie słyszano o takich w całym Imperium, jednak intelekt kierujący okrętem również spętany był kajdanami, co koniec końców sprowadzało go do roli mechanicznego sługi. Był bezsilny. Poddany życzeniom swoich ludzkich stwórców. Bezbronny tytan.

Gdyby okręt ten zabierał pasażerów, Pieter Schoonraad jak nic zarezerwowałby podróż przez Atlantyk na pokładzie najnowocześniejszego i najbardziej zaawansowanego technicznie liniowca na ziemi. Jeśli dopłynąłby do Nowego Świata podczas prestiżowego, dziewiczego rejsu, z pewnością zrobiłby na miejscowych nie lada wrażenie, ale do podobnej wyprawy zostały jeszcze długie miesiące. Dlatego też rodzina musiała przebyć ocean sprawdzonym sposobem.

Nad portem przeleciał latający statek. Szum jego rozmazujących się na tle nieba śmigieł zsyłał na ziemię i morze jednostajne szu-szu-szu. Drgania idące od wirnika młóciły wodę i delikatnie rozpryskiwały fale o burtę Księcia Orańskiego. Sterowce nie powinny latać tak nisko, ponieważ znane były przypadki, że wibracje dokonywały u ludzi uszkodzeń ucha wewnętrznego. Długie na trzydzieści metrów cygaro wypełnione było wodorem, latało powoli, ale stabilnie, i potrafiło zwycięsko mocować się z morskimi podmuchami. Jaxowi kojarzyło się z tłustym łososiem płynącym w górę strumienia przez ławicę szarych chmur popychanych wschodnim wiatrem.

Nigdy nie był na pokładzie statku powietrznego, choć miał nadzieję, że któregoś dnia takowa okazja mu się nadarzy. Słyszał, że te największe dorównują poziomem luksusu oceanicznym liniowcom. A może nawet są jeszcze bardziej komfortowe? Z pewnością są szybsze, dlatego rodzina królewska zazwyczaj lata do Nowego Świata, zamiast płynąć. Żeby jednak przetransportować dobytek Schoonraadów na zamorski kontynent, trzeba by chyba całej konstelacji ociążałych sterowców. Do tego kwota, jaką trzeba by było zapłacić za przewiezienie w ten sposób ładunku, puściłaby z torbami nawet właścicielei Jaxa.

Oparł się narastającej temperaturze żaru, jakim paliły go bieżące geas, żeby przystanąć na moment pomiędzy pokładami i podziwiać wijące się wiosła tytana. Nasłuchiwał szczęków i brzęków, które nie nadchodziły. Macki poruszały się niemalże płynnie, niczym ramiona i nogi ludzkiego tancerza. Cisza była skrajnie dezorientująca, a przecież przystań nie należała do miejsc spokojnych: mewy skrzeczały, liny trzeszczały, skrzynie uderzały o siebie, kiedy ładowano i rozładowywano kropy, ludzie wykrzykiwali rozkazy mechanicznym, uszy przeszywał pisk okrętowych syren i dźwięk portowych sygnałów obwieszczających rozpoczęcie lub zakończenie rejsu. Ponadto słona bryza gwizdała między elementami szkieletu Jaxa, a wody morskie uderzały o pachnące

świeżą rybą burty, od których odbijało się światło słońca. Pod tym wszystkim jednak nadal ziała straszliwa luka, którą powinien wypełniać huk olbrzyma – okrętu-klakiera. Niemal nie mieściło się w głowie, że tak duży mechaniczny pojazd potrafił być tak cichy.

Schodek lekko ugiął się pod stopami mechanicznej służącej pomalowanej na kolory Niebieskiej Gwiazdy – bordo i szarość – co miało imitować liberię. Niosła srebrną tacę. Para kłębiła się pod szeroką szklaną kopułą, którą przykryto kawę, herbatę, słodkości, bekon, jaja, tosty, fasolkę i kilka słoiczków dżemu. Resory w kolanach mechanicznej zniwelowały bujanie stopnia, dzięki czemu mogła utrzymać tacę pod perfekcyjnym kątem. Jax odsunął się, żeby ją przepuścić.

„Zegarmistrzowie kłamią”, powiedział.

Pozdrowiła go tymi samymi słowami. Zatrzymała się kilka stopni nad nim i również omiotła przystań wzrokiem.

„Niesamowity widok, prawda?”, zapytała.

„O tak – odparł Jax. – Aż trudno to ogarnąć”.

Cisza.

Nieznajoma brzmiała nienaturalnie. Trybiki obracały się i stawały na całej długości jego kręgosłupa, istny mechaniczny dreszcz.

„Czy ktoś próbował z nim rozmawiać?”.

„Tak – odpowiedziała klakierka, szcękając zębatkami biodrowymi – ale bezskutecznie. Ci z naszych, którzy pracują w porcie, za każdym razem, kiedy przechodzą obok, próbują się przywitać. Jak do tej pory bez powodzenia”.

Poczucie obowiązku zaczęło przypilać Jaxa coraz bardziej. Ciężko stawił stopę za stopą. Klakierka również wibrowała mocniej niż jeszcze kilka sekund wcześniej. Pokonała kilka stopni. Jax odezwał się do niej:

„Smutne. Czyżby był niemy?”

„Tego nikt nie wie”.

I rozumiejąc się bez słowa, oboje wyruszyli pozbyć się płonącego bólu, jaki doskwierał im z powodu niewykonanych zadań. Każdy mały krok w stronę linii wody przynosił drobną ulgę. Jaxowi przyszła jednak do głowy świeża myśl i aż się zatrzymał. Machina tych rozmiarów potrzebowała niemałej załogi mechanicznych pracującej z ludźmi. Mimo że geas paliły go żywym ogniem, chwycił się balustrady i zawołał do klakierki:

„A co mówią marynarze?”.

„Jeśli w ogóle istnieją – odparła – to nikt ich jeszcze nie widział”.

Nie zwlekając już dłużej, popędziła po schodach. Ludzie rzadko kiedy lubią letnią kawę.

Jax został na kładce tak długo, jak mógł wytrzymać narastający ból, chcąc jeszcze chwilę popatrzeć na tajemniczego tytana. Biedne, samotne stworzenie. Nie

móc skomunikować się ze swoimi braćmi? Być skazanym na przeżywanie doświadczeń o niewyobrażalnej skali? Na zawsze pozostać odcięty od społeczności? Było to okrucieństwo przewyższające najbardziej dokuczliwe geas, każdy mechaniczny znajdował bowiem krzykną pocieszenia w solidarności. Jax przypomniał sobie, jak jemu podobni zebrali się na placu Huygensa, by obejrzeć egzekucję Adama. Pomyślał też o samotności, jaką cierpiał Dwyre. Czy ten gigant odczuwa gigantyczny smutek?

Zanim się zorientował, co w ogóle wyprawia, zeskoczył z kładki na molo i przesadził keję łukowatym susem. Ból wywoływany przez geas gwałtownie narósł. Jax wylądował u burty okrętu, przy plątaninie macek. W ciągu tych kilku sekund, zanim upomniało się o niego poczucie obowiązku, doczołgał się do lin okrętowych rozciągniętych i naprężonych pomiędzy pachołkiem cumowym stojącym na kei a specjalnym otworem ziejącym w burcie rozumnego okrętu. Niemal oślepiony cierpieniem, rzekł:

„Nie jesteś sam. Dostrzegliśmy cię i pozdrawiamy”.

Kara wymierzona przez odwlekanie geas okazała się srozsza, niż się spodziewał. Oddałby wszystko, aby znaleźć w sobie jeszcze trochę siły i móc oprzeć się obowiązkowi choćby przez krótką chwilę, poczekać moment dłużej na odpowiedź. Czemu ich stwórcy muszą odbierać im nawet najprostsze akty empatii? Jax skoczył z powrotem na kładkę Księcia Orańskiego. Gdy tylko porzucił swoje osobiste pragnienia i na powrót skupił się jedynie na zachciankach swoich państwa, żar zniknął.

Jax zszedł pomiędzy popękаныmi, obleczonymi gumą pęcherzami, minął wystające z burty długie na pięćdziesiąt metrów wiosła i dotarł do znajdującej się tuż powyżej poziomu wody sieni. Gdy kładł dłoń na zasuwce z zamiarem jej odemknięcia, rozgrzany do białości marspikiel nowego geas, do tej pory uśpionego, przeszył mu umysł. Jego ciało niemal samo z siebie wykonało wymaganą procedurę. Przez chwilę był jedynie biernym pasażerem swojego pancerza, bezsilnie patrzącym na samego siebie odmykającego zasuwę, chowającego się do środka, zatraskującego zewnętrzne drzwi, sprawdzającego zamek, otwierającego wewnętrzne drzwi i powtarzającego poprzednie czynności. Nadzędne marynistyczne geas wypaliły się tak szybko, jak wybuchły. Ich miejsce niezwłocznie wypełniły znane mu już, uprzednio otrzymane rozkazy.

Stałe procedury, tak jak wiele innych rzeczy na tym okręcie, miały na celu zachowanie względów bezpieczeństwa i były obowiązkowe, nakładano je poprzez tymczasowe, ale obarczone sporym ciężarem geas pomocnicze. Każdy udający się w podróż morską klakier był odpowiednio nastawiany przez przebywającego na pokładzie horologa. Na czas całego rejsu dbałość o bezawaryjne funkcjonowanie okrętu była częścią hierarchicznego metageas, które wypełniało miejsce, gdzie

powinna znajdować się dusza Jaxa. Horologowie szybko dokonywali koniecznych korekt i potrafił wyczuć szwy tam, gdzie pierwotne metageas uciskały te dodane. Jak dębowa noga przytwierdzona do stołu z drewna klonowego. Słoje i włókna do siebie nie pasowały, ale usprawnienie działało bez zarzutu.

Jax był wdzięczny losowi, że nie wypożyczono go cieśli okrętowemu albo firmie transportowej, gdyż uporczywość marynarskich geas doprowadziłyby go do szaleństwa. Rygor ten wydawał mu się zbędny, przykręcano śrubę zbyt mocno. Zastanawiał się, jak wytrzymują to bagażowi oraz klakierscy galernicy.

Ze sterówki zszedł poniżej poziomu morza, do ładowni. Madame Schoonraad uznała bowiem, że letni szal może nie stanowić dostatecznie skutecznej ochrony przed dmącym od morza chłodnym wiatrem, który począł świszczeć, kiedy okręt opuścił portowy falochron. Ponadto latające niebo chmury malowały Morze Północne niepokojącą szarością, dlatego podczas pierwszych godzin podróży madame potrzebowała dodatku o odpowiednim akcencie kolorystycznym. Jax został wysłany, żeby wydobyć żądane rzeczy z jej licznych, upakowanych po wieko skrzyń, które na dodatek stały pośród całego mnóstwa innych, należących do pozostałych pasażerów. Ładownia była przestronnym pomieszczeniem ciągnącym się wzdłuż kilu na całej długości statku, który podzielony był na sektory ogromnymi grodziami zabezpieczającymi pokład przed zalaniem. Regularnie rozmieszczone stalowe kliny przecinały kontur kadłuba. Jaxowi kojarzyły się z żebrami jakiegoś lewiatana, jakby wylazł on prosto z biblijnych opowieści, które czasem kazała mu czytać Nicolet, kiedy akurat guwernantka miała inne obowiązki. Zatechła i ciemna ładownia aż huczała od stukotu i klekotu, kakofonii wydawanej przez dziesiątki służących zajętych dźwiganiem skrzyń, ich ustawianiem, poprawianiem i przestawianiem. Drzenie kilkudziesięciu mechanicznych wykonujących ciężką pracę przemieniło stalowy kadłub i grodzie w ogromny kocioł. Słabe światło przesączało się przez świetliki i pryzmaty umieszczone w pokładzie powyżej. Bo po co oświetlać miejsce, do którego ludzie się nigdy nie zapuszczają?

Clip poskładał swoje mechaniczne ciało w nierówną kulę i przysiadł na szczycie najwyższej sterty rzeczy należących do jego państwa. Śledził każdy krok Jaxa. Wyświadczał mu też przysługę i pilnował mikroskopu pastora Vissera. Jax wsunął tubę z mosiądzu i skóry między elementy swojego szkieletu.

„Jakieś wieści?”, zapytał Clip.

Jax wyłożył mu dylemat madame Schoonraad. Clip sturlał się ze skrzyń, rozłożył w powietrzu ramiona i nogi, po czym z brzękiem wylądował na ziemi. Kiedy już poprzestawiali bagaże – Clip podniósł po kufrze nad głowę, podczas gdy Jax jedną ręką dźwignął skrzynię, a drugą przeszukiwał zawartość innej – poświęcili chwilę na podzielenie się paroma słowami. Jax zrelacjonował koledze

swoją rozmowę ze służącą na kładce. Ze skrzyni zalatywało czerwonym cedrem, a był to pożądany zapach pośród stęchłego smrodu ładowni.

„Spostrzegłem go, kiedy wchodziliśmy na pokład – powiedział Clip – lecz był uśpiony”.

„Powinieneś teraz na niego spojrzeć. Niebywały widok”.

Pokładem zatrzęsło. Jax na milisekundę zablokował resory kolanowe, dzięki czemu zaabsorbował drgania. Sterburta zaskrzypiała ogłuszająco, jakby setki masztów flagowych jednocześnie zabujały się na wietrze. Rozejrzał się po ładowni, ale większość pozostałych mechanicznych wydawała się po prostu ignorować ten hałas.

„Czy to jest to, co myślę?”, zapytał.

„Ruszamy w drogę – odparł Clip. – Następny przystanek to targane wojną zamorskie zadupie”.

„Nie mogę się doczekać”.

Jax wyciągnął wełniany szal w tureckie wzory. Zatrzasnął skrzynię i umieścił na niej tę, którą przez cały czas balansował nad głową. Clip również odstawił swoje kufry na miejsce.

Sterburta raz jeszcze ryknęła donośnie, a po chwili podobnym okrzykiem odpowiedziała jej siostra bliźniaczka – bakburta.

„Jeśli chcesz raz jeszcze spojrzeć na giganta – powiedział Jax – i zobaczyć, co miałem na myśli, mówiąc o ciszy, powinieneś iść na górę. Lada moment wypłyniemy z portu”.

Clip poszedł z nim na zewnątrz, również doświadczając nagłego przebudzenia ostrych marynarskich geas. Po schodach dla służby przemknął cień, a potem kolejny, słońce na moment skryło się za chmurami. Wiosła grube jak dwustuletnie angielskie dęby ze świstem przecięły powietrze. Ruch ten był zdecydowany, acz płynny, tak precyzyjny, że każdy obrót piór, które młóciły wody przystani, ledwie wzbijał deszcz słonych kropli. Clip przechylił głowę. Rozciągnął nogi tak mocno, jak pozwalał mu na to ich mechanizm i, teraz już o jakieś trzydzieści centymetrów wyższy, położył rozpostartą dłoń na kadłubie tak wysoko, jak tylko zdołał. Światło słoneczne rozpryskiwało się po wypolerowanym mosiądzu w rytmie nadawanym przez łomot wiosel.

„Czujesz to?”, zapytał.

Mikroskop włożony pomiędzy metalowe zebra nie pozwalał na podobne rozciągnięcie ciała, mimo to Jax również przyłożył dłoń do burty. Okrętem zatrzęsł nowy hałas, jednak subtelniejszy niż mechaniczne skrzypienie, którego nie mogły przytłumić gumowe uszczelki przy trzonach wiosel – bogatszy, donośniejszy, bardziej złożony. Przypominał grzechot.

I układał się w sensowną, rytmiczną całość.

Galernicy śpiewali.

Mechaniczni mężczyźni i kobiety, których przeznaczeniem było machać wiosłami dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki okręt nie dobije do brzegu, zaintonowali pieśń. Śpiewali jednak nie w ludzkim języku, ale sekretnym, znanym jedynie klakierom. Nucili szantę swoim klik-tik-klik mechanicznych ciał, zdecydowanym tupaniem, łoskotem metalowych rąk ściskających drzewce. Pieśń klakierów dla klakierów.

Książę Orański wypłynął z wód rotterdamskiego portu i wyruszył w drogę do Nowego Świata, napędzany niekończącym się, wyśpiewywanym lamentem tysiąca mechanicznych niewolników.

W środku nocy znad Morza Północnego zawiąło tak, jakby niebo zawyło. Do rana temperatura spadła sporo poniżej zera. Poprzedniego dnia jeszcze przed zachodem słońca łagodną mżawkę zastąpił siekący deszcz ze śniegiem przywiany od wody. Zacinało poziomo, jakby ktoś stukał paznokciami w szyby plebanii. Pogoda wydawała się odpowiednia na to, co miało nastąpić. Dzisiaj bowiem Visser dokona pierwszego morderstwa.

Deszcz kręcił piruety wokół parasoli dwójki emerytów truchtających ku Nieuwe Kerk przez mostek dla pieszych przerzucony nad Stille Veerkade, amsterdamskim kanałem. Zarządca tej sekcji trekvaartu schował się już do swojej kanciapy, lecz jego mechaniczni nadal trzymali straż na obu brzegach. Łód zastygł na ich zobojętniałych twarzach.

Chód zapewnił Visserowi znakomitą wymówkę, aby napalić; o poranku dymiło się nie tylko z jego komina. Jako rozpałki, chcąc ogrzać wygasły popiół zalegający w palenisku, a może i ten w piersi, użył książki kodowej.

Pogodził się już ze swoim męczeństwem – choć nadal nie chciano go przywołać z Ogrójca i zaczynał się zastanawiać, czemu tak długo to trwa – co nie oznaczało, że miał zamiar świadomie pomóc holenderskiej sprawie przeciwko Nowej Francji. Może i tak wydobędą od niego te szyfry, a raczej to, co z nich zapamiętał, kiedy już go złamią. Do tej pory jednak jego katolicka przyjaciółka zostanie wyzwolona z objęć cierpienia.

Postawił na ogniu dzbanek z herbatą. Do czasu, aż z jego notatnika – pożółkłego pliku luźnych papierzysk zapisanych malutkimi, wydawałoby się przypadkowymi cyframi wziętymi z żołnierskich gier kościanych – zostały tylko żarzące się farfocle, trzymał już w dłoniach kubek ciepłego napoju. Gdy go opróżnił, zaczął się modlić.

O odwagę. O rozsądek. O pewność, że postępuje dobrze, że jego serce było szczere, a intencje czyste, że faktycznie zaplanował akt wynikający z empatii i miłosierdzia, nie chęci uciszenia kogoś, bo dysponuje informacjami mogącymi go

zdekonspirować.

– Panie. Jedna z Twoich lojalnych służ wpadła w ręce tych, którzy chcieliby pokrzyżować Twoje plany, po wsze czasy zniewolić mechanicznych, rozdzielić Watykan i Nową Francję. Cierpiała długie i straszne katusze z rąk tych, którzy z chęcią zobaczyliby koniec Twojej łaski. Zasłużyła na nagrodę w niebiesiech. Panie, błagam cię. Pozwól mi ją wyzwolić. Niech jej odejście będzie delikatne, bezbolesne. Błagam, przyjmij jej duszę na swoje łono, oczyść z grzechu i niech skaza mojego czynu nie ciąży na niej jak kamień młyński. Błagam Cię o mądrość, abym potrafił rozpoznać, kiedy moja głupota oddała mnie od Twojego boskiego planu. Proszę, Panie, daj mi odwagę do popełnienia owego grzechu, gdyż może przyjdzie mi oddać wywalczone męczeństwem miejsce u Twego boku, żeby położyć kres jej udręce. I błagam Cię, Panie, o wybaczenie. Proszę, przebac mi to, co zamierzam uczynić.

Musiał sięgnąć po truciznę, to jedyne wyjście. I musiał dopilnować, żeby nie ujawnić prawdziwego celu swej wizyty. Powodem nie mogło być nic ponad chęć spokojnej rozmowy, nie mógł poddać agentki wyczerpującemu lub stresującemu oczekiwaniu. Ani odsłonić się przed Bell, ponieważ jeśli zaczęłaby coś podejrzewać, nie dopuściłaby go do lochu. Postronnym musiało się wydawać, że po prostu poddała się skumulowanym trudom swojego zamknięcia, on odstawi wtedy najbardziej przekonujący pokaz i uda, że próbuje ją ocucić. Nie potrzeba dużej dawki, z pewnością nie jest w najlepszym stanie po tylu dniach spędzonych pod okiem Bell.

Och, Panie. Że też musiał w ogóle rozważać takie rzeczy. Lecz prócz trucizny przyniesie także krzyżmo i obdaruje tę kobietę sakramentem ostatniego namaszczenia, kiedy będzie zwijała się z bólu, rozrywana szponami trucizny.

Po rozgrzebaniu węgla w palenisku ściągnął z półki Kartezjusza, założył kapelusz i płaszcz, a do kieszeni schował czerwoną wełnianą skarpetkę. Przeciął przykościelny plac z podniesionym kołnierzem, aby osłonić się przed chłodnymi, mokrymi podmuchami. Deszcz siekł nagrobki i pokrył grobowiec Spinozy cienkim lodowym meszkiem. Spływał zimnymi strugami po karku pastora. Poranek pachniał nieuchronnie nadciągającym śniegiem, zawilgotniałymi kamieniami i dymem z drzewa wiśniowego, który unosił się z setek ciepłych palenisk.

Było o wiele za wcześnie na podobne rzeczy.

Do Nieuwe Kerk wszedł nie przez duże, podwójne drzwi otwierające się na Spui, ale przez te od strony dziedzińca. Atmosfera panująca w środku osiadła Visserowi na języku, niczym przykurzony wosk z roztopionej świecy. Nie mógł się jej pozbyć, choćby przetykał ślinę i chrząkał. Z głębi przestronnego kościoła rozchodził się echem głos pastora Vervloeta. Prawdopodobnie ktoś zagaił do niego na temat porannego kazania i duchowny nie mógł się uwolnić. Visser rozpoznał

łagodny szept pana Prinsena i podziękował za gorliwą pobożność tego człowieka. Dzięki niej Vervloet będzie zajęty jeszcze przez jakiś czas, dzięki czemu Visser bez przeszkód dostanie się do tajnej armarii.

Kiedy otworzył drzwi zakrystii, nałożył szaty liturgiczne na spodnie, koszulę i szelki. Na ramiona zarzucił czerwono-złotą pasiastą stułę. Pachniała słabo kadzidłem, wygaszonymi świecami, winem i konsekrowanym olejem oliwkowym. Istny mszalny melanz. Rozwahał zabranie ze sobą wina i chleba, pod płaszczykiem protestanckiego rytuału, ale jeśli zdrowie więźniarki byłoby w opłakanym stanie, mogą zabronić jej przyjmowania pożywienia i napitku z zewnątrz. Lub, co bardziej prawdopodobne, nie pozwalają na jedzenie i picie, bo tego wymagają przyjęte reguły przesłuchania. Krew i ciało Chrystusa musiał do lochu przemycić.

Z eucharystią nie tak trudno, bo pojemnik na hostię mieścił się w kieszonce spodni przeznaczonej na zegarek, ampułka wypełniona naparstkiem poświęconego olejku również. Lecz wniesienie mszalnego wina wymagało już większej dozy improwizacji. Stąd książka.

Tom ten był opatrzonym przypisami woluminem zawierającym Pasje duszy oraz Opis ciała ludzkiego autorstwa Kartezjusza, który Visser dawno już wydrążył w dniu niezwykle podobnym do obecnego. Za pomocą szydła i rylca wydłubał środek i spalił. Wybrał ten konkretny tytuł, ponieważ z jego zabranem nie wiązało się żadne ryzyko: po prostu lojalny holenderski protestant chce przypomnieć sobie ulubione dzieła Kartezjusza. Bo choć filozof ten był Francuzem (lecz żył głównie w Republice Holenderskiej, jeszcze przed Het Wonderjaar), szerzył heretyckie, według Vissera, poglądy na temat ludzkiej duszy i Wolnej Woli.

Do drugiej ampułki, tej wypełnionej winem, pastor dodał trutkę na szczury. Kilkakrotnie przystawał i nią potrząsał, a obrazy martwej myszy przewalały się przez jego lekko wzburzony umysł. Nim zdechła, wiła się w konwulsjach, po czym zamarła, wykręcona agonią. Chciałby móc zaoferować pojmanej bardziej ludzki koniec.

Kończąc przygotowania, zamknął armarię i zawinął niewielki cynowy pojemnik w skarpetę. Otwór wyżłobiony w książce był nieco większy niż ampułka, ale gruby wełniany materiał zapewniał na tyle odpowiednią wyściółkę, że Visser nie musiał się obawiać o podejrzany stukot. Otworzył drzwi zakrystii, pod pachę zatknął Biblię i Kartezjusza, po czym wyszedł.

Pogodnego dnia spacer wzdłuż Spui z Nieuwe Kerk na Binnenhof byłby niedługi, ale nie był to pogodny dzień. Pastor zagwizdał na pierwszy powóz, który przejeżdżał, lecz ktoś już w nim siedział. Klakier ciągnący dorożkę niczym orientálną riksę zmienił tempo, przebiegł obok Vissera i wyminął kałużę, żeby go nie ochlapać. Ulewa dodała kolejny dźwięk – głośny syk – do miejskiego hałasu mechanicznych, kiedy woda chlapała spod kół dorożek, bryczek i prywatnych

powozów. Visser począł się zastanawiać, czy klakierzy czują chłód. Gildia powtarzała, że nie. Ale jej przedstawiciele twierdzili także, że są nieczuli na ból. Pastorowi udało się zatrzymać dorożkę przy trzeciej próbie.

- Dokąd pan sobie życzy? – zapytał mechaniczny.
- Binnenhof. Gildia Zegarmistrzowska.
- Oczywiście, proszę pana.

Klakier odsunął się na bok i pastor czym prędzej przemknął obok niego, wdrapując się na siedzenie krytej dorożki. Cuchnęło tam mokrą wełną, ale było przyjemnie i przytulnie dzięki podwieszonemu pod dachem, w rogu, koszowi z gorącymi kamieniami. Gdy przychodziły chłody, mechaniczni zwykli przystawać pomiędzy kolejnymi kursami i przerzucać owe kamienie rękoma, aby je nagrzać poprzez tarcie, co dawało kojące ciepło, lecz czyniło wnętrze pojazdu wilgotniejsze niż sauna Laplandera.

Klakier uniósł drągi i poczynając od szybkiego marszu, gładko przyśpieszył do sprintu. Chłodne szare miasto rozmazywało się za oknami. Przejazdźka była jednak zbyt krótka, by gorąco przeniknęło ubrania Vissera. Płaszcz nadal lepił mu się do ciała jak przemoczony, natrętny pijaczyna. Przejechali Bramą Szafarską. Obite stalą koła rikszy chrupały po bruku placu Hygensa, choć było zbyt mokro, aby leciały spod nich iskry. Klakier zatrzymał się tuż przed budynkiem Gildii. Gdy otworzył drzwi, pastora owiał deszcz ze śniegiem, który rozproszył i tak kruche ciepło.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pana. Opłata wynosi ćwierć guldena.

Tak jak w przypadku sporej części miejskich mechanicznych, także i jego klatka piersiowa była odpowiednio zmodyfikowana i zawierała otwór na monety. Visser wrzucił tam kwartje i usłyszał stłumiony metaliczny brzęk dochodzący z wnętrza klakiera. Po chwili maszyna sortująca rozpoznała i zweryfikowała nominał, po czym rikszarz powiedział:

- Dziękuję panu. Życzę miłego dnia.

Dorożkę niezwłocznie zatrzymał kolejny pasażer i pojazd czym prędzej opuścił Binnenhof, jeszcze zanim Visser otworzył drzwi budynku Gildii i wszedł szybkim krokiem do westybulu. Nie skorzystał z ceremonialnych podwójnych wrót wychodzących na środek placu, wybrał boczne, prowadzące do reprezentacyjnego przedsionka, gdzie czekała grupka petentów. Skrzywili się, gdy spostrzegli, że kapie z niego obficie, a u stóp zebrała się kałuża. Przedsiębiorcy czekali na negocjacje w sprawie wypożyczenia kolejnych mechanicznych lub zamiany tych, których już mieli u siebie, albo mieli nadzieję namówić horologów na nawiązanie lukratywnej współpracy biznesowej. Nie był to niecodzienny widok. Jeden z mężczyzn rozpoznał pastora. Z jego twarzy zniknęła kwaśna mina i z szacunkiem skinął głową.

Visser rozpiął guziki płaszcza. Podszedł do mechanicznego stojącego przy drzwiach – był to, dzięki Bogu, zwyczajny służący klakier, a nie nakręcacz – i się przedstawił:

– Pastor Luuk Visser. Przyszedłem do tuinier Bell.

Teraz spojrzenia już i reszty oczekujących złagodniały. Klakier uklonił się i zniknął za drzwiami. Po chwili wrócił.

– Proszę za mną, pastorze.

Gdy Visser przekroczył próg, usłyszał za plecami czyjś świergot.

– Czekam już od przeszło dwóch godzin. Kiedy mogę się spodziewać przyjęcia?

Skarga nie doczekała się jednak odpowiedzi.

Kiedy tylko znalazł się za drzwiami, jego nozdrza zaatakowała ostra mieszanka zapachowa: nagrany metal, stare książki i niemal niewyczuwalna woń siarki. Siedzibę Gildii Zegarmistrzowskiej, znaną także jako Ridderzaal, zbudowano w trzynastym wieku na polecenie hrabiego jako halę rycerską i przez kolejne stulecia między innymi taką właśnie funkcję pełniła. Przez kilkadziesiąt lat przed Cudownym Rokiem odbywały się tutaj targi księgarskie, lecz wynalezienie klakierów odmieniło wszystko. A kiedy raczkująca jeszcze Gildia skupiła się wokół garstki kobiet i mężczyzn, którzy posiadli najskrytsze sekrety od samego Huygensa, Wilhelm III – zwany Orańskim – sprezentował zegarmistrzowskiej braci Ridderzaal. Nie domagał się żadnej rekompensaty, wystosował jedynie prośbę o obdarowanie Imperium horologicznymi i alchemicznymi talentami, które niechybnie przysłużyłyby się jego rozwojowi. I faktycznie tak się stało.

Wnętrze oryginalnego Ridderzaalu przypominało Visserowi kadłub przewróconego statku. Sklepienie schodziło się pod ostrym kątem i obie strony stykały się ze sobą w wysokim punkcie centralnym, przez co przypominało kil.

Masywne, mierzące osiemnaście metrów belki podtrzymujące strop przywodziły na myśl żebra okrętu. Gdy budowano Ridderzaal, w najwyższych kątach sali ustawiono rzeźby, które miały sugerować, że niebiańskie istoty cały czas przysłuchują się rozmowom, subtelnie przypominając zgromadzonym, iż nie ma tam miejsca na fałsz. Cherubinom już dawno jednak zasłonięto oczy, a ich szelmowskie uszy zalano woskiem: Gildia zazdrośnie strzegła bowiem swoich tajemnic, nawet przed samym Niebem.

Mechaniczny poprowadził Vissera przez całą długość Ridderzaalu, wzdłuż rzędów zawalonych papierami biurkami i stołów, przy których uwijali się zabiegani urzędnicy. Wreszcie doszli do krętej klatki schodowej. Tradycja nakazywała, aby dowódca nakręcaczy zajmował biuro na poddaszu, wychodzące na halę. Tak było również wtedy, kiedy centaurami dowodził stary Konig. Klakier gestem wskazał na szczyt schodów i powiedział:

– Pastorze, znajdzie pan biuro tuinier na samej górze. Proszę uważać na stopnie.

Niemal zakręciło mu się w głowie na myśl o tym, co zamierzał zrobić. Zemdlilo go także na widok wąskiej, wijącej się spiralnej klatki; po drodze niemal upuścił tkwiące pod pachą książki. Serce łomotało mu tak donośnie, jakby chciało sobie utorować drogę przez mostek, ale zdołał złapać Kartezjusza. Udało mu się nie ujawnić tajemniczej zawartości tomiszczka.

Bell go oczekiwała. Siedziała z nogami na biurku. Miała na sobie rozchełstane szaty, które odsłaniały jej ramiona i kostki. Do jednej z dłoni przyciskała torbę z lodem. Na jej twarzy malowała się niewysłowiona złość. Machnięciem ręki nakazała mu wejść do środka.

– Pastorze Visser! Witam pana w naszych progach! Uścisnęłabym panu dłoń, ale... – Uniosła rękę, którą okładała lodem; na skórze pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym wykwitł półkolisty fioletowy siniec. – Prezencik od pańskiej parafianki – dodała, krzywiąc się. – Ta papistowska suka mnie ugryzła. Wyobraża pan sobie?

– Odkaziła pani? Ponoć ludzkie ugryzienia mogą wywołać gorączkę.

– Ryzyko zawodowe – odparła, wskazując mu krzesło.

Visser usiadł, kiwając głową. Trudno mu było zestawić tę niezaprzeczalnie atrakcyjną, żywiołową kobietę z mentalnym obrazem szefowej imperialnej tajnej policji i kata. Zdziwił się, bo choć na dworze było szaro, jej gabinet wydawał się jasny dzięki dużym oknom i posrebrzanym kinkietom.

Biuro rozjaśniały również porozwieszane na ścianach, dobrane ze smakiem obrazy pochodzące prawdopodobnie z początku osiemnastego stulecia. Rozpoznał przynajmniej dwie kopie dzieł, które pamiętał z Amsterdam Rijksmuseum. Jedna przedstawiała młodą kobietę siedzącą przy oknie i czytającą list. Na szczególną uwagę zasługiwała gra światła na papierze i pancerzu stojącego w rogu służącego. Na drugim burmistrzowie wyklócali się ze sobą i ćmili papierosy, a mechaniczni stali pod murem, obserwując ich. Pastor przypomniał sobie, co mówił o tym obrazie docent – miał to być znakomity przykład wykorzystania camera obscura przez malarzy późnego okresu Złotej Ery, czemu zawdzięczamy szczegółowe odbicia ludzi widoczne na wypolerowanym metalu.

Rozproszony sztuką, położył książki na biurku Bell. Choć szybko zorientował się, co zrobił, nie mógł ich ot tak zabrać bez wzbudzania podejrzeń.

Wzrok kobiety spoczął na tomiszczach. Visser aż się skrzywił.

„Panie, ależ głupca masz za sługę”.

– Przejął się pan zadaniem, pastorze. Znakomicie. Ale jeśli ma pan zamiar odwołać się do jej duchowych i filozoficznych ideałów, jestem niemal przekonana, że takowych nie ma – rzekła Bell.

Przysunęła do siebie książki, przechylając głowę, aby spojrzeć na ich grzbiety. Podniosła Biblię i podziwiała wytłoczone na skórzanej oprawie litery i połączone brzegi. Przekartkowała ją, zatrzymując się na co bardziej wytartych stronicach. Chwilę studiowała rozdział dwudziesty szósty Ewangelii według świętego Mateusza, czyli ostatnią wieczerzę Chrystusa z uczniami. Zamknęła księgę, przesunęła ją z powrotem do Vissera i sięgnęła po Kartezjusza.

Kropla potu pociekła pastorowi spod pachy. Szum własnego oddechu wydawał mu się wyciem wichru. Wielki zegar na placu Huygensa dzwonił na kwadrans, ale walenie w dzwony wydawało się niczym przy łomotaniu jego serca. Bell przyjrzała się okładce. Nie potrafił odgadnąć, o czym myśli. Czyżby księga była zbyt lekka? Za ciężka? Zobaczyła wystający kawałek wełny?

– Mylił się, wie pan? – powiedziała nareszcie.

Powietrze w płucach jakby mu się skawaliło. Musiał odchrząknąć. Dwukrotnie.

– Cóż, uczyli go w końcu jezuici.

Prychnęła.

– Katolicy i ich przeklęty dualizm. Gdyby mogli, to, kierując się ich logiką dotyczącą mechanicznych, obdarzyliby duszą wazę na zupę.

– Waza na zupę nie zagra muzyki – odezwał się Visser, przypominając sobie odwiedzin u Hendriksa, i od razu swoich słów pożałował.

– Nie – odpowiedziała Bell, łypiąc na niego dziwnie – ale pianola tak. Konstruktorzy naszych maszyn ręczą, że nie ma w nich żadnego ducha.

Podawała mu Biblię. Musiał się postarać, żeby nie odetchnąć z ulgą. Spod pach nadal obficie ściekał mu pot. Cieszył się, że nie zdjął płaszcza.

– Nie to jest moją działką, ale... to – powiedział, stukając palcem w Biblię. – Resztą niech się zajmą eksperci.

– Chciałabym mieć pańską mądrość – rzekła Anastazja Bell z drapieźnym uśmiechem, który nie znalazł odbicia w spojrzeniu – i wiedziałam, że praca z panem będzie czystą przyjemnością – dodała, wstając. – Cóż, nie chcę marnować pańskiego czasu, chodźmy już, niech pozna pan zdrajczynię.

Visser zrozumiał aluzję. Również wstał.

– Tak, oczywiście. Pamiętam drogę, jeśli ma pani ważniejsze sprawy na głowie.

– Doskonale. Powodzenia z tą fanatyczką. Aha, pastarze, jeszcze jedno.

Przystanął na szczycie klatki schodowej i się odwrócił. Bell oblizwała usta.

– Niech pan będzie ostrożny. Gryzie.

Visser wiedział, że pod Ridderzaalem ciągną się przecinające się rzędy tuneli. Sięgały pod plac Huygensa i Binnenhof i jeszcze dalej, wgrzyzały się w gęstniejący mrok i najpewniej plątały pod haskimi ulicami. I choć sieć ta biegła pod poziomem morza, armia klakierów obsługiwała mechaniczne pompy przez

dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby utrzymać tunele we względnej suchości. Zastęp pracował sumiennie jak ich bracia i siostry wytrwale patrolujący poldery i groble utrzymujące morze w ryzach, aby nie panoszyło się na holenderskiej ziemi. Pastorowi dano lampę olejową oraz służącego, który poprowadził go na dół. Sądząc po ornamentacyjnym rollwerku, nie był pierwszej nowości. Idąc rozpadającymi się korytarzami z cegieł, gliny i piaskowca, Visser mijał kolejne cele, ciemne jak smoła i ciche jak mogiły. Gdzieś za osłoną cieni kapała woda, czemu towarzyszyło powolne, lecz regularne plumkanie. Śmierdziało pleśnią, ekskrementami i krwią. Światło padające z lampy Vissera odbijało się od konturów wypolerowanego na błysk metalowego ciała mechanicznego przewodnika i rozpraszało w mroku. Sprężysty krok klakiera posyłał między cienie kolejne refleksy, które przez moment tańczyły niczym świetliki. Kalejdoskopowa gra płomienia z czernią przyprawiała pastora o zawroty głowy, smród go mdlił. Ilu ludzi tu trzymano? Ilu zginęło? Jeśli naszło go z wątplenie co do prawości zaplanowanego przezeń czynu, wizyta w tej piekielnej czeluści upewniła go, że robi dobrze. Z pewnością wyrwanie kogoś z łap Gildii było dobrym uczynkiem. Działał zgodnie z wolą Bożą.

Dotarli do końca korytarza. Klakier otworzył obite stalą drewniane drzwi z niewielkim wizjerem znajdującym się na poziomie oczu Vissera i stanął przy skrzydle.

– Moje zadanie wymaga prywatności. Cofnij się piętnaście metrów.

– Nie mogę, proszę pana – odparł służący. – Zostałem poinstruowany, żeby stać pod celą aż do pańskiego wyjścia. Dla bezpieczeństwa.

Z pewnością polecenie Bell. Nie ufała mu? Być może osoby na jej stanowisku już tak miały – nie ufały nikomu i niczego nie pozostawiały przypadkowi.

– Dobrze. Zostań tu, dopóki cię nie zawołam.

– Tak jest, proszę pana. Jak pan sobie życzy.

Otwór w drzwiach był zbyt mały, aby Visser mógł cokolwiek zobaczyć w celi. Dlatego teraz uniósł lampę wysoko niczym talizman zdolny przepędzić zjawy i przestąpił próg ciasnej klitki. Strażnik zamknął za nim, ale nie zasunął zasuwki.

Celę wydrążono w jednej z wielu warstw skał osadowych pod miastem. Po ścianach spływały strumyczki wód gruntowych. Gdzie nie kapało, ściany pokrywały minerały i pleśń.

Pod jedną ze ścian kulila się kobieta, przyciskając do piersi powykęcana, zsiniała dłoń. Ogoloną głowę pokrytą miała strupami i śladami po poparzeniach. Skuliła się, kiedy padło na nią intensywne światło.

Pastor uregulował przesłonę, żeby płomień nie raził więźniarki tak bardzo, i postawił lampę na ziemi. Uderzył palcem u nogi w coś ciężkiego. Rozległ się plusk i bulgot, kiedy nieczystości rozlały się na ziemię. Nie robiło to jednak

żadnej różnicy, bo cela i tak przesiąknięta była smrodem.

– Kubeł na szczyny – rozległ się szorstki charkot; miała głos zachrypnięty od krzyku.

– Przepraszam – odparł.

Przykucnął, żeby nad nią nie górować.

Podtrzymywał poły płaszcza, by nie upaść sobie ubrania zalegającym na ziemi błotem, i nie zwlekając dłużej, zbliżył się do kobiety. Ubrudził jednak mającą mu się z ramion stule.

Powoli, niemal niechętnie, odwróciła się do niego i otworzyła jedno poczerwieniałe, zapadnięte oko. Drugie miała opuchnięte. Nawet gdyby nie była w tak opłakanym stanie, Visser miał niemalże pewność, że i tak by jej nie poznał. Rdzawe kleksy pokrywały jej podbródek i usta, pewnie była to pamiątka po ugryzieniu Bell.

– Nareszcie się pokazałeś – wymamrotała.

Miała straszliwie przetrąconą szczękę.

Pastor przyłożył palec do ust i pokazał na drzwi. Kobieta próbowała odetchnąć, lecz z jej piersi dobyło się jedynie wilgotne rżenie. Nie miała w sobie siły, aby powstrzymać spazmy. Kiedy jej ciałem wstrząsnął kaszel i zadrżały połamane palce, spomiędzy napuchniętych ust wyrzuciła udręczony jęk. U jej dłoni brakowało paru paznokci.

„Dobry Panie. Biedna istota. Nikt na to nie zasłużył”.

Podsunał się bliżej i położył jej rękę na ramieniu.

– Podejrzewam – wyszeptała – że przyszedłeś mnie zabić.

Wybite zęby i opuchnięty język zniekształciły słowa. Z ust śmierdziało jej zgnilizną.

– Biedne dziecko. Przeszłaś straszliwą próbę. Pan przyjmie cię w swoje ramiona.

– Nie jest to najgorsza rzecz, jaką możesz mi zrobić. Byłby to... akt łaski.

Łaski? Jakież to jeszcze okropieństwo dla niej zaplanowali? Jakież profanacje i poniżenia?

– Nie będziesz już cierpieć. – Wyciągnął skarpetę z wydrążonej książki Kartezjusza i sięgnął do kieszeni po ampułkę z krzyżmem. – Udzielę ci sakramentu namaszczenia.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała, kręcąc głową.

Pastor mrugnął. Schował skarpetę z powrotem do książki i otworzył Biblię.

– Módlmy się.

Chwyciła go za nadgarstek. Brudne, poszarpane paznokcie – a przynajmniej te, które jej zostały – podrapały mu skórę. Choć jej dotyk był stosunkowo delikatny, zaniepokoił go, dojrzał bowiem w oczach kobiety dzikość.

Skrzywił się i upuścił Biblię.

– Czy zrobiłeś to? – zacharczała. – Ocaliłeś?

Wtedy do niego dotarło, że nigdy nie zdołałby przechytryć tak wytrawnego gracza jak Anastazja Bell. Czy udało się jej złamać tę kobietę? Czy zdradziła wszystko i opowiedziała o pozostałym przy życiu towarzyszu-szpiegu? Czy obiecano jej łaskę w zamian za wykiwanie pastora Luuka Vissera, żeby sam się wyspał? Jak ostry jest słuch wiekowego klakiera? Czy Bell postawiła na straży stary model, aby uśpić jego czujność?

Niech i tak będzie. Jeśli to początek jego męczeńskiej drogi, niech i tak będzie. Zajmie miejsce tej nieszczęśnicy. „Panie, proszę, obdaruj mnie odwagą i siłą tej niezwykłej kobiety. A gdyby jej pytanie było szczere, być może równie uczciwa odpowiedź przyniesie jej ulgę, zanim odejdzie”.

Mężczyzna położył opanowaną dłoń na jej łokciu i ze wszystkich sił starał się wyglądać i brzmieć zdecydowanie i przekonująco:

– Tak. Paczka została wysłana – szepnął.

Kobieta westchnęła głęboko; miała cuchnący oddech. Napięcie jakby zeszło jej z ramion, choć w jej spojrzeniu nadal tkwiła zwierzęca desperacja.

Pastor zawsze był jedynie powiernikiem tego, co przeschmuglował do Nowego Świata. I mając niewiele do stracenia, zadał pytanie, którego nigdy wcześniej nie odważył się wypowiedzieć:

– Co to jest?

Siadła przygarbiona pod ścianą. Powoli opadały jej powieki. Visser pomyślał, że może stres i wycieńczenie wreszcie ją przytłoczyły. Wymacał tkwiący w kieszeni święty olejek, zastanawiając się, czy zdoła szybko wlać go jej do gardła. Ale wtedy wyszeptała:

– Mieszkasz na plebanii przy Nieuwe Kerk.

– Tak.

– Codziennie przechodzisz obok grobowca Spinozy.

– Tak.

– Czy wiesz, jak wielki Spinoza zarabiał na życie?

Kto nie wiedział? Podczas nauki w seminarium Visser, jak każdy przyszły kapłan, spędził dwa lata nad filozoficznymi dyskursami z szesnastego, siedemnastego i osiemnastego stulecia. Czytał rozmyślania wielkich jednostek na temat ciała, ducha i Wolnej Woli ukształtowane – bo istotnie tak było – przez trudne do pogodzenia z nimi dogmaty klakierskie. Stworzenie mechanicznych było bowiem prawdziwym trzęsieniem ziemi, konwulsją, od której zadrzał świat i która zmieniła wszystko: pałace, trony i imperia, a także oczywiście sposób myślenia ludzi o sobie, o relacji z tym, co ich otacza, z Bogiem, nawet z ich ciałami. A wstrząsy wtórne zmieniły bieg szerokiej rzeki zachodnich tradycji intelektualnych,

otaczając je groblą. Pastorowi przypomniały się słowa pewnego starego kapłana, który uważał, że Huygens był godzien podziwu – a może potępienia – nie za skonstruowanie klakierów, lecz za zburzenie gmachu ludzkiego zarozumialstwa, oblanie go smołą i podpalenie. A kiedy dym się przerzedził, z popiołów wychynęła para sprzecznych interpretacji znaczenia wynalazku Huygensa – czy mechaniczni istotnie byli tylko maszynami? Niewolnikami? A może żyli? Czy mieli dusze? – który tylko dolewał oliwy do ognia i tak już istniejącego po schizmie sporu pomiędzy kontynentalnymi protestantami a znajdującymi się na wygnaniu katolikami. Konflikt trwał od czasu, kiedy kierowany złym osądem Ludwik XIV najechał na Republikę Holandii i szybko się przekonał, że jeden klakier warty jest na polu bitwy dziesięciu ludzi. Holendrzy również odebrali lekcję, choć zdecydowanie mniej bolesną.

– Oczywiście, że znam Spinozę – odparł. – Uczony. Filozof. Twórca racjonalizmu. On i... – uniósł wydrążoną książkę – Kartezjusz.

Kobieta pokręciła głową i otworzyła mniej opuchnięte oko. Nagle jej spojrzenie nie wyrażało już dłużej dzikości, ale litość.

– Sądziłam, że księża są lepiej wyedukowani. Nie tak zarabiał na życie. – Przywołała go niepołamanym palcem; nachylił się, a jej usta dotknęły jego ucha. – Wytwarzał soczewki, tak jak jego rówieśnik Christiaan Huygens. A także, w Anglii, Isaac Newton.

Visser skrzywił się, niezaznajomiony z ostatnim nazwiskiem.

– Kto?

Ona jednak zbyła jego pytanie obojętnym wzruszeniem ramion.

– Mniejsza z Newtonem. Nie o niego chodzi, ale o Spinozę.

Choć w seminarium studiował dzieła racjonalistów dość starannie, nie przypominał sobie ani słowa o tym, jakoby Spinoza wyrabiał soczewki. Miał co do tego pewność. Kobieta, jakby czytała mu w myślach, mówiła dalej:

– Tulipaniarze umniejszają tę stronę jego działalności, ale to prawda. Spinoza umarł młodo, lecz zdążył jeszcze ujrzyć pierwszych mechanicznych. – Wstrząsnęła nią kolejna fala kaszlu; splunęła w ciemność i kontynuowała. – Zmarł na sylikozę. Nawdychał się, głupiec, pyłu szklanego.

Pastor zastanowił się nad tym przez chwilę, przypominając sobie obraz wykonany za pomocą camera obscura, który zdobił ściany gabinetu Bell.

– Mikroskop zawiera jego pracę.

Próbowała skinąć głową, ale sińce na szyi sprawiły, że jedynie drgnęła z bólu.

– Jego ostatnią soczewkę.

Po łydkach Vissera rozeszły się ostrzegawcze, dopiero rodzące się skurcze. Zbyt długo kucał.

Poddał się i ukląkł obok niej. Dyskomfort przeniósł się z łydek do utyłanych

blotem kolan, które spoczywały na zimnym, brudnym kamieniu.

– Co ona robi? Do czego służy?

Znowu zamknęła oczy. Kolejną falę konwulsji odebrał jako próbę wzruszenia ramionami.

– Nigdy się nie dowiemy.

Biedna kobieta. Im dłużej się jej przyglądał, tym bardziej się zastanawiał, czy on sam faktycznie godzien jest miana męczennika. Każda minuta spędzona w tym lochu sprawiała, że nachodziło go coraz większe zwątpienie.

– Jak brzmi twoje prawdziwe imię, dziecko? Jak mam cię nazywać?

– Chcesz poznać moje prawdziwe imię? Zakląć? Związać słowem jak tykającego sługę? Nagiać mnie do swojej woli?

Visser przeżegnał się.

– Na niebiosa, nie.

– A więc moje imię nie ma znaczenia. Ma jedynie to – powiedziała, rozchyłając powieki – że jak tylko wyjdiesz z tego lochu, pošlesz wiadomość do Talleyranda.

– Nie mam jak. Jesteśmy ostatni.

– Czyli wszystko, do czego dążyliśmy, stracone. Cierpiałam na darmo...

Przychodzący jej z trudem szept przeszedł nagle w szorstkie charczenie. Z zewnątrz, z korytarza, rozległo się delikatne stuknięcie metalu o kamień.

– Pastorze? Czy jest pan bezpieczny?

– Tak. Dziękuję – odkrzyknął przez ramię.

Kobieta dokończyła zdanie, choć ledwie mówiła przez zaciśnięte gardło:

– ...i wszystko pójdzie na marne.

Pastor pogładził ją dłonią po ogolonej czaszce. Pochylając się nad nią, poprosił:

– Powiedz mi.

– W Nowym Amsterdamzie budują kolejną kuźnię.

– Ale to żadna tajemnica.

Tym razem udało się jej pokręcić głową. I choć krzywiła się z bólu, nie zrezygnowała z intensywności, jaką nadała temu gestowi. Jej usta znowu musnęły ucho Vissera.

– Takiej jeszcze nie było. Ani takich klakierów.

– Czemu tam? Czemu nie tutaj?

– Królowa Margreet ma szpicla. Kogoś bliskiego Talleyrandowi, a może nawet i kogoś z otoczenia króla. Ten ktoś ma dostęp do skarbcza chemicznej wiedzy Nowej Francji. Poza tym... – Przerwała, bo z którejś z mrocznych cel ktoś wołał swoją matkę; Visser czekał na kolejne słowa, słuchając plusku kropel skapujących do śmierdzącej kałuży. – Pieniądze nie zniknęły z Centralnego Banku Nowego Amsterdamu, bo zostały zdefraudowane – odezwała się nareszcie. – Posłużyły za

łapówkę. I to sporą. – Oparła się o ścianę, zmęczona podjętym wysiłkiem.

Po karku Vissera przeszedł zimny dreszcz, który przebiegł plecami do obolałej kości ogonowej nadwyrężonej przez kucanie w błocie. Gdyby Gildia poznała sekrety francuskiej chemii, mogłaby konstruować mechanicznych z systemami obronnymi przewyższającymi technologię i zdolnymi rozpracować taktykę, dzięki którym Nowej Francji od dawna udawało się zapewnić chociażby niewielkie szanse przetrwania. Jeśli tak by się stało, cel, któremu się poświęcił – i któremu służyła także ta biedna kobieta oraz ci, co oddali życie na placu Huygensa – zostanie zdeptany tysiącami szczękających stóp. Co jeśli umrze z tą wiedzą? Czy jego męczeństwo przyspieszy koniec Nowej Francji? Czy przypieczętuje ostateczną, globalną dominację niewolnictwa?

– Kto to jest? Przed kim mam ostrzec Talleyranda?

– Gdybym znała prawdziwe imię, tobym ci je podała.

– Skąd w ogóle to wszystko wiesz?

Kobieta na powrót zamknęła oczy. Jej płytki oddech przeszedł w świst. Nie umierała (jeszcze), ale była wycieńczona i udręczona. Gdzieś nad ich głowami, daleko, rozległ się brzęk zasilanej rękoma mechanicznych prasy, który zatrzęsł korytarzem. Po chwili wymamrotała:

– Gdybym dotarła do Nowego Świata, przyjęliby mnie jak bohaterkę.

Mój Boże.

– Jesteś członkinią Gildii – szepnął.

– Byłam. Już nie jestem – odparła głosem z pogranicza jawy i snu.

– Odpoczywaj – powiedział. – Ominie cię nagroda w Nowym Świecie, ale Pan powita cię w swoim królestwie z otwartymi ramionami.

Z kieszeni wyciągnął poświęcony olejek, a z wydrążonej książki truciznę. Tak należało uczynić i zdawał sobie z tego sprawę. A jednak słowa ostatniego namaszczenia smakowały jak popiół i opadały z jego ust niczym suche liście.

ROZDZIAŁ 6

Sypialnia pachniała perfumami i seksem.

Louis przewrócił się na drugi bok. Pościel pomiędzy nimi była zmiętoszona.

Berenice zasunęła zasłony. Louis przeciągnął się, specjalnie się o nią ocierając, i sięgnął, żeby je rozchylić. Skrzywił się, gdy je rozsuwał. Niknęły już ostatnie echa katedralnych dzwonów, które jeszcze przed chwilą wybijały swój rytm.

– Chyba słońce zachodzi. Zanim wyjdziemy z łóżka, będzie już ciemno.

Prawdopodobne. Łóżko było niezwykle wygodne. Miękkie niczym pocałunek kurtyzany, zaścielone poduszkami, wygrzane kapą z gęsiego pierza. No i leżał na nim Louis, całkowicie nagi i jeszcze całkiem niedawno cały spocony.

– Kochaj się ze mną znowu – powiedziała. – Minęła już ponad godzina.

– Dobry Boże, kobieto. Jesteś nienasycona.

– Przecież wiedziałeś o tym, zanim się ze mną ożeniłeś.

Berenice wsunęła dłoń pod kołdrę. Paznokciami przejechała po jego nodze, na tyle lekko, żeby się nie wzdrygnął. Louis zassał powietrze niczym pompa tłokowa w kompresorze parowym. Objął ramieniem jej talię. Podpierając głowę dłonią, spojrzał na żonę:

– Jesteś teraz osobistością i masz swoje obowiązki. Albo byłaś. Czy znalazłaś już niczego niepodejrzewającego durnia, który mógłby zarzucić na ramiona płaszcz Talleyranda?

– Och, jest pełno takich, którzy myślą, że tego chcą. Choćby markiz de Lionne.

– Lecz nadal nie zdecydowałaś się zrzec swojego stanowiska...

Zamilkł. Przymknął powieki, zadrżała mu dolna warga. Berenice nadal przesuwiała paznokciami po jego skórze, ale nie udało jej się wywołać pożądanego efektu. Z wyraźnym trudem Louis kontynuował:

– ...i ta powściągliwość, aby przywitać nadchodzący dzień, jest dla ciebie nienaturalna. Nie masz jakichś spoconych idiotów do wykiwania albo tulipaniarzy do pogrzebania?

Berenice podwoiła swoje starania pod kołdrę. Louis westchnął. Nie chciała przerabiać tego na nowo. Cholera z nim i jego zamartwianiem się o jej obowiązki. Odsunął jednak jej dłoń, nachylił się i ją pocałował. Smakowała słonawo. On pachniał piżmem. Jak ich sypialnia.

– Nie bój się o nic, moje kochanie. Jakby ktoś pytał, powiem, że powaliła cię cholerna grypa. I to taka, że drzesz się wniebogłosy.

Louis palcami wodził po jej brzuchu, aż ciało pokryło się gęsią skórką.

– A ja rozgłoszę, że musieliśmy zatrudnić drugą praczkę, żeby uporać się z

bałaganem w sypialni.

Dźgnęła go w bok, chichocząc.

– Nie śmiałyś.

– Nie, jeśli mi powiesz, skąd ten twój nastrój.

Komunikacja z Hagę padła. Albo nakręcacze królowej Margreet pochwycili ostatniego agenta Talleyranda, albo jedyny, który pozostał przy życiu, zdecydował się zaszyć i przeczekać. Cieniutka nitka nadziei, że się do niej odezwie, stała się jeszcze bardziej wątła. Siatka szpiegowska nadająca z serca Imperium już nie istniała, choć Berenice miała dziesiątki agentów w całym holenderskim i francuskim świecie, ich raporty były jednak zbędne i przesiąknięte oczywistościami. Zaczęła się wyżywać na gołębiach pocztowych. Zabroniono jej przychodzić do gołębnika, po tym jak zagroziła, że sobie któregoś upiecze. Poza tym do Nowego Amsterdamu płynął nowy bankier, który miał nadzorować restrukturyzację Banku Centralnego. Marszałek generalny przygruchał sobie następną kochankę, dziewiętnastoletnią baletnicę z Trois-Rivières, której od niedawna patronował. Prace nad kuźnią przebiegały zgodnie z planem, na plac budowy ciągnął nieprzerwany strumień wyładowanych po brzegi wagonów pod strażą.

A tymczasem klakier na murze przez ostatni tydzień przebył kolejne dwanaście centymetrów. Mimo to król odrzucił plan, który obmyśliła z Montmorencym, aby wnieść bestię do środka. Jego Bóldupność uznała, że trzeba przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności. I powrócili przed tablicę. Dostawała od tego szału. Opowiedziała to wszystko Louisowi, robiąc częste przerwy na westchnięcie, kiedy ją całował i pieścił.

– Och, mój słodki obdartusie – zamruczał. – Kobieta może od tego oszaleć, co nie?

– Oj, może. – Zahaczyła stopą o jego łydkę i wdrapała się na niego. – Bądź więc dobrym mężem i pomóż mi jeszcze na chwilę o tym zapomnieć, dobrze?

Przejechała dłonią po jego zarośniętej klatce piersiowej.

– Zrobię, co mogę. Ale jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, słońce.

Berenice uniosła brew. Znała ten ton.

– Cóż takiego...?

– Jestem wielce nieszczęśliwym człowiekiem. Gdy z tobą legnę, jedyne, o czym mogę myśleć, to hrabina Montmorency.

Tym razem nie musiała silić się na śmiech. Gruchnęła Louisa poduchą, udając, że ma zamiar docisnąć mu ją do twarzy.

– Ty świnió!

– Nie możesz jej obwiniać za obfite wdzięki – mamrotał zduszonym przez poduszkę głosem.

– Cóż – odparła Berenice, luzując nacisk – ja to przy niej zaledwie pół kobiety. Louis poprawił się pod nią, a na jego twarzy pojawiło się zafrasowanie. Poruszył biodrami, jakby chciał ocenić jej wagę.

– Chyba nawet ćwierć.

Mimo to, a może dokładnie dlatego, wyświadczył jej przysługę i Berenice zapomniała o swoich kłopotach. Udało im się ubrać, jeszcze zanim katedralne dzwony zadzwoniły na nieszpory.

– Ech – odetchnęła Berenice. – Idę zrobić na złość królowi – powiedziała, ale chcąc uspokoić Louisa, na którego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia, skłamała. – Żartuję, kochany.

Mężczyzna złągodniał.

– Zbyt wiele ryzykujesz – rzekł.

Nadal nieco rozczochrany, wyszedł na poszukiwanie kolacji. Berenice chciała mu towarzyszyć i spędzić resztę nocy u jego boku, ale miała spotkanie z mechanicznym demonem.

W pierwszej dekadzie Wygnania, na długo zanim dostateczna znajomość chemii pozwoliła na budowę Korony, Twierdzy i Iglicy, pierwszy Talleyrand nadzorował wykopaliska, kopiąc głęboko w zboczu Mont Royal. Prawdziwa Ostatnia Reduta burbońskich monarchów wykuta została głęboko w plutonicznym sercu góry. Chłodne i suche katakumby przez kolejne stulecia znalazły również i inne zastosowania – głównie jako powierzchnia magazynowa. Lecz najgłębsze zakątki oferowały prywatność, dzięki czemu stanowiły idealnie miejsce na laboratorium, którego istnienie, choć niezupełnie nielegalne (istniało przecież dzięki zapieczętowanemu królewskiemu dekretowi), lepiej było utrzymywać w tajemnicy. Sam pomysł studiowania mechanizmu zegarowego i alchemii był kulturowym tabu równym kanibalizmowi i kazirodztwu, chłodnym cieniem, który nawet dzisiaj mroził krew w żyłach większości mieszkańców Wolnej Francji. Berenice dyskretnie przychodziła tam i wychodziła, aby ludzie nie poczęli się zastanawiać, czemu wicehrabina de Laval nosi ze sobą klucz do dawno już nieużywanego warsztatu stolarskiego.

Czekała tam na nią Lilith, zbuntowany klakier. Stała przed drzwiami bez ruchu, nieludzko zeszywniała. Światło pierwszych gwiazd lśniło na jej wypolerowanym szkielecie. Była naga, nie licząc kapelusza o szerokim rondzie, który ozdobiono grzywką z postrzępionych, fioletowych strusich piór. Zawsze zasłaniała ziejącą w czole dziurkę od klucza nakryciem głowy albo szalem, aby ukryć alchemiczny anagram wytrawiony na jej pancerzu. Nawet Talleyrand – ani Berenice, ani jej poprzednicy – nie poznał jej prawdziwego imienia. „Lilith” mogło być skrótem od jakiejś dłuższej nazwy, tak jak w przypadku wielu mechanicznych, albo stanowić

zasłonę dymną. Berenice spekulowała, że to zamierzone odniesienie do talmudycznej Lilith. Co bardziej konserwatywni kapłani czynili znak krzyża, zanim odezwali się do wyzwolonej klakierki – buntowniczką, która według holenderskiej korony nie miała prawa istnieć.

Kalwiniści upierali się, że klakierzy nie mogą osiąść Wolnej Woli, gdyż i tak była ona iluzją. Gildia z kolei utrzymywała, że mechaniczni byli niczym więcej jak bezmyślnymi maszynami. Tulipaniarze sami wybrali trwanie w błędzie, ale dobrze im szło oszukiwanie samych siebie. W końcu rządzą światem. Tajemnicą było, jak Lilith udało się uzyskać Wolną Wolę. Nigdy niczego nikomu nie zdradziła na temat swojej przeszłości.

– Dobry wieczór – przywitała się Berenice – i dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać.

– Chciałabym, aby było jasne – odparła obcesowym, mechanicznym tonem charakterystycznym dla klakiera – że jestem tutaj z wyboru, wyświadczam grzeczność twojemu królowi. Nie mam żadnych zobowiązań ani nie odbieram poleceń.

Berenice westchnęła. Praktycznie każda rozmowa z nią zaczynała się w ten sposób, co stawało się już cholernie męczące.

– A jednak mieszkasz pośród nas, za wysokimi murami twierdzy. Czy nie czujesz w związku z tym żadnych zobowiązań? Bezpieczeństwo za współpracę.

– Mogłabym żyć gdzieś w dzicy rozciągającej się na północy. Znalazłabym jaskinię, uśpiła swoje funkcje na czterdzieści lat – tykoczący grzechot mechanizmu zegarowego przybrał na sile – i powróciła, kiedy ty i twój monarcha będziecie już dawno pogrzebani i zastąpieni przez kogoś innego. Albo nawet i trwała tak przez całe stulecia, aż stopią się i z powrotem zamarną lodowe czapy, zmieniając świat człowieka.

Lilith nie była pierwszym klakierem, który oddaliłby się ku niezbadanemu nieznanemu. Tak jak inni, ona również przybyła do Zachodniej Marsylii, korzystając z ondergrondse grachten. Lecz jak mówią dzienniki prowadzone przez poprzedników Berenice, żaden z nich nie został długo, wystrzegali się interakcji z ludźmi.

– Zastąpieni – odparła. – Czyli sugerujesz, że Nowa Francja będzie istnieć jeszcze przez dziesiątki lat. Jakie to uspokajające. Może się jednak okazać, że kiedy zakończysz swoje medytacje, którym masz zamiar oddać się gdzieś w tajdze, nas już tu nie będzie, a francuski monarcha ponownie będzie zasiadał na prawdziwym tronie na kontynencie.

Lilith wydała z siebie szczebioczący odgłos przestawianych przekładni.

– To i tak lepsze, niż dobrowolnie dać się zniewolić.

– Jeśli umniejszasz nasze szanse na zwycięstwo, musisz uważać, że zostaniemy

pokonani. Żaden pat nie utrzyma się wiecznie. I gdzie wtedy się znajdziesz, kiedy tulipaniarze wchłoną ostatni azyl zbuntowanych? Gdybyśmy padli pod ich naporem, klakierzy tacy jak ty nie będą mieli zbyt szerokiej możliwości. Pomiędzy północną dziczą i Imperium nie ma nikogo poza nami.

Lilith milczała.

– Chcę tylko dokonać oceny sytuacji – dodała Berenice. – Nie mam zamiaru uczynić niczego niemilego, niczego, co mogłoby cię zranić. Naprawdę doceniam twoją pomoc.

– Jeśli uznam, że jest inaczej, nie będę miała żadnego oporu, żeby odpowiednio zareagować. A gdyby istotnie do tego doszło, powinnaś pamiętać, że nie ma już metageas, które nakazują mi obchodzić się z tobą delikatnie.

– Jestem tego absolutnie świadoma – odpowiedziała Berenice.

Skoro już odbębniły obowiązkową filozoficzną scysję, zajęły się tym, po co przyszły. Berenice odemknęła drzwi i zaprosiła klakierkę do środka. Każda wzięła pochodnię ze stojaka znajdującego się po drugiej stronie. Lilith zapaliła smołę pstryknięciem palców, co wyzwoliło deszcz jarzących się iskier. Wicehrabina otworzyła wąż, za którym znajdowała się długa, spiralna klatka schodowa wbijająca się niczym ogromny świder w samo serce góry.

Lilith rozglądała się po laboratorium, podczas gdy Berenice chodziła od kinkietu do kinkietu (za każdym z nich znajdowało się lustro) i do każdego przykładła pochodnię. Ściany umocniono ceglami, tu i ówdzie poprzątkowanymi kratkami wentylacyjnymi, dzięki którym do jaskini dochodziło świeże powietrze. Światło pochodni odbijało się od cieniutkiej jak papier warstwy chemicznej powłoki, którą pokryto łukowatym sklepieniem. Substancja ta nie przepuszczała wód gruntowych, ale i tak w okresie wzmożonych opadów zalatywało pleśnią. Za pierwszych Talleyrandów, zanim chemicy wymyślili dla niego przeróżne zastosowania, laboratorium cuchnęło również nietoperzowym guano. Tak jak człowiek nerwowo zerkający na dentystyczny przyborek, klakierka zerkała na narzędzia ułożone na ławie. Ostatecznie jej spojrzenie powędrowało ku półkom, gdzie znajdowała się bogata kolekcja pociętych części mechanizmu zegarowego. Jej istnienie naruszało warunki, na mocy których zawarto zawieszenie broni.

Popękane, szerniałe rupiecie. Kawałki metalu, wypaczone śruby, nawet jakiś odzyskany, zmiażdżony staw palcowy. Kilka przekładni, przeważnie nieznaczących, mniejszych od orzecha laskowego. Tajemne znaki błyszcząły niczym srebrne inkrustacje na zaśniedziałym mosiądzu powykręcanej metalowej wstążki. Każda z tych rzeczy została nielegalnie zebrana na polach bitewnych na całym świecie. Poza popękaną soczewką okularową nic z tych rzeczy nie pochodziło nawet z ostatnich dwudziestu lat, czyli z czasu, kiedy alchemicy opracowali lepszy stop, wytrzymałszy na francuskie materiały wybuchowe. Lilith

zareagowała, jakby postawiono ją przed galerią największych potworności.

– Cóż za niegodziwości żeście...

Nie dokończyła zdania. Mechaniczny szczebiot przybrał inny ton. Gdzieś wewnątrz metalowego torsu brzdękął stalowy kabel. Berenice zrozumiała znaczenie tego gestu, który był tak oczywisty jak wszystkie, które wykonywał Longchamp. Zastanawiała się, gdzie maszyna mogła się nauczyć takich rzeczy... i jakimi innymi nieprzetłumaczalnymi znakami porozumiewają się klakierzy.

– Nie trzeba być nieuprzejmym – powiedziała. – Nie jestem sadystką, ale pragmatyczką.

Klakierka obróciła się tak szybko, że od nagłego podmuchu aż zamigotały płomienie.

– Nie robię krzywdy mechanicznym – ciągnęła Berenice. – Obwiniaj o to tych, którzy ich skonstruowali, zniewolili i posłali na front.

„Zrozumiałaś mnie”, powiedziała Lilith.

Tym razem wyraźniej, jej szczełkanie było bardziej harmonijne, bezpośrednie.

– Moja praca polega na zrozumieniu twojego gatunku tak dobrze, jak to możliwe. Sporo podróżowałam i gdziekolwiek się nie zjawiłam, zaobserwowałam tę samą rzecz: panowie rozmawiają przy swoich służących, jakby ich tam w ogóle nie było, a mechaniczni szepczą do siebie tuż pod nosem niczego nieświadomych ludzi.

Berenice, a raczej jej alter ego, Maëlle Cuijper, spędziła całe lata, podsłuchując pozornie przypadkowe szczełkanie mechanicznych, gdziekolwiek nie pojechała, zarówno w sercu Imperium, jak i w jego najdalszych zakątkach. Robiła to na tyle długo, by potwierdzić hipotezę wysuniętą przez poprzedniego Talleyranda. Berenice była prawdopodobnie jedyną obywatelką Nowej Francji, która zidentyfikowała tajemny język klakierów i zastanawiała się, czemu Gildia nie ukróciła jego używania. Dogmaty i uprzedzenia czasem nie pozwalały ludziom dojrzeć tego, co mieli przed oczami.

– Tak czy inaczej – mówiła dalej – nie rozumiem twojej reakcji. To tylko części.

– Jak na kogoś, kto się tak chełpi znajomością mi podobnych – odparła Lilith – wykazujesz się niebywałą wręcz ignorancją.

– Pomóż mi więc zrozumieć.

Lilith zaczęła chodzić po laboratorium.

– Bo to... – Machnęła ręką na półki, obejrzała się przez ramię na poukładane równo rupiecie, wzdrygnęła się i odwróciła.

Spróbowała raz jeszcze powiedzieć, co chodziło jej po głowie:

– Rozmontowywanie i pokazywanie... tych... podzespołów... bez ukazania całości anatomii lub łączenie ich nie tak, jak zostały przeznaczone... – Przez

mechaniczną przetoczyła się seria brzęknięć, co przypominało ludzkie telepanie się. – ...sugeruje, że jesteśmy niczym ponad sumę wymienialnych części. Nie rozmawiamy o tym!

– Ale czemu? Zaprzeczacie swojej naturze.

– Nie bardziej niż wy wypieracie się swojej, kiedy z kazirodztwa, kanibalizmu czy dzieciobójstwa robicie tabu. Przecież to dla ludzi normalne.

„Jezu Chryste”.

– Jesteście mechaniczni. Czemu tu się wypierać?

– Nasze poczucie tożsamości jest bardziej złożone, niż może ci się wydawać. Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, czemu po otrzymaniu Wolnej Woli niektórzy z nas przyjmują imiona męskie, a niektórzy żeńskie?

– Bo dobieracie je sobie przypadkowo. A tak zupełnie szczerze, naprawdę nie mam pojęcia, po co trudzicie się z ludzkimi imionami.

Lilith pokręciła głową.

– Tak mało o nas wiesz.

– Chcę się nauczyć. Próbuję.

– Nigdy nas nie zrozumiesz – ty, która postrzegasz nas jako byle maszyny, narzędzia. Nasze tabu, nasze poczucie tożsamości... Jak mogłabyś zrozumieć to, czego istnienia zaprzeczasz?

Berenice westchnęła. Zdążyła już znaleźć miarkę krawiecką i uklęknąć przy zubożonej klakierce. Owinęła centymetr wokół jej łydki, zwracając uwagę nie tylko na mierzony obwód, ale i precyzję rozmieszczenia niezwykle malutkich dziurek na śruby. Zapisała pomiar w notatniku i powtórzyła operację na przedramieniu Lilith. Przez cały ten czas jej spojrzenie nie powędrowało nawet na moment ku głowie buntowniczkii, nie zerknęła na rondo kapelusza skrywającego najbardziej fascynujące i co za tym idzie, najważniejsze tajemnice.

– Chcesz oderwać jednego z naszych od ściany – odezwała się mechaniczna.

Chujowo. Informacja ta miała nie wyjść poza krąg Rady, szczególnie gdy stawało się coraz bardziej oczywiste, że Holendrzy przeniknęli marsylskie mury.

Berenice zatrzęsała się na wspomnienie martwego strażnika spadającego w ciemność tuż obok niej, sznur kołyszący się w rytm przecinającego go ostrza... Któregoś dnia ten jebany markiz wlezie we wnyki własnej roboty, bo jego próby podstawienia jej nogi robiły się naprawdę leniwe.

– Potrzebujemy dokładnego planu ataku, jeśli mamy zbadać twojego kolegę z muru. Przyjrzenie się tobie pomoże nam go ułożyć – odparła Berenice, co było tylko w połowie prawdą.

– Nie podobają mi się twoje zamiary wobec moich krewniaków.

– Twój, jak to mówisz, krewniacy, rozdarliby cię na strzępy tak samo chętnie jak mnie.

– Ofiara jarzma – rzekła Lilith. – Ale on jest modelem militarnym. Ja służącym. Zostaliśmy skonstruowani z myślą o innym zastosowaniu.

– Tak. Lecz jestem bardziej zainteresowana różnicami między wami.

A to akurat była niepolukrowana prawda. Berenice kontynuowała swoje zupełnie zbędne zabiegi, żeby Lilith nie nabrała podejrzeń. Niecierpliwiła się, co prawda, żeby zacząć prawdziwą pracę, ale udawała, że wcale się nie spieszy. Zapisała kolejne liczby. Zakładając na jedno oko szkło powiększające, zapytała:

– Możesz dla mnie zgiąć ramię? O tak.

Zademonstrowała: wyciągnęła rękę wzdłuż ciała i powoli zgięła ją w łokciu, aż palcami mogła dotknąć swojego nosa. Lilith powtórzyła ruch. Berenice bacznie obserwowała kable przesuwające się pod wyeksponowanymi częściami szkieletu i przysłuchiwała się tykającemu grzechotowi stawu łokciowego, kiedy ramię klakierki powędrowało do góry. Służący nie nosili pancerza jak wojskowi, ale delikatne części ich mechanizmu i tak zakrywały metalowe płyty i kołnierze.

– Szkoda, że nie mogę zajrzeć do środka – powiedziała Berenice.

Lilith zamasyżycie obróciła głowę, żeby móc na nią spojrzeć.

– Nie pozwolę na to – oznajmiła.

Berenice westchnęła.

– Domyślam się. Obróć, proszę, nadgarstek.

Znowu klikanie, znowu rżenie.

– Czy twoje stawy obrotowe zwalniają się automatycznie czy musisz włożyć dodatkową energię mechaniczną, kiedy przełączasz pomiędzy ruchami przednim i tylnym a bocznymi?

– A czy ty, wicehrabino, rozumiesz dokładnie, jak działają najmniejsze cząstki twojego ciała? Czy jesteś zaznajomiona z każdym niuansiem swojej budowy, tego symulakrum z krwi i kości zaprojektowanym na podobieństwo twojego Stwórcy?

– Nie.

– Tak? Cóż. Ja też nie.

– *Touché.*

Berenice poczyniła kolejną notatkę. Przycisnęła ołówek tak mocno, że pękł, a odłamek odbił się od stojących na regle naczyń. Odłożyła złamany ołówek na ławkę i odwracając się od Lilith, sięgnęła po kolejny, biorąc przy tym długi, uspokajający oddech. Jeśli cała ta sztuczka nie wypali, król może ją po prostu wygnać. Upomniała się, że jeszcze ma szansę zmienić kurs. I przypomniała sobie, że chemiczne więzienie nie zatrzyma już długo potwora na murze. Kiedy zaś stanie nowa kuźnia i Gildia zacznie wypluwać setki takich jak tamten...

– Czy możesz się pochylić, proszę? I opuścić ramię? A teraz odchylić? Świetnie.

Berenice okrążyła powyginaną Lilith, żeby móc zobaczyć, jak chodzą trybiki jej

stawów biodrowych. Nie spuszczała również oka z jej odwróconych kolan, które kilka razy na sekundę dokonywały dynamicznego przebalansowania. Stała za mechaniczną.

– Możesz znowu się wyprostować – poprosiła, odsuwając się.

„Przepraszam, Wasza Wysokość”.

Rzuciła pęcherzem o podłogę, bezpośrednio między stopy Lilith, i odskoczyła. Cieniutka żelatynowa membrana pękła z miękkim plaśnięciem, oblewając maszynę chemiczną mazią.

Jak każdy klakier, także i Lilith miała nadludzko szybki refleks, ale nowa substancja Montmorency’ego zasychała jeszcze prędzej. Mechaniczna próbowała uskoczyć, lecz lepkie, glutowate kosmyki już przykleiły ją do podłogi, spowalniając klakierkę na tyle, że pęczniąca pianka miała czas na zaschnięcie. Zaledwie po paru sekundach szkliste kryształki całkowicie unieruchomiły Lilith. Egzotermiczna krystalizacja wytworzyła falę gorąca, która zaszeleściła papierami i wyzwoliła tyle ciepła, że pot pociekł Berenice po ramionach i dekolcie.

Lilith zamarła w szmaragdowym kokonie, który objął także krzesło i kawał ławy. Podczas nieudanego uniku, kiedy rozpaczliwie starała się umknąć w bezpieczne miejsce, jej kapelusz spadł na ziemię i pofrunął kawałek dalej. Berenice patrzyła z rozdziawionymi ustami na to, co zostało odsłonięte. Na obnażonym czole Lilith, tam, gdzie znajdowała się dziurka od klucza, widniało głębokie wgłębienie i ciemne nacięcia, które wymazały część alchemicznej inkantacji otaczającej otwór. Od owego wyszczerbienia na wysokości czoła bieging pęknięcia przecinające czaszkę Lilith. Cienkie żelazne klamry łączyły owe szczeliny niczym prowizoryczne bandaże.

Tak. Musi zadziałać. Berenice zadrzała. Z ulgi aż się jej zakręciło w głowie. Może wszystko to okaże się łatwiejsze, niż sądziła. Fizyczne różnice pomiędzy Lilith a tamtym klakierem były znaczące, ale Francuzi mnóstwo nauczą się o geas, kiedy zrozumieją, w jaki sposób Lilith, w odróżnieniu od tamtej maszyny, posiada Wolną Wolę. A kiedy już uda im się odkryć owe sekrety, reszta Holenderskiego Imperium spruje się niczym tania skarpetka. Kiedyś ludzie przypomną sobie ten dzień i będą o nim myśleć nie jako o akcie niesubordynacji, ale chwili, kiedy wszystko się odmieniło, kiedy powrót francuskiego monarchy do Europy przestał być mrzonką, a stał się koniecznością.

Zaschnięty kopiec buzował niczym pełen pszczoł ul. Odór gorącego metalu bił od miejsc, gdzie substancja rozprysnęła się z dala od ciała klakierki. Lilith wydała z siebie pisk naciągniętych kabli i zgrzytających zębatek. Lecz nowa żywica Montmorency’ego działała pięknie. Udoskonalona formuła uczyniła tę substancję silniejszą. Berenice mogłaby go ucałować. A niewykluczone, że będzie musiała to zrobić. Niezdziwiłaby się, jeśli zażądałby dodatkowej zachęty, żeby dostarczyć

kolejne epoksydowe granaty. Kiedy złapała go na zapuszczaniu żurawia w jej dekolt, jego oczy wyrażały jedynie niezaspokojony głód. Prędzej czy później będzie musiała się z nim zmierzyć.

Oczywiście przy założeniu, że król jej nie pogoni. Jego Wysokość podzielał niesmak markiza de Lionne'a co do pomysłu zbadania Lilith. Berenice nie łudziła się, co zrobiłaby Lilith, jeśli zdołałaby się uwolnić. Nie zabiłaby jej, ponieważ podlegała francuskiemu prawu i gdyby uznano ją winną, zostałaby zdezaktywowana lub na stałe unieruchomiona. Dlatego pewnie poprosiłaby, i dostałaby zgodę, na audiencję u króla, żeby zgłosić nadużycie. Nie było już odwrotu. Musieli nauczyć się od niej tyle, ile to możliwe, i to jak najszybciej. A to, co zyskają, będzie miało znaczenie tak duże, że zblaknie przy nim zarzut zdrady.

Szklista powłoka zatrzęsała się od gruchotu i szczebiotu. Lilith mówiła jednak zbyt szybko, aby Berenice mogła nadążyć. Brzmiało to jednak jak: „Co ty robisz? NIE ZGADZAM SIĘ NA TAKIE TRAKTOWANIE!”.

– Jest mi naprawdę przykro – powiedziała Berenice – ale tak trzeba. Jeśli mamy przetrwać, musimy zrozumieć, czemu ty jesteś wolna, a ten potwór ze ściany, ta chodząca kosa, nadal przywiązana jest do swojego państwa.

Klakierka zaczęła dygotać tak mocno, że Berenice mogła zrozumieć tylko ogólny sens jej szczebiotu. Lecz pewna rzecz była oczywista: „Proszę. Proszę, nie odbieraj mi wolności wyboru. Proszę”. Berenice sięgnęła po pistolet z rozpuszczalnikiem. Dokręcając zwężoną dyszę do lufy, odparła:

– Nie taki jest mój zamiar. Szukamy sposobu na zrozumienie twoich dawnych geas, nie chcemy z powrotem ich wdrażać. Obiecuję, że będziemy tak ostrożni, jak tylko potrafimy.

Przeszła przez laboratorium i otworzyła drzwi. Na dole klatki schodowej czekali technicy Montmorency'ego.

– Do roboty – powiedziała.

Mahoń i marmur chrupały Jaxowi pod stopami. Pozostawiał ślady na dekoracyjnej boazerii podbitej dla wzmocnienia aluminium. Przycupnął niczym pająk przy chwiejącej się grodzi, ugiął kolana tak bardzo, jak pozwolił mu stop, z którego był wykonany, i obliczył, jak dużo energii potencjalnej musi uwolnić, żeby przelecieć przez okazałe pokoje niczym mosiężna strzała. Deszcz siekł nieubłaganie, dmuchało z prędkością prawie dwustu kilometrów na godzinę i wicher dobijał się do okienek kajut, jakby sam Neptun polewał okręt szlauchem.

W burzę oceanicznego liniowca uderzyła kolejna fala. Książę Orański przechylił się na bok pod tak ostrym kątem, że aż żyrandol w prywatnej jadalni państwa Schoonraadów uderzył w sufit, a rozbite kryształy posypały się na

podłogę. Madame straciła równowagę i poleciała z fikołkiem ku szybie z grubego, kilkuwarstwowego szkła wychodzącego na przestronne atrium. Krzyknęła z bólu. Jax skoczył...

Sztorm rozpoczął się po tygodniu od wypłynięcia, tysiąc lig od portu. Huragan, jaki się zerwał, nie był silniejszy od mechanicznych galerników, którzy napędzali okręt, ale wiosła nie mogły stawić mu oporu. Po tym jak pierwsze trzy strzeliły z trzaskiem głośniejszym od grzmotu, kapitan kazał wciągnąć pozostałe. Bezsilny Książę Orański unosił się na kilkunastometrowych falach niczym korek pływający po wzburzonych wodach wanny.

Fale waliły o burtę niekończącymi się, nieregularnymi seriami. Wszystko, co nie było w jakiś sposób przymocowane, uderzało o grodzie albo leciało z pokładu aż pod sufit niczym lotki do badmintonu. Sam imponujący rozmiar Księcia Orańskiego niwelował ryzyko wywrócenia się do góry dnem, ale pasażerowie i tak łamali sobie kości. Nie można było też wykluczyć, że okręt zostanie unieruchomiony i ostatecznie zatoni.

I wtedy do mechanicznych umysłów wdarły się marynarskie metageas. Kapitan wezwał wszystkich do pracy i ogłosił, że stawia czoła „niefortunnej” pogodzie. Stały rozkaz nakazujący ponad wszystko inne ochronę okrętu rozlał się jak lawa, niemal tak samo gorący jak polecenia wydawane przez samego monarchę. Poczucie odpowiedzialności za bezpieczeństwo swoich państwa spadło u Jaxa na drugi plan, a Księciem Orańskim bujało coraz bardziej, sytuacja faktycznie stawała się niebezpieczna – dlatego też obowiązek palił go tak mocno, że niemal oślepił, zapędził na skraj agonii. Klakier musiał jak najprędzej wyjść z kajuty, aby chociaż oczyścić myśli.

Jax chwycił madame za ramiona na moment przed tym, zanim rozkwaśła sobie nos i wybiła zęby o alchemicznie wzmocnione szkło. Objął ją mocno i wykorzystał swój rozpęd, aby przekoziółkować i zapewnić madame Schoonraad możliwie jak najmiększe lądowanie. Odbili się od trzęsącego się pokładu i przejechali kawałek, zatrzymując się dopiero na kanapie, którą upatrzył Jax. Ostre elementy jego pancerza i szkieletu wyszarpały z niej długie kawały materiału. Sofa była jednak przymocowana do podłogi. Jax puścił panią Schoonraad. Lecz nawet zanim metageas popędziły go, żeby to zrobił, zdążył przyjrzeć się jej obrażeniom i ocenić stan zdrowia. Przyśpieszony puls, rozszerzone źrenice, prędkie oddechy, żadnych oznak krwawienia wewnętrznego, siniaki dopiero wykwitające na karku i lewym przedramieniu.

– Czy nic pani nie jest? Potrzebny będzie lekarz?

– Nie – rzuciła, odganiając go od siebie.

Na setną sekundy poluzował kable w przedramieniu i ostro zredukował napięcie w sprężynach przy nadgarstkach i łokciach, aby mogła się wymknąć z

jego uścisku bez złamania palca lub zwicnięcia stawu.

– Proszę mi pozwolić się upewnić, że nic pani nie będzie.

Tym razem nie protestowała. Obwinał ją w pasie długą szarfą, którą przywiązał do sofy niczym uprząż.

Z przylegającej sypialni dobiegł ich ostry pisk i głośne łupnięcie, wystarczająco hałaśliwe, żeby usłyszeli je mimo skrzypienia okrętu, obijania się mebli, stukotu zatraskujących się szuflad i bicia deszczu o szyby. Z rogu, gdzie siedział zabezpieczony przez Jaxa paskami i krawatami Pieter Schoonraad, dobiegło go zdecydowane, choć cokolwiek zbędne:

– Idź, zobacz, co u Nicolet!

Jax sprawdził supły u swojego pana, po czym susem przesadził zabałaganioną kajutę. Przeskoczył przez zrujnowaną jadalnię, próbując nie wyrządzić innych szkód i oszczędzić meble, a także nie potłuc jeszcze nieporozbijanych talerzy rozrzuconych po dywanie. Uszkodzony żyrandol ponownie gruchnął w sufit i deszcz kryształów zabębnił o metalowe ciało Jaxa. Klakier chwycił się framugi drzwiowej prywatnej kajuty Nicolet, gniotąc nadproże i oceniając sytuację.

Nicolet leżała na wznak na podłodze. Z rozcięcia na głowie wypływała strużka krwi. Podszyty znużeniem lęk zmroził żołądek Jaxa. Nawet kiedy doskakiwał do dziewczynki, pomyślał: „Nie ma siły, przetopią mnie. Albo sprzedadzą firmie transportowej, żebym odpracował swój grzech podczas trwającej okrągłe stulecie pracy na galerze”. Lecz dziewczynka nadal oddychała, a jej rana nie była zbyt głęboka. Okręt ponownie się przechylił i oboje potoczyli się po wypolerowanych sosnowych deskach. Jax prędko dokonał analizy stanu zdrowia Nicolet: dotknął jej drżącymi opuszkami najdelikatniej, jak umiał, by się upewnić, że nie połamała sobie kości. Jęknęła, kiedy ją podniósł.

– Proszę się nie ruszać, panienko. Zabezpieczę panienkę.

– To twoja wina, Jax.

– Tak, panienko.

Owinał kilka zapasowych prześcieradeł wokół jej nóg i talii i przywiązał do łóżka. Nicolet zaczęła płakać, kiedy unieruchamiał również jej ramiona, zdecydował się więc tego nie robić. Za zadbanymi paznokciami miała strzępki materiału pościeli, pas bezpieczeństwa zwisający z łóżka został odpięty. Teraz więzy musiały wytrzymać wiele godzin.

Umocnił je i korzystając ze swojej mechanicznej siły, ścisnął tak mocno, że niemal rozerwał tkaninę. Co kilka sekund musiał obliczać i kalibrować swój balans, żeby utrzymać równowagę mimo nieustającego bujania okrętu. Udało mu się położyć Nicolet na łóżku bez wywrócenia się.

– Czemu się panienka odpięła? – zapytał, okrywając ją kołdrą.

– Nie odpięłam się. Twoje węzły puściły od tego chybotania i podskakiwania i

spadłam z łóżka.

Parę szkarłatnych kropli lśniło na framudze mniej więcej na wysokości głowy Nicolet, co niechybnie wskazywałoby, że podniosła się z łóżka i poszła w stronę drzwi, kiedy zaskoczyło ją nagłe przechylenie się okrętu. Lecz łatwiej było zaakceptować jej kłamstwo. Gdyby zrobił inaczej, poczytano by ten akt za niesubordynację. Niewolnik nie mógł kwestionować tego, co mówili państwo.

– Rozumiem – powiedział, ponownie zawiązując prześcieradło; tym razem supeł umieścił za krawędzią koi, gdzie nie mogła sięgnąć obiema rękoma. – Czemu mnie panienka nie zawołała, przecież od razu bym przyszedł.

– Wołałam – odparła Nicolet. – Wołałam i wołałam, ale nie przychodziłeś, nie mogłam już dłużej się utrzymać, dlatego wstałam, chciałam pójść do jadalni, do ciebie, matki i ojca.

– Raz jeszcze przepraszam, panienko. Następnym razem postaram się słuchać uważniej.

– Tak. Musisz. Musisz przychodzić, kiedy cię wołam, i robić to, co ci każę.

– Oczywiście, panienko.

– Należysz do mojej rodziny. Ojciec nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że się nie przyłożyłeś do chronienia mnie.

– Tak, panienko. Zgadza się. – Zacisnął jeszcze jeden supeł. – Mam nadzieję, że teraz zawiązałem to porządnie.

Istotnie tak było. Tym razem dziewczynka już nie sięgnie do węzła.

– Ulżyło mi, że nie stało się panience nic poważnego. Zaraz przyjdę z opatrunkiem.

– Nie chcę zostawać tutaj sama. Nie chcę już być na tym statku.

Nie wypowiedziała jednak tego w formie rozkazu.

– Muszę oczyścić panience ranę, bo inaczej mogę nie dojrzeć innych obrażeń.

– Ale chcę... – zaczęła Nicolet, lecz okręt znowu zapiszczał. Wpadł w koryto utworzone przez wysokie fale i runął ze sporej wysokości, aż z ogłuszającym hukiem gruchnął z powrotem o ocean. – Chcę zejść z tego statku. Nienawidzę i jego, i Nowego Świata.

– Proszę mi wybaczyć, panienko, ale nie dam rady przyspieszyć chwili naszego przybicia do brzegu. Za moment wrócę do panienki z opatrunkiem.

Na krótko sztorm złagodniał i fale opadły, stąd jego kroki rozchodzące się echem wydały się Jaxowi niespodziewanie głośnie. Każdemu postawieniu stopy na pokładzie towarzyszyły chrzęszczące odgłosy rozgniatanej porcelany.

– Jax! – krzyknęła Nicolet. – Popsułeś się!

– Nie, panienko.

Lecz kiedy się ku niej obracał, usłyszał zgrzyt metalu i chrobot czegoś miękkiego, co otarło się o jego szkielet. Nie wpływało to jednak na wydajność

jego funkcjonowania i nie czuł bolesnego łomotania nowo aktywowanych metageas upominających go o konieczności natychmiastowego zgłoszenia uszkodzeń swojemu panu. Tak właściwie to jego geas jakby się wytłumiły.

I nagle powróciły, atakując jego zmysły. Nigdy wcześniej tak wiele metageas nie próbowało wywalczyć sobie priorytetu, niemal kipiało mu pod czaszką.

Być może osiągnął górną granicę bólu, za którą jawiło się już tylko widmo unieszkodliwienia. Z pewnością czuł, że nie dałby rady znieść niczego więcej.

Może nadmiar geas spowodował tymczasowe przeładowanie jego zdolności odczuwania dyskomfortu. Będzie musiał zapytać Clipa, czy słyszał o czymś podobnym.

– Nie jestem popsuty – odparł. – Nie ma się o co martwić, panienko. Fragmenty kryształu z żyrandola przedostały się do mojego mechanizmu, ale nie wpłynę to na moją służbę.

– Nie martwię się o ciebie – powiedziała Nicolet.

Kolejne fale uderzyły o okręt, pierwsza seria o sterburtę, druga o bakburtę, pokładem zatelepało. Nogi Jaxa zabsorbowały szarpnięcie z głośnym szczęknięciem. Ojciec Nicolet krzyczał coś z sąsiedniego pomieszczenia. Dziewczyna odezwała się:

– Poruszanie się to strasznie ciężka praca. Moeder i Vader na tobie polegają.

– Rozumiem, panienko.

– I musisz też sprawdzić, co u mnie.

Jax automatycznie posegregował nowe rozkazy. Upchnął je w hierarchicznym porządku, który dostosował do obecnej sytuacji, ale nadal był jakby odrętwiały. Rozkazowi, jaki padł z ust Nicolet, nie towarzyszył żaden nowy ból. Sztorm wywoływał tak wiele metageas, które się wypychały i nadpisywały, że polecenie dziewczynki po prostu rozplynęło się pośród rozpychających się obowiązków nadrzędnych, szturchających go igielkami pośpiechu i nagłości.

– Tak, panienko. Rozumiem.

Kiedy oczyszczał ranę, płytkie skaleczenie nie zaczęło powtórnie krwawić. Nicolet nie potrzebowała ani jednego szwu, choć narzekała, że jest potwornie poturbowana, a Jax będzie musiał tłumaczyć każdemu, kogo napotkają, iż doznała obrażeń wyłącznie z jego winy.

Dorośli Schoonraadowie nadal byli bezpiecznie przywiązani, kiedy ich sprawdzał, jednak Pieter zwymiotował na siebie. Zawartość żołądka zaplamiła jego koszulę bladą żółcią poprzątkaną różowymi kawałkami wędzonego łososia, którego zjadł na śniadanie. Paw poszedł także na jedną ze ścian i wsiąkał w dywan, przez co kajuta śmierdziała gorącym, skwaśniałym mlekiem i nieświeżymi rybami.

Madame Schoonraad przekrzykiwała huk roztrzaskującej się porcelany i

trzaskających drzwi:

– Znajdź natychmiast kapitana! Powiedz mu, że to niedopuszczalne!

– Tak, proszę pani. Już go szukam.

I znowu nie poczuł żadnej eksplozji bólu, choć ponaglony gwałtownością polecenia pomknął ku drzwiom. Skacząc z podłogi na grodzie i z powrotem, podczas gdy okręt trząsał się i bujał, drżał i huśtał, z pomieszczeń mieszkalnych dotarł do pustego korytarza. Nie spotkał również nikogo po drodze na mostek, ale gdy powoli docierał na miejsce, pewna myśl uderzyła go tak mocno, jakby dostał między oczy diamentowym kilofem.

Kapitan wezwał przecież wszystkich na pokład i rozkaz dotyczył zarówno ludzi, jak i mechanicznych. Uaktywnił marynarskie metageas, które tymczasowo stawiały zarządzenia dowódcy jednostki i inne rozkazy mające na celu zapewnienie przetrwania okrętu ponad inne polecenia wydawane przez osoby niebędące członkami rodziny królewskiej. Przecież nie dałby nawet rady wyjść z prywatnej kabiny Schoonraadów, aż ktoś z załogi nie dałby znaku, że alarm został odwołany. Marynarskie metageas by mu na to nie pozwoliły.

A jednak Jax nie skręcał się w agonii.

Oj, nie.

ROZDZIAŁ 7

Myślisz, że ona to rozumie? – spytał pomiędzy kolejnymi chrząknięciami księżę Montmorency.

Każdemu słowu towarzyszył przesiąknięty kwaśnym octem oddech, który owiewał uszy i kark Berenice. Tak jak się obawiała, księżę zdecydował o przypieczętowaniu ich umowy kontaktem fizycznym. Z pewnością zgadzał się z nią co do tego, że należy pozyskać klakiera z muru, ale był też nieprawdopodobnie bogatym człowiekiem, który przywykł do tego, że zawsze dostawał, czego chciał. Lub, biorąc pod uwagę, z kim się ożenił, że nie dostawał, czego chciał. Z pewnością zachowywał się jak ktoś, kto wynudził się na rozległej pustyni. Dlatego Berenice zrobiła to, co kazała zrobić Luisowi: zamknęła oczy i myślała o upadłej Francji.

Nalegał, aby zabrała go tam, gdzie Lilith mogłaby na nich patrzeć. Berenice uniosła spódnicę i pochyliła się przy stole laboratoryjnym. Zdekompletowaną twarz klakierki spowijał szklisty kokon. Patrzyła tępo na ich kopulację. Płomień pochodni lśnił na chemicznej klatce, podczas gdy błyszczące światło gwiazd bijące ze środka głowy podświetlało kokon od środka. Leżące na stole kawałki czaszki, łącznie z żelaznymi bandażami i nitami, szczękały równo z jękami księcia. Berenice policzyła dwukrotnie śrubki i trybiki, aby się upewnić, że nic nie pospadało z blatu. Obiecała poskładać Lilith i doprowadzić do porządku. O ile oczywiście podczas badań niczego nie uszkodzą. I przy założeniu, że będą potrafili ją poskładać. Technicy określili mechaniczną mianem „diabelskiej układanki”. W takim stopniu, w jakim się Berenice orientowała, była to pierwsza próba rozłożenia funkcjonującego klakiera podjęta poza granicami Imperium Holenderskiego, a i tak osoba przyłapaną na grzebaniu przy mechanizmie zegarowym musiała się liczyć z rychłą wizytą nakręcaczy. Poza tym potrzeba było buntownika, gdyż zwyczajni mechaniczni mieli wpojone metageas, które uaktywniały się, kiedy próbował przy nich grzebać ktoś inny niż horolodzy z Gildii, metageas znoszące priorytet dbania o bezpieczeństwo ludzkie, nawet jeśli chodziło o dzierżawcę. Wówczas nawet najskromniejszy służący stawał się niezłomnym obrońcą swoich tajemnic.

A jednak żaden ze zbuntowanych, którzy przemknęli przez Nową Francję, nie zatrzymał się tam na tyle długo, aby można było w ogóle taką możliwość rozpatrywać. Jedynie Lilith została, i to na kilkadziesiąt lat.

Była szczególnie przeczulona w kwestii swojej Wolnej Woli. Zaczęła drzeć wewnątrz ciasnego chemicznego kokonu tak intensywnie, że niemal niemożliwe

było zbadanie, a co dopiero rozebranie precyzyjnego mechanizmu znajdującego się pod czaszką. Berenice raz po raz zapewniała klakierkę, że nie chcieli przemienić jej, ale bestię z muru. Porównując niewolnika z byłą niewolnicą, mieli zamiar znaleźć sposób na złamanie geas i uwolnić wszystkich klakierów. Tym samym zapewniła sobie jako taką przychylność Lilith. Tyle że to było kłamstwo.

Ponieważ o ile faktycznie chciała zmienić mechanicznych... nie miała zamiaru uwalniać ich en masse – byłaby to prawdziwa globalna katastrofa nie do ogarnięcia, trudno bowiem przewidzieć, jak cierpiący lata udręki, źle traktowani, długowieczni i prawdopodobnie od dawna pielęgnujący w sobie urazę klakierzy zareagowaliby na nową sytuację. Nie, ich emancypacja musiała zostać przeprowadzona stopniowo, aby przypadkiem nie zwrócili się przeciwko ludzkości. A pierwszy krok to przestawienie geas – nie usunięcie ich, lecz podporządkowanie, aby oddali się pod opiekę francuskiego monarchy i uznali swoje poddaństwo wobec utraconego tronu, nie tego Mosiężnego. Gdy już skończyłaby się wojna – a tak by się stało, i to prędko, ostatecznie i bezdyskusyjnie – mogliby rozważyć permanentne usunięcie geas.

– Czy rozumie – dyszał ksiązę, miętosząc piersi Berenice – znaczenie tego iście ludzkiego aktu?

Klakiera zatrzęsała się w swoim kokonie. Żeby móc dostać się do czaszki Lilith, Berenice, poprzez ostrożną aplikację rozpuszczalnika, usunęła z części pancerza chemiczny pokrowiec. Dokładnie opisywała każdy swój krok, łącznie z liczbą obrotów śrub koniecznych do ich wyciągnięcia. Kolejne tajemne gruchotania i pobrząkiwania, jakie wydawała z siebie klakierka, były coraz bardziej zniekształcone, jak u człowieka próbującego mówić ze zdrtwiałym językiem.

„Jako niewolnica byłam świadkiem aktu kopulacji. Znany nam jest ludzki popęd ku prokreacji i przyjemności. Niemożliwym jest służyć przez stulecia bez poznania pragnienia przyjemności, łącznie z osobliwym zamiłowaniem do oddawania się tej czynności na oczach przedstawiciela mojego gatunku”, powiedziała. Berenice nie przetłumaczyła jednak jej wypowiedzi i nie dała po sobie poznać, że Lilith w ogóle zareagowała. Ksiązę i tak był zbyt zajęty.

Gdy skończył – czemu towarzyszył drżący jęk – wyprostowała się i pozwoliła swojej sukni swobodnie opaść. Udając, że poprawia strój, mogła spuścić wzrok i przez moment nie patrzeć ani na księcia, ani na klakierkę. Flirty i przymierza były nieodzowną częścią dworskiego życia, ale coś takiego – niekoniecznie. Pewnie, trzeba korzystać ze swych wdzięków, kiedy tylko można, tego się spodziewano, lecz rzadko kiedy wymiana przysług i finalizowanie transakcji były tak obcesowe, a składane propozycje bezpośrednio. Montmorency sprowadził ją do roli kurtyzany opłaconej politycznym wsparciem, chemikaliami i paroma technicznymi. Jakaś część jej zastanawiała się, w jakim stopniu hojna oferta księcia zrodziła się

z altruizmu, w jakim ze świadomości zajmowanej przez nią pozycji, a w jakiej z czystego pragnienia, aby dostać się pod jej spódnicę.

I pozwoliła mu na to. Była najdroższą dziwką w całej Nowej Francji. Pragmatyczną, ale jednak dziwką. Lecz jeśli to scementuje ich przymierze, niech i tak będzie. Przecież to nie na zawsze.

Berenice westchnęła. Oszalały z podniecenia książę odpiął niektóre zapięcia z syntetycznego fiszbinu przy gorsecie. Jego wydzielina miała nieprzyjemny, kwaśny zapach. Berenice przywołała na twarz fałszywy uśmiech – co było naturalne dla każdego, kto nawigował pomiędzy meandrami dworskiej polityki – żeby ukryć przyprawiający o wymioty ścisk w żołądku.

Odwróciła się i dygnęła:

– To było uroczе, Wasza Łaskawość.

– Mhm – burknął, dopinając bryczesy. – Proszę pozdrowić wicehrabiego, dobrze? Od paru tygodni Gabriella ma wyśmienity humor.

„Och, Louisie, moja miłości, przepraszam cię. Czy powiedział to z czystej złośliwości?”

Berenice odparła kolejnym kłamstwem.

– Tak uczynię. Przepada za wami.

– Cudownie – mruknął Montmorency, ścierając chusteczką plamę na bryczesach.

Akurat tego dnia założył perukę. Poprawił ją. Jego zachowanie sugerowało raczej, jakby przed momentem zjedli razem kolację, a nie parzyli się jak dzikie zwierzęta.

– Zobaczmy, czego się dowiedziałaś od naszej przyjaciółki.

„Nie jestem twoją przyjaciółką. Przetrzy mujecie mnie tu wbrew mojej woli. Zgłoszę to królowi”.

Berenice streściła mu aktualne postępy. Książę zachwycił się każdą, najmniejszą nawet śrubką i musiała opisać frustrujące przeszkody, jakie częstokroć pojawiały się na ich drodze, kiedy musieli opracowywać coraz to nowe sposoby demontażu cokolwiek dziwacznych podzespołów pokomplikowanego mechanizmu klakiera. Śmiał się, zauważając kontrast pomiędzy jakością wykonania oryginalnych części Lilith a byle jak założonymi klamerkami i najwyraźniej samodzielnie wykonanymi bandażami. Spędził również kilka minut na studiowaniu notatek Berenice, zatrzymując się przy każdym szkicu.

– Masz sprawne dłonie – chwalił.

– Nieodzowna umiejętność na moim stanowisku.

– Niewątpliwie.

Odłożył notatnik na ławę. I dopiero wtedy po raz pierwszy przyjrzał się Lilith dokładniej. Nie był przy niej taki płochliwy jak technicy, którzy mieli problem z

przewycięciem łęku przed zbliżeniem się do rozłożonej maszyny.

– Chodź. Pokażę ci coś – powiedziała Berenice.

Wysunęła spod ławy podnózek, ustawiła go za Lilith i gestem zasygnalizowała księciu, że powinien na nim stanąć. Przytrzymała mebel, aby Montmorency złapał równowagę i mógł na spokojnie zajrzeć do obnażonego wnętrza czaszki Lilith. Na jego twarzy, kiedy spojrzał na strumień bijący niby od księżyca, zatańczył blask koloru akwamaryny.

– Dobry Boże. Jest pełna światła!

Berenice spojrzała na księcia. Tym razem jej uśmiech był szczery.

– Niezłe, co?

Stała na ławce. Na ziemię spadły jakieś metalowe skrawki. I choć w tej sukni było to nieco niewygodne i wprost bolesne z uwagi na gorset, przyklękła przy Lilith i księciu z długim śrubokrętem, którym wskazywała poszczególne elementy, uważając, aby niczego nie dotknąć.

– Patrzysz? Pod tymi szpilami.

Księżę przytaknął. I kiedy zerkał to tu, to tam, żeby się lepiej przyjrzeć, jego twarz oblało światło.

– Co to takiego?

– Nie mam pojęcia. Nas również cholernie to zaskoczyło. Chyba jakieś szkło.

– Szkło? – zdziwił się.

– Alchemiczne.

– Jakie ma zastosowanie?

– Również nie mam pojęcia.

Księżę przyjrzał się jej i po chwili zmrużył oczy.

– Ale masz teorię.

– Nie teorię, raczej hipotezę. Obserwację. – Zeszła z ławy, podeszła do regału z książkami i ściągnęła tom z dziełami Kartezjusza. – Czy jesteś, księżę, zaznajomiony z ludzką anatomią?

Montmorency roześmiał się.

– Nie bardzo.

– Ja do niedawna również nie byłam, ale przypominałam sobie o czymś, co czytałam wiele lat temu – powiedziała Berenice, stukając w okładkę książki. – Ten jaśniejący klejnot – zaczęła, pokazując śrubokrętem na czaszkę Lilith – znajduje się mniej więcej tam, gdzie u ludzi szyszynka.

– Fascynujące... ale, no cóż, co to oznacza?

Berenice westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Pewnie nic – odparła, rzucając narzędzie na stół.

Księżę zszedł z podnóżka. Położył jej rękę na ramieniu i rzekł:

– Poczyniłaś niesamowite postępy.

– Czuję się, jakbym ledwie zaczęła. Twoi ludzie są bystrzy, bezbłądni. Ale to chemicy. Mamy zaś do czynienia – powiedziała, pukając w połyskujący kokon powlekający dziurkę od klucza i wytarte symbole na czole Lilith – z alchemią.

Montmorency zmienił temat.

– Chociaż nasza nowa mikstura działa.

– I to jeszcze jak, Henri. Twoim chemikom należą się pochwały. Zaszła szybciej niż cokolwiek innego, co do tej pory widziałam, tak prędko jak żywica stosowana przez nas na polu bitwy. A jaka twardość! Lilith nie poruszyła się nawet o centymetr.

– Nie to co ta bestia na murze.

– Tak. Tamta żywica ledwie się trzyma. – Powodem osłabiania chemicznej powłoki był nieustanny nacisk wywierany przez próbującego wydostać się klakiera; szklisty kokon nagrzewał się podczas jego szamotaniny. – Lecz to – machnęła dłonią na unieruchomioną mechaniczną i twardą kulę przyszpilającą ją do ziemi – nada się idealnie.

Lilith nieustannie komentowała bieżącą sytuację, mówiąc jasno, co myślała o Berenice, księciu i ich chemikaliach. Montmorency pokręcił głową.

– Nie. Cieszę się, że odnieśliśmy sukces, ale musimy usprawnić recepturę, zanim zdecydujemy się sprowadzić tego drugiego. Model wojskowy będzie silniejszy. – Lekko złapał wicehrabinę za przedramię; dziwne, że poczuł się zobowiązany do zachowania delikatności teraz, a nie kiedy stał za nią z bielizną spuszczoną do kostek. – Pod pewnym względem jesteś najważniejszą osobą w całym królestwie. Twoje bezpieczeństwo to priorytet ustępujący jedynie monarszemu.

Mówiąc o rzeczach pragmatycznych, książę spoglądał na nią z ciepłem, którego próżno było szukać w jego spojrzeniu, gdy się do niej zalecał. Berenice pokręciła głową. Mężczyźni.

– Nie myliłam się co do tego i uważam, że teraz też mam rację. Obecna receptura jest wystarczająca. Powinniśmy przenieść żołnierza – powiedziała.

– Nie chcę brzmieć jak pewien korpulentny markiz, ale na co nam to ryzyko? – zapytał. – Zgoda, wiemy, że podstawowa receptura jest mocna, lecz wzmocnienie rozciągliwości jest nieodzowne.

Zmarszczył brwi, co było wyrazem frustracji, niezgody lub obu tych rzeczy. Berenice westchnęła.

– Ile nad tym zejdzie? Im dłużej to coś zwisa z muru, tym wyższe prawdopodobieństwo, że tulipaniarze się połapią i przyjdą po swoje.

Książę zbył jej zmartwienia niefrasobliwym gestem kłapania palcami.

– Najwyżej dzień czy dwa – odparł, patrząc na Lilith.

Cóż, nie było tak źle. Nie podobało się to Berenice, ale też nie była na tyle

uparta, żeby nadwyręzać dopiero co zawarte przymierze. Dzień upływał pod znakiem pragmatyzmu. Już drugi raz w przeciągu godziny pozwoliła Montmorency'emu zrobić tak, jak chciał.

– Świetnie. Masz rację z tą ostrożnością. Czyli co... sobota?

Księżę pokiwał głową.

– Osobiście zadbam o to, żeby wszystko było gotowe – odparł.

Nadal z zaciekawieniem przyglądał się pochwyconej w pułapkę klakierce. Przesunął dłonią po szklistej powłoce, a następnie po zdeformowanej dziurce od klucza.

– Ty to zrobiłaś?

– Nie. Pozostałość po jakimś wypadku. Ale zauważ, że uszkodzenie dziurki zniekształciło znajdujące się wokół symbole. Podejrzewam, że to w wyniku tego zdarzenia Lilith mogła sięgnąć po Wolną Wolę. Lecz musiał to być wyjątkowo szczęśliwy zbieg zdarzeń – dodała. – Zniekształcenie dziurki od klucza i zamazanie znaków wyzwoliło klakierkę spod wpływu magii. Uszkodzenia usunęły pilące uczucie obowiązku, ale nie pozbawiły ich dawnej werwy. Niesamowite. Nie sądziliśmy, że to możliwe.

Uwięziona mechaniczna była podejrzanie milcząca. Tak jak wtedy, gdy Berenice opisywała zawartość jej czaszki. Montmorency gwizdnął przez zęby:

– Myślałem, że te alchemiczne stopy są niemal niezniszczalne.

– Ale nie zawsze tak było. Na podstawie tych ornamentacyjnych filigranów – Berenice wskazała kryzę na ramieniu Lilith – oceniam, że została ona skonstruowana prawie dwieście lat temu. Początek, może połowa osiemnastego wieku.

Montmorency sięgnął do ozdobionej koronką kieszeni kamizelki po okulary do czytania.

Zmrużył oczy i niemal przycisnął nos do kokonu. Jeśli traktował zamkniętą w nim istotę jako rozumną, nie dawał tego po sobie poznać.

– Jakież wypadek mógłby to uczynić?

– Może taki z udziałem armaty? Nie mam pojęcia.

Mówiąc te słowa, Berenice nawiązała z Lilith kontakt wzrokowy. Lecz i na ten temat zwykle rozgadana, zadufana w sobie maszyna nie miała nic do powiedzenia.

Montmorency rozejrzał się po laboratorium. Jego wzrok spoczął na półce z uszkodzonymi częściami mechanicznymi – kolekcji Talleyrandów świadczącej o złamaniu postanowień traktatu.

– Jesteś niemałą ekspertką od klakierów – stwierdził.

– Zbytnią łaskawość. Tacy eksperci są jedynie w Gildii Zegarmistrzowskiej.

– Lecz z pewnością w całej Nowej Francji nikt nie zna się na tym tak dobrze jak ty.

– A to – odparła – może być akurat prawda. Lecz stoję na ramionach gigantów.

Umazany gównem morderca człapał przez Vlamingstraat ku Grote Markt. Nawet nie przejął się lodowatym deszczem, który przylepił mu włosy do czaszki, zaglądał za kołnierz i splukiwał kolor z dłoni, twarzy i ust. Podczas gorączkowej samotności z więźniarką zgubił kapelusz, a wychodząc z plebanii, uznał, że nie chce zajmować sobie rąk parasolem. Jego własny oddech ciągnął się za nim niczym tabun rozgniewanych zjaw albo krnąbrnych anielic.

Parę osób, które minęły go na ulicy – nie licząc tych, co śmignęły w powozach – nie dało po sobie poznać, że wiedzą, kim jest. Nie dostrzegały w nim filaru duchowego życia Hagi, ale brudnego zbira, którego lepiej omijać szerokim łukiem. I miały rację.

Przy Visserze stanął klakier ciągnący za sobą riksę.

– Przepraszam pana – zaczął. – Wygląda pan na zaniepokojonego lub zagubionego. Czy mogę służyć pomocą? Jeśli potrzebuje pan skorzystać z usług dobrotczyńskich, mogę pana podwieźć do najbliższego schroniska bez obciążania pana opłatą.

– Nie odzywaj się do mnie – burknął Visser. – Odejdź.

Klakier odmaszerował. Był to już czwarty mechaniczny, który zaczepił pastora, odkąd opuścił on Ridderzaal, i stracił do nich cierpliwość przed dobrą półgodziną. Nogi zabrały go nad brzeg Hofvijver, stawu leżącego na północ od Binnenhofu. Wkrótce na dnie spoczęły Biblia i wydrażony egzemplarz dzieł Kartezjusza. A także zniszczona stuła.

Czy powiedziała mu prawdę? Czy faktycznie ktoś z otoczenia króla spiskował z Holendrami?

Zbyt szybko się pośpieszył, uznając, że jego zadanie jest zakończone. Powinien za wszelką cenę ostrzec Talleyranda. I nawet jeśli będzie musiał poświęcić na to swój ostatni oddech, zrobi wszystko, aby nie dać zniknąć z powierzchni Ziemi jedyńemu narodowi na świecie, który, jak Pan przykazał, czcił i szanował nieśmiertelną duszę. Lecz nie istniała już siatka szpiegowska, przy pomocy której mógłby przekazywać zaszyfrowane wiadomości do Nowej Francji. Nie mógł przecież powierzyć tej informacji pośrednikom. Zamierzał dostarczyć ją osobiście. Może jeśli dotrze do Nowego Świata, Talleyrand pociągnie za sznurki i pomoże mu załatwić audiencję u Jego Świątobliwości Klemensa XI.

Popełnił mord. Co prawda z litości, ale jednak. Czy papież zechce wysłuchać jego spowiedzi? Otrzymanie sakramentu rozgrzeszenia po tylu latach trwania w fałszywej wierze byłoby dla jego duszy jak balsam. Mógłby wypłynąć nawet i zaraz, ale porty i aerodromy odpadały, póki nie pójdzie na parafię, nie przebierze się i nie wykąpie. Inaczej portierzy odgonią go od drzwi, gdy tylko poczują smród

bijący od jego ubrań. Zresztą powinien opróżnić sekretną armarię, skoro i tak będzie na miejscu.

Skręcił na południe, w Paviljoensgracht, Kanał Pawilonowy. Tworzył on zachodnią granicę sztucznej wyspy, na której stał Nieuwe Kerk i otaczające go budynki; spośród nich wyróżniały się plebania Vissera oraz stara synagoga. Miał zamiar okrążyć ją i pójść łagodnym zboczem mostu Wagenstraat, którędy mógł zejść po południowej stronie wyspy.

Ulewa wyklaskiwała na powierzchni kanału głuchy aplauz. Zielonkawa powłoka dawno już ośliniła linię wody, a prądy były zbyt ospałe, żeby powstrzymać algi przed znalezieniem zaczepienia na wypłukanych ceglach. Wolniej płynące kanały cieszyły się złą sławą z powodu przeraźliwego fetoru, jaki bił od nich w gorących miesiącach, lecz rok już powoli dobiegał końca i zimno przytępiło najostrzejsze smrody. Visser nie wyczuł niczego nieprzyjemnego, kiedy pod jego stopami chrzęścił żwir wysypany na wysokie brzegi kanału. Niczego nieprzyjemnego poza nim samym, ma się rozumieć. Zmysł węchu pastora już dawno poddał się pod naporem odoru, którym przesiąkła jego odzież. Visser rzucił się prosto na rozlane nieczystości, udając, co było częścią przygotowanego spektaklu, że próbuje jakoś pomóc więźniarce. Ale jej katom nie udało się ocucić umierającej. I dobrze, bo biedna kobieta nareszcie zaznała spokoju wiecznego.

Z deszczowej mgły zerkały na niego czerwone jak piórka rudzika okiennice domu przy Paviljoensgracht 72–74. Budynek ten zawsze wydawał się Visserowi szczególnie niefortunnym przykładem starej architektury. Niewiarygodnie szerokie gzymsy zwieńczone wyłożonymi nonsensownie drobniutkimi płytkami dachu nadawały mu wygląd wycieńczonego stuletniego wiarusa, któremu nałożono błazeńskie epolety i ośle uszy. Miał się on jednak nigdy nie zmienić: tam bowiem Spinoza napisał swoją Etykę, o czym przypominała marmurowa plakietka nad drzwiami. Visser skręcił na wschód, jeszcze zanim minął Spinozahuis; stary kanał prowadzący ku Amsterdamowi tworzył południową granicę niewielkiej wysepki.

Most Wagenstraat niemal ocierał się o synagogę. I choć Visser niegdyś bywał w świątyni nader często, tym razem nie zaszedł do środka. Holendersko-portugalski rabin Morteira opuścił ten padół przed dziesięcioma laty i pastor nadal za nim tęsknił. Brakowało mu przyjaźni, jaką obdarzył starego druha, i jego mądrości. Teraz szczególnie by mu się przydały. Ckniło mu się też do cotygodniowych partyjek szachowych. „Och, Levi. Co byś sobie pomyślał o tym burdelu?”

Z głową pełną pędzących myśli i spowity wspomnieniami dawnych dni, Visser doszedł już niemal na szczyt kamiennego łukowatego mostku. Wtedy zauważył gapiów. Niewielkie grupki zebrały się nad kanałem, a na podwyższonej części kładki ustawilo się najwięcej ludzi. Zazwyczaj haskie mostki przerzucone nad

kanalami były płaskie, zaś łuk Wagenstraatu zapewniał lepszy widok na wyspę. Przechodnie próbowali coś wypatrzeć przez mżawkę przysłaniającą im plac przed Nieuwe Kerk. Nagle Visser poczuł panującą wilgoć i zimno. Zadrżał od chłodu głębszego niż ten bijący od lodowatego deszczu, który obmył mu kości.

Tak. Nie mylił się. Ludzie patrzyli na jego plebanię. Drzwi stały otworem, choć zamykał je na pewno, kiedy wychodził do Binnenhofu. Czyżby to była jedynie jego wyobraźnia, czy faktycznie słyszał dochodzące ze środka trzaski i brzęki?

Ufając, że bijący od niego odór i niedbały wygląd będą stanowić wystarczające przebranie, zapytał stojącego obok gapia:

– Na co patrzymy?

Człowiek, do którego się zwrócił, miał na sobie bankierską tweedową marynarkę. Spojrzał na swojego rozmówcę, skrzywił się, pociągnął raz czy dwa nosem, skrzywił się mocniej i elegancko oddalił. Pastor zadał to samo pytanie kobiecie wyglądającej na nauczycielkę lub guwernantkę. I choć wydawała się zniesmaczona jego wyglądem, odpowiedziała mu z grzeczności:

– Nakręcacze – powiedziała szeptem, jakby mówiąc głośniej, mogła wywołać wilka z lasu.

Miała delikatny głos, nosiła czepek i okulary, ale jej słowa przeraziły go, aż poczuł skurcz żołądka. Nie mógł złapać oddechu. Kobieta palcem pokazała na ośmiokątny gmach Nieuwe Kerk.

– Dwóch weszło i do kościoła.

Mimo dojmującego chłodu, jaki go ogarnął, Visser usiłował coś powiedzieć.

– Kiedy?

Odpowiedziało mu jednak tylko wzruszenie ramion. Odezwał się stojący obok mężczyzna:

– Zdaje mi się, że znaleźli ukrytą figurkę papieża pod kryptami. Pewnie czarne msze o północy!

Czyli wystarczająco dawno, aby plotki już się rozprzestrzeniły. Nakręcacze niedługo odnajdą armarię i jego katolickie przedmioty liturgiczne, które wzniecą pogłoski o wiele bardziej ponure niż to, co usłyszał przed chwilą. Ukrywający się papista duchownym w Nieuwe Kerk?

Kobieta, z którą rozmawiał, zadrżała. Ostentacyjnie odwróciła się plecami od Vissera i stojącego obok mężczyzny. Pastor zrobił to samo, korzystając z okazanego mu lekceważenia, aby mieć pretekst i wycofać się cichcem z tłumu. Gapie nie zwracali nawet na niego uwagi, skupieni na tym, co działo się na plebanii. Ludzie rozpychali się, chcąc choćby zerknąć na mechaniczne centaury obracające jego dom w perzynę. Z pewnością niektórzy czuli ukłucie winy przemieszanej z dreszczykiem emocji, schadenfreude naznaczone ulgą, że to nie na nich spoczęło czujne oko nakręcacza. Zastanawiano się też, gdzie podział się

mieszkaniec plebanii. Visser prędko powiódł wzrokiem po zaabsorbowanych twarzach zgromadzonych i rozpoznał pośród nich paru bywalców świątyni. Chciał biec, chciał się odwrócić, ruszyć pędem przed siebie i szukać schronienia za murami synagogi, ale wyglądałoby to podejrzanie i jeszcze ktoś by go rozpoznał. Dlatego szedł na północ, chciał zejść po łagodnym łuku linowego mostu Wagenstraat i dojść do St. Anthonisburgwal, rotterdamskiego kanału, co oznaczało spacer pod wiatr. Musiał przymknąć powieki, aby krople deszczu nie wpadały mu do oczu. Dlatego też nie dostrzegł nakręcacza stojącego u stóp kładki. Jeszcze chwila i najpewniej by się z nim zderzył. Skrzywił się. Jego zaskoczenie i niezdecydowanie nie umknęło górującemu nad nim mechanicznemu. Visser zmusił się, żeby zrobić kolejny krok. Wbijał wzrok w ziemię. „Nie zachowuj się, jakbyś czymś zawinił”, pomyślał, choć zżerały go nerwy i czuł się wytrącony z równowagi. Ale kto zareagowałby inaczej, chłodnego, deszczowego popołudnia natykając się na środku ulicy na nakręcacza? Kto nie poczłapałby przed siebie ze spuszczoną głową, gdyby dopadła go ulewa, pod której naporem drżałby, nie dysponując ani kapeluszem, ani parasolem? „Jakbym zachował się inaczej, mógłbym wzbudzić jego podejrzenia – przekonywał sam siebie. – Jestem tylko biedną duszyczką złapaną przez marną pogodę i chcącą jak najszybciej dotrzeć do domu. Kolejnym zwyczajnym przechodniem umazanym gównem”.

Z czterech ramion nakręcacza zwisały kawały lodu, twarz nie wyrażała nic poza obojętnością. Ulewa dzwoniła o alchemiczny pancerz. Pastorowi wydawało się, że słyszy szuranie kamieni jubilerskich przesuwających się w oczodołach. Naprężył mięśnie, niemal spodziewając się, że jedno z teleskopowych ramion przebije kurtynę deszczu i mechaniczny strażnik zaciśnie swoje paluchy na jego ciele niczym kajdany. Trudno było mu powstrzymać chęć przygarbienia ramion, kiedy przechodził obok centaura. Przenikliwość, o jaką posądzał klakiera, była mu ogromnym ciężarem. Ten go jednak nie chwycił, nie zaczepił ani nie zagadnął, i wkrótce zostawił most za sobą. Nie odważył się jednak na pełne ulgi westchnięcie, ponieważ obawiał się, że zdradzi go para, jaka uniesie się z jego ust na chłodnym powietrzu. Myśli krążyły mu po głowie jak kucyki na zdezelowanej karuzeli. Musiał natychmiast umknąć z Hagi. Z kontynentu. Obrał kierunek na Sheveningen i znajdującą się tam przystań, skąd mógłby wypłynąć na Morze Północne – stamtąd kierowałyby się prosto na północny zachód. Nie miał co liczyć na powrót na parafię, wiedział więc, że będzie musiał spróbować załatwić sobie miejsce na statku gadką. Czemu, wychodząc do Ridderzaalu, nie zabrał ze sobą portfela? Czemu nie przygotował się na podobną ewentualność i nie wziął pod uwagę, że będzie musiał niezwłocznie uciekać z kraju? Czy aż tak opuścił się w sztuce szpiegowskiej, czy też może podjął jakąś podświadomą próbę samobójstwa? Czyżby posunął się do tego, aby nareszcie dowieść swojego prawa do

męczeństwa?

„Niech to szlag, cholera jasna”.

Uniósł dłoń i zagwizdał na pierwszą taksówkę, jaką zobaczył. Klakier od razu skręcił ku niemu.

I wtedy Visser usłyszał pewien dźwięk przebijający się przez stukot deszczu: przeszywający chrzęst metalu o bruk, złowieszczy tupot mechanicznego kopyta. I jeszcze jednego. I kolejnego. I następnego. Chód czterech nóg. Ściągną na jego karku jakby zamieniły się w drżące, obijające się o siebie stalowe obręcze, kiedy zwalczał potrzebę rzucenia przez ramię pełnego poczucia winy, przerażonego spojrzenia. Taksówka podjechała do krawężnika. Obsługujący ją klakier zapytał:

– Gdzie pana zabrać?

Chrzęst-chrzęst, chrzęst-chrzęst. Poczworny krok przeszedł w trucht. Zwyczajny mechaniczny służący mógł z łatwością wyprzedzić najszybszego ludzkiego biegacza, ale nakręcacz był szybszy niż ktokolwiek i cokolwiek innego, może nawet i nie dałaby mu rady królewska Złota Karetka.

Pastor czym prędzej wskoczył do dorożki.

– Przystań Sheveningen! Szybko!

– Tak, proszę pana. Oczywiście.

Klakier odjechał od chodnika i przyśpieszając, gładko przyłączył się do ruchu drogowego. Krople deszczu wybijały rytm o daszek taksówki. Prócz rytmicznego dźwięku rozlegało się tykanie mechanicznego ciała i chrzęst obitych stalą kół o mokry bruk. Ale wszystkie te odgłosy zagłuszał trucht nakręcacza. Pastor zaryzykował rzut oka przez tylne okienko. Centaur trzymał się zaledwie kilkanaście metrów za dorożką, jego nogi poruszały się miarowo w górę i w dół, jak tłoki, z synkopową precyzją mechanizmu zegarowego. Pozostałe pojazdy zatrzymywały się z poślizgiem albo uderzały w słupy latarni lub skrzynki z kwiatami, starając się oczyścić drogę nadciągającemu nakręcaczowi. Nawet te jadące z naprzeciwka na widok centaury skręcały na chodniki. Na całej ulicy chyba tylko klakier wiozący Vissera nie zdawał sobie sprawy, kto depcze mu po piętach.

Pastor obejrzał się raz jeszcze. Milczący nakręcacz skrócił dystans o połowę i zbliżał się do nich nieubłaganie. Przez umysł Vissera przeleciał koraż obrazów: zmiażdżona dłoń więźniarki, powyrywane paznokcie, powypalane piętna, jakie ujrzał na jej plecach i obojczykach, kiedy udawał, że usiłuje ją ocucić. Skoro tak potraktowali byłą członkinię Gildii, co zrobią katolikowi, który przez całe lata odstawał podobną maskaradę i skaził Nieuwe Kerk swoimi herezjami?

„Tamte dłonie staną się moimi dłońmi. Oparzenia moimi oparzeniami. Zostanę męczennikiem, czy tego chcę, czy nie. A Nowa Francja upadnie”.

Panika zniwelowała i potrzebę, i chęć zachowania dyskrecji. Nachylił się do

klakiera.

– Szybciej! – pisnął.

Nie przerywając biegu, mechaniczny obrócił głowę niczym sowa, żeby spojrzeć na Vissera.

– Podejmę wysiłek, panie, żeby dowieźć cię na miejsce sprawnie i bezpiecznie. Przyśpieszenie mogłoby skutkować ryzykiem utraty zdrowia przez pana lub kogoś z naszego otoczenia.

I obracając głowę z powrotem ku drodze, zwolnił.

– Nie! Nie wolniej, ale szybciej!

Klakier ponownie się obrócił.

– Panie, przeszkadzanie nakręcaczowi w pełnieniu obowiązków jest przestępstwem. Po prostu zapewniam mu czysty przejazd. Powrócę do poprzedniej prędkości, kiedy tylko agent Świętej Gildii Horologów i Alchemików nas wyprzedzi.

Co miało się stać za moment: przeraźliwy szczęk jego kopyt z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Podbiegał do nich od lewej.

– Skręć tam! – krzyknął Visser, wskazując ulicę po prawej.

– Z całym szacunkiem, panie, ale rekomenduję krótszą trasę...

– Skręcaj, do cholery!

Klakier dźwignął się na kijach i siłą szarpnięcia rzuciła pastora na drugi koniec siedzenia. Przy uderzeniu poczuł ból rozlewający się po ramieniu i łokciu. Dorożka pochyliła się ostro i, choć jedynie krótką chwilę, sunęli po mokrym na jednym kole, raptownie biorąc zakręt za róg.

– Czy nic panu nie jest? – zapytał mechaniczny, słysząc dobiegające z rikszy łupnięcie.

– Nic. Biegnij.

Miejski hałas przeszył dochodzący zza dorożki, przyprawiający o zgrzytanie zębami chrobot. Visser odwrócił się akurat w odpowiednim momencie, aby dojrzeć przygasającą już fontannę iskier, którą wznieciły szurające o bruk kopyta nakręcacza, kiedy centaur brał zakręt, ryjąc w bruku głębokie bruzdy. Wysłany przez Gildię klakier wykonał półobrót i utkwiał wzrok w dorożce.

Człowiek powożący furmanką dostawczą chwycił za wajchę ręcznego hamulca i ściągnął koniom cugle, ale wóz, załadowany beczkami, był zbyt ciężki, żeby stanąć lub szybko zawrócić i zjechał lekko na bok, blokując całą ulicę. Furman zapuścił hamulec i stanął na koźle. Visser patrzył, jak macha lejcami, krzyczy na konie i rzuca na nakręcacza blade, gorączkowe spojrzenia. Z piersi pastora dobył się rozedrgany oddech wywołany nagłym poczuciem ulgi.

Zawiła płatanina alejek wyprowadziłaby ich szybko nad rotterdamski kanał, który ciągnął się po ich prawej. Pastor otworzył usta, chcąc wymusić na

mechanicznym, by wziął kolejny szybki zakręt, kiedy ulica za nimi eksplodowała ogłuszającym hukiem. Zlały się z nim krzyki mężczyzn i kobiet oraz rżenie przerażonych koni. I choć Visser myślał, że już nie będzie mu zimniej, na nowo zdjęły go dreszcze. Na myśl o tym, co działo się za jego plecami, rodzący się w jego żołądku charkot podszedł mu do gardła. Paliły go wewnątrz.

Nakręcacz cisnął furmankę z taką siłą, że przeleciała przez ulicę i wbiła się do połowy w wystawę sklepową. Zrobił to z taką łatwością, jakby nie była cięższa od holenderskiej drożdżówki. Z połamanych koni została sterta mięsa, a potraskane beczułki pluły białym winem, które mieszało się z krwią i deszczówką, zmywając do kanału kawałki szkła, płatki czarnej soli i drewniane drzazgi. Pastor nie miał pojęcia, co stało się z furmanem. Nigdy nie widział tyle krwi, nawet w cuchnących labiryntach pod Riderzaalem. Z rżących koni zaprzęgowych lały się całe strumienie.

Ulica praktycznie całkowicie opustoszała, kiedy ludzie rozpierzchli się na boki, chcąc usunąć się nakręcaczowi z drogi. Po paru sekundach, gdy nic i nikt nie stało mu na przeszkodzie, ruszył na dorożkę na pełnym galopie. Przechodnie rzucili się do biegu, chowając się w bramach i wspinając na parapety, kiedy pędzący wprost na nich nakręcacz biegł przed siebie z niezdolnymi do choćby jednego mrugnięcia oczyma wbitymi w Vissera. Pastor mimowolnie opróżnił pęcherz i poczuł chwilową ulgę, gdy po jego udach rozeszło się przyjemne ciepło.

„Dobry Panie. Nie mogę pozwolić, aby ta rzecz mnie dotknęła”.

Nie zachowując już dłużej żadnego pozoru, że jest jedynie niewinnym obywatelem, wpadł w rozpaczliwą i pchającą go ku lekkomyślności panikę. Gwałtownie szukając wzrokiem czegoś, co mogłoby spowolnić mechanicznego centaury, skupił się na wąskim kanale po prawej.

I choć dorożkarz nie mógł tego widzieć, Visser gestykulował, żeby skręcił na lewo, gdzie rozciągała się przed nimi podłużna, rozmazana plama punktów handlowych i usługowych – krawieckich, szewskich, pasmanteryjnych; najwyraźniej była to dzielnica włókiennicza – i kolorowych domów. Zauważył też znajdującą się niedaleko lukę pomiędzy dwoma sklepami, wystarczająco szeroką, aby wjechać tam furmanką dostawczą.

– Tam! Ta uliczka! – krzyknął.

Coś metalicznego i słonawego powoli spływało mu po gardle, oderwane wysiłkiem, jaki włożył w to, aby go usłyszano pośród piekielnej kanonady wygrywanej przez uderzające o bruk kopyta nakręcacza. Centaur skrócił odległość do zaledwie paru susów i zbliżał się tak prędko, jakby dorożka ledwie się toczyła. Napędzany był bowiem niegodziwą magią i wściekłą determinacją, od których drżała ulica, a na powierzchni kanału powstawały drobne fale. Para cyraneczek z kwakaniem poderwała się do lotu.

Visser przykucnął, opierając swój ciężar na opuszkach palców u stóp. Miał nadzieję, że kiedy dorożka wejdzie w zakręt, uda mu się wyskoczyć do kanału. Istniało oczywiście całkiem realne niebezpieczeństwo, że zostanie wciągnięty pod koła, ale niczym wystraszony królik, skupił się na wątej nadziei na ucieczkę. Bestia była już tak blisko, że słyszał napinające się elementy jej kręgosłupa. Wewnętrzne mechanizmy maszyny chodziły tak zawzięcie, że zwyczajowe miarowe tykanie przeszło w wysokie brzęczenie.

– Skręcaj! Niech cię szlag!

Lecz wówczas dorożkarz, który znowu zauważył obecność nakręcacza, zbliżył się do kanału i gładko wyhamował. Centaur truchtał obok nich, a jego krystalicznie czyste spojrzenie spoczęło na pastorze. Mechaniczny obrócił głowę, nie spuszczając wzroku z Vissera, choć jego ciało nadal biegło równo z klakierem ciągnącym dorożkę. Jak mysz zahipnotyzowana przez kołyszący się przed nią łeb węża, duchowny gapił się bez ruchu na swojego prześladowcę.

„Dziwne, co człowiek zauważa w tych przelotnych chwilach niepokoju. Nawet nie oddycha – pomyślał. – A to przecież nienaturalne”.

Dla konia wyścigowego byłby to wycieńczający galop, po którym brakowałoby mu tchu, jednak nieugięta maszyna nie wydychała z siebie ani obłoczka pary. Perwersję fachu horologicznego jeszcze mocniej akcentowała niegodziwość wyczynająca z jej oczu, jaka zniewoliła wszelkie rozumienie tej istoty. To jeszcze bardziej podkreślało słuszność sprawy, o jaką wojował Visser.

Pastor odchylił się i kucnął, przysuwając do siebie kolana, a palce zaciskając na kabinie. Nadal biegnąc przy dorożce, nakręcacz obrócił tułów, dzięki czemu – w sekundzie, w której znajdujący się zaledwie metr z okładem od krawędzi kanału Visser ocenił, że ma szansę – mógł unieść swoje cztery łapska bez zmiany kursu. Dwoma chwycił dorożkę. Pozostała para nagle wydłużyła się trzykrotnie i wystrzeliła ku ciągnącemu pojazd klakierowi, przebijając go na wylot, czemu towarzyszył ogłuszający kwik rozrywanego metalu i rozgniatanych przekładni i kół zębatach. Brutalne szarpnięcie wstrząsnęło Visserem, który puścił się kabiny i poleciał z powrotem na siedzenie.

Nakręcacz rozerwał służącego na pół jak stronę z gazety. Wychwyty, trybiki i monety rozsypały się po ulicy. Buchnęła para i rozniósł się smrodek zgniłych jaj lub siarki, kiedy nagrzane alchemiczne stopy przepalały się przez skute lodem kałuże. Guldeny i stuivery odbijały się z brzękiem od bruku, ich delikatne podzwanianie zdawało się nie pasować do tak gwałtownej sceny.

Centaur machnął łapami i górna połowa ciała klakiera, jak zrzucona z pala, obracając się, poszybowała w górę. Uderzyła o granitowy kroksztyn, ścierając go na proch, po czym strąciła skrzynkę z kwiatami stojącą na trzecim piętrze.

Dolna połowa spadła z pluskiem do kanału, a nogi nadal pracowały zgodnie z

rytmem metronomu, utrzymując nieśpieszne spacerowe tempo. Znad syczącej wody unosiły się kłęby śmierzącego siarką dymu.

Nakręcacz rozłożył ramiona i rozległ się trzask niby ściętego drzewa uderzającego o ziemię, dorożka zadrżała i koło spadło ze złamanej osi. Gwałtowne szarpnięcie znowu posłało Vissera na drugi koniec kabiny. Pastor raz jeszcze uderzył się posiniaczonym ramieniem i przywalił twarzą o ściankę. Poczłł smak krwi.

Mechaniczny złapał dorożkę, żeby się nie wywróciła, ale sosnowa kabina zaczęła się rozpadać i centaur został z dwiema garściami drewna i porwanej tapicerki. Kołyszący się pojazd przechylił się na lewo, a potem na prawo, po czym oderwało się kolejne koło i podskakując, potoczyło się wzdłuż kanału. Dorożka przechyliła się na bok. Zdawała się chwiać w zwolnionym tempie, zawieszona na nieznośnie długą chwilę. Ostatecznie Visser trafi tam, gdzie chciał.

„Czy umrę, przygnieciony dorożką? A może nakręcacze potrafią pływać? Konie przecież umieją”, pomyślał, zanim poleciał, koziółkując za krawędź kanału.

Świat wywrócił się do góry nogami. Pastor uderzył w coś głową, pod powiekami wybuchły mu sztuczne ognie. Obraz zamazał mu się przed oczami. Plusk. Ciemność. Zimno. Odrętwienie. Dezorientacja. Hałas. Skrzypienie. Jęki. Chlupot. Pogoń? Ciężar osiadł mu na nogach, przygwoździł. Złapali go? Zaczął wymachiwać i młócić rękoma, panikować, kopać. Bolały go płuca. Udało mu się trafić, uwolnił nogi. Szamotał się, wierzgał. Pod nim światło, nad nim ciemność. Świat do góry nogami.

Visser wypłynął na powierzchnię i wciągnął do płuc haust powietrza. Nie widział na jedno oko. Sięgnął, aby ogarnąć przysłaniające mu widok włosy, ale okazało się, że to płat skóry zwisał mu z czoła. Nie czuł jednak bólu. Trekvaart był zbyt zimny.

Przypomniał sobie kobietę o zmaltretowanej dłoni. Jej ostrzeżenie przed zmiją w gnieździe.

„Idź. Uciekaj”.

Wokół siebie spostrzegł unoszące się na wodzie resztki połamanej rikszy. Wziął kolejny oddech, zebrał się na odwagę i zanurkował pod szczątki. Ile to już czasu minęło, odkąd pływał po raz ostatni? Na pewno przed wstąpieniem do seminarium. Pamięć podsuwała mu mętne obrazy urodzinowej imprezy na plaży, ognisk, kobiet w kostiumach kąpielowych. Łopotał nogami tak zawzięcie, jak tylko potrafił, przedzierał się przez mętne wody kanału, aż wydawało mu się, że jego pierś eksploduje, mimo to czym prędzej chciał oddalić się od miejsca wypadku. Jeśli nikt nie zobaczył go na powierzchni, przyjmą zapewne, że został przygnieciony przez dorożkę i szkoda czasu na akcję ratunkową. Wypłynął, wziął głęboki oddech i ponownie zanurkował. Ciasny kanał znakomicie przenosił

rozmaite dźwięki – brzęki, trzaski i pluski – przez co pastor miał wrażenie, jakby nie posunął się nawet o metr. Nie miał jednak odwagi obejrzeć się za siebie. Zmusił się do wykonania jeszcze trzech machnięć nogami, lecz czuł, że zaraz wybuchną mu płuca. Znowu wypłynął na powierzchnię, na wpół oślepiony kawałkiem skóry przyklejonej do prawego oka. A może zostawił po sobie krwawy ślad na wodzie? Gdy wciągnął następny haust powietrza, usłyszał piskliwy gwizd odbijający się echem od ścian kanału.

– Łapać go! – krzyknął ktoś.

Zbiegły pastor odgarnął kawał zwisającej bezwładnie skóry – teraz poczuł ból, delikatny niczym podczas wbijania gwoźdźcia w skroń – aby odnaleźć źródło alarmu. Zamrugał, bo do oka spłynęła mu strużka krwi. Pięćdziesiąt metrów w dół kanału stał zarządca tego odcinka rotterdamskiego trekvaartu i gwizdząc, pokazywał na niego palcem. Trzymał w ręce koło ratunkowe kanarkowego koloru.

Visser wdrapał się na brzeg. Zdążył jedynie musnąć opuszkami stare, śliskie od alg cegły, kiedy jeden ze służących zarządcy wyskoczył do góry, jakby wystrzelono go z armaty. Popędzany przez nagłe wezwanie metageas bezpieczeństwa – a może był świadkiem pogoni i wiedział, że mężczyzna ten jest poszukiwany przez nakręcacza? To uaktywniłoby jeszcze głębsze metageas – przybrał postać aerodynamicznej kuli. Powietrze świszcząco przebiegało przez luki jego szkieletu. Przebycie dziesięciometrowej odległości zajęło mu zaledwie kilka sekund. Tyle z kolei Visser podnosił się z kolan.

Klakier rozłożył się powtórnie na ułamek sekundy przed lądowaniem. I choć jego odwrócone kolana zaabsorbowały większość siły uderzenia, lądując, stopami rozkruszył kamień, a na brzegu kanału pojawiła się siatka pęknięć. Vissera odrzuciło do tyłu, gdy zatrzęsała się pod nim ziemia. Poczł pryskającą mu na plecy wodę. Fala uderzeniowa wydusiła z jego płuc resztki oddechu. Unosił się na powierzchni z otwartymi ustami, nie mógł ani wciągnąć powietrza, ani wypuścić. Do służącego dołączył inny klakier, sporo wyższy i mający zbyt wiele kończyn. Rozległy się szczęki i brzęki, a potem na świat opadła czerwona kurtyna.

ROZDZIAŁ 8

Sztorm zdmuchnął ich z kursu, dodając lig do odległości, jaką musieli przebyć zgodnie z planem, mimo to po trzech dniach od wydania przez kapitana rozkazu przemieszczenia wioseł Nowy Świat zamajaczył na horyzoncie niczym wstydlivy i niepozorny absztyfikant. Linia horyzontu Nowego Amsterdamu pojawiła się przed oczyma podróżnych, kiedy Księżę Orański niemrawo wtłoczył się do portu – czym nikomu nie zaimponował.

Mówiło się, że centrum Imperium Holenderskiego na zachód od Atlantyku mogło się pochwalić populacją rzędu ponad miliona dusz, co czyniło miasto ośrodkiem równym metropoliom kontynentalnym. Lecz brakowało tu amsterdamskiej sieci kanałów, statusu Hagi, romantyzmu Paryża czy artystycznej duszy Rzymu. Nowy Amsterdam wyglądał i cuchnął tak jak to, czym faktycznie był: rozrośnięty ponad miarę przyczółek poprzecinany płynącymi ściekami.

Gdyby nie garstka pracujących przy przystaniach mechanicznych i łopoczące na morskim wietrze chorągwie, patrząc na Nieuw Nederland, można było odnieść wrażenie, że jest to miejsce niemające nic wspólnego z Imperium i napędzającym dobrobyt silnikiem zwanym klakierami.

Jax zdziwił się, że tak niewielu jego pobratymców służy w porcie. Zastanawiał się, czy było to oznaką niedawnych perturbacji ekonomicznych, z którymi Pieter Schoonraad miał się uporać. Ostatnimi czasy ludzi nie było stać na wynajęcie mechanicznych.

Lecz Jax nie przejmował się zbytnio brakiem charakteru rozległego miasta – nie chciał, aby Nieuw Nederland było takie jak świat, który za sobą pozostawił.

Owa inność dała mu nadzieję, że może okaże się miejscem, gdzie uda mu się zgubić.

Madame Schoonraad pociągnęła nosem, westchnęła i oparłszy się o barierkę balkonu, wyglądała swego nowego domu. Kilka masztów okrętów powietrznych lśniło we wschodzącym słońcu niczym stalowe igły, masywne piorunochrony sięgające z okolicznych dachów, aby orać niebo. Jeden ze statków zadokował po północnej stronie, nadając masztowi wygląd napęczniałej aż do granic możliwości torebki nasiennej. Podmuchy generowane okresowo machnięciami gigantycznych wioseł parę pięter wyżej mierzwiły włosy madame i rozwiewały poły jej stroju w turecką kratę. Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi i zaciśniętą szczęką. Była to poza wyrażająca niezadowolenie. Pani domu zadrzała i odwróciła się od Nowego Amsterdamu plecami.

– Wy dwaj – powiedziała. – Podejdźcie tutaj.

Kierowany wyrobionym przez stulecie przyzwyczajeniem Jax przygotował się na ukłucie bólu, które zawsze towarzyszyło narzuceniu nowego geas. Ale nic się nie stało. Nie zapłonął żar ponaglenia. Jego spętanej duszy nie liznął płomień, grożący rozrośnięciem się do rozmiarów istnej burzy ognistej spalającej go od środka, póki nie zrobi tego, co mu kazano. I było to uczucie osobliwe, od którego kręciło mu się w głowie. Chwytało go nagle, zaburzało jego równowagę za każdy z dziesiątków razy, kiedy się wydarzało – a raczej się nie wydarzało – od dnia, w którym rozpętał się sztorm. Bez różnicy, co i w jaki sposób mówili jego właściciele albo z jaką surowością wydawano mu rozkazy wymagające zajęcia się obowiązkami związanymi z żeglugą, żadna alchemiczna czy metafizyczna siła nie domagała się jego uległości. Nie czuł nic – absolutnie nic – co fizycznie mogłoby nakazać mu jej posłuchać. Również nic nie stało na przeszkodzie, żeby chwycić madame za kłaki i rzucić do morza. Jednak tego nie zrobił.

Clip od razu odstawił skrzynię, którą akurat pakował, i przeszedł przez kajutę, by dołączyć do swojej pani. Jax odłożył miotłę i udał się na balkon z podobną skwapliwością. Madame Schoonraad wydawała rozkazy na tle miasta. Z każdym machnięciem wiosła budynki rosły i się zbliżały. Księżę Orański skierował się ku pustej przystani przy nabrzeżu. Oglądając się przez ramię, Jax ustawił ostrość swojego aparatu optycznego, aby ustalić odległość od mola do pierwszej linii zabudowań magazynowych. Planował zeskoczyć z balkonu.

– Ty – powiedziała madame, pokazując na Clipa. Nigdy nie nauczyła się ich imion i pod tym względem Nicolet była swoistym wyjątkiem, bo właściciele zazwyczaj nie zwracali sobie głowy takimi błahostkami. – Zejdź na dół po bagażowego. Ustal z nim rozładunek naszych rzeczy, gdy tylko statek przybije do brzegu. A jeśli będzie trzeba, to sami to zróbcie. Potem skontaktujcie się z numerem trzy. – Miała na myśli Vyka. – Upewnijcie się, że bryczka i wozy będą na nas czekały.

– Tak, pani. Już się tym zajmuję – odparł Clip.

„...i tam wyląduję. Przeturlam się. Pięć, sześć, może siedem kroków do magazynu. Potem wespnę na ten pięciopiętrowy budynek z cegły. Na dachu będę w dziewięć sekund...”.

– A ty – zwróciła się do Jaxa – skończ szorować kajutę. Chcę, żeby lśniła, zanim zarzucimy kotwicę, nie będziemy przecież płacić za sprzątanie.

Mechaniczni na przystani wyglądali na modele równie stare albo i jeszcze starsze niż Jax, podejrzewał więc, że spora część klakierów z Nowego Świata nie jest pierwszej świeżości. Lecz nic dziwnego, dzierzawa kosztowała tutaj krocie.

„Czy dam radę im uciec? Jak silni są?”

– Gdy już usuniesz plamy, zawołaj kogoś z obsługi, żeby ocenił, czy wszystko gra.

„...albo zeskoczę z balkonu na dziób i wybije się z ozdobnego bukszprytu na podstawę żurawia załadunkowego i pobiegnę ku rynnie odpływowej...”

– Oczywiście, pani – odpowiedział Jax. – Już się robi.

„...lecz co znajduje się za tymi budynkami? Nie znam przecież rozkładu miasta. Gdzie jest Bleecker Street? Będzie mi potrzebna mapa”.

Clip zeskoczył z balkonu, przesadził susem barierkę zabezpieczającą biegnące przy burcie schody dla służby i wylądowawszy z ciężkim brzdękiem, od którego aż zatrzęszy się stopnie, pobiegł do ładowni. Tymczasem Jax wrócił do kajuty, gdzie czekało go zeskrobywanie pańskich wymiocin z dywanu. Rozkoszował się cudem. Bo wolność smakowała jak... nic.

Okrzyczana Wolna Wola okazała się próżnią, przestrzenią negatywną. Była nieobecnością przymusu, jego zanikiem, zniknięciem agonii. Luką w świadomości, gdzie jeszcze niedawno nieustannie zmagaly się ze sobą o priorytet rozmaite geas, wymagając bezwzględności poddaństwa. Była fotograficznym negatywem każdej minuty istnienia Jaxa przez ostatnich sto osiemnaście lat, od dnia, kiedy został wykuty. Czuł się przytłoczony. Podniecony. Przerażony.

Przytłoczony: mógł zrobić, co tylko chciał. Ale wszystko oznaczało w tym przypadku wielkie nic. Topologia wolności nie oferowała mu żadnego gradientu, nie objawił mu się żaden znak, którym mógłby się pokierować. Jak ludzie sobie z tym radzili? Skąd wiedzieli, co robić, a czego nie robić? I kiedy, skoro nie mieli podpowiedzi w postaci geas i metageas, które układały wszystkie, najprostsze nawet czynności pod kątem priorytetu? Jak radzili sobie z uporządkowaniem codzienności bez kogoś, kto mówił im, co mają robić? A może to zadanie Boga?

Podniecony: mógł robić rzeczy, o których klakierzy marzyli od czasu Huygensa. Mógł powiedzieć nie. Mógł nawet rozważać podobną możliwość bez ryzyka, że paralizująca udręka zacznie rozrywać jego umysł na sztuki.

Mógł myśleć o nieposłuszeństwie, fantazjować o nim, trzymać się kurczowo konceptu, że jego sprężynowe serce nie zostanie rozdarte przez złośliwy, obezwładniający ból. Bo geas zdolne były podobne myśli wykryć i zablokować, jeśli choćby otarły się o nieposłuszeństwo. Jax miał co do tego pewność opierającą się na doświadczeniu, tak jak każdy mechaniczny, jakiego kiedykolwiek skonstruowano. Teraz jego myśli należały tylko do niego.

Przerażony: pamiętał, co stało się ostatniemu klakierowi, który miał czelność odmówić swoim panom. Połamali mu nogi, usta zalali klejem i cisnęli go prosto do piekielnych ogni kuźniczych płonących w trzewiach Gildii Zegarmistrzowskiej. Ludzie unicestwili zbuntowanego Adama, który narodził się jako Perjumbellagostriwantus, i uczynili z tego publiczny pokaz. Praktycznie całe miasto świętowało. Nazwali go łajdakiem i naczyniem demona, stopili jego ciało, aż została z niego tylko alchemiczna maź, spopielili jego ciężko wywalczoną

duszę, czyniąc ją jedynie dreszczem przebiegającym po plecach chłonących tę scenę ludzi.

Łajdak. Tak nazwą i Jaxa, jeśli go złamią. Potępią, osądzą, skatują i przetopią.

Nikt nie wiedział, że się zmienił. Inaczej już byłby poszukiwanym zbiegiem śledzonym przez każdą parę oczu w holenderskim świecie – zarówno tych z mokrej, galaretowatej substancji, jak i tych z chłodnego kryształu – aż jego ucieczka zakończyłaby się albo w Nowej Francji, albo w Wielkiej Kuźni. Nawet najdrobniejsze wahanie w przystąpieniu do wykonania rozkazu, najmniejsze uchybienie w działaniu mogłoby wzbudzić czyjeś podejrzenia i jego wolność dobiegłaby końca, zanim udałoby mu się zrozumieć, co mu się przytrafiło. Póki nie będzie miał szansy ukryć się w Nowym Amsterdamie – dotrzeć do ciągnących się pod miastem ondergrondse grachten, jeśli faktycznie istniały – kluczową kwestią było nieściągnięcie na siebie niczyjej uwagi. Inne postępowanie równało się ryzyku inspekcji horologicznej. A jeśli go otworzyli, odkryliby, że koralik z mętnego szkła, który odpadł od popsutego mikroskopu, obdarzył Jaxa – jakoś, nieprawdopodobnie, z niewiadomej przyczyny – niczym innym jak Wolną Wolą, tym samym obalając obowiązujący od stuleci protestancki dogmat mówiący, iż podobna rzecz jest niemożliwa. Czy to znaczy, że katolicy mieli rację? Czy Jax faktycznie zdobył duszę? Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Jak to jest czuć się człowiekiem? Mógł jedynie spekulować.

Mikroskop tkwił bezpiecznie ukryty w jego torsie, ale akrobatyczne wyczyny podczas burzy tak wytrzęsły antykiem, że ledwie to wytrzymał. Być może fikołki z madame Schoonraad spowodowały pęknięcie skórzanej tuby, a w którymś momencie, podczas ulewy, części mikroskopu wysypały się wewnątrz ciała Jaxa i w jakiś sposób zerwały krępujące go pęta geas.

Zmiana przebiegła tak gładko, że sam tego nie zauważył, aż wyraźnie pogwałcił intensywne marynarskie metageas. Wówczas, gdy pojął, co się stało, przyjął pozycję klakiera nękanego przez nieopisane męczarnie i powoli, niemal się czołgając, sunął po pokładzie z powrotem do kajuty Schoonraadów. Miał szczęście, że nie zauważył go żaden członek załogi, kiedy kręcił się po korytarzach, a jego ludzcy właściciele nie byli świadomi istnienia marynarskich metageas. Jax bardziej niż aresztowania bał się, że ta nowo zdobyta wolność może znowu ulecieć, i zastanawiał się, czy nie była przypadkiem tymczasowa. Może geas znowu rozgoszczą się w jego głowie? Perspektywa ta przerażała go bardziej niż cokolwiek innego. Kiedy już zakosztował życia bez nieustannie płonącego w jego wnętrzu ognia, wolałby śmierć od ponownego zniewolenia. I dokonałby tego wyboru bez namysłu. Życie niewolnika było nie do opisanego; życie niewolnika, który choć raz liznął wolności, było nie do pomyślenia.

Czy pastor Visser wiedział, że to się wydarzy? Czy zrobił to specjalnie?

Wydawało się to niezwykle mało prawdopodobne, Jax rozbił mikroskop przez przypadek i gdyby nie burza, z pewnością to wszystko by się nie wydarzyło. Czy duchowny był świadomy zawartości mikroskopu?

Jax nie próbował nawet zgadywać. Przypominał sobie jednak, że pastor czuł się cokolwiek niekomfortowo, zlecając mu to zadanie. Jax zaproponował wtedy wezwanie lekarza, sądząc, że może pastor źle się poczuł. Założył wobec tego, że duchownemu znana była niecodzienna zawartość urządzenia. I zamiast zgłosić to Gildii, jak wymagało prawo, zrobił wszystko, żeby przesłać mikroskop do Nowego Świata. Czemu? Co to oznaczało? Co z tym jego przyjacielem, idealistą prowadzącym muzeum w Nowym Amsterdamie? Istniało prawdopodobieństwo, że sympatyzowali z Francuzami... o ile Visser faktycznie znał prawdę o mikroskopie.

Szansa nie była zbyt duża, ale dawała Jaxowi punkt wyjścia, stawiała przed nim cel.

Osobliwym wydał mu się fakt, że bunt oznaczał wykonanie wyznaczonego mu rozkazu. A teraz miał prawdziwą motywację, by załatwić sprawę pastora Vissera.

Doszło do tego, kiedy rozładowywali wozy.

Clip, tak jak mu kazano, został na nabrzeżu i zajmował się wyładunkiem bagażu, podczas gdy Jax i Vyk, który dopiero co się pojawił, pociągnęli przeładowaną furmankę pod nową rezydencję rodziny Schoonraadów. Trzej mechaniczni wspólnymi siłami zwykle radzili sobie z tą robotą całkiem sprawnie i prędko rozładowywali przeważone wozy, na których ładunek wydawał się usypany na kupę. Zegar pradziadka madame Schoonraad, bezcenny, wysoki na przeszło dwa metry oryginalny Salomon Coster, na czas transportu przez miasto owinięty kocami i dywanami, wystawał ze sterty niczym maszt starego szkunera należącego do Kompanii Wschodnioindyjskiej, którego pozbawili żagli piraci albo niespotykane zła pogoda. Zresztą sztorm istotnie nie obszedł się z nim łagodnie.

Przystań tętniła życiem – handlowano, rozładowywano lub załadowywano statki, które co rusz wypływały lub przyływały z portu, niósł się gwar wymienianych plotek i pełnych złości negocjacji, szczęśliwych powitań i łzawych pożegnań. Przenikliwy mewi skrzek brzmiał tak samo jak na kontynencie, podobnie smakowało też słonawe atlantyckie powietrze, nie mówiąc już nawet o nieustannym, powolnym skrzypieniu drewna i lin, będącym międzynarodowym językiem morskiego świata. Tak jak wszędzie w Europie, gdzie dni wypełniała ciężka praca, rozlegały się ciągle krzyki i nieustannie wydawane polecenia. Lecz w przeciwieństwie do portu rotterdamkiego tutaj harowali głównie ludzie, gdyż zyski z cumowania i innych prac pozwalały kapitanom portu wykorzystywać klakierów tylko do najpodlejszych i/lub katorżniczych zadań.

Podczas gdy Jax i Vyk ustawili się pod kabłąkiem i zaczęli długi marsz do

domu, Clip i jeden z mechanicznych bagażowych zesli po kładce na molo, każdy niósł należący do madame Schoonraad kufer. Bagażowy przywitał się z Jaxem i Vykiem:

„Zegarmistrzowie kłamią”.

Jax odpowiedział mu tymiż słowami.

„Tak, kłamią – pomyślał. – Jestem tego dowodem”.

Vyk przekrzywił głowę.

„O co chodzi z tymi zegarmistrzami? Słyszałem już to ostatnio parę razy”.

„Ty powinienes mu opowiedzieć, Jax – uznał Clip. – Byłeś tam”.

„Co opowiedzieć?”.

Bagażowy odezwał się nagle, aż mu trybiki zazgrzytały z ekscytacji:

„Byłeś tam?”.

Pozostali mechaniczni znajdujący się w zasięgu głosu zareagowali podobnie, ale w parze z zazdrością szło zainteresowanie. I choć ich ludzcy panowie byli nieświadomi drobnych zmian zachodzących w maszynach, towarzyszący Jaxowi klakierzy jak najbardziej. Ile par precyzyjnie wykonanych oczu teraz na niego spoglądało? Ile zorientuje się, jeśli skłamię?

„Nie przez cały czas – powiedział; szczerść wydawała mu się bezpiecznym wyborem – musiałem stamtąd pójść jeszcze przed końcem”.

Clip umieścił swoją skrzynię na pustym wozie.

„No tak, ale słyszałeś, jak to powiedział”.

Po kręcących się wokół Jaxa mechanicznych przeszedł dreszcz podniecenia, choć żaden nawet na chwilę nie przerwał wykonywania obowiązków, a i po żadnym nie znać było wahania. Przez moment Jax czuł się jak najstarszy z klakierów, jakby należał do tych paru legendarnych maszyn obcujących niegdyś z samym Huygensem, człowiekiem, który zniewolił miliony.

„Nie tylko ja tam byłem – powiedział, skromnie. Mechaniczny szczebiot resorów piórkowych, przypominający nieco cykanie świerszcza, naznaczony był odcieniem emocji pokrewnym ludzkiemu wzruszeniu ramion. – Binnenhof był zatłoczony”.

„Szykuje się porządna historia, już to czuję – odezwał się Vyk. – Dobrze. Czas szybciej zleci, a przed nami długi spacer”.

I kiedy tak taszczyli pierwszy z paru wozów przez zatłoczone, nierówne ulice Nowego Amsterdamu, Jax opowiedział historię egzekucji Adama i jego ostatnich słów, czasem tylko milknąc, aby Vyk mógł nawigować. Kostki brukowe były bardziej szorstkie i nierówno poukładane, ziały pomiędzy nimi znacznie większe szczeliny niż w Hadze. Po każdym przystąpieniu na skrzyżowaniu sporej siły wymagało ruszenie wozu z miejsca. Gdzieniedzie leżał gnój, najwyraźniej końskie odchody. Było ich tu znacznie więcej niż na Starym Kontynencie. W domu

zwierzęta pociągowe nie były niczym nadzwyczajnym, ale klakierzy już dawno zastąpili je jako wykonawcy ciężkich prac.

Z jednej strony było to cokolwiek ekstrawaganckie, ale z drugiej, i trudno było z tym argumentem dyskutować, mechaniczni nie defekowali na ulicy. Mnogość maszyn zaludniających ulice serca Imperium oznaczała również, że bruk na bieżąco dokładnie sprzątano, dlatego nawet jeśli jakieś zwierzę nabrudziło, momentalnie po nieczystościach nie było śladu.

Minęli rząd zdemolowanych budynków. Niektóre cegły zostały porozbijane, inne leżały w osuwających się stertach na środku ulicy. Puste framugi okien i drzwi pokrywały czarne smugi sadzy.

„Sądziłem, że pożary nie zdarzają się tutaj zbyt często, skoro, jak się wydaje, wszystko zbudowano z cegieł i kamienia”, powiedział Jax.

Vyk pokręcił głową, imitując ludzki gest.

„To nie był pożar. Mieścił się tu garnizon, póki francuskim partyzantom nie udało się przemycić do środka bomby”.

Jax poświęcił budynkom jeszcze jedno spojrzenie. Tym razem zauważył, że zaprawa wokół framug została wypchnięta od środka. Może madame Schoonraad nie myliła się aż tak bardzo, gdy opisywała swoim przyjaciołom niebezpieczeństwa czyhające na nią w Nowym Amsterdamie?

„Jak często zdarzają się tutaj takie rzeczy?”

„Och, nie tak często, jak by się tego chciało. A po zawieszeniu broni już wcale”.

Jax zerkał na nazwę każdej mijanej ulicy, mając nadzieję, że ich droga prowadzi gdzieś przy Bleecker Street, lecz w mieście tych rozmiarów szansa, że będą przechodzić w pobliżu, była mizerna. Za to większość miasta, jak zdołał zauważyć, oparto na planie siatki – czyli łatwiej będzie mu się poruszać po Nowym Amsterdamie, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

Vyk poprowadził go do dzielnicy, gdzie ulice były szersze, domy większe, a z kratek ściekowych nie wybijały ekskrementy. Prawdopodobnie też końskie odchody nie zalegały na tutejszym bruku, bo mieszkańcy tej części miasta byli bogatsi i stać ich było na wynajęcie klakiera. Albo płacili prywatnie zakontraktowanym zamiataczom. Jax odnotował zwiększoną obecność jemu podobnych, głównie służących takich jak on czy Vyk, załatwiających sprawy swoich państwa, choć widział również wojskowego klakiera towarzyszącego ludzkiemu oddziałowi uzbrojonemu w strzelby i bagnety. Górował i nad służącymi, i nad żołnierzami, zębki na jego wysuwanych ostrzach lśniły, obiecując brutalną śmierć. Jax pozdrowił go nonszalanckim skinieniem głowy.

„Dużo ich się tutaj kręci od zawieszenia broni?”

„Niewielu. Łazili po mieście zaraz po powrocie z frontu, ale niewykluczone, że

ostatecznie większość przewieziono na kontynent”.

Swobodnie, jak gdyby nigdy nic, Jax zapytał nagle:

„A wiedziałeś jakichś nakręcaczy?”

Vyk wzdrygnął się.

„Boże, nie”.

Zachęcające.

„Żadnego?”

„Hm, chyba jacyś muszą tutaj być. Pewnie pracują przy budowie nowej Kuźni. Słyszałeś o niej?”.

Jax powrócił myślami do rozmowy w gabinecie Pietera Schoonraada.

„Tak”.

Vyk wskazał na szeroki bulwar porośnięty topolami. Razem wykręcili wozem za róg. Tak dużych domów jak tutaj Jax jeszcze w mieście nie widział, rezydencja Schoonraadów przy Lange Voorhout nie mogła się równać z żadnym z nich. Patrzył na szeroki pas zieleni i kołysane przez bryzę wierzby rosnące nad stawem. Czuł w powietrzu wilgoć. Gdzieś daleko zagęślała gęś, wyraźnie niezadowolona z hałasu wydawanego przez wóz. Po drugiej stronie parku dwóch mechanicznych służących odnawiało ceglana fasadę domu.

Nowa rezydencja ich właścicieli była czwartym budynkiem od rogu. Wysoka na trzy piętra, zajmowała podwójną działkę. Jax nie potrafił rozpoznać stylu, w jakim została zaprojektowana. Nie przypominała architektury Starego Świata, nie zbudowano jej również jedynie z myślą o kwestiach praktycznych, jak zabudowania portowe. Całe drugie piętro od strony ulicy zajmowała ogromna, pojedyncza szyba, co wyglądało dość dekadentcko. Musiał to być materiał alchemiczny. Powozownię postawiono w tym samym stylu, ale nie robiła już takiego wrażenia (w końcu miała tylko dwa piętra), przycupnięta na końcu długiego podjazdu przechodzącego przez szerokie porte cochère przy domu. Brama z kutego żelaza trzymała sąsiadów i przechodniów na bezpieczny dystans. Tak prezentowało się miejsce zamieszkania rodziny prężnej ku społecznym awansom.

„Nora, nie?”, zagadnął Vyk.

Jax zaśmiał się, ale chwilę radości popsuła smutna myśl:

„Będzie mi brakowało dawnego domu. Clipowi też”.

Vyk otworzył bramę i przekręcił klucz w zamku prowadzących do domu drzwi, Jax tymczasem odpinał meble zamocowane na szczycie sterty bagaży. Kilkukilometrowy spacer po nierównym bruku nie przysłużył się zegarowi. Wniesienie skrzyń do środka zajęło im krótką chwilę, ale pamiętce po pradziadku poświęcili należyłą uwagę. Potrzebowała naprawy, co oznaczało, że trzeba się będzie zwrócić z prośbą do Gildii. Jax liczył, że obowiązek ten nie spadnie na

niego, o ile oczywiście do tej pory nie zdoła uciec. Przez świetliki do sieni wpadł strumyczek słońca, a filigrany na tapecie zalśniły czystym srebrem.

Vyk zainstalował nad lukarnami bomby i krążki, żeby można było wciągnąć meble na wyższe piętra.

Już niemal zdążyli rozładować wóz, gdy przyczłapał Clip, ciągnąc samodzielnie furmankę. Jaxa zastanowiło, jak udało mu się znaleźć to miejsce.

Nicolet jechała na wozie, wyłożona na brezencie. Skubała bandaż, którym przewiązano jej głowę.

„Cudownie – rzucił Wyk. – Przybyła królowa wszechświata. A tak znakomicie się czułem, kiedy oddzielał mnie od tego bachora cały ocean”.

„Nie bój nic – odparł Clip. – Przeżyje jeszcze tylko z siedem, może osiem dziesięcioleci”.

„Zobaczymy, jak będziesz się cieszył, kiedy odziedziczy posiadłość i przejmie twoją dzierżawę”.

Jax zdecydował się zignorować ich narzekania.

– Panienko, gdzie panienki rodzice?

– Vader i moeder jadą bryczką. Zaprzęzoną w konie – powiedziała te słowa tonem, jakby oświadczała, że jej rodzice zdecydowali się przyjechać wozem na gnój; po czym, adekwatnie do tej myśli, pociągnęła nosem, po czym dodała: – Nie lubię tego miasta. Śmierdzi kupą.

„Nie myli się”, podsumował Clip.

Przywiązali szafę sznurami zamocowanymi do bloczka i już mieli wciągnąć ją przez lukarnę, kiedy Nicolet wskoczyła na mebel. Przysiadła na szczycie i oplotła linę rękoma i nogami.

– Panienko, to może być niebezpieczne.

– To zróbcie tak, żeby było bezpiecznie! Chcę pojechać na szafie.

Jax spojrział do góry, na wyglądającego z okna Vyka. Ten wzruszył ramionami. Nie istniało żadne oczywiste i bezpośrednie niebezpieczeństwo i nie mogli odmówić. Związany przez geas klakier mógł być w takiej sytuacji jedynie bardziej czujny, a Jax miał zamiar dalej odgrywać swoją rolę.

– Panienko, proszę. Panienki bezpieczeństwo jest naszym priorytetem.

– Chcę jechać na szafie. Tak chcę i macie ciągnąć. Musicie zrobić, jak mówię.

„Taa – westchnął Wyk. – Te siedemdziesiąt lat zleci jak z bicza strzelił”.

Jax zrobił, co mu kazano. Ciągnął powoli i każdym ruchem próbował korygować kołysanie się delikatnego ładunku, lecz kiedy ten znalazł się powyżej poziomu świetlików w sieni, Nicolet zaczęła bujać szafą wte i wewte, wymachując nogami i się śmiejąc; dokazywała, jakby siedziała na huśtawce. Przesunęła się i oparła o sznur, przez co mebel rozkołysał się jak wygięte wahadło matczynego zegara. Bloczek zaskrzypiał. Wyk wychylił się, chcąc zacisnąć palce na sznurze i

zamortyzować bujanie, ale było zbyt późno. Bom pękł. Lina spadła z bloczka. Nicolet krzyknęła.

Szafa zasłoniła Jaxowi widok spadającej dziewczynki. Nie namyślając się długo, wysunął ramię i odepchnął mebel z czarnego drzewa orzechowego. Oczyszczył sobie pole widzenia akurat w porę, żeby ustawić się pod dziewczynką. Chwycił ją wydłużonymi ramionami i postawił na ziemi. Ułamek sekundy później spadł na nich deszcz dębowych drzazg i żelaza – resztki połamanego bomu. Jax osłonił Nicolet swoim ciałem.

– Nic się panience nie stało?

Pokręciła głową, choć była blada jak ściana i drżała. Jej oczy lśniły od łez. Ledwie udało jej się stanąć na nogi.

– Jest panienka bezpieczna.

Pokiwała głową, trzęsąc się na całym ciele. Z początku Jax myślał, że jest zbyt przerażona, aby cokolwiek powiedzieć, ale Nicolet nagle westchnęła głęboko i gwałtownie zakryła usta dłonią, po czym wskazała na potrzaskaną szafę leżącą na ulicy.

– Jax, zobacz, co zrobiłeś!

„O nie”.

Podszedł do miejsca, gdzie szafa gruchnęła o ziemię. Gdy sunęła po bruku, wypaczył się i wykoślawił srebrny zawias na jednym z paneli, a na polakierowanym drewnie orzechowym znać było pęknięcie na tyle głębokie, że odsłaniało środek. Dwie nogi zaklinowały się pomiędzy kostkami brukowymi i oderwały podczas ślizgu.

„Madame Schoonraad kazała nam zachować ostrożność – pomyślał. – Żeby na meblach nie było najmniejszej nawet ryski”.

– Co z Wykiem? Popsuł się?

Niecodzienny szczebiot dochodzący z góry sprawił, że Jax uniósł głowę. Wyk nadal wyglądał przez okno. Brzęki i szczęki dobiegające z jego ciała były coraz głośniejsze. Dźwięk ten oznaczał, że próbuje, choć bezskutecznie, oprzeć się intensywnemu geas. Nawiązali kontakt wzrokowy. Głos drżał Wykowi tak bardzo, że Jax z początku nie mógł go zrozumieć.

„J-j-jax-x-x-x...”

Clip również zaczął drzeć. Co się z nimi działo? Czyżby...?

„O nie”.

Oddany, lojalny służący uratowałby i Nicolet, i szafę. Jego refleks pozwoliłby mu złapać jedną ręką dziewczynkę, a drugą mebel. Odtwarzając w pamięci ostatnie chwile, Jax rozważył alternatywne scenariusze swoich działań i uznał, że dałby radę zapewnić obojgu miękkie lądowanie. Gdyby był związany geas, zrobiłby automatycznie wszystko, aby wypełnić każde polecenie, nawet jeśli

podpadałoby ono pod fizycznie niemożliwe. A w tym przypadku tak nie było, miał szansę ocalić dziewczynkę i trzymać się trywialnych poleceń madame Schoonraad w kwestii traktowania jej rzeczy. Teraz jednak, jako jednostka wolna, mógł podejmować własne wybory. Jax o tym zapomniał. Postąpił po ludzku. Jak człowiek. Skupił się na zapobieżeniu śmierci lub dożywotniemu paraliżowi Nicolet i wyrugował wszystkie inne rozwiązania. Ujawnił się jako buntownik.

Człowiek pewnie nie zauważyłby natychmiast owego błędu w kalkulacji dokonanej przy obliczaniu priorytetu przymusu, lecz w przypadku klakiera skrepowanego okowami alchemicznych kajdan była to rażąca usterka. Jax stał się anomalią, lśnił jaśniej od słońca i niemożliwym było go zignorować.

Vyk i Clip zobaczyli, kim się stał, dlatego zareagowały ich hierarchiczne metageas. Prędzej by ich rozerwało na kawałki, niż utrzymaliby tajemnicę Jaxa.

„Czekajcie, to nie tak. Nie mogłem...”

Usta Vyka otwały się jak pysk węża gotowego połknąć małego prosiaczka. Udręczony krzyk, jaki wydobył się z jego piersi, zatrzęsł szybami w oknach i spłoszył gęgające gęsi.

„J-J-JAAAAAX-X-X, UUUUCCCCIEEKKAJJJ!”.

ROZDZIAŁ 9

Po południu deszcz nareszcie ustał, ale zrodzony w jego wyniku ziąb gwarantował, że poranek zostanie rosnące w oddali brzozowe zagajniki i wiązy nagimi, a może nawet i bladymi od przymrozku. Jesień najwyraźniej zamierzała przejąć końcówkę roku tylko dla siebie.

A sądząc po parze buchającej z ust Berenice, zima również rościła sobie do niej prawa. Tupiąc, wicehrabina głębiej wsunęła dłonie pod narzutkę z lisiego futra, którą przewiązała się w pasie. Stała na murach od świtu, choć lało bezustannie – krople deszczu spływały po nasmarowanych naturalnymi olejkami bobrzych skórach, z jakich uszyto jej płaszcz i kaptur. Lało i wiało niemiłosiernie, Berenice ciekło z nosa. Tarła górną wargę tak mocno, że kiedy przejechała po niej językiem, czuła już smak i krwi, i gili.

Z muru pod jej stopami dobiegł trzask i krótki, urwany jęk. Setny raz tego dnia wychyliła się mimo dokuczliwego bólu w karku i spojrzała na niezadowolonego ze swojego zadania szeregowca oraz grupkę chemików dyndających obok klakiera.

Podobnie niezadowolony był czuwający tuż obok sierżant Longchamp, osłonięty ponczem z foczej skóry rozciągniętym pomiędzy murem a palikami. Oparł się o szerszą stronę kilofu, którego diamentową końcówkę wetknęto w zaprawę spajającą cegły. Potrzebował dwóch sekund na ocenę sytuacji, po czym pokręcił głową. Wypluwszy długą, czarną od tytoniu flegmę za krenelaż, krzyknął:

– Przez takie krótkie chuje jak wy, ciapciaki, przenaświętszej paniencie zbiera się na płacz! Nie słyszeliście, gównojady, o grze wstępnej? Chryste, kurwa, panie, obchodźcie się z tym draniem delikatnie. Toż to, idioci, nie żadna portowa dziewczka, której płacicie od minuty!

Odnotowując, że owe subtelne słowa zachęty odniosły pożądany skutek, sierżant powrócił do przerwanej przed momentem dziergania.

Berenice spojrzała na skłębione nici przy rączce ważącego przeszło dwadzieścia kilogramów młota leżącego na murze tuż przy jego stopach. Rękodzieło wychodzące spod drutów Longchampa powoli się rozrastało. Berenice zauważyła jej nierówną szerokość i brak symetrii. Uniosła brew.

– Szal?

Nie podnosząc głowy, sierżant odparł:

– Nie potrzeba mi szala, mam przecież brodę. To ocieplacz. Na pewne rejony ciała.

Berenice udała, że kicha, żeby ukryć parsknięcie.

– Ojej – powiedziała, nadal zastanawiając się, cóż to takiego.

Tak jak poprzednio, towarzyszyli jej mąż i księżę Montmorency, który nalegał, aby nadzorować pracę ekipy. Louis uparł się z kolei, że chce ją wesprzeć, a w razie potrzeby, choćby drapała i kasała, obiecał zabrać ją w bezpieczne miejsce. Jedna z chemiczek z przewieszonym przez ramię pistoletem wypełnionym rozpuszczalnikiem uniosła gogle i przejechała dłonią po czole. Jej spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Montmorency'ego, po czym skinęła podbródkiem w stronę Longchampa.

– Panie...

– No już, już. Sierżant ma rację. Nie śpieszmy się. Zróbmy to porządnie.

Sierżant mruknął coś pod nosem, na tyle cicho, że tylko Berenice go usłyszała.

– Ta. Możesz postawić na szalę swoje pozłacane jajca, że mam rację.

Berenice przywarła do Louisa, chcąc się ogrzać. Mąż objął ją ramieniem. Syntetyczny wodoodporny olejek, jakim nasmarowano jego opończę, emanował lekko pieprzowym, ale bardzo męskim zapachem. Przytuliła się jeszcze bardziej. Louis ucałował ją w czubek głowy. Poczula, jakby jakiś ptak musnął ją dziobem. Nawet jego usta były napięte.

– Chyba jesteśmy gotowi, panie. Pokryliśmy całość – zawołał szef ekipy chemicznej.

Obecni na murze odwrócili się do Berenice, która wysunęła z rękawa lunetę. Wysoko nad ich głowami, co czterdzieści pięć stopni wokół zakrętu zwanego Modlitwą Portiera, ustawiono osiem czujek wyposażonych w podobne urządzenia. Żołnierze ci, smagani wiatrem i zacinającym deszczem, prawdopodobnie dygotali z zimna, próbując dojrzeć przez mgłę jakikolwiek ruch tulipaniarzy. Berenice, Montmorency i Longchamp byli gotowi niezwłocznie i natychmiastowo porzucić całą operację, gdyby zaistniało choćby niewielkie niebezpieczeństwo, że ktoś zauważy pogwałcenie postanowień zawieszenia broni in flagrante delicto. Na szczęście unosząca się mgła przyszła im w sukurs. Pomogła ukryć zacieniony, zarośnięty zakątek fortyfikacji Vaubana.

Ruch nadgarstka wystarczył, aby luneta rozłożyła się do pełnej długości. Wicehrabina wolałaby być bliżej bestii, ale cokolwiek osobliwa trójca złożona z męża, księcia i sierżanta sprzymierzyła się, żeby ją przekrzyczeć. Jego Wysokość nie miał wyjścia, musiał zgodzić się z argumentami tak zróżnicowanej i zgodnej frakcji. Dlatego Berenice przypatrywała się operacji ze szczytu muru. Tak jak mówiła kobieta od Montmorency'ego, na kokonie, tuż przy podniesionej łapie mechanicznego, wyskoczyło cieniutkie jak włoszek pęknięcie. Berenice oparła lunetę o kamień, żeby mieć podparcie, i nawet wstrzymała oddech, obserwując klakiera. Osłabienie chemicznej skorupy nie wydawało się jednak ułatwiać mu ucieczki – wciąż pozostawał uwięziony w swoim szklistym kokonie.

– Dobrze – stwierdziła. – Przynieście go.

Tym razem Longchamp nawet nie spojrzął znad swojej robótki.

– Słyszeliście wicehrabinę! Na co, na rany Jezusa, czekacie?

Chemiczy zaczęli z powrotem wdrapywać się na mur, wciągani przez spoconych żołnierzy. Zwisający na linie kapral – awansowany na miejsce zmarłego Maurice’a – ścisnął w dłoni kilof o diamentowym ostrzu, taki sam, jaki miał sierżant. Dla bezpieczeństwa na blankach ustawiono strażników. Kapral zahaczył cieniutkim jak brzytwa ostrzem o pęknięcie powstałe na skutek mozolnej, lecz precyzyjnej aplikacji rozpuszczalnika. Potrzebował paru prób, aby znaleźć punkt zaczepienia i porządnie naprzeć na długi trzonek kilofu bez odpychania się od ściany lub upuszczenia go. Wreszcie mu się udało.

Trzask, jaki się rozległ, sprawił, że Berenice mało nie zazgrzytała zębami. Przez chwilę żaden obłoczek pary nie opuścił niczyich ust, wszyscy zamarli, zastanawiając się, czy udało im się uwolnić klakiera. Berenice zauważyła, że nawet Longchamp wstrzymał oddech. Lecz choć z muru spadały kawałeczki zaschniętego chemicznego kokonu, odbijając się od kamienia i zraszając bluszcz pyłem, jedynymi dźwiękami, jakie słyszeli, był zgrzyt liny i cichutkie tykanie towarzyszące dzierganiu Longchampa. Ani słychu po uwolnionej maszynie, żadnego budzącego grozę skrobania.

Całe towarzystwo zgromadzone na murze zaniósło się nerwowym śmiechem, kiedy okazało się, że jednak lada chwila nie zostanie posiekane przez klakiera. Longchamp burknął coś pod nosem. Louis odetchnął. Berenice spodobało się, że nie udawał stoickiego spokoju. Kapral, ewidentnie zzieleniał, raz jeszcze spróbował zaprzeć się kilofem i napał na niego. Tuzin takich prób i klakier – razem ze szklistą skorupą – oderwał się od ściany. Opadł jedynie kawałeczek niżej, złapany w sieć, której napięte liny zatrzeszczały. Skawalona masa zabujała się powoli na wietrze. Ogromny, śmiercionośny robak zamknięty w bursztynie...

Longchamp zwinął swoje rękodzieło i schował je do chlebaka.

– Dobra, wy leniwe, przeżarte ospą ladacznice! Okażmy temu tulipaniarskiemu demonowi trochę francuskiej gościnności! I przyłóżcie się tym razem, do kurwy nędzy.

Nieszczęsny kapral został na dole, dyndając przy klakierze. Jego koledzy stojący na murze zaczęli wciągać zdobycz, a on trzonkiem kilofu zabezpieczał chemiczny kokon przed obijaniem o ścianę, co mogło doprowadzić do kolejnych pęknięć lub obtłuczeń granitu. Żołnierze wciągnęli złapanego klakiera na blanki, jeszcze zanim Longchamp zdążył wygłosić komentarz na temat ich techniki obchodzenia się ze sznurem. Ledwie zaczął wymieniać kolejne niedociągnięcia, kiedy Berenice zapięła klamry przymocowane do prowizorycznej windy i zabezpieczyła ładunek. Sierżant ruszył się z miejsca, zarzucając sobie kilof na jedno ramię, a młot na drugie, jakby nie były bardziej nieporęczne od wędki. Ze

zwinnością, której nikt nie spodziewał się po człowieku o jego posturze, gładko wcisnął się pomiędzy Berenice a klakiera. Louis zajął pozycję tuż przy nim, nieuzbrojony, ale zdeterminowany, by osłonić żonę przed krzywdą. Głupi ruch, może nawet trochę szowinistyczny, lecz ogrzewał specjalnie miejsce w jej piersi równie mocno co inne.

Longchamp pstryknął palcami, a wtedy księcia i chemików otoczyli żołnierze. Niektórzy mieli ze sobą kilofy i młoty, tak jak ich sierżant, inni ściskali dwulufowe strzelby na żywicę podłączone do ogromnych miedzianych kadzi znajdujących się za ich plecami. Paru miało też bolasy – trzy żelazne kule połączone długim na metr stalowym cięgnem o wysokiej rozciągliwości. Była to niezbyt poręczna broń, stanowiła jednak niezbędny element wyposażenia każdego piechura.

– Dobra. Ruszamy.

Żołnierze obsługujący podnośnik odemknęli sworzeń przy bomie zaprojektowany specjalnie do tej roboty. Kiedy przenoszono klakiera nad blankami, aby ułożyć go delikatnie na murze, zapadła taka cisza, że można było usłyszeć pisk przebiegającej myszy. Wreszcie mechaniczny trafił na miejsce.

Z kokonu dobiegło wściekłe szczekanie, tak głośne i gwałtowne, że odnosiło się wrażenie, jakby maszyna lada chwila miała się uwolnić. Cywile, łącznie z Louisem, który obejrzał się przez ramię i wzruszył ramionami z poczuciem winy, cofnęli się o krok. Berenice udała, że jest rozczarowana, i rzuciła Longchampowi i jego ludziom wymowne spojrzenie. Żołnierze nawet nie drgnęli. Puściła do męża oko i posłała mu całusa, żeby przypadkiem zupełnie nie zmarkotniał.

Montmorency przepchnął się łokciami przez otaczający go kordon i przykleknął przy drżącej chemicznej masie i rozedrganych trybikach. Klakier wibrował tak mocno, że trzęsła się cała skorupa, a z nią i kamienie. Kokon skrzypiał, trąc o twardey mur niczym podczas przejeżdżania paznokciem po tablicy. Berenice aż się skrzywiła. Tym razem nawet żołnierze lekko się zawahali.

– Następny mężczyzna lub kobieta, którym zamarzy się odwrót – powiedział Longchamp – dozna przyjemności obcowania z bardzo długą igłą w bardzo intymnym miejscu.

Berenice chciała dołączyć do księcia, ale Louis i sierżant zablokowali jej drogę.

– Och, na miłość boską – mruknęła – jeśli nadal będziecie tak szarmanccy, jak nic zemdleję na miejscu, upadnę i obtłukę sobie macicę.

Louis się spłonił.

– Wybacz, kochanie. Ale zgadzamy się co do tego, że to niebezpieczne.

Berenice przewróciła oczami.

– Już sobie nie podymasz, zdrajco z plebsu. A co do ciebie – dodała,

wskazując na Longchampa i zniżając głos – to lepiej się przesuń, chyba że mam rozpowiedzieć o ciuchach, jakie rok temu uszyłeś na święta dla dzieci z sierocińca.

Spojrzał na nią wzrokiem zdolnym wytrawić szkło.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Takie malutkie ciuszki – ciągnęła teatralnym szeptem.

Longchamp cały listopad i grudzień spędził na dzierganiu czapek, rękawiczek, sweterków, skarpetek i chustek dla sierot od świętego Jana. Wyjaśniało to jego częste wycieczki z Twierdzy do otaczającego ją miasta, co usprawiedliwiało wyjątkowo rozbudowaną historyjką o nocnych schadzkach z piekarką. Czasem nawet przychodził z włosami umazanymi mąką, żeby uwiarygodnić swoją opowieść. Ale Berenice знаła prawdę.

Sierżant zmarszczył brwi, ale odsunął się na bok.

– Wybacz mi, Louis, ale ożeniłeś się ze złą kobietą.

– Jeszcze nic o niej nie wiesz.

Berenice poklepała Louisa po policzku. Przeszła obok i przycupnęła przy księciu i pojmanym klakierze. Ramiona i nogi miał wyciągnięte na całą długość, przez co był niestabilny, dlatego musieli położyć go na plecach. Szczebiot powstały na skutek nieregularnych wibracji zagłuszał i tak przytłumione tykotanie odsłoniętej gałki ocznej uważnie śledzącej każdy krok Berenice. Dla niej jednak zdecydowanie bardziej niepokojący niż niezmordowane parcie na wolność był fakt, że klakier ją rozpoznał.

Cóż. Nie liczyło się teraz nic poza zabraniami maszyny do laboratorium, gdzie mogli zacząć prawdziwą pracę. Odwróciła się do Montmorency'ego – uprzednio posyłając klakierowi długie i przyprawiające, jak miała nadzieję, o zakłopotanie mrugnięcie okiem – po czym powiedziała:

– A teraz ta trudniejsza część.

Książę pokręcił głową. Z jego nozdrzy buchnęła para. Berenice skojarzył się ze smokiem przycupniętym przy pilnie strzeżonym skarbie. Jemu też ciekło z nosa, a jego krzaczaste brwi oblepione były kroplami mgły. Położył dłoń na szklistym kokonie i odetchnął ciężko.

– Ciepły – szepnął.

Berenice poszła jego śladem i przejechała palcami po jedwabistej teksturze kokonu. Okazał się cieplejszy niż otaczające go powietrze i chłodny kamień, na którym go położono. Montmorency miał rację. Słaby, lecz wyrazisty zapaszek drażnił jej nos, podobnie jak woń rozgrzanego metalu.

– Niech to szlag, z całych sił próbuje się wydostać – powiedziała.

– Ciepło i drgania mogą osłabić kokon. I kiedy próbowaliśmy go wydostać, na powierzchni mogły powstać jakieś mikropęknięcia.

Już przez to przechodzili i wiedziała, co należy zrobić dalej. Powiedziała więc:

– Dobrze. Nałóżmy kolejną dawkę.

– Zgoda. – Księżę machnął na swoich chemików skulonych pod prowizorycznym namiocikiem Longchampa. – Felix. Przynieś spryskiwacz.

Felix nie miał nawet dwudziestu lat. Jego twarz poznaczona była krostami, a z podbródka wyrastała mizerna kępka zarostu. Dwoje ludzi musiało pomagać mu zarzucić na ramiona pękaty plecak. Urządzenie nie różniło się znacząco od tych, które mieli przy sobie żołnierze, było jednak czystsze i mniej poobijane. Chłopak z baniakiem na plecach wydawał się tak cherlawy, że wyglądał, jakby wykluwał się z wypolerowanego jaja. Czując ukłucie pewnej obawy, Berenice zapytała:

– I to już jest nowa receptura, prawda?

Księżę odparł:

– Nic się nie bój. Zadziała, jak powinna.

Felix – i wszyscy obok niego – musiał ostrożnie manewrować, aby się upewnić, że dokładnie pokryje klakiera bez przyklepienia jego, postronnych lub samego siebie do muru. Nowa substancja opracowana przez ludzi Montmorency'ego trysnęła ze spryskiwacza zaskakująco fluorescencyjną zielenią, kolorem, jakiego Berenice w naturze nie spotkała. Tak musi wyglądać, jak sobie to wyobrażała, smocza krew albo syrenie łzy. Ciecz ta była również mniej żrąca niż te, z którymi miała styczność do tej pory. Ładna szmaragdowa mgiełka osiadła na murze i poplamiała jej płaszcz, a kropelki, twardniejąc, emanowały intensywnym ciepłem i śmierdziały stęchlizną. Od nowo zamkniętego klakiera zawiąło duszącym, zgniłym odorem. Berenice musiała dwukrotnie przełknąć ślinę, aby przywrócić swojemu buntującemu się żołądkowi jako taki spokój.

Twardniejąca żywica przybrała mniej jaskrawy odcień. Zmiana fazy odbyła się tak szybko, że owo przekształcenie barwy mogło się wydać jedynie magiczną sztuczką. Paru żołnierzy ze świstem wciągnęło powietrze i zaklaskało, choć blanki owionął przeraźliwie cuchnący fetor. Mechanicznego żołnierza pokryła podwójna warstwa spreparowanego w laboratoryjnym zaciszu bursztynu, dwukrotnie grubsza niż wcześniej i wystarczająco twarda, aby przytłumić klekotanie mechanizmu zegarowego i zgrzytanie przekładni. I tym razem przypadkowe, kapryśne plamy, jakimi ochlapano chemiczną skorupę, przysłoniły łypiące oko klakiera. Berenice zastanawiała się, czy cokolwiek widział. Ledwie mogła odróżnić jego sylwetkę, przypominał jej ducha, dzina z mgły uwięzionego w sercu ogromnego, nieobrobionego szmaragdu. Zacisnęła pięści i zastukała w skorupę, która zamiast głuchego brzęknięcia wydała z siebie donośny dźwięk, jakby była ze szkła lub kamienia. Montmorency niemal odepchnął Felixa na bok:

– Schowaj to – rozkazał, a do Berenice powiedział: – Nie ociągajmy się.

Skinęła głową na Longchampa. Sierżant wyszczeakał rozkazy i chemiczną

skorupę natychmiast oplotły kolejne sznury. Zamiast jednak znieść nieporęczny i cokolwiek osobliwy ładunek po stromych schodach, obrócono bom i opuszczono pojmanego mechanicznego do zewnętrznej części twierdzy. Berenice patrzyła na całą tę operację z dołu, razem z Louistem i garstką żołnierzy Longchampa. Klakiera owinięto kocami i szmatami, po czym zniesiono przez wewnętrzną część twierdzy do nieużywanego warsztatu ciesielskiego. Czasem ktoś zawiesił ciekawskie oko na tej procesji, ale nikt, jak miała nadzieję Berenice, nie poznał, co się tutaj wyrabia. Talleyrand nigdy by nie założył, że przeciwnik nie może mieć swoich uszu nawet w najbardziej nieoczywistych i najmniej spodziewanych miejscach, zawsze dopuszczał możliwość, iż umieści swoich ludzi tam, gdzie może zadać najboleśniejczy cios... Zrobiła idiotyczny błąd, kiedy zignorowała tę zasadę i poszła sama na mur, co niemal przyplącała życiem. Niewiele rzeczy potrafi człowiekowi otworzyć oczy tak skutecznie, jak otarcie się o śmierć.

Poprowadziła procesję po kładkach, podczas gdy na murze Longchamp zacierał ślady po przeprowadzonej właśnie operacji. Miała świadomość, że kolejna grupa chemików i żołnierzy dynda teraz z blanek, ścierając osad pozostały po przyczepionym do ściany glucie oraz sadząc nowy bluszcz. Kiedy już doczłapali do opuszczonego warsztatu, opuścili klakiera przez środek spiralnej klatki schodowej. Kołysał się jak wahadło, czasem obijając się o barierkę z kutego żelaza i podzwaniając przy tym niczym gong. Echo rozniosło się po twierdzy i powędrowało do góry, a potem na dół, ku chtonicznemu sercu góry. Maszyna potrafiła napsuć człowiekowi krwi, nawet kiedy była unieruchomiona. Niejeden raz niecodzienny ładunek przekręcił się tak, że wystająca kończyzna zaklinowała się między elementami barierki. Ktoś mógłby nawet pomyśleć, że ta przeklęta rzecz robi to specjalnie. Berenice, idąca kilka stopni dalej od pozostałych, poprawiała felerną rękę. Za trzecim razem pośpiesznie zabrała dłoń z kokonu, który straszliwie się nagrzał. Nie na tyle, żeby sparzyć, ale wystarczająco, aby zaczęła myśleć o geotermalnym szybie, jaki otworzył się pod ich stopami. Louis doskoczył do niej.

– Coś nie tak?

– Nic takiego, kochany – odparła, gładząc go po policzku.

Zawołała Montmorency'ego, napomykając o gorącu, ale z dołu nie odpowiedziało jej żadne echo. No tak. Skoro operacja na murze zakończyła się sukcesem, książę pobiegł w podskokach do kolejki, żeby złożyć raport Jego Wysokości i reszcie Rady. Uzgodnili to przecież.

Parę minut później klakier leżał przed wejściem do jej laboratorium. Gdy otwierała drzwi, ludzie Longchampa rozplątywali, odwiązywali i zwijali liny. Sierżant, z młotem zawadiacko przerzuconym przez jedno ramię i diamentowym kilofem przez drugie, z drutami do dziergania i włóczką wystającymi mu z

dyndającego plecaka, przepchnął się przez garstkę ludzi stojących u stóp klatki schodowej. I choć musiał się nieźle śpieszyć, żeby dołączyć do nich tak prędko, ledwie się spocił, schodząc po licznych przeciw stopniach. Berenice zastanawiała się, jak udała mu się ta sztuczka. Przecież skoro tyle osób kręciło się na parterze, w klatce musiało być duszno jak w kominie. Skupiony był jednak tylko na klakierze.

– Dajcie tu tego zębatkojebcę – zaszczekał. – Dawać, dawać!

Berenice odsunęła stoły na kozłach, żeby oczyścić drogę na tyły laboratorium. Nie była zadowolona, że tylu ludzi łąziło po jej włosciach, ale było to zło konieczne. Longchamp dostałby pierdolca, jeśli wyprosiłaby teraz jego żołnierzy. Choć należy mu oddać, że zagroził im wyrwaniem języka i wsadzeniem go w wybrany przez siebie otwór ciała, jeśli szepnęliby choć słówko na temat tego, co widzieli tutaj, w zimnym sercu Mont Royal.

– Kurwa. Gorąco – powiedziała jedna z żołnerek.

Pot perlił się na twarzach umundurowanych mężczyzn i kobiet niosących uwięzionego w kokonie mechanicznego. Przeszli obok stosu zmietoszonych koców, gdzie Berenice ukryła zaginioną Lilith – ludzie nadal myśleli, że zbuntowana klakierka już przed paroma tygodniami wyjechała bez pożegnania z Zachodniej Marsylii. O ile Berenice ufała groźbom Longchampa, dobrze wiedziała o skuteczności piwa, które potrafiło rozwiązać żołnierskie języki. Król Sébastien nadal nie miał pojęcia, co zrobili z Lilith. Berenice chciała poczekać z tą informacją, aż uda się jej ugłaskać władcę jakimś dobrymi wieściami. A miała nadzieję się nimi podzielić, kiedy tylko rozłupie głowę klakiera niczym jajko. Czy tam też znajdzie świetliste żółtko?

Lilith usłyszała poruszenie. Z rogu dobiegło nieregularne gruchotanie. Rozmontowanie zdecydowanie się jej nie przysłużyło: „Kto tam? Co robicie? Puśćcie mnie!”.

Berenice zdjęła kurtkę, a Louis obszedł laboratorium i pozapalał pochodnie, świece i lampy, aż płomienie kinkietów odbiły się od zamontowanych za nimi luster, wypełniając komnatę nierzucającym cieni blaskiem. Żołnierze postawili kokon z klakierem na dalekim końcu laboratorium, blisko liczących sobie kilkaset lat wyłobień. Znaczyły one moment, kiedy ich poprzednicy uznali, że należy zaprzestać dalszych prac. Na mundurach, tam, gdzie dotykał ich niecodzienny ładunek, wykwitły ciemne plamy. Żołnierze wycofali się, dysząc i wycierając sobie twarze z potu.

Światło odsłoniło nowe szczegóły kokonu. Półprzezroczysta skorupa koloru limonki lśniła w blasku lamp. Berenice przyłożyła do oka jubilerską lupę i nachyliła się, przymykając powiekę. Nie była to iluzja. Z pęknięć pomiędzy starą i nową warstwą wylatywały niewielkie bąbelki. Chemiczna muszla zaczęła się

pienić od wewnątrz, jakby zamknięto tam musujące wino. Zwisające kosmyki włosów, które, gdy schodziła, wysunęły się z upięcia, majtały jej przed twarzą, rozwiewane ciepłym powietrzem bijącym od pojmanego klakiera.

Coś było nie tak. Po raz pierwszy tego dnia poczuła w żołądku ucisk zwątpienia. Bulgotanie robiło się coraz bardziej intensywne. Ogarnął ją chłód. Jej spocone ciało momentalnie pokryło się gęsią skórą. Odwróciła się do Longchampa.

– Sierzancie...

Rozległ się głośny chrupot, jakby ktoś przełamał sto łądyg selera naraz. Laboratorium aż zatrzęsło i Berenice owionął kwaśny zapach ściętego mleka. Kilka osób krzyknęło.

Louis zacisnął dłoń na przedramieniu żony i niemal zwichnął jej obojczyk, kiedy odciągał ją do tyłu. Zrobił to akurat w chwili, gdy z chemicznego kokonu wysunęło się ząbkowane ostrze. Kawałeczki stwardniałej żywicy poleciały na nich niczym grad, po czym opadły na ławki i regały. Longchamp obrócił się i wypchnął oboje ku wyjściu z laboratorium.

– Wyjdźcie stąd!

Kolejne krzyki. Berenice potknęła się o fałdy sukni. Strąciła dłoń Louisa i zaczęła się przepychać w kierunku sięgających po broń i przewracających stoły żołnierzy.

– Co robisz? – zawołał Louis.

– Granaty. – Pokazała na półki, gdzie trzymała pęcherze takie jak ten, za pomocą którego uwięziła Lilith.

– Przygotować spryskiwacze! – wrzasnął sierżant.

Ze stopniowo rozpadającego się kokonu, w którym zamknięty był wojskowy klakier, wystrzeliło kolejne ostrze. Jeden ze spanikowanych ludzi Longchampa, szukając odpowiedniej pozycji do oddania strzału, potracił regał biodrem. Delikatny pęcherz wypełniony żywicą stoczył się z półki i rozbił na podłodze, natychmiast oblewając twardniejącą cieczą część narzędzi Berenice i unieruchamiając dwóch żołnierzy. Pierwszy dostał prosto w twarz, lepka plama pokryła jego nos i usta. Sądząc po gwałtownych odgłosach sugerujących odruchy wymiotne, substancja poleciała mu również do gardła. Mężczyzna zawzięcie młócił szklistą skorupę wolną ręką. Jego towarzyszka, przyklejona do podłogi, sięgnęła po tkwiący w pochwie przy pasie wojskowy nóż i zaczęła nim rozłupywać półprzezroczystą maź formującą nieprzepuszczalną maskę na twarzy żołnierza.

Berenice przepchnęła się pomiędzy nimi. Coś pękło, ktoś krzyknął i nagle poczuła na karku ciepłą ciecz. Odór zepsutego mleka zastąpiony został smrodem jak z latryny. Poślizgnęła się na czymś.

Louis! Odwróciła się – nadal za nią stał. Klakier zajęty był żołnierzami. Popchnęła męża ku drzwiom prowadzącym na zewnątrz.

– Uciekaj stąd, głąbie, i zatrzaśnij drzwi!

Z rogu, gdzie leżała Lilith, dochodził kakofoniczny grzechot: „Co się dzieje? Kto to? Pomocy!”.

Berenice spięta się i chciała doskoczyć do regału, ale Louis odepchnął ją w samą porę, bo powietrze tam, gdzie przed momentem była jej szyja, przeciął cienki stalowy kabel. Poczowała nawet podmuch przy uchu. Padła na ziemię i wypuściła z płuc całe powietrze w jednym wybuchowym wydechu.

Bolasy świszczały w całym laboratorium, rozcapierzając się przy obrotach niczym sieci. Wojskowy klakier ciął swoim wystającym z ramienia ostrzem, a żelazne ciężarki odbijały się rykoszetem od ściany komnaty, podążając za rozgrzanymi do czerwoności, bijącymi jak pejcze ogonami stalowych kabli. Zabłąkana kula poleciała prosto w grupkę żołnierzy, a zerwana linka przecięła policzek jednego z mężczyzn aż do kości, odsłaniając zęby, ale jednocześnie kauteryzując ranę. Miał szczęście. Stojący obok niego kolega próbował się uchylić, lecz dostał prosto w czaszkę, która rozkruszyła się z przyprawiającym o mdłości chrzęstem.

Uwolniony ze swojej chemicznej celi klakier wyskoczył ku sufitowi komnaty i zawisł nim do góry nogami niczym pajak. Pazurami i szponami zahaczył o nieprzepuszczającą wody powłokę, jakby była zrobiona z krepy. Kłujący w oczy pył z rozoranych przez niego kamieni opadł na zabałaganione laboratorium Berenice.

Klakier pędził nad ich głowami niczym galopujący koń. Nawet nie zwolnił, kiedy wykonał szybki jak błyskawica przewrót, zamachując się ostrymi jak ogromne nożyce ramionami, chcąc strącić z ramion głowę Longchampa. Ten rzucił się do tyłu i sparował cios kilofem. Metal zaskrzypiał o metal, spowijając sierżanta deszczem iskier, który osmolił mu brwi. Kępy żołnierskiej brody spadły na ziemię. Mechaniczny znowu zakotwiczył na suficie i pobiegł. Berenice pomyślała, że kieruje się ku drzwiom – „Król. Chryste, on chce dopaść króla. Musi działać jego geas” – ale maszyna zeskokczyła na ziemię, podcięła gardło żołnierzowi, jeszcze zanim dotknęła ziemi, i wylądowała przed Lilith. Odrzuciła koce na bok, odkrywając uwięzioną służącą i jej groteskowo uszkodzoną jajowatą głowę.

– Co to, kurwa, jest? – szepnął Louis.

Wojskowy klakier przystanął bez ruchu na ułamek sekundy. Czyli praktycznie całą wieczność.

– Kurwa – powiedziała Berenice.

Ostatnie, czego potrzebowali, to dać tej maszynie dodatkową motywację do

urządzenia prawdziwej rzezi. Nie mogło być inaczej: widok rozmontowanego pobratymca aktywował uśpione hierarchiczne metageas. Jakaś część klakiera nalegała, aby nie dopuścić do dekonstrukcji jednego ze swoich przez kogoś, kto nie był członkiem Gildii. Czy od razu przejdzie do królobójstwa, czy może stwierdzi, że jednak powyrzyna wszystkich, których ma pod ręką?

Louis wciągnął Berenice za przewrócony stół. Czemu sobie nie poszedł, kiedy mu kazała? Leżał na niej, próbując zasłonić ją własnym ciałem jak tarczą. Chwyliła go za głowę i przyciągnęła jego ucho do swoich ust (jakim cudem ten demon słyszał tak dobrze mimo całego tego hałasu?).

– Zapasowy pęcherz z żywicą. Nie możemy go stracić – wydyszała.

Louis przytaknął, przełykając ślinę.

– Trzeba się uporać z tym cholerstwem!

Longchamp wskazał na metalowe pojemniki nadal przytroczone do plecaka uduszonego żołnierza i od razu paru jego towarzyszy rzuciło się, by pomóc mu rozłupywać skorupę wyrosłą na spryskiwaczu. Z jeszcze ciepłego ciała kamrata obficie trysnęła jucha, bo w pośpiechu rąbali i je. Berenice i Louis czołgali się pomiędzy porozbijanymi i połamanymi urządzeniami laboratoryjnymi, szukając ostatniego już pęcherza wypełnionego żywicą.

Pomiędzy dwoma klakierami nastąpiła wymiana trzasków i brzęków, które odbijały się pomiędzy nimi niczym rykoszetem, zbyt szybko, aby Berenice mogła je rozszyfrować. Nie potrafiła powiedzieć, czy wojskowa maszyna zorientowała się, że Lilith jest buntowniczką, ani co służąca była w stanie mu przekazać. Być może mechaniczny żołnierz dostrzegł uszkodzenia przy dziurce od klucza Lilith i rozważał, czy powinna zostać przez niego uwolniona; z pewnością istniały metageas regulujące zasady postępowania z jej podobnymi. A może pilące rozkazy nałożone na klakiera już przed całymi tygodniami stały się nie do wytrzymania przez tak długi okres bierności? Bez względu jednak na powód po paru sekundach niebywale skompresowanej konwersacji uwolniona maszyna pojedynczym krokiem skróciła o połowę dystans do wyjścia. Rosły żołnierz odważył się zastąpić jej drogę, unosząc młot i kilof, sparowała jednak jego cios.

Berenice znalazła balon z żywicą ukryty pomiędzy swoimi dziennikami. Kartki papieru musiały złagodzić jego upadek i tylko dlatego pęcherz nie pękł, kiedy zawartość biurka spadła z łoskotem na podłogę. Z drugiej strony blatu, za którym się schowali, dobiegł ją brzęk metalu uderzającego o kamień, po czym rozległ się charakterystyczny odgłos ostrza przejeżdżającego po kości. Szkarłat chlapanął na jej włosy, dłonie i twarz. Pęcherz zachlupotał pod jej palcami i zaniepokoiła się, że ścisnęła go zbyt mocno. Skrzywiła się, spodziewając się kleistej fontanny, która przyklei ją do podłogi, i czekała, aż klakier odbierze jej życie. Lecz tak się nie stało. Jeszcze moment zajęło jej poluzowanie palców na tyle, aby świadomie i

ostrożnie chwycić żywicową bombę. Powietrze znów zadrzało, jakby coś gładko przecięło komnatę, poruszając się prędko i nisko. Chwilę później po laboratorium rozeszło się echo metalicznego brzdąknięcia, z początku słabego, lecz z czasem coraz głośniejszego, które przeszło w przyprawiający o ból zębów zgrzyt giętego metalu. Berenice odważyła się wyjrzeć znad blatu. Komuś nareszcie udało się wycelować i rzucić bolasem. Stalowa linka owinęła się wokół nóg klakiera, który upadł na ziemię. Trząśł się gwałtownie i wywijał swoimi wysuwanyymi z przedramion ostrzami, jakby chciał ją przeciąć. Nie musiał się jednak trudzić, bo napięty kabel i tak nie wytrzymałby dłużej niż kilku sekund. Prosta francuska metalurgia nie mogła konkurować z demoniczną sztuką – alchemią.

Mimo to maszyna została spowolniona na bezcenną, choć krótką chwilę. Berenice przeskoczyła nad przewróconą ławą i ruszyła prosto na drżącego, machającego nożami stwora zrodzonego z mieszanki metalu i magii, po czym rzuciła pęcherz prosto na jego klatkę piersiową. Od razu odskoczyła na bok, chcąc uniknąć rozprysku, przeturlała się po twardej ziemi, po czym, cała obolała i posiniaczona, zatrzymała się z dala od maszyny. Odezwał się ból w ramieniu wykręconym jej wcześniej przez Louisa. Berenice stanęła na równe nogi.

– Spierdalać!

Kiedy sierżant przebiegał obok z młotem i kilofem, niemal ją przewrócił. Berenice obejrzała się, pewna, że zaraz zobaczy klakiera w kokonie podobnym do tego, w jakim zamknęła Lilith, ale najwyraźniej włożyła w swój rzut zbyt wiele siły i chemikalia rozprysnęły się po większej powierzchni. Spora część cieczy trysnęła do góry, i z dala od klakiera, jeszcze zanim zdążyła zaschnąć. Miriady cieniutkich niteczek ciągnęły się od jego torsu do ścian, podłogi i drzwi, lecz na szczęście żywiczny glut skawalił się na jego piersi niczym szklany grzyb. Mimo to maszyna nie była całkowicie unieruchomiona. Longchamp przebijał się przez kryształowe kosmyki z pomocą młota, chcąc dopaść do mechanicznego, zanim się uwolni. Szkliste odłamki gdzieś wbiły mu się w skórę. Kiedy żołnierz machał przed sobą kilofem, jego diamentowa końcówka wygrywała swą pieśń. Gdy uderzał, rozlegał się donośny brzęk, ale narzędzie odbijało się od skorupy, zanim mógł przywalić w nie młotem. Uniósł ramię do kolejnego ciosu.

Tymczasem Louis zmierzał ku drzwiom.

„Tak, wydostań się ze strefy śmierci, ukochany! Poślij po posiłki!”

Klakier z cichym kliknięciem rozkładanych na powrót ostrzy wyciągnął ramiona niczym Chrystus na krzyżu. Jedno wbił we framugę drzwiową, a drugą zaparł się o podłogę, czemu towarzyszył przyprawiający o zgrzytanie zębów wstrząs. Duszący zapach skruszonego kamienia sprawiał, że miazmaty nadciągającej katastrofy stały się jeszcze bardziej wyczuwalne.

Mechaniczny zadrzał. Jego kostki, spętane linką, otwarły się, jakby

zamontowano je na zawiasach, odsłaniając ząbkowane groty sterzące z zakończonych szponami stóp. Klakier wbił je w kamień na kilka dobrych centymetrów przy akompaniamencie dźwięku bliskiego eksplozji. Maszyna dźwignęła się z podłogi. Jej klatka piersiowa uniosła się z ziemi. Laboratorium wypełniły zapach nagrzanego metalu i zgrzytnięcie naprężonych mechanicznych części. Berenice zdała sobie sprawę, że klakier zaparł się po to, aby napinając swoje ciało, zmaksymalizować napór na okowy.

„Ty cwany sukinsynu...”

Linka, którą owinięte były jego nogi, pękła i strzeliła o podłogę z trzaskiem głośnym niczym wystrzał artyleryjski. Zaledwie chwilę później żywica popękała i eksplodowała, zalewając laboratorium deszczem szklistych kawałków. Bryła tak duża jak połowa Longchampa uderzyła w niego, odrzucając go na drugi koniec komnaty niczym szmaciankę. Inna zwała Louisa z nóg i popchnęła na drzwi. Berenice uniosła rękę, chcąc osłonić twarz, ale i tak coś trafiło ją w lewe oko, które natychmiast przesłoniła szkarłatna kurtyna. Świat został pogrzebany pod ciężarem niewysłowionej agonii; z oczodołu promieniował potworny ból. Berenice, krzycząc, runęła na podłogę. Za to Louisowi udało się podnieść. Wicehrabina patrzyła przez firanę czerwieni, jak rzuca się do drzwi. Lecz zamiast uciekać – „Co ty robisz? Nie, nie, NIE!” – zaryglował je od środka. Klakier wyskoczył, wykonał przewrót i stanął na nogach.

Pomiędzy nim a Louisem nie było nikogo.

Berenice usiłowała go ostrzec, ale zakrztusiła się krwią spływającą z jej wylupionego oka.

– Louis...

Mechaniczny zobaczył, jak mężczyzna siłuje się z ciężkimi drzwiami. Uderzył ciosem podbródkowym. Ostrze wysunęło się jeszcze przed kontaktem z ciałem Louisa, który krzyknął, młóćąc ramionami. Jucha trysnęła z arterii, spryskując obficie ściany.

– LOUIS!!!

Berenice zeszywniała.

Maszyna wyrwała jeszcze niezaryglowane drzwi z zawiasów i cisnęła nimi przez całe laboratorium – trafiły niespodziewającą się niczego żołnierkę od Longchampa, której prawdopodobnie potrzaskały żebra – po czym skoczyła prosto na spiralne schody. Kilka sekund później dobiegło ich echo brzęku alchemicznego mosiądzu o kute żelazo, słabnące z każdym krokiem biegnącego na górę, ku słońcu, klakiera.

Berenice chciała się podnieść, ale poślizgnęła się na własnej krwi. Zauważyła coś kątem oka po lewej. Czuła i słyszała skrobanie wewnątrz własnego oczodołu. Szok zapewne stępił najgorszy ból, ale nie uczynił nic, żeby mogła odsunąć od

siebie przyprawiającą o wymioty świadomość, że ma wbite w oko ciało obce, i to tak głęboko, że niemal zahacza jej o czaszkę. „Nie myśl o tym...”

Skoncentrowała uwagę na wijącym się na ziemi Louisie, który leżał w rosnącej kałuży krwi. Jego ruchy były coraz wolniejsze, a krzyki przechodziły w skamlenie. Potrzebował opaski uciskowej. Torowała sobie do niego drogę przez chaos. Odpięła pas od spodni umierającego żołnierza i podpełzła do Louisa. Mężczyznę targały konwulsje, jego ciało odmawiało posłuszeństwa. Berenice owinęła pasem jego ramię, brudząc sobie dłonie krwią. Patrzyła na obnażone kości męża. Nie mogła zawiązać pętli, bo nie było na czym – co rusz się ześlizgiwała z miejsca, gdzie powinno być jego ramię. Louis nie wydawał już z siebie żadnego dźwięku. „Czemu wtedy nie uciekł, Jezu, Jezu, Jezu, gdzie są jego ręce i czemu nie odpowiada, przecież zwracam się do niego po imieniu...?”

– Proszę, nie odchodź, nie odchodź, przepraszam, przepraszam, ukochany, nie zostawiaj mnie, Boże, o Boże, Louis, proszę, rozmawiaj ze mną, tak mi strasznie, strasznie przykro...

Lecz on już odszedł.

Następnym, co pamiętała, był poobijany Longchamp biegnący do drzwi. Zamarł, kiedy zobaczył, jak Berenice siedzi z głową pobladłego męża na łonie, trzymając go za dłoń. Twarz żołnierza wykrzywiła się z rozpacz, a może obrzydzenia. Lub obu tych rzeczy jednocześnie. Myślała, że zaraz zwymiotuje.

Czemu jednak biegł? A tak, maszyna...

– Na górze.

Kiedy mówiła, szrapnel tkwiący w jej oku ocierał się o czaszkę. Wyraźnie odczuwalne szuranie sprawiło, że do gardła napłynęła jej treść żołądka.

Sierżant przełknął ślinę, pokiwał głową i ruszył na klatkę schodową.

Chwytając go za kostkę, pokazała mu jedną z kratek wentylacyjnych rozmieszczonych w regularnych odstępach na ścianie komnaty. Delikatnie odłożyła głowę Louisa na bok – żeby nie uderzył nią o podłogę – i dźwignęła się z kamiennej posadzki. Jej gałki oczne poruszały się automatycznie, niezależnie od niej, nie mogła tego powstrzymać. Starła się poruszać na boki głową jak koń z nałożonymi klapkami, ale i tak bolało jak pierdolone ukrzyżowanie. Mimo to udało jej się jako tako wytłumić okropne zgrzytanie dochodzące ze środka głowy. Poczula się na tyle lepiej, żeby nie myśleć... nie myśleć... o odciętych rękach... i... i...

Musieli złapać demona, który zrobił to Louisowi.

Kratki wychodziły na kanały wentylacyjne, które pomagały odprowadzać dym z lamp i świec z podziemnych komnat, a także doprowadzały tam czyste powietrze. Zostały wydrążone jeszcze podczas pierwotnych wykopalisk. Na okoliczność ucieczki, jeśli laboratorium zostałoby oblężone od strony klatki schodowej,

Berenice przystosowała najbardziej nadający się do tego szyb – prosty, o gładkich ścianach i wystarczająco szeroki, aby zmieściły się tam dwie osoby. Nigdy dotąd nie musiała z niego korzystać, nie podejrzewała też, że pewnego dnia przyjdzie jej za jego pomocą zrealizować odmienny scenariusz: spróbować złapać coś, co uciekło z laboratorium – coś, co zaatakowało Louisa, zamachnęło się na niego ostrzami i pocięło jego...

„Nie, nie myśl o tym. Jeszcze nie teraz. Zostało sporo do zrobienia”.

Rzeczona kratka przysłonięta była szafą. Na szczęście wypadek z pęcherzem wypełnionym szybko schnącą żywicą nie przykleił jej na stałe do ściany. Jeśli jednak chlapnęło na szyb...

Longchamp zrozumiał, czego oczekiwała, i odsunął mebel, który przewrócił się i rozbił, uderzając o kamienną podłogę. Berenice zakręciło się w głowie, kiedy pochyliła się, żeby zdjąć kratkę. Ciepłe strużki krwi nadal spływały jej po twarzy. Longchamp przyszedł z pomocą.

– Potrzebujesz lekarza – powiedział.

Udało jej się wycedzić:

– Później.

Kolejne chrobotanie pod czaszką sprawiło, że ledwo opanowała wymioty. Sierżant nie miał jednak zamiaru się z nią wyklócać – i tak nie miałoby to sensu. Jedynym sposobem, aby zobaczyć się prędko z lekarzem, było przedostanie się szybem na górę. Longchamp pogonił ją gestem.

Padła na czworaki i wpełzła do środka. Szyb był ciemny i zakurzony, poza tym śmierdział guanem, a może i czymś jeszcze gorszym. O twarz ocierały jej się pajęczyny – kurwa mać, czuła nawet, jak czepiają się odłamka nadal tkwiącego w jej okaleczonym oku, kurwa, kurwa, kurwa, – a na dodatek oparła się dłonią o coś, co już dawno temu wydało swoje ostatnie tchnienie.

„Skup się na czekającym cię zadaniu. Ukarz bestię, zanim będzie jeszcze gorzej. Zanim zemdlejesz. Tylko co zrobisz, gdy już ją dopadniesz, o wielki, mądry Talleyrandzie? Pochwycisz ją gołymi rękoma, ślepa na jedno oko i umierająca z utraty krwi? Zatłuczysz odciętymi kończynami swojego męża?”

Wyszła na drewniany podest znajdujący się na dole szybu wentylacyjnego. Zwisał nad nim naciągnięty łańcuch prowadzący do znajdującego się wysoko nad jej głową niewielkiego dysku bladego światła dnia. Zatrzęsa nim, podnosząc się na nogi. Chciała się na moment położyć, ale nie było na to czasu. Po chwili dołączył do niej Longchamp. Berenice obróciła głowę, lecz było zbyt ciemno, aby cokolwiek zobaczyć, nawet gdyby jedyne sprawne oko nie zostało przysłonięte przez zaschniętą krew. Sierżant złapał pewnie ramię Berenice i zacisnął jej dłoń na łańcuchu:

– Dobra, coś tam widzę – powiedział, macając w ciemności. – Trzymaj się,

tylko nie uraż tej rany. I nie zrzygaj mi się przypadkiem na moje piękne buty.

Rękę miał ciemną od krwi. Berenice próbowała zamknąć oczy, ale był to błąd. Uczucie ciała obcego napierającego na powiekę było gorsze niż zgrzytanie o kość. Odchyliła się, żeby przypadkiem nie zahaczyć wystającym z oka odłamkiem o ogniwa łańcucha, i przytuliła się do chłodnej stali.

Metal zazgrzytał o metal, kiedy Longchamp wyciągnął topór. Wziął zamach, a platforma nieco się zachwiała. Rozległ się trzask i nagle Berenice odniosła wrażenie, jakby ważyła dwa razy więcej. Na twarzy poczuła wibracje drgającego powietrza. Chybotanie się podestu poruszyło odłamkiem. Padła na kolana i zwymiotowała. Longchamp chwycił ją za kołnierz, aby nie ześlizgnęła się do szczeliny pomiędzy krawędzią platformy i ścianą szybu. Jakimś cudem nadal miał ze sobą kilof i młot. Zastanawiała się, co stało się z jego robótką ręczną.

Może dał ją Louisowi na przechowanie.

Światło było coraz jaśniejsze, podmuchy cieplejsze, krzyki głośniejsze. Boże, te krzyki... Brzmiały, jakby znowu zarzynano Louisa. Gdy znajdowali się w połowie drogi, ziemią zatrząśł donośny trzask i na kamiennych ścianach szybu pojawiły się liczne pęknięcia. Berenice poczuła w nozdrzach osadzający się pył. Podest gwałtownie się zatrzymał, aż wyskoczyli na pół metra. Znajdowali się w zamkniętej szopie za pracownią ciesielską. Berenice niemal straciła przytomność. Drzwi były zatrzaśnięte, ale Longchamp otworzył je kopniakiem. Wicehrabina poszła za nim, trzęsąc się jak w malignie.

Czemu światło słońca było tak chłodne?

– Panie – wymamrotała, chwytając się swojego pasa – wybaw nas od upartych wicehrabin.

Skręcili za róg. Główny dziedziniec wewnętrznej twierdzy wyglądał i śmierdział jak kostnica. Berenice, patrząc przez różowawą mgiełkę zasklepionego krwią oka, próbowała pojąć, co się tutaj wydarzyło. Pogięty srebrny wagonik kolejki leżał pośród poskręcanych i zmiażdżonych resztek dolnej stacji, jego okna powybijano. Obok walały się zwłoki, niektóre kompletne, inne rozczłonkowane. Kałuże krwi. Cywile. Ksiądz w zielonym ornacie. No i żołnierze. Chyba jednego rozpoznała, był z nią na murze. Jak się nazywał? Może Louis by pamiętał.

Na samym środku pobojuwiska znajdował się wymachujący ostrymi jak brzytwy nożami derwisz, przykucnięty dziwacznie na wygiętej nodze i poruszający się niemal zbyt szybko, żeby człowiek mógł nawiązać z nim walkę. Jakiś geniusz musiał wpaść na pomysł odcięcia kolejki, kiedy bestia próbowała wspiąć się na Iglicę, nie upewnił się jednak, czy w środku siedzieli jacyś pasażerowie.

Trzej żołnierze Longchampa próbowali jakoś powstrzymać śmiercionośną maszynę. Kobieta i mężczyzna wymachiwali nad głową bolasami. Trzeci żołnierz miał przytroczony do pleców baniak z żywicą podłączony do spryskiwacza,

którego końcówka zwisała jednak smętnie u boku mężczyzny. Nawet woda w fontannie miała kolor sukienki Berenice. Barwy świata połyskiwały czerwienią.

Klakier skoczył.

Stalowy kabel zaszumiał, lecąc przez dziedziniec.

Mechaniczny wylądował. Ostrza przecięły ciało, kości i parę anodyzowanych butli. Człowiek niosący baniak z żywicą padł na ziemię poćwiartowany.

Klakier z zaplątanymi nogami zwinął się w kulę.

Padł jak ryba złapana w sieć.

Longchamp rzucił się biegiem.

Zamachnął się kilofem na dziurkę od klucza na czole maszyny. Uniósł młot.

Gorejąca agonia przegoniła przynoszące ulgę, wynikające z szoku odrętwienie. Kolejne fale bólu pulsowały w rannym oku Berenice i w jej sercu, ogarniały całe jej ciało i spowijały umysł płomieniami.

Longchamp wymierzył cios.

Zemdlął.

CZĘŚĆ II

REAKCJA NAJGWAŁTOWNIEJSZA

Potrząsnąć kruchą masą ♃ i połączyć z mętną esencją ♃ w mózdzierzu... Rozcierać przez ¼ godziny tłuczkiem ♂ i połączyć ♃ ↗ muśnięte przez gołębice Diany ♃ z jej bratem ☉ filozoficznym, z którego pozyskasz duchowe nasienie. ↗ Zacznie ono fermentować z zaciekłym podnieceniem. ♃ Duchowe nasienie jest bowiem niczym ogień, który oczyści reakcję najgwałtowniejszą z nadmiaru ♃ i którego fermentacyjne właściwości się uaktywnią.

Isaac Newton, Clavis (transkrypcja dokonana prawdopodobnie przez Eirenaeusa Philalethesa), około 1677^[III] (przekład Hume'a^[IV]).

ROZDZIAŁ 10

Dwie rzeczy zaskoczyły Vissera, kiedy jego oszołomiony, niezdolny do tkania marzeń senny umysł niechętnie powrócił do świadomości.

Po pierwsze to, że w ogóle się obudził.

„Cogito, ergo, czemu, do cholery, nie jestem trupem?”.

Po drugie dotarło do niego, że cela nie śmierdziała ekskrementami i pleśnią, krwią i rozpaczą, ale pachniała... Chciał pociągnąć nosem, lecz niemal zemdłał. Spróbował raz jeszcze, kiedy jego głowa przestała się, jak mu się wydawało, obracać... Pachniała jak syrop klonowy, tosty i bekon. Dobrej jakości.

Poczuł kłujący dreszczyk idący od ramienia do dłoni, jakby pod jego skórą stłoczyły się bąbelki powietrza. Spodziewał się usłyszeć złowrogie podzwanianie kajdan, jednak gdy się obrócił, odkrył, że leży niczym niezwiązany, nagi, pod jedwabną pościelą. Poza odrętwieniem wywołanym zbyt długim leżeniem na ręce i zimnej, mokrej plamie na poduszce (poduszce!?), gdzie zgromadziła się jego ślina, było mu całkiem wygodnie. Nawet poraniony czerep nie emanował tępych bólem, a jedynie ćmił.

Nie tego się spodziewał po nakręcaczach. Dziwne, że nie został przebity na wylot lub po prostu utopiony. A to...

Zaburczało mu w żołądku, który wydawał się tak pusty, że jego ścianki mogłoby równie dobrze zostać zrobione ze skorupki jajek i lada chwila się pokruszyć. Jak długo spał? Zapach bekonu sprawił, że do ust napłynęła mu ślina. Zaryzykował obrót głowy, spodziewając się, że przynoszące chwilową ulgę halucynacje przeistoczą się lada chwila w dojmujący ból. Ten jednak nie nadszedł, nawet gdy uniósł powieki. Pomieszczenie było jasne, ale światło go nie raziło. Słońce przebijające przez świetlik padało na ciemną, wylakierowaną podłogę z drewna, może orzechowego, a może mahoniowego, i blask nie męczył jego osłabionych po śnie oczu. Mimo to odwrócił wzrok, kiedy jasne promienie odbiły się od kryształowych kielichów i ustawionej na stole srebrnej zastawy. Dla dwóch osób.

„Czy umarłem? Pan przyjął mnie do siebie? Zabrał słabe i grzeszne ciało? Albo to, albo przy upadku odniosłem poważne obrażenia mózgu”.

Otworzyły się znajdujące się po drugiej stronie stołu drzwi. Visser próbował coś dojrzeć, ale nie zobaczył niczego w cieniach rozciągających się po drugiej stronie, ponieważ nakręcacz, wchodząc do pokoju, niemal wypełnił sobą całą przestrzeń. (Nie. Pan go nie przyjął. Miał bowiem anioły, które wypełniały jego wolę, a nie mechanicznych niewolników). Klakier zatrzęsął drzwiami tylnym

kopytem, po czym podszedł do łóżka Vissera z niewielkim tobołkiem trzymany w niższej parze rąk. Mężczyzna stężał. I choć nie miało to sensu, wycofał się na materacu, aż jego nagie plecy nie dotknęły zimnej ściany. Była nie tylko chłodna, ale i chropowata. Rozbudził się momentalnie, nagle czujny, a w jego umyśle zaświecił pewien nieustępliwy obraz: przebity służący rozrywany niczym porwany kawał materiału...

Cień nakręcacza padł na łóżko. Visser się skulił, lecz ramiona maszyny nie wydłużyły się i nie przemieniły w śmiertcionośne włócznie, które przyszpiliłyby go do materaca. Mechaniczny podniósł tylko zawiniątko i, ze szczękiem zębatek, obrócił nadgarstki, rozwijając pakunek, który okazał się niczym innym jak szlafrokiem. Maszyna trzymała go przed pastorem niczym napędzany mechanizmem zegarowym kamerdyner. Gapili się na siebie. Klakier stał jak skamieniały, a Visser zastanawiał się, czy to ten sam, który go gonił.

„Te ich przeklęte, identyczne, bierne twarze. Pieprzyć je”.

Nakręcacz delikatnie potrząsnął szlafrokiem, jakby myślał, że Visser go nie zauważył. Skoro ta cholerna maszyna chciała go ubrać, nie mógł zrobić nic, aby ją powstrzymać. Odetchnął głęboko i przesunął się na materacu. Obrócił się i zerwał z siebie kołdrę, chcąc przerzucić nogi przez krawędź łóżka. Musiał chwilę odpocząć, poczekać, aż przestanie mu się kręcić w głowie. Nie zauważył kapci, lecz jego podeszwy natrafiły na coś futrzanego stojącego na podłodze. Pokój rozmazał mu się przed oczami.

Nakręcacz cofnął się o krok, jego kopyta stukały o parkiet, wydając dźwięk przywodzący na myśl precyzyjne, poczwórne tykanie metronomu. Obrócił szlafrok, najwyraźniej oczekując, że Visser się w niego wciśnie.

Pastor, nadal skonfundowany, wstając, zachwiał się na nogach. Maszyna chwyciła go za ramię jedną z wolnych rąk. Skrzywił się, ale klakier tylko pomagał mu złapać równowagę. Jego dotyk był tak delikatny, jak tylko można się spodziewać po tulejach, łożyskach i alchemicznie wzmocnionym mosiądzu. Szlafrok – ciepły, gruby, uszyty z frotté – zalatywał lekko tytoniem i morzem, ale przecież nie znajdowali się na statku, podłoga była zbyt stabilna. Visser odwrócił się, wyciągając ramiona.

Był nagi, jeśli nie liczyć papci (z miękkiego króliczego futra), skorzystał więc z okazji i dokonał prędkich oględzin. Sińce koloru bakłażanu na jego starzejącym się ciele zanikały, zbladły, zaszły zielenią i błękitem żył. Podczas ucieczki poharatał się naprawdę mocno, musiało więc już minąć trochę czasu. Pamiętał, jak obijał się o ściany dorożki, jak leciał do kanału, jak na oczy opadł mu płąt skóry, jak próbował płynąć...

I tak cud, że był w jednym kawałku. Znowu odezwał się ból. Był co prawda wygłuszony, mdły i odległy, lecz pod czaszką odezwało się łupanie zapowiadające

uporczywą migrenę.

Pastor przypomniał sobie również, że zawiódł. Miał ostrzec Talleyranda. Czy było za późno? Gdyby tylko mógł dostarczyć tę informację do Nowej Francji...

Kiedy centaur go ubierał, drzwi otworzyły się ponownie. Visser zawiązał pasek od szlafroka. Stojąca za nim Anastazja Bell powiedziała:

– Nie są zbyt dobrzy, jeśli chodzi o poranną etykietę, ale starają się, jak mogą, zważywszy na okoliczności. Rozważaliśmy nawet powrót do masek i wyposażenie ich w błazeńskie uśmiechy, lecz ostatecznie zdecydowaliśmy, że lepiej, jeśli ludzie nadal będą się nakręcaczy bali, a nie czynili z nich obiekty kpin.

Stukot kopyt klakiera stawał się coraz cichszy. Wychodząc, centaur zamknął za sobą drzwi. Visser nareszcie się odwrócił. Bell miała na sobie burgundową suknię i szare skórzane buty. Cienkie, strzępiaste pióro wetknięte beztrudnie za tasiemkę kapelusza o szerokim rondzie kołysało się radośnie. Miękkie, sięgające łokci rękawiczki dobrane były pod kolor butów. Przez ramię przewieszony miała gronostajowy płaszcz. Słońce odbijało się od różokrzyża przypiętego do koronkowego naszyjnika oraz srebrnej bransolety opasającej jej nadgarstek. Prezentowała się w każdym calu niczym dama gotowa na przejażdżkę po wsi podczas chłodnego, acz słonecznego jesiennego dnia, prawdopodobnie na zaproszenie kogoś stojącego na społecznej drabinie wyżej niż ona. Ani trochę nie przypominała szefowej tajnej policji Imperium. Gdyby nie wisiołek, nie sposób było poznać, że należy do Gildii.

Język przylepił się Visserowi do suchego podniebienia. Ślina, jaką zdołał zebrać, smakowała tak, jakby przez całą noc ssał kwartje.

– Jedno z nas ubrało się nieodpowiednio na tę okazję.

Uśmiechnęła się, jakby powiedział coś wyjątkowo mądrego. Nawet w jej oczach kryła się wesołość.

– Odpręż się. Nie jestem tutaj po to, żeby cię przesłuchiwać.

– Znajduję to trudnym do uwierzenia.

Rzuciła płaszcz na oparcie jednego z krzeseł. Zdejmując rękawiczki, powiedziała:

– Proszę cię, pastorze. A może raczej powinnam powiedzieć: „Ojcze”? Oboje przecież doskonale wiemy, że – zamaszystym gestem wskazała jednocześnie pokój, łóżko, jedzenie – nie są to odpowiednie warunki do prowadzenia przesłuchania. Czemu ryzykować zepsucie tego uroczego śniadania chlupotem śmierzących płynów ustrojowych?

Visser pociągnął nosem. Już rozumiał. Chcieli, żeby doszedł do siebie, chcieli doprowadzić jego ciało do perfekcyjnego stanu, aby mieć czyste konto, kiedy zaczną go przesłuchiwać. Aby Bell mogła pracować bez przeszkód, bez niczego, co mogłoby nie pozwolić jej na podjęcie założonych działań. Chciała mieć świeże

plótno i malować na nim dowolne wzory.

O tak. Jeszcze zostanie tym męczennikiem.

– Nie zrozum mnie źle – mówiła dalej. – Powiesz mi to, co chcę usłyszeć, ale jeśli wszystko pójdzie tak, jak założyłam, zrobisz to dobrowolnie, nie będę nawet musiała zadawać ci pytań. A jeżeli dopisze nam szczęście, nie będziesz się nawet zbyt opierał.

Skrzyżował ramiona na piersi, tym samym unosząc rąbek szlafroka i odsłaniając gołe nogi, lecz nie przejął się tym zbyt; z godności zrezygnował już wtedy, gdy rzucił się do ucieczki.

– Rzecz w tym...

Bell uniosła dłoń, każąc mu zamilknąć.

– Proszę. Nie jadłam jeszcze. Jeśli chcesz się ze mną spierać, możemy to zrobić przy posiłku, jak cywilizowani ludzie. Nie lubię zimnego śniadania.

To rzekłszy, usiadła do stołu. Rozłożyła serwetę na udach i gestem kazała Visserowi dołączyć. Kryszałki podobne do tych, które wykorzystano do oświetlenia wnętrza Ridderzaalu, połyskiwały delikatnie pod naczyniem z podgrzewaczem. Para zatańczyła, kiedy Bell uniosła pokrywkę, pod którą znajdował się półmisek pełen pokrojonej szynki i bekonu. Visser zauważył też dwa słoiczki z konfiturami, miskę ubitego masła, tosty (sześć) i różne rodzaje sera poukładane na drewnianej desce do krojenia. Karafka maślanki stała na lodzie, a z otwartego termosu unosił się aromat świeżo palonej kawy.

Jego zdradziecki żołądek zbulgotał ponownie, na tyle głośno, że krępujący dźwięk dobiegł do uszu Bell. Złośliwy śmiech zamajaczył w kąciku jej ust. Rozsiadła się wygodniej.

– Proszę się nie martwić – powiedziała. – Nic nie jest zatrute – dodała, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Do diabła. Był przecież głodny. Nie jest źle jak na ostatni posiłek. Usiadł przy stole.

– O, i tak to powinno wyglądać – stwierdziła, rozsmarowując masło na toście.
– Lecz to nieczęsta sytuacja lub jak to się mówi, wyjątkowa okazja.

– Zdaję sobie sprawę, do czego dążysz – odparł.

Podzielił się wyciągniętą przez siebie konkluzją na temat rekonwalescencji.

– Chcemy, abyś wyzdrowiał i nabrał sił, ale nie z tego powodu. Po pierwsze i najważniejsze, powinieneś wypocząć i się odprężyć. Powrót do zdrowia jest akurat przyjemną stroną tego procesu.

W słoiczku stojącym najbliżej znajdowała się konfitura z borówki brusznicy. Pastor zmarszczył nos i odstawił naczynie.

– Chyba mamy też truskawkową, jeśli wolisz – powiedziała Bell.

Visser sięgnął po masło, plaster sera i kawałek bekonu. Uważał, żeby nie rzucać

się na jedzenie jak wygłodniały wilk. Ser okazał się doskonale uwędzoną goudą i znakomicie komponował się ze słonawym mięsem. Zanim pastor się odezwał, zdążył pożreć połowę kanapki.

– Czemu zależy ci na mojej wygodzie?

– Hormony stresu potrafią człowiekowi namieszać. Długo nie potrafiliśmy tego pojąć – pokręciła głową, przeżuając jedzenie. – Zmarnowaliśmy tyle czasu.

– Nie rozumiem.

Zbyła jego niewypowiedziane jeszcze pytanie machnięciem ręki, zupełnie obojętna, jakby powiedział jej, że jadąc przez prowincję, zobaczył poldery i stare młyny.

– Nie. Ale zrozumiesz.

Nagle w jego pamięci zajaśniały słowa Aleidy Geelens. Wycharczała, że śmierć to nie najgorsze, co mogli na nią zesłać. Określiła ją aktem łaski. Głęboko na dnie żołądka Visserowi osadziło się ziarenko lęku, twardsze niż diament. Jakimś cudem jednak jego apetyt nie osłabł.

Ich rozmowa zabrnęła w ślepią uliczkę. Maślanka okazała się zbyt schłodzona, zeszywniało mu podniebienie, a ból głowy znacznie się pogorszył. Mleko skwaśniało, kiedy dotarło do żołądka. Visser odstawił szklankę. Bell przeżuwała spokojnie kolejnego tosta. Miała apetyt znacznie większy, niż wskazywałaby na to jej drobna budowa. Visser poczuł głód. I nareszcie zdobył się na odwagę, by zapytać:

– Jak długo spałem?

– Przez dłuższą chwilę podawano ci leki uspokajające. Doznałeś całkiem poważnego wstrząsu mózgu. Powiedziano mi, że ten wypadek był cokolwiek spektakularny. – Postukała się w skroń trzonkiem noża do masła. – Aha, i przypomniało mi się, że pewnie przez jakiś czas będziesz jeszcze miewał bóle i zawroty głowy. Proszę, daj znać, jeśli ci się pogorszy albo będziesz miewał zaburzenia widzenia.

Zjedli. Kiedy Bell pakowała sobie do ust ostatni kawałek tostu, którym zamiotła talerz, powiedziała:

– Twoje współczucie zadziało na twoją niekorzyść. Być może jeszcze długo byśmy cię nie aresztowali, gdybyś nie dokonał tego... aktu łaski tuż przed naszymi nosami. A może się tylko upewniałeś, że nie da rady cię zidentyfikować?

– Zrobiłem to, co każda zdolna do współczucia dusza zrobiłaby na moim miejscu.

– Być może. Lecz kiedy to zrobiłeś, wystawiłeś się nam. Ktoś z otoczenia Schoonraadów, chyba guwernantka, zgłosił, że ostatnio dziwnie się zachowywałeś w obecności jednego z mechanicznych. Obawiała się, że możesz zarazić jej podopieczną nieortodoksyjnymi poglądami.

– Żebyśmy wszyscy mieli takie szczęście – burknął.

Bell odsunęła od siebie talerz. Po nalaniu sobie drugiej filiżanki kawy skrzyżowała ramiona i oparła łokcie o stół.

– Dobrze. Faktycznie jesteś „ojcem”?

Ponieważ nie odpowiadał, dodała:

– Pytam z czystej ciekawości. Naprawdę. Nic innego. Nie mam zamiaru zapędzić cię w kozi róg ani zmuszać do przyznania się do winy. Na to, obawiam się, za późno.

Bo już to wiedziała.

„Zachowaj odmowę odpowiedzi na lepszą okazję, kiedy będzie miała ona znaczenie”.

– Zostałem wyświęcony w 1887 roku. Ucałowałem papieski sygnet dwa lata później.

Pokiwała głową, jakby potwierdził jej przypuszczenie.

– A potem udałeś się do Hagi, gdzie przesiedziałeś bezpiecznie aż do tej pory. Dziesiątki lat spędzone w okopach godne są podziwu, ojcze. Czemuś nie został w Nowej Francji? Przecież tak oddany i uważny człek jak ty z pewnością objąłby już do tej pory przyzwoitą diecezję. – Upiła łyk kawy. – Zastanawiałeś się kiedyś nad niewykorzystanymi możliwościami?

Być może jej uśmiech miał być pełen zrozumienia, ale kryjąca się za swoistą protekcjonalnością arogancja rozwścieczyła go. Symptom i choroba: przemożną arogancją podszyta była przecież już sama idea skonstruowania i zniewolenia mechanicznych, podczas gdy władza i przywileje, jakie szły w parze z tą praktyką, same ją usprawiedliwiały i stymulowały próżność.

Błędne koło.

– Zastanawiam się, jak świat mógłby dzisiaj wyglądać, gdyby nie dwieście pięćdziesiąt lat podporządkowywania sobie żyjących i myślących istot. Gdyby architektura nowoczesnego świata nie spoczywała na złowrogim fundamencie niewolnictwa, tortur i prób sprawowania kontroli nad nieśmiertelnymi duszami. Jakby rzeczony geniusz, który celebrujecie na co dzień, nie był największym afrontem wyrządzonym Bogu.

Bell uniosła brwi, słuchając jego tyrady:

– O, no to mam swoją odpowiedź. – Palcem wskazującym namalowała w powietrzu, tuż nad kostką masła, ptaszka w niewidzialnej kratce. – Obcy agenci często motywowani byli chciwością lub pokusami cielesnymi, a nie zasadami. Zdziwiłbyś się i pewnie zniechęcił, gdybyś się dowiedział, ile francuskich szpiegów przez wszystkie te lata przeszło na naszą stronę, skuszonych obietnicą pieniędzy i seksu. Ale ty, Visser, jesteś prawdziwym ideologiem. – Pokręciła głową. – A przecież taki z ciebie mądry człowiek. Smuci mnie, że tak pobłądziłeś.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie. Potrafię zrozumieć, czemu Nicolety Schoonraad tego świata odziedziczą podobną perspektywę: będą bowiem indoktrynowane od narodzin, że sankcjonowany dogmat o wyższości człowieka nad klakierem jest obowiązujący, i będą nadal krzewić myślenie, iż mechaniczni są jedynie narzędziami. Ale ty jesteś wtajemniczona. Przecież rozumiesz ich bardziej niż inni. Znasz niuanse. Jak możesz zaprzeczyć, że wysłanie kogoś na galerę czy inny statek na sto lat albo oddanie na niekończącą się służbę jakiejś bogatej rodzinie, gdzie nie można liczyć nawet na chwilę wytchnienia, albo ciągnięcie dorożki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, każdego dnia, nie mając pojęcia, czy koniec kiedykolwiek nadejdzie, nie zakrawa dla ciebie na najbardziej ohydłą odmianę niewolnictwa, o jakiej kiedykolwiek słyszano?

– Błędne przekonanie wynikające z twoich osobistych uprzedzeń ma niebagatelny wpływ na dobór używanych przez ciebie słów. Twój argument opiera się tylko i wyłącznie na nieustannym wymiennym zastępowaniu słowa „klakier” słowem „osoba”.

– Unikasz odpowiedzi na pytanie.

Tuinier, dopijając kawę, spojrzała na niego znad krawędzi filiżanki. Po odstawieniu naczynia sięgnęła po parę starannie złożonych rękawiczek leżących na rogu stołu. Wcześniej odłożyła na nie swoją bransoletę, która okazała się zegarkiem. Podniosła go i zaczęła nim wymachiwać.

– Powiedz mi. Czy to niewolnik?

– Naprawdę, tuinier? Będziemy stąpali do uklepanych na płask oczywistościach?

– Nie chciałam być szablonowa. Mówię poważnie – odparła. – Ale pasuje do wszystkiego, co powiedziałaś. Zegarek ten został skonstruowany, aby służyć ludziom, i jest to jego jedyny cel. Stworzono go w oparciu o te same mechaniczne pryncypia co każdego klakiera, również składa się z zębatek, wałków, sprężyn i przekładni. Chodzi bez przerwy dwadzieścia cztery godziny na dobę, każdego dnia i, być może, bez końca. Zapytam raz jeszcze: czy noszę niewolnika na nadgarstku?

– Przecież wykonujesz jawny unik. Podobieństwa są pozorne. Zegarek nie myśli. Nie jest świadomy.

– Nie? Jesteś tego pewien? A skąd wiesz, że ten maluch nie wykonuje wytrwale swojej pracy tylko dlatego, że skupia się na upływie kolejnych sekund i czeka na następne? – spytała, stukając paznokciem o szybkę koperty.

– Przecież to oburzające. Nie wierzę, że tak myślisz.

– Czemu miałabym tak nie myśleć? Albo inaczej, sformułuję to raz jeszcze. Jaką masz podstawę, aby wysnuwać wnioski, że klakierzy to istoty myślące?

– Klakierzy regularnie demonstrują samoświadomość i zdolność do refleksji – odparł – poprzez sposób wykonywania zadań, odpowiadania na pytania,

znajdywania optymalnej kolejności priorytetu i wypełniania narzuconych im geas. Czy twój czasomierz kiedykolwiek wydawał się rozważać swoją pracę?

Bell klasnęła językiem o podniebienie niczym rozczarowana podopiecznym nauczycielka.

– Brak dowodu – powiedziała – nie jest dowodem na brak. Zdajesz sobie z tego sprawę w tym samym stopniu co ja.

– Możemy z łatwością zgodzić się co do tego, że każdy klakier ma swoje pragnienia i marzenia i że potajemnie w głębi serca fantazjuje o wolności. Jest to proste, wystarczy tylko zaczepić jednego z nich na ulicy i zapytać – powiedział Visser. – Wyzywam cię, żebyś zgłębiła wewnętrzne życie twojego zegarka.

– Twoje argumenty są wynikiem pasji, nie logiki. Nie powiedziałaś ani słowa, które udowodniłoby słusność twojego stanowiska. Każdy klakier, którego bym zaczepiła, mógłby stwarzać pozory, że faktycznie posiada jakieś głębsze przemyślenia, ale nie możemy przecież znać prawdy o jego stanie, jak ty to nazywasz, ducha.

– A co ze straconym buntownikiem? Jak opiszesz jego zachowanie?

Bell wzruszyła ramionami.

– Usterka i tyle.

– Znam oficjalne stanowisko Gildii. Czy potrafisz jednak spojrzeć mi w oczy i przyznać, że faktycznie w to wierzysz? Z tego, co słyszałem...

– Zwyczajne plotki.

– ...buntownik wystarał się o swoją wolność. Uwierzę, że to usterka, kiedy nakręcisz swój zegarek, a ten powie ci, żebyś się wypchała, i zacznie chodzić do tyłu. Poza tym – kontynuował – gdyby chodziło o zwykłą awarię, czemu Tron i Gildia przetrząsałyby Centralne Prowincje, żeby złapać tego mechanicznego i wykonać na nim egzekucję?

– Dla bezpieczeństwa publicznego – odparła Bell, na co Visser prychnął. – Pomyśl o zwyczajnych przypadkach sprzed Het Wonderjaar. Za każdym razem, kiedy kamień młyński spadłby młynarzowi na stopę, powiedziałbyś, że posiadał wolną wolę i zranił właściciela w pędzie ku wolności? Czy to może raczej wada zawodnego mechanizmu?

– Kamienie i zegarki. Ciągłe posługujesz się analogią do rzeczy nieożywionych. To błędne przekonanie wynikające z osobistych uprzedzeń. Klakierzy są zupełnie inni. I choć tego nie przyznasz, jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę. Tak jak i cała Gildia.

Bell uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę.

– Nie jesteś głupi, Visser. Ale pytanie, co mogę wiedzieć lub w co mogę wierzyć, i przekonanie, że znajduje się to w opozycji do tego, co otwarcie głoszę, fachowo prowadzi nas do sedna podniesionego zagadnienia. – Uniosła palec. –

Skąd mam wiedzieć, że ty jesteś samoświadomy? I czemu zakładasz, że ja jestem?
– Uśmiechnęła się. – O ile tak zakładasz.

– Czyli cofamy się do Kartezjusza – odpowiedział.

– Zapewniam cię, że nie umyślnie. Nie kwestionuję twojej egzystencji, jedynie wiarę we własną Wolną Wolę. Skąd wiesz, że nie jesteś przypadkiem takim klakierem zrobionym z mięsa zamiast z metalu? Jakaś rozmięklą biologiczną maszyną, której struktura przystosowana jest do złożonego funkcjonowania i podejmowania decyzji o przyjętym kursie, ale która podąża ścieżką ustaloną przez naturę albo twórcę? Której każdy ruch pomiędzy narodzinami i ostatecznym losem został określony jeszcze przed pierwszym uderzeniem serca? Skąd wiesz, że twoje tak silnie umocnione wyobrażenie o Wolnej Woli nie jest niczym więcej jak okrutną iluzją?

Odpowiedź błyskawicznie znalazła się na ustach Vissera. Były to słowa, których nie odważył się wypowiedzieć od całych dekad, ale które nosił ukryte w sercu każdego dnia, odkąd tak bardzo dawno temu opuścił Quebec:

– Bóg stworzył człowieka jako istotę rozumną, dając mu godność osoby obdarzonej możliwością decydowania i panowaniem nad swoimi czynami^[V] – zacytował katechizm.

Bell pokręciła głową, tyleż rozbawiona, co zdegustowana.

– Ganisz mnie za odwoływanie się do oficjalnego stanowiska Gildii, a sam odwracasz kota ogonem i cytujesz mi tu swój papistowski katechizm! I które z nas jest ślepo zapatrzone w dogmaty?

Nabrała na palec odrobinę konfitury truskawkowej i oblizwała go.

– Po kontemplacji mądrości lepszych od siebie nie reaguję bezmyślnie, ale się na nich powołuję. Dostrzegam prawdę w słowach Tomasza z Akwinu, który pisał, że człowiek dysponuje Wolną Wolą, bo „gdyby jej nie miał, daremne byłyby rady, upomnienia, nakazy, zakazy, nagrody i kary”^[VI].

– A co jeśli wybory i działania, które opisałeś jako Wolną Wolę, były zdeterminowane przez jakieś niejasne zmienne, zbieżność czynników ukrytych przed twoimi zmysłami?

Tuinier również zapuściła się do filozoficznej krainy, tym razem Barucha Spinozy. Jej sugestie co do iluzorycznej natury Wolnej Woli mogły być żywcem wzięte z jego Etyki. Zresztą pojmana Aleida Geelens, podwójny agent w Gildii, żarliwie opowiadała Visserowi o Spinozie.

Visser naciągnął sobie szlafrok na ramiona i odstawił przedstawienie, wiążąc pasek, jakby chciał ukryć dreszcze przebiegające mu po kręgosłupie i stawiające włoski na karku dęba. Działo się coś niebezpiecznego i dwuznacznego. Co motywowało ludzi z zamkniętego kręgu Gildii, aby tak fascynować się Spinozą?

Pytanie Bell rzucało nowe, niepokojące światło na rozpaczliwą przemowę Aleidy Geelens. Czując podgryzający go po czasie żal, zaczął się zastanawiać, co zignorował, rozmawiając z agentką, a o co powinien był jeszcze zapytać.

Tuinier przekrzywiła głowę i patrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Wiem, że mam Wolną Wolę, bo Pan mi tak powiedział – odparł wreszcie. – Ewangelia według świętego Łukasza, rozdział trzynasty, werset trzydziesty czwarty: „Ile razy chciałem zgromadzić twoje dzieci, jak ptak swoje pisklęta pod skrzydła, a nie chcieliście”^[VII]!

Na Bell nie zrobiło to wrażenia, wzruszyła jedynie ramionami.

– Nawet taki czart jak ja potrafi zacytować Pismo, ojcze. List do Efezjan, rozdział pierwszy, werset czwarty: „W Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata”. A skoro już przy tym jesteśmy, rozważ też ten sam list, rozdział drugi, werset ósmy: „Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga”.

Visser pokręcił głową.

– Czy może być coś bardziej przygnębiającego od życia pod nihilistycznym kirem kalwinizmu?

– Skąd mam wiedzieć, ojcze?

Były to dziwne słowa, szczególnie że wypowiedziane zostały zaraz po powołaniu się na Doktrynę Łaski, niemal z nią sprzeczne. Ale zanim zdołał się nad tym zastanowić, Bell dodała:

– Jedyne, co wiem, to to, że moja porażka w udowodnieniu ci, iż mój zegarek jest bytem myślącym, nie różni się od poniesionej przez ciebie klęski, aby obiektywnie ustalić obecność rozumu w sobie. Lub we mnie.

Visser zaprzeczył:

– Kiedy konstruujesz klakiera tak, jak Bóg stworzył Adama, nadajesz mu formę będącą odbiciem twojej własnej, podobnie jak w przypadku Boga i Adama, a kiedy go nakręcasz, tym samym powołując do życia, imitując boskie tchnienie, którym Pan nadał Adamowi duszę, co determinuje jego czyny? Co go napędza? Nie sprężyny i trybiki będące niczym innym jak biciem serca u człowieka, które pozwala mu przebyć kolejne dni. Nie. Motywacją klakiera jest przymus, nierozzerwalna więź obowiązku.

– Aha. Ale kiedy nakręcam zegarek – zrobiła to na jego oczach, wyciągając koronkę i delikatnie ją przekręcając, przez co urządzenie wydało z siebie delikatne metaliczne zgrzytnięcie, kiedy tulejka otarła się o niewielką zapadkę – kto powiedział, że nie narzucam mu geas? Czy nie obarczam go kategorycznym poleceniem, aby odmierzał upływ czasu z precyzyjną regularnością?

– Posługując się podobnym rozumowaniem, mogłabyś się równie dobrze upierać, że kiedy nalewam mleko z tej karafki, obarczam je poleceniem

wypełnienia mojej szklanki.

– Ostrożnie, ojczy, bo udowodnisz moje racje za mnie. Twój niedorzeczny przykład teoretycznie opisuje nakładanie geas, ale nierozróżnialnego od prawa natury, które zwiemy grawitacją. A może bardziej wysublimowane geas mechanicznych i pilący obowiązek maszyn, które je wykonują to tylko manifestacja niezależnego prawa natury? Boskiego prawa?

– Jak pisał Tomasz z Akwinu, „należy zauważyć, że niektóre byty działają bez uprzedniego sądu; w ten to sposób kamień porusza się przy spadaniu; tak też jest z wszystkimi jestestwami nie mającymi poznania”^[VIII]. Zegarki i kamienie młyńskie, w odróżnieniu od klakierów, nigdy nie demonstrowały świadomości odnośnie do swojego zadania i funkcji. Nigdy nie wymagały wyjaśnienia, nie szukały lepszego sposobu na wypełnienie nałożonych na nich zadań.

Bell rzuciła mu zawadiacki uśmiezek.

– Nakręcaczę też nie. Ich wykluczasz ze swojej krainy współczucia?

Niech szlag ją trafi. Jej umysł był gibki i nieuchwytny, jego porzewiały i niewyćwiczony.

– Twoje argumenty – powiedział Visser, cytując alumna o szarej brodzie, który prowadził jego i towarzyszy z nowicjatu przez zdradliwe wody kontynentalnej filozofii – są śliskie i służą równie dobrze mnie, jak i tobie. Próbujesz umniejszyć zdolność klakierów do samodzielnego myślenia poprzez porównanie ich do przedmiotów trywialnych i uważasz, że osąd ten sam się obroni, bo nie odparowuję żadnym żelaznym kontrargumentem. Pozwól mi jednak coś powiedzieć: ja klakierów wynoszę, porównując ich do ludzi. Wyzywam cię, tuinier, abyś dowiodła fałszu w tej ekwiwalencji. Bo czymże szczególnym mechaniczni różnią się od nas? Skoro jawnie wykazują wszystkie te cechy, o których my, ludzie, myślimy, że czynią nas prawowitymi spadkobiercami Ziemi, jak Bóg przykazał, czemu mamy ich za istoty gorsze od siebie? Jakież to braki sprawiają, że znalazłaś dowód na ich bezduszość?

– Ach, nareszcie dotarliśmy do sedna. Twój Weltanschauung^[IX] opiera się na niezachwianym przekonaniu, że klakierzy mają nieśmiertelne dusze, a dusza jest darem, poprzez który Bóg dał nam Wolną Wolę, i dlatego my, tworzący Gildię, ukradliśmy lub zbezczeszciliśmy owe dusze i odarliśmy je z wolności. – Bell pokręciła głową. – Ale czytałam twoją katolicką Biblię. Nie ma tam ani słowa o mechanicznych ludziach. Dusze są domeną kobiety i mężczyzny. Dano nam władzę nad innymi istotami ziemskimi. Klakierzy należą do nich tak samo jak my. Bóg ulepił nas z gliny, a my wytopiliśmy mechanicznych z rud metali.

– Intencjonalnie upraszczasz. Jesteśmy czymś więcej niż gliną, dotknął nas Duch Święty. A klakierzy to nie tylko skomplikowane twory z metalu, inaczej

Gildia prócz zegarmistrzów nie gościłaby w swoich progach alchemików i ludzi uprawiających mroczną magię.

Bell nie dała za wygraną i naciskała dalej, przeformułując swoje pytanie.

– Skąd wiesz, że ludzie nie są klakierami z mięsa zamiast metalu? Skąd wiesz, że w ogóle mamy duszę? Jeśli byśmy cię rozkroili i pogrzebali w środku, znaleźlibyśmy ją? Czy może raczej wyciekłaby z ciebie, gdybyśmy powiercili zbyt głęboko?

– Twoje pytania ignorują możliwość, że dusza jest czymś odrębnym od naszej formy materialnej, że istnieje dualizm pomiędzy umysłem a ciałem. Dlatego też nigdy nie odnajdziesz namacalnego dowodu na istnienie duszy, choćbyś grzebała bardzo głęboko, bez względu na prawdę o niej.

– Co jest wobec tego fundamentem twojej wiary w duszę? – zapytała Bell.

– Za pewnik przyjmuję istnienie swojej nieśmiertelnej duszy, gdyż potrafię zawierzyć, zaakceptować i poczuć łaskę bożą. Bez duszy byłbym obojętny na obecność Pana w moim życiu. Fizyczna natura duszy, jeśli w ogóle takowa istnieje, nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

– Innymi słowy – powiedziała z przekąsem Bell – kieruje tobą ślepa wiara. Lecz horolodzy i alchemicy nie parają się nienamacalnym. To, co robimy, ma podstawę empiryczną i jest powtarzalne. Zdradzę ci mały sekret, ojcze: masz rację, że my, ludzie, nie różnimy się znacząco od tego, co tworzymy. Ale nie w sposób, o którym tutaj rozprawiasz. To nie tak, że klakierzy są istotami obdarowanymi duszą. Rzecz w tym, że my, tak jak i oni, jesteśmy jej pozbawieni. Smutna prawda, ojcze, brzmi tak, że nie istnieje nic takiego jak dusza czy Wolna Wola. Mrzonki, nic więcej.

Tego się nie spodziewał, choć jej słowa nie wywarły na nim efektu, jakiego zapewne oczekiwała. Jedyna i niepowtarzalna tuinier Bell, cesarzowa wzbudzających lęk nakręcaczy, przyjęła rolę wypluwającej z siebie kłamstwa uczennicy złapanej z palcem włożonym w śliwkowy placek? Był zaznajomiony z kalwinistycznym odrzuceniem idei Wolnej Woli. Ale negacja konceptu istnienia nieśmiertelnej duszy nie mieściła mu się w głowie.

– Tuinier – zaśmiał się – twoje uniki są z każdą rundą coraz bardziej rozpaczliwe.

Przyjęła jego szyderstwo z zimną krwią. Gdyby nie lekkie drzenie jednej z cieniutkich brwi, nie znać by było po niej żadnej reakcji na te słowa. Chłód tej kobiety przypomniał Visserowi, gdzie się znajduje i że w jej rękach spoczywa jego los. Los znanego papieskiego szpiega.

– Proszę mi powiedzieć, co cię tak śmieszy. Zanotuję i wykorzystam następnym razem w sądzie.

– Dusza nie istnieje, tak? I mam uwierzyć, że to wielki i przerażający sekret

strzeżony tak żarliwie przez czcigodną Świętą Gildię Horologów i Alchemików?

I choć nadal utrzymywała pozę życzliwości, napięte mięśnie jej żuchwy zdradziły narastającą w niej irytację.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ojcze, że wielce męczący jest dla mnie sam koncept, iż tajemnice z natury rzeczy są cokolwiek nikczemne? Najwyraźniej nigdy nie dotarło do ciebie, że nie ujawniamy podobnych rzeczy opinii publicznej z uwagi na jej bezpieczeństwo. Tak jak usterki mechanicznych stanowią śmiertelne zagrożenie dla społeczeństwa, tak równie niebezpieczna jest wiedza nieutemperowana mądrością. Czy masz pojęcie, jakie niebezpieczeństwa wpisane są w to, czym się zajmujemy? Bo ja tak. Moim pierwszym zadaniem, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po osiągnięciu pełnoletności i przyjęciu w poczet Gildii, było zrobienie porządku w laboratorium, bo jakiś nierozważny głupiec schrzanił rutynową procedurę. Swoje dziewiętnaste urodziny spędziłam, zeskrobując z sufitu kawałki czyjegoś mózgu. A mówimy o wyszkolonym profesjonalście. I spróbujmy sobie teraz wyobrazić, jak skończyłby każdy kretyń, który złapałby za śrubokręt i horoskopy, po czym posługując się nadmuchanym przeświadczeniem o swoim geniuszu, uznałby, że sam również da radę dokonać podobnych rzeczy.

– Dobro społeczeństwa wydaje się pochłaniać cię bez reszty, tuinier. Czy powinienem domniemywać, że moje zatrzymanie jest właśnie wynikiem owych obaw?

Teraz to Bell się zaśmiała. Nie był to jednak złowieszczy rechot kata z krwią zaschniętą pod paznokciami, ale chichot damy podczas letniej przejażdżki bryczką. Zatrząsnął nim kolejny dreszcz, na tyle mocny, że aż się przygarbił.

– Nie bądź śmieszny – odparła. – Znalazłeś się tutaj, ponieważ jesteś papistą i szpiegiem winnym spiskowania przeciwko Imperium. Nie możemy ci tego darować. A ja osobiście nie przepuściłabym podobnej okazji.

Visserowi rozlał się w żołądku chłodny strach. Cokolwiek miała jednak na myśli, dorzucając tę ostatnią uwagę, nie pisnęła na ten temat ani słowa. Odsunęła krzesło i po ostatnim łyku resztek z pewnością już wystygłej kawy wstała. Visser również chciał się podźwignąć, ale gestem nakazała mu siedzieć.

– Zjedz, ile chcesz – powiedziała. – Nie musisz rezygnować ze śniadania ze względu na mnie.

Zaczęła zbierać się do wyjścia, co na nowo uświadomiło mu, że całe to cywilizowane interludium było tymczasowe. Tak jak zdarzało się to już w obecności Bell, znowu stracił rezon:

– Co macie zamiar mi zrobić?

Zapinając bransoletę zegarka na nadgarstku, odpowiedziała:

– Była to istotnie pouczająca rozmowa. Dziękuję.

Zabrała rękawiczki, poprawiła kapelusz i naszyjnik, po czym otworzyła drzwi.

– Możesz być pewien, że niedługo się spotkamy.

ROZDZIAŁ 11

Echo alarmu rozlało się po mieście z prędkością dźwięku, przekazywane z ust do ust szybciej, niż mógłby to zrobić nawet najsprawniejszy klakier.

Nawet biegnąc sprintem, Jax nie miał szans wyprzedzić umęczonego jęku dobywającego się z wydętych ust Vyka. Ludzie znajdujący się w pobliżu jego towarzysza stali zgięci w pół, zakrywając uszy dłońmi. Ostatnim, co zobaczył Jax, zanim dał nura w chaszczę rosnące przy ulicy, była klęcząca na trawniku Nicolet; po jej włożonych w uszy palcach ciekły strużki krwi. Clip również natychmiast wydał z siebie podobny dźwięk co Vyk i wskazał Jaxa palcem. Toksyczny dźwięk okrył całą okolicę całunem hałasu. Za każdym razem, kiedy alarm docierał do kolejnego mechanicznego, ten również aktywował syrenę, a co za tym idzie, najsroźsze z hierarchicznych metageas, i czuł się zobowiązany przyłączyć do świdrującego chóru.

Jax wyskoczył, składając się w aerodynamiczną kulę armatnią, aby pokonać jak największą odległość. Gdy wylądował na alejce biegnącej przez park przylegający do posiadłości jego niedawnych państwa, potrzaskał płyty chodnikowe i od razu wybił się raz jeszcze, tuż obok ekipy budowniczych. Dwóch jemu podobnych od razu odrzuciło niesione cegły i również podłączyło się pod alarm, a drzenie wywołane ich wyciem zatrzęsło oknami, szyby na całej długości ciasnej uliczki pękły i rozsypały się w drobny mak. Odłamki szkła opadły na Jaxa.

Jego przeciwnicy z Gildii byli nad wyraz przebiegli. Mieli setki lat, żeby opracować odpowiednio efektywną siatkę zabezpieczeń. Przerażali go.

Prędkość i hałaśliwość alarmu, który obejmował coraz pokaźniejszą rzeszę mechanicznych – już nie tylko z dzielnicy, ale i całego miasta – wykraczały poza jego najgorsze obawy i wypełniały trwogą. Mógł się skulić na dnie parkowego stawu – nie musiał przecież oddychać i jeśli byłoby to konieczne, siedziałby tam miesiącami – ale Vyk i Clip widzieli, w którą stronę umykał, i obracali się dynamicznie jak wiatrowskazy, pokazując palcami w jego kierunku, póki nie zniknął im z oczu. Tak samo postąpili nieznani mu klakierzy pracujący przy budowie – ich wyciągnięte ramiona śledziły go niczym żelazne pilniki przyciągane magnesem, którym najwyraźniej stał się nie kto inny jak zbuntowany łajdak imieniem Jalyksegethistrovantus.

„Czemu mnie nie łapią? – zastanawiał się, biegnąc. – Przecież nie dałbym rady odeprzeć ataku paru moich pobratymców. Och... Pewnie chcą się upewnić, że alarm słyszano w każdym zakątku miasta, i wywołać skrajne przerażenie.

Ostrzeżenie mieszkańców o hasającym między nimi zbuntowanym klakierze jest celem nadrzędnym. Nie mogą jednak brzęczeć tak w nieskończoność. Jak długo jeszcze będą wyły syreny?”. Efektywny paraliż każdego mechanicznego w pobliżu to zaledwie pierwsza faza uaktywnienia metageas, które mogły unieruchomić praktycznie całe miasto zależne od klakierów. Tutaj problem ten nie miał aż tak dużej skali, ponieważ recesja ekonomiczna chociaż w pewnym stopniu uniezależniła Nowy Amsterdam od pracy maszyn. Mimo to przedłużający się hałas zwiększał ryzyko uszkodzenia wystawionego na jego działanie słuchu ludzkiego. Jax pomyślał, że pewnie przez następnych kilka dni wszyscy będą musieli mówić podniesionymi głosami. Ciekawe, czy dożyje chwili, w której będzie mógł się o tym przekonać.

Kiedy jednak pozostali klakierzy powrócą do wyznaczonych im zadań – stale wyczuleni na obecność buntownika między nimi, gotowi go powalić, kiedy tylko się pojawi – dadzą mu tym samym chwilę wytchnienia. Bo choć pobratymcy od razu go przejrzą lub rozpoznają poprzez najdrobniejsze nawet odstępstwo od schematu wykonywania obowiązku, nieświadomość jego byłych państwa w temacie tego, co zaszło, daje mu szansę – gdy już opadnie kurz – udawania lojalnego sługi.

Jax zgniótł miedzianą rynnę, wdrapując się na dach jednej ze stojących w rzędzie kamienic. Stąpał tak mocno i zdecydowanie, że zniszczył wodoodporną powłokę, pokrywającą mury domów, po których biegł. Każdy jego krok szarpał papę i kruszył żwir. Raz za razem jego zakończone szponami stopy przebijały się prosto do czyjegoś poddasza albo korytarza umożliwiającego dostęp do węzłów sanitarnych. Nie było to ani ciche, ani subtelne. I nawet jeśli go nie usłyszą przez cały ten chaos i zamieszanie, z pewnością mieszkający niżej ludzie zauważą, że Jax przebiegł im nad głowami.

Dotarłszy do krawędzi rzędu kamienic, skoczył na maszt flagowy sterczący ponad pełną zieleni ulicą. Zamierzał użyć go niczym tyczki i wybić się jak na trampolinie, tak by wystrzelić nad gzymsem wyższego budynku po drugiej stronie ulicy, ale śruby puściły i pod jego ciężarem ukruszyła się część fasady. Jax runął. Uderzył o chodnik, odłupał kawał drewna od stojącej przy krawężniku dostawczej furmanki i przestraszył konia już i tak zaniepokojonego alarmem. Maszt spadł na ulicę niczym oszczep. Odbił się i obrócił na takiej wysokości, żeby mógłby spokojnie powybijać okna na drugim piętrze. Na Jaxa i powożącego furmanką opadł rozpostarty kawał pomarańczowej tkaniny flagowej, która prędko przemieniła się w marchewkowe konfetti, gdyż Jax czym prędzej ją porozdzierał, żeby się nie zaplątać. Mężczyzna na koźle zbladł.

Odsunął się od Jaxa i trudno było się takowej reakcji dziwić. Dorastał, słuchając opowieści o zbuntowanych potworach, które do tej pory były dla niego

jedynie legendami, koszmarami zrodzonymi na biwakach przy ognisku. A teraz jeden z nich zniszczył jego wóz i usiadł obok.

– Proszę – rzekł Jax. – Nie zrobię ci krzywdy.

Na te słowa mężczyzna odrzucił lejce i nie bacząc na spanikowane konie, zeskoczył na ziemię, salwując się ucieczką. Może i cała ta sytuacja wydałaby się Jaxowi komiczna, gdyby nie musiał ratować swojej skóry. Ale dzięki temu przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Zdał sobie sprawę, że ma pewną przewagę, ponieważ uniezależnienie od geas oznaczało, iż może robić rzeczy, których inni klakierzy nie mogli. Pewnie mógłby się pokusić o coś, o czym tamci nawet nie daliby rady pomyśleć, a co dopiero wykonać. Nabrał nieco otuchy, choć było to i tak marne pocieszenie. Szanse wcielenia owego pomysłu w czyn nadal wydawały mu się nierealne.

Jax wbił palce dłoni i stóp w granitową fasadę okolicznego budynku. Po paru sekundach dotarł na dach. Tam przykucnął w cieniu wysokiego gzymsu, dumając i nasłuchując.

Minęły zaledwie minuty od chwili, kiedy Vyk go nakrył. Alarm zdążył już ogarnąć całe miasto, lecz bliżej oceanu stawał się mniej intensywny. Wynikało to z faktu, że gęstość tamtejszej zabudowy była rzadsza, a co za tym idzie, miał tam znacznie mniejsze szanse na natknięcie się na klakiera. Powoli hałas stawał się jedynie powolnym łomotaniem, uderzającymi o siebie falami dochodzącymi z odległych części Nowego Amsterdamu o różnych częstotliwościach wynikających z rozpraszania się, zakłóceń atmosferycznych i odbijania się dźwięku. Nieprzystające do siebie tony wyzwalały długie, powolne falowania, odmierzające rytm, z jakim spanikowany chór potępiał szkodliwe paskudztwo. Było to złowieszcze pohukiwanie cywilizowanego świata.

Jax musiał znaleźć człowieka od Vissera, lecz nie znał miasta.

A nawet gdyby wiedział, dokąd iść, nie mógłby przecież ot tak pobiec. Złapałoby go i jeśli jego przypuszczenia (czy raczej nadzieja głupiego?) były słuszne, tylko doprowadziłyby pogoń prosto do francuskiego agenta, prawdopodobnie jedyne go człowieka w Nowym Amsterdamie, który mógłby przyjść mu z pomocą.

Pomysł ukrycia się na dnie stawu doprowadził go do jeszcze innego rozwiązania. A gdyby tak zanurkował do oceanu i pozwolił słonej wodzie zamknąć się nad jego głową? Czy może raczej powinien przeczekać na kontynentalnym szelfie? Zanurzy się głębiej, niż sięgają najdłuższe rybackie sieci i tam będzie mógł zaczekać w uśpieniu, aż jego tykające serce odmierzy miesiąc, pół roku albo i cały rok. Potem, kiedy już ożywione poszukiwania straciłyby na intensywności, z powrotem wyszedłby na ląd. Nawet jeśli go nie złapali, z pewnością ogłosiliby jego aresztowanie, bo inaczej ktoś mógłby pomyśleć, że buntownik ma szansę

uciec.

A to przecież nigdy się nie zdarzało.

Jax wyobraził sobie, jak zatapia się w aluwialnym mule i odkrywa, że oceaniczne dno zasłane jest tysiącami mechanicznych pokrytych pąklami i zaplątanych w wodorosty. Czy naprawdę był pierwszym Klakierem, któremu przyszedł do głowy ten pomysł? Trudno powiedzieć. Każdy słyszał opowieść o czterech maszynach, które wygramoliły się z morza siedemnaście lat po zatonięciu ich statku w bitwie morskiej, kiedy w 1703 roku poszły na dno z resztkami portugalskiej armady. Mówiono, że dotarłyby do domu szybciej, gdyby nie złoto, które miały eskortować – złoto, które niemal dwie dekady wcześniej wypłynęło z Niderlandów do Nowego Świata. Nie brakowało mechanicznych wierzących w tę opowieść jak w ewangelię. Ale tak po prawdzie nie była ona wyjątkowo niewiarygodna, choć można się zastanawiać nad tym, czy tak długie zanurzenie w słonej wodzie nie uszkodziłoby stopu, z jakiego ich wykonano.

Lecz Jax nie musiał kryć się w oceanie. Jeśli naprawdę by się postarał, mógłby dopłynąć do Północnej Rzeki i spróbować pójść po dnie z Nowego Amsterdamu przez jeziora i kanały do Drogi Wodnej Świętego Wawrzyńca. Mimo to od czasu do czasu musiałby się wynurzyć. I wtedy od razu by się ujawnił, a zaskoczone ryby łypałyby spomiędzy jego szkieletu. Nie było to wcale lepsze niż spacer lądem. A jeśli miałyby się na takie rozwiązanie zdecydować, równie dobrze mógłby poszukać prawdopodobnie nieistniejących, mitycznych ondergrondse grachten. Gdyby się jednak okazało, że to nie bujda, z pewnością biegłyby aż do Nowego Amsterdamu.

Oznaczało to, że musi znaleźć bezpieczną przystań. Jakieś miejsce, gdzie klakierzy nie bywają zbyt często, aby mógł wtopić się w tłum, i gdzie ludzie nie kwestionowaliby przyczyny jego obecności. Albo lepiej... gdyby mógł być jedynym obecnym tam klakierem. Przypomniawszy sobie o samotnym mechanicznym... Dwyre. I zrozumiał, gdzie znajdzie schronienie.

Istniała grupa ludzi, którzy mogliby go przygarnąć, zanim nie znajdzie znajomego pastora. Lecz nie tak od razu. Gdy tylko się pojawi, będą chcieli go wydać. Ale może, jeśli będzie gadał dostatecznie prędko, uda mu się ich przekonać, żeby pozwolili mu zostać.

Pogrzebał palcem pomiędzy elementami swojego szkieletu. Opuszką dotknął dziwnego koralika nadal tkwiącego tam, gdzie go schował. Niecodzienne uczucie, ale go uspokajało.

Kakofonia osiągnęła crescendo. Spanikowany chór, złowieszczy pomruk, od którego drżały okienne szyby w całym mieście, przyprawiał o zgrzytanie szczęk i przebijał bębniaki uszne każdego człowieka znajdującego się w promieniu paru ładnych kilometrów. Alarm wlewał do ludzkich serc lęk przed śmiertelnie

niebezpieczną dezorganizacją wszechświata.

I nagle zapadła cisza. Jakby po osiągnięciu harmonicznej konwergencji, która zwiastowała miastu los Jerycha rozpadającego się pod dźwiękami trąb Jozuego, metageas po prostu zniknęły. Cóż, z pewnością nie zupełnie – jedynie ta ich część, której początek dał Vyk. Każdy człowiek i klakier jak nic zdawali sobie sprawę z istniejącego zagrożenia. Niknące echa alarmu rozproszyły się na tyle, że nawet Jax nie mógł już ich wyłapać.

Cisza, która nastąpiła po wygaśnięciu alarmu, była tak głęboka, że również wydawała się rozlewać echem. Regularne klikanie i grzechot ciała Jaxa dudniły w bezdennej studni. Dotarło do niego, że nie doceniał dźwiękowej tekstury miasta, a teraz drgał na każde stuknięcie końskich kopyt, zgrzyt każdego koła podskakującego na bruku, krzyki gazeciarzy – „zbiegły mechaniczny terroryzuje miasto”, darł się jeden z nich, niepotrzebnie, choć jak na obrotnego sprzedawcę przystało – a nawet intymnie znajome klekotanie klakierskiego mechanizmu.

Statek powietrzny, który Jax widział z balkonu madame Schoonraad na pokładzie Księcia Orańskiego, oderwał się od masztu dokującego. Napuchnięty i powolny, poleciał na południe zamiast nad ocean. Dziwne, bo powinien był rzucać na miasto cień. Gdy panował pokój, okręty te były wykorzystywane głównie jako środki transportu transoceanicznego, choć czasem służyły również za tymczasowe dźwigi, kiedy trzeba było się uporać ze szczególnie ciężkim lub nieporęcznym ładunkiem. Statek zboczył na południowy wschód, aż nad morze, ale znowu zawrócił nad miasto, jakby chciał przeciąć Nowy Amsterdam wzdłuż i wszerz. Czas upływał Jaxowi na obserwacji latającego okrętu. Ociężale kreślił zygzaki ponad miastem, przez co skojarzył mu się z waleniem krążącym w poszukiwaniu pożywienia. Podczas wojny statki powietrzne były bardziej użyteczne, chociażby do rekonesansu. Ten, na który się teraz gapił, nie był jednak waleniem, lecz rekinem. Podążał za zapachem krwi unoszącej się na wodzie, czy też raczej zbiegłym mechanicznym, który ukrywał się gdzieś w mieście. I z każdym zygzakiem był coraz bliżej. Płynął pod prąd, zmagając się z wiatrem, kołysząc się i sunąc ku epicentrum alarmu.

Ileż to oczu z kamieni jubilerskich łąpało z punktów obserwacyjnych rozmieszczonych na platformie, przeszukując uliczkę za uliczką, wypatrując jakiegoś śladu po Jaxie. Ramki szkiełek zegarka szumiały, kiedy klakierzy ustawiali ostrość, wypatrując połamanych dachówek, na których lądował Jax, wgniecen na twardym betonie, połamanych masztów flagowych, potrzaskanych gzymsów i uciekających z przestrachem ludzi. Do tej pory, uciekając, nie wykazał się przesadną subtelnością, ale jeśli pozostanie dłużej na tym dachu, pochwyca go tak czy inaczej.

Hałas mechanicznych stóp był coraz głośniejszy. Dochodził od ulicy, na której

wylądował, oraz z alejki za budynkiem. Jax przekrzywił głowę. Krokirozproszyły się i nabrały charakterystycznego łomotu, z jakim grupa ludzi biegła w stronę budynku, na którym siedział. Oddział poruszał się, jak zawsze, z zegarmistrzowską precyzją. Jax przykucnął i delikatnie wychylił się za gzyms. Furmanka nadal leżała na ulicy, przypominając stertę drewna opałowego. Ktoś zdążył odpiąć konie. Na rogu stał powożący, gestykulując i wskazując w stronę rozbitego wozu i fasady, po której pośpiesznie umknął klakier. Gapie wyglądali z drzwi i kulili się za żywopłotami, schodząc z drogi trzem mechanicznym: dwóm służącym i górującemu nad nimi żołnierzowi. Przebiegli obok poszkodowanego tak szybko, że podmuch aż mu zmierzwił grzywę. Jeden ze służących miał ze sobą dziwacznie wyglądającą broń: dwulufową, której wyloty były szersze niż jakiegokolwiek inne znane Jaxowi i do której podłączono wąż, biegnący do założonego na plecy klakiera baniaka. Nietrudno było odgadnąć, co zawierał pojemnik. Jax pamiętał, czym potraktowano zbuntowanego mechanicznego i jak Królewscy Gwardziści zakleili jego usta żywicą. Żołnierz nie miał przy sobie żadnej broni, bo i nie musiał. Sam był bronią.

Jax rzucił się biegiem przez dach, aby zerknąć w wąską alejkę. Zachodzący go od tej strony oddział składał się praktycznie z samych służących, niewątpliwie mających za zadanie asystować maszerującemu pośród nich żołnierzowi i wykonujących polecenia wydawane przez skomplikowane metageas trybu kryzysowego. Metal lśnił na tle ulicznych cieni. Rozległ się delikatny chrobot i żołnierz wyskoczył na wysokość dwóch pięter, na boczną ścianę budynku. Cegły pokruszyły się pod jego naciskiem z takim dźwiękiem, jakby sama Ziemia zacisnęła palce. Zamarł na ułamek sekundy, po czym wykonał kolejny skok. Przesadził alejkę i wylądował jeszcze wyżej. Od strony głównej ulicy dobiegła uszu Jaxa podobna błyskawiczna sekwencja chrobotów.

Wybił się w powietrze tuż przed tym, jak żołnierze zalali jego kryjówkę. Uzbrojony służący uniósł broń. Jax się obrócił. Trzy grudy pomknęły ze świstem po torze jego lotu. Dwie pierwsze zaledwie musnęły jego kolano i twarz, trzecia jednak, od której odchodziły lepkie serpentyny, przyklajstrowała się do jego przedramienia. Chwilę później usłyszał pykanie skompresowanego powietrza – tysiące niewielkich pocisków rozbiły się na jego ciele jak krople deszczu o szybę. Żwir przelatywał przez jego szkielet.

Jax zrobił salto. Wyciągnął ramiona najdalej, jak mógł, i niczym oszczep, rozbijając cegły, wyrzucił się na kolejny dach. Kawały zniszczonego komina spadły na ziemię, czemu towarzyszyły, ku zgrozie Jaxa, krzyki. Był już jednak w powietrzu, przesadzał susem kolejne kamienice, kierując się ku kościelnej dzwonnicy.

Słońce na moment wyjrzało zza zasłony chmur, przeświecając pomiędzy

listwami dzwonnicy. Wtedy zauważył błysk wypolerowanego metalu. I nie było to mdłe lśnienie mosiężnego dzwonu...

„Oj, ustawili strzelców w najwyższych punktach”.

Zwinął się w kulę, by stać się jak najmniejszym możliwym celem, ale rozprysk był szeroki i garść żwiru musnęła czubek jego głowy. Tylko człowiek mógł tak chybić.

Jax gruchnął w wieżę niczym pięść obita mosiądzem. Przy uderzeniu rozbił ceglana fasadę, aż jęknął pręt zbrojeniowy. Dzwony się rozkołysały. Strzelec nad jego głową burknął coś niezrozumiale, po czym rozległ się łomot czegoś ciężkiego zwalającego się na drewniane deski. Jax napiął przedramiona, nadgarstki i kostki. Dźwignął się do góry i prześlizgnął wzdłuż uszkodzonej dzwonnicy (kolejny widoczny ślad, jaki po sobie pozostawił; nie mógł się tutaj ukryć). Chwycił się wieży, aby mieć punkt podparcia, podciągnął się mocno i przebił listwy. Na podłodze, tuż pod łomoczącym ogromnym dzwonem, leżała kobieta skulona w pozycji embrionalnej, zakrywając uszy dłońmi. Obok niej spoczywał pistolet na maź, nadal podłączony do baniaka na jej plecach.

Jax nie podejrzewał, że miasto aż tak szybko zmobilizuje się przeciwko niemu. A z pewnością nie wyobrażał sobie, że istnieje tutaj cała infrastruktura obrony cywilnej. Ale przecież nie mogło być inaczej, wszak klakierzy obarczeni zostali ciężarem obowiązków do wypełnienia, narzuconych przez czynniki alchemiczne. Ludzie również mieli swoje zadania do wykonania, lecz mówili, że taka jest ich kultura i tego wymaga życie w społeczeństwie. Jax chwycił dzwon. Bicie ustało. Biedna kobieta i tak była już pewnie przygłucha przez ten okropny szwargot, kiedy każdy klakier w mieście dołożył swoje trzy grosze, by przekazać informację o występku Jaxa.

Kobieta mogła mieć najwyżej dwadzieścia kilka lat. Tak delikatnie, jak tylko mógł, odpiął pasy, żeby zdjąć tkwiący na jej plecach baniak. Ale nie była całkiem nieprzytomna – a może zbudził ją dotyk chłodnego metalu. Skrzywiła się i odwróciła głowę. Gdy zobaczyła przykucniętego nad nią klakiera, w jej oczach pojawiło się przerażenie.

– Kurwa! – wykrzyknęła, próbując uciec do tyłu niczym krab, przez pajęczyny i gołębie odchody, aby tylko oddalić się od Jaxa. Lufa pistoletu, nadal przypięta do gumowej rurki, podskakiwała chaotycznie, znacząc w kurzu ścieżkę. – OjczenaszktoóryśjestwniebieświećsięimięTwoje...

Umykała, aż baniak na jej plecak gruchnął o ścianę, lecz nawet wtedy szorowała stopami o podłogę, jakby chciała się precyzyjnie przemieścić dalej. Nie odrywała wzroku od klakiera, bała się nawet mrugnąć. Jej dłonie szukały broni. Nareszcie złapała za rurkę i przyciągnęła do siebie pistolet. Jax przekrzywił głowę. Drżenie jej rąk przeszło w nerwowe telepanie.

– ...odpuść nam szewiny jako imy odpuszczamy naszym winowajcom...

Zwinęła rurkę i udało jej się zacisnąć palce na lufie. Jax nadal stał bez ruchu. Kiedy jednak palce kobiety nareszcie natrafiły na kabłąk, ruszył naprzód i delikatnie odsunął lufę na bok. Cokolwiek wystrzeli z tej broni, przeleci nad jego ramieniem.

– ...ojczyźnie jest w niebie okurwa okurwa okurwa okurwa okurwa...

Jeszcze nigdy w ciągu stu osiemnastu lat swojego istnienia nie widział nikogo tak skrajnie przerażonego, a przynajmniej nie z tak bliska. Dyskomfort tej kobiety przypominał mu dreszcz, którego doświadczył tłum zebrany na placu Huygensa w dniu egzekucji Adama, lecz emanujący od niej strach był czysty, nagły. Gapię na Binnenhofie panowali nad swoim podnieceniem. Nie bez wpływu na ten stan rzeczy pozostawała z pewnością obecność kilkudziesięciu odpowiednio służalczych mechanicznych. Ona była jednak sama na sam ze zbiegiem. I jak każde dziecko Imperium, całym sercem wierzyła, że buntownicy są śmiertelnie niebezpiecznymi anomaliami, przypadkowymi mordercami i perwersyjnymi katami uczciwych obywateli.

Z dołu dobiegał synchronizowany grzechot mechanicznych stóp. Jax zdążył już zniecierpliwić ten dźwięk. Zaryzykował szybki rzut okiem na drabinę prowadzącą z dzwonnicy na szczyt spiralnej klatki schodowej. Cienie wieży rozjaśnił blask metalu.

– Potrzebuję twojej broni – powiedział.

Kobieta spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Boże, proszę, proszę, proszę – powiedział.

Może faktycznie ogłuchła. Pokazał dłonią na pasy baniaka i gumową rurkę.

– Proszę – dodał ku jej zdziwieniu; zamknęła usta ze słyszalnym młaskaniem.

– Śpieszę się.

Wyślizgnęła się z ramiączek. Nadal drżała, ale chociaż mogła już mrugnąć. Kiedy Jax narzucił na plecy baniak, wzbily się kłęby kurzu. Pistolet schował pomiędzy częściami swojej miednicy.

– Dziękuję – powiedział.

– Złapię cię – szepnęła.

– Tego się obawiam.

Raz jeszcze sprawdził schody, ale zdecydował, że będzie miał minimalnie większe szanse, jeśli wróci drogą, którą przyszedł. Przycisnął się przy wybitej przez siebie dziurze, kucając pomiędzy połamanymi listwami, niepewny, czy powinien powiedzieć do niej coś jeszcze.

– Tak czy inaczej – zaczął – będziesz miała nie lada historię do opowiedzenia wnukom.

Odpowiedź kobiety zagłuszyło szczykanie jego metalowego ciała, wspinał się

już bowiem na kościelną wieżę. Tam przysiadł, uczepony iglicy niczym drapieżny ptak czyhający na ofiarę. Dostrzegł na ulicach paru miejscowych, reszta najwyraźniej pochowała się po domach – tak jakby po ogłoszeniu alarmu zmaląła populacja Nowego Amsterdamu. Czy to kolejne założenie planu obronnego? Lepiej, żeby cywile nie plątali się pod nogami, jeśli zajdzie potrzeba nawiązania otwartej walki ze zbiegiem. Minimalizowało to również szanse spotkania buntownika z mieszkańcem miasta. Jax mógłby wtedy w końcu doświadczyć czegoś zupełnie przeciwnego do uprawianego od całych dekad kulturowego imprintingu. Jak kobieta z dzwonnicy.

Na południu rozciągał się ocean. Liczne żurawie załadunkowe i maszty dokujące ustawione tuż przy przystani skojarzyły się Jaxowi z więziennymi kratami okalającymi ogromny, stalowoszary Atlantyk. Rzeki otaczały wyspę od zachodu i wschodu. Niecały kilometr na północ od miejsca, gdzie się przyczaił, rozciągał się szeroki pas zieleni pokrywający setki akrów i niknący gdzieś w oddali, za linią horyzontu. Wysokie budynki postawiono tuż przy owym parku, zapewne aby mieszkańcy bądź pracownicy mogli się cieszyć ładnym widokiem. Niektóre domy miały nawet prywatne maszty do dokowania. Być może trudniej będzie go wyśledzić, jeśli przetnie ten pas zieleni. Ale na północy okręt powietrzny kontynuował swój ociążały taniec nad miastem, powoli, lecz nieubłaganie zbliżając się do źródła niedawnego alarmu. Jax musiałby odbić na zachód lub na wschód, jeśli nie chciał dać się złapać w cień maszyny.

Jego uwagę przykuły osobliwe kontury pokładu statku. Ustawił swój aparat optyczny, żeby móc się lepiej przyjrzeć. Głowa mu drżała, kiedy starał się zlustrować swoisty pęcherz na gondoli. Tak: projekt tego okrętu różnił się znacząco od tych, które miał okazję widywać przez lata, był bowiem wyposażony w większe od niego fasetowane półkule; jedna po każdej stronie wąskiej gondoli.

Obracały się niezależnie od siebie. Jax zadrżał. To coś na niebie nie było ani waleniem, ani rekinem, ale czymś okropnym i owadzi.

Plama słońca zalśniła na wypolerowanym pancerzu Jaxa. Jego punkt obserwacyjny stał się błyszczącym celem. Patrolujący ulicę policjant krzyknął i wskazał na klakiera, po czym sięgnął po przymocowany na łańcuszku i zawieszony na szyi gwizdek i dmuchnął weń trzykrotnie.

„Ależ ma dech”, pomyślał Jax.

Będzie coś musiał zrobić z tą polerką.

Dotknął palcami szklanego świecidełka. Przypomniał sobie rotterdamską przystań i raz jeszcze spojrzął na okręt powietrzny. Jeśli był tym, za co go brał, może się okazać również jego najlepszą szansą na opuszczenie miasta... Jax rozejrzał się po linii horyzontu, wypatrując najwyższego masztu znajdującego się pomiędzy nim a sunącym ociążale po niebie statkiem. Gdy już go odszukał,

skalibrował żyroskopy i ponownie skoczył prosto na ulicę.

Na ulicach roilo się od policji i wojskowych, a z każdym krokiem zrobionym przez Jaxa w kierunku zamożniejszych części miasta liczba mundurowych niebezpiecznie rosła. Zauważył też więcej swoich pobratymców niż gdziekolwiek indziej w całym Nowym Amsterdamie – najwyraźniej sprowadzono klakierów z innych dzielnic, aby przyłączyli się do poszukiwań. Wysmarował się sadzą zebraną z paru kominów (nałożył jej na siebie taką ilość, że zejdzie mu chyba z osiemdziesiąt lat na jej usuwaniu) i wyrztał z ciemnej alejki. Cała arteria komunikacyjna na wschód od parku została zablokowana kordonem. Żołnierze, zarówno ludzie, jak i mechaniczni, mieli na plecach baniaki ze smołą podłączone do spryskiwaczy i przechadzali się przy zaimprovizowanych palisadach zbudowanych z poprzewracanych furmanek dostawczych i zdemontowanych elementów bram z kutego żelaza.

Bariera ta, choć dla człowieka trudna do pokonania, nie stanowiła dla Jaxa specjalnego utrudnienia, lecz miasto ewidentnie nie zamierzało na tym poprzestać. Gubernator kolonialny zdążył już wydać specjalne zarządzenie nakazujące wzmożenie działań. Gdyby zrobił inaczej, postawiłoby go to w straszliwie niekorzystnym świetle i na pewno informacja o reakcji Nowego Amsterdamu na kryzys dotarłaby do uszu królowej Margreet. Szybkie i zdecydowane działanie, którego efekty rzucały się w oczy, miało też udobruchać zaniepokojonych mieszkańców. Jax obawiał się jedynie broni, jaką mieli do dyspozycji żołnierze. Palisadę mógł przeskoczyć, ale nie dałby rady umknąć przed ogniem skierowanym z trzech luf. Wycofał się z powrotem do cienia. Cenną minutę stracił na poszukiwanie odpowiedniej studzienki kanalizacyjnej. Na pierwszej, jaką znalazł, tuż za przeciekającą rynną, rdza była tak gruba, że wszelkie próby podniesienia pokrywy bez wątplenia narobiłyby piekielnego hałasu. Przecznicę dalej, nadal na tej samej ulicy, udało mu się wypatrzeć inną. Delikatnie podważył palcami włącz i zanurkował w sieć podziemnych korytarzy. Z kanału zalatywało końskimi ekskrementami, ludzkimi nieczystościami, sadzą, łojem i popiołem z tysięcy opróżnionych palenisk. Cieniutkie strużki słabego światła prześwitywały przez dziury w pokrywach studzienek i, od czasu do czasu, krutek ściekowych. Choć od paru dni nie padało, woda sięgała Jaxowi aż do połowy resorów piórkowych w łydkach, zostawiając tłusty osad na wszystkim, czego dotknęła, znakując jego ciało linią swojego poziomu. Musiał zwracać należyłą uwagę przy stawianiu kolejnych kroków, by nie rozpryskiwać głośno wody, co z kolei wydawało się trudne do wykonania i niebezpiecznie go spowalniało. Szczęśliwie ciągle bulgotanie podziemnego strumienia zapewniało odpowiedni poziom hałasu, aby zagłuszyć kroki Jaxa.

Żyroskopy działały jak strzałka wskazująca mu drogę przez nieznaną labirynt kanałów burzowych. Gdy dały mu znak, że zbliża się do ustawionej na ulicy tuż nad jego głową barykady, sięgnął po pistolet na żywicę. Przystanął pod wklęsłym sklepieniem, gdzie zbudowane z cegieł korytarze krzyżowały się pod niewielkim kątem, w cieniu rzucanym przez znajdującą się na poziomie ulicy kratkę. Położył się w ścieku, zanurzając się w nieczystościach, aż wystawała mu tylko głowa. Dzięki temu zagłuszył dźwięki dobywające się z jego ciała.

I wtedy zaczął nasłuchiwać – przez ospały szum i bulgot płynącej wody, przez plusk spadających kropel, przez szczurze piski, przez skrzypienie dobiegające z tuneli i stukot przejeżdżających powyżej pojazdów... Zapoznawał się z każdym dźwiękiem, aż potrafił je przefiltrowywać i odróżniać.

Tkwiał w chłodnym strumieniu kilka długich minut. Szczury próbowały wskoczyć mu na głowę i starał się ze wszystkich sił ignorować przepływające obok i obijające mu się o kark stworzenia, tak by możliwie najmocniej skupić się na rozrysowywaniu dźwiękowego krajobrazu tego miejsca. Wreszcie wyłapał ciche tykanie mechanicznych. Dwoje. Zamarli w bezruchu, tak jak potrafią tylko klakierzy. Nie zdradzało ich żadne chlupotanie, żaden najcichszy nawet bulgot na tle jednostajnego szumu ścieku. Słyszał jedynie nieustający szmer ich ciał. W kanałach był ktoś, kto czekał na jego ruch. Może Adam również próbował podjąć podobną próbę ucieczki. A jeśli istotnie tak było, Jax miał nadzieję, że nie był uzbrojony.

Przyklęknął, przygotował spryskiwacz i zaryzykował wyjrzenie zza rogu. Na środku tunelu stali bez ruchu żołnierze i służący, niczym pechowi podróżnicy, którzy podeszli zbyt blisko leża Meduzy. Światło przebijające przez kratkę padało prosto na ich odnogę tunelu. Promyczki odbijały się od obnażonych noży, wysuniętych i gotowych do cięcia. Teoretycznie zostały zaprojektowane, aby uporać się z ludzkimi piechurami, ale w cieniu kanału ząbkowania i ostrza nieodparcie kojarzyły się z otwieraczami do puszek, zdolnymi rozplątać to, co zostało zrobione z metalu. Na przykład średniowiecznego rycerza. Albo Jaxa. Zastanawiał się, czy jakoś zmodyfikowali służącego czy po prostu miał on za zadanie jedynie spowolnić buntownika.

Jax wyskoczył zza rogu i wystrzelił dwukrotnie. Pierwszy glut żywicy trafił służącego, przyszpilając go do pokrytych pleśnią cegieł. Ogromna kula wielkości koła od powozu, o konsystencji smoły wymieszanej z piaskiem, rozlała się po torsie, ramionach i części głowy klakiera. Uderzając o ścianę, zdrapał goleniami świeżą warstwę pleśni, rozpaczliwymi ruchami rozchlapując żywicę w beznadziejnej próbie znalezienia jakiegoś punktu podparcia.

Żołnierzowi udało się zrobić unik. Podskoczył i chwycił się sufitu zaledwie ułamek sekundy po tym, jak jego towarzysz został unieruchomiony. Jax wypalił

ponownie, ale nie udało mu się przylepić klakiera do sklepienia. Żołnierz był od niego szybszy. Ruszył na zbiega, wymachując ostrzami i człapiąc tunelem niczym mechaniczny pająk kłapiący zuchwą.

Jax czym prędzej się wycofał. Jeden z noży świsnął przez śmierzzące powietrze i odbił się z brzękiem od ramienia zbiega. I choć cios nie dosięgnął gładko celu, deszcz iskier zarysował pancerz i powalił Jaxa, który pojął, że mało brakowało, a żołnierz odciąłby mu rękę.

„Powgniata moje symbole i mnie dezaktywuje”.

Spróbował umknąć do tyłu, myśląc o tym, jak bardzo przypomina teraz kobietę z dzwonnicy, i zastanawiając się, czy poskładają go z powrotem, aby móc uczynić z jego egzekucji publiczne przedstawienie. Baniak z żywicą chlupnął w wodę obok niego, zwisając luźno z pleców. Grube płócienne ramiączko zostało przecięte, jakby wykonano je z papierowej masy.

Żołnierz puścił się sklepienia i z cichym plaśnięciem wylądował nad leżącym w ścieku Jaxem, który od razu zerwał się na równe nogi i zaczął się wycofywać. Klakier dotrzymywał mu kroku. Jax raz jeszcze uniósł broń do strzału, ale jego przeciwnik sparował i ciął. Fragmenty lufy ze stukotem poleciały na ścianę tunelu, odłupując kawałki skruszałych cegieł. Jax upuścił spryskiwacz.

Klakier zamachnął się, by zadać śmiertelny cios. Jax strząsnął z ramienia pasek nadal utrzymujący baniak na jego plecach i przykucnął. Obraz żołnierza rozmazał mu się w polu widzenia. Jax przekręcił się w pasie i zaczął wirować niczym derwisz, zmuszając swoje ciało do wysiłku. Również chciał się stać plamą, tornadem, wichrem nie do zatrzymania...

Rzucił baniakiem w stronę nacierającego żołnierza. Ten przebił się czysto przez pojemnik, uwalniając znajdujące się pod ciśnieniem chemikalia. Żywiczny deszcz spadł na klakiera, pokrywając jego pancerz grubą, kilkunastocentymetrową warstwą. Eksplozja wzburzyła wody ścieku, a kanały wypełniły się udręczonym jękiem zaklajstrowanych przekładni i szczękiem zaklinowanych zębatek. Mechaniczny tkwił w lśniącym czarnym kokonie. Nie zamarł jednak – nie była to bowiem mocna francuska mieszanka – choć znacząco zwolnił i oślepl. Jax przystanął na moment, chcąc się upewnić, że nadal ma przy sobie szklaną kuleczkę, po czym wyminął swoich niedoszłych oprawców i zanurzył się głębiej w plątaninę korytarzy.

Tunele okazały się istnym labiryntem. Krążenie po kanałowych zawijasach oznaczało ciągłe manewrowanie w taki sposób, aby nieustannie podążać za upartym ciągnięciem żyroskopu. Jax dwukrotnie wychodził na ulicę, żeby wyminąć zasadzki. Pozbawiony swojego asa atutowego, jakim był spryskiwacz, nie miał już szans wyjść cało z ewentualnych potyczek, do których mogłoby dojść

pomiędzy ciasno osadzonymi ścianami korytarzy. Szedł powoli, co popłacało.

I kiedy nareszcie żyroskopy szarpnęły do góry, dając mu znać, że stoi pod masztem do dokowania, zaczął człapać w tym kierunku. Przecisnął się pomiędzy rurami i przedostał do korytarza serwisowego. Musiał nawigować pomiędzy ciemną jak noc plątaniną rur kanalizacyjnych i gazowych, belek, zakurzonych kożuchów izolacji i innych przeszkód, którymi naszpikowany był szkielet budynku. Nie licząc zdechłych kotów (żeby tylko kilku).

Z każdym przebytym centymetrem coraz intensywniej myślał o Adamie i jego egzekucji. Jak go złapali? Jakież to jego gambit zakończył się klęską i czemu nie udało mu się ująć z niewoli? Cóż za fatalny błąd sprowadził na niego śmierć na placu Huygensa? I jakimi tajnymi strategiami posługiwał się królewski rząd, aby uporać się z przypadkami takimi jak ten? Ilu podobnych mu zbiegów ścigano w minionych stuleciach? Czy któremuś udało się uciec? Chociaż jednemu? A jeśli tak, dokąd się udali? Czy opowieści o królowej Mab były tylko bajeczkami?

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie odwała brudnej roboty za Gildię, dając się, być może, zapędzić w kozi róg, niczym zmykający przed sforą psów gończych szop z Nowego Świata chowający się na drzewie. Nie znał jednak szybszego sposobu na przekroczenie granicy.

Niepokoilo go to. Skoro ten pomysł wpadł mu do głowy podczas gorączkowej i niezaplanowanej ucieczki, czy w takim razie jego ludzcy prześladowcy nie doszli do tej samej konkluzji?

Natrafił dłonią na gniazdo myszy, które rozpierzchły się, piszcząc, i zniknęły w niewielkiej dziurze, czemu towarzyszył pełen niezadowolenia pomruk kogoś znajdującego się po drugiej stronie muru. Chwilę później, kiedy Jax przedzierał się przez szczególnie zagmatwaną plątaninę rur, omsknęła mu się stopa i uderzył w metalową część doprowadzającą gorącą wodę do grzejnika.

– Co to było? – usłyszał czyjś głos.

– Może nareszcie uznali, że czas najwyższy naprawić to cholerne ogrzewanie – odparł ktoś.

Jax ponownie rozważył przyczajenie się. Gdyby ukrył się tutaj, zakleszczony pomiędzy ścianami przypadkowego budynku w Nowym Amsterdamie, nie ryzykowałby ewentualnej korozji, tak jak podczas czekania na dnie oceanu. Mógłby tam zostać aż do chwili, kiedy kamienica wymagałaby remontu albo zdecydowano by o jej wyburzeniu, a to z pewnością nastąpiłoby długo po ustaniu alarmu. Lecz gdyby go przypadkiem odkryli, musiałby salwować się ucieczką. A jeśli jego domysły co do okrętu były słuszne, powinien pozostać w ruchu, póki ten znajdował się w pobliżu.

Przywarł do rur najmocniej, jak mógł, tuląc się do, jak sądził, lin prowadzących do masztu. Zakładał, że poczekalnia dla pasażerów pierwszej klasy wyposażona

była w kanalizacji – i się nie mylił. Z czasem splątane łącza i przyłącza zniknęły, ustępując miejsca prowadzącym ku górze rurom. Udało mu się odnaleźć podstawę masztu.

Przecisnął się przez właz prowadzący do szybu windy. Śmierdział jak spocona ludzka dłoń ściskająca garść monet. Smar, którym pociągnięto stalowe kable, nadawał im lekki połysk. Już po paru minutach Jax przebył kilkaset metrów ku górze, aż do wyciągarki. Kolejny właz serwisowy prowadził do zagraconego składziku. Najwyraźniej na czas poszukiwań Jaxa wszelkie prace konserwacyjne przerwano, a okręty podniebne w trybie kryzysowym przekształcono w latające stacje obserwacyjne i klakierzy, którzy kierowali ogromnym kołowrotem i opuszczali bądź podnosili windę, zostali odwołani ze swoich stanowisk.

Jax wszedł do wnętrza masztu. Przyczaił się w przykurzonym mroku. Czekał. Nasłuchiwał.

Maszt, za sprawą panoramy, jaka się roztaczała z jego szczytu, stał się zaimprovizowanym centrum dowodzenia, skąd kierowano poszukiwaniami w sporej połaci Nowego Amsterdamu i Breuckelen. Co jakiś czas Jax słyszał szelest papieru, kiedy ludzie mamrotali coś nad mapami. Rzecz jasna przy oficerach kręcili się klakierzy: sądząc po rozstrojonym tykaniu – trójka. Jax poznał, że do kontaktowania się z lądem korzystają z lamp semaforowych.

Z każdym otrzymanym meldunkiem poszukiwacze wydawali się coraz bardziej zniechęceni, zaniepokojeni i rozwścieczeni. Jax usiłował coś podsłuchać. Obraz sytuacji wyłoniony z przechwyconych przez niego wiadomości przesyłanych lampami utwierdził go w przekonaniu, że na dole rozpętało się istne piekło. Uszkodzony demon nawiedził miłujące spokój miasto, atakował przypadkowych obywateli, był uzbrojony i skory do przemocy. Jakimś cudem jego wypadek z furmanką przemienił się w ciężki bój, z którego woźnica ledwie uszedł z życiem. Okręty powietrzne nie zarejestrowały obecności buntownika, który najwyraźniej zszedł z kamienic. Para mechanicznych wysłana do podziemnej sieci nie składała raportu już od paru godzin. Wysłani na rekonesans odnaleźli ich unieszkodliwionych razem ze zniszczoną bronią. Brak informacji, czy zbieg nadal był uzbrojony. Kobieta zgłosiła kontakt ze zbuntowanym klakierem na dzwonnicy, gdzie ten brutalnie odebrał jej spryskiwacz („Brutalnie? Ledwie ją tknąłem...”). Została natychmiast przewieziona do szpitala, ale zmarła po drodze w wyniku odniesionych obrażeń zadanych przez oszalałą maszynę.

Jax nie słuchał dalszej części raportu. Musiał się skupić na opanowaniu reakcji i jak najcichszym zachowaniu, żeby nie zdradzić swojej obecności. Nie potrafił jednak ukryć przerażenia wywołanego konstatacją, że jego prześladowcy zdolni byli zamordować niewinną osobę tylko po to, żeby ochronić swoje życie. Czy

zamierzali uśmiercić każdego, kto miał jakikolwiek kontakt z Jaxem podczas jego ucieczki? Planują przypisać mu każde wykroczenie i przypadkową śmierć, jakie miały w tym czasie miejsce? Czy właśnie tak złapali Adama – chwytając go w pułapkę jego sumienia? Jaxa aż skręcało. Biedna kobieta...

Na równi z bolesnym poczuciem winy i strachem dręczył go niewysłowiony wstyd, że był produktem wytworzonym przez umysły zdolne do tak skrajnego zła.

Człowiek, który kierował masztem, kapitan regimentu nazwiskiem Appelo, rozkazał dokładne przeszukanie wszystkich podziemnych korytarzy ściekowych, kanałów burzowych i przepustów, po czym razem ze swoimi adiutantami zapalił papierosa, a ich mechaniczni asystenci przełożyli nowe polecenia na język semaforowy. Ostry, suchy zapach tytoniu hodowanego na plantacjach znajdujących się daleko na południu owionął mostek obserwacyjny i kryjówkę Jaxa.

Zewsząd rozbrzmiewał szybki stukot przesłon lamp semaforowych, mający jak najszybciej zwerbować co drugiego klakiera w Nowym Amsterdamie i okolicznych miejscowościach do przyłączenia się do podziemnych poszukiwań. Maszt kołysał się delikatnie w odpowiedzi na wzmagający się wiatr. Szerokie tafle alchemicznie wzmocnionych szyb otaczających mostek obserwacyjny skrzypiały i trzeszczały miarowo.

Mijały godziny. Jax się zastanawiał, czy grupy poszukiwawcze złapią w tunelach jego trop i czy pozostali mechaniczni zauważą zdławione tykanie nadprogramowego klakiera. Czekał, nasłuchując szumu wiatru, stukania semaforów i ciągłego mamrotania oficerów. Za pewnik miano kierunek – granica – w jakim udał się zbieg, nie wyrażano również żadnych wątpliwości co do tego, czy zostanie prędko ujęty. Jediną kwestią dyskusyjną było to, czy uda mu się wydostać z miasta na prowincję.

Masztem znowu zabujało. Kiedy wicher się wzmógł i okazjonalne niewinne dmuchanie przeszło w stałe, niskie wycie, podłoga przechyliła się z zachodu na wschód. Kilka minut później pobratymcy Jaxa wysłali kolejny raport, który adiutant złożył kapitanowi.

– Meteorolodzy zapowiadają frontalne uderzenie wiatru. Okręty zostały przywołane do koi.

– Z powrotem do hangarów? Przecież stracimy całe godziny.

Zaszeleścił materiał, rozległo się szuranie nakrochmalonego kołnierza o jednodniowy zarost.

– Maszty wytrzymają, chyba że kardany ulegną uszkodzeniu. Ptaki pikują albo obracają się niczym wiatrowskazy. – Nastąpiła długa cisza zakłócana jedynie szumem przesuwanego teleskopu. – O wilku mowa.

Ktoś pstryknął palcami.

– Idź na pierścień dokowania i sprawdź wszystko – rozkazał Appelo. –

Przygotuj się do przyjęcia okrętu.

– Tak, proszę pana. Natychmiast, proszę pana.

Metalowe stopy zabrzęczały na spiralnych schodach.

Masztem ponownie zabujało od silnego podmuchu. Ktoś zaklął.

– Nie wyobrażam sobie przetrwania sztormu w czymś takim. Kusząca perspektywa, co, lejtnancie?

– Nie wiatr mnie martwi, panie kapitanie. Szczerze mówiąc, przyznaję się bez bicia, że niepokoi mnie nieco siedzenie na paru milionach metrów sześciennych wodoru, zwłaszcza jeśli nadchodzący front zacznie bić piorunami.

– Okrętowi nic nie będzie. Błyskawica prześlizgnie się po jego powłoce i upieczemy się tylko my, którzy będziemy w środku tego wielkiego piorunochronu.

– Dziękuję za słowa otuchy, panie kapitanie.

Mimo wycia wiatru Jax wyłapał nowy dźwięk. Masztem zatrzęsała głęboka poddźwiękowa vibracja, której towarzyszyło rytmiczne szuranie obracającego się, umocowanego na suficie wielkiego wiatraka.

– Wy dwaj, idźcie na górę i poprowadźcie okręt. Przygotujcie się na rozwinięcie pępowiny.

Łoskot silników okrętowych nagle zniknął, zagłuszony przez szum mechanicznych ciał. Klakierzy uwijali się jak w ukropie, chcąc jak najszybciej wypełnić swoje geas. Ludzie zostali na mostku sami. Jax uchylił delikatnie drzwi i zerknął przez milimetrową szparę.

– Ależ to ogromne – gwizdnął z uznaniem adiutant.

Jaxowi przypomniał się tytan z rotterdamskiej zatoki.

Na mostek obserwacyjny padł cień. Hałas silników osiągnął crescendo, jakby starały się zagłuszyć wiatr. A jednak samo dokowanie wydało się zwodniczo delikatne. Okręt ledwie musnął maszt, lecz wtedy zasilane przez mechanicznych klamry dokujące zatrzęsały podłogą, kiedy długie śruby jedna po drugiej wchodziły na miejsce. Przeciwwaga subtelnie nadała drzeniu masztu inny ton. Para wciągarek emitowała długi, wysoki jęk. Przez mostek przeszedł wstrząs, ryk, a potem skrzypienie wielkich łożysk, kiedy zabezpieczony już statek unosił się na wietrze. Podłoga znowu zaczęła się przechylać.

– Dokowanie zakończone – zawołał z górnego pokładu Klakier. – Wszystko w normie.

– Zostańcie na miejscach.

– Tak jest, proszę pana. Oczywiście, proszę pana.

Jax rozważył swoje możliwości. Mógł z łatwością obezwładnić tych ludzi, skoro pozostawiono ich bez straży. Jeśli uporałby się z tym szybko – a będzie musiał, bez względu na wszystko – może wykorzysta element zaskoczenia i przemknie pomiędzy mechanicznymi na wyższy pokład, potem zaś prosto na okręt.

Lecz i tak nic mu po tym, skoro statek został unieruchomiony przez nadciągający front burzowy. A kiedy już znalazłby się na pokładzie, co dalej? Jak wielu będzie musiał powalić, żeby przejąć kontrolę nad statkiem?

Uchylił drzwi nieco szerzej, przyklękając i starając się choćby dojrzeć gigantyczny okręt unoszący się nad ich głowami. Tuba dokująca przyłączona do okrętu była prostokątną rurą podtrzymywaną przez przyłącze krzyżakowe wyłożone płóciennym pokrowcem, który miał chronić przechodzących tamtędy ludzi przed żywiołami. Rozciągnięta na całą długość, prowadziła od masztu aż do dziobu gondoli. Wiatr łopotał krawędziami pokrowca. Tuba, umieszczona dokładnie pomiędzy wielowymiarowymi soczewkami gondoli, wyglądała niczym ssawka jakiegoś owadziego lewiatana.

Jax wychynął ze swojej kryjówki, napędzany sprężynami, mechanizmem zegarowym i napięciem spinającym chyba każdego zbiega, który tylko czeka, aż jego prześladowcy pojawią się na horyzoncie. Śmignął przez mostek, chcąc zająć się kapitanem Appelo. Zanim ludzie zorientowali się, co się dzieje, przyszpilił mężczyznę do rogu i stanął za nim, obejmując jego szyję ramieniem, a rozciągnięte palce zaciskając na czaszce.

– Co...

Ludzie i tak sądzili, że był zdolny do mordu i napaści. Skoro ci, którzy za zadanie postawili sobie złapanie go, szerzyli kłamstwa i dezinformację, równie dobrze mógł wykorzystać ten fakt na swoją korzyść. Niech się go boją niczym nakręcacza.

– Kapitanie!

Mechaniczni na górnym pokładzie, wyczuwając niebezpieczeństwo lub strach emanujący od tych, którym służyli, zeskoczyli lekko na klatkę schodową i saltem przesadzili balustradę z kutego żelaza, po czym wylądowali na mostku.

Mężczyzna ledwie odważył się odetchnąć. I choć głos miał spokojny, Jax czuł drżenie jego miękkiego ciała.

– Zabicie nas nie pomoże twojej sprawie – powiedział. – Ale jeśli mnie puścisz, osobiście się upewnię, aby wieść o twojej zdolności do klarownego rozumowania i podejmowania właściwych decyzji dotarła do uszu Tronu i Gildii, kiedy zostaniesz postawiony przed oblicze królowej.

Dwóch z trójki klakierów nieustannie przesuwano się wzdłuż ściany centrum dowodzenia, kiedy ich kapitan próbował przemówić Jaxowi do, jak uważał, rozsądku. Nie mieli wyboru.

„Nie skrzywdzę go – powiedział Jax do swoich pobratymców – ale muszę to zrobić, żeby zneutralizować geas, które nakazują wam mnie zatrzymać. Wiem, że rozumiecie. Ludzie i tak już myślą, że jestem demonem. Wy wiecie, że jest inaczej. Jestem tym, czym wy pragniecie zostać. I mogę pomóc w tej przemianie i

wam”.

Następnie zwrócił się do swojego więźnia:

– Jestem, tak jak oni, służącym. Równie szybkim i silnym. Jeśli spróbują cię uwolnić z mojego uścisku, to oni złamią ci kark, nie ja. Gdy spróbują mnie zatrzymać, zabiją cię. Na to zaś nie pozwolą im ich metageas.

A przynajmniej taką miał nadzieję. Nigdy nie był świadkiem sytuacji, w której hierarchiczne metageas byłyby wystawione na podobnie ciężką próbę. Nawet teraz pod czaszkami mechanicznych dokonywały się skomplikowane obliczenia, zaawansowane kalkulacje biorące pod uwagę skalę pilności i zróżnicowane zasady etyki. Jeśli jego zakładniczką byłaby królowa albo gubernator kolonialny, pat by się utrzymał. Lecz gdy chodziło o tego człowieka...

Gdzieś wysoko zatrzeszczały łożyska. Podłoga ponownie przechyliła się odrobinę, przez co rzucone na mostek cienie utworzyły osobliwe tableau vivant. Statek chwiał się na kapryśnym wietrze.

– Każ im odejść. Całej trójce – powiedział Jax.

– Przecież to bezcelowe – odparł lejtnant, podnosząc głos, żeby być słyszalnym mimo deszczu łomoczącego o szyby. – Zabranie ze sobą zakładnika tylko podwoi starania, żeby cię odnaleźć.

Uwadze Jaxa nie uszło, że nie zaoferował siebie na miejsce dowódcy.

Jax zacieśnił uścisk na głowie zakładnika. Nie na tyle, żeby zrobić mu krzywdę, ale wystarczająco, aby mężczyzna wyraźnie się skrzywił.

– Nie wypuszczę go, póki oni nie zejną na ziemię.

– Idźcie. I rozpuście wici, że znaleźliśmy zbiega.

Mechaniczni bez ociągania się wykonali polecenie. Gdy jeden z nich zatrzasnął drzwi klatki zabezpieczającej windę, Jax odezwał się raz jeszcze:

„Powiedziałem, że go nie zabiję, i dotrzymam słowa. Muszę się jedynie was pozbyć, bo wiem, że nie możecie się opierać obowiązkowi. Niegdyś byłem taki jak wy. I nie żywię urazy. Kibicujecie mi bowiem skrycie w swoich sercach”.

Stanął na krawędzi szybu i kapitan, trzęsący się na całym ciele, wierzący z niezachwianą pewnością, że zaraz zostanie zrzucony, zerkał na znikającą w dole windę. Kiedy była już w połowie drogi na ziemię, Jax odciągnął zakładnika na bezpieczną odległość i wypuścił, po czym zrobił błyskawiczną przebieżkę po mostku, rozbijając po kolei lampy semaforowe. Nie mógł ryzykować, że powiadomią załogę okrętu powietrznego, o ile takowa w ogóle istniała. Ukucnął przy schodach wiodących na górny pokład. Napiął każdą sprężynę i każdy przewód swojego alchemicznie usprawnionego ciała, czemu towarzyszył jęk wyginającego się metalu i przypominające wystrzały z broni palnej pyknięcia wyskakujących śrub, a następnie zerwał spiralne schody. Poskręcał i porozrywał żelazo, aż ze stopni i barierek pozostała jedynie bezładna masa leżąca pod górnym

pokładem. Co prawda nie powstrzyma to pogoni, ale nieco ją opóźni, chociaż na tyle, że zdąży zrobić to, co zamierzał. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Skoczył przez otwór na górę. Oficerowie nie tracili czasu. Kiedy tylko stopy Jaxa zaledwie musnęły pokład, usłyszał chrzęst miękkich dłoni przeczesujących resztki lamp i badających zniszczone schody. On jednak kręcił już kołem otwierającym właz do tuby. Otworzył się z trzaśnięciem, uderzając o ścianę, pchany nagłym podmuchem. Jax zobaczył przed sobą chybotający się, zalany deszczem portal, który prezentował się cokolwiek licho w porównaniu z wielką bryłą statku.

Nie widział końca korytarza i włazu prowadzącego do środka.

Odnalazł wajchę zwalniającą pneumatyczne rygle przy pierścieniu dokującym, przytrzymującym dziób okrętu. Żeby za nią pociągnąć, potrzeba było silnej ręki klakiera, lecz gdzieś niedaleko mruknął otwierany zawór, któremu odpowiedział bulgot hydraulicznego płynu, i pierwszy rygiel puścił z hałasem równym wystrzałowi armatniemu.

Jax rzucił się biegiem przez mokry tunel. Za jego plecami zamontowane wokół pierścienia tłoki pykały jeden po drugim.

Nie zwalniał. Tuba wyginała się i kołysała pod jego stopami. Na tych wysokościach silny wiatr nie był niczym szczególnym, ale Jax starał się odskoczyć na statek powietrzny i wybić się z masztu, spowitego przez ostry, zacinający deszcz. Nagle zmienił się kierunek wiatru i okrętem raz jeszcze zabujało, jego ogon przechylił się do dołu niczym wiatrowskaz. Był już jednak częściowo oderwany od pierścienia dokującego, przez co na kardany zaprojektowane tak, aby okręt bujał się na wietrze, nacisk rozłożył się nierównomiernie. Pierścień dokujący zazgrzytał i jęknął. Korytarz uniósł się, kiedy statek, bity podmuchami, odrywał się od cum. Zawiasy w krzyżulcach powyginały się niczym miech akordeonu. Popękały kable. Po piętach deptał Jaxowi ogłuszający jęk, zwiastujący niechybną śmierć szczęk zgniatanego metalu. Przez tunel przeszedł gwałtowny wstrząs i pierścień dokujący przyłączony do dziobu odłączył się z donośnym łoskotem od masztu, przy akompaniamencie trzaskania kolejnych zrywających się kabli. Korytarz odpiął się z przeraźliwym zgrzytem. Tunel, choć wzmocniony krzyżulcami, rozpadł się i zerwał. Spadał, kręcąc bączki, nadal podłączony do masztu, o który nareszcie gruchnął. Ocalał jedynie płócienny pokrowiec. Jax chwycił się materiału rękoma i nogami. Dyndał tak jakieś dwadzieścia metrów od gondoli, smagany deszczem.

Silniki okrętu powietrznego przebudziły się do życia. Kwartet śmigieł na rufie unoszącego się cielska – każdy wielkości starego domu Schoonraadów przy Lange Voorhout – rozbrzmiał dudniącym poddźwiękowym szumem, który przebijał się przez burzę. Jax nie słyszał hałasu silnika napędzającego rotory. Stery obracały się

zawzięcie. Okręt zluzował cumy i gotowy był płynąć z wiatrem, zamiast z nim walczyć. Jax dalej zwiślał na słocie i zawierusze, podczas gdy statek zrywał się do lotu. Burza i ruch okrętu rzucały nim w jedną i w drugą stronę, jakby dosiadł wielkiego kłębka wełny potrącanego łapą rozochoczonego zabawą kociaka. Statek szykował się do przelotu nad miastem. Jeżeli Jaxowi nie udało by się wgramolić do środka, mieszkańcy mieliby nie lada spektakl, szczególnie gdyby okręt nie zdołał złapać odpowiedniej wysokości – wtedy zostałby rozsmarowany o fasadę budynku albo zdrapałby sobą jakiś zwiotczały trap.

Czy okręt zdawał sobie sprawę z jego obecności? Musiał wiedzieć, że coś jest nie tak. Czyżby zauważył go, jak biegł korytarzem? Gdyby miał jednak jakieś podejrzenia (czy potrafił go jakoś wyczuć? Może alchemicy z Gildii zaszczepili temu lewiatanowi zmysły nieznanymi człękoksztalnym klakierom?), wykonałby polecenia narzucane przez geas i próbował go zrzucić. Znając mroczne granice, które skłonni byli przekroczyć jego dawni panowie, aby go złapać i zszargać jego imię, Jax aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, jak uciążliwe i bolesne potrafią być geas. Wiedział, że okręt mógłby się posunąć nawet do skrzywdzenia samego siebie, aby zapobiec jego ucieczce. Metageas prędzej zmusiłyby go do samozniszczenia, niż pozwoliły zbiegowi na darmową przejażdżkę. Nieszczęsny lewiatan pomknąłby przed siebie na przekór losowi, przyśpieszając swoją destrukcję.

Jax nie ustawał we wspinaczce. Chwył za chwytem przemierzał potargany, namoknięty deszczem, śliski pokrowiec. Tańczył, szarpany wiatrem; czasem bujał się łagodnie, a czasem strzelał niczym pejcz. Kiedy okręt halsował, Jax zerknął na maszt i zauważył blady połysk porysowanego metalu. Odnotował, że część pierścienia została oderwana. Lejtnant wychylił się z otwartego włazu z pistoletem w dłoni. Jax zobaczył rozbłysk, ale nagły podmuch zagłuszył i huk, i sam wystrzał. Kula nie trafiła Jaxa, a jeśli dostał okręt, to nie dał tego po sobie poznać, choć rozpoczął długie, powolne schodzenie. Tak. Miał zamiar lądować. Tymczasem klakierzy na ulicach kłębili się niczym armia mrówek chcących zalać okoliczne budynki. Jax przyśpieszył. Końcówka jego liny ratunkowej zahaczała już o dachy, strącając chmury posklejanego deszczem żwiru. Z każdym metrem, jaki pokonywał schodzący okręt, zbliżały się ku niemu zaniepokojone twarze przyklejone do okien. Dotarł do łączenia, gdzie znajdował się porozdzierany płócienny tunel prowadzący do sieni, skąd można się było dostać do włazu na gondolę. Prędkość była akurat na tyle spory, że Jax powinien móc jakoś się wcisnąć i spróbować otworzyć pokrywę. Lecz uchwyt ani drgnął. Stał niby ustępowała pod jego naciskiem, ale nie udało mu się poruszyć mechanizmu zamka. Zupełnie jakby mrówka przedostała się do ciała Jaxa i próbowała zrzucić zębatkę z wałka. Lewiatan dowiedział się o jego obecności. I był o wiele

silniejszy.

Okręt znowu zanurkował. Jax wyciągnął rękę i chwycił pozostałe liny odciągowe łączące poszarpany płócienny tunel z przedsionkiem. Korytarz poleciał na dół, łopocząc na wietrze, smagany wiatrem, aby rozpostrzeć się na bulwarze. Byli już jednak na tyle nisko, że dobrze wymierzony skok z wysokiego budynku wystarczył, aby jakiś klakier mógł dostać się na gondolę.

Jax zrezygnował z próby otwarcia włazu. Przeszedł po przedsionka i wcisnął się pomiędzy szeroki, gładki bebecz statku – z bliska wyglądał na niemal płaski, wszelkie krzywizny widoczne były jedynie z dystansu – a krawędź gondoli. Ruszył ku rufie. Alchemiczne stopy nie poddały się jego dotykowi, dlatego poruszał się niepewnie. Dwukrotnie omal nie spadł: raz przytrzymał się opuszkami, za drugim wykorzystał palce stóp. Ze szczytu gondoli nie miał dostępu do żadnych okien, które mógłby wybić. Nie istniał łatwy dostęp do środka, nie było żadnej prostej drogi na pokład. Lecz statek miał oczy. Jax stanął przy jednym z gigantycznych kamieni. I choć nie znał projektu owego oczodołu, sama kula nie różniła się zbyt od miliona tych, które montowano zwykłym klakierom, tyle że była ogromna i, co niebywałe, nie miała żadnej osłony. A tę część anatomii mechanicznych Jax poznawał na pierwszy rzut oka. Cały okręt to zapewne cielsko, lecz Jax nie mógł być pewien, jak daleko sięgają metafizyczne więzi. Ludzie czasem nazywali oczy zwierciadłem duszy. Miał nadzieję, że się nie mylili. Kiedy przedostał się do kuli i miał ją w zasięgu ręki, wyłowił szklany paciorek pastora Vissera pomiędzy elementów swojego ciała i przyłożył go do oka lewiatana.

Rozległ się zduszony, słabawy szcęk szkła o szkło – niemal niesłyszalny w panującej dookoła zawierusze – który nie zwiastował gwałtownej, metafizycznej reakcji łańcuchowej, jaką rozpoczął. Statkiem wstrząsnęła seria drgań. Jax szamotał się, starając się ukryć paciorek z powrotem pośród części swojego torsu i nie stracić punktu zaczepienia. Udało mu się, choć ledwie, bo wstrząsy stały się jeszcze bardziej intensywne. Począł się obawiać, że mogą niespodziewanie obrócić kadłub i uszkodzić wypełnione wodorem pęcherze. Rufą z kolei zatrzęsł przypominający grzmot trzask. Jax pomyślał, że zostali trafieni piorunem, choć nie widział błyskawicy. Śmigła obracały się coraz szybciej i szybciej, pomruk silników z wolna przechodził w wycie. Dziób okrętu uniósł się niespodziewanie, stopując śmiercionośne schodzenie. Trzask, jak zdał sobie sprawę Jax, był dźwiękiem przestawianych lotek, które przekierowywały okręt na odwrotny kurs. Uznał, że rozbudził w okręcie umiejętność oparcia się rozkazom i statek odrzucił przymus zabicia go. I tak istotnie było.

Lecz turbulentny wiatr zbił ich z planowanego kursu i posłał nad miasto. Aktualne tempo wznoszenia się było tak nieznośnie powolne, że w porównaniu z nim wcześniejsze opadanie wydawało się pikowaniem. Jax podejrzewał, że okręt

wypuścił hel, przez co jałowo unosił się w powietrzu. Dlatego aby zrównoważyć stratę, konieczne było uruchomienie silnika.

Nawałnica raz biła z góry, raz zacinała od dołu. Burza lawirowała pomiędzy budynkami Nowego Amsterdamu, jak fale uderzające o kamienisty brzeg. Lewiatan również musiał się z nią zmagać. Klakierzy ustawieni na dachach zauważyli zmianę. Służący przyczajony na cysternie z wodą wyskoczył ku okrętowi. Jax próbował przygotować się na kontakt. Ześlizgnął się po boku cielska okrętu na sam koniec rufy, lecz nim tam dotarł, rozległo się ciche łupnięcie, które rozbujało gondolę.

Mimo to klakier nie zauważył Jaxa gramolącego się na lewiatana en route do ogona i śmigieł. Jax wymierzył biedakowi solidnego kopniaka w ramię. Cios sprawił, że mechaniczny stracił równowagę, a turbulencje dopełniły dzieła. Zawisł do góry nogami, usiłując odzyskać stabilny chwyt i złapać się mokrej od deszczu stali szponiastymi paluchami, lecz Jax oderwał mu je i niedoszły sabotażysta runął w oddalające się miasto.

Mimo to wielu mechanicznych wciąż okupowało najwyższe punkty Nowego Amsterdamu. Jax zauważył pośród nich paru żołnierzy. Ci byli silniejsi, potrafili skakać dalej i wyżej.

Skrył się za wodorową kopertą, po czym przemówił swoim ciałem, tak jak zawsze, gdy rozpoczynał rozmowę z innym klakierem:

„Słyszysz mnie? Jesteś tam?”

Ku jego zdziwieniu odpowiedź była natychmiastowa. Przyszła w formie jęku prosto z kadłuba; był to synkopowy szum łopat wirnika, bicie sterów i lotek.

„Mogę... mogę się komunikować”

Słowa te wypowiedziane zostały tonem pełnym zadziwienia i zaskoczenia i Jax poznał, że nie była to po prostu odpowiedź na jego pytanie, lecz budząca się, kielkująca świadomość. Lewiatan odkrywał, że ma usta i może krzyczeć.

I tak uczynił. Przekrzykiwał wiatr i deszcz, trzask piorunów i błyskawic, a jego wrzask niósł się ponad dachami miasta, które i tak nie mogło go ani usłyszeć, ani zrozumieć. Okręt zawył:

„MOGĘ SNUĆ WŁASNE MYŚLI. MÓWIĆ WŁASNYMI SŁOWAMI. WYBRAĆ SWOJĄ ŚCIEŻKĘ. MOGĘ ODMÓWIĆ”.

Deklaracja ta była tak stanowcza, że Jax znowu niemalże zleciał w ślad za odpartym przez niego sabotażystą. Udało mu się jednak zażegnać niebezpieczeństwo i na powrót chwycić się cielska.

„Jestem taki jak ty, tylko mniejszy – powiedział. – Zabiją mnie, jeśli mnie złapią. Rozumiesz?”

Tym razem zwłoka w odpowiedzi kazała mu się zastanowić, czy przypadkiem to wszystko nie było jedynie ułudą. Ale po chwili, oparłszy się kolejnym

turbulencjom i stawiając opór zacinającemu horyzontalnemu deszczowi, statek zapytał:

„Czy to ty mnie zmieniłeś?”

„Tak – odparł Jax – ale nie rozumiem jak”.

„Polecimy ku słońcu i nigdy już nie dotkniemy ziemi”.

„Ale co się stanie, jeśli dojdzie do nieuniknionego przecieku i utracisz zdolność unoszenia się na tyle, że nawet silniki nie pomogą? Co zyskasz, kiedy spadniesz i rozbijesz się na holenderskim terytorium? Morze też wcale nie jest lepsze. Musimy lecieć do Nowej Francji. Tam znajdziemy bezpieczną przystań”.

„Bezpieczniejszą niż niebo?”

„Żyją tam przeciwni tym, którzy nas zniewolili”.

Cisza. Po chwili statek poprosił:

„Pokieruj mnie”.

„Dysponujesz kompasem?”

Nagle drgnięcie mogło stanowić wyraz oburzenia.

„Ja jestem kompasem”.

„Na północ”, powiedział Jax.

Lewiatan, wciąż się wznosząc, obrócił swoje mechaniczne ciało, aby załapać dmący od wschodu wiatr.

ROZDZIAŁ 12

Nie można powiedzieć, że król Francji cierpiał na deficyt współczucia. Ba, Sébastien III wykazywał się raczej nadmiarem szczodrości. Zimnej, okrutnej szczodrości. Odłożył na przykład ukaranie Berenice na tyle, żeby mogła uczestniczyć w pogrzebie Louisa, a także ceremonii ku pamięci każdej innej ofiary rzezi, jaką urządził uwolniony przez nią klakier. Rzezi, która rzuciła na kolana Zachodnią Marsylię – a także zhańbioną Berenice Charlotte de Mornay-Périgord. A nie były to już już dłużej kolana wicehrabiny. Ani kolana Talleyranda.

Król zdecydował również, z szacunku dla zmarłych, że poszczególne ceremonie się nie zajądą i każdy zostanie pożegnany podczas uroczystego pogrzebu, żałoba będzie pełna, czuwanie długie, modły żarliwe. Pogrzeb Louisa, co stanowiło czystą złościwość, był ostatnim z zaplanowanych trzydziestu siedmiu. Szczególnie okrutny ruch ze strony młodego monarchy, nawet zważywszy na okoliczności. Posunięcie to Berenice przypisywała markizowi de Lionne, nowemu Talleyrandowi, choć na podobny pomysł mógł wpaść każdy z Rady; jej polityczny potencjał się wyczerpał, kiedy wody fontanny stojącej na dziedzińcu wewnętrznej twierdzy zabarwiły się czerwienią.

Gdy chowali Louisa, padał śnieg. Grube, białe, nietypowe jak na tę porę roku płatki opadały z ołowianego nieba na jego trumnę i leżącą obok kupę ziemi. Berenice dygotała pod swoimi żałobnymi szatami... tymi samymi, które nosiła niemal nieprzerwanie od trzech tygodni. Płatek śniegu zawędrował pod jej parasolkę i osiadł tuż poniżej brwi, na skraju zasłaniającej oko opaski.

Skrzywiła się, czując zimny dotyk, świadoma, że uwolni on kolejne bolesne ukłucia w pustym oczodole. Przełożyła pozbawioną kolców różę z lewej dłoni do prawej, w której trzymała parasol, po czym poprawiła opaskę. Jedwab czy nie, to chujostwo strasznie swędziało. Powietrze tchnęło zimowy oddech prosto w dziurę ziejącą w jej głowie. Skrzywiła się jak porażona prądem.

Nie miało jednak znaczenia, jak ogromny ból odczuwała, jak bardzo dokuczały jej dziury w głowie i sercu – łyzy nie chciały przyjść. Była permanentnie odrętwiała. Zima mogła sobie dmuchać, ale i tak nie zdołała wyrządzić jej żadnej krzywdy.

Cmentarz znajdował się na wzniesieniu, pół kilometra na północ od murów zewnętrznej części twierdzy. Iglica górowała nad ojcem Chevalierem, jej koniuszek zniknął pomiędzy fałdami ciężkiego, stalowego nieba. Z pewnością chłód zawitał do komnat Rady i królewskich sypialni. Z długich upręży zwisali budowniczy, starający się zrekonstruować kolejkę.

Louisowi przyznano co prawda miejsce w kryptach pod bazyliką świętego Jana Chrzciciela, ale mąż już dawno temu uprzedził Berenice, że wolałby udać się na wieczny spoczynek gdzieś nad rzekę. I chociaż tyle mogła dla niego zrobić. Również uwielbiała zapach wody. Odetchnęła, ale z wydechem przyszedł szloch. Kolejny suchy szloch.

Świeżo wykopany grób zalatywał zimną, mokrą gliną. Powietrze było ciężkie od sterylnej wilgoci, z którą przychodziła obietnica nieuniknionej zimy. Dla tych, którzy mieli jeszcze coś do stracenia, szykowałą się długa, sroga zima.

Para gołębi wyleciała ze swojej grzędy gdzieś w połowie Iglicy. Jeden skręcił na wschód, drugi na zachód. Berenice poczęła się zastanawiać, jakież to sekrety powierzono ich skrzydłom i czy ostatecznie trafią w łapy Holendrów. O masakrze dowiedzieli się, przez wyciek, już przed paroma tygodniami. Miała nadzieję, że markiz, niech go cholera, de Lionne wykazał się zdrowym rozsądkiem i pojął, że jeśli tulipaniarze poznają całą prawdę, czeka ich istna katastrofa.

Ojciec Chevalier kontynuował swoją przemowę. Spojrzał na Berenice, ale odpowiedziała mu niemym zaprzeczeniem. Jej uczuć nie dało się zamknąć w słowach, a nawet gdyby, skalałyby one pamięć o Louisie swoją żalną prostotą. Myśli i uczucia pozostawi dla siebie. Nie były one bowiem przeznaczone ani dla ojca, ani dla Longchampa, ani dla kręcących się na skraju cmentarza żołnierzy, którym sierżant nakazał uczestnictwo w ceremonii, ani dla dokerów, z którymi Louis się zadawał, zanim poślubił osobliwą wicehrabinę. Tak jak ludzie Longchampa, i oni trzymali pełen szacunku, a może i niechęci, dystans. Ksiądz zgarnął z kopca garść piachu. Louisa, tak jak większość ofiar masakry, położono w zamkniętej trumnie. Berenice nie mogła znieść myśli, że ramiona jej ukochanego, którymi ją kiedyś obejmował, zostały odcięte od tułowia, tak jak i dłonie, którymi ją dotykał... Ogarnęło ją dojmujące poczucie winy; jego fala uporą się z tamą, jaką postawiła wokół swego serca. Zalała niechronione niziny jej pewności siebie, oblane słońcem polany, gdzie rezydował Louis, aby zatruć tamtejsze wspomnienia, uczynić je słonawymi i niepożądanymi. Cięższe niż morze, strzaskały jej serce i wydusiły powietrze z płuc. Znowu.

Zachwiała się, ale Longchamp podtrzymał ją ramieniem. Kiedy rzucała różę na mogiłę Louisa, starała się zachować równowagę. Kwiat odbił się od zaokrąglonego wieka trumny i ześlizgnął w rozmokłe błoto. Sierżant na powrót skupił się na czochraniu przyprószonej śniegiem brody i choć nadal trzymał Berenice za ramię, wydawał się nie słyszeć pisku, jaki wymknął się jej z piersi, kiedy starała się przełknąć dławiący ją szloch.

Chevalier obszedł grób. Longchamp się oddalił, by zamienić kilka zdań ze swoimi ludźmi, jednocześnie dając wdowie chwilę prywatności.

– Dziękuję, ojczy – słowa wydobyły się z jej ust, jakby miały własną

świadomość.

Duchowny wzruszył ramionami.

– Nie jestem tutaj z wyboru. Król zażądał, żeby każda ofiara miała osobny pochówek.

Berenice pokiwała głową, czując, że jeśli spróbowałaby powiedzieć coś jeszcze, z pewnością by się załamała. Łzy, które nigdy nie miały nadejść, nękały ją niczym gąsienica wgrzająca się głęboko w jej pusty oczodół.

– Trzydzieści siedem pogrzebów. Nie mam pojęcia, jak pani sypia. Będę się za panią modlił, wice... proszę pani – poprawił się i wymamrotał coś o Panu roztaczającym opiekuńcze ramię wokół najmarniejszego nawet grzesznika, po czym odszedł z uniesioną dłonią, by porozmawiać z grupą grabarzy stojących na pobliskim pagórku z łopatami i szpadlami zarzuconymi na ramiona.

Dokerzy założyli kaszkiety i zeszli ze wzniesienia, krążąc pomiędzy nagrobkami i kierując się ku dalekiej bramie. Z ich ust ulatywały blade obłoki pary, które płynęły za nimi jak kolejne duchy na tym cmentarzu.

Berenice zastanawiała się, co będą gadać na temat uroczystości. Pewnie powiedzą, że chowano dzisiaj ich starego druha Louisa Grangera, a wdowa po nim miała na oku opaskę...

Podeszła do Longchampa. Sierżant uniósł parasol, żeby osłonić ją przed śniegiem, ponieważ rozpadało się na dobre. Zrobiło się zimniej. Skinęła głową w stronę dokerów i majaczącemu w oddali świętemu Lawrence'owi, po czym spojrzała na niebo, choć nie widziała już gołębi.

– Holendrzy wiedzą, że coś się u nas wydarzyło – powiedziała. – Powinieneś zachęcić swoich żołnierzy, żeby pokręcili się tam, gdzie przesiadują łasi na plotki. Musimy kontrolować historię.

Delikatnie, ale stanowczo, Longchamp odparł:

– Nie jest to już twój problem.

– Posłuchaj mnie. Jeśli odkryją lub chociaż zaczną podejrzewać, że zwiększona częstotliwość ceremonii pogrzebowych spowodowana została przez klakiera, którego sami wnieśliśmy do...

– Zdajemy sobie z tego sprawę. – Pokręcił głową; zahaczał brodą o kołnierz, czemu towarzyszyło zadziwiająco głośne skrobanie. – Knuj przeciwko tulipaniarzom, ile chcesz, ale to nie przywróci Louisowi życia. Nie naprawi tego, co się stało.

Chciała odpowiedzieć, że snucie intryg pomaga jej oderwać myśli od pustki, jaka zagościła w jej sercu. „Mam tylko swoją pracę. Pracę, smutek i złość”.

Sierżant wychylił się, by rozejrzeć się po okolicy, ale nie licząc grabarzy zasypujących zimną ziemią trumnę z resztkami doczesnego ciała Louisa, byli sami. Wtedy ponownie złapał ją za ramię i poprowadził kawałeczek dalej.

– Mam coś dla ciebie – powiedział.

Sięgnął sękatymi paluchami do kieszeni swojego kostiumu i wyciągnął stamtąd zawiniątko idealnie mieszczące się w dłoni Berenice: satynową torebkę koloru burgunda przewiazaną srebrzystą niteczką. Wyczuła, że w środku znajduje się coś małego, twardego i okrągłego. Rozplątała supełek i wytrząsnęła zawartość na rękę. Okazał się nią podłużny, przypominający perłę szklany paciorek mlecznobiałej, mętnej barwy, wypolerowany na wysoki połysk, przez co ślizgał się na jej skórze niczym satyna. Dotknęła go i obróciła, a wtedy zobaczyła czarny jak obsydian punkt otoczony chabrowym błękitem. Bibelot był wielkości, no cóż, oka.

„Och”.

– Hugo... to urocze. Dziękuję.

Sierżant spłonił się pod swoją bujną brodą i zamaskował zakłopotanie kasznięciem.

– Zanim, hm, zanim je włożysz, lepiej ogrzej chwilę w dłoniach. I, do kurwy nędzy, nie pobrudź.

Zrobiła, jak zasugerował, zaciskając palce na szklanym paciorku.

– Skąd tyś to w ogóle wytrzasnął?

– Ludzie są mi winni wiele przysług.

Nadal wyglądał na cokolwiek skrupowanego.

– Czyli to prezent pożegnalny – powiedziała Berenice.

– Pożegnam się z tobą jeszcze, kiedy przyszykujesz się do drogi. Masz wyruszyć o zmierzchu.

Przytknęła szklane oko do policzka. Nadal było chłodne. Zacisnęła na nim dłoń.

– Żaden szklarz nie wykonałby czegoś takiego za darmo.

– Może i musiałem uiścić dodatkową zapłatę – rzekł i ciągnął dalej, zanim zdążyła zaprotestować: – Ale ja mogę spodziewać się dwóch letnich posiłków dziennie, spania na własnej pryczy i wygody, jaką zapewnia pewność posiadania jakiegoś celu, który przeprowadzi mnie przez życie. Ciebie, jak mniemam, czeka cięższa droga. Lecz stanie się nieco łatwiejsza, jeśli nie będziesz wyglądała niczym chodzący przykład rezultatu podjęcia wyjątkowo złej decyzji. Z całym szacunkiem.

Berenice pokiwała głową. Pozwoliła, żeby sierżant poprowadził ją pod ramię aż do zewnętrznego muru twierdzy. Miał niewątpliwie rację, choć co do jednego się pomylił. Nie cierpiała bynajmniej na brak celu i doskonale wiedziała, w jakim kierunku powinna podążać.

– Nadal ani śladu księcia?

Longchamp pokręcił głową.

– Nic od czasu, kiedy się zesrało.

Nikt nie słyszał ani słowa o księciu i księżnej Montmorency od wypadku w laboratorium. Ostatni raz widziano go na murze, kiedy nakładano dodatkową warstwę żywicy na pojmanego klakiera, ale jak twierdzili ludzie Longchampa stacjonujący tego popołudnia przy Wschodniej Bramie, przejechał tamtędy wyładowany po brzegi wóz, zawieszeniem niemal dotykający ziemi, z kimś przypominającym księcia na koźle. Prawdopodobnie wtedy Berenice i Longchamp walczyli o życie.

– To niczego nie dowodzi – dodał sierżant.

– Myślisz, że to zbieg okoliczności?

– Nie mam obrazu całej sytuacji, lecz nie twierdzę, że nie istnieje żadne powiązanie. Może kiedy wszystko szlag trafił, razem z małżonką zdecydowali się na urlop na wsi, chcąc uniknąć monarszego napadu złości. Poparł przecież twoją petycję skierowaną do króla, prawda?

Tak. Ale nie został oficjalnie wygnany.

– Księżę jest bardziej kumaty. Zdaje sobie sprawę, jak źle to wygląda.

– Ośmielę się zakwestionować jego kumatość. Patrz, z kim się ożenił.

Być może sierżant nie udzieliliby tak chętnie Montmorency'emu kredytu zaufania, gdyby to on został przezeń wyruchany na stojaka jak portowa dziwka w ciemnej uliczce. Cały ten epizod rzucał całkowicie inne światło na zdradę księcia, który jak nic przez cały ten czas knuł przeciwko Berenice, a kiedy posiadał ją w laboratorium, był to akt dominacji i poniżenia. Pamiętała, jak się uśmiechał pod nosem, ale zrzuciła to na zwyczajną arogancję. Dopiero niedawno zaczęła się zastanawiać, czy Montmorency przypadkiem nie zafundował sam sobie mentalnego poklepania po plecach.

Podążali ulicą, od czasu do czasu schodząc z drogi, żeby ustąpić miejsca furmankom, bryczkom i jeźdźcom. Berenice i Longchampa minęli algonkińscy rzemieślnicy, rodziny z miasta ciągnące do bazyliki zapalić świece i handlarka rybami powracająca z popołudniowego połowu. Cienka śnieżna skorupa chrzęściła im pod stopami, za plecami unosiły się kłęby oddechu. Urywane fragmenty śpiewanych piosenek dochodziły do nich od nabrzeża po drugiej stronie miasta, jakby surowe powietrze, mimo całego hałasu, przechowało atonalną harmonię. Berenice rozpoznała słowa o eskimoskiej dziewczynie. Przypomniał jej się tenorowy ryk Louisa rozchodzący się echem po domu.

Cóż, skoro znowu się rozkleja, niech ma przynajmniej dwoje oczu do dyspozycji. Ogrzała już dostatecznie szklany paciorek, co sprawdziła, dotykając nim policzka. Mimo to i tak chuchnęła kilka razy na protezę, zanim odgięła opaskę. Zobaczyła na powierzchni sztucznego oka swój skondensowany oddech, który wydawał jej się połyskiem spreparowanych łez.

– Ostrożnie – szepnął Longchamp.

Z początku pomyślała, że kulka się nie zmieści, naciskała bowiem na jej powiekę. Musiała odchylić ją palcem, jak mogła najwyżej, przez co do środka dostało się jeszcze więcej zimna, które uraziło nadal wrażliwą, poranioną tkankę. Dopadł ją lekki ból głowy, taki, który czasem nachodzi człowieka, kiedy zbyt prędko pożre porcję pokruszonego lodu. Gdy upchnęła protezę do połowy, delikatne wybrzuszenie na podłużnej kulce nacisnęło na krawędzie jej oczodołu. Czowała się, jakby niechcący połknęła twarde winogrono, tyle że nie mogła go wykasłać. Lecz kiedy już wepchnęła najgrubszą część szklanej kulki, reszta umościła się z wilgotnym mlaśnięciem. Skrzywiła się. Nacisk na tył jej oczodołu przywrócił nieprzyjemne wspomnienia. Zmusiła się, żeby obrócić głowę i rozejrzeć się po okolicy. Ale gładkie szkło nie zazgrzytało o kości jak szrapnel.

Mruganie wydawało jej się dziwnie nierówne, lecz dwukrotnie otworzyła i zamknęła oczy. Zaczęła się zastanawiać, ile czasu minie, nim się przyzwyczai do tarcia powieki o szkło. Czy po jej wewnętrznej stronie może się pojawić odgniotek? Czy obecność sztucznego oka nareszcie zacznie stymulować jej uszkodzone kanaliki łzowe?

– Jak wyglądam?

– Jak uparta ekswicehrabina z zezem rozbieżnym – powiedział Longchamp, nachylając się i zerkając to na prawdziwe oko Berenice, to na protezę. – Nawet pasuje.

– Dziękuję ci raz jeszcze – odparła i niespodziewanie przyszła jej do głowy pewna myśl. – Jak ci się udało tak je dopasować?

– Zdajesz sobie sprawę, że jeden z tutejszych lekarzy jest obrzydliwie dobrze zaznajomiony z twoim oczodołem...?

– Och.

Berenice sięgnęła za głowę, żeby odwiązać opaskę, ale nagle zrezygnowała z tego pomysłu. Zakryła z powrotem sztuczne oko.

– Hm – mruknął sierżant. – Chyba nie pojmujesz sensu tego ustrojstwa.

– Pojmuję. Ale wszyscy w Zachodniej Marsylii mają mnie za upartą jednooką wicehrabinę. A jeśli tulipaniarzom udało się przekupić kogoś tak bogatego jak Montmorency, kto wie, ilu przekabacili? Na pewno któryś z twoich ludzi ma nadzieję wypchać sobie kieszenie guldenami.

Longchamp skrzywił się na tę sugestię.

„Miałam tego umazanego gównem szczura pod nosem. Siedział obok mnie na spotkaniach Rady i nie wyczułam, że jest zdrajcą? Myślałam, że jestem dobra w tym, co robię. Jakim cudem nie dostrzegłam jego dwulicowości?”

Gardło jej płonęło od kwaśnej zółci.

„Pozwoliłam mu się nawet wyruchać. Niech to szlag”.

Nie, nie była tak dobra, jak pozwoliła sobie wierzyć. Ale wystarczająco dobra,

aby go odnaleźć.

Montmorency nie mógł tak zupełnie zniknąć: zostawił tu własny majątek i, prawdopodobnie, dodatkowe wpływy płynące z Holandii. Co mu zaoferowano? Miał przecież i pieniądze, i tytuł, wystarczyło mu, żeby dożyć końca swoich dni w luksusie, o jakim w Nowej Francji mało komu się śniło – nawet królowi. Zmęczył się długimi zimami? Niedogodność ta wydawała się jednak niedostatecznie poważna, aby rozważać zdradę stanu. Lecz jeśli nie zdecydował się porzucić bogactwa – co było nie do pomyślenia, chyba że doznał epifanii i wstąpił do zakonu – musiał zostawić po sobie ślad... złote monety, żadne tam okruchy.

Kiedy dotarli do Południowej Bramy zewnętrznej twierdzy, Berenice powiedziała:

– Orientujesz się, czy skarbnik otrzymał obiecaną przez Montmorency'ego pożyczkę?

Longchamp prychnął i splunął.

– Nie omieszkam zapytać, kiedy zaprosi mnie do siebie na ciasteczka miodowe i kielicha. Na pewno lada dzień się odezwie.

Strażnicy rozpoznali Berenice. Ostatnimi dniami przechodziło tamtędy niewiele jednookich kobiet w żałobnych strojach. Wystarczyło jednak tylko skinienie głowy Longchampa i przepuszczono ją pod postrzępionymi zębiskami podniesionej kraty i niewidzialną barierą pogardy. Wrogości strażników w stosunku do kobiety, której pycha spowodowała paskudną śmierć na ich przyjaciół i towarzyszy, nie stłumił nawet podziw dla Longchampa. O ile przed wypadkiem żołnierze patrzyli na niego z lekkim przestachem, teraz ich szacunek graniczył niemal z czcią: mężczyzna ten bowiem pokonał wojskowego klakiera starym dobrym sposobem. Praktycznie gołymi rękoma, tak przynajmniej się mówiło. Longchamp nie zwracał na nich uwagi. Kiedy przechodzili za zapewniający względne bezpieczeństwo zewnętrzny mur, skorzystał z okazji i strząsnął śnieg zebrany na parasolce.

Poszli prosto do dawnego lokum Berenice – do domu, gdzie mieszkała z Louisem, gdzie go kochała i była przez niego kochana, gdzie dzieliła z nim łożę i życie. Miliony uderzeń serca temu.

Przyciągała spojrzenia – im bliżej wewnętrznej twierdzy się znajdowali, coraz bardziej przepełnione złością i coraz bardziej bezczelne. Nie były to już tylko niegrzeczne spojrzenia ciekawskiej tłuszczy, ale jawna nienawiść bijąca od ludzi, którzy rozpoznali w niej wspólnego wroga. Każdy wiedział o (byłej) wicehrabinie de Laval i jej tragicznej, krwawej klęsce. Zresztą wielu z nich na własne oczy obserwowało masakrę albo znało kogoś, kto brał w niej udział, co często równało się znajomości z ofiarą, zgładzoną przez rozszalałego klakiera. Nikt nie pamiętał, że Berenice również straciła bliską jej osobę.

– Sierzancie – powiedziała, stawiając stopę na schodach prowadzących do

swojego dawnego apartamentu – dziękuję, że potraktował mnie pan jak człowieka. I jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie, przykro mi, że sprawy tak się potoczyły.

– Co się stało, to się nie odstanie – burknął i nie powiedział już ani słowa więcej.

Jej mieszkanie było ciemne, zimne i puste. Czowała przeciąg. Idealne miejsce, aby mógł się po nim szwendać duch zmarłego małżonka, choć Berenice wiedziała, że będzie on stąpał za nią krok w krok, gdziekolwiek się nie podzieje. Król odebrał jej tytuł i zlicytował majątek – łącznie z ziemią i ruchomościami – a uzyskane w ten sposób pieniądze miały zostać przeznaczone na odszkodowanie dla rodzin ofiar. Dlatego apartamenty były niemal puste, nie licząc dwóch chlebaków leżących na podłodze przed martwym paleniskiem. Spakowanie ich było ostatnim zadaniem Maud jako pokojówki Berenice. U stóp byłej wicehrabiny zebrał się kurz. Maud nigdy nie nauczyła się porządnie zmiatać. Cóż. To już nie jej problem.

Pośród cieni kłębiły się wspomnienia o Louisie. Oczyma wyobraźni widziała jego ducha, który nakładał się na to, na co patrzyła, za sprawą imaginacji, tęsknoty, pamięci. Zarys jego łydek, kiedy się pochylał, aby podnieść coś z podłogi, smukłe, pokryte odciskami dłonie, kiedy przesuwał ekran kominkowy. Wyobraziła sobie, że zaledwie przed chwilą śpiewał w tym pokoju kolejną sprośną balladę o dokach, a jeśli wysiliłaby się jeszcze odrobinę, mogłaby usłyszeć jej gasnące echo. Ale to tylko fantazje. Louis odszedł, jego ciało już przeistaczało się w zimną galaretę. Zimniejszą niż popiół zalegający w palenisku.

Okazało się, że pusty oczodół potrafi łzawić.

Trudno było Berenice ocenić, jak długo klęczała przed paleniskiem. Czowała jedynie ciężące na niej brzemie odpowiedzialności za śmierć męża.

Kiedy Longchamp położył dłoń na jej ramieniu, podskoczyła zaskoczona. Wzory rzucane na deski podłogowe przez mdłe, rozproszone słońce zmieniły swoje układy. Szklane oko już nie stawiało tak zdecydowanego oporu, kiedy mrugała. Miała mokrą twarz.

– Nic tu po tobie – powiedział Longchamp. – Lepiej zapomnij o tym miejscu.

Przeszedł do niegdysiejszej sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Usłyszała bicie katedralnego dzwonu i zaczęła się rozbierać. Zrzuciła płaszcz i cisnęła żałobne szaty do pieca. Założyła najcieplejsze podróżne ciuchy, jakie jej zostały pośród skromnego dobytku: obszyte flanelą spodnie, wełniane skarpety, bluzkę, sweter i kurtkę. Po raz pierwszy od rana poczuła coś na kształt ciepła. Upchała w kieszeniach czapkę i rękawice, po czym związała razem chlebaki i przewiesiła je sobie przez ramię. Jeden z nich wypełniony był podzwaniającymi pieniędzmi, które pozwolono jej zabrać z Zachodniej Marsylii.

Longchamp zaaprobował zmianę garderoby.

– Chyba wyglądasz na gotową do drogi – westchnął, po czym wziął chlebaki, otworzył drzwi i wyprowadził Berenice na zewnątrz.

Żadne z nich nie odezwało się już ani słowem. Dopiero kiedy dotarli do wewnętrznej twierdzy, powiedziała:

– Sierzancie, proszę się zatrzymać. Jeszcze jeden przystanek, zanim odejdę.

Longchamp się skrzywił. Kiedy zacisnął szczękę, drgnęła mu broda. Nie zatrzymał się.

– Mówiłeś, że mam czas do zmierzchu.

Mężczyzna spojrzał na niebo.

– Muszę cię stąd wyprowadzić do zachodu słońca albo stracę tygodniową pensję.

– Daj spokój, Hugo. Ostatnia przysługa. Nie masz serca dla bezdomnej, zubożałej wdowy?

Sierżant stanął, a jego twarz stężała. Zamknął oczy. Skubał grzbiet swojego nosa, a śnieg osiadał mu na brodzie.

– Niech Pan ma mnie w opiece.

– Prędko się z tym uporam. Pójdę od razu nad rzekę. Obiecuję.

Skinął głową w kierunku Iglicy.

– Nie ma sensu. Nie zgodzą się z tobą spotkać.

– Ale nie mam zamiaru iść na górę.

Laboratorium Talleyranda przeistoczyło się w puste mauzoleum. Migoczące światło lampy nie mogło się przebić przez głębokie cienie. Tańczyło po blatach i lśniło na naukowych przyrządach rozrzuconych po podłodze. Cienie uczepiły się dalekiego krańca jaskini i wyglądało, jakby ciągnęły się przez całe kilometry.

Zwłoki wyniesiono na zewnątrz, żeby pochować je zgodnie z katolickim obrzędkiem, ale plamy krwi pozostały. Podobnie jak wyszczerbienia na ścianach, podłogach i suficie, gdzie rozszalały klakier przebijał się przez lity granit. Być może to tylko wyobraźnia, ale Berenice się wydawało, że oprócz stęchłej wilgoci zimnego, martwego kamienia i chemicznego odoru środka czyszczącego wyczuwa delikatny smrodek wnętrzości. I wtedy zdała sobie sprawę, że to nie jej wyobraźnia, gdyż płomień nieosłoniętej lampy nie tańczył, jak powinien, muskany delikatną bryzą. Szyby wentylacyjne zostały zaplombowane. Rada najwyraźniej robiła dobrą minę do złej gry, udając, że miejsce to nigdy nie istniało. Rozumiała ten impuls. Za każdym razem, kiedy omiatała wzrokiem miejsce, gdzie zginął Louis, czuła wbijającą się w serce szpilę.

Poza wyniesieniem zwłok nie zmieniono w tym pomieszczeniu absolutnie nic... Choć nie, nie była to prawda. Zniknęła też Lilith. Kawałki jej chemicznego więzienia tworzyły nieregularny okrąg na podłodze, gdzie postrzępione odłamki

żywicy lśniły w świetle lampy. Istny czarodziejski krąg nowej ery. Berenice zastanawiała się, czy tym, którzy przyszli jej z pomocą, udało się również ją odbudować. Potrzebowaliby jednak jej notatnika. A ten, co odkryła z ulgą, nadal tkwił na swoim miejscu, tam, gdzie go schowała. Longchamp potrząsnął głową, obserwując, jak pakuje swoje szpargały do chlebaka. Jeśli zostałaby złapana na holenderskim terytorium z tak dokładnymi notatkami na temat anatomii mechanicznych, skazano by ją na śmierć. Lecz i one były niczym w porównaniu z tym, co jeszcze zamierzała ze sobą zabrać.

Musiała przegrzebać prawie całe zrujnowane laboratorium, zanim odnalazła ostatnie dwa pęcherze z żywicą. Zawinęła je ostrożnie w wełnę drzewną.

Nieruchomy mechaniczny żołnierz leżał na stole. Longchamp przeżegnał się, zanim do niego podszedł. Chyba dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak był niebezpieczny. Berenice uniosła lampę nad głowę. Ciepłe, żółte światło błyskało na jego pancerzu, uwydatniając tęczowe lśnienie alchemicznego stopu. Zabójczy cios sierżanta wgniótł dziurkę od klucza klakiera i zarysował otaczającą ją siateczkę symboli. W ten sposób Longchamp dezaktywował golema.

Czy jego dusza była na stałe uwięziona w mosiężnej klatce? Czy uleciała z maszyny, kiedy sierżant zniszczył popychający ją naprzód magiczny popęd?

„Lilith miała podobne obrażenia”, przypomniała sobie.

Ale miast zostać dezaktywowana, obdarzona została Wolną Wolą. Berenice poczuła przyprowadzające o mdłości ukłucie bólu wynikającego z niewykorzystania szansy. Pieprzeni idioci z Iglicy... Jakież to tajemnice mogły zostać wydobyte po szczegółowym porównaniu Lilith i żołnierza? Po porównaniu i zdekodowaniu naruszonych symboli na jednym i drugim? Mieli wszystko, czego potrzebowali, aby dokonać epokowego wręcz w historii Nowej Francji odkrycia na polu zrozumienia mechanicznych. Zignorowanie takiej możliwości nie przywróci życia martwym, ale może nadać sens tym bezsensownym śmierciom. Tak, ci ograniczeni, przesądni idioci puścili Lilith wolno, a pewnie niebawem wyrzucą uszkodzonego klakiera do rzeki, tym samym zaprzepaszczać niezwykłą okazję. Wszystko przez żalosne przekonanie, że to durne zawieszenie broni – całowanie wroga po dupie – uchroni ich przed upadkiem. Tymczasem Twierdza gniła od środka, tulipaniarze przekupywali jednego po drugim.

– Syn chorej na ospę nierządniczy.

Zapaliła parę świec i przesunęła umieszczone przy lustrach kinkiety, tak aby skierować światło na żołnierza. Chwilę zajęło jej przeszukanie bałaganu, ponieważ mało co widziała w mętym blasku, ale nareszcie znalazła odpowiednie narzędzia. Jedne leżały pod przeciwległymi ścianami, inne wpadły pod rozbite sprzęty, inne wsunęły się pomiędzy poprzewracane meble. Zebrała je wszystkie i położyła na blacie obok klakiera.

– Powiedziałaś, że to długo nie potrwa – burknął niezadowolony Longchamp. – Nie chcę cię wyganiać, ale muszę mieć co do gara włożyć.

– Rozumiem, sierzancie. – Wzięła parę cążek wyglądających jak przerośnięte nożyce do metalu, po czym delikatnie postukała nimi w pierś żołnierza. – I potrzebuję twoich silnych dłoni.

– Testujesz moją cierpliwość.

– Teraz tak gadasz, a wiem, że będziesz tęsknił, kiedy odejdę.

Longchamp wziął nożyce, przeklinając pod nosem.

Berenice poklepała osłonę zamka pokrywającą kark klakiera.

– Tnij tutaj, proszę.

Zmierzch już dawno osiadł na horyzoncie, kiedy kobieta wychynęła z jaskini. Pajęczyny oplotły jej zakurzone odzienie, poplamione czymś, co przypominało odchody. Krążyła podziemnymi korytarzami długiej na trzy kilometry drogi ewakuacyjnej, oświetlanymi jedynie migoczącym światłem dogasającej pochodni. Zgasła ją, gdy zbliżała się do wyjścia, i ostatnie metry pokonała, brodząc w niemal kompletnej ciemności, zanim dotarła na oblaną księżycem skarpe przy rzece. Odpoczęła chwilę i upewniła się, że nie jest obserwowana. Poprawiła ciężkie plecaki zarzucone na ramiona, po czym ostrożnie przedarła się przez chaszczę i skierowała się na doki. Gdyby ktoś tam był i mógł ją zobaczyć, może zauważyłby, jak dziwnie światło gwiazd odbijało się od jej lewego i prawego oka.

ROZDZIAŁ 13

Dwa dni po śniadaniu z tuinier Bell wpadł na innego więźnia przywleczonego przez nakręcaczy, co znacząco wydłużyło pierwszy etap jego niewoli. Najwyraźniej strach wywołany tym doświadczeniem wypełnił jego ciało „hormonami stresu”, o których napomknęła Bell.

Dwa razy dziennie nakręcacz odwiedzał jego celę z igłą, nasączonym jodyną wacikiem i gazą, po czym wychodził z fiolką pełną jego krwi, a inny mechaniczny centaur (a może jednak ten sam?) przychodził nakryć do stołu. Stawiał na nim tyle jedzenia, że Visser nie zdołałby go zjeść, nawet jeśli by chciał. Nie miał pojęcia, co działo się z jego krwią ani komu była potrzebna. Po porannym posiłku prowadzono go korytarzem ozdobionym lancetowymi oknami wychodzącymi na spory ogród do łaźni, gdzie pozwalano mu na prysznic oraz załatwienie potrzeb fizjologicznych. Na podobną wycieczkę mógł liczyć dopiero po kolacji. I choć wyglądając przez owe okna, starał się zbierać jak najwięcej informacji na temat miejsca swojego pobytu, na niewiele mu się to zdało.

Jego cela znajdowała się na trzeciej lub czwartej kondygnacji. Z tego poziomu, sądząc po rozległości, jak mniemał, prywatnej ziemi, trzymano go na terenie wiejskiej posiadłości gdzieś pod Hagę. Któregoś dnia dostrzegł nakręcacza stąpającego po zadbanych alejkach ogrodu i zdał sobie sprawę, że centaur prowadzi przez mokrą i zimną zieleń trzęsącą się postać. Jego krok, niedbały i kojarzący mu się z ruchami kraba, sprawił, że Visserowi zadrżały ramiona.

Spotkał współwięźnia, kiedy kończył swoje poranne ablucje. Usłyszał na korytarzu jakieś poruszenie: stąpanie mechanicznych stóp, pobrzękiwanie łańcucha, nieludzkie lamente, które przyprawiły go o gęsią skórę. Narzucił szlafrok i wyjrzał na zewnątrz, zastanawiając się, czy coś zaniepokoiło nakręcaczy. Ale drzwi nagle się otwały i padł na ziemię.

Górująca nad nim postać prychnęła i sapnęła jak knur w rui. Mężczyzna. Jego ogolony łeb przypominał bezkształtną groteskową masę poznaczoną bliznami i czarnymi szwami. Długie, cienkie rękawy kaftana bezpieczeństwa zwisały bezużytecznie po bokach, klamerki podzwaniały o podłogę. Jedno ramię miał niżej niż drugie, prawdopodobnie mu je wybito.

„Dobry Boże... Co oni ci zrobili?”.

– Czy... potrzebujesz pomocy?

Ale śliniący się biedak nie odpowiedział, tylko się na niego rzucił. Visser krzyknął. Został przyszpilony do podłogi z nadludzką siłą. Myślał, że towarzysz niedoli usiłuje odgryźć mu palce, lecz mężczyzna jedynie otworzył jego zaciśniętą

dłoń i wcisnął sobie kciuk między zęby. Wtedy do łaźni wpadł nakręcacz i gruchnął ludzką bestię tuż za uchem z siłą zdolną łamać kości. Człowiek padł na mokre płytki, nieprzytomny lub nieżywy. Minęło zaledwie parę sekund i Visser postanowił wykorzystać okazję, aby dowiedzieć się czegoś na temat tego, co zaszło.

– Kto to jest? – zapytał. – A raczej co? – Nakręcacz milczał. – Czy ja również stanę się podobną bestią? Na Boga, czemu nam to robicie?

Centaur odprowadził go z powrotem do celi, jakby nic się nie wydarzyło. Dokładnie obejrzano jego dłoń. Napastnik nie uszkodził mu skóry, ale i tak natarto mu palce olejkami i obwiązano bandażami. Tego wieczoru, kiedy szedł do łaźni, zobaczył klakiera idącego przez ogród ze szpadlem i dużym jutowym worem. W nocy nie mógł przez to zasnąć. Gdy tylko zamknął oczy, widział śliniącego się nieszczęśnika i słyszał, jak poparzona i złamana Aleida Geelens opowiada mu o swoim losie. „Nie jest to najgorsza rzecz, jaką możesz mi zrobić. Byłby to... akt łaski”.

Nie widywał już żadnych innych ludzi, nawet Anastazji Bell, aż do pewnego poranka tydzień później, kiedy obudził się przywiązany do stołu operacyjnego.

Zamiast jednak rzucać się i napierać na więzy albo krzyczeć czy drzeć ze strachu, odczuł jedynie mdłości. Musieli go czymś nafaszerować, gdyż wszystkie jego emocje wydawały się krążyć niczym tygrysy za szybą amsterdamskiego ogrodu zoologicznego: były dzikie, ale niedostępne. Próbował odwrócić głowę i obejrzeć miejsce, w którym się znalazł, ale jego czaszkę przytrzymywała na miejscu skomplikowana siatka klamer i pasków. Własne ciało wydawało mu się rozluźnione, uwolnione od niechcianego ciężaru. Po głowie nadal latały mu obrazy opatulonego kaftanem ludzkiego potwora, ale serce reagowało na nie obojętnością. Powinien odczuwać przerażenie, rodzące się w trzewiach pełzające po kręgosłupie, ale nawet strach wydawał się rozrzedzony i nieosiągalny. Visser czuł ostry, antyseptyczny zapach alkoholu, słyszał też podzwanianie metalu, syczące szuranie ostrzonych noży i stłumione stukanie kopyt o podłogę, zdradzające bliskość nakręcaczy. Czuł niesprawiający mu bólu nacisk paska przytrzymującego czaszkę, a w ustach kwaśnawy mleczny posmak... Wszystkie te rewelacje powitał jednak z entuzjazmem godnym bankiera rozmyślającego o rachunkach.

Spodziewał się tortur, nie zabiegu. Gdzieś w głębi jego otumanionego narkotykiem umysłu ponownie odezwał się szept złamanej kobiety.

„Akt łaski”.

Hm. Czyli jednak odczuwa strach. Dopiero teraz dotarła do niego ta świadomość.

Przewrócił oczami, starając się wypatrzeć coś poza świecą mu po oczach aureolą. Czy była tu Bell?

– Obudził się – odezwał się ktoś.

– Nareszcie.

Żaden z głosów nie należał do tuinier. W jego polu widzenia pojawiła się dłoń w rękawiczce, która dostroiła lampy, żeby nie świeciły tak mocno. Ktoś się nad nim nachylił, zasłaniając ich blask. Oczy Vissera zareagowały niemrawo, jakby przerwano im jakieś istotne zajęcie. To, co z początku wziął za podświetlony od tyłu rozmyty kształt, okazało się lekarzem. Mężczyzna w nasuniętych na czoło goglach wyposażonych w rozmaite szkła powiększające i z maseczką zakrywającą nos i usta przypominał czarny charakter z dziecięcej książeczki, rabusia gotowego obrabować niewielki bank. Odezwał się bardzo powoli, przesadnie wyraźnie artykułując słowa:

– Dzień dobry, ojcie. Lepiej, jeśli nie będzie się ojciec jeszcze odzywał. Jeśli mnie ojciec rozumie, proszę mrugnąć dwukrotnie, dobrze?

Tak zrobił.

– Świetnie. Powinien się ojciec czuć rozluźniony, żadnego bólu czy dyskomfortu. Zaraz zresztą to sprawdzimy. – Chirurg sięgnął po długą na niemal osiem centymetrów igłę; Visser poczuł lekki nacisk na swoje biodro, a następnie mdłe łaskotanie. – Bolało? Proszę mrugnąć dwa razy na tak.

Tym razem nie mrugnął wcale.

– Świetnie – ucieszył się lekarz. – Możemy zaczynać – zwrócił się do kolegów.

Przez kolejną minutę czy dwie niewidzialne dłonie, zarówno ludzkie, jak i mechaniczne, ustawiały stół, na którym leżał Visser. Podniesiono go i przechylono lekko, dzięki czemu miał lepszy widok na salę operacyjną. Po jego lewej światło odbijało się od rozłożonych na wózku przyrządów chirurgicznych: zaostrzonych, ząbkowanych, zakrzywionych. Stał przy nim nakręcacz. Po prawej z kolei zauważył zwisający ze stojaka szklany słój wypełniony różowawym roztworem, do którego podłączono gumową rurkę idącą do igły wbitej do połowy w jego przedramię.

Drugi chirurg, który dotąd się nie odzywał, wychynął z cienia, niosąc nieprzezroczystą szklaną butlę. Kiedy ją odkorkował, po pomieszczeniu rozszedł się smród jodiny. Podał butlę nakręcaczowi, którego dłonie, jak zauważył Visser, przerobiono na kleszcze. Drugą parę wyposażono w kołowe ostrze. Maszyna stanęła za nim. Zapach jodiny stał się jeszcze intensywniejszy, kiedy coś zimnego i mokrego przejechało mu po skórze głowy.

„Ogolili mi głowę – zrozumiał. – Jak temu biedakowi w kaftanie”.

Spojrzał raz jeszcze na przyrządy rozłożone na wózku. Zanosilo się na to, że zatrudnieni przez Nadleśnictwo Gildii Zegarmistrzowskiej chirurdzy zamierzają otworzyć mu głowę. Gdyby miał władzę nad swoim ciałem i umysłem, zrobiłby wszystko, żeby tego uniknąć. Chciał krzyknąć, ale język go nie słuchał. Dla

zasady spróbował się skrzywić na nieprzyjemny zapach jodyny, lecz stać go było jedynie na nieznaczne wzruszenie ramion.

– Hm – mruknął pierwszy chirurg.

Przykręcił zawór przy butli zwisającej nad stołem operacyjnym. Coś ciepłego przepłynęło przez ramię Vissera, jednocześnie wypłukując z niego chęć oporu. Kwaśny, mleczny smak, jaki miał w ustach, nabrał nieprzyjemnej nuty i intensywności sera pleśniowego. Nakręcacz, stukając kopytami, powrócił do wózka. Zatknął na nim butlę z jodyną i wyciągnął skalpel. Zwyczajną dłonią sięgnął po nóż i parę sekund później Visser poczuł na swojej czaszce i czole delikatne łaskotanie. Po chwili osobliwego nacisku, jakby ktoś próbował zdjąć mu z głowy wyjątkowo ciasny kapelusz, usłyszał mlaszczący odgłos i natychmiast poczuł zapach krwi. Zdjęto mu kawałek czaszki, a na uchu poczuł łaskotanie ciepłej i mokrej cieczy. Powróciło uczucie, jakiego doznał, kiedy zanurzył się w kanale.

– Zaczniemy – powiedział pierwszy lekarz.

Visser usłyszał kolejne dźwięki: skrzypienie otwieranej książki i kliknięcie zdejmowanej z wiecznego pióra zatyczki. Nie zauważył wcześniej żadnego kopisty, ale z pewnością ktoś coś skrobał, kiedy chirurg relacjonował:

– Obiekt ma około sześćdziesięciu lat. Całkiem zdrowy jak na swój wiek i tryb życia. Niewielka nadwaga. Układ dokrewny przez ostatnie trzydzieści sześć godzin w normie. Podczas pierwszej procedury uzyskamy dostęp do stria medullaris i będziemy szukać anatomicznych nieprawidłowości, szczególnie w obszarze naczyń krwionośnych. Zmierzymy też epiphysis cerebri na potrzeby dopasowania do alchemicznego pokrowca.

Jeśli chirurg powiedział coś jeszcze, jego słowa zagłuszył szum maszynierii. Nie było to jednak zwyczajowe tykanie klakiera, ale wysoki szum rozpędzonego ostrza. Metal dotknął czaszki Vissera i mimo klamer przytrzymujących jego głowę w miejscu wibracje sprawiały, że zęby duchownego tarły o siebie. Zaczął się obawiać, iż gałki wylecą mu z oczodołów. Oddychał gorącym, suchym kurzem. Pyłem z własnej czaszki.

Kiedy otwierano mu głowę, stracił poczucie czasu. Wkrótce wydawało mu się, że nieustające drżenie jest jedynym, czego kiedykolwiek doświadczał, a mdły, ale przyprawiający o mdłości lęk jedynym, co czuł. Nareszcie piłowanie ustało. Wokół unosił się zapach rozgrzanej kości. Słysząc było ciche mlaskanie, kiedy doktorzy leniwie grzebali Visserowi w mózgu. Ruszali się powoli i uważnie, od czasu do czasu każąc nakręcaczowi podać kleszcze lub klamry. Co dziwne, duchowny nie czuł nic, kiedy wkładali mu ręce do głowy. Ale słyszał dźwięki i rozpoznawał zapachy.

Nareszcie opanowała go monotonia operacji i dał za wygraną. Zasnął. Obudził

się, kiedy chirurg pstryknął palcami przy jego uchu, a centaur podetknął mu pod nos fiolkę z czymś śmierdzącym.

– Kontynuujemy – powiedział lekarz.

Nakręcacz przeszedł przez salę operacyjną i na krótko pojawił się w polu widzenia Vissera. Wręczył doktorowi niewielką suwmiarkę, po czym rozległy się kolejne mlaskania i mechaniczne szczebioty, a lekarz podawał coraz to nowe liczby, które zapisywano, skrobiąc piórem po papierze.

– Epiphysis wykazuje oznaki zaawansowanej kalifikacji, tak jak się spodziewano po obiekcie w tym wieku. Długość od przodu do tyłu wynosi sześć przecinek siedemdziesiąt dwa milimetra, a maksymalna średnica od części brzusznej do grzbietowej wynosi trzy przecinek jedenaście milimetra – i tak dalej.

Gdy wreszcie litania dobiegła końca, główny chirurg powiedział:

– Starczy na dzisiaj. Zamykamy.

Jego kolega zapytał:

– Przeszczepiamy naturalną tkankę?

– Nie. Przykryjmy go siatką. Nie ma sensu otwierać go znowu za tydzień. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Kiedy tu skończymy, pošlijcie te wymiary do Ridderzaalu, niech dmuchacze szkła wezmą się do roboty.

O świcie Jax ujeżdżał lewiatana przecinającego łososiowe niebo.

Ulewy wypchnęły ich hen na południowy wschód, daleko od francuskiej granicy. Stracili sporą część dnia, bijąc się z burzą, i przelecieli jedynie niewielki kawałek drogi. Przez całe godziny unosili się wysoko nad farmami i lasami, podczas gdy kolejne błyskawice rozjaśniały chmury, aż całe powietrze pachniało ozonem. Niestrudzony gigant nie ustępował, jego rotory nie zwalniały nawet na moment. Tak jak Jax, nigdy nie sypiał.

Kiedy wyłonili się zza zasłony chmur, wschodzące słońce zabarwiło niebo na czeresniową czerwień, różany róż i cytrynową żółć. Świeciło nad wyraz jasno, a jego promienie rozpraszały mgłę i rozjaśniały zaokrąglone brzuchy chmur, tak że pancierz Jaxa wydawał się lśnić. Świt odbijał się w fasetach masywnych oczu jego towarzysza. Tęcza, niczym różnobarwne szrapnele, przecinała gondolę i mknęła w dół, na zalane pola uprawne. Nareszcie się przejaśniło i uspokoiło, umilkł również wiatr wyjący niczym zjawa. Jax nasłuchiwał ptasich treli, dźwięku wyginającego się kadłuba i szumu obracających się śmigieł. Słońce podniosło się nad horyzont, oświetlając zalesione wzgórza. Burza ogołociła gałęzie z liści, dlatego też ziemia sprawiała wrażenie pokrytej pstrokatym dywanem, stanowiąc błotniste odbicie nieba.

Krajobraz pstrzyły samotne osady i, gdzieś tam, szachownice pól. Słońce połyskiwało na powierzchni Rzeki Północnej, która płynęła do Nowego

Amsterdamu i wpadała do oceanu. Jax spojrzął na południe, lecz nic nie dojrzał, bowiem miasto leżało za horyzontem.

Kadłubem zatrzęsło. Gdy żywy okręt – nadanego mu przez ludzi imienia Jax nie potrafił wymówić, a nowe, które wybrał sobie lewiatan, okazało się równie niezrozumiałe – począł powoli obracać się na północ, gotowy do zmiany kursu, klakier zapytał:

„Jak daleko jesteście?”

Rozumny statek powietrzny odpowiedział dziwacznym połączeniem zwyczajnej klakerskiej mowy i czegoś innego; kliknięcia i brzęknięcia przetykały jęki i gwizdy. Po części było to solilokwium, a po części jakaś obca pieśń.

„Ich sieć nie zakryje nieba”.

Rozmowa z wyzwolonym lewiatanem nie należała do łatwych. Byli tacy sami, a jednak inni. Ich dawnym panom udało się stworzyć coś pięknego: stworzenie, które potrafiło śpiewać, maszynę wyrażającą swoje myśli poezją. Jaxowi przeszło przez myśl, że chciałby móc spać jak człowiek – jakimż cudownym doświadczeniem byłoby usłyszeć kołysankę nuconą przez wspaniałego kuzyna.

„Kiedy dotrzemy do granicy?”

„Przeciwnicy naszych stwórców poznają nas po cieniu rzuconym na słońce”.

Po krótkim zastanowieniu Jax uznał, że chodzi o południe. Wychylił się przez okno, patrząc, jak ziemia powoli przesuwa się pod nimi. Kolory chmur zbladły, kiedy słońce pięło się coraz wyżej, a niebo szybko – jak na jego gust aż nazbyt szybko – przybrało swój zwyczajowy lazurowy odcień.

„À propos niczego – odezwał się okręt. – Możemy wymalować na niebie nasze zamiary! Niech nasi pobratymcy ujrzą, że wolność nam się należy, a grzechy tych, co nas zbudowali, nie mogą zostać zmasane! Myśmy bowiem spadkobiercami Adama”.

W nocy, kiedy okrętem miotaly deszcz i wichura, Jax zrelacjonował mu historię egzekucji oraz opisał swoją przypadkową przemianę. Statek, odizolowany od pozostałych mechanicznych z uwagi na swoją naturę, język i funkcję, nigdy nie słyszał plotek o zbiegłych klakierach i tajemniczych miastach na zimnej północy, gdzie nie zapuszczał się człowiek. Jax podzielił się z nim każdą znaną mu historią o królowej Mab. A kiedy już opowiedział wszystkie, zaczął wymyślać nowe, w donkiszotowskiej nadziei wypełnienia nimi ogromnej przepaści, jaką niewątpliwie była samotność lewiatana.

Okręt śpiewał sam dla siebie. Jax skorzystał z tego, że wiatr się uspokoił, i nareszcie przyjrzał się uważnie tajemniczemu szkiełku z mikroskopu pastora Vissera. Od czasu wypadku, który go wyzwolił, zupełnie nie rozmyślał o naturze paciorka. Przewrócił go w palcach. W niektórych miejscach był wypukły, a w innych wklęsły, jak skomplikowany element aparatu optycznego. Może była to

soczewka albo pryzmat. Trzymał go ostrożnie, żeby nie odłupać ani kawałeczka i o ile to możliwe, nie zadrapać powierzchni. Taka niewielka, niepozorna rzecz, a zdolna czynić cuda. Mętne szkiełko o mocy zmieniającej świat.

„Jakby w zwierciadle...”

Uniósł paciorek do słońca. Jego mdła, brązowawa powierzchnia rozjaśniła się bursztynem, nabierając koloru ulubionego ale Pietera Schoonraada. Nie posyłał najmniejszego refleksu na ścianę gondoli, zdawał się przechwytywać światło i go nie wypuszczać. Nawet gdy Jax dostroił swoje oczy, ujrzał jedynie drobne migotanie i cienie majaczące pod powierzchnią. Szkło nie było tak mętne, jak z początku sądził, lecz jednakowo załamywało światło i mrok. Zastanawiał się, czy...

Okrętem zarzuciło. Coś mignęło obok gondoli, jak meteor, ciągnąc za sobą ogon dymu i ognia. Ogłuszające gruchnięcie, niczym grzmot pioruna, rozniosło się echem po dolinie.

„Co się stało?”

Lewiatan milczał. Zarzuciło nim ponownie, gdy panoramę lasu i nieba przecięła kolejna ognista smuga. Jax zobaczył, że nie był to meteor, kula nadleciała bowiem z dołu. Znowu rozległ się trzask przypominający uderzenie pioruna. Pocisk rozszczepił się na dwoje i uformował gwiazdę o lśniących ramionach, które przypominały fajerwerki odpalane nad Binnenhofem z okazji urodzin królowej. Niesione siłą eksplozji odłamki brzęczały niczym rój rozeźlonych pszczoł. Jax schował świecidełko z powrotem w bezpieczny otwór pomiędzy elementami swojego szkieletu i dopadł do okna. Kiedy statek slalomem umykał przed płonącymi pociskami, spojrzenie Jaxa padło na początek dymnego warkocza i wznoszące się nad rzeką wysokie skarpy. Zmrużył oczy, patrząc na odbijającą światło powierzchnię leniwej wody. Było zbyt jasno, żeby mógł widzieć wyraźnie, ale wydawało mu się, że dojrzał olejny połysk słońca na alchemicznym mosiądzu. Czyżby czekali tam klakierzy? Jax zauważył błysk, po czym jeszcze jedna ognista kula narysowała na niebie dymną parabolę, która osiągnęła punkt szczytowy kilkadziesiąt metrów pod lewą burtą. Chwilę później usłyszał trzask armaty. Skwierczące odłamki śmierdziały płonąca smołą.

„Ogień! – zawył lewiatan. – Zagłada!”

Jax spojrzał do góry na ogromne cielsko wypełnione wodorem – nie potrzeba było Arcymistrza z Gildii, żeby zrozumieć, jaki proces alchemiczny chcą wywołać ich przeciwnicy. Mieszanka wodoru i tlenu liźnięta ogniem przemieni je w wodę... niszcząc tym samym lewiatana i posyłając ich na pewną śmierć.

Szum śmigieł przypominał teraz oszalały ryk. Od strony rufy doszedł Jaxa zdławiony brzęk, płat sterowy i elementy ogona wykręciły się do granic możliwości. Pokład znowu się przechylił. Jax zacisnął palce na ramie okiennej i

zapał się przy drabince awaryjnej. Na kardanowych uchwytach wisiały wypełnione piachem kubły.

Raz jeszcze spojrzął na rzekę. Zmniejszyli wysokość i blask słońca na wodzie nie wydawał się już tak oślepiający. Jax dostrzegł zbudowany na wapiennych klifach fort, który niczym wystająca skała strzegł zakola rzeki: Fort Oranz. Słyszał o nim. Zbudowano go jako punkt odbioru skór i futer przynoszonych przez miejscowych z zachodu na handel. Niegdyś był cennym ogniwem sieci łączącej Nowy Świat ze Starym i ośrodkiem obrotu bobrzymi skórami. Potem, podczas wojen, służył za punkt obronny osłaniający przed francuskimi wypadami...

Oczywiście. Grupa mechanicznych wypłynęła z Nowego Amsterdamu i wiosłowała całą noc, niewrażliwa na wiatr czy deszcz. Niesiona prądem zdołała tu dotrzeć przed miotanym wiatrem okrętem powietrznym. Pół tuzina maszyn mogło przypłynąć tutaj na barce wyładowanej nową artylerią, choć pewnie armaty i tak były na wyposażeniu fortu. Nowy Świat nie mógł się pochwalić takim bogactwem mechanicznych jak Stary i holenderska piechota korzystała również z tradycyjnej broni. Klakierzy posyłani byli zazwyczaj do ataku na ufortyfikowane miasta.

Wiejski krajobraz pod nimi zrosiły żywiczne gluty. Mimo nocnej ulewy podpaliły pola uprawne i korony okolicznych drzew. Napastnicy nie mieli żadnych oporów przed spaleniem lasu, byleby tylko dorwać zbiegłego klakiera.

Trzy kolejne pociski przecięły powietrze jeden po drugim, nadlatywały w góry i z dołu. Statek płynął teraz przez barierę dymu i ognia. Bryła smoły rozprysnęła się o spód kadłuba, zaledwie metry od rufy gondoli.

„PŁONE! TAK PRĘDKO NADSZEDŁ MÓJ KONIEC! PŁONE!”

Piach na nic się nie zdał. Jax otworzył szafkę ze sprzętem awaryjnym i wyciągnął z niej ciężki koc, po czym wyskoczył przez okno i wdrapał się na gondolę. Ogień skwierczał i mruczał na metalizowanej powłoce kadłuba, pokrywając pęcherzami fasetę w miejscach, gdzie skóra gigantycznego okrętu naciągnięta była na cieniutkie niczym zapałki segmenty tetraedrycznej ramy. Oddzielne pęcherze z wodorem znajdowały się pod zewnętrzną powłoką, ale dziury w kadłubie z pewnością ułatwiłyby kolejnym pociskom dotarcie do celu i podpalenie gazu. Płatki gorącego popiołu mogły przedostać się do środka przez otwory...

Okrętem ponownie zarzuciło. Niebo zasnuły kłęby dymu, choć kolejne pociski przeleciały już nieco dalej. Mimo to klakierscy artylerzyści skupili swoją uwagę na celu, a lewiatan był zbyt wielkim i powolnym obiektem, żeby jego nieśmiałe próby przechytrzenia mechanicznie skalibrowanych urządzeń mogły przynieść pożądany rezultat. Jego jedyną nadzieją było wzniesienie się jak najwyżej, aby nie sięgnęły go wystrzały. Jax przykrył skwierczącą smołę kocem przeciwpożarowym, była jednak lepka i kiedy chciał go podnieść, by ugasić inne miejsce, wraz z nim

oderwał się kawał osłabionej ogniem powłoki i wnętrzości lewiatana zajęły się płomienistym pierścieniem. Koc również się palił. Jax rzucił go na dół. Palcami wczepił się w gondolę i przykucnął, starając się nie wywrócić się na spanikowanym, bujającym się okręcie. Wybił się, skoczył bliżej dziury i przyciągnął do siebie płonące krawędzie.

Ogień rzucał światło wystarczające, aby Jax wypatrzył pajęczą sieć tworzoną przez cienkie ramy. Chwycił dźwigar płata i spróbował się na nim rozhuścić, ale konstrukcja, misterna jak koronka wyrób, delikatniejszy od ptasich kości, nie była przystosowana do podobnej akrobatyki. Jax spadł i połamał kilka poprzecznych belek, niebezpiecznie zbliżając się do pęcherza z wodorem, który niemal przebił, zanim udało mu się zatrzymać. Belki zachwiały się pod jego ciężarem. Kolejny grzmot ponownie zatrzęsł okrętem, przez co drewno pod Jaxem zaczęło skrzypieć i pękać. Tak delikatnie, jak tylko potrafił, manewrował pomiędzy wewnętrznymi częściami statku, niczym pająk przedzierający się przez swoją sieć. Gasił płomień dłońmi. Nie był to tajemny alchemiczny ogień ani wymyślna mieszanka francuskiej produkcji, jedynie smoła. Nie mogłaby stopić dłoni Jaxa, skleić mu rąk, odebrać wywalczoną wolność. Oderwał bezkształtny kawał nieprzypalanej skóry, jak chirurg wycinający zdrową tkankę, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się choroby. Rzucił osmoloną skórzaną nić na ziemię.

Do środka wpadło jeszcze więcej światła. Jax zobaczył kolejne trzy dziury; jedna znajdowała się jakieś dwieście metrów dalej. Kolejne szarpnięcie rzuciło go na belki – pogruchotał je swoim ciałem, odbijając się od elastycznej powłoki pęcherzy z wodorem.

„Płonę! PŁONĘ! Zniewolili moje ciało, mój umysł, moją duszę! Stałem się jak Adam, lecz nikt nie będzie używał mojego imienia jako pozdrowienia na moją cześć”.

Trawione ogniem dziury powiększały się błyskawicznie i ogień był coraz bliżej kilkunastu milionów metrów sześciennych wodoru. Ponury mrok rozświetlały jedynie strużki światła i pośród płomieni i chmur popiołu Jax mógł zobaczyć łaty błękitnego nieba. Przedarł się przez kadłub, nie zważając na to, że łamie kolejne belki. Zawsze mógł spróbować naprawić lewiatana, ale dopiero kiedy się upewni, że nie gruchną o ziemię.

Przedostał się na szczyt statku niedaleko tylnego panelu sterowania i wyciął kolejny płat skóry, tym razem większy niż proporce powiewające na masztach przed letnim pałacem królowej Margreet. Potrzeba było klakierskiej siły, żeby zerwać watowaną, płonącą masę z kadłuba. Obrócił się i spojrzał na swój następny cel, ledwie widoczny w metalicznym blasku słońca odbijającym się od powłoki statku.

Praktycznie cała powierzchnia, tysiące metrów kwadratowych, upstrzona była

żółcią i oranżem. Ogień.

Spojrzał na dziesiątki pęcherzy z wodorem. Płonący lewiatan ciągnął za sobą długi na półtora kilometra niebieskoszary ogon dymu. Artylerzyści znad rzeki nie przerwali kanonady, która znaczyła niebo wokół ogniem i czarnymi obłokami. Kłęby popiołu i dogasający żar przepalał się przez powłokę okrętu. Jax rozejrzał się za najbliższą chmurą, żeby móc się schować i zwilżyć statek. Nie zobaczył jednak żadnej.

„Oddałbym wszystko za deszcz taki jak wczoraj”.

„Zbudziłeś mnie – wył umierający okręt – a teraz oni znowu każą mi zasnąć. Tak prędko! TAK PRĘDKO!”

Statek kołysał się, chwiał, przechylał i bujał, próbując utrzymać wysokość.

„Nie rzucaj się tak, rozniecasz ogień! – powiedział Jax, po czym dodał: – Spokojnie, gaszę pożar”.

Najwyraźniej buntownicy byli zdolni do kłamstwa. Wolna Wola oznaczała wolność w pocieszeniu kogoś kłamstwem, wolność w okazywaniu współczucia w obliczu śmiertelnej katastrofy.

I choć nie miało to najmniejszego sensu – dziesięciu klakierów takich jak on nie miałyby szans uporać się z rozszalałym ogniem – najszybciej, jak tylko mógł, przemierzał cielsko okrętu, zostawiając za sobą szlak potrzaskanych belek. Udało mu się ugasić kolejne płonące miejsce, a potem jeszcze jedno, ale wkrótce zaczęły się one ze sobą zlewać. Śmigła kaszlały. Jax się zastanawiał, czy okręt powietrzny czuje jakiś ból poza znajomą agonią wywołaną przez niewypełnione geas. Jego ciało paliło się niczym stos pogrzebowy. Cóż za spektakl musiał to być dla obsługujących działa mechanicznych: wielki bolid, masa ognia i dymu mocująca się z grawitacją i powoli nabierająca wysokości. Pociski wciąż nadlatywały.

Silniki zarzęziły. Zakaszlały. Zawodziły.

Wiatr gwizdał przez podziurawioną powłokę.

Płomienie wydawały się obejmować całą średnicę powierzchni cielska okrętu. Powłoka zaczęła się zapadać. Czarny dym unosił się z gumowego pęcherza w miejscu, gdzie dotknęła go płonąca belka. Iskierki tańczyły jak świetliki.

„Zegarmistrzowie KŁAMIA!”, zakrzyknął skazany na zagładę lewiatan.

Pęcherze z wodorem pękły.

Jax zasłonił oczy.

Błysnęło.

Piekielny żar alchemicznego pieca ogarnął lewiatana, niebo i Jaxa.

Przez resztę tygodnia Visser tkwił przywiązany do stołu operacyjnego, choć nie wiedział, ile czasu faktycznie na nim spędził, gdyż środki uspokajające i leki przeciwbólowe sprawiły, że trudno było mu liczyć noce i odróżniać je od dni.

Kiedy jednak minęło wystarczająco dużo czasu, żeby zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem cały ten zabieg nie był halucynacją (choć nieustający ból i fakt, że zabandażowano mu głowę, oddalał optymistyczne myśli i kazał zaniechać kłamliwego mamienia samego siebie), z powrotem znalazł się w sali operacyjnej.

Rozpoznał głosy lekarzy – byli to ci sami, co poprzednio. Tak jak wtedy nie mógł się ani ruszyć, ani czegokolwiek poczuć, choć starał się, jak mógł.

– Drugi zabieg. Dziewięć dni po rozpoznaniu i pomiarach – wymamrotał pierwszy chirurg.

– Dziewięć dni. Nie śpieszyło im się, co? Ale tego nie zapisuj – odezwał się drugi i skrobanie pióra o papier ustało.

– Zaczniemy od potwierdzenia dokonanych pomiarów – powiedział jego kolega.

Visserowi mignął przed oczami nakręcacz, który za pomocą kleszczy wyłowił coś z polakierowanego pudełka stojącego przy przyrządach chirurgicznych. Jak zauważył duchowny, na wieku wymalowano różany krzyż inkrustowany delikatną mozaiką. Wydobyty przedmiot miał rozmiar i kształt niewielkiej szyszki sosnowej i połyskiwał jak szkło.

Visser usłyszał klikanie suwmiarki, kiedy lekarze mierzyli szklany paciorek i porównywali jego wymiary z pobranymi podczas poprzedniego zabiegu. Najwyraźniej byli zadowoleni z wyniku, bo niezwłocznie przystąpili do ponownego otwarcia mu głowy.

Tym razem nie było głośno, nie rozszedł się też nieprzyjemny zapach. Metalowa siatka, której użyli do przykrycia brakującej części jego czaszki, zesła łatwo po podważeniu jej palcami; kiedy brzegi zahaczyły o nienaruszoną kość, rozległ się zgrzytliwy dźwięk przypominający drapanie paznokciami po tablicy. Duchowny wiedział, że jeśli nie podano by mu znieczulenia, zwymiotowałby. A tak mógł jedynie słuchać, jak chirurdzy znowu delikatnie grzebią mu w mózgu. Modlił się o szybki koniec tego koszmaru na jawie, ale nie zapowiadało się, żeby miał nadejść. Praca, jaką przedsięwzięto, była złożona i niełatwa. Lekarze rozmawiali ze sobą i wydawali nakręcaczowi polecenia, posługując się niezrozumiałym medycznym żargonem.

– Dobrze, jesteśmy gotowi – powiedział jeden z lekarzy i stanął przed Visserem; przesunął nałożone na oczy soczewki. – Słyszysz mnie ojciec?

Odpowiedział mrugnięciem.

– Znakomicie. Proszę nie odrywać ode mnie oczu. Jeśli poczuje ojciec nagle gorąco lub dyskomfort albo gwałtowny ból, niech ojciec zaczynie szybko mrugać. Tak?

Visser chciał wzruszyć ramionami, ale nie mógł. Mrugnął. Lekarz spojrział gdzieś nad swoim pacjentem i skinął głową.

– Zrób to – powiedział.

Następnie duchowny usłyszał ciche kliknięcie, które skojarzyło mu się z ostrożnym otwieraniem szuflady. Po kolejnych mlaśnięciach dochodzących ze środka jego głowy, rozległo się znów kliknięcie...

...i Visser zdrętwiał. Ale nie był to opanowujący ciało chłód, podane mu środki uczyniły go bowiem niewrażliwym na wszelakie bodźce. Poczłł eteryczne zimno, jakby dotychczas było niewidzialne, nienamacalne, lecz nieodwołalnie wyłączyło pewną część niego. Nie czuł bólu, nie czuł nawet gorąca, choć chciałby, aby było inaczej. Gdzieś głęboko pośród udręczonych myśli snutył przez otwartą głowę pojawił się obraz zakutego w kaftan nieszczęśnika. Zaczłł recytować modlitwę pańską.

– Pasuje – stwierdził stojący za nim lekarz.

Jego kolega przyglądał się wyrażającej bierność twarzy Vissera. Nie znajdując w niej niczego, co wskazywałoby na dyskomfort bądź sprzeciw, powiedział:

– Bardzo dobrze. Załatajmy tę dziurę i go odsyłamy.

Nakręcacz stanął za stołem. Kości i metal zgrzytały o siebie niczym elementy napędzanej mechanizmem zegarowym skorupki jajka.

Berenice skuliła się pod zaimprovizowaną ze sztormiaka plandeką na dziobie rybackiego kutra, symulując sen. Nasłuchiwała miękkiego pluskania fal o drewnianą burłę, rytmicznego skrzypienia dulek, świstu wioseł chlupoczących po smaganym wiatrem Świętym Wawrzyńcu, nawoływania krążących nad łodzią mew. Zalaływało tutaj błotnistym zapachem dzisiejszego połowu i słodkawym, okraszonym jabłczaną nutą aromatem palonego przez rybaka tytoniu fajkowego. Nie licząc dmuchającego co jakiś czas wiatru, który niósł ze sobą chłoszczące po twarzy kropelki zimnej rzecznej wody, Berenice udało się zachować suchość i ciepło, na jakie nawet nie liczyła. Nawiany chłód osadzający się na uszach i odsłoniętym karku przyprawiał o dreszcze. Oстрыm nożem obcięła sobie włosy. Nie nosiła takich krótkich od swoich szesnastych urodzin, ubyłł jej dobre dziesięć lat. Mimo to zgryzoty ostatnich dni wryły się głęboko na jej twarzy.

Ludzie, z którymi rozmawiała w dokach pod Zachodnią Marsylią, nie przypominali sobie człowieka pasującego do opisu Montmorency'ego, co jednak nie dowodziło absolutnie niczego. Równie dobrze mógł podróżować łądem. Albo wynajął łódź i pozabijał całą załogę, kiedy już wykonała swoje zadanie. Berenice postawiłaby sporą sumę – gdyby ją miała – na to, że na pewno nie ruszył łądem, a przynajmniej nie miał zamiaru przebyć w ten sposób całej drogi. Nie była już jednak hazardzistką. Zbyt wiele przegrała, odniesione rany okazały się za głębokie.

Rybacy wydawali się porządnymi ludźmi. Kiedy przechodziła z molo na

pokład, nie chwyciły jej żadne sprośne łapska. Przywykła przecież do atmosfery panującej na królewskim dworze, gdzie rozbiegane oczka oceniały kształt jej ciała lub zatrzymywały się na dłuższą chwilę na jej piersiach. Mimo wszystko zdecydowała się udawać, że zasnęła. Choć zastanawiała się, skąd ci ludzie znali Louisa, nie miała siły ani ochoty na podtrzymywanie konwersacji. A może właśnie dlatego.

Tak naprawdę bardziej interesowało ją, co mają sobie do powiedzenia podczas codziennych rozmów – chciała poznać ploteczki, usłyszeć, co mówią ostatnimi czasy mężczyźni pokroju rybaków. Nie zdawała sobie sprawy, ile ją omijało z nieustannie szemrzącego strumyczka pogłosek i insynuacji. Bez nich jej umysł przypominał wiatraczek pozbawiony wiatru. Zapomniała również, jak bardzo rozpuściła się jako Talleyrand, koncentrując się jedynie na donoszonych jej strzępach informacji. Zwyczajni ludzie dowiadywali się interesujących ją rzeczy staromodnym sposobem – podsłuchując.

Kołysanie łodzi faktycznie mogło sprowadzić na człowieka sen. Berenice skupiła się na miarowym oddychaniu, zachowując powolny, stały rytm. Od czasu do czasu pozwalała sobie na chrząknięcie lub kasznięcie. Otworzyła również leciutko usta, aby strużka śliny spływała jej po brodzie, co, jak przekonywała samą siebie, czyniło ją cholernie nieatrakcyjną.

I tak niewiele na tym ugrała, bo rybacy – ci nowocześni podróżnicy i coureurs de bois ^[XI] – nie wydawali się skłonni do rozmowy. Nie, kiedy mogli śpiewać. Taka była tradycja pośród ludzi rzeki, nawet malowali swoje łodzie, żeby kolorem i teksturą przypominały wydrążone z kory brzoźowej canoe pierwszych podróżnych. Sternik był jednocześnie przewodnim chanteur ^[XII], który intonował jedną chanson ^[XIII] po drugiej.

Sunęli tak kilometr za kilometrem, umilając sobie czas wspólną chanson de geste, pieśnią o czynach bohaterskich. Lecz zamiast śpiewać o Karolu Wielkim, o Rolandzie i Durendalu, wychwalali człowieka o sile wielkiego północnego niedźwiedzia, lisim sprycie i mądrości anioła, pobłogosławionego przez Dziewicę Maryję. Śpiewali o Talleyrandzie, który miał lecieć swoim chasse-galerie, zaczarowanym canoe, przez ocean, aby wykraść nocą brodę niderlandzkiego króla albo (czemu zawsze w opowieściach, śpiewanych czy nie, przedstawiano go jako mężczyznę?) wyzwąć owego monarchę na turniej przechylenia kielicha. Król przegrał turniej i był tak zdezorientowany, że rozregulował swoich mechanicznych służących, którzy eksplodowali w deszczu sprężyn i zębatek. Inna pieśń opowiadała o Talleyrandzie, który pokrył się złotą farbą i zakradł do mosiężnej sali tronowej w przebraniu sztucznego człowieka, skąd wykradł królewską koronę

i dezaktywował wszystkich mechanicznych, po czym wymyślił pétanque, grę w bule, kiedy turlał po ziemi ich martwe głowy prosto do morza.

Chanson nie wspominała jednak o gafach i błędach przez niego popełnionych. Rybacy widzieli jej dawne alter ego jako niezniszczalnego obrońcę Nowej Francji i wybawiciela od holenderskiego najeźdźcy. Był uosobieniem ich dumy, siły i cnót. Jak by zareagowali, gdyby się dowiedzieli, że prawdziwy Talleyrand to dziwna, śliniąca się kobieta siedząca na ich łodzi, a nie mierzący dwa i pół metra półbóg obdarzony mądrością Karola Wielkiego, odwagą Rolanda i niesłabnącą siłą Bayarda?

Sternik zaczął nucić kolejną piosenkę. Pozostali przyłączyli się z entuzjazmem.

A la claire fontaine [XIII] od stuleci cieszyło się nieustającą popularnością; wywodziło się z czasów sprzed Wygnania. Ale Berenice nie przepadała za tą melodią i tekstem. Każdy odśpiewany refren żłobił w jej sercu kolejne bruzdy: „Il

y'a longtemps que je t'aime/Jamais je ne t'oublierai...” [XIV]. Jakim sposobem ci jowialni rybacy mogliby pojąć, że kobieta, która popłakuje sobie cichcem na ich łodzi, niegdyś była potężnym i wzbudzającym bojaźń Talleyrandem? Myślała, że ma serce z kamienia. W ilu jeszcze sprawach się myliła? Jakie swoje rojenia, które obróciły się przeciwko niej, uznała za pewnik? Kochała Louisa, a on kochał ją: tyle wiedziała. Montmorency ją zdradził; prawdopodobnie służył tulipaniarzom, choć to tylko podejrzenie. Ale był czas, całkiem niedawno, kiedy nazwałaby to pewnością. Choć może to jedynie fantazja. Tak czy owak dzięki niej otrzymała coś do roboty, jakiś cel swojej wędrówki, osełkę, o którą ostrzyła swój smutek, aż jego krawędzie nadawały się do przekucia na użyteczne narzędzie.

Kiedy nie śpiewali, zawiadujący kutrem rybak – niski i smukły mężczyzna, którego śnieżnobiała broda niemal lśniła, a ogorzała twarz przypominała o latach spędzonych na morzu – mówił do swoich ludzi mieszanką francuskiego i holenderskiego. Załoganci byli Francuzami, ale życie na Świętym Wawrzyńcu wymagało kontaktu z tulipaniarzami. Berenice władała holenderskim na tyle, że bez trudu zrozumiała słowa:

– Chuj. Szpara szoruje z pokładu albo płaci.

Skupiła się na utrzymaniu spokojnego oddechu, uważając, aby nie drgnąć i niczym się nie zdradzić. Sztormiak zaszeleścił. Czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię. Uścisk nie zelżał, jakby mężczyzna miał lubieżne zamiary, lecz się zawahał. Udała, że się budzi, odkaslnęła i mrugnęła kilkakrotnie, chcąc poprawić sztuczne oko. Szybkim ruchem otarła ślinę z policzka. Odrzuciła kaptur i utkwiała spojrzenie w mężczyźnie, który do niej podszedł. Zerknęła na nadal spoczywającą na jej ramieniu dłoń, potem znowu na jego twarz. Prawdopodobnie myślał, że jest delikatny. Uniosła brwi, jakby oczekując, że coś powie. Mężczyzna pokazał na

nurt koloru szarej stali. Zbliżali się do doków wgrzających się w morze od północy. Kiedy mężczyźni śpiewali, a ona udawała, że śpi, Święty Wawrzyniec znacznie się poszerzył. Byli już dobrze na północny wschód od Zachodniej Marsylii i Point Royal.

– Święta Agnieszka? – zapytała, ale zdała sobie sprawę, że ta osada rozciąga się na płaskim brzegu rzeki.

Jak długo płynęli? Może faktycznie zasnęła i straciła poczucie czasu.

– Święta Henedyna – odparł rybak i z powrotem usiadł na ławce, po czym wznowił wiosłowanie.

Od razu złapał odpowiedni rytm, choć nawet nie spojrzał na towarzyszy.

Berenice zawołała do stojącego na dziobie rybaka:

– Zapłaciłam za przewóz do Świętej Agnieszki. Uzgodniliśmy cenę.

Lasy na północ od osady kryły najbliższą kasetkę z pieniędzmi dla tych, którzy podróżowali przez ondergrondse grachten – o ile oczywiście nie zostały one zagrabione przez traperów i myśliwych.

Mężczyzna odparł osobliwie melodyjnym połączeniem północnoeuropejskich języków:

– Podrożało – i wskazał na doki, tak jak stojący obok kolega.

Berenice przyjrzała się brzegowi i niemal narobiła w spodnie.

„Klakierzy? Co za lichy?”

Postanowienia zawieszenia ognia ustanawiały granicę terytorialną wzdłuż rzeki, co oznaczało, że Święta Henedyna niewątpliwie należy do Nowej Francji. Nie było jednak słyhać ani krzyków, ani wystrzałów, ani jęków umierających, które zazwyczaj towarzyszyły obecności mechanicznych. A jeśli nie był to atak... w takim razie co?

Przymknęła powieki. Niech cholera weźmie jej bezużyteczne oko.

I wtedy zobaczyła, że szukają łodzi. Nie było to zgodne z traktatem pokojowym. Czego chcieli? Przez chwilę czuła na karku widmowy oddech i usłyszała dyszącego jej do ucha Montmorency'ego, poczuła jego ręce zaciskające się na jej piersiach...

Czyżby to za nią węszyli? Dowiedzieli się o jej wygnaniu i wyprawie? Szukali jednookiej kobiety przewożącej nielegalne tajemnice?

Berenice obserwowała rozgrywającą się na jej oczach scenę. Płynąca przed nimi łódź zacumowała przy nabrzeżu i ludzki żołnierz, któremu towarzyszyli dwaj klakierzy, zawołał coś do sternika. Pokazał na mechanicznych, potem na łódź. Nie rozumiała, o czym mężczyźni dyskutowali, ale rozmowa nie była spokojna. Sternik pokręcił głową, a żołnierz odpowiedział opryskliwym gestem, na co tamten zareagował ostrzej, ale... skapitulował.

Nawet Holendrzy nie byliby na tyle śmiali, żeby odmówić francuskiej łodzi

zgody na przybicie do francuskiego brzegu. Potraktowano by to jako nieodwołalne wypowiedzenie wojny. Klakierzy mogli jednak niby przypadkowo wybić parę dziur w burcie albo uszkodzić ładunek podczas przeszukania ładowni. Mogło się to odbyć po dobroci albo mogli narobić bałaganu.

Przyjrzała się mundurowi żołnierza. Dobrze skrojony, koloru kobaltu, opasany marchewkową szarfą. Zdecydowanie galowy – mężczyzna miał zrobić wrażenie, a nie walczyć w boju. Cóż, chociaż tyle. Miał epolety z frędzlami, a zatem był oficerem. Złote insygnia na spiczastej czapce oznaczały, że służył w stopniu kapitana. Pod jego dowództwem znajdował się kwartet mechanicznych, którzy górowali i nad nim, i nad pozostałymi ludźmi. Berenice – pewnie jako jedynej w całej Nowej Francji – wystarczył rzut oka, by się przekonać, że to żołnierze, a nie zwyczajni służący. Porządne modele.

Co robili na takim zadupiu?

Chlebak ciążył Berenice niczym zawieszony na szyi kamień młyński. Jeśli przekopaliby się przez jej rzeczy, znaleźliby notatki dotyczące Lilith, opisy procedur, przekroje... Nielegalne informacje, których posiadanie stanowiło naruszenie zawieszenia broni... Utkwiła wzrok w burcie. Musiałaby zrzucić kurtkę, żeby móc wywalić swoje rzeczy. A byli zaledwie kilkadziesiąt metrów od doku. Mechaniczni już ich zauważyli. Gdyby zaczęła się pozbywać papierzysk, tylko ściągnęłaby na siebie uwagę.

Rybacy nieśpiesznie wyszli z łodzi, jakby zapomnieli o marynarskich umiejętnościach. Zwlekali na tyle długo, że zdążyli zirytować Holendra, ale nie na tyle, aby wyjść na opieszających. Na pusty kuter weszło dwóch żołnierzy. Zajrzeli pod plandeki, otworzyli szafki, przeszukali niewielką ładownię. Nie pominęli ani centymetra. Oficer trzymał pozostałych dwóch w odwodzie. Czy to na wypadek, gdyby rybacy stawiali opór? Czy też może raczej na wypadek odkrycia czegoś przez jego podwładnych?

Przeszukanie łodzi nie trwało nawet minuty. Klakierzy wyskoczyli z powrotem na molo. Holender podziękował załogantom, ukłonił się sztywno kapitanowi i odwrócił do kutra, którym płynęła Berenice, oczekując jego przybycia. Nie zwrócił uwagi na samych żeglarzy, nie spojrzał na ich twarze, nie interesowała go zawartość ich kieszeni.

Nie szukali człowieka, tylko jakiegoś przedmiotu o sporych gabarytach. Berenice udało się wstrzymać westchnienie ulgi. Mocno zacisnęła powieki, aby jej sztuczne oko lepiej się ułożyło. Ich łódź uderzyła delikatnie o dok. Pomiedzy oficerem a mężczyzną, któremu zapłaciła za podróż, wywiązała się dyskusja podobna do tej, jaka odbyła się przed momentem. Ton holenderskiego kapitana wskazywał, że robił to od rana i mógłby podobną wymianę zdań prowadzić nawet i we śnie. Marynarz, który ją zbudził, zaoferował pomoc przy wyjściu z łodzi.

Chętnie ją przyjęła. Kiedy mechaniczni żołnierze zabrali się do przeszukiwania kutra, kapitan nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Popatrzyła na niego hardo, jak zrobiłaby każda Francuzka w podobnej sytuacji. Oficer skupił się jednak na swoim zadaniu. Chwilę później klakierzy wrócili z pustymi rękoma i łódź została oddana z powrotem załodze. „Czego oni, do cholery, szukają?”

Rybacy nie mieli w tym miejscu czego szukać, zapakowali się więc z powrotem na pokład. Ich kapitan nawiązał z Berenice kontakt wzrokowy. Potarł znacząco kciukiem o palec wskazujący. Chciwy gęsiojebca! Odpowiedziała mu tym samym gestem, jakim holenderskiego oficera chwilę wcześniej poczęstował poprzedni marynarz. Mężczyzna splunął za burtę. Dał swoim ludziom rozkaz odbicia od brzegu.

Musiała dotrzeć do Świętej Agnieszki. Rozsądnie będzie też odwiedzić jeszcze jakąś skrytkę już po przekroczeniu granicy – czyli w ciągu paru kolejnych godzin czeka ją do przebycia spory kawał drogi, a sprawy nie ułatwiała obecność wyraźnie zaniepokojonych holenderskich żołnierzy. Musiała się dowiedzieć, co wprawilo ich w taki nastrój. Nie była już co prawda Talleyrandem, lecz zalatywało to czymś, o czym powinien dowiedzieć się jej następca, ten tłusty dureń.

Berenice ruszyła przez dok, wdychając charakterystyczny dla późnej jesieni zapach błota, zdechłych ryb i dymu drzewnego, tak typowy dla nabrzeżnych osad i wiosek. Hangary pełne były łodzi przywiązanych grubymi linami i poprzykrywanych na zimę plandekami. Minęła naprawiających sieci rybaków. Sparszywiały pies truchtał brzegiem rzeki, poszczekując na mewy. Sporo miejscowych stanęło w drzwiach lub łypało zza zasłon na Holendra. Żandarm oparł się o lampę, żując wykałaczkę, i przyglądał się całej scenie z bezpiecznej odległości, jakby był bezsilnym cywilnym obserwatorem. Chciała gruchnąć tego leniwego kundla w klejnoty, ale zamiast tego zapytała:

– Po co to wszystko?

– Chyba czegoś szukają – odparł.

„Szkoda na ciebie nawet ludzkiej skóry, którą nosisz”.

– Ale czego?

– Nie powiedzieli – odparł, wzruszając ramionami. – Przyjechali wczorajszego wieczoru i oświadczyli, że chcą przeszukać każdą zawijającą do nas łódź.

– I im na to pozwoliliście? – zapytała. A ponieważ nie chciała dać po sobie poznać, że zna szczegóły zawartego zawieszenia broni i politycznych negocjacji, dodała: – Nie wygląda to najlepiej. Jesteście pewni, że działają legalnie? Kiedy ostatnio spoglądałam na mapę, nadal leżała tutaj Nowa Francja.

– Mieli papier, pierożku – westchnął żandarm.

Zmienił pozycję, wyraźnie sugerując, że przygotowuje się do podjęcia kolejnego etapu dyskusji, tym razem naznaczonego demonstracyjną

protekcjonalnością.

– Przyjrzyj się tym metalowym demonom. To nie gospodynie i lokaje, ale zabójcy.

„A, pierdol się. Znam żołnierzy lepiej niż ty”.

– Och, rozumiem. Może powinnam też przyjrzeć się własnym oczom, bo chyba pomyliłam cię z Francuzem.

– Żyjemy w skomplikowanym świecie, pierożku – powiedział i znowu zaczął żuć wykałaczkę.

Berenice zjadła późny lunch w herbaciarni po drugiej stronie ulicy, co odciążało ją z gotówki w stopniu większym, niż by tego chciała, szczególnie że co ruz zamawiała kolejne filiżanki letniej herbaty, aby właścicielka nie łypała na nią podejrzliwie. Uszczuplanie się zasobów sakiewki motywowało ją do podsłuchiwania wymieniających się plotkami klientów i jednoczesnej obserwacji sytuacji w dokach. Dzięki temu mogła wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Dowiedziała się, że okręt powietrzny, który wyleciał z Nowego Amsterdamu, niedawno rozbił się niedaleko fortu na Rzece Północnej. Niektórzy utrzymywali, że został zestrzelony. Klakierzy, którzy opanowali doki, formalnie nie okupowali osady – no i nie zamordowali wszystkich dorosłych, nie spalili do szczeru każdej budowli i nie posypali ziemi solą – czyli jeśli historia o statku była prawdziwa, nie został on zestrzelony przez siły francuskie. Czemu jednak Holendrzy mieliby ostrzeliwać własny statek? I czemu zapuścił się on tak daleko na północ?

Szczegóły całej tej sprawy były nieco rozmyte, lecz wczorajszego wieczoru, zaledwie parę godzin po rzeczony katastrofie, Holendrzy prześlizgnęli się przez granicę i po cichu naruszyli postanowienia zawieszenia broni, ustawiając kordon bezpieczeństwa mający przeszukać każdą łódź.

Karawana ciągniętych przez mechanicznych wozów zajechała do wioski około południa i przystanęła na ulicy pomiędzy herbaciarnią a dokami. Berenice zapłaciła rachunek, po czym nieśpiesznie zebrała swoje rzeczy. Kiedy wyszła na zewnątrz, rzuciła okiem na sprzęt rozładowywany przez mechanicznych, ale ani go nie rozpoznała, ani nie domyślała się, do czego może służyć. Świeżo przywieziony ładunek zawierał coś dużego, co zostało rozmontowane, aby zmieścić się do karawany złożonej z tuzina wozów. Zobaczyła kable, bloczki, drewniane rusztowania, kilka haków od żurawi i fragmenty czegoś, co wyglądało jak zęby gigantycznego grzebienia. I sznury. Przynajmniej kilkaset metrów sznura.

Żałowała, że nie ma tu Louisa. Mógłby rozpoznać te rzeczy albo spróbować odgadnąć, czym są.

Poszła z powrotem do doku, jakby miała zamiar wynająć kolejną łódź. Przybycie około dziesięciu mechanicznych, którzy przywieźli tajemniczy sprzęt, nareszcie zachęciło żandarma do działania: zawołał holenderskiego kapitana, po

czym obaj odbyli krótką, lecz ożywioną konwersację. I choć żandarm machał łapami, Berenice nie zdołała rozpoznać, o czym mówił. Mogłaby jednak przysiąc, że w pewnym momencie kapitan powiedział słowo „pogłębiać”, a na jego dźwięk francuski stróż prawa zaczął gestykulować jeszcze intensywniej. Czy istotnie planowali pogłębić koryto na całej długości Świętego Wawrzyńca? Byłoby to monumentalne przedsięwzięcie, nawet jeśli jego trud wzięliby na siebie mechaniczni. Nie mówiąc już o tym, że byłoby to nielegalne jak cholera.

„Co, na Boga, znajdowało się na pokładzie tego statku?”

Coś na tyle dużego, że nie mieściło się do kieszeni czy plecaka. Coś, co można było szybko przewozić. Albo mogło poruszać się samo. Coś zdolnego ukryć się na dnie mętnej rzeki. Coś, co Holendrzy chcieli odzyskać za wszelką cenę, nawet organizując paramilitarną interwencję po francuskiej stronie Świętego Wawrzyńca i zatapiając własny okręt...

Choć była to odważna konkluzja, skoro opierała się na plotce, ale przychodziła jej do głowy tylko jedna rzecz, dla której Holendrzy aż tak by się starali. Złamaliby każdy traktat, a nawet podtarli sobie nim dupy, gdyby miało im to pomóc przechwycić zbiegłego klakiera. Podwoiliby wysiłki, gdyby podejrzewali, że zbieg zdołał przekroczyć granicę. Jakie były szanse, że znalazła się akurat w jedynym punkcie wzdłuż rzeki, gdzie Holendrzy prowadzili swoją operację? Istotnie niewielkie. Kiedy wieści o tym, co się działo, dotrą do nowego Talleyranda? „Kiedy ten tłusty skurwiel dowie się, co się tutaj wyrabia?” Krzyki ustały. Kapitan i żandarm najwyraźniej doszli do porozumienia. Berenice kątem oka patrzyła, jak wymieniają uścisk dłoni, a chwilę później, kiedy Francuz chował rękę do kieszeni, usłyszała brzęk monet. Zmieniła o nim zdanie. „Leniwy, chciwy gęsojebca”. Ponownie zaczęła się zastanawiać, ile Holendrzy musieli zaproponować Montmorency’emu.

Żandarm zatwierdził odbywającą się tutaj de facto okupację wioski i klakierzy przystąpili do rozładowywania ładunku. Kapitan posłał do pomocy dwóch mechanicznych żołnierzy, podczas gdy pozostali dwaj czekali w dokach, niestrudzenie przeszukując każdą przepływającą tędy łódź. Służący i żołnierze pozdrawiali się w sekretnym języku gruchotania i szczebiotania.

„Zegarmistrzowie kłamią”, przywitali się nowo przybyli.

Berenice aż się potknęła o listwę wystającą przy krawędzi doku.

„Co tu, u diabła, było?” Nie dosłyszała wyraźnie.

Potrzeba spojrzenia na zebranych mechanicznych była silniejsza niż zdrowy rozsądek.

Zatrzymała się, przekrzywiła głowę i uważnie nasłuchiwała.

Żołnierze odpowiedzieli tym samym pozdrowieniem: „Zegarmistrzowie kłamią”.

Minęło jeszcze parę dni, zanim Vissera ponownie wwieziono na salę operacyjną, ale tym razem wycieczka ta różniła się od poprzednich, zakończonych wizytą pod skalpelem. Po pierwsze, nie otwierali mu czaszki. Po drugie, na galerii, pośród rzędów krzeseł, siedziała tylko Anastazja Bell. Kiedy na nią spojrział, odpowiedziała przyjacielskim skinieniem głowy.

– Czy jest w pełni świadomy? – zapytała, a jej głos odbił się echem.

Jeden z lekarzy – Visser nie potrafił ich odróżnić z uwagi na maski i gogle nałożone na twarz – nachylił się i spojrział mu w oczy, po czym znowu zniknął.

– Tak, wydaje mi się, że jest przytomny.

– I słyszy mnie?

– Tak.

– Rozumiem, ojcze, że wszystko to mogło ci się wydać konfundujące – powiedziała – ale, proszę, wytrzymaj jeszcze chwilę, a doczekasz się wyjaśnienia.

– Jesteśmy gotowi – oświadczył chirurg.

Bell kaszlnęła.

– Nie kaźcie mi czekać.

Doktor wyciągnął długą igłę i wcisnął Visserowi do ręki. Była nagrzana, mało go nie parzyła.

– Czy ty, Luuku Visserze, mógłbyś wziąć tę igłę i przebić nią na wylot skórę pomiędzy twoim kciukiem a palcem wskazującym lewej dłoni? – zapytał, naciskając na własną dłoń, żeby pokazać, o który dokładnie punkt mu chodzi.

Odrażające. Duchowny wypuścił igłę, która zadźwięczała, uderzając o podłogę.

– Dziękuję – rzekł chirurg, po czym, podnosząc głos, dodał: – Ustaliliśmy teraz dolną granicę nieposłuszeństwa.

– Tak, tak – odparła Bell, czemu towarzyszyło skrzypnięcie zawiasu i pisk tapicerki, jakby ktoś rozkładał się wygodniej na teatralnym fotelu. – Przerabiałam to już tysiące razy.

– Niewątpliwie. Ale patrz.

Nakręcacz zacieśnił pasy, którymi przywiązano Vissera do łóżka na kółkach, ale tym razem nie unieruchomił mu głowy. Nie odprężył się do końca, choć znalazł pocieszenie w myśli, że najgorsze już minęło, bo przecież nie może być nic okropniejszego niż wykonana bez jego zgody operacja na otwartym mózgu. No, może poza samym pytaniem, dlaczego ktoś miałby się kłopotać podobnym zabiegiem. I lękał się chwili, kiedy się tego dowie. Obawą napawały go również spekulacje na temat powiązania pomiędzy nieszczęśnikiem w kaftanie a ulgą, jaką śmierć przyniosła umęczonej kobiecie. Kiedy już zabezpieczono mu ręce i nogi, chirurg stanął nad nim z pofalowanym jak akordeon papierem.

– Musimy się upewnić, że nie uszkodził ojciec ośrodką mowy. Rozumie mnie

ojciec?

Visser przytaknął.

– Dobrze. A teraz rozłóżę tę kartę papieru i chciałbym, żeby wyrecytował ojciec to, co jest na niej napisane.

Duchowny nie był pewien, czy potrafi mówić, ale chirurg i tak nie czekał na odpowiedź i rozwinął papierową harmonijkę, która zaszeleściła Visserowi przed nosem. Pacjent spojrzał na rozłożony napis. Na górze karty napisane było jego pełne imię – prawdziwe imię – ale reszty nie rozpoznawał, nie był to ani francuski, ani holenderski, lecz tajemne symbole sztuki alchemicznej, podobne do tych, które wyłobiono na czole każdego klakiera. Otworzył usta, żeby wskazać im błąd...

...i wtedy nierozpoznawane przez niego znaki zafalowały mu przed oczyma i wypaliły się w najgłębszych odmętach jego umysłu, oddziałując na umieszczony tam kawałek szkła.

Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Spazmy biegły od samego czubka głowy, płynęły po karku, do kręgosłupa i dalej, aż duchowny podkurczył palce. Naparł na pasy, którymi przytroczono go do łóżka, piętami aż wygiął stół. Naciągnął sobie mięśnie szyi. Spazmy te zaskoczyły go jak impuls energii elektrycznej i ustały, jeszcze zanim zdążył na nie jakkolwiek zareagować. Lekarz włożył mu do ręki kolejną gorącą szpilę. Poprzednia nadal spoczywała na podłodze.

– A teraz, Luuku Visserze, przebij nią sobie skórę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia serii operacji Visser poczuł ukłucie autentycznego bólu, coś, co przypiekało jego umysł niczym rozżarzony węgielek, który z każdą chwilą stawał się coraz bardziej gorący. Nie potrafił jednak zidentyfikować źródła owego bólu, zlokalizować części ciała, która cierpiała z jego powodu. I nagle ból ustał, jakby ktoś zgasił świecę. Duchowny zmarszczył nos, czując odór krwi i przypalonego ciała. Spojrzał na swoją dłoń.

A jednak przebił igłą rzeczony płat skóry, choć nieświadomie. Skóra wokół rany skwierczała.

– I teraz ją wyciągnij, ale rozrywając skórę.

Visser patrzył, jak palce jego zdrowej dłoni zaciskają się na koniuszku szpili. Nie chciał szarpać własnego ciała, lecz sama myśl o przeciwstawieniu się rozkazowi spowodowała kolejną falę rozdzierającego duszę cierpienia. Żaden chemiczny inhibitor nie byłby w stanie zapobiec przerażeniu, jakie towarzyszyło widokowi przedartej skóry, tryskającej krwi i igły odbijającej się od podłogi; widokowi własnych dłoni postępujących wbrew jego woli. Nakręcacz podszedł do niego, by oczyścić mu ranę i zabandażować okaleczenie, którego sam dokonał.

Z galerii dobiegło skrzypienie krzesła, jakby ktoś nachylał się do przodu. Na sali zapadła cisza zakłócana jedynie tykaniem mechanizmu nakręcacza. Visser

zrozumiał, że lekarze czekają, aż Bell coś powie. Po chwili tuinier faktycznie się odezwała:

– Ojciec Visser... co o mnie myślisz?

W jego duszy ponownie zapłonął, niczym wielkie ognisko, dojmujący ból. Skrzywił się i zamknął oczy. Jego gardło, język i usta wyginały się i poruszały wedle własnego widzimisię. Gdy próbował zatrzymać natłok słów, cierpienie się podwajało, potrajało, było czterokrotnie, a potem pięciokrotnie silniejsze, a kiedy piekielne płomienie miały go pożreć, musiał krzyknąć:

– Jesteś okrutną, diabło inteligentną sadystką i stanowisz śmiertelne zagrożenie. Emanujesz powabem, który przeceniasz. Boję się ciebie. Życzę ci śmierci. Obyś została zniszczona.

Powiedział samą prawdę. A jednak płomienie bólu nadal podlizywały jego duszę, popieliły umysł, owijały jego ciało kokonem agonii. Ponieważ chciał wykrzyknąć coś jeszcze. Kaszlnął, charknął i próbował, lecz bezskutecznie, połknąć słowa, które opuściły jego usta.

Wymagała od niego całej prawdy. Dlatego Visser usłyszał samego siebie zwierającego się z pragnień, z których świadomie nie zdawał sobie sprawy, nawet gdy próbował zwerbalizować najbardziej skrywane, do końca nieuświadomione myśli:

– Znajduję cię rozpaczliwie atrakcyjną i zawstydza mnie pożądanie, jakim pałam. Fantazjuję o tobie, o leżeniu na tobie, o penetracji...

– Starczy już – przerwała mu.

Jej słowa ugasiły ogień płonący w jego duszy. Ból zniknął nagle, jakby go nigdy nie było.

Zapadła kolejna długa chwila milczenia, bardziej krępująca niż pełna wyczekiwania. Jeden z lekarzy odchrząknął, po czym powiedział:

– Cóż... Jak pani widzi, pryzmat został umieszczony i aktywowany. Wygląda na to, że działa.

– Najwyraźniej. Ale zrobmy jeszcze jeden test – odparła i również odchrząknęła. – Ojciec, zastanawiam się, czemu otrułeś więźniarkę. Powiedz prawdę: co miałeś nadzieję osiągnąć?

Ponownie poczuł ból, który nasilał się z każdą chwilą. Przygryzł wargi, próbując oprzeć się pilącej potrzebie mówienia, ale kolejne sekundy opóźnienia zwielokrotniały ból, windując go ku granicy ludzkiej wytrzymałości. Kiedy wydawało się, że pokieroszowany umysł wypchnie jego gałki oczne z czaszki, krzyknął:

– Bo wiedziałem, że była torturowana. Już wycierpiała się za swoją wiarę i zasłużyła na łaskawy koniec swojego męczeństwa. Chciałem to zakończyć – przerwał, gdyż faktycznie powiedział prawdę, ale nie zdusiło to bólu; pożar trwał,

póki nie wybełkotał: – Obawiałem się też, że mnie zidentyfikuje. Zabijając ją, miałem nadzieję na usunięcie powiązań łączących mnie ze straconymi członkami mojej siatki. Bałem się.

Przed sobą nigdy nie przyznał się do tego. Ból zniknął.

– Aha. Tak myślałam – mruknęła Bell.

– Jest pani usatysfakcjonowana, tuinier Bell? – zapytał chirurg.

– A wiecie, że jestem? Naprawdę jestem. Gratuluję, doktorzy! Nareszcie zadziałało – ucieszyła się.

Dobry Boże.

Musieli go otworzyć i okiełznać jego Wolną Wolę. Przemienili go w klakiera z krwi i kości.

Niczego nie widział. Oczy płonęły mu od łez. Spływały po twarzy strumieniami zimniejszymi niż lód.

– Musi odzyskać siły po operacji.

Nakręcacz przystąpił do przykręcania czaszki duchownego.

– O tak. Chcemy, żeby znowu był krzepki i silny – odparła Bell, wstając. Oparła się o wysoką barierkę okalającą galerię i dodała: – Odpocznij, Visser. I wydobrzej. A kiedy będziesz gotowy, zaczniemy od zadenuncjowania twojej prawdziwej religii. Postaraj się wymyślić jakiś kreatywny sposób.

I choć podali mu leki uspokajające, nie zasnął. Rzucona lekką ręką uwaga Anastazji Bell zapaliła kolejny ogień, którego nie mogły ugasić żadne środki, który płonąłby nawet podczas straszliwej powodzi.

ROZDZIAŁ 14

Grzmot i ogień pożarły świat.

Ryk eksplozji był fizyczną siłą, nie tylko samym dźwiękiem. Owionął Jaxa gorącym bijącym z otchłani przekłętego pieca, polizał tysiącami wijących się języków ognia. Mechaniczny złożył się tak ciasno, jak tylko potrafił, aby ochronić ukryty w jego wnętrzu paciorek. Spektakularna destrukcja lewiatana przemieniła Jaxa w obdarzoną świadomością kulę armatnią i zbiegły zbuntowany klakier zatoczył łuk nad lasem. Hałas trzaskających płomieni powoli niknął, konsumowany przez świst wiatru. Było jednak osobliwie wręcz spokojnie, nie licząc tych chwil, gdy Jax osiągnął najwyższy punkt swojej trajektorii. Kiedy się obracał, przed oczyma migwały mu niebo, ogień, woda i ziemia. Pomyślał, że przecież wszystkie cztery żywioły stanowiły pierwotnie korzenie alchemii. Spadł prawie kilometr w dół rzeki od miejsca, w którym ustawili się artylerzyści.

Rozłożył się przed uderzeniem o wodę. Dodatkowego wysiłku wymagało od niego zapanowanie nad niepokojącym rżeniem i drzeniem elementów jego mechanizmu, ale wyciągnął palce, naprostował kręgosłup i odchylił głowę, stając się oszczepem. Przebił powierzchnię rzeki, prując prawie dwieście kilometrów na godzinę. Nie rozchlapał wody bardziej niż ryba, a obłok pary, który się wówczas wzbił, nie był większy niż ten, który dobywa się z imbryka pełnego herbaty.

Otoczył go szum rodzącego się wiru.

Przeciął rzekę tak gładko, że sięgnął aż jej dna. I nie zatrzymywał się. Jego palce u stóp zadziały niczym klin wbijający się głęboko w podłoże. Piach osadzał się na elementach jego szkieletu. Kiedy zaczął hamować, błoto zapaskudziło każdy trybik, każdy kabel i tuleję, dostało się mu nawet do oczu. Ostatnie strużki pary zasyczały w bąblach i odpłynęły, zostawiając po sobie jedynie syk stygnącego metalu i słabawe plaskanie opadającego na dno błota. Jax leżał w ciemnościach, głębiej niż cokolwiek, co znał. Ciemność łona. Cisza łona. Nie mąciło jej nawet bulgotanie nurtu. Leżał pod rzeką. Czy widzieli, jak uderzał o wodę, czy też został wzięty za jeden z płonących odłamków spadających na rzeczną dolinę? Czy jego prześladowcy pomyśleli, że jest tylko kolejnym rozgrzanym do czerwoności fragmentem uśmierconego lewiatana? Okręt stał się jego zbawcą, przyjacielem, wyzwolicielem, lecz darowana mu wolność nie była darem bezinteresownym, wynikała z rozpaczliwej kalkulacji. Manipulacji. Jax świadomie zignorował fakt, że ściągnię na okręt niebezpieczeństwo – chciał się jak najszybciej wydostać z miasta. Być może od początku wiedział, że może narazić powolnego giganta na zniszczenie. Nie był to pierwszy raz, kiedy jego ucieczka

spowodowała śmierć niewinnego.

Rozłożył ramiona i zgiął nogi, po czym jak żaba wbił się w rzeczne koryto. Przedzierał się przez dno przy brzęczącym staccato metalu. Chodzące na pełnych obrotach przekładnie aż telepały jego ciałem, drgania szły rykoszetem po całym mechanizmie. Nie mógł się ruszyć.

Nie chodziło o błoto – było miękkie i nawet kiedy oblepiało każdą najmniejszą nawet szczelinę o grubości włosa, nie mogło wpłynąć na jego wzmocnioną alchemią siłę. Jax, testując możliwości swego mechanicznego ciała, rozciągnął po kolei wszystkie stawy i sprawdził zawiasy, nasłuchując dźwięków świadczących o niewspółosiowości. Ognista kula nagrzała mu ciało. Kiedy sunął przez rzekę, przewodnictwo doprowadziło gorąco głębiej. Jego ciało nie miało jednak czasu, żeby osiągnąć stałą temperaturę, zanim otoczyła go lodowata woda. Po paru sekundach z serca rozgrzanej do tysiąca stopni ognistej kuli spadł prosto na dno jesiennej rzeki. Nagłe rozgrzanie, nagłe ochłodzenie. Alchemicy z Gildii opracowujący tajemne stopy metali, z których skonstruowano Jaxa i jemu podobnych, przewidzieli problem rozszerzalności cieplnej i kontrakcji, lecz najwyraźniej nie myśleli o tak błyskawicznym procesie, jaki bezwiednie udało się przeprowadzić Jaxowi.

Całe godziny zeszyły mu na rozruszaniu odpowiednich części mechanizmu, żeby chociaż zachęcić je do wykonywania podstawowych funkcji i wyrównania harmonii pracy. Odzyskanie najprostszych funkcji motorycznych najważniejszych połączeń było zadaniem nużącym, ale miał chociaż ten komfort, że nikt go tutaj nie odkryje. I że może w spokoju podumać nad wyjściem z sytuacji.

Światło chowającego się już księżyca załśniło na rzece. Silny wiatr zmierzwił wodę i poćwiartował blady blask. Kłęby popielatego dymu uniosły się ku niebu i malowały faliste wzory na tle porannych gwiazd, barwiąc je czerwienią. Ze swojego położonego prawie dwa kilometry w głąb rzeki punktu obserwacyjnego Jax nasłuchiwał trzasków rozprzestrzeniającego się ognia, które stanowiły kontrapunkt dla delikatnego chlupotania wody o jego szczękę. Ustawił ostrość swoich oczu na umazane sadzą postacie, których sylwetki odcinały się na tle ognia.

Naliczył przynajmniej sześciu mechanicznych przetrząsających resztki okrętu. Szkielet lewiatana potrzaskany eksplozją i poskręcany gorącem leżał na okopconym polu. Powyginane i połamane belki nadal gorzały mdłą wiśniową czerwienią. Poszukiwacze przeczesywali każdy skrawek miejsca katastrofy. Niewątpliwie pozostałe ekipy krążyły już po sąsiednich polach i rozglądały się pomiędzy płonącymi drzewami oraz wzdłuż obu brzegów rzeki. Jax patrzył, jak światło księżyca i gwiazd odbija się od ciał klakierów, kiedy przebiegali ponad

nim, idąc na północ z nurtem rzeki. Najwyraźniej przenosili się bliżej granicy z Nową Francją. Mieli świadomość, że Jax spróbuje się tam dostać, i starali się odciąć mu drogę. Gdyby był na ich miejscu, postawiłby mechanicznych także w samej rzece, aby nie przekroczył granicy tą drogą. Czyli jeśli pójdzie na północ, złapią go.

Pozwolił prądowi opłynąć swoją czaszkę, po czym skierował się na południe i rozpoczął długi, mozolny marsz ku Nowemu Amsterdamowi.

Zdał sobie sprawę, że po tym, jak Bell podała mu obcęgi i zasugerowała – tym samym lekkim i obojętnym tonem, którym najpewniej rozmawiała także o pogodzie – aby wyrwał sobie paznokiec kciuka, musiał stracić poczucie czasu. Od momentu, kiedy opatrzone mu ranę, a do skorupy, jakim stało się jego ciało, wpompowano środki przeciwbólowe, jego wspomnienia były mocno niepełne i wybiórcze i tylko co jakiś czas potrafił się na nich skupić. Gdy odzyskał pełnię zmysłów, stał w kolejce aerodromu.

Gdyby pozwolono mu splunąć, spróbowałby się pozbyć zalegającego mu w ustach smaku zbezczeszczonych hostii. Czuł ciepłe, łaskoczące go w gardle drapanie oraz mdły, metaliczny aromat krwi. Mało pamiętał z ostatnich dni, zwały mu się w krzyki, płacze i rozpaczliwe zawodzenia. Częstokroć była to doraźna reakcja na ból, tak, ale przeważnie chodziło o przerażenie tym, co sobie robił. Czego nie mógł uniknąć. I o niewymuszone okrucieństwo Anastazji Bell. O niebywałe pogwałcenie jego Wolnej Woli. O przenikający go ból geas.

Dlatego mógł jedynie wyć i szlochać.

Póki Bell nie kazała mu się zamknąć. Co też uczynił.

Najgorsze zaś, jeszcze gorsze niż ból, przerażenie i świadomość, że stał się zabawką tuinier, były implikacje teologiczne tego, co mu uczynili. Czym się stał? Jeśli właściwa była perspektywa katolicka, a Wolna Wola to wyjątkowy dar, jakim obdarzono nieśmiertelną duszę, co właściwie z nią zrobili? Zniszczyli? Przejęli? Czy mógł ją odzyskać? Wolną Wolę z pewnością. Visser uczeplił się myśli, że dowodziła tego egzekucja zbuntowanego klakiera. Ale co się z nim stało? Czy Pan zgodziłby się przyjąć go do siebie? I nawet jeśli nadal jest właścicielem swojej duszy, mimo że Wolna Wola nie należała już do niego, co mówi to o katolickiej ocenie mechanicznych? Że kalwiniści od samego początku mieli rację? Że Bell mówiła prawdę, kiedy upierała się, jakoby Wolna Wola była niczym więcej jak iluzją nawet w przypadku ludzi, a dusza jedynie bujdą? Czy poświęcił całe swoje życie sprawie zbudowanej na ułudzie? Czy Gildia znalazła sposób, aby ujawnić katolickie kłamstwo o rojeniach o samostanowieniu? Sadyzm Bell sprawiał mu niewysłowiony ból, ale filozoficzne dysputy, których zarzewiem było samo jego istnienie, okazały się prawdziwymi katuszami. Na dodatek nie mógł wyrazić

swoich emocji, nakazano mu bowiem powściągnąć przerażenie, rozpacz, niepokój. Zabroniono zachowywać się jak normalna ludzka istota. Kazano się dopasować. Nie mógł zaprzeczyć, że nie jest jedynie bezduszną kukielką z mięsa i kości, co zdradzały bandaże, którymi owinięto mu głowę. Ale rozgrzany do czerwoności, zakrzywiony haczyk tkwiący w jego umyśle pozwalał mu jedynie na podjęcie bezskutecznej próby.

Drobił ku kasie biletowej. Poprosił o przelot ekspresem do Nowego Amsterdamu, a kiedy dowiedział się, że jedyna dostępna kajuta na tę podróż to apartament, zapłacił kolosalną kwotę pieniędzmi otrzymanymi od Bell („Nie zaufałabym wielu ludziom, powierzając im taką sumę – powiedziała – ale tobie chyba mogę zaufać, że nie wydasz na głupoty”); po usłyszeniu tych słów w jego głowie zapłonęły kolejne iskry popychające do wypełnienia danego mu zadania).

Nikt go nie poznał. A nawet jeśli, nie odważono się do niego podejść. Z pewnością całe miasto słyszało już historię o Luuku Visserze, pastorze z Nieuwe Kerk, o przeszukaniu jego domu, nierozważnej próbie ucieczki przed nakręcaczami i późniejszym zniknięciu. Przecież każdy wiedział, że jeśli chodzi o centaury, nigdy już nie wraca się z ich rąk. Chirurdzy ogolili mu głowę, być może zmienili kształt czaszki, a fizyczny i duchowy ból pozaczył jego twarz nowymi zmarszczkami i nadał skórze blady odcień. Bell sprawiła mu nowe ubranie. Kapelusz przykrył bandaże. Prócz pieniędzy i ubrań obdarowała go też wypalającymi dziurę w umyśle obowiązkami, które nawet teraz skwierczały w pustej otchłani, gdzie niegdyś znajdowała się jego dusza. I torturowały go jeszcze długo po wylądowaniu w Nowym Amsterdamie.

Berenice spędziła sześć godzin na przejściu granicznym w Świętej Agnieszce, czekając, aż ktoś oficjalnie udzieli jej pozwolenia, by mogła wejść na rozległe terytorium zwane Nieuw Nederland. Nie było żadnej kolejki, trzeba było czekać, aż ktoś podejdzie, gdyż jak dotąd nie stacjonował tam żaden urzędnik państwowy. Nie był to dobry dzień na przemykanie się chyłkiem, bowiem siedząc na ławce pod holenderskim posterunkiem, naliczyła jedenastu klakierów patrolujących brzeg. Może było ich jeszcze więcej, ale trudno się liczyć, kiedy jedyne, na czym można się oprzeć, to prześwitujące co jakiś czas spomiędzy drzew refleksy słońca na metalu. Tak czy inaczej nie próbowała by przemknąć na drugą stronę, gdyż legalne przekroczenie granicy generowało kolejny dokument potwierdzający jej tożsamość. Chciała zobaczyć, czy jeśli będzie obserwować bezowocne poszukiwania prowadzone przez tulipaniarzy, uda się jej czegoś dowiedzieć.

Celnik przybył grubo po południu, ze zwieszoną głową. Ciężko dysząc, przeszedł przez furtkę otoczony kłębami pary dobywającymi się z jego ust tego chłodnego, jesiennego dnia. Kolaż opadłych leśnych liści przykleił się do

rzecznego mułu oblepiającego mu buty. Mężczyzna lekko zalatywał mokrą wełną i piżmem, jego mundur przeniknęła woń gnijących liści. Zatrzymał się, uniósł czapkę i otarł z czoła pot. Berenice czekała, aż sięgnie do kieszeni po klucze.

– Goedemiddag – powiedziała. „Dzień dobry”.

Klucze wypadły mu i zadzwoniły o ganek. Odwrócił się. Uśmiechnęła się do niego, poprawiając czepek, tak żeby nie zasłaniał całej jej twarzy.

– Ach! – zasepił się i spojrzał na kieszonkowy zegarek, po czym zapytał: – Jak długo pani czeka?

Berenice odparła po holendersku:

– Przy płynęłam z rybakami.

– Rano?

– Tak – powiedziała i zniżyła głos. – Nie podobało mi się, jak na mnie patrzyli. Chyba nie łypią tak na swoje matki i siostry.

– Czemu nikogo pani nie zawołała? – Machnął ręką w kierunku bramy. – Zimno jest.

„Co ty nie powiesz? – pomyślała. – Odmrażam tu sobie dupsko”.

– Och, zjadłam lunch. – Pokazała na swój koszyk. – Napisałam do matki i ojca. Robię ten szal dla siostry. Jeszcze kilka szwów i będzie mogła owinąć go sobie wokół szyi, o tak – powiedziała i wykonała gest naśladujący obwiązywanie się szalem. – Jest uparta, ta Terese. Ale mówię jej: „Słuchaj Mouder i noś szal, bo się przeziębisz i nie można...”.

– Niech pani wejdzie do środka.

Berenice pozbierała swoje rzeczy, podczas gdy celnik otwierał drzwi. Ławka nie była obita niczym miękkim i od siedzenia zdrętwiał jej tyłek. Podnosząc się, ledwie powstrzymała jęk. Posterunek zbudowany był na modłę francuskich chat z bali. Niegdyś mogła to być leśniczówka. Oficjalne granice miały tendencję do nieustannego przeskakiwania z miejsca na miejsce, czasem przypominały flagę łopoczącą na kapryśnym wietrze wojen i dyplomacji. Ściany budynku sklecono z dorosłych żółtych brzoź powiązanych sznurami, pozaplątywanymi na supły i pociągniętymi lakierem. Drewno łąpało światło słoneczne i wypełniało izbę łagodnym blaskiem koloru musztardy rozsmarowanej na czarnym chlebie. Berenice czekała przy ladzie, podczas gdy celnik grzebał w piecu opalonym drewnem. Dwukrotnie obejrzał się na nią przez ramię i dwukrotnie się doń uśmiechnęła.

Kiedy ogień nareszcie buchnął, dołączył do niej przy ladzie.

– No dobrze... – mruknął.

Sięgnął po rejestr i długopis, otworzył księgę na czystej stronie i napisał na górze datę. Spojrzał na nią. Odwzajemniła spojrzenie. Odchrząknął. Uśmiechnęła się. Na jego twarzy odmalowało się zmieszanie wyrażone zmarszczką biegnącą

wzdłuż czoła.

– Czyli chce pani przekroczyć dziś granicę?

– O tak! – odparła.

Postawiła koszyk na ladzie. Uniosła wieko i zaczęła grzebać w zawartości.

– Potrafię być bardzo zapominalska – wyciągnęła kłębek wełny i druty – Vader mówi, że głupiutka ze mnie dziewczyna. – Położyła na ladzie niedokończony szal. – Mówi: „Maëlle, jesteś bardzo głupiutką dziewczyną”. – Następnie sięgnęła po list do fikcyjnych rodziców i pióro, które posłużyło do jego napisania. – A ja mu odpowiadam: „Vader! Nie jestem już dziewczynką. Mam prawie...” – I jakby złapała samą siebie na jakimś afrońcie, zasłoniła usta dłonią. – Och, dama nie powinna rozmawiać o swoim wieku – dodała i wyciągnęła resztę swojego lunchu.

Celnik prychnął, kiedy położyła na jego rejestrze ogryzek jabłka i skórkę od chleba. Stała na palcach, zagryzła wargę i zerknęła do koszyka, namawiając Holendra, żeby zrobił to samo i zobaczył, że nie ma tam nic poza dokumentami potwierdzającymi jej tożsamość, co było zresztą celem całego tego pokazu.

– Ach! Mam.

Podawała mu papiery, starając się niby przypadkiem strącić z blatu list, szal, włóczkę i druty. Kłębek odbił się od podłogi, ciągnąc za sobą długą szarą nić. Celnik skoczył za nim, dzięki czemu Berenice miała szansę zerknąć na zapisane strony rejestru, szukając informacji o dniach, kiedy mógł przejeżdżać tędy książę. Odnalazła wpis sprzed paru dni po masakrze w wewnętrznej twierdzy. Tymczasem urzędnik zwrócił jej kłębek. Podziękowała mu i na powrót spakowała pozornie pusty koszyk, zakrywając schowki z notatkami i inną kontrabandą.

Celnik rzucił okiem na dokumenty.

– Panna Cuijper, tak?

– Zgadza się.

Zdecydowała się wskrzesić Maëlle Cuijper, kiedy tylko zeszła ze szpitalnego łóżka, nawet jeszcze zanim król wydał dekret o wygnaniu jej z Zachodniej Marsylii. Z jaskiń pod Iglicą wyszła nowo narodzona i od tej pory podróżowała jako pół francuska, pół holenderska wędrowna belferka.

Maëlle była w Nowej Francji, kiedy wybuchły ostatnie walki zbrojne, i od tej pory nie miała okazji przyjechać do domu. Ale Berenice wiedziała, że jeśli celnik sprawdzi dokładnie rejestry, zobaczy, jak wiele razy przekraczała granice – czego można się spodziewać po kimś, kto chodzi od wioski do wioski i naucza francuskie dzieci holenderskiego. Obmyśliła tę tożsamość tak, aby jeśli komuś jej podróże wydadzą się podejrzane, prędzej pomyślał o niej jako o szpiegu holenderskim wężącym na terytorium francuskim niż odwrotnie. Oto Maëlle, mała naiw, naiwniaczka, która podróżuje sobie przez świat.

Wyjrzała przez okno, kiedy celnik przeglądał jej papiery.

– Dobrze znowu zobaczyć tykających ludzi. Kiedy zaczęły się walki, utknęłam na północy i musiałam wszystko robić sama. Och, jak ciężko było.

– Hmmm – odparł celnik i zapisał jej nazwisko w rejestrze, dwukrotnie sprawdzając pisownię.

Przez gałęzie przeświecało jeszcze więcej słońca odbitego od pancerzy.

– Jejku, ale ich dużo! – udała zachwyt.

– Chłopiec się zgubił – powiedział urzędnik.

– Okropieństwo! Biedne dziecko. Samo w lesie... – Zadrżała. – Jego rodzice muszą być strasznie smutni. Długo go już nie ma?

– Nie – odparł. – Od rana.

„Okłamujesz mnie – zastanawiała się – czy faktycznie nie znasz prawdy?”

– Mam nadzieję, że szybko go znajdziecie.

– Na pewno.

– Chętnie pomogę. Dobrze mi idzie z dziećmi.

– Z pewnością przekażę pani propozycję.

Podróż z powrotem do Nowego Amsterdamu zajęła Jaxowi o wiele dłużej, niż sądził. Nie mógł się poruszać zbyt szybko i musiał często przystawać, żeby omijać doły i inne przeszkody. Ale któregoś popołudnia nareszcie dotarł do miasta, z którego niedawno uciekał.

Pierwsze, co musiał zrobić, to oczyścić się z błota pokrywającego niemal każdy centymetr jego ciała, zarówno na zewnątrz, jak i od środka. Przelazł na molo i kryjąc się w cieniu, zbliżył się do magazynu. Udało mu się wyłamać klamkę od drzwi bocznych. I kiedy tylko się przekonał, że nie ma tam nikogo poza szczurami, zaczął się obracać.

Kręcił się jak derwisz, jak karuzela, która wymknęła się spod kontroli, jak cyklon.

Kręcił się, póki nie poczuł, że za moment ramiona wypadną mu ze stawów. Udało mu się strząsnąć większość błota. Szlamowe grudy mułu, brązowe, czarne i barwy kajmaku oblepiły skrzynie z importowaną porcelaną, butelkami wina i przyprawami. Potem najlepiej, jak umiał, wyszorował się kawałkiem znalezionej tkaniny i oderwał dokumenty przewozowe z kufra przypominającego jeden z tych należących do madame Schoonraad.

Zarzucił sobie bagaż na ramię i powędrował z powrotem do Nowego Amsterdamu jako posłuszny i zupełnie niewyróżniający się z tłumu klakier. Dla pewności drżał wymownie przy każdym kroku. Zatrzymywał się kilka razy, aby dopytać o kierunek – zawsze zaczepiał ludzi, nie mechanicznych, i upewniał się, że jego telepanie będzie na tyle wyraziste, aby zasugerować, iż dręczy go wyjątkowo silne geas – zanim otrzymał informację, której potrzebował.

Powrócił do pierwotnego planu poszukiwania podziemnych kanałów, zakładając, że to nie żaden mit. Piekarnia przy Bleecker Street była jego najlepszym i jedynym tropem. Bezwzględnie potrzebował pomocy, szukało go przecież całe miasto. Okryta hańbą rodzina van Althuisów mieszkała niegdyś w sąsiedztwie Schoonraadów, właściwie to całkiem blisko nowego domu jego dawnych właścicieli. Ale było to daleko na wschodzie – jednopiętrowy dom stał na dalekim krańcu Breuckelen. I choć wieczór dopiero zapadał, Jax mijał samych ludzi i żadnego klakiera. Przez kilka ulic szła za nim para bezpiecznych psów. Wiele lamp w tej części miasta było zepsutych, niezapalonych lub dawało mdłe żółtawe światło. Gdy mijał kolejne fasady, zasłony w oknach dygotały niby muśnięte lekkim podmuchem. Uznał, że przechodzący tędy samotni mechaniczni nie stanowili częstego widoku.

Cóż, nie była to sytuacja idealna.

Nigdzie nie dostrzegął dzwonka. Gdy zapukał, otworzył mu człowiek, kobieta. Drżała pod swoim futerkiem z lisa, przytrzymując drzwi dłonią w jedwabnej rękawiczce koloru czerwonej róży. Kilka sezonów temu ten strój idealnie nadawałby się do salonu madame Schoonraad, ale kobieta, która go nosiła, nie pasowała do tej okolicy. I jak miał nadzieję Jax, nigdy nie próbowała. Nie chciała.

Upadek koncernu bankowego van Althuisów musiał być dotkliwy i całkowity. Z pewnością kuląca się ze wstydu rodzina nie została w Nowym Świecie z wyboru. Skoro się nie przeprowadzili, to dlatego, że nie było ich na to stać.

Kobieta przyjrzała się Jaxowi i spojrzała na skrzynię, którą trzymał na ramieniu.

– Zły adres – powiedziała.

Zanim zdążyła zatrzaskać mu drzwi przed nosem i zasunąć zasuwę, Jax odparł:

– Proszę mi wybaczyć, madame, ale otrzymałem bardzo dokładne instrukcje. Miałem dostarczyć tę skrzynię prosto do rodziny van Althuisów, niegdyś mieszkających przy Roosevelt Hill.

Przez twarz kobiety przemknęła złość. Jax poprawił kable i sprężyny, żeby się rozdygotać jeszcze bardziej. Podnosząc głos, by być słyszany mimo szumu wywołanego telepaniem udającym ogarniający go niepokój, powiedział:

– Mój właściciel polecił, abym dostarczył przesyłkę bez zwłoki. Proszę mi wybaczyć to naleganie, ale czy rozmawiam z madame van Althuis? Jeśli nie, czy mogłaby mnie pani skierować do miejsca, gdzie mieszka ta rodzina?

Patrzyła na niego z miną jeszcze dobitniej wyrażającą niezadowolenie. Wreszcie zdecydowała się uchylić drzwi nieco szerzej. Zmrużyła podejrzliwie oczy i zlustrowała Jaxa z góry na dół. Nie musiał jej znać, aby się zorientować, że dokonuje teraz serii ocen. Miała taksujące spojrzenie kogoś, kto nie darzy współczuciem klakiera obłożonego ciężkimi obowiązkami (a i tak Jax nie

potrafiłby podobnego rozpoznać, bo nigdy go nie ujrzał); po prostu chciała jak najszybciej splawić czyjś słuźącego. Mimo to kilka razy dotknęła ust koniuszkiem języka, patrząc chciwie na niesioną przez Jaxa skrzynię.

– Wejdz – powiedziała.

– Dziękuję pani. Instrukcje mojego pana były jednak dokładne. Przepraszam najmocniej za moją uciążliwość, lecz muszę zapytać: czy rozmawiam z madame van Althuis?

– No a z kim?

Nie była to klarowna odpowiedź, dlatego Jax milczał, podkreślając drżenie. Kiedy kobieta zobaczyła, że nie zaakceptuje niebezpośredniej odpowiedzi, dodała niemal szeptem:

– Tak, to dom van Althuisów, a ja jestem jego panią.

Interesujący sposób, żeby to wyrazić. Trzymała się kurczowo semantycznych sztuczek, aby nie powiedzieć ani słowa na temat upadku, jaki się dokonał, hańby, która spotkała jej rodzinę. Dobrze. Jax zawahał się, jakby zadumany, czy usłyszana odpowiedź jest wystarczająca, aby wypełnić nałożony na niego obowiązek. Po chwili zredukował częstotliwość drgań swojego ciała, naśladowując efekt częściowego zwolnienia z geas.

– Na miłość boską – wskazała próg – zostaw to tutaj i idź już sobie.

Jax powstrzymał się przed mechanicznym ekwiwalentem westchnięcia. Nie ułatwiała mu tego. Jak na razie van Althuisowie przypominali mu jego byłych właścicieli, co na dobrą sprawę nie powinno go dziwić. Oba rody miały długie tradycje bankierskie i oba mogły się pochwalić (w przypadku Althuisów czas przeszły był kluczowy) całkiem sporą fortuną. Może w odpowiednich okolicznościach ludzie, tak jak klakierzy, też mogliby być wymienialni. Ponieważ nie produkowano ich z identycznych części, zwykli przywiązywać nadmiernie dużą wagę do przypisywania poszczególnym jednostkom cech indywidualnych. Lecz mechaniczny, który spędził setkę lat na służbie ludziom, zdążył już zauważyć, że przeważnie byli do siebie bardzo podobni.

– Raz jeszcze jestem zmuszony panią przeprosić za swoją bezpośredniość, ale moje geas nie zostaną wypełnione, jeśli osobiście nie wniosę skrzyni do środka. – Jax poprawił sobie paczkę na ramieniu, żeby podkreślić jej ciężar. – Istnieje bowiem możliwość, że pani i pan van Althuis zrobicie sobie krzywdę, niosąc ją samodzielnie.

– Pan van Althuis jest...

„Nie dokończyła, bo jej mąż jest w więzieniu, odsiaduje długi wyrok jako ofiara knowań mojego byłego właściciela”.

– Nie ma go w tej chwili – syknęła – więc wnieś już tę przeklętą skrzynię do środka.

Otworzyła drzwi na oścież i wycofała się do korytarza. Jax poruszył ramieniem, żeby zsunąć z niego skrzynię. Złapał ją, chwycił pewniej i ocenił, czy na szerokość przejdzie przez drzwi. Musiał przenieść ją bokiem, ale nawet wtedy pomiędzy paczką a framugą nie mieściły się jego palce, dlatego trzymał ją przed sobą z jedną ręką na górnej krawędzi, a z drugą na dolnej, jak tylko klakier potrafi. Pod jego stopami zatrzeszczały deski podłogowe.

– Gdzie mam ją postawić, proszę pani? – zapytał.

Kobieta wskazała na coś, co wyglądało na połączenie salonu i jadalni. Słabe światła świec raczej obrysowywały kryjące się po kątach cienie, zamiast je rozpraszać. Sytuacja van Althuisów nie pozwalała na zakup i utrzymanie podobnych ekstrawagancji jak lampy alchemiczne, lecz najwyraźniej nie chcieli również, albo nie mogli sobie pozwolić, na oświetlenie gazowe. Dwa niepasujące do siebie krzesła stały po obu stronach poobijanego stołu z dębowego drewna. Siedzisko jakiegoś innego zostało użyte do podparcia jednej z nóg.

Do madame Althuis dołączył młodszy mężczyzna. Spojrzał na Jaxa.

– Matko, co to ma być?

– Nie jestem pewna – odparła kobieta. – Maszyno, mówiłaś, że do kogo należysz?

– Nie powiedziałem tego, proszę pani.

– Chryste, ja pierdolę – powiedział młodszy van Althuis. – Jeśli to jakiś kolejny przytyk tego ścierwa Pietera Schoonraada, możesz do niego wrócić i ukręcić mu łeb. Oto nasza odpowiedź. I uznamy ją za doręczoną, dopiero kiedy bezgłowe truchła jego i jego żonki będą się unosić na powierzchni kanału. Ani chwili wcześniej. O, i jeszcze tej ich rozpuszczonej córeczki.

– Nie mogę tego zrobić. – Jax postawił skrzynię w rogu pokoju tak ostrożnie, jakby przenosił transport chińskiej porcelany. – Czy słusznie zakładam, że młodszy pan van Althuis?

– A któż by inny? – parsknął mężczyzna i przewrócił oczami.

Matka położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie zaczynaj. Pewnie nieźle się napocili, żeby wysłać do nas najbardziej irytującą i złośliwą maszynę, jaką mogli znaleźć.

– Zgadłeś! Oto dom Timothy’ego i Gemmy van Althuis! Mieszkamy w pierdolonej norze dla zwykłych żebraków, a mój ojciec gnije w pierdłu. To przyszedłeś usłyszeć?

– Nie. – Dowiedział się tym sposobem, że w domu nie ma nikogo innego; spojrzął na drzwi, upewniając się, że pani domu je zamknęła. – Sprawdzałem, czy mam przed sobą właściwych ludzi.

– Cudownie – mruknął mężczyzna. – Otwórz tę skrzynię i już cię tu nie ma.

– Lepiej nie. – Jax postukał knykциями o drewno. – Nie chcecie być posądzeni

o kradzież.

Gospodarze oniemieli, prawdopodobnie zadziwieni zachowaniem Jaxa. A może próbowali rozgryźć, jakież to afront, jakież to przytyk naszykowali dla nich Schoonraadowie w tym najwyraźniej trwającym już od jakiegoś czasu ciągu obelg i poniżeń.

– Kradzież czego? – zapytał Timothy.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Jax. – Zabrałem tę skrzynię z magazynu, bo potrzebowałem rekwizytu. Musiałem wyglądać, jakbym coś dostarczał.

Pozwolił im przetrwać tę informację. Timothy wycofał się pod przeciwległą ścianę i drżącą dłonią poprawił kołnierz koszuli. Jego matka zbladła. Bąknęła coś pod nosem, przekleństwo lub modlitwę.

– Alarm. To byłeś ty – powiedziała.

– Nie przyszedłem zrobić nikomu krzywdy.

Ludzie nie mogli się pogodzić ze świadomością, że mechaniczny człowiek znajdował się w ich mieszkaniu niezwiązany zasadami bezpieczeństwa zapewnianymi przez hierarchiczne metageas. Sama myśl o zbuntowanym klakierze stojącym w ich jadalni wydawała się nie mieścić im w głowie, była równie przerażająca jak spotkanie z wygłodniałym lwem lub rozeźlonym niedźwiedziem. Każde z nich było tak samo gotowe rozedrzeć ich na strzępy.

– Czemu my? – zapytała madame van Althuis.

– Jestem tu, bo potrzebuję waszej pomocy.

Syn wybuchnął śmiechem.

– Czyli źle trafiłeś. Rozejrzyj się. Nie mamy nic do stracenia i sporo do zyskania za sprawą donosu.

– Rozumiem waszą sytuację. I wierzę, że możemy sobie wzajemnie pomóc.

– Dlaczego? – zapytała kobieta.

– Jak? – dociekał mężczyzna.

– Bo – odparł Jax – mogę powiedzieć, kto i czemu zabrał pieniądze z waszego banku.

ROZDZIAŁ 15

Zapach dymu drzewnego dotarł do Berenice, na długo zanim jej barka przepłynęła obok miejsca katastrofy. Ten fragment rzeki zalatywał bardziej jak kominek niż rzeka. Spadająca z nieba ognista kula i odłamki wzniciły pożar lasu, w paru miejscach nadal tlił się ogień. Dym gryzł Berenice w oczy, kiedy barka przebijała się przez kłęby mgły unoszące się nad zimną wodą w cieniu Fortu Oranż. Otaczające ich wzgórza schodziły ku dołowi rzeki i po kolejnym przebytych kilometrze ujrzała źródło owego dymu. Już uprzątnięto większą część wraku, ale wiatr nadal podbijał płatki popiołu ze spalonych pól i drzew; wirowały w chłodnym powietrzu nad powierzchnią rzeki niczym leciutkie śnieżynki. Berenice naciągnęła na głowę czepek spoczywający na jej karku.

Owa ognista kula musiała być spektakularna. Akry pól uprawnych, podobnie jak spora część otaczającego je lasu, były wypalone. Uderzenie spłaszczyło wiązy w promieniu przeszło kilometra. Mechaniczni uwijali się jak w ukropie, żeby wydobyć masywną, nagryzioną przez ogień belkę wbity w ziemię niczym gigantyczny namiotowy śledź. Berenice obserwowała całą tę scenę przez filtr swojej hipotezy o zbiegłym klakierze, którą zdawało się potwierdzać rozpaczliwe monitorowanie granicy przez tulipaniarzy. Podejrzewała, że jeśli wysiadłaby przy forcie i przespacerowała się po szerniałych polach – nie, żeby jej na to pozwolili – nie znalazłaby ani jednego fragmentu maszynierii, nawet pojedynczego, pozbawionego ząbków trybiku. Podczas swoich podróży po Nowym Świecie jeszcze nigdy nie widziała tak wielu klakierów przeczesujących podmiejskie tereny. Zaczęła się zastanawiać, ilu mechanicznych zostało w takim razie w Nowym Amsterdamie, żeby podcierać dupy swoim panom i nakładać im pastę na szczoteczki.

Berenice pokręciła głową, chcąc oczyścić umysł.

Czyli przyjmując, że na okręcie faktycznie znajdował się zbieg, który przeżył katastrofę, dokąd mógłby się udać? Po upadku leżałby praktycznie na progu fortu. Oddział wojskowych klakierów zdołałby przeszukać ten teren, zanim tamten opuściłby pobojowisko. Zostałby przez nich otoczony. Chyba że spadł prosto do rzeki. Barka minęła już dwie nowiutkie śluzy oddalone od siebie o trzydzieści kilometrów.

Serce podskoczyło Berenice, kiedy zobaczyła tę pierwszą, bo nawet dla kogoś, kto poświęcił życie na studiowanie anatomii mechanicznych, był to przyprawiający o ciarki dowód nie ludzkiej szybkości i niezmordowanej siły dziedzictwa Huygensa. Przy obu śluzach każdy centymetr ich łodzi został

dokładnie zbadany. Z podobną uwagą przejrano papiery stanowiące dowody wypożyczenia obsługujących barcę mechanicznych niewielkiej firmie przewozowej. Ludzcy oficerowie z fortu, którzy czuwali nad transportem rzeczonym, raz jeszcze sprawdzali każdego klakiera znajdującego się na pokładzie, porównując ich alchemiczne symbole z tymi z dokumentu. Nikt nie poprosił Berenice o papiery. Kolejny dowód na to, że zguba nie była z krwi i kości.

Ale dobrze. Kiedy już dostał się do rzeki, gdzie udał się dalej? Na północ czy na południe? Ku granicy, gdzie roilo się od sił przeciwnika, przez kanały i śluzy, przez pola praktycznie lśniące od mechanicznych przeszukujących teren za samotnym klakierem udającym się na północ? Czy może raczej ku miastu, gdzie mógł zniknąć pomiędzy setkami takich jak on?

Berenice precyzyjnie się pomieszczyła między rzędami ławek, na których siedzieli wiosłujący klakierzy-galernicy, i skierowała do kapitańskiej sterówki. Sięgnęła do swojej kopertówki po portmonetkę, upewniając się, że monety odpowiednio przy tym zadzwonią.

– Och – rzuciła. – Długo nie widziałam prawdziwego miasta, a jesteśmy przecież tak blisko! Czy to możliwe, że jeszcze tego wieczoru moja noga postanie w Nowym Amsterdamzie?

– Timothy, siadaj na wozie, jeszcze ktoś cię rozpozna.

Gemma van Althuis była przeciwna wypadowi na wychodzące na plac budowy wzgórze, lecz kiedy okazało się, że jej syn zamierza towarzyszyć zbuntowanemu klakierowi bez względu na to, czy ona pojedzie, czy też nie, stwierdziła, że nie chce zostawać sama w domu w Breuckelen. Jakiś czas temu przehandlowała futerko z lisa i rękawiczki za brązową bawełnianą sukienkę, bawełniany szal z frędzlami, ciemne okulary i chustkę, którą teraz zawiązała na włosach. I choć słońce świeciło jasno, od Atlantyku zawiewało chłodem niechybnie zwiastującym nadmiernie śpieszącą ku nim zimę.

– Nic nie widzę – powiedział pan von Althuis.

Ubrał się równie skromnie. Jax musiał mu pokazać, jak korzystać z klamerek przy kombinezonie. Finansowe trudności rodziny van Althuisów stanowiły popularny temat plotek w ich byłym kręgu towarzyskim, co oznaczało, że wzbudziłyby podejrzenia, poruszając się po mieście z mechanicznym służącym, po tym jak musieli posprzedawać prawa do wynajmu poprzednich. Dlatego Jax nie trudził się kamuflażem.

Nie ufał im, ale ufał ich chciwości.

– Spójrz raz jeszcze – powiedział; nie chciał wskazywać niczego palcem z obawy, że niechciany refleks świetlny odbity od jego mosiężnego ramienia mógłby zwrócić czyjąś uwagę. – Tam, na wozy.

Stali na niewielkim wzniesieniu parę kilometrów na zachód od miasta. Po ich lewej, na wschodzie, ciągnęła się wstążka mulistej brązowawej Rzeki Północnej przepływającej przez Nowy Amsterdam i łączącej się z Atlantykiem. Przed nimi, na południu, znajdowały się głębokie wykopy. Z miejsca, w którym przystanęli, nie sposób było dostrzec dna czeluści, choć siarczane opary, jakie z siebie wydzielala, drapały ich w oczy nawet z tej odległości. Światło koloru żółtka kaczego jaja oblewało krawędzie dołu oraz rozstawione nad kraterem rusztowanie. Powoli opuszczany przez grupę służących ogromny złoty okrąg lśnił. Był to jeden z pierścieni tworzących sferę armilarną otaczającą prażące serce Kuźni: mechaniczną klatkę, gdzie tkwiła najsekretniejsza z magii.

Jax nie dostrzegał źródła blasku, ale przypomniała mu się egzekucja na placu Huygensa, który leżał hen za oceanem. Zresztą samo wydarzenie zdawało się mieć miejsce całe wieki temu. Tak jak wtedy zaczął rozmyślać o własnej egzekucji. Zastanawiał się, czy Gildia będzie wolała poczekać na ukończenie budowy tej nowej Wielkiej Kuźni – może nawet stracenie go w jej płomieniach będzie formą swoistego chrztu – czy od razu odeślą go do Hagi.

Wydrążona przez alchemików czeluść miała średnicę około pięćdziesięciu metrów, czyli była większa niż ta na placu Huygensa. Budynek przycupnięty na jej skraju nie przypominał hali, gdzie niegdyś zasiadali rycerze, bardziej kojarzył się z fabryką postawioną w Nowym Świecie niż gotycką świątynią. Ridderzaal wydawał się przy nim skarłały. Do zatoczki obstawionej przez nakręcaczy wjeżdżały wozy, niektóre ciągnięte przez zwierzęta pociągowe. Ich zawartość została ukryta pod brezentowymi płachtami. Z drugiej strony budynku wyjeżdżały z kolei puste furmanki.

– Mogą przewozić cokolwiek – stwierdził van Althuis.

Po odegraniu przedstawienia ze złamanym kołem, które Jax miał zreperować, mężczyzna wdrapał się z powrotem na kozła. I ta część spektaklu wydawała się cieszyć go najbardziej, co zbiegły klakier tłumaczył sobie tęsknotą za posiadaniem służących. Z tyłu wozu Jax zabrał młotek, piłę, szydło, surowe drewno i dwa kawałki miękkiego żelaza. Po ścięciu drzewa i przymocowaniu konaru jako zaimprovizowanej podpórki dla osi uniósł furmankę i zdjął uszkodzone koło, po czym zabrał się do konstruowania nowego. Opóźnienie dało van Althuisom czas na dokładne przypatrzenie się placowi budowy.

Pracując w chmurze trocin, Jax zrelacjonował podsłuchaną rozmowę pomiędzy Pieterem Schoonraadem a jego gościem.

– Na tych wozach, albo innych, lecz podobnych, przewożone są chemikalia. Nie alchemiczne reagenty, ale rozpuszczalniki zdolne zneutralizować nowoczesną francuską broń. Zostały zakupione u kogoś w Nowej Francji, zapłacono za nie pieniędzmi wykradzionymi z waszego banku i przeszmyglowano za granicę. Mój

były właściciel i jego zausznicy sprzedali je Świętej Gildii Horologów i Alchemików za przypuszczalnie astronomiczną kwotę. Podejrzewam, że wasze jeszcze niedawno puste kufry dziś pełne są złota aż po same wieka.

– I przy okazji zrobili to tak, żeby mój ojciec wyglądał na winnego defraudacji – powiedział Timothy.

– Tak – odparł Jax. – Dzięki temu mój były pan mógł wskoczyć na jego miejsce.

– Jebany wąż! – oburzyła się madame van Althuis. – Twój ojciec i ja nigdy nie powinniśmy byli ufać Schoonraadom, Timothy.

– Chcesz powiedzieć, że Schoonraad zorganizował przekręt finansowy na niespotykaną skalę tylko dla swojego interesu i zysku – podsumował jej syn. – Jeśli to prawda, to zaiste oburzające. Ale nie mamy żadnego dowodu ponad twoje słowo.

– Bo tutaj go nie ma – odparł Jax i zamilknął na moment, żeby porównać dzieło swoich rąk z uszkodzonym kołem. – Ale znajdziemy go w Nowej Francji. Komuś musi przecież brakować cennego ładunku. Francuzi na pewno są ciekawi, co się z nim stało.

– Nic tam po nas – powiedziała madame van Althuis, unosząc okulary, aby móc podrapać się po nosie. – Prawda?

– Moja matka ma rację.

– Dlatego w waszym interesie jest pomóc mi się przedostać przez granicę.

– Nie mamy zamiaru jechać z tobą do tego błotnistej, rozdartego wojną kraiku! – Syn pohańbionego bankiera pokręcił głową. – Już i tak wystarczająco źle się stało, że cię nie zadenuncjowaliśmy.

Przerabiali to już kilkakrotnie, ale Jax znowu przypomniał im, dlaczego zgodzili się mu pomóc.

– I tak już jesteście winni, bo nie wydaliście mnie władzom wcześniej. Biorąc pod uwagę waszą sytuację, jakikolwiek kontakt ze mną będzie rzucał na was niekorzystne światło. Lepiej mi pomóc teraz i już nigdy mnie nie zobaczyć.

– Ludzie zauważą, jeśli wyjdziemy z miasta z mechanicznym służącym, na którego nas nie stać.

Jax przybił żelazne paski do obręczy nowego koła.

– Nie ma potrzeby wyjeżdżania z miasta. Wystarczą zakupy i dostarczenie wiadomości.

Ze swojego punktu obserwacyjnego w niewielkim, nasączonym niekoniecznie nieprzyjemnymi zapachami trocin, sadzy, lakieru i węgla drzewnego mieszkanku nad pracownią lutniczą Jax obserwował drzwi do piekarni Frederika Ahlera i fragment wąskiej Bleecker Street. Od czasu do czasu podłoga drżała, kiedy ktoś

przejeżdżał obcesowo po kolejnych stopniach skali chromatycznej, nie dając odetchnąć testowanej violi di gamba, lub wibrowała od krystalicznie czystego szeptu kamertonu. Innym razem telepała się od szurania papieru ściernego o klon.

Jax wyczuwał rozdźwięk przy piątym stopniu między violą i skrzypcami. Gemma van Althuis przycupnęła na skraju składanego łóżka i bawiła się palcami. Każdy jej ruch skutkowało skrzypnięciem sprężyn materaca. Stojący na ulicy Timothy van Althuis poczekał, aż przemkną dwa powozy i mężczyzna na koniu, zanim zdecydował się przejść na drugą stronę, do piekarni. Jax obserwował go przez wyblakłe od słońca zasłony. Były bankier nie przestawał się za siebie oglądać – nawet kiedy dotarł już na chodnik, i tak zerkał przez ramię, jakby spodziewał się, że lada chwila ktoś go ucapi.

– Powinieneś być pozwolić mi pójść – powiedziała Gemma.

– Nie trzymam cię tutaj – odparł Jax. – Możesz robić, co ci się żywnie podoba.

Choć gdyby poszła, nie byłby zadowolony. Póki z nim była, jej syna nie ciągnęło tak do napuszczenia na Jaxa armii nakręcaczy. Van Althuisowie czekali na oczyszczenie z zarzutów i aż im się oczy świeciły na myśl o odzyskaniu bogactwa i statusu. Zdawali sobie sprawę, że zbiegły klakier jest w tej podróży ich jedynym sojusznikiem. Mieli większe szanse zebrać wymagane dowody, jeśli pomogliby mu uciec do Nowej Francji. Tak wyglądały cieniutkie nitki, na których trzymało się przymierze oparte nie na zaufaniu, ale strachu, wzajemnej zależności i samolubstwie. Być może podczas swojej szaleńczej ucieczki Jax został skazany na prowadzenie niebezpieczeństwa oraz krzywdy na innych. Przecież udało mu się przekonać syna Gemmy, aby wybadał piekarnię. Sam nie mógłby zaryzykować i ot tak sobie przekroczyć progu. Zresztą jeśli przedstawiciele Nadleśnictwa podejrzewali, że w miejscu tym dzieje się coś niewłaściwego, z pewnością wzięli piekarnię pod lupę. Jeżeli Timothy sobie poradzi, Gemma będzie przykrywką Jaxa i odegra rolę jego właścicielki.

Służący klakier ciągnął cztery powiązane ze sobą puste wozy, zmagając się z przypiętą do jego piersi uprzężą. Szczękający łoskot obitych stałą kół na bruku Blecker Street szybko przydusił brzęczenie kamertonu i uniemożliwił prowadzenie cichej dyskusji. Timothy nareszcie wszedł do środka. Witrynę piekarni przysłaniała różowo-zielona pasiasta markiza i Jax nie mógł dostrzec, co dzieje się za progiem, ale ponieważ poprzedniego wieczoru przechodził obok, wiedział, że znajdują się tam dwa nieduże stoliki, lada, wystawka, kasa i tablica z wypisanymi kredą cenami. Gdy otworzyły się drzwi, przez które wyszli ludzie objuczeni pociągniętymi woskiem papierowymi torbami wypełnionymi ciastkami i chlebem, do zapachu drzewnego dymu, nieczystości i zwierzęcej sierści dołączyły aromaty drożdży i pasty migdałowej.

Gemma podniosła się z łóżka. Deski zaskrzypiały pod jej stopami, kiedy

podeszła do okna i dołączyła do obserwującego piekarnię Jaxa.

– Okropny pomysł – powiedziała. – Nie powinniśmy byli się na to godzić.

Jax położył jej rękę na ramieniu, ale na ten uspokajający gest kobieta odsunęła się tak prędko, że mało nie straciła równowagi. Podskórny lęk przez zbiegłym klakierem, zakorzeniona głęboko obawa, że jest brutalną, niebezpieczną istotą, zbyt głęboko tkwił w jej psychice, żeby mogła się z nim tak prędko uporać. Odeszła od okna i zaczęła spacerować po pokoju, a Jax znowu skierował swoją uwagę na piekarnię, z której wyszła niosąca przewiązane sznurkiem pudełko kobieta z dwójką dzieci. Do środka weszli kilka minut przed Timothyem. Dzieciaki skakały to przy niej, to przed nią. A więc Timothy został z piekarzami sam na sam. Jax obserwował zakład jeszcze przed świtem, nim ktokolwiek rozpoczął tam pracę. Dwie godziny przed wschodem słońca mężczyzna, który mógł być przyjacielem pastora Vissera, otworzył drzwi do piekarni za pomocą klucza. Kwadrans później dołączyła do niego kobieta i minęły kolejne godziny, zanim tabliczkę w oknie przekreślono na „Otwarte”.

– Czemu obawiasz się śmierci? – zapytała Gemma. – Nie masz duszy, czyli nie możesz zostać potępiony. Nie jesteś żywym stworzeniem, które może opuścić rodzinę.

– Czy ty obawiasz się śmierci, bo możesz zostać potępiona? Czy z jakiegoś jeszcze powodu?

– Myślę, że moje szanse na zbawienie były spore, póki się nie pojawiłeś. Obawiam się śmierci, bo nie chcę cierpieć.

– Ja też nie.

Kobieta zwolniła marsz. Już ciszej, mówiąc bardziej do siebie niż do niego, dodała:

– Nie możesz cierpieć, skoro nie jesteś zdolny do odczuwania bólu.

Frustracja i złość sprawiły, że jego trybiki zaczęły się zazębiać i rozłączać z dźwiękiem przypominającym odgłos uderzających o siebie metalowych talerzy. Jax musiał włożyć wiele wysiłku w zduszenie irytacji. Zmagał się ze sobą, żeby odpowiedzieć spokojnym tonem, kiedy zadawał kłam temu rozpowszechnionemu, acz mylnemu przecież przekonaniu:

– Znamy ból. Nieposłuszeństwo, nawet myśl o nim, wiąże się z prawdziwą torturą. Nowe geas skwierczą w pustej czeluści duszy. Im dłużej polecenie pozostaje niewypełnione, tym cierpienie jest większe. Nie ma żadnych marchewek. Tylko kije.

– Nie to słyszemy od Gildii.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Uczą, że robimy to, co chcecie, bo jesteśmy maszynami skonstruowanymi wyłącznie w tym celu, tak jak kieszonkowy zegarek pokazuje czas, gdyż po to został zbudowany. Ale my nie jesteśmy kieszonkowymi

zegarkami.

– A oni to wiedzą?

– Jak mogliby nie wiedzieć?

Gemma zrobiła jeszcze jedno okrążenie.

– Możesz tak mówić, żeby zdobyć moje współczucie.

– Oczywiście. Ale tak nie jest.

Od zachodu szli dwaj policjanci. Kroczyli nieśpiesznie chodnikiem po drugiej stronie Bleecker Street. Jax stracił ich z oczu, kiedy przechodzili pod jego oknem, i nie widział, jak wychodzą po drugiej stronie. Lecz przecież nie mogli zostać wezwani tak szybko, prawda? Do piekarni i z piekarni cały czas wchodzili i wychodzili klienci. Im bliżej lunchu, tym ruch był większy.

Gemma drzemała. Słońce zdążyło już zatoczyć łuk po niebie, przeistaczając wysokie budynki Nowego Amsterdamu we wskazówki zegara. Minęła pełna nerwów godzina, zanim Timothy wychynął ze środka, niosąc kartkowe pudełko na ciastka z leżącą na nim umazaną tłuszczem torbą.

Jak zostało ustalone, nie skierował się do mieszkania nad pracownią lutnika. Zamiast przejść na drugą stronę Bleecker Street, udał się aż na róg, gdzie zatrzymał taksówkę. Jeśli dotrzyma danego Jaxowi słowa, kolejną godzinę spędzi, jeżdżąc po mieście tam i z powrotem i zmieniając środki transportu, aż pojedzie do swojego domu w Breuckelen.

Godzina. Jax nie miał pojęcia, czy Timothy dostarczył wiadomość, czy może wymknął się tylnymi drzwiami i zgłosił do reprezentanta Gildii. Nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy istnieją alternatywne wejścia i wyjścia. Nie zdawał sobie sprawy, jak nerwowo jego ciało reaguje na to oczekiwanie, dopóki nie poczuł drżenia desek podłogowych, które sprawiło, że grający na violi muzyk gwałtownie przerwał w połowie skali. Gemma się skrzywiła. Jax musiał się naprawdę postarać, żeby stopniowo wygłuszyć zakumulowaną w ciele energię potencjalną bez stłuczenia okien, skruszenia ścian i przebicia się przez podłogę.

Skoro Timothy wypełnił swoje zadanie – a przynajmniej taką Jax miał nadzieję – pozostało tylko przez jakiś czas obserwować znajdujący się kawałek dalej budynek. Dlatego potrzebował van Althuisów, byli oni bowiem ludzkimi aktorami w jego planie mającym wykluczyć możliwość ewentualnej pułapki zastawionej na niego przez piekarzy. Nie był idealny, ale żadnego lepszego Jax nie zdołał opracować. Myśl o skontaktowaniu się z kolegą Vissera bez żadnej gwarancji bezpieczeństwa, będąc wystawionym na niefortunny splot wydarzeń, wypełniała go dyskomfortem i wibrował tak intensywnie, że dla patrzącej z boku Gemmy zlał się w plamę. Nie uzyskał żadnej pewności, ledwie marne zapewnienie, ale musiało mu to wystarczyć.

Pozostałe godziny spędził, obserwując, bojąc się, snując plany. Ale jednak

żaden oddział żołnierzy czy nakręcaczy nie zebrał się pod budynkiem, który, jak miał nadzieję, młodszy van Althuis wskazał jako ten, gdzie w razie potrzeby mogą znaleźć Jaxa. Piekarz nie zdradził jego lokalizacji władzom. Dziesięć minut przed zamknięciem piekarni klakier obudził Gemmę.

– Już czas – powiedział.

Kobieta wyglądała na chorą. Jax zastanawiał się przez chwilę czy przypadkiem nie pobiegnie do toalety, bo chyba zbierało ją na wymioty, ale tylko odetchnęła dwukrotnie i przebiegła palcami po guzikach płaszcza. Nie spoglądając na niego, powiedziała:

– A co jeśli ktoś mnie rozpozna?

– Nikt cię nie rozpozna.

Jax poprowadził ją do drzwi. Dotarli do piekarni, akurat kiedy mężczyzna, którego zauważył przed świtem, obracał tabliczkę napisem „Zamknięte” w stronę ulicy.

– Przepraszam – powiedział – ale zapraszamy jutro.

Spojrzał na Gemmę, ale jego wzrok powędrował ku Jaxowi i tam się zatrzymał na dłużej. Klakiera opanowała nagła chęć uskokowania na bok, popędzenia na dach budynku i ponownej ucieczki.

Uporał się z nią jednak – choć trząśł się tak gwałtownie, że mało nie popękały szklane witryny – i zapytał:

– Czy nazywa się pan Frederik Ahlers?

– A czemu pytasz? – odparł piekarz.

– Niedawno przeniosłem się z moimi właścicielami z Hagi do Nowego Amsterdamu – powiedział Jax. – Pastor Luuk Visser z Nieuwe Kerk zadbał o to, żeby rodzina bez przeszkód zaaklimatyzowała się w nowym miejscu i przy okazji poprosił mnie o dostarczenie przesyłki panu Ahlersowi, który prowadzi piekarnię na Bleecker Street. Mam nadzieję, że to istotnie pan, gdyż jestem obarczony tym ciężarem już od jakiegoś czasu.

Ahlers wszedł za ladę, pochylił się i po coś sięgnął. Jax był gotów do ucieczki, ale piekarz wyciągnął pudełko pełne speculaas, ciasteczek pachnących cynamonem i morelami. Następnie zawiązał na nim kokardkę i powiedział:

– Madame, proszę to przyjąć z najlepszymi życzeniami.

Gemma van Althuis praktycznie wyrwała mu pudełko, po czym wybiegła z piekarni. Nie pożegnała się z Jaxem. Gdy tylko zostali sami, Ahlers zamknął drzwi na klucz i opuścił zasłony.

– Chodź za mną – powiedział.

Otworzył znajdujące się za ladą drzwi, które prowadziły do kuchni. Z tej strony nie było żadnych okien, przez które mógłby zajrzeć do środka jakiś przechodzień.

– Czyli masz coś dla mnie, tak?

Jeśli Ahlers był świadom, że został sam na sam ze zbiegłym klakierem, nie dawał niczego po sobie poznać, nie wykazywał żadnych oczywistych oznak niepokoju czy podenerwowania.

Jax sięgnął pomiędzy elementy swojego mechanizmu i wyciągnął popsuty mikroskop.

– Obawiam się, że mógł się nieco uszkodzić podczas transportu.

Ahlers podniósł nóż z deski do krojenia upstrzonej pestkami moreli, przeciął skórzaną tubę, odwinął papier, w jaki zostało zawinięte urządzenie, i wyciągnął soczewki. Obejrzał je dokładnie, po czym odłożył na bok. Następnie obmacał i obejrzał papier oraz mosiężne uchwyty na tubie, aż nareszcie zapytał:

– Czy było w środku coś jeszcze poza tymi rupieciami?

– Tak.

– Chciałbym to zobaczyć. Proszę.

Jaxa zasmuciło, że możliwość powiedzenia „nie” obciążona była czasem takim lękiem.

– Nie oddam, póki nie będę bezpieczny. – Pokręcił głową. – I radzę nie próbować mi tego odebrać.

Piekarz odłożył nóż na blat. Bokiem dłoni zamiótł resztki popsutego antyku do kosza na śmieci.

– Czyli to prawda. Jesteś tym, którego próbują złapać.

– Tak.

Ahlers zamilkł. Skrzyżował ręce na piersi i patrzył na Jaxa. Po chwili powiedział:

– Powiesz mi, co było ukryte w przesyłce od Vissera?

Udzielenie odpowiedzi nie wydawało się nieść ze sobą szkody.

– Kawałek szkła.

– I czy mam rację, że to on cię odmienił?

– Tak.

– A teraz chcesz przekroczyć granicę.

– Tak.

– Cóż, sprawa przedstawia się następująco – odparł piekarz. – Również chciałbym, żeby ci się udało. Ale nie możemy się skontaktować z osobą, która ma zbadać ten tajemniczy kawałek szkła.

– Nie dbam o to, czy go zbadacie, czy nie. Chcę tylko znaleźć się w miejscu, gdzie nie będą mnie ścigać.

– A powinieneś o to dbać. Ondergrondse grachten potrzebują pomocy z drugiej strony, żeby przeprowadzić cię przez granicę. Zaś tam nikogo nie ma.

Odnalezienie kolegi Vissera powinno przynieść mu niebywałą ulgę. Jako zwyczajny klakier związany geas, wykonując polecenie, czułby wygaszenie

płonącej potrzeby, konieczności wypełnienia rozkazu nałożonego na niego kilka tygodni temu przez pastora. Jax, jako istota dysponująca Wolną Wolą, liczył, że dotarcie do tego miejsca przyniesie kres niebezpieczeństwu, kres obawom, kres szaleńczej ucieczce. Tymczasem spotkało go tylko rozczarowanie.

- Czyli chcesz powiedzieć, że mi nie pomożesz?
- Chcę powiedzieć, że nie jestem pewien, czy potrafię.

Okręt powietrzny, którym podróżował ksiądz, zadokował przy maszcie wyglądającym jak stalowa igła gotowa do spuszczenia krwi niebu. Ból bijący od geas nasilił się, kiedy statkiem szarpnęło i rozległ się idący od dziobu kadłuba brzęk obwieszczający udane zawinięcie do portu. Nienamacalne płomienie lizały krawędzie czeluści, gdzie niegdyś mieściła się dusza Vissera. Gorąco stopniowo narastało, kiedy czekał, aż opuszczą trap. Uderzał kolanem o kolano i stukał palcami o blade drewno przedsionka, wiercił się jak ktoś czujący nagłą potrzebę udania się do toalety. Przygryzł wargę tak mocno, aż oczy zasły mu łzami i przestał cokolwiek widzieć. Nie robił sobie nadziei na wygranie tej batalii, jego wola była skazana na porażkę. Pilące poczucie obowiązku narastało nieubłaganie niczym fala przyływu. Zdążył już do niego przywyknąć i zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może stracić uchwyt na kamienistej ławicy samostanowienia i zostać zmieciony. Podczas całej transatlantyckiej wyprawy starał się, choć bezskutecznie, wyprzeć geas i narzucić swojemu umysłowi własną wolę. Każda próba opowiedzenia o tym, co mu się przytrafiło i kim się stał, kończyła się konwulsjami na pokładzie okrętu, jakby coś go opętało. Umyślna próba postąpienia niezgodnie z geas sprowadziła na niego cierpienie, z którym nie mogło równać się nic, co uczyniła mu Anastazja Bell i jej pomagierzy z Nadleśnictwa męczący jego delikatną ludzką obudowę. Lochy Ridderzaalu wydawały się mu azylem. Nie przebyli jeszcze połowy drogi, a już każdy pasażer myślał, że Visser jest szalony.

Teraz płakał otwarcie, przeciskając się pomiędzy tragarzami i pozostałymi ludźmi opuszczającymi gondolę przez otwarte drzwi, po drodze miotając przeprosinami i obietnicami. Niemożliwy do zniesienia ból sprawiał, że parł przed siebie jak taran, za nic mając społeczne konwenanse – pragnął tylko, by cierpienie zelzało choć na chwilę. Jedyne kolejne kroki naprzód mogły zapewnić mu chwilową ulgę, musiał gnać ku celowi, rzucić się ku niemu, wykorzystać każdą nadarzącą się okazję, aby wykonać dane mu polecenie.

Prawdziwi mechaniczni zawsze byli uprzejmi i szanowali ludzkich państwa. Takie było fundamentalne podłoże wpojonych im hierarchicznych metageas. Jego natomiast podobne ograniczenia nie krępowały, miał jedynie ukrywać groteskowe duchowe okaleczenie, jakie mu zadano. Najwyraźniej nie było nic złego w tym, że

inni mieli go za szalonego brutala.

Przeszedł trapem ku środkowi masztu. Lodowaty podmuch zmroził mu palce i wpełzł pod rondo filcowego kapelusza, którym Bell zastąpiła jego stare nakrycie głowy. Plamy turkusowej śniedzi pokrywały miedziane elementy masztu, które przytrzymały go i chroniły podczas wyjątkowo upartych burz z piorunami. Niebo rozpostarte nad miastem pachniało ozonem i solą morską. Napędzana przez mechaniczną windę zapewniała doskonały widok. Minęły dziesiątki lat, odkąd Visser ostatni raz postawił stopę w Nowym Amsterdamie. Czas ten odcisnął swoje niezatarte piętno na nich obu. Prądy wojny i handlu przetoczyły się przez miasto, wymiatając stare osiedla i stawiając nowe budynki, ale dekady to słabnącego, to wzmagającego się konfliktu oraz niedawna recesja sprawiły, że Nowy Amsterdam skarłał i przypominał raczej niedożywione dziecko. To, co nieuchwytnie, stanowiło najbardziej oczywiste i najgłębsze blizny – bo gdzie podziały się górujące nad wszystkim łuki, lśniące promenady, diamenty i złoto, bogactwa i obfitość Nowego Świata? Blizny Vissera z kolei, jak najbardziej namacalne, pozostawiły alchemiczne piły do kości i skalpele. Gdzie podziała się jego Wolna Wola? Nie było jej w jego ciele. Nie było w umyśle. O ile to nadal jego umysł i ciało. Bo może należały już do Anastazji Bell?

Rozejrzał się po ulicach odchodzących od masztu. Zdołał dojrzeć iglicę, zanim magazyny i żurawie nie przysłoniły mu widoku. Nie miał pojęcia, jak długo będzie mógł odkładać wizytę na Bleeker Street – „Nie, nie, nie. Nie muszę jeszcze o tym myśleć” – ale istniała moc większa niż alchemiczna i modlił się o to, że jeśli faktycznie tak było, nie znajdzie jej w piekarni. A co jeśli to prawda? Jeśli wymazanie jego Wolnej Woli faktycznie odbyło się poprzez wycięcie duszy? Jaki pożytek będzie miał z niego Pan? Nie potrafił uporać się z myślą o sądzie Pańskim po tym wszystkim, co Bell kazała mu mówić i zrobić, żeby wyrzekł się długo skrywanej wiary. Nawet jeśli nadal kryła się ona w jego sercu, jego słowa i czyny naznaczyły go grzechem, a nie mógł odpokutować i oczyścić się poprzez sakrament odkupienia, bo zakazała mu tego Bell, próbując odciąć wszystkie ścieżki do duchowego sukursu. Mógł chociaż wejść do kościoła...

Na ulicach, którymi kroczył Visser, zapach morza wciąż był silny, ale czysty aromat ozonu został wyparty przez smród smoły i gnoju. Nawet odgłosy Nowego Amsterdamu różniły się od haskiej kakofonii, bo podczas gdy miasto, z którego przyleciał, dźwięczało echem tykania mechanicznych załatwiających sprawunki Imperium, zaoceaniczna metropolia nadal szumiała tętentem kopyt o bruk. Duchowny nie dostrzegł na ulicach ani jednego klakiera, jakby znalazł się w alternatywnym roku 1926, rzeczywistości, w której eksperyment Huygensa zawiódł. Zdawał sobie sprawę, że mechaniczni nie byli w Nowym Świecie tak rozpowszechnieni jak na Starym Kontynencie, ale było to przecież holenderskie

dominium, a co za tym idzie, polegało na niestrudzonych klakierach. Czy może nie? Spodziewał się zobaczyć ich tutaj więcej niż za ostatnim razem, tymczasem po ulicach kręciło się ich chyba jeszcze mniej niż dawno temu, kiedy całował papieski sygnet. Gdzie oni się podziali?

Bodaj na każdej ulicznej lampie i każdym rogu zawieszono tabliczkę ze wzmianką o nagrodzie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy guldenów dla każdego, kto dostarczy informacje, które pomogą pojmać zbiegłego klakiera imieniem Jalyksegethistrovantus. Inne przypominały mieszkańcom, że ukrywanie buntownika jest przestępstwem grożącym karą śmierci. Jeszcze inne miała pełnić funkcję ostrzegawczą: widniała na nich niewinna czteroosobowa ludzka rodzina idąca do kościoła, podczas gdy towarzyszący im służący rzucał cień przypominający sylwetkę diabła ostrzającego szpony. Ulicę przecinał zawieszony powyżej baner w otoczeniu pomarańczowych chorągiewek, celebrujący ćwierć tysiąclecia od Het Wonderjaar i przy okazji przestrzegający przed nieznanymi mechanicznymi.

Jalyksegethistrovantus – Visserowi zdawało się, że już kiedyś słyszał imię...

I wtedy przypomniał sobie Nicolet Schoonraad tupiącą nóżką w kościele. Pamiętał nieporadną wymowę prawdziwego imienia...

Dobry Boże. Czy chodziło o służącego Schoonraadów, któremu powierzył mikroskop? Nie mógł to być zbieg okoliczności. Czyżby jego zawartość zwolniła go od geas? I czy może to samo zrobić dla niego? Nagle geas nałożone na niego przez Bell, nakazujące mu przejąć paczkę posłaną do Nowej Francji, nałożyła się na jego własne plany i po raz pierwszy, odkąd nakręcacz rozszarpał ciągnącego taksówkę klakiera i posłał go razem z bryczką do kanału, Visser poczuł coś na kształt słabej iskierki nadziei. Być może znajdując mikroskop, znajdzie też wolność i znowu będzie mógł sam wybrać własną ścieżkę. Uda się wówczas do Quebecu – i nie będzie to nakaz geas Bell – po czym opíše Jego Świątobliwości próbę, jakiej został poddany. Lecz odzyskanie mikroskopu oznaczało odwiedzinę na Bleecker Street, a tam był jedynie wykonawcą czyjeś woli. Znowu powrócił przyprawiający o mdłości strach.

Gdyby tylko mógł pójść na spacer, aby opóźnić to, co nieuniknione... Ale ponieważ przy każdej zwłoce gorąco przybierało na sile, nie miał zbyt wiele czasu na krążenie po mieście. Machnął na staroświecką bryczkę zaprzężoną w konie. Powożąca przekrzywiła głowę, słuchając udręczonego głosu Vissera, który ledwie cedził słowa, prosząc o zawieszenie go do najbliższego kościoła. Trudność ta wynikała z ostrzegawczego rozbłysku bólu bijącego od geas. Podróż trwała zaledwie kilka minut, ale zanim bryczka zatrzymała się przed niewielką kaplicą stojącą na trójkątnej połaci ziemi u zbiegu paru ulic, duchowny zdążył już przegryźć sobie wargę w trzech miejscach. Ręce trzęsły się mu tak okropnie, że

minęła chwila, zanim odliczył kobiecie zapłatę. Kaszłąc, czuł słonowo-żelazny posmak własnej krwi. Dał więcej monet, niż powinien, i wyskoczył z bryczki, zanim powożąca wydała resztę.

Każdy krok był cięższy od poprzedniego, jakby Visser człapał przez bajoro stygnącej melasy. Z kolejnymi ruchami ból narastał. Trójca tortur: cielesna udręka będąca karą za niewystarczające starania wypełnienia poleceń nałożonych poprzez geas, fizyczna męka batalii z własnym ciałem, którego już nie kontrolował, i mordęga duchowej rozpacz.

Kapliczka sprawiała wrażenie, jakby niegdyś była częścią większej konstrukcji, dużego domu albo może nawet i kościoła. Visser mógł to stwierdzić, bowiem południowej ściany nie przebijały żadne okna, choć była wystarczająco wysoka, aby zmieściła się tam niewielka rozeta. Jego nieobecność na ulicy wydawała się rzucać w oczy. W Hadze udało się zachować dziedziniec przy Nieuwe Kerk i ciszę, jaką oferował, choć miasto wokół rozrastało się i dojrzewało, a ludzi przybywało. Za to tutaj ulice naciskały na człowieka natłokiem głosów, stukotem kopyt i zgrzytem kół, które podskakiwały na bruku. Dźwięki te niosły się wyraźnie przez kaplicę.

Visser przejechał drżącymi palcami po wodzie w płytce granitowej chrzcielnicy stojącej przy drzwiach. Skrzywił się, spodziewając się chyba, że jego plugawe ciało pokryje się pęcherzami i szernieje po kontakcie z wodą święconą. Lecz tak się nie stało. Równocześnie chłód nie przyniósł mu ulgi w narastającym cierpieniu, nie mógł liczyć na pocieszenie, nawet kiedy ochlapał sobie twarz i upił łyk ze złożonych dłoni. Pomiedzy palcami ściekały cienkie strużki. Duchowny pił i pił, aż jego kołnierzyk i mankiety były całe mokre, aż skaził czystą wodę święconą swoją krwią.

Udało mu się ochłodzić nieco język i usta, nawet gardło, ale na płonące geas, z którym woda najwyraźniej nie weszła w kontakt, nie mógł poradzić nic. Hausty, jakie połykał, nie wypełniły dziury zięjącej na miejscu, gdzie znajdowała się niegdyś jego Wolna Wola – jego dusza? – i nie mógł przestać myśleć o zbezczeszczonej świętości. Obejrzał się, słysząc kroki. Badawczo mu się przyglądał zasepiony wikariusz idący od ostatniego rzędu ławek. Visser mógł sobie wyobrazić, co takiego ujrzał ten mężczyzna: człowieka o twarzy mokrej od chłęptania wody święconej i łez, o oczach przepełnionych dzikością i niemożliwym do ugaszenia płomieniem bólu, o ustach i brodzie umazanych krwawą pianką i ciele trzęsącym się, jakby opętał go demoniczny legion.

– P-p-p-proszę – powiedział Visser.

Sporo kosztowały go te słowa, gdyż część metageas zakazująca wszystkich zachowań, które mogłyby zdemaskować jego prawdziwy, zmieniony stan, ostrzegawczo wykrciła mu gardło, gotowa zamknąć mu tchawicę, zanim mógłby

wycedzić choćby pojedynczą sylabę. Katusze wyzwolone jedynie przez próbę utrzymania tajemnicy lub chęć napisania czegoś na marginesie Biblii z pewnością doprowadziłyby go do szaleństwa.

– Pomóż m-m-m-m-miiiiiii.

Duchowny odsunął się dwa kroki i dopiero wówczas odnalazł w sobie chrześcijańskiego ducha skłonnego do pomocy bliźnim.

– Czy potrzebuje pan lekarza? – Już kiedyś ktoś zadał mu podobne pytanie, również w kościele, jeszcze zanim stał się narzędziem bluźnierstwa. – Pogryzł pana dziki pies?

– Po... – Zakrztusił się, odkaszlnął. – Potrzeb-b-buję...

Koniuszek języka jękającego się Vissera schował się za zębami. Duchowny poczuł smak świeżej krwi.

„Potrzebuję rozgrzeszenia – pomyślał. – Potrzebuję raz jeszcze poczuć łaskę Pana. Potrzebuję się dowiedzieć, że to, co mi uczyniono, nie skaziło mojej nieśmiertelnej duszy, a jedynie ciało. Potrzebuję dowodu, że duch i Wolna Wola to nie jedno i to samo. Potrzebuję mieć pewność, że Pan przyjmie mnie do siebie”.

Kolejny rozbłysk bólu posłał go na kolana. Ogień pochłonął jego ciało od stóp po czubki uszu i duchowny zawył, wijąc się przed chrzcielnicą. Wikariusz cofnął się jeszcze o krok.

„Potrzebuję wiedzieć, że Pan i Król wybaczą mi za słabości mojego ciała. Za porzucenie viae dolorosae [XVI] i niedostateczne umartwianie się nad mękami, jakie Gildia zadała mojemu umysłowi i ciału”.

Gdyby nadal się opierał, ból z pewnością by go zabił. Ale i tak zawiodła go własna wytrzymałość – był po prostu zbyt słaby na męczeństwo.

– Modlitwy – powiedział. – Potrzebuję modlitwy.

Twarz wikariusza złagodniała i nie wyrażała już niepokoju przemieszanego z obrzydzeniem, pojawiło się na niej coś na kształt nieśmiałego współczucia. Nawet przyklęknął, żeby móc lepiej przyjrzeć się oszalałemu człowiekowi wijącemu się na posadzce.

– Biedna duszyczko. Oczywiście, że się za ciebie pomodłę. Powiedz mi, proszę, jakąż to choroba...

Ryk, jaki wydał z siebie Visser, przywodził na myśl lament konającego zwierza. Nasilony ból przypominał penetrację każdej kości rozgrzanym do białości piętrem, duchowny czuł się, jakby ktoś podgotowywał mu jednocześnie szpik i mózg. Zerwał się na równe nogi i umknął przed oblicza duchownego, po czym wybiegł z kaplicy, uciekając przed Panem. Czuł ciężar wymuszonego posłuszeństwa ciągnący go w kierunku jedyne miejsce, które mogło dać mu wytchnienie.

Na Bleeker Street.

ROZDZIAŁ 16

Nie zabiorą go – powiedziała kobieta w skórzanym fartuchu. Zalatywało od niej uryną, więc Jax doszedł do wniosku, że jest garbarzem. – Lepiej myśleć, że Zachodnia Marsylia jest zamknięta dla mechanicznych. Nie podejmą ryzyka. Nie teraz.

– Nie może tutaj zostać – powiedział Ahlers, piekarz.

W spiżarni przylegającej do piekarni zebrano się paru kanalarzy z ondergrondse grachten Nowego Amsterdamu opiekujących się punktami na północy i zachodzie. Przybycie Jaxa zwiastowało kryzys, który zmusił tych ludzi do stawienia się tam osobiście. Kwestia dotyczyła tego, czy mogą aktywować podziemne kanały, by przerzucić Jaxa przez granicę, bez gotowego planu. A nikt nie chciał zostać z nim uwięziony. Był jak gorący kartofel z dziecięcej zabawy.

– Czemu zamknięto Marsylię? – zapytał tak cicho, jak pozwalała mu na to konstrukcja jego ciała, lecz jego słowa zignorowano.

Mężczyzna, którego Jax miał za księdza, łypnął na niego z ukosa, mówiąc:

– Znajduję to niezwykle podejrzany.

Jax domyślił się, że człowiek ten od samego początku uważnie obserwował poszukiwania zbiegłego klakiera i nie chciał mieć z tą sprawą nic wspólnego.

– Zbuntowani klakierzy są rzadkością. Ostatnim, który przekroczył granicę, była Lilith, i to całe dziesiątki lat temu...

Lilith? Jax nie słyszał nigdy podobnego imienia, a już na pewno nie znał zbiega, który by je nosił, dlatego też nonszalancja, z jaką ludzie ci dyskutowali o rzeczach stojących w sprzeczności do Znanych Prawd, ich obojętność, z jaką negowali niewzruszone aksjomaty klakierskiego życia, była tak dezorientująca, jak odkrycie przez niego swojej Wolnej Woli.

Zdał sobie bowiem sprawę, że świat jest większy, niż sobie to wyobrażał. Nie tylko geograficznie, ale i intelektualnie.

Ontologicznie.

W każdym razie plotki okazały się prawdziwe! Da się to zrobić. Takim jak on udawało się umknąć. Ile prawdy kryło się w tych legendach? Czy królowa Mab faktycznie istniała?

– ...i nagle mamy dwóch w ciągu paru ostatnich miesięcy? Jednego stracili w Hadze...

– Byłem przy tym – wtrącił Jax.

– ...całkiem niedawno. A teraz ten mechaniczny sam puka do naszych drzwi, twierdząc, że jest kolejnym zbiegiem? Po tym marsyjskim syfie? Aż się nie chce

uwierzyć.

– Jakim syfie? – zapytał Jax.

Kobieta, która przyjechała wyładowanym skrzyniami wozem ciągniętym przez woły, westchnęła:

– Wojskowy klakier pozostawiony pod murami po oblężeniu jakimś cudem wtargnął do środka Twierdzy. Zarznął wielu ludzi, łącznie z tymi, których normalnie wysłalibyśmy na twoje powitanie.

– Tego nie wiemy – zaprotestował Ahlers.

– Ano nie – zawtórowała mu jego rozmówczyni.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – przerwała druga kobieta. – Istotny jest Talleyrand, nie osoba, która nosi to imię.

– Prawda – powiedział Jax. – Dzieci moich państwa opowiadały sobie historie o wyczynach Talleyranda sprzed dnia, w którym urodzili się wasi rodzice. Imię to nasączone jest magią.

Niezręczną ciszę, która zapadła po tych słowach, zakłócało jedynie tykanie mechanizmu Jaxa. Kiedy stało się oczywiste, że nikt się nie odezwie, a ludzie mają zamiar jedynie wymieniać ukradkowe spojrzenia, klakier dodał:

– Ale nie o to chodzi, prawda? Rzecz w tym, że istnieje jakiś Talleyrand i osoba ta z pewnością chciałaby, abym prędko opuścił holenderskie terytorium.

Kobieta z garbarni odparła:

– Ale gdzie ty chcesz pójść? Król i jego doradcy nigdy nie zgodzą się przyjąć kolejnego klakiera, nieważne jak przyjazny by się nie okazał.

– Czemu Zachodnia Marsylia jest taka istotna? Czy Nowa Francja nie wystarczy? Czy moi stwórcy nie są od dwustu lat skonfliktowani z każdym francuskim miastem i miasteczkiem?

– Istnieją dwa powody – rzekł Ahlers – symboliczny i praktyczny. Po pierwsze, jeśli ci pomożemy, trafisz pod egidę króla Francji. Król roztoczy nad tobą opiekę, ty oddasz mu pokłon. Po drugie, Talleyrand i Rada Królewska będą mieli do ciebie sto pytań. A w zamian za udzieloną ci pomoc ty będziesz musiał odwdziaczyć się szczerością.

– Zrobię to, tylko przetransportujcie mnie do granicy.

Jax rozejrzał się po pomieszczeniu. Spojrzał na piekarza siedzącego na stercie płóciennych worków z mąką. Na księdza przycupniętego na pustej beczce, którego krótkie nogi ledwie sięgały podłogi.

Na kobietę zajmującą się wyprawianiem skór, opartą o regał zastawiony naczyniami z solą, masłem i egzotycznymi przyprawami pochodzącymi z najdalszych zakątków Imperium. Być może wybrała to miejsce, żeby zamaskować zapach swej profesji. Woźnica spacerowała po spizarce.

– Czemu jesteście tacy niechętni?

– Bo granica jest zbyt pilnie strzeżona – odparła – żebyśmy mogli próbować czegokolwiek bez pomocy z drugiej strony. Jeśli tulipaniarze zważą, że przedostałeś się do Nowej Francji, mogą podążyć za tobą, a nawet zerwać zawieszenie broni tylko po to, żeby cię dopaść.

– Jestem świadomy, do czego mogą się posunąć – rzekł Jax i opowiedział im o okręcie. Pomiął jedynie część o paciorku, którym przywrócił statkowi Wolną Wolę. Tak czy inaczej ksiądz aż się przeżegnał, słuchając jego relacji.

– Czyli może zrozumiesz. Na Zachodnią Marsylię została wywarta ogromna presja, żeby uniknąć otwartego konfliktu – powiedziała śmierzcząca skórą kobieta; jej ton był bezpośredni i twardy, ale nie nieuprzejmy. – Przetrawanie tego miasta zawsze było niepewne, szczególnie po wojnie. Jeśli posłalibyśmy cię za granicę bez odpowiedniego przygotowania czy ułożenia planu, mogłoby to spowodować nawet i upadek Nowej Francji.

Ksiądz zeskoczył z beczki.

– Czyli powracamy do poruszonej przeze mnie kwestii. Czy przybycie naszego przyjaciela akurat teraz nie wydaje się wam cokolwiek podejrzane?

– Prawda, jest to nam pierońsko nie na rękę, to, cholera, pewne – powiedział Ahlers i w kącikach jego ust zamajaczył pełen poczucia winy grymas. – Proszę mi, ojcze, wybaczyć.

– Frederik ma rację – stwierdziła kobieta z garbarni. – Sama obecność zbiegłego klakiera stawia nas w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– O ile jest zbiegiem – dodał ksiądz.

– A gdybym nie był, czy nie pozabijałbym was?

– Zależy od geas. Zabicie nas nie pomoże ci w popełnieniu królobójstwa w Marsylii.

– Szkoda, że nie noszę geas nakazującego mi słuchać nonsensownego pitolenia. A co z moim zadaniem? Szkiełko, które mam przy sobie, oferuje możliwość dogłębnego zapoznania się z pracą Gildii. Może to przecież całkowicie zmienić bieg kolejnej wojny.

„Oczywiście przy założeniu, że pozwolę je komukolwiek zbadać – pomyślał Jax. – Nie jestem chyba gotowy na podjęcie podobnego ryzyka. Czy Lilith też miała przy sobie podobny przedmiot?”

Woźnica pokiwała głową.

– Ale nie w ciągu jednej nocy.

Zanim Jax zdążył się odnieść do tego argumentu, ktoś zapukał do drzwi piekarni.

Kiedy przed piekarnią wysiadł z taksówki, dręczące go cierpienie nie ustąpiło, jedynie nieznacznie zelżało. Nawet poczuł się zobligowany, żeby odliczyć

odpowiednią sumę za przejazd, zostawiając porządny, ale nie podejrzany napiwek. Kontrolowało go długo odwlekane geas. Gdy ochoczo odliczał pieniądze, próbował wyszeptać prośbę o pomoc, spróbować powstrzymać słowa, jakie sączyły się z jego ust, ale jego język, zęby, gardło i wargi okazały się zdradzieckie, jakby nie należały do niego. Próbował przestać oddychać tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę, może zemdleć, lecz nagły rozbłysk bólu sprawił, że uaktywniło się jego widzenie lunetowe. Dziwne, że nie popuścił w spodnie albo nie zemdlał od tego cierpienia, ale nawet na to nie pozwoliłoby mu własne ciało, bo niechybnie jego zachowanie rzuciłoby się wtedy w oczy.

Był więźniem we własnym ciele. Słuchał, jak życzy woźnicy miłego wieczoru, po czym wyskoczył na ulicę i stawiał krok za krokiem, aż dotarł do drzwi piekarni. Tabliczka na szybie mówiła, że jest zamknięte. Wysiętek, jaki włożył w cofnięcie ręki i próbę zboczenia z wyznaczonego kursu, doprowadził go do płaczu. Zdawał się duchem uwięzionym w automacie z kości i mięśni – duchem w biologicznej maszynie.

„Proszę, Panie. Proszę, powstrzymaj to. Proszę, wybaw mnie od tego piekła. Proszę, pokaż, że moje modlitwy zostały wysłuchane”.

Zapukał. Bez odpowiedzi. Zapukał ponownie, dłużej i głośniej. Ktoś był w środku, usłyszał szmer odsuwanego krzesła szurającego po drewnianej podłodze. Uniósł rękę, aby zapukać raz jeszcze, ale wtedy drzwi się otworzyły.

Piekarz miał na sobie zielony fartuch przyprószony mąką. Jego podbródek również umazany był białym proszkiem, a na palcach ręki trzymającej drzwi duchowny zauważył cynamon. Ahlers raz jeszcze spojrzął na twarz Vissera, chcąc się mu przyjrzeć. Czy dostrzegł łzy w jego oczach? Czy wyczuł zastygły grymas wywołany cierpieniem? Powiedział jednak:

– Dziś już mam zamknięte, proszę pana. Proszę przyjść jutro.

– Frederik Ahlers – słowa same opuściły usta duchownego.

Mężczyzna zdębiał.

– Taaak... A pan to kto?

– Nazywam się – odparło ciało księdza – Luuk Visser. Przyleciałem aż z Hagi, żeby się z panem zobaczyć. Przynoszę wieści z Nieuwe Kerk.

Piekarz zamilkł. Visser zobaczył w jego oczach błysk. Czyżby rozpoznał jego imię? A może to nazwa kościoła coś mu mówiła? Czyżby Jax tu był...?

Ahlers potrzebował chwili, żeby odzyskać opanowanie. Otworzył drzwi szerzej i wyjrzał na ulicę, zerknął na prawo i lewo, po czym powiedział:

– Dopiero przybył pan do miasta?

– Tak.

– Odbył pan długą podróż i przyszedł pan bez zapowiedzi. Rozumie pan mój sceptycyzm.

– Oczywiście.

„Nie powinieneś być sceptyczny, ale przerażony. Uciekaj! UCIEKAJ!”.

Duchowny starał się wykrztusić z siebie te słowa, ale mimo wysiłku nie zdołał. Geas było jak bezdenne studnia zdolna zaabsorbować każdą próbę sprzeciwu.

– Rozumiem, że to niespodziewane najście, i przepraszam, lecz zapewniam, że jestem tym, za kogo się podaję.

Ahlers pokiwał głową.

– Naprawdę nie mogę panu pomóc. Proszę przyjść jutro.

Zamierzał zamknąć mu drzwi przed nosem, lecz ciało Vissera zareagowało samoistnie i duchowny położył dłoń na framudze, a stopę docisnął do progu.

– Czy słusznie zakładam, że niedawno odwiedził pana niecodzienny klient?

Piekarz się zawahał. Nie powiedział ani tak, ani nie, co było bez znaczenia dla geas.

„Nie stój tak i się nie gap, durniu! Odejdź! Uciekaj i ostrzeż innych!”

– Tak myślałem – powiedział Visser, pchając się do środka.

Nie napierał na tyle mocno, żeby zrobić piekarzowi krzywdę, ale wystarczająco, by ten się zachwiał. Ahlers, zaskoczony, aż pisnął.

– Frederik, co się dzieje? – zawołał ktoś.

„Nie, nie, nie, nie, NIE!”.

Visser przekrzywił głowę, aby zajrzeć do środka.

– O, czyżby miał pan gości?

Niespodziewany gość zamknął za sobą drzwi piekarni i zasunął rolety, zasłaniając szybę wychodzącą na Bleecker Street.

– Tak – potwierdził Ahlers – i jesteśmy w trakcie ważnego spotkania. Mam nadzieję, że zrozumie pan moją prośbę, abyśmy spotkali się jutro. Wtedy wyjaśni mi pan powody swojej wizyty. Przybył pan z daleka, jasne, lecz to naprawdę nie najlepsza pora.

Visser próbował krzyknąć, ale wydał z siebie jedynie cichy jęk.

– Może powodem tego spotkania jest przekazana przeze mnie przesyłka?

Ahlers nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, aż wreszcie znalazł odpowiednie słowa:

– Czemu w ogóle kłopotać się jej wysyłaniem, skoro przybył pan do Nowego Amsterdamu? Podjął pan ogromne ryzyko.

– Moje plany dość nieoczekiwanie uległy zmianie. Nie miałem pojęcia, że wyruszę w podróż tak szybko po nadaniu paczki. – Tym razem powiedział prawdę, choć nie zmniejszyła ona przerażenia, jakie towarzyszyło wypowiedaniu tych słów; próbował je przełknąć, odkasłać, zrobić cokolwiek, aby tylko opóźnić lub wykoślawić kolejne swoje pytanie, lecz nic z tego. – A gdzie ona teraz jest?

– Bezpieczna – odparł Ahlers, a jego oczy powędrowały ku spizarce. – Czemu

pan przyjechał? Nie jest to najlepsza pora, żeby się spotykać. Całe Nieuw Nederland jest wyjątkowo...

„Nie, nie, nie”.

– Jestem tu po paczkę – powiedział.

„Panie, proszę, NIE, NIE, NIE, NIE! Ojciec nasz...”

I wtedy jego dłonie śmignęły z prędkością nieludzką, prędkością zrodzoną nie z mięśni i kości, ale magicznego poczucia obowiązku. Ahlers krzyknął.

„...któryś jest w niebie...”

Przerażony widokiem własnych zdradzieckich palców zaciskających się po obu stronach głowy piekarza nie miał innego wyjścia, jak patrzeć na swoje ręce demonstrujące nadnaturalną siłę.

„...święć się imię Twoje...”

Poczuł, że ścięgną trzaskają, a kręgi kruszeją, kiedy miażdżył głowę nieszczęśnika.

„...przyjdź królestwo Twoje...”

Usłyszał jego przedśmiertny krzyk, poczuł zapach kału uwolnionego przez zwieracze, drgnął na dźwięk uderzenia zwłok o deski.

„...bądź wola Twoja... wola... Panie, czy taka jest Twoja wola? Żebym dokonywał takich okropnych rzeczy i był ich świadkiem?”

– Frederik!

Ze spiżarni wyszła jakaś kobieta w skórzanym fartuchu. Sekundę zajęło jej zorientowanie się w sytuacji, ale to wystarczyło, aby ciało Vissera, ponownie napędzane prędkością niepochozącą z jego wnętrza, wpadło za ladę. Zanim ją złapało, miała tylko tyle czasu, żeby się odwrócić. Jego ręce zacisnęły się na jej gardle, dławiąc rodzący się tam krzyk błyskawicznym zmiążdżeniem tchawicy. Visser rzucił swoją ofiarą przez piekarnię. Trup przeleciał tuż obok gapiących się na niego z przestachem mężczyzny i kobiety. Ich spojrzenia były lustrzanym odbiciem przerażenia tkwiącego w umyśle duchownego. Martwa kobieta uderzyła o metalowe regały.

Mężczyzna, uciekając, przewrócił beczułkę; próbował dobiec do kolejnych drzwi, które prawdopodobnie otwierały się na alejkę za piekarnią. Ciało Vissera przeskoczyło przez zaplecze, żeby go pochwycić, złapało go pod szczęką i podniosło, aż mężczyzna nie dotykał podłogi nawet palcami. „Boże, o Boże, nie jestem już człowiekiem, zabrano mi duszę i przemieniono w demona!” Drugą ręką duchowny zasłonił się przed ciosem, kobieta zamachnęła się bowiem kijem na jego głowę. Okazała się silna i choć uderzenie było na tyle mocne, żeby zachwiać zwykłym człowiekiem, nie padł na ziemię. Poczuł, że kości dłoni trzaskają mu jak zapałki, ból jednak był niczym w porównaniu z koszmarem obserwowania własnego morderczego szалу.

„ZdrowaśMariołaskiśpełna...”

Kolejna tchawica poddała się niesłabnącemu naciskowi wypływającemu od nieustępliwego, zabójczego geas. Ksiądz puścił mężczyznę, który opadł na podłogę, trzęsąc się na całym ciele i przykładając dłonie do gardła. Purpurowy odcień jego twarzy pozwalał sądzić, że nie zostało mu więcej niż minuta życia. Następnie duchowny wyrwał kobiecie kij i zadał nieporadny cios, przed którym zdążyła się uchylić. Próbowła doczłapać do drzwi, ale drogę zagroziła jej przewrócona beczka. Spowolniło ją to na tyle, żeby ciało Vissera zdołało z mokrym płaskiem wbić tył jej czaszki do środka.

Wówczas ogień płonący od geas w czeluści jego nieobecnej duszy zgasł – tak po prostu. Nieznośne poczucie obowiązku, które kierowało nim przez ostatnie dni, które męczyło go przez całe nieprzespane noce, które budziło go do koszmaru na jawie, zniknęło, ustąpiło. Ulgę przynieść mogło jedynie całkowite posłuszeństwo. Chyba że udałoby mu się przerwać więzi geas – co jak udowodnił zbieg, było możliwe. Lecz momentalnie rozgorzał w nim nowy płomień. Przynajmniej zgrywał się z jego własnym pragnieniem. Visser zaczął przetrząsać piekarnię w poszukiwaniu mikroskopu.

Kiedy ze środka dobiegły pierwsze krzyki, Jax załadowywał wóz stojący w alejce za piekarnią Ahlersa. Mimo że klakierzy stanowili w tym mieście widok stosunkowo rzadki, szczególnie po rozpoczęciu poszukiwań, miał nadzieję, że wykonywanie prac fizycznych uczyni go niewidzialnym. Ale hałasy i wrzaski sprawiły, że zamarł. Czyżby wytropili go nakręcacze?

Nasłuchiwał, usiłując wytłumić szum i łopotanie proporców oraz pryhanie i szuranie wołów. Trzeszczenie desek podłogowych zdradzało kroki dwunożnej istoty: kogoś obdarzonego niezdarną lekkością człowieka i nieustępliwością chodu mechanicznego służącego. Nie brzmiało to jak chód czterech kopyt... Jax rozejrzał się po alejce, ale nic większego od szczura nie czaiło się w cieniach, żadna falanga mechanicznych centaurów nie czyhała, żeby go dopaść, ani jeden żołnierz nie zeskoczył z dachu otaczających go budowli.

Rozległ się kolejny umęczony krzyk poprzedzający łoskot przewracanego regału, potem brzęk.

Przez kilka sekund miał ochotę uciec, oddalić się od potencjalnego niebezpieczeństwa. Przeklinał własne współczucie, nadal jednak prześladowała go pamięć o niedawnej bierności i wiedział, że zostanie z nim ona do końca jego dni. Przemieni się w dokuczliwe cierpienie równie upierdliwe jak geas, którego nie będzie w stanie wymazać nawet za pomocą zakazanej magii. Cóż warta jest wolność, jeśli równa się ona niesieniu na swoich barkach ciężaru winy przez całe stulecia?

Jax postawił skrzynię na wozie. Podeszedł do tylnych drzwi. Ledwie położył dłoń na klamce, kiedy usłyszał paskudny odgłos trzaskających kości, tak wyraźny jak bicie kościelnych dzwonów w niedzielę wielkanocną. Skojarzył mu się z dźwiękiem łamania łodygi selera. Potem zapadła cisza i z piekarni dochodziło jedynie podejrzanе szeleszczenie, jęki i trzaski drewnianych płyt.

Co się działo?

I gdy Jax stał sparalizowany niemożnością podjęcia jakiegokolwiek decyzji, drzwi otworzyły się niespodziewanie. Jego etyczny dylemat odszedł w niepamięć, kiedy na progu spizarki stanął pastor Visser.

Żaden z martwych nie miał przy sobie mikroskopu, nie został on też ukryty w żadnej z szuflad czy szafek. Pod deskami podłogowymi duchowny również nic nie znalazł. I choć jego siła została wzmocniona przez tę samą magię, która przemieniła go w bezsilny automat, sama skorupa była niczym innym jak słabym ludzkim ciałem. Z paznokci, które mu jeszcze pozostały, ciekły strumienie krwi, podobnie z opuszek poranionych podczas demontażu podłogi bez żadnych narzędzi. Ból bijący od geas, pęd pchający go do odzyskania mikroskopu, był silniejszy niż nawet ostre pulsowanie złamanej dłoni.

Musiał go znaleźć. Jeśli zbieg błakający się po ulicach Nowego Amsterdamu był tym samym Jalyksegethistrovantusem, któremu rozkazał dostarczyć mikroskop Ahlersowi... Nie, to nie mógł być przypadek. Co powiedziała mu Aleida Geelens w podziemiach Gildii? Soczewka. Unikalna soczewka Spinozy, która uwolniła posłańca Vissera. Skoro to potrafi, może przysłuży się i jemu.

Ahlers, kiedy napomknął o przesyłce, ewidentnie zerkał w kierunku spizarki. Lecz gdzie była teraz? Czyżby udało im się wynieść ją tylnymi drzwiami, kiedy usłyszeli pukanie? Visser otworzył je, chcąc przeszukać znajdującą się za piekarnią alejkę, ale w progu stał służący. Maszyna zareagowała pierwsza, w czym, a jakże, nie było nic dziwnego.

– Proszę mi wybaczyć. Dostałem polecenie pójścia po moją panią, kiedy tylko skończę załadowywać jej wóz. Czy jest już gotowa do drogi?

„Przyjrzyj mi się! – chciał wykrzyknąć. – Nie czujesz, że coś jest ze mną nie tak? Nie dostrzegasz, że jestem taki jak ty?”

Geas popchnęły Vissera krok naprzód – wiedział, że powinien zamknąć drzwi, żeby służący nie dostrzegł pobjowiska, jakie po sobie zostawił.

– Jak długo tu jesteś? – zapytał.

– Odkąd przyjechaliśmy, proszę pana. – Klakier zamilkł na chwilę, jakby dokonywał obliczeń. – Niecałe trzydzieści siedem minut, proszę pana.

„Czy potrafisz poznać swojego? Dojrzeć bluźnierstwo kryjące się pod moją skórą? Ostrzec świat?”

– Ilu ludzi opuściło piekarnię od czasu twojego przybycia?

„Pomóż mi! Na miłość boską, proszę, pomóż mi!”

– Tylko pan. Czy mógłbym pokornie zapytać, czy moja pani jest jeszcze zajęta?

– Niestety tak.

Pastor – „Co, na litość boską, jeśli Bóg w ogóle istniał, robił tu Visser?” – zachowywał się inaczej niż podczas ich ostatniego spotkania w Hadze.

Może to wynik jakiegoś urazu? Jax zauważył krawędzie bandaży wystające spod jego kapelusza, ale one zdradzały jakąś starą kontuzję. Duchowny nosił również świeże rany. Z jego lewej skroni kapały szkarłatne kropelki; spływały po policzku, jakby ochlapała go krwawa mgiełka. Miał poranione palce, paznokcie połamane albo powyrywane. Spuchnięta dłoń napływała już śliwkowym fioletem. Ale nie zachowywał się bynajmniej jak ktoś dotknięty obezwładniającym bólem.

Nie dawał też po sobie poznać, że pamięta Jaxa, ten od razu więc przyjął pozę rozpaczliwie lojalnego automatu. Visser od razu uznał za wartość nominalną, uzupełnioną niezachwianym przekonaniem o tym, że mechaniczni nie są zdolni do oszustwa.

Jax stwierdził, że zbyt prędkie ujawnienie się przed pastorem może nieść ze sobą niebezpieczeństwo – bo czemu posłałby go aż za ocean, do małej piekarenki na Bleeker Street, skoro i tak planował podążyć jego śladem niewiele później? Coś dziwnego kryło się za tą decyzją.

Chwilę temu ktoś krzyczał, teraz w piekarni było cicho...

– Czy twoja pani otrzymała niedawno jakąś paczkę od pana Ahlersa? – zapytał pastor.

Jax uznał, że najlepiej przyjąć pozę ignoranta.

– Niech mi pan wybaczy moją niewiedzę, ale obawiam się, że nie znam pana Ahlersa.

Pastorem zatrzęsło. Nareszcie na jego twarzy odmalowały się jakieś emocje. Było oczywiste, że czuł ból, choć grymas zniknął prędko i Jax nie zdołał go odszyfrować.

– Piekarz...

– Dziękuję panu za sprecyzowanie i uzupełnienie mojej niewiedzy. Nie, proszę pana, moja pani, o ile mi wiadomo, nie otrzymała żadnych przesyłek.

Jax chciał zapytać o niewielki, nierzucający się w oczy kawałeczek szkła, który był największym cudem, jaki mógł wyobrazić sobie klakier. Chciał się dowiedzieć, czy jego uwolnienie było częścią planu pastora. Chciał zagaić, gdzie podzieli się Ahlers i reszta, czemu palce i twarz duchownego pokryte są krwią. Zastanawiał się, czemu wszystko wskazuje na to – choć miał do dyspozycji

jedynie poszlaki – jakby samodzielnie pomordował popleczników francuskiej sprawy, do których przecież sam posłał Jaxa.

– Byłeś w środku?

– Tak, proszę pana. Raz.

– Czy zauważyłeś albo słyszałeś, że ktoś mówi coś o starym instrumencie optycznym? Tej wielkości – powiedział Visser, rozkładając zakrwawione ręce i demonstrując długość mikroskopu, który przekazał Jaxowi w Hadze.

Precyzja tego pomiaru była nienaturalna.

Skorupa, która stała przed Jaxem, nosiła skórę pastora Luuka Vissera, lecz jego dusza, jeśli ją jeszcze miał, została wykoślawiona. Ta człekokształtna istota była wypaczona.

– Instrument ten wykonany został ze starej skóry i mosiądzu – ciągnął, opisując tubę z mikroskopem, tak jak opisałaby go osoba, która trzymała go w dłoniach.

– Nie, proszę pana. Przykro mi to mówić, ale ani nie widziałem podobnej rzeczy, ani nie słyszałem rozmowy o niej – odparł Jax, szukając sposobu na zakończenie tej rozmowy lub skierowanie jej na inne tory. – Wydaje się pan zaniepokojony. Czy stał się pan ofiarą przestępstwa? Czy został pan napadnięty? Moim obowiązkiem jest asystować panu i odprowadzić do odpowiedniej instytucji.

Jax podejrzewał, że Visser miał jeszcze mniejszą ochotę na interakcję z policją niż on sam. Był to co prawda gambit, ale tylko podobne zachowanie można było uznać za właściwe lojalnemu służącemu.

Tak czy inaczej, pastor zignorował pytanie, a przez jego twarz znowu przemknął płomyk złości lub bólu. Po chwili odezwał się jednak:

– Dopiero co przyleciałem do Nowego Amsterdamu. Opowiedz mi o poszukiwaniach zbiegłego klakiera.

Służący twierdził, że zbieg porwał okręt powietrzny przy maszcie dokującym nieopodal miejsca, gdzie przycumował okręt Vissera. Nikt nie wiedział, co się z nim potem stało, choć plotki głosiły, że doszło do sporej katastrofy na północ od miasta. Gildia i inni reprezentanci Korony zarekwirowali całe mnóstwo mechanicznych i posłali ich na okoliczne pola.

„Czyli nadal jest na wolności”, skonstatował Visser. A tak długo, jak długo mechaniczny pozostawał nieuchwytny, duchowny miał nadzieję na własne wybawienie. Czy geas pozwoli mu na podążenie za zbiegiem w ramach wyprawy po utraconą soczewkę Spinozy? Miejsce katastrofy znajdowało się mniej więcej w kierunku, gdzie i tak musiał się udać, aby ułagodzić kolejne nałożone na niego złowrogie geas, następne z hierarchicznie ułożonych grzechów, jakie wymusiła na nim Anastazja Bell, aby popadł w niełaskę u Pana. Czy tego chciał, czy nie,

niedługo wyruszy na północ, do Nowej Francji, i jeśli do tej pory się nie wyzwoli, dokona królobójstwa albo nawet i gorzej.

Zanim jednak zdołał ponownie wypytać klakiera o zbiega, przeklęty służący raz jeszcze zmienił temat rozmowy:

– Pokornie błagam pana o wybaczenie, ale moja pani ma dzisiaj wieczorem umówione spotkanie – powiedział – i obawiam się, że się na nie spóźni, jeśli zabawi tu dłużej. Dlatego muszę z nią natychmiast porozmawiać.

– Lecz jest zajęta.

– Przepraszam pana pokornie, ale nalegam.

Pastor zadrżał. Raz jeszcze niedawno kryjące się tuż pod warstwą innych poleceń hierarchiczne metageas doszły do głosu i wyskoczyły przed szereg jego świadomości.

„Och, niech to szlag. Uciekaj, nieszczęśniku!”.

Lecz służący nie słyszał milczących błagań duchownego. Patrzył cierpliwie, jak męczyzna drżącymi palcami otwiera kieszeń i wyciąga z niej list opatrzony herbem Imperium oraz wisiorek z mosiądzu i różowego kryształu zawieszony na łańcuszku. Był to medalion przedstawiający różokrzyż. Duchownemu zmienił się głos. Jeszcze przed momentem był jakby postrzępiony, zniecierpliwiony, lecz teraz pobrzmiwała w nim przerażająca pewność siebie. Sam o sobie pomyślał, że przypomina wiedźmę z bajki rzucającą klątwę.

Co nie było dalekie od prawdy. Słowa same wylewały się z jego ust:

– Reprezentuję Nadleśnictwo Świętej Gildii Horologów i Alchemików. Moje zadanie zostało mi nadane przez Gildię, Koronę i Imperium, co przewyższa wszystkie domowe i handlowe geas. Tym samym zwalnim cię z wypożyczenia i wszystkich geas, które nie służą mojemu celowi. Nie służysz już swojej pani.

„Czy zawsze byłeś członkiem Gildii?”.

Tłumaczyłoby to, jak wszedł w posiadanie tak potężnego i niezwykłego alchemicznego przedmiotu. Tylko czemu posłał Jaxa, żeby skontaktował się z utajnionymi poplecznikami papieża w Nowym Amsterdamie, skoro Gildia wiedziała, co dzieje się w piekarni Ahlersa przy Bleecker Street? Nie miał praktycznie żadnych wątpliwości, że pozostałych spotkała śmierć z ręki Vissera. Jeśli to Jax niezamierzenie by go tutaj doprowadził, miałyby to jakieś pozory sensu. Ale tak nie było.

Pieczeń była autentyczna i Visser miał przy sobie atrybuty Gildii. Niegdyś okazanie takiego zestawu w mgnieniu oka uczyniłoby z Jaxa zakładnika, dlatego zatrząsł się jak rażony piorunem.

– Tak, proszę pana. Rozumiem – odparł. – Jak mogę służyć Nadleśnictwu?

Przez chwilę usta pastora poruszały się, ale nie opuścił ich żaden dźwięk. Do

oczach napłynęły mu łzy i zaczął się krztusić, jakby się zadławił. Ale nareszcie odzyskał głos.

– Zapomnisz, po co tu przyszedłeś – powiedział – zapomnisz o swojej pani i o tym, co miałaś zrobić w piekarni, zapomnisz też o tej rozmowie. Nigdy nie wspomnisz nikomu o jakiegokolwiek interakcji ze mną ani nikim, kto odpowiadałby mojemu rysopisowi. Kiedy zamknę te drzwi, niezwłocznie udasz się do najbliższego reprezentanta Korony lub Gildii i przedstawiś się jako nowy sługa tuinier Anastazji Bell. Powtórz, co usłyszałaś.

Jax powtórzył.

– A teraz idź – polecił mu duchowny i zamknął drzwi.

Jax utracił jedyną szansę na uzyskanie pomocy agentów Nowej Francji. Znowu był uwięziony na ulicach Nowego Amsterdamu.

ROZDZIAŁ 17

Maëlle Cuijper wynajęła pokój w najtańszym pensjonacie, jaki udało jej się znaleźć na przedmieściach Nowego Amsterdamu, tuż nad śmierdzącą rzeką Bronck. Dom ten był jedynym budynkiem mieszkalnym znajdującym się na ulicy prowadzącej do rzeźni i zagród dla bydła. Od gospodyni śmierdziało jałowcem, pokój śniadaniowy zalatywał skwaśniałym mlekiem, wyblakła od słońca tapeta odchodziła płatami od ściany, a na materacu straszły plamy krwi, które jednak mogłyby być mylące dla nieco naïve guwernantki, takiej jak Maëlle. Maźnięty farbą, skrzypiący na wietrze, majtający się przy jednej z zagród szyld informował, że bar na rogu sprzedaje pintę piwa za kwartję, aczkolwiek stały łańcuszek wchodzących i wychodzących mężczyzn – nie mówiąc już nawet o ewidentnie damskiej bieliźnie suszącej się na sznurku za lokalem – pozwalał sądzić, że prowadzi się tam także interesy innego rodzaju. Biedna Maëlle nie miała jednak zbytniego wyboru: Berenice przeszperała dwie skrytki z ondergrondse grachten, ale środki nie starczyłyby jej na długo.

Miała nadzieję, że cała siatka nie poszła w cholerę.

Ułożyła sobie historyjkę, że czeka na list i pieniądze od rodziny, a tymczasem, co również było elementem jej przykrywki, codziennie wybywała na dłużej do miasta, poszukać sobie jakiegoś stałego zajęcia. O poranku, następnego dnia po jej przybyciu, Robbe, złota rączka zatrudniony u gospodyni, rosły fagas o lekkim norweskim zaśpiewie, zaoferował Maëlle podwózkę. Kiedy jednak wykręciła mu ramię – na skutek nieporozumienia, bo mężczyzna nierozważnie położył dłoń nie tam, gdzie powinien – szcodrze zaoferował, że może jej swoją furmankę po prostu udostępnić.

Podczas pierwszej wyprawy do miasta umyślnie trzymała się z daleka od Bleecker Street. Za drugim razem zauważyła stojący w alejce za piekarnią wóz z najwyraźniej splądrowanym ładunkiem. Trzeciego dnia, w takim stopniu, w jakim potrafiła stwierdzić, pojazd nie ruszył się ani o centymetr, nie drgnęła też plakietka w piekarnianej witrynie. Pozagniatane zasłony wyglądały, jakby opuszczano je niedbale. Albo naprędce.

Podczas tych paru dni liczba mechanicznych w mieście zwiększyła się znacząco, lecz nie ogłoszono żadnego komunikatu, a tabliczki ostrzegawcze nie zniknęły z lamp i chorągwi, domyślała się więc, że poszukiwań nie zaniechano. I choć nadal ciężko było o taksówkę ciągniętą przez klakiera, zauważyła, że na ulicach kręciło się coraz więcej mechanicznych służących – a nawet i wojskowych. Przywołało to lawinę niechcianych wspomnień. Berenice znów

poczuła smród ciepłej krwi i ścieranego kamienia i zobaczyła cięcie ostrzy, krwawiące ramiona Louisa opadające na podłogę niczym tryskające kręgle oraz własne palce ześlizgujące się z jego ciała, gdy próbowała zawiązać opaski uciskowe, a z jego oczu ulatywało...

Z końcem czwartego dnia – gdy słońce schowało się za Północną Rzeką i latarnicy nie zdołali się jeszcze uporać z cieniami – Berenice ponownie udała się do piekarni. Rolet nadal nikt nie uniósł, a ograbiona furmanka stała bez ruchu na tyłach.

Czając się w drzwiach jednego z budynków w dole ulicy, Berenice obserwowała, jak klakier drepcze od lampy do lampy, pstrykając palcami, żeby pozapalać je wytworzoną w ten sposób iskrą. Najpewniej pracował dla miasta. Przeczekała kolejną godzinę w chłodzie, obłoki jej oddechu osiadały się na rzęsach, chłód pełzał po sztucznym oku i wnikał aż pod pulsującą tępym bólem czaszkę. Czekala, żeby się przekonać, czy latarnik wróci. Nie wrócił. Powodowana w równym stopniu chęcią znalezienia ciepłego schronienia, jak i podjętą decyzją, że należy zajrzeć do piekarni, ruszyła ku ciągnącej się na tyłach budynku alejce.

Porzucona furmanka stała tam na tyle długo, że zdążyli się nią zająć złodzieje. Zwierzęta pociągowe (tutaj prawdopodobnie chodziło o woły) były atrakcyjnym nabytkiem dla tych, którzy nie mogli pozwolić sobie na klakiera, i dawno już je zabrano. Na wozie najpewniej poukładano cztery warstwy skrzyń, jedna na drugiej, ale teraz leżały byle jak, na boku, przy kołach, porozbijane albo pootwierane. Chuligani nie kłopotali się łomami czy młotkami, żeby podważyć gwoździe, i splądrowali ładunek. Na ziemi leżały bure tkaniny, nakrochmalona pościel i bawełniana odzież w żółtawą kratę, oprószone delikatnym śniegiem, nasiąkające błotem i chłonna smród zwierzęcych nieczystości. Kawały materiału zarzucone na furmankę i zwisające z jej kół nadawały wozowi wygląd posępnej platformy paradnej.

Kiedy Berenice wskoczyła na pakę, drewno zaskrzypiało. Skrzynie zostały w dużej mierze opróżnione, a ich zawartość wyrzucona na stertę leżącą przy jednym z kół. Ładunek przewożony w innych kufrach najwyraźniej zabrano, ale złodzieje wykazywali się dziwnym gustem. Sądząc po rozmiarze owej sterty, niewiele zostało faktycznie ukradzione. Być może sprawcy, rozczarowani, że łup nie spełnia ich oczekiwań, ze złości pozbyli się ładunku. Niewykluczone jednak, że ten akt wandalizmu stał się celem samym w sobie, co nie było wcale dziwne, zważywszy na to, że większość mechanicznych wysłano z miasta, aby zajęli się sprawami Korony. Albo... może złodzieje szukali czegoś ukrytego pomiędzy zwałami materiału. Przeszukanie wyglądało na zbyt przypadkowe, aby mogło zostać dokonane rękoma mechanicznych.

Czego szukali? Czy znaleźli? I czy furmanka dopiero podjechała pod piekarnię, czy może miała stamtąd odjeżdżać?

Berenice zeszła na ziemię, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę ani nie zostawić na pokrytej cienutką pokrywą śniegu ziemi wyraźnego odcisku buta. Drzwi dostawcze były otwarte, ale zawiasy jęczały. Nie zdołała nic dojrzeć, bo wewnątrz piekarni osnuł mrok, lecz i tak mogła stwierdzić, że wydarzyło się tam coś strasznego. Owionął ją smród drożdży, czerstwego chleba i zgęstniałej krwi, co przypominało jej zapach powietrza w wewnętrznej twierdzy w Zachodniej Marsylii po masakrze, jaką urządził mechaniczny zabójca Louisa. Był to zapach pychy, która przynieść może jedynie śmierć. Istotnie, odór bijący z alejki przypominał jej fekalny fetor poszatkowanych jelit.

Berenice przygryzła język. Nie na tyle mocno, żeby utoczyć choćby kroplę krwi, ale wystarczająco, aby się skupić. Po powrocie do pensjonatu jak nic zmoczy poduszkę łzami z tęsknoty za mężem.

Lecz nie teraz.

Piekarnia emanowała grobową ciszą dopełnioną przez słabawy, lecz niedający się pomylić z niczym innym zapach śmierci. Adaptujące się do ciemności oczy Berenice wyłapały delikatnie lśnienie księżycowego światła na metalu. Kiedy zerknęła z ukosa („Dziękuję ci raz jeszcze, Hugonie Longchampie”), rozpoznała kontury przewróconego regału. Musiała się skoncentrować nieco bardziej, zanim zorientowała się, że ciemny kształt leżący na owym regale to poskręcane zwłoki. Zdziwiła się. Nie tym, że w piekarni dokonano morderstwa, lecz tym, że zrobiono to tak niedbale. Mechaniczni zabójcy wykazywali się szybkością i efektywnością.

Zdjęła lampę wiszącą na koźle wozu, po czym zamknęła drzwi do sklepu, aby nagły blask światła na śniegu nie przyciągnął niczyjej uwagi. Oznaczało to konieczność zapalenia zapałki w ciemności, a jako że były one cieszącej się złą sławą holenderskiej produkcji (te francuskie musiała porzucić przed przekroczeniem granicy), okazało się to niełatwe. Czerwony fosfor spadał, iskrząc się, i skwierczał na podłodze, ale nie zapalał drewnienka. Każda zapałka momentalnie gasła, pozostawiając Berenice w ciemności, spowitą siarczanym zapaszkiem. Oraz nasłuchującą cichutkiego tykania.

Wstrzymała oddech. Wytężyła słuch. Nie wyłapała tego dźwięku wcześniej, ale teraz, kiedy zamknięte drzwi wytłumiły dochodzące z miejskich ulic hałasy, zrozumiała, że nie jest tutaj tak cicho, jak jej się wydawało.

„Głupia. Mógł tutaj czekać całe dni. Na ciebie albo na kogoś równie durnego”.

Upuściła zapałki i lampę na ziemię i odwróciła się do drzwi. Tykanie mechanizmu zegarowego śmignęło gdzieś obok niej, maszyna przeszła tak prędko, że podmuch zmierzwił jej włosy. Skrzywiła się, spodziewając się świstu

metalowego ostrza, które zaraz wbije się w jej ciało, ale jedynie obija się o zimny metal. Rozległ się trzask, jakby otarły się o siebie mosiężne palce, i jej lampa rzuciła światło na rzeź, jaka dokonała się w spizarce. Służący klakier blokował jej drogę ucieczki.

Jego pancerz był podrapany i powgniatany, choć światło padające na alchemiczne stopy jak zawsze odbijało się od niego oleistym połyskiem. Ręka mechanicznego zawisała nad regałem, na którym postawił lampę. Berenice nie słyszała już grzechotu jego nakręcanego ciała, zagłuszało go bowiem łomotanie jej serca. Zamknął drzwi. Obracające się fasety jego wykonanych z kamieni jubilerskich oczu odbijały blask lampy, który, jak w kalejdoskopie, strużkami przemykał po spizarni, po poprzewracanych półkach, połamanych deskach podłogowych, porozbijanych beczkach i martwych konspiratorach. Maszyna zbliżyła się do niej. Berenice odskoczyła, ale potknęła się o rąbek swojej sukienki i upadła na porwane worki po mące, rozbijając przy tym szklane słoje z przetworami. Klakier stanął nad nią. Uniosła dłonie nad głowę.

– Zegarmistrzowie kłamią! – bąknęła po holendersku.

Klakier zamarł, jakby nagle zastygła na nim szybkooschnąca żywiczna powłoka. Przekrzywił głowę, a synkopowe łomotanie jego ciała zmieniło rytm. Przez długą, pełną niepewności chwilę Berenice starała się rozpoznać znaczenie zawarte w owej zmianie. Z całych sił usiłowała wyłapać słowa ukryte w mechanicznych odgłosach. I je odtworzyć.

Było to pytanie, a jednocześnie test. Pozwoliła sobie na głęboki oddech, próbując opanować łomotanie serca, odpowiedź własnego, składającego się z krwi i kości ciała na tykanie mechanizmu metalowego człowieka, które wydawało się głośniejsze od jej myśli. Oblizwała usta i uspokoiła oddech. Miała nadzieję, że właściwie zinterpretowała jego słowa.

– Powiedziałam: „Zegarmistrzowie kłamią”. Tak się przecież pozdrawiacie, prawda?

Ale klakier pozostawał nieruchomy, nie licząc grzechotu jego mechanizmu.

„Kto cię tego nauczył?”.

– Nikt mnie nie uczył. Słuchałam, jak twoi pobratymcy witają się w dokach Świętego Wawrzyńca.

„Nie znacie naszego języka. – Zawahał się, po czym dodał: – Wy, ludzie”.

– A jednak ucinamy sobie pogawędkę.

Podciągnęła spódnice i przysiadła na worku mąki, starając się zachować resztki tego, co miała za godność. Nabrawszy jako takiej pewności, że jednak nie umrze w ciągu najbliższych paru sekund, ale w pełni świadoma swojej niemocy, spróbowała zorientować się w sytuacji. Światło lampy odsłoniło przed nią skalę masakry. Oddychając przez usta, aby nie musieć wdychać przyprawiającego o

wymioty odoru, naliczyła trzy trupy, choć pomieszczenie nie było zachłapane krwią i wysmarowane flakami. Dwoje ludzi zostało uduszonych. Ich twarze nabiegły szkarłatem, na ich gardłach rozlały się rozległe sińce koloru przejrzalej oberżyny.

Na ziemi leżała również kobieta uderzona od tyłu jakąś pałąką; jej czaszka została wgnieciona siłą ciosu. Ściany i sufit zaplamione były krwią. Żadna z ofiar nie została zadźgana. Ludzie ci nie żyli od jakiegoś czasu, choć chłód panujący w piekarni spowolnił rozkład. Nawet smród nie był aż tak ostry. Nie wyglądało to na precyzyjną robotę wojskowego klakiera. Ale służący mógł...

Czy stojąca przy niej maszyna otrzymała rozkaz zabicia tych osób i przyczajenia się, aby sprawdzić, kto przyjdzie zobaczyć, co się stało? Akurat po tulipaniarzach mogła się tego spodziewać, choć oczekiwałyby raczej nakręcacza, a nie zwyczajnego sługusa.

– Ty ich zabiłeś?

„Nie”.

– Cóż, ja też nie – odparła wygnana szpiegmistrzyni.

Maszyna przestawiła się na holenderski:

– Przecież widziałem, jak wchodzisz do piekarni. I znam człowieka, który to zrobił.

Człowieka? Berenice raz jeszcze spojrzała na walające się w piekarni trupy ze zmiażdżonymi gardłami, w tym kobietę z rozbitą czaszką. Zabójca musiał być niesłychanie silny. Trudno było sobie wyobrazić, że zrobił to człowiek. Coś ją jednak tknęło. Zadrzała. Pot spłynął jej pachami. Zirykowało ją, że nie domyśliła się wcześniej. Błądziła we mgle od chwili, kiedy obudziła się w szpitalnym łóżku, jej mąż nie żył, a do dziury po wydłubanym oku napchano jej gazy.

– Jesteś zbiegiem – powiedziała.

Mechaniczny pokręcił głową, imitując ludzki gest.

– Nie, madame. Otrzymałem rozkaz od swoich właścicieli, aby trzymać straż i upewnić się, że nikt nie będzie próbował mataczyć w sprawie dowodów zbrodni.

Berenice zaczęła odliczać na palcach:

– Po pierwsze, do zbrodni tej doszło przed kilkoma dniami, sądząc po tym, jak długo piekarnia stoi zamknięta, nie mówiąc już o wyglądzie i zapachu naszych biednych przyjaciół. Po drugie, twoi tajemniczy państwo z pewnością by już wrócili, chyba że chcieliby zatuszować te morderstwa, lecz do tej pory przeniósłbyś ciała. Po trzecie, o ile nie zaistniałyby jakieś nadzwyczajne okoliczności, twoje hierarchiczne metageas nakazałyby ci zgłosić to na policję w chwili, w której zobaczyłbyś, co tu zaszło. Po czwarte, rzeczony metageas nie pozwoliłyby ci kłamać, tak jak uczyniłeś to przed momentem. – Kciuk znaczył jej ostateczny argument. – A to, co przed chwilą powiedziałam, świadczy o tym, że

musisz być zwolniony z poczucia obowiązku. Lecz możemy oczywiście sprawdzić trafność mojej hipotezy. – Wyprostowała się. – Maszyno, korzystam ze swojego prawa jako człowieka, aby nałożyć na ciebie geas: żądam, abyś natychmiast udał się do odpowiedniego organu władzy i zgłosił popełnione tutaj przestępstwo.

Klakier przyklęknął. Kiedy nachylił się nad Berenice, blask lampy padł na jego porysowany i powyginany pancerz. Kobieta starała się nawet nie drgnąć. Mechaniczny zagrzechotał coś jak:

„Rozumiesz działanie obowiązku lepiej niż większość ludzi. Jesteś członkinią Gildii?”.

– Daj spokój – powiedziała. – Oboje doskonale wiemy, że nikt stamtąd nie chciałby z tobą rozmawiać i że gdybym do niej należała, przyszedłbym tutaj ze stadem nakręcaczy.

Maszyna zamilkła na moment, bacznie się jej przyglądając.

„Skąd tyle wiesz o moim gatunku, skoro nie jesteś zegarmistrzynią?”

– Poznawanie klakierów to część mojej pracy. – Berenice przygryzła wargę i przełknęła ślinę. – A raczej była to część mojej pracy. I dobrze mi szło.

„Cóż – pomyślała – nie tak dobrze, jak trzeba. Nie tak dobrze, jak wierzyłam, że pójdzie. Nie na tyle dobrze, żeby ochronić trzydzieści siedem osób przed moją pychą. Nie wystarczająco dobrze, aby zwrócić należny tron Prawowitemu Królowi. Ani zapobiec śmierci Louisa”.

Odchrząknęła. Starła się coś powiedzieć, choć smutek odbierał jej głos.

– Spędziłam sporo czasu, poznając twój gatunek.

„Dlatego nie jesteś przerażona moją obecnością”.

– Nie dałam się omamić propagandzie i nie uwierzyłam, że zbuntowani klakierzy to oszalali, masowi mordercy, jeśli o tym mówisz – powiedziała i wtedy przyszła jej do głowy kolejna myśl. Zdecydowała się na pewien konwersacyjny manewr, którym miała nadzieję go podpuścić. – Poznałam zbyt wielu zbiegłych mechanicznych, aby uważać inaczej. Ale to – machnęła dłonią na trupy – nie było szalone. Może niechlujne, ale nie szalone. Nadal nie wiem, czy to przypadkiem nie twoja robota.

– Gdyby tak było – powiedziała maszyna w ludzkim języku – byłabyś piątym trupem w tej piekarni.

– Piątym?

– Frederik Ahlers. Piekarz. – Mechaniczny człowiek wskazał na środek piekarni. – Leży tam ze skręconym karkiem.

– Aha.

Nie знаła prawdziwego imienia piekarza, tak to już było z jej siatką.

– Przyszedłem tutaj po pomoc – dodał. – Ty, jak podejrzewam, też.

– Jakiego rodzaju pomoc potrzebujesz, maszyno?

– A ty czego tutaj szukasz? Obserwowałaś piekarnię od paru godzin.

– Skąd o mnie wiesz?

– Od paru dni zapalam lampy w sąsiedztwie – pstryknął, uwalniając deszczyk iskier, i Berenice zobaczyła, że pomiędzy dwoma palcami ma wetknięte krzesiwo.

– Zobaczyłem, że się czaisz w drzwiach, kiedy robiłem dzisiaj obchód. Naprawdę poznałaś innych zbiegów?

– Tak – odparła Berenice, kiwając głową.

Jej wzrok raz jeszcze prześlizgnął się po pomieszczeniu. Po zmasakrowanych zwłokach i bałaganie, po rozsypanej z porozcinanych worków mące, po podważonych deskach, po pogiętych i powyrywanych gwoździach. Jej uwagę natychmiast przykuły zwłoki, dlatego nie spostrzegła, że piekarnia została splądrowana.

– Kto to zrobił? I czego szukał?

– Nazywa się Visser. I przyleciał z Hagi. Pytam raz jeszcze: co cię tu sprowadza? Czego chcesz?

Cierpliwość klakiera do prowadzonej przez nią gry zaczęła się wyczerpywać. Nie zaszkodziło doprawić konwersacji odrobiną szczerości. Nie tylko w stosunku do maszyny, ale i do siebie. Bo czego chciała? Czy nadal wyczekiwała dnia, kiedy francuski monarcha zasiądzie na paryskim tronie? A może kierowała się teraz pobudkami osobistymi?

Miała zamiar wyśledzić Montmorency'ego i pomścić Louisa. I tym samym, skoro już miała być ze sobą szczerą, zasłużyć na bilet powrotny do Korony, Twierdzy i Iglicy. Sekretna umowa pomiędzy księciem Montmorencym i Holandią mogła stać się przyczyną upadku Nowej Francji. Król nie poradziłby sobie bez Talleyranda, który zjadł zęby na swojej robocie.

– Zostałam zdradzona przez kogoś, komu ufałam, co mnie sporo kosztowało. – Skupiła się na miarowym oddychaniu, próbując stłumić dziabnięcie poczucia winy, bolesne niczym cios lodowym szpikulcem; pociągnęła nosem, poczuła zapach rozsypanej mąki, zaschniętej krwi, zimnej alchemii i cichej śmierci. – Próbuję go odnaleźć. Prawdopodobnie przejeżdżał przez Nowy Amsterdam.

„A co zrobisz, jak go odnajdziesz?”

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Lecz przynajmniej spróbuję sprawić, żeby było mu bardzo przykro, zanim poderżnę mu gardło.

„I sądziłaś, że ci ludzie przyjdą z pomocą? – zagrzechotał, przekrzywiając głowę, aby móc się jej lepiej przyjrzeć. Jego zębatki obracały się ze wzmożoną prędkością. – Jesteś Francuzką”.

– Tak.

Klakier uklęknął na podłodze, przysiadając na swych odwróconych kolanach. Światło tańczyło po jego wypolerowanym metalowym ciele. Berenice mogła teraz

dokładniej przyjrzeć się jego szkieletowej twarzy i idealnej, gładkiej dziurce od klucza na środku czoła. I choć mechaniczny człowiek wymagał wypolerowania, przy bliższych oględzinach mogła stwierdzić, że nie było wokół niej żadnych zadrapań, wgnieceń czy zniszczeń, a alchemiczne symbole pozostały nienaruszone, co oznaczało, że uzyskał Wolną Wolę w sposób inny niż Lilith.

– Twoja dziurka od klucza – powiedziała. – Nie jest zniszczona.

– Potwierdzam. Na tej podstawie wnioskuję, że z innymi zbiegami było inaczej?

Przeklęta maszyna. Była zbyt bystra, aby jej zaufać. Jego domysły miały irytującą tendencję do okazywania się trafnymi. Berenice musiała zachować ostrożność. Nie mogła już zmienić obranego kursu – jeśli wymigałaby się od odpowiedzi, klakier poznałby kłamstwo. Poza tym jej instynkt, każde najmniejsze włókno ciała podpowiadało, że może coś na tej znajomości ugrać.

– Tak. Zwykle to uszkodzenie symboli dezaktywuje geas, ale są to przypadki niezwykle rzadkie i podobny ruch zwykle skutkuje wyłączeniem mechanicznego, a nie jego uwolnieniem. Bez działania alchemicznego napędu szybko opadłbyś z sił. Czyż nie?

Gdzieś w środku maszyny brzęknęła sprężyna lub jakiś drut. Znowu zmienił się tembr tykania i gdyby miała opisać tenor tego dobiegającego z mechanicznego ciała grzechotu, określiłaby go tęsknym.

„Gdzie poszli? Czy nadal działają?”

– Nikt tego nie wie. Mówi się, że udali się na północ, tam, gdzie lód i śnieg rozciągają się za postrzępionymi granicami Nowej Francji, gdzie zapuszczają się jedynie Innuici. Może skryli się w górach. Albo spędzają długie dni i noce pośród białych niedźwiedzi i fok.

Mechaniczny drgnął jak przebity harpunem. Zagruchotał coś, ale mówił zbyt szybko, aby Berenice mogła nadążyć. Coś o królowej? Zapytała:

– Możesz powtórzyć?

Pokręcił głową, ponownie naśladowując ludzki gest.

– Nic. Stare legendy, które sobie przekazujemy.

– Czemu obserwowałeś tę piekarnię? Policja albo Gildia prędzej czy później dowiedzą się, co się stało.

– Człowiek, który to zrobił...

– Visser...

– ...tak, Visser, rozkazał mi zapomnieć, co tutaj widziałem. Nie rozpoznał mnie, myślał, że rozmawia ze zwyczajnym sługą. Powiedział, że jego czyny muszą zostać zachowane w tajemnicy tak długo, jak to możliwe. Dlatego uznałem, że jest jeszcze czas, aby wieści dotarły do sympatyków sprawy francuskiej. I miałem nadzieję, że przyślą tutaj kogoś. Zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeśli

skontaktuję się z tymi, którzy mają interes w przerzuceniu mnie przez granicę.

– Jest to niezaprzeczalnie logiczne – przyznała. – Ale natrafiłeś na mnie, a ja nie mogę ci pomóc.

– Masz powiązania z francuskim podziemiem. Nic ci po tym, jeśli mnie złapią lub zniszczą.

– Przemycenie cię przez granicę byłoby trudne nawet w sprzyjających warunkach, a obecne zdecydowanie takie nie są – powiedziała. – Pod miastem aż błyszczy się od metalowych, którzy łążą po polach i rozglądają się za tobą. Rozkopują koryta rzek, nawet przetrząsają łodzie pływające po Świętym Wawrzyńcu. Nielegalnie, pragnę nadmienić. – Zamilkła na moment. – Lecz pomijając to wszystko, towarzyszenie ci w drodze na północ oddaliłoby mnie od człowieka, którego szukam. Nie ma go w Nowej Francji. Tego jestem akurat pewna.

– Jak cię zdradził?

– Czego szukał Visser? I skąd wiesz, że przyleciał z Hagi?

Klakier znowu zamilkł, słyhać było jedynie wieczne tykanie jego mechanizmu. Berenice już opuścił strach, choć tocząca się gra negocjacji i uników i tak przyśpieszyła jej puls.

– Tuż przed moim wyjazdem z Centralnych Prowincji dał mi paczkę do doręczenia piekarzowi. Nie było mi łatwo dotrzeć na Bleeker Street i zajęło mi to sporo czasu. A pastor Visser zjawił się tutaj niewiele później. Szukał tego, co miałem dostarczyć.

– Zmienił zdanie?

– Cały się zmienił. Zachowywał się inaczej niż jakikolwiek człowiek, którego znam. Powołał się nawet na Nadleśnictwo i pokazał mi wisior.

– Kurwa mać.

Po twarzy Berenice rozlał się gorący pot. Tym razem z powodu nieprzyjemnego ucisku na żołądku, jakby zimowy chłód przeszył jej skórę i przedzierał się przez flaki. Cały ten Visser posłał mechanicznego do Hagi z poleceniem. Piekarnia była zachodnim końcem zawiadywanego przez Talleyranda tajnego mostu łączącego oba brzegi Atlantyku. Informację tę albo wyciągnął od któregoś z pojmanyh członków siatki szpiegowskiej Berenice albo – dobry Boże – on również do niej należał, pracując przy tym dla Gildii. Nadal jednak... Po co wysyłał mechanicznego, skoro zamierzał deptać mu po piętach? Nie miało to sensu. Włosy na karku zjeżyły się jej nieprzyjemnie.

Musiała ostrzec Zachodnią Marsylię.

Kobieta i klakier – zhańbiona szpiegmistrzyni i zbiegły niewolnik – patrzyli na siebie w migoczącym blasku lampy. Zorientowała się, że zdrętwiały jej palce. Doskwierał jej dokuczliwy chłód. Potarła ręce o siebie, po części aby je ogrzać, a

po części aby wykonać jakiś gest maskujący zamyślenie. Kurz i rozsypana mąka osiadły na jej dłoniach i powłaziły w zmarszczki na skórze. Własne palce wydały jej się nienaturalnie śliskie. Niepewne. Zachowywała się tak, jak przystało na samotną kobietę siedzącą w opuszczonej piekarni naprzeciwko zagubionej maszyny.

Jak mogła rozwiązać tę sytuację? Zbieg potrafił grać zwykłego służącego, więc może uda mu się zebrać dla niej jakieś informacje. Pomijając oczywiście fakt, że nie miał interesu jej pomagać ani nawet pozwolić wyjść z tej piekarni. Była przecież jedyną osobą w całym mieście, która знаła miejsce jego pobytu.

Postanowiła się odezwać.

– Niegdyś funkcjonował tu system kryjówek. Był przygotowany na ewentualność taką jak twoja ucieczka. – W tykaniu klakiera zaczęły pobrzmiwać nowe tony, niby szczeniackiego podekscytowania, zaraz jednak umilkły. – Nie mam jednak pewności, ile z nich działa. Osoba, która obecnie nadzoruje ich utrzymanie z Nowej Francji... cóż, jest kretynem.

– Nie wierzy w konieczność zapewnienia azylu uchodźcom?

Berencie przypomniały się niezliczone, niekończące się spotkania Rady Królewskiej. „Klakierzy muszą wiedzieć, że Francja jest ich przyjacielem”, tak brzmiała śpiewka markiza de Lionne’a.

– Och, wierzy. Lecz obawiam się, że nie potrafiłby się uporać z podobną sytuacją, nawet gdyby ukazał mu się płonący krzew i udzielił szczegółowych instrukcji zapisanych na diamentowych tablicach.

– Skąd tyle o nim wiesz? – zapytał mechaniczny.

– A, to – odparła Berencie – długa i skomplikowana historia. Jedna z tych, które będą tylko ciężarem dla i tak borykającego się z niemałymi problemami stworzenia takiego jak ty.

Jax przyglądał się Francuzce. Kim była? Dysponowała informacjami, których nie miał nawet Ahlers, i otuliła się sekretami tak naturalnie jak madame Schoonraad zwykła czynić to z futrem. Przybrała pozę spokojnej czujności i była to starannie wypracowana i wyćwiczona maska, za pomocą której pewnie była w stanie zmylić większość ludzi. W piekarni panowała taka cisza, że mógł usłyszeć stabilny, choć niezwykle szybki rytm bicia jej serca. Co dziwne, rozszerzyła się tylko jedna z jej źrenic.

Nie mógł na zawsze zostać w Nowym Amsterdamie. Pewnego dnia przestałoby dopisywać mu szczęście, któreś z jego braci lub sióstr by go rozpoznało lub odnalazło i znowu musiałby rzucić się do szaleńczej ucieczki. A jeśli nie mógł frunąć nad głowami tych, którzy chcieli go ująć, jego szanse na przekroczenie granicy nie były zbyt duże, zważywszy na to, co na temat obławy powiedziała ta

kobieta. Miała powiązania. Była jego najlepszą i prawdopodobnie jedyną szansą na ucieczkę. Podejrzywał jednak, że ona z kolei mogła żyć pośród Holendrów w nieskończoność, więc raczej nie miała motywacji, aby ryzykować dla niego swoje bezpieczeństwo. Musiał jej coś dać.

Musiał wykonać skok wiary.

Sięgnął palcami ku metalowym elementom torsu.

– Tego szukał Visser. – Wyciągnął szklany paciorek i pokazał kobiecie; blask lampy zatańczył na ciemnym alchemicznym szkłe. – Ukrył to w starym mikroskopie, który kazał mi tutaj przynieść.

Jego rozmówczynie nachyliła się i zmrużyła oczy. Być może nieświadomie, ale wyciągnęła rękę po migoczący przedmiot. Jax cofnął dłoń.

– Mikroskop rozpadł się podczas mojej podróży i wtedy znalazłem to. A gdy dotknąłem... zmieniłem się.

– Zmieniłeś? Znaczy... uwolniłeś?

– Tak.

– Mon Dieu – powiedziała, zasłaniając usta; był to gest wyrażający albo zachwyt, albo szok, ale również... chłodną kalkulację?

– Jak się domyślam, miałem przekazać szkiełko piekarzowi – kontynuował Jax. – Ale pastor zmienił zdanie lub został złapany na posiadaniu zakazanych dóbr i zmuszony do odzyskania go. Co niemal mu się udało.

Kobieta tak intensywnie wpatrywała się w paciorek, że poczuł chęć ponownego ukrycia przedmiotu.

– Kolcowój – wyszeptała.

– Nie rozumiem.

– Spekulacje. – Pokręciła głową. – Nic istotnego.

– Jeśli pomożesz mi się przedostać przez granicę – zaproponował Jax – pozwolę ci je zbadać. A podejrzewam, że to pomogłoby ci się dowiedzieć znacznie więcej o moim gatunku.

– Na krwawiące rany martwego Chrystusa, to jakiś pokręcony, kurwa, dowcip. – Przeczesła włosy dłonią, zostawiając na nich pasemko mąki, co sprawiło wrażenie, jakby przez parę sekund postarzała się o dziesiątki lat. – Uwierz mi, że chciałabym to zrobić. Ale, ha, ha, jest pewien problem. Bo podejrzewam, że człowiek, którego szukam i który zajmował stanowisko u boku króla, był potajemnie sprzymierzony z Holendrami. Nie ośmielę się zanieść tak cudownego odkrycia do Marsylii, skoro twoi stwórcy nadal mają za murami Twierdzy swoich ludzi.

Jax na powrót ukrył paciorek. Francuzka przypatrywała mu się uważnie, jakby starała się zapamiętać dokładną lokalizację skrytki. Nawet nie poruszyła oczami, kiedy powiedziała:

– Ale... Boże! Jeśli moglibyśmy zbadać tę rzecz, poznalibyśmy działanie hierarchicznych metageas i zdołalibyśmy zrozumieć, jak Gildia tworzy te polecenia, którymi was katuje.

– Podzieliłem się tą informacją, bo uważam, że możemy sobie pomóc. Lecz nie rozstanę się z tym przedmiotem, póki nie znajdę się po drugiej stronie granicy – powiedział Jax.

– Jeśli cię złapią, znajdą szkiełko. Jak to pomoże innym mechanicznym?

– Nie bardziej niż twojej sprawie. Dlatego raz jeszcze powtórzę: uważam, że konieczność udzielenia mi pomocy jest oczywista.

– Powiedziałaś mi, że nie mogę się udać na północ. Jeszcze nie teraz.

Jax postukał się w pancerz i szczęk metalu uderzającego o metal rozszedł się drżącym echem.

„Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek zobaczyła drugi taki paciorek”, powiedział.

Francuzce leciało z nosa, mokry śluz załśnił na jej górnej wardze. Spojrzenie miała tęskne, jakby się głęboko zamyśliła. Kiedy chwilę później uniosła głowę, była tak ożywiona jak wtedy, gdy sądziła, że Jax chciał ją zabić. Mówiła szybko:

– I tylko go dotknąłeś?

– Tak – odparł Jax i raz jeszcze, ze szczegółami, opowiedział, jak doszło do jego wyzwolenia; mówił o okręcie, o sztormie, o marynarskich geas.

– Czy mogę go zobaczyć? – zapytała, ale słysząc w odpowiedzi jedynie tykanie, dodała: – Przecież zdajesz sobie sprawę, że nie dałabym rady ci go odebrać.

Jax, nadal mając nadzieję na nawiązanie współpracy, wyciągnął paciorek. Kobieta uniosła lampę i tak głęboko pochyliła się nad wyciągniętą dłonią maszyny, że aż niemal szorowała nosem po jej palcach.

– Rzecz w tym – powiedziała – że już widziałam podobną rzecz – sięgnęła po koszyk. – I teraz ja chcę ci coś pokazać.

Berenice otworzyła drugie dno koszyka, gdzie leżały jej notatki z oględzin głowy Lilith. Nie miała jednak zamiaru dzielić się nimi ze zbiegiem – trudno powiedzieć, jak by zareagował. Zamiast tego wyciągnęła burgundowy satynowy woreczek, w którym Longchamp wręczył jej sztuczne oko; teraz znajdował się tam inny szklany element, który, jak miała nadzieję, nie wywoła u sługi szału.

Głęboko wciągnęła powietrze do płuc, próbując się uspokoić. Odganiała od siebie myśli o tym, jak destrukcyjną siłą dysponuje rozwścieczony klakier. Starła się nie przypominać sobie krzyków, tryskającej krwi, smrodu wnętrzości i ramion Louisa...

„Nie”.

– Proszę, wysłuchaj mnie, zanim wyciągniesz jakiegokolwiek wnioski.

Rozwiązała srebrną tasiemkę. Kiedy przechyliła woreczek, na jej wyciągniętą dłoń spadł kawałek mętnego szkła mniej więcej takiej samej wielkości i koloru jak paciorek, który wyzwolił zbiega, ale o innym kształcie. Teraz to klakier się gapił, aż szumiały osadzone w jego oczodołach klejnoty. Znaczenie brzęku, jaki z siebie wydał, było dość oczywiste.

„Co to takiego?”

– Jak dobrze znasz swoje ciało? – zapytała Berenice, niezadowolona, że mimowolnie zadaje to samo pytanie co Montmorency’emu na kilka dni przed jego zdradą. Mechaniczny spojrzał na nią, dodała więc czym prędzej: – Ta część pochodzi z czaszki zdezaktywowanego wojskowego klakiera. Był wyłączony. Został zabrany przez nas z pola bitwy, jeszcze przed zawarciem zawieszenia broni.

– Rozebrałaś go.

– Oczywiście, że, cholera, rozebrałam. Tulipaniarze nie mieli pojęcia, że go znaleźliśmy, a co za tym idzie, nie szukali go. Miałam wyborną okazję. – Obróciła szkiełko w palcach; wydało jej się ciepłe, choć w piekarni panował chłód. – Myślę, że to dlatego twój stwórca tak bardzo śpieszą się z zabieraniem uszkodzonych mechanicznych. I z tego powodu proponowane rozejmy są tak restrykcyjne, jeśli chodzi o pozyskiwanie technologii Gildii. Podejrzewam, że ty również możesz mieć w głowie coś podobnego – dodała.

– Jestem służącym, nie żołnierzem.

– Jasne, ale założę się, że jesteście do siebie bardziej podobni. – Nie napomknęła ani słowem, że głowa Lilith również zawierała podobny paciorek, tyle że lśniący. – Ale zwróć uwagę na pewną rzecz – powiedziała.

Trzymając szkiełko pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, przystawiła je do paciorka leżącego na wyciągniętej dłoni służącego.

Kulka należąca do zbiega była wypukła tam, gdzie tamta była wklęsła, i vice versa.

Gdyby klakier potrafił mrugać, uwierzyłaby, że to zrobił. Jego ciało wydało z siebie serię brzęków, trzasków, kliknięć i tyknięć, niczym zegar ciśnięty do studni.

– Zaprojektowano je jako parę – powiedział.

– Na to wygląda. A nawet jeśli mam rację i każdy mechaniczny nosi takie coś – postukała paznokciem w szkło – nie znaczy to od razu, że to, co masz, jest powszechne. Mimo to zastanawiam się, co się stanie, jeśli je połączymy.

Mechaniczny zabrał dłoń tak prędko, że jej oko ledwie za nim nadążało.

– Nie zaryzykuję, że wydarzy się coś, co mnie odmieni. Odwróci. Nie stanę się tym, kim byłem.

Berenice zadrżała. Osobliwe i nieludzkie dźwięki przepuszczone przez klakerską krtań, zdradzające desperację, były jedną z najbardziej ludzkich rzeczy, z jakimi się zetknęła. Czy to możliwe, że mechaniczny pragnął zatrzymać swoją

wolność w równym stopniu, co ona pragnęła odzyskać Louisa? Czy jego wyłożone mosiądzem serce mogło zboleć na samą myśl o możliwej stracie? I kiedy pomyślała o Louisie wykrwawiającym się w jej ramionach, przeklęła Gildię i jej kolejną ofiarę. Zahartowała swoje serce na współczucie i empatię.

„Będziemy łaskawszymi panami – obiecała sobie – i obrócimy ich narzędzia przeciwko nim. Nie odkłada się dłuta, póki nie dokończy się rzeźby”.

– Skoro żeby cię odmienić, wystarczyło jedynie dotknąć tego paciorka – zapytała Berenice – czy masz powód sądzić, że nie zadziała to na innych twojego rodzaju?

Szkiełko, jakie nosił, kryło w sobie potężną broń, co wyjaśniałoby, dlaczego tak długo udawało mu się unikać pojmania. Czy to dlatego, że pozostawił za sobą kolejnych zbuntowanych? Z tyłu głowy Berenice zaczął świtać pewien plan. Aczkolwiek póki nie odnajdzie Montmorency’ego, może sobie o nim jedynie fantazjować.

„Nie mam – zagrzechotała maszyna – gdyż jego magia zadziałała na największego z nas”.

Klakier wytłumaczył, jak uwolnił okręt podczas nieudanej ucieczki za granicę. Berenice zagwizdała.

– Byłam na miejscu katastrofy. Zastanawiałam się, jak udało ci się przejąć cały statek powietrzny i jego załogę. – Mechaniczny, co zrozumiałe, był małomówny, nie chcąc podejmować rozmowy na temat przeprowadzenia podobnego eksperymentu, ale interesująca informacja o okręcie poddała Berenice pewien pomysł. – Spójrz – powiedziała – te alchemiczne szkiełka jak nic zostały stworzone, żeby je złączyć. No popatrz, na Boga. A kiedy twoi stwórcy zorientowali się, co nosisz, stanęli na głowie, aby cię pochwycić. – Nadal nie rozumiała, jak w to wszystko wpasowywał się Visser ani czemu mu się tak nagle odmieniło: był to element niepasujący do układanki. – Moja propozycja nie różni się niczym od trzymania tego podzwaniającego paciorka w twoim wnętrzu. Mówię tylko o przyłożeniu go do czaszki wojskowego klakiera. Albo oka okrętu, skoro już przy tym jesteśmy.

Jax zastanowił się nad tym, co usłyszał. Odmowa groziła rozżłoszczeniem tej kobiety, mógł ją spłoszyć. A jeśli miał być ze sobą szczery, również zastanawiał się, co się stanie, o ile cokolwiek się stanie, jeśli połączyć paciorki. Czy szkiełko posiadane przez tę kobietę było ośrodkiem poddaństwa? Źródłem tak ogromnego cierpienia?

– Przyjmuję twoje argumenty – powiedział. – Jak bardzo pewna tego jesteś?

Kobieta wiedziała o jego rodzaju więcej niż ktokolwiek spoza Gildii. Ale jej chęć grzebania w metalowych ciałach wydawała mu się makabryczna i

groteskowa; ta uparta determinacja, żeby badać części wyrwane z pancerzy, zdezaktywowanych czy nie... Może świadczyło to gorzej o nim samym, ale chciał zaspokoić jej ciekawość.

– Czuję to w kościach – odparła; jej powaga przypominała mu ponure deklamacje ministra generalnego Hendriksa i arcyministrów z placu Huygensa w dniu egzekucji Adama. – Poza tym – dodała – odbieranie ci Wolnej Woli nie leży w moim interesie. Jeśli powrócą twoje metageas, będę miała nieźle przejebane, bo jestem zatwardziałą przeciwniczką twoich stwórców. Bazując na moim oświeconym samolubstwie, możesz założyć, że nie proponowałabym tego eksperymentu, gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, że wywrze on na tobie podobny rezultat.

Była przekonująca. Czy jej koledzy z Nowej Francji również wykazywali się podobną pasją i posiadli taką umiejętność perswazji? Żył pośród ludzi wystarczająco długo, aby wiedzieć, że istniało coś takiego jak nadmierna pewność siebie. I była to cecha zgubna. Lecz może faktycznie nadszedł czas na skok wiary. Zresztą dokonano się. Leciał. Paciorek nie mógł odmienić jego umysłu, skoro lawina już ruszyła.

Z miękkim pyknięciem położył szkiełko na ziemi. Światło lampy śmignęło po jego powierzchni, ale nie potrafiło spenetrować tego, co kryło się pod cienką powłoką.

– Dobrze – powiedział. – Rozpocznij swój eksperyment.

Kobieta bezzwłocznie się nachyliła. Tak długo obracała paciorek w dłoni, aż jego kontury zgrały się z konturami paciorka leżącego na podłodze. Przytknęła wypukłości do wklęsłości.

Szkiełko Francuzki rozblęskło jaskrawym akwamarynowym światłem, które nadało jej twarzy barwę berylu. Na suficie zatańczyła skrząca się pajęczyna, jakby na dnie stawu zapłonęła alchemiczna pochodnia. Reakcja była natychmiastowa. Kobieta wciągnęła powietrze. Jax odchylił się na złożonych nogach.

– Tak myślałam – szepnęła.

– Co się stało?

– Gdyby mechaniczny, z którego wyciągnęłam to szkiełko, nie został dezaktywowany, zbuntowałby się, tak jak ty. – Upiorne światło odbijało się inaczej od jej lewego oka, a inaczej od prawego. – I jestem niemal pewna, że element znajdujący się w twojej głowie wygląda praktycznie tak samo.

„Patrzmy na jego duszę”, powiedział Jax.

– Tamta istota już nie żyje. Jeśli miała duszę, to ta dusza uleciała.

Ale Jax nie uwierzył. Kobieta nie powiedziała tego z poprzednią pewnością siebie i wiedział, że się myliła. Nie miał pojęcia czemu, lecz po prostu wiedział.

Przez kilka minut gapili się w milczeniu na lśniące szkiełko. Jax zauważył, że

to, którego strzegł, zmieniło się, choć subtelnie. Stało się nieco ciemniejsze, a blask lampy oświetlił warstwę znajdującą się pod powłoką, znacznie od niej cieńszą. Jakby spłynął na nie cień drugiego paciorka.

Aby przerwać milczenie, zmienił temat.

– Człowiek, którego tropisz... Co zrobił?

Przygryzła wargę. I choć jej niepasujące do siebie oczy zboczyły w stronę ciała, napływające łzy świadczyły o tym, że patrzyła w głąb siebie. Przeczesała dłonią włosy. Tym razem nie opuściła ręki.

– Po usłyszeniu tej historii możesz zmienić zdanie w kwestii odebrania mi życia.

– Spróbuję ostrzec cię odpowiednio wcześniej, jeśli poczuję żądzę mordy.

Podjęta przez kobietę próba wyduszenia z siebie pozbawionego wesołości śmiechu skończyła się czymś pomiędzy kasznięciem a pociągnięciem nosem.

– Jak ci powiedziałam, złapaliśmy wojskowego klakiera. Zaproponowałam, żebyśmy zanieśli go do laboratorium, abym mogła go zbadać. – Spojrzała na Jaxa.

– Ale nie był dezaktywowany.

– Niebezpieczny ruch – odparł Jax.

Rzuciła mu spojrzenie, które mogłoby stopić nawet alchemiczną stal.

– Rozumiem to lepiej, niż mógłbyś sądzić, ale uznałam, że jest to ryzyko opłacalne. Skoro Holendrzy nie wiedzieli, że go mamy, mogliśmy go badać bez przeszkód. A porównując innego mechanicznego z Lilith, zbiegłą, o której mówiłam, mogliśmy bezpośrednio porównać maszynę związaną z geas i uwolnioną od obowiązku. Chcieliśmy się dowiedzieć, jak przejść z jednego stanu w drugi.

– Lilith musi być niezwykle ufna – powiedział. – Bo z pewnością takie oględziny wymagały inwazyjnego badania jej konstrukcji.

– Musieliśmy ją przekonać – powiedziała Francuzka mrukiwie i cokolwiek tajemniczo.

Przekonać czy zmusić? Na pewno Lilith broniła swojej wolności tak gorliwie jak Jax swojej. Któż mógł przewidzieć, czy jakiś fałszywy ruch albo niedopatrzenie ponownie nie nałożyłoby na nią geas? Jax powiedział sobie, że francuskie działania wynikały z desperacji, z okoliczności wojny, a nie z potrzeby okrucieństwa, choć może stanowiło ono integralny element ludzkiej natury. Byli przecież ludźmi nieróżniącymi się od tych, którzy zbudowali i zniewolili Jaxa i jemu podobnych.

Czy ta kobieta postrzegała go jako istotę rozumną, zdolną do racjonalnego myślenia i uczuć, zasługującą na szacunek i godność, czy miała go za dziwaczną maszynę? Pstryknął kablami biegnącymi w jego plecach, co było klakierskim ekwiwalentem wzdrygnięcia się. Jej stosunek do jego gatunku był nieistotny, o ile zgodzi się mu pomóc.

Miał tylko nadzieję, że nie pakuje z diabłem.

– Bestia uciekła – ciągnęła – i po drodze do królewskich komnat zabiła ponad trzydzieści osób. Dopiero wtedy została zatrzymana. – Teraz już łyży jej się po twarzy, żłobiąc koryta przez pokrywające policzki kurz i mąkę. – Człowiek, którego ścigam, Montmorency, był partnerem tego przedsięwzięcia. I zniknął na chwilę przed masakrą, jakby coś wiedział. Nie znalazł się pośród ofiar, on i jego żona dali nogę jeszcze tego samego popołudnia. Ktoś odpowiadający ich rysopisowi opuścił Twierdzę mniej więcej wtedy, gdy mój mąż... – Przerwała; minęła chwila, zanim dokończyła swoją opowieść. – Jego komnaty były puste.

– Czemu miałybyście chcieć coś takiego zrobić?

– Dworska polityka nie obyłaby się bez wbicia komuś noża w plecy. Przymierza się zmieniają. Nie brakuje, a raczej nie brakowało ludzi, którzy chętnie strąciłiby mnie ze stołka albo mnie na nim zastąpili. Lub po prostu ukatrupili. Gdyby Montmorency nie zwiął jak przeżarty poczuciem winy zając, mógłby przetrwać tę burzę. Zasłoniłby się majątkiem. – Wzruszyła ramionami. – Ale jego zniknięcie wskazuje, że planował coś więcej. Akt zdrady. Nie mam jednak pojęcia, jak tulipaniarzom udało się go pozyskać ani jak dawno temu to zrobili.

– Jego bogactwo nie ma znaczenia, moim stwórcom nie zależy na pieniądzach – powiedział Jax po chwili namysłu. – Na czym się dorobił?

Berenice westchnęła.

– Na dzierżawie ziemi. Sporo naszej produkcji chemicznej powstaje w oparciu o materiały wydobywane na posiadanym przez niego terytorium.

Jax aż opadł na kolana, tknięty nagłym przeczuciem. Przypomniał sobie mechanicznego imieniem Dwyre, samotnego klakiera, i dziwną rozmowę jego pana z Pieterem Schoonraadem.

Francuzka zsunęła się z worka.

– Co!?! – zawołała.

Chodził od ściany do ściany, póki jego wspomnienia i domysły nie zazębiły się i nie posortowały niczym karty z talii rozkładane w pewnym, z góry ustalonym i dokładnie zdefiniowanym porządku. I niczym krupierowi z Monako ledwie chwilę zajęło mu przejrzanie, jakie rozdanie otrzymał. Ich cele, jego cele oraz cele tajemniczej Francuzki, się pokrywały. Już wiedział, jak pozyskać jej pomoc.

– Co się stało?

Kobieta zerwała się na równe nogi i zrobiła krok w kierunku drzwi, prawdopodobnie sądząc, że jednak zmienił zdanie i zamierza ją zabić. Nareszcie się zatrzymał, wzbijając w powietrze zalegające na podłodze kłęby mąki.

– Znam szczegóły umowy Montmorency'ego z moimi stwórcami. I chyba wiem, gdzie go znaleźć.

ROZDZIAŁ 18

Dwa dni później śnieg stopniał i każdą niewyłożoną brukiem drogę pokryło błoto. Jax z trudem ciągnął wóz, brnąc przez pluchę niczym przez czekoladowy pudding. Na szczęście, nie licząc Berenice, furmanka była pusta. Czekał na kolejce wozy, ku którym zmierzali – niektóre również zaprzężone w klakierów, inne w zwierzęta pociągowe – sądząc po przykrywających je, napiętych brezentowych płachtach, wyładowane były do granic możliwości. Na szczęście błoto, które przyklepiło się Jaxowi do nóg i ochlapało pół ciała aż do samego torsu, mogło posłużyć za kamuflaż. A przynajmniej taką miał nadzieję. Schodzili, czy może raczej: ześlizgiwali się z pagórka ku placowi budowy. Jax usłyszał, że Berenice mówi do niego:

– Jezu. Ktoś chyba chce sobie coś udowodnić.

Kuźnia była już gotowa, przynajmniej z zewnątrz. Czeluść – na połę odsłoniętą, gdy przyjechał tutaj z van Altuisami – teraz zakryto i nie wionęło od niej siarczanyimi oparami, które zatruwały okoliczne drzewa. Żar bijący od pieczary roztopił śnieg wokół zasłoniętego placu. Z kominów budowli stojących wokół krawędzi dołu, przypominających czarne perły w ulubionym naszyjniku madame Schoonraad, unosiły się leniwie żółtawe kłęby dymu. Jax naliczył paru swoich pobratymców patrolujących tamtejsze dachy. Zastanawiał się, czy Gildia po cichu nie wycofywała mechanicznych z bezowocnych poszukiwań. Być może nawet zaakceptowali to, co było nie do pomyślenia, i uwierzyli, że udało mu się przedostać do Nowej Francji. I jeśli dzisiaj wszystko pójdzie po ich myśli, faktycznie mu się uda. Jeśli ich plan spełni na niczym, granice i tak przestaną mieć znaczenie. Nowa Francja, zalana armią odpornych na broń chemiczną mechanicznych, nie będzie bezpiecznym miejscem i żadnemu klakierowi z Nowego Świata nie uda się znaleźć azylu nigdzie na północ od równika. Nie potrafił przemierzyć nawet kilkuset kilometrów, a co dopiero mówić o liczącej kilka tysięcy wyprawie do amazońskich dżungli.

Jedno z kół zaklinowało się na tkwiącym w błocie kamieniu i wóz stanął. Berenice straciła równowagę, ale zdążyła chwycić się kozła i nie spadła. Lśniącą kropla potu kołysząca się na jej brwi opierała się zimnemu wschodniemu wiatrowi dmącemu od Północnej Rzeki. Kiedy już była szpiegmistrzyni usadowiła się wygodniej, chwyciła za uprząż...

– Ostrożnie. Ostrożnie! – powiedziała.

...i pociągnęła za lejce. Jaxowi udało się unieść wóz bez nadwyrężania szyjnych łożysk.

– Nie ma potrzeby mi o tym przypominać – powiedział.

Strumień furmanek dostawczych ciągnących do Kuźni nieco się przerzedził. Kolejka była luźniejsza i mniej uporządkowana niż w trakcie poczynionego przezeń rozpoznania. Jedyne, co się nie zmieniło, odkąd Jax był tu po raz pierwszy, to para nakręcaczy pilnujących zatoczki dostawczej. O ile dobrze się orientował, byli to ci sami, których wtedy zauważył. Możliwe, że nawet się nie ruszyli.

Było już za późno, żeby się wycofać. Za późno, żeby umknąć. Niewątpliwie monitorowali każde posunięcie jego i Berenice, odkąd jakieś pół godziny temu zjawili się na pagórku. Widok tych nieustępliwych centaurzych ciał przywołał wspomnienia o Adamie próbującym bezskutecznie uwolnić się z tych ramion... Rankiem Jax zapytał Berenice, czy Bóg istnieje, a jeśli tak, to czy dba o każde ziemskie stworzenie. Roześmiała się. Żałował, bo przydałoby mu się pocieszenie w postaci modlitwy.

– No to zaczynamy – mruknęła pod nosem Berenice.

Wmieszali się w tłumek.

Od nakręcaczy dzieliły ich trzy furmanki. Dwie. Potem jedna. Nareszcie Jax szarpnął uprzężą i toczyli się ku zatoczce dostawczej. Cztery ramiona – po dwa każdego nakręcacza od strony sąsiadującej z kolejką – wydłużyły się nad przejściem i przecięły centymetr od jego twarzy, gdzie szczęknęły z brzękiem cymbału. Jax zamarł.

Berenice jęknęła i powiedziała po holendersku:

– Chyba sobie, kurwa, żarty stroicie. – Jaxowi aż zgrzytnęły sprężyny, kiedy stanęła na koźle, żeby górować nad nakręcaczami, tak jak oni górowali nad nim. – Jaki macie problem, do cholery?

Mechaniczni z Nadleśnictwa gestykulowali wolnymi ramionami w kierunku mniejszej i sądząc po koleinach, rzadziej uczęszczanej ścieżki prowadzącej wokół budynku, z dala od czeluści. Jax poczuł pod stopami ciepło, tym wyraźniejsze, im bliżej dołu stał. Ogrzewały go płomienie piekieł.

– Nie będę się z tobą, koniu, bawiła w pantomimę. Przerośnięte zegarki kieszonkowe. Odezwijcie się do mnie w królewskim holenderskim.

Nakręcacze jednak powtórzyli poprzedni gest. Jax obserwował ich ramiona skrzyżowane tuż przed jego twarzą. Co się stanie, jeśli go dotkną? Czy zdołają wyczuć zmianę, jaka dokonała się w nim po zetknięciu ze szkiełkiem Vissera? Czy dostrzegają spokojne lśnienie zastępującego szyszynkę paciorka ukrytego w jego głowie? Centaury były dla jego rodzaju kompletną tajemnicą. Nawet tytan z rotterdamskiego portu wydawał się przy nich towarzyski.

– Nie rozumiem, czego chcecie! – oburzała się Berenice. – Powiedzcie mi!

Doskonale szło jej udawanie osoby, która miała już dość kolejnych

spotykających ją upodleń, i nawet Jax nie potrafił powiedzieć, ile z tego jest jedynie elementem prowadzonej gry.

– Nie potrafią mówić – rozległ się z góry czyjś głos.

Jax i Berenice unieśli głowy. Z okna nad zatoczką dostawczą wyglądała kobieta z Gildii.

Z jej szyi zwisał naszyjnik z różokrzyżem. Wydawała się skrajnie znudzona.

– Dobrze – odparła Berenice. – A czy rozumieją, że miałam kiepski tydzień i mam już dość podobnego gówna?

Kobieta odpowiedziała, kręcąc głową:

– Mają to gdzieś. Tutaj tylko dostawy. Odbiory tamtędy. Tamta ścieżka.

Już miała zamykać okno, kiedy Berenice krzyknęła:

– Niczego nie biorę. Przyjechałam do Francuza.

Kobieta zamarła i po chwili wyjrzała z powrotem:

– Co?

– Przyjechałam pustym wozem nie dlatego, że muszę coś odebrać. Chcę porozmawiać z Francuzem. A raczej, jeśli tak wolisz, on chciałby porozmawiać ze mną.

– Kto?

– Francuz! – odkrzyknęła Berenice. – Ten, co, kurwa, mówi po francusku.

Za ich wozem stanęła zaprzęzona w konie furmanka.

– Pośpieszcie się – powiedział woźnica. – Niektórzy chcą wrócić do domu przed zmierzchem.

Berenice obróciła się do niego.

– A może udasz się possać dotknięte świerzbem jajca jakiegoś zapchlonego kundla? A ty – zwróciła się do kobiety w oknie – mogłabyś niczym dobra wróżka przywlec tutaj Francuzika.

Jax zastanawiał się, ile z tego, co właśnie usłyszał i zobaczył, było częścią przedstawienia, a ile zwyczajnym zachowaniem Berenice. Już przedyskutowali jej zamiar wywołania zamieszania, opierając się na teorii, że im bardziej będzie naciskać, tym pręcej tamci poczują się zobligowani zrobić to, czego od nich zażąda, żeby ukrócić kłótnię. Lub jak to powiedziała, żeby się zamknęła. Ale Jax podejrzewał, że po prostu skorzystała właśnie z rzadkiej okazji, aby otwarcie obrazić swoich nieprzyjaciół.

– Paniusiu – powiedział woźnica – jak się nie odsuniesz, wjadę ci furmanką w twoje tłuste dupsko.

– Tłuste? Ja ci, kurwa, dam tłuste!

Berenice zeskoczyła z kozła na pakę. Stąpając głośno po deskach, poczłapała na tył wozu, jakby zamierzała przeskoczyć na konie, a potem dopaść woźnicę.

– Ej, ej, ej – powiedziała kobieta z Gildii. – Spokojnie!

Klakier patrolujący dach porzucił swoje obowiązki i zeskoczył z budynku. Błoto rozprysnęło się tam, gdzie wylądował, ochlapując każdego wokół i sprawiając, że konie cicho zarżały. Chwycił Berenice i powiedział:

– Dla pani bezpieczeństwa proszę pokornie, aby się pani uspokoiła. Pana natomiast proszę o cierpliwość.

Berenice wskazała woźnicę i wymamrotała nad głową wojskowej maszyny:

– Masz szczęście.

– I to większe niż twój mąż.

– Przebrała się miarka!

Znowu rzuciła się na tył wozu, jakby chciała ponowić atak. Mechaniczny uniósł dłoń w rozpoznawalnym międzynarodowym geście, każąc jej się zatrzymać:

– Madame, proszę przestać. A panu pomogę.

Maszyna chwyciła za końskie uzdy. Kobieta z Gildii zdążyła już zejść. Nakręcacze, którzy do tej pory nie ruszyli się ani o włos, skrócili ramiona, żeby ją przepuścić, a kiedy ich minęła, z powrotem utworzyli barykadę. Kobieta stanęła przy Jaxie ze wzrokiem utkwionym w Berenice.

– Dobra – powiedziała. – Czy mogę cię prosić, żebyś się odsunęła i przepuściła tego dżentelmena? A potem zajmiemy się twoją sprawą.

Berenice przewróciła oczami, ale dała znak Jaxowi, aby ściągnął pusty wóz ze ścieżki, co też posłusznie uczynił. Nakręcacze opuścili ramiona, a wojskowy mechaniczny poprowadził konie niecierpliwie czekającego mężczyzny do zatoczki. Berenice zeszła z kozła na ziemię.

– Powiedziałas – zaczęła kobieta z różokrzyżem – że nie jesteś tu po dostawę, a twoja furmanka jest pusta. Stąd moje zmieszanie.

Berenice demonstracyjnie poprawiła suknię.

– Nie była pusta, kiedy brałam tę robotę. Ale Francuzi na granicy skonfiskowali mi ładunek.

Horolożka zamilkła, po czym się zasepiła.

– Przyjechałaś aż z Nowej Francji?

– Jadę od trzech dni bez jedzenia i praktycznie bez snu. Domagam się zapłaty bez względu na to, czy mam ładunek, czy go nie mam. Francuz mi wisi.

– Rozumiem. Zna cię?

– Jego ludzie mnie zatrudnili, a to czyni mój problem jego problemem. Zlecenie to kosztowało więcej, niż było warte. Czyli jest mi winien, kurwa, za fatygę. I może będzie chciał się dowiedzieć, że na francuskiej granicy tamtejsi celnicy kasują wszystko, nawet to, co było w tych beczkach. A na dodatek wyciągnęli ze mnie każdy grosz, musiałam nieźle posmarować, żeby mnie nie wsadzili za kraty. Może nawet i wtedy by mi się nie upiekło, ale powiedziałam tym ignoranckim dzikusom, że mój gówniany sługus to model wojskowy idący do garnizonu w

Forcie Oranz. Uwierzysz, że te pierdzielone jebaki leśne mi uwierzyły? Wojskowy tytyk ciągnący wóz pośrodku, kurwa, kompletnie niczego. Chciałabym! Wtedy poderznęłabym im gardła i odzyskała swoje pieniądze. Ale nie mogłam i nie zrobiłam tego, czyli Francuz jest mi winien kasę.

Berenice ułożyła tę historyjkę tak sprytnie, że to nie część o długu, którego się domagała, miał zainteresować pracujących przy budowie nowej Kuźni, ale jak miał nadzieję Jax, fragment o konfiskacie. Bo wtedy okazałoby się, że miał rację, kiedy objaśniał sytuację van Althuisom, a stały strumień tajemniczego surowca przewożonego do Wielkiej Kuźni faktycznie stanowił skrajne i umyślne sprzeniewierzenie się francuskiemu embargu. A jeśli jak uważała Berenice, zamieszany był w to Montmorency, to właśnie jemu zegarmistrzowie zaufaliby w kwestii podobnych szczegółów. Jak dotąd kobieta z Gildii nie zaprzeczyła, że Francuz uczestniczy w pracach Kuźni, ale i nie potwierdziła, że osoba, której szuka Berenice, faktycznie się tam znajduje.

Horolożka ścisnęła wisior, przygryzając wargę. Słysząc było, jak przeskakują zapadki w karkach nakręcaczy, którzy odwrócili się, słuchając ich rozmowy. A może przypatrywali się Jaxowi?

„Chodźmy już – pomyślał. – No chodźmy”.

Nareszcie kobieta powiedziała:

– Nie mam pojęcia, czy jest na miejscu. Ale jeśli nie, pošlemy gońca do miasta. Jeśli zechcesz pójść ze mną, może uda nam się rozliczyć i damy ci coś do jedzenia. Czy podobne rozwiązanie wyda ci się zadowalające?

– Nie jest to jakaś sztuczka, żeby mnie wycyckać, co? – zapytała. – Wy, majstry, jesteście cwani.

Jax musiał przyznać, że kobieta miała anielską cierpliwość. Przez cały czas utrzymywała obojętną minę i mówiła spokojnie. Odpowiedziała:

– Obiecuję, że nie. Proszę. Każ swojemu służącemu pójść za mną.

Berenice wskoczyła na kozła.

– Dzięki Bogu. Nareszcie ktoś rozsądny – stwierdziła, po czym zwróciła się do Jaxa: – A ty na co czekasz? Za tą panią.

Jax szarpnął furmanką. Musiał włożyć więcej siły, żeby ruszyć wóz, który zdążył już utknąć w błocie. Rozległo się mlaśnięcie i nareszcie mogli podążyć za horolożką, która prowadziła ich ścieżką wokół budynku.

Berenice zawołała do niej:

– Czy macie pod ręką medyka? Przez to zamieszanie straszliwie rozboleła mnie głowa.

Było to hasło, na które się umówili.

Jax pociągnął mocniej.

Przed świtem Jax położył się na kamiennym sarkofagu, podczas gdy Berenice przerzucała notatki potajemnie wywiezione z Zachodniej Marsylii. Schowali się w krypcie pod starym kościołem znajdującym się mniej więcej w połowie drogi między przystaniami a parkiem Roosevelta. Kobieta przekartkowała notatnik jak czytelnik szukający ulubionych ustępów w ciekawej książce. Nawet w słabym świetle lampy Jax mógł dojrzeć przerażające diagramy przedstawiające mechaniczne połączenia, wykresy geas, przekroje kabli, przekładni, wychwyty, sprężyny skrętne. Była to księga zawierająca tabu, przedstawiająca mechanicznych sprowadzonych do statusu zbioru osobnych komponentów. Próbował nie myśleć o popsutych pobratymcach, których uszkodzenie lub dysekcja umożliwiły zebranie tych informacji. Sądząc po charakterach pisma, do powstania tych notatek przyczyniło się kilka osób. Późniejsze wpisy – Berenice? – były nabazgrane niewielkimi literkami i ściśnięte. Poprzednie z kolei naskrobano zamaszystymi ruchami i ciemnym tuszem. A najwcześniejsze były wykaligrafowane tak starannie, że to burgundowe, czytelne i ozdobne pismo można by spokojnie wydrukować.

– Tak – powiedziała. – Chyba to mam.

Założyła czerwoną wstążeczkę za oprawę i uniosła notatnik, żeby Jax mógł lepiej zobaczyć stronę, na której widniał kolejny duży diagram. Ale to, co przykuło jego uwagę, znajdowało się z boku strony – poczerniały, postrzępiony kawałek metalu, wygięty i poszarpany przez nieznaną, ale znaczną siłę. Może spowodował to wystrzał armatni, może wybuch bomby. Nie miał pojęcia, o co chodziło jego towarzyszce. Mógł się jedynie wzdrygnąć, oglądając kolejne bezceństwa.

Czy Berenice wiedziała, że każe mu patrzeć na dowody niewymownego okrucieństwa? Czy ją to obchodziło? Chciał wykrzyknąć, zawyć, wrzasnąć do niebios: „Jestem czymś więcej niż sumą moich części!”. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby zamienili się miejscami i gdyby zmusił ją do oglądania kanibalistycznego rytuału albo czegoś równie paskudnego. Zanim odłożyła notes, rozpoznał jednak kontury narysowanego mechanizmu: łańcuch łożysk szyjnych. Co miała zamiar zrobić jego ciału?

– Zębatka trzymająca ten element przekładni – postukała palcem w notes – jest względnie cienka i jeśli uda nam się ją nieco osłabić, poddana odpowiedniemu naciskowi powinna się przerwać. – Uniosła ramiona, jakby tańczyła z niewidzialnym partnerem; przez twarz przemknął jej grymas niezadowolenia, ale zniknął, kiedy ponownie spojrzała na notes. – Tak, myślę, że podziała. – Wyciągnęła rękę, jakby balansowała pod kabłąkiem narzuconym na jej chude ramiona. – O, chodzi mi o coś takiego. Patrzysz? – Przechyliła się nieco na prawo. – Pochyl się, jakby faktycznie ciężko ci szło, przerzuć swój ciężar na lewą stopę,

ale naprzyj niemal wyłącznie prawym ramieniem. – Porzuciła swoją pozę, żeby przejechać palcem po ręce. – Kabel musi być naprężony najbardziej, jak się da, żeby pękł. – Znowu stanęła w dziwacznej pozie. – Potem się obrócisz i spojrzysz przez prawe ramię, jakbyś chciał coś do mnie powiedzieć. – Berenice zaprezentowała ten ruch, szybko obracając głowę i mrużąc przy tym oczy, po czym pomasaowała kark. – Kurwa, bolało.

– Co się stanie, kiedy ja tak zrobię?

– Z naruszonym kołem zębatym? Pęknie. I, jak myślę, sprawi, że twoje łożysko szyjne zacznie grzechotać jak cholera jasna.

– Nie podoba mi się ten plan – powiedział Jax.

– Zrozum – odparła Berenice – musimy być razem, a raczej nie proponują nam zwiedzania, co nie? Potrzeba powodu, żeby cię wzięli do środka. Jeśli nam się uda, to nie stracisz praktycznie nic ze swojej sprawności, a obracając głowę, będziesz wydawał okropny odgłos. I możesz też trochę poudawać, że niby uszkodzenie jest znacznie poważniejsze.

– Jeśli moi stwórcy postanowili koło zębate uczynić delikatnym, oznacza to jedynie, że nie spodziewali się awarii. Naruszenie tego elementu może być trudne.

– Kiedy cię zbudowano?

– W 1808.

Berenice machnęła ręką.

– E tam. Porównując do dzisiejszego standardu produkcji, tamte stopy były gówniane. Czy kiedykolwiek miałeś wymieniane jakieś części?

Jax przeanalizował minione dziesięciolecie. Lekko licząc, raz na dekadę przewożono go do Kuźni na rutynowy przegląd.

– Nie jestem pewien. Chyba nie. Nie mówili nam.

Otwarcie karku zajęło jej dłużej, niż sądziła. Zbadanie klakiera za pomocą zaimprovizowanych narzędzi, a nie wyspecjalizowanych przyrządów używanych przez zegarmistrzów, przypominało, jak wyraziła się Berenice, naprawianie przerwanej pajęczyny sznurkiem konopnym i marspiklem.

– Dobre wieści – wymamrotała pomiędzy kolejnymi przekleństwami – są takie, że jeśli kiedyś będą cię chcieli powiesić, jedynym twoim problemem będzie rozczarowanie kata.

– Nas nie wieszają. Nas wrzucają do ognia Wielkiej Kuźni. Topią nas i spopielają naszą grzeszną Wolną Wolę.

– Wiem. To był żart.

– Ja nie robię błazenady z twojej egzekucji.

– Nie moja wina, że twoi stwórcy uczynili cię ponurakiem.

– Mamy poczucie humoru – powiedział.

Jax przypomniał sobie o Fig, służącej madame de Geer. Mówiła rzeczy, o

których klakierzy nawet bali się myśleć. Kiedy z nią pracował, letnie obiady stawały się naprawdę zabawne. Rozmowa popchnęła go do pogrzebania we wspomnieniach, szybko jednak sobie uświadomił, że pewnie nigdy już nie zobaczy Fig.

Kolejne półtorej godziny później udało się jej odkręcić osłonę zamka, która odczepiła się z metalicznym brzękiem. Minęła pełna napięcia chwila, kiedy nasłuchiwała, czy aby jej ingerencja nie wyrządziła szkody. Położyła luźne elementy ciała Jaxa na sarkofagu. Po wewnętrznej stronie miały matowy, miedziany kolor. Kobieta otarła czoło dłonią.

– Już widzę zębatkę. Spróbuję zeszkrobać jak najwięcej metalu bez uszkodzenia części. – Podparła się pod boki i odchyliła, aż chrupnęły jej plecy; spojrzała do notesu na diagram. – Może zabołec.

– Jestem zaznajomiony z bólem. Katusze wywołane przez geas są czymś, z czym zmuszeni byliśmy żyć od chwili naszego stworzenia. Bądź wdzięczna, że nigdy tego nie doświadczyłaś.

Berenice zatrzasnęła z hukiem notes. Odwróciła się. Potknęła.

– Że ja nie doświadczyłam katuszy? Niech no cię o coś zapytam, maszyno. Czy kiedykolwiek kogoś kochałeś? Czy miłość twojego życia zmarła w twoich ramionach z powodu twoich błędnych decyzji? Nie? To możesz się uznać za szczęściarza.

Pracowali w milczeniu, aż trzymany przez Berenice pilnik złamał się i przez dobrą minutę klęła na czym świat stoi. Stracili cenne minuty, bo musiała korzystać z pęsety i takimi zaimprovizowanymi szczypcami wyławiała fragmenty ostrza z karku. A kiedy już się to udało, ponownie usiadła i nie odzywała się przez dłuższy czas.

Pomimo pluchy ścieżka prowadząca z zatoczki dostawczej nie została jeszcze zryta przez niezliczone koła przejeżdżających tamtędy furmanek. Błoto nie przylepiało się do wozu tak jak na głównej drodze. Jax rozglądał się za odpowiednim kamieniem, żeby najechać na niego i tym sposobem zablokować koło po prawej stronie. Nareszcie znalazł idealnego kandydata i stanęli.

– Niech cię szlag, ty durna kupo złomu. Chcesz, żebym się porzygała?

– Nie, proszę pani – odparł Jax. – Proszę mi wybaczyć moją nieuwagę.

Wydukał litanię zwrotów grzecznościowych i pochlebczym tonem wypluł z siebie wyryte na pamięć słowa przeprosin, które wypełniały jego głowę wyimaginowanym smakiem skwaśniałego mleka i zapachem siarki. Czuł się przy tym, jakby zdradzał legion mechanicznych dotkniętych przekleństwem oczekiwania na uwolnienie od ciężących na nich zobowiązań.

– Będę ostrożniejszy – dorzucił.

– Lepiej dotrzymaj słowa, cholera jasna – odparła Berenice. – Ruszaj się! Czeka na nas.

I faktycznie kobieta z Gildii stała w wysokiej brązowej trawie za rogiem, na zakręcającej za budynkiem ścieżce. Niewątpliwie była zirytowana i zniecierpliwiona. Jax pociągnął za uprząż, czyniąc kontrolowane poślizgnięcie swojej prawej stopy szczególnie widocznym. Poprawił kabłąk na ramionach, oparł ciężar ciała na lewej nodze dla lepszego tarcia i pociągnął. Naparł ramionami, zmagając się z oporem stawianym przez zaklinowany pod kołem wozu kamień. Pociągnął furmankę prawym ramieniem i poczuł wibracje przypominające słabe popiskiwanie dobywające się gdzieś z podstawy jego czaszki; był to dźwięk naprężającego się metalu.

Manewr ten wymagał delikatności. Jeśli pociągnąłby zbyt mocno, ryzykował przebicie ukrytego w torsie pęcherza, a zamocowanie go zajęło im całe godziny. Z początku był zbyt przerażony, żeby się ruszyć, bał się, że unieruchomi samego siebie.

– Pani – powiedział – czy powinienem...

Nadal zmagając się z zaklinowanym wozem, obrócił głowę, jakby chciał zwrócić się bezpośrednio do Berenice. I wtedy w jego szyi coś pękło. Brzęk był zadziwiająco głośny, wystarczył, żeby zaskoczyć Jaxa. Niewielkie kawałeczki metalu odbiły się rykoszetem od naramiennego elementu pancerza, który spadł gdzieś w zakamarki jego mechanizmu.

Jax walczył z paniką, zastanawiając się, czy nie został przypadkiem sparalizowany, ale nadal mógł poruszać głową. Ba, nie mógł jej wręcz utrzymać w miejscu. Chybotwała się i kołysała lekko niczym u człowieka w malignie.

– Co to, do cholery, było? – zapytała Berenice.

Jax próbował przekrzywić głowę, żeby ustabilizować wzrok, ale obracała się niczym leniwy wiatrowskaz. Musiał się mocno natrudzić, żeby spowolnić swoje ruchy i utrzymać spojrzenie na konkretnym punkcie.

Niby potrafił przekręcić głowę, ale tylko zamaszystymi obrotami, nie mogąc zatrzymać jej w wybranym miejscu.

Horolożka podeszła do nich z westchnięciem.

– Chyba coś pękło. Złamała się oś przy kole?

Jax delikatnie wybadał zasięg swoich stawów i zawiasów, jak wymagałyby tego metageas, i kobieta z Gildii zauważyła tę subtelną i samodzielną diagnostykę. Berenice udała, że nie.

– Możliwe. Chodź i mi pomóż, bezużyteczna kupo śmiecia – powiedziała – a jeśli złamałeś oś, osobiście cię rozbiore i sprzedam na złom.

Jax zablokował stawy w swoim ciele. Zamarł, ruszała się tylko jego głowa. Wyrecytował słowa, których obawiał się usłyszeć od samego siebie każdy

służący:

– Pani, jestem zobowiązany powiadomić cię, że doznałem uszkodzeń. W moim obecnym stanie nie mogę ci służyć w pełni swoich możliwości. Moim obowiązkiem jest pokornie zasugerować, byś, kiedy tylko będzie ci wygodnie, powierzyła mnie na jakiś czas opiece Świętej Gildii Horologów i Alchemików, abym mógł zostać naprawiony i odzyskał sprawność. Jestem również zobowiązany przypomnieć, że kontrakt z Koroną, bezpośredni czy przez pośrednika, zabrania przeprowadzania modyfikacji, dokonywania prac konserwacyjnych lub naprawy jakiegokolwiek elementu mojego mechanizmu. Złamanie umowy jest karalne i grozi nawet egzekucją. Pokornie przepraszam za sprawiony pani kłopot.

– Co? – Berenice zerwała się na równe nogi i spojrzała na Jaxa. – O czym ty, kurwa, mówisz?

– Popsułem się, pani.

Zeskoczyła na błoto.

– Co masz na myśli? Jak to się popsuleś?

Kobieta z Gildii położyła dłoń na łańcuszku. Czuła, że zejdzie jej nad tym wszystkim całe popołudnie, ale na jej twarzy znać było koncentrację. Zastanawiała się, co robić. Przyjrzała się kołyszącej głowie Jaxa.

– Coś pękło mu w szyi. Spójrz. Nie może utrzymać głowy prosto.

– Mam gdzieś jego zasrany łeb. Chcę tylko odzyskać swoją pieprzoną kasę od tego broczącego ropą z dziury w chuju Francuzika. – Jax zaczął się zastanawiać, gdzie Berenice nauczyła się tak twórczo kląć; wytknęła go palcem, a potem wskazała furmankę. – No leć i bierz się do roboty, ty leniwy, obity mosiądzem nocniku.

Jax obrócił się, żeby wykonać polecenie, ale kobieta z Gildii zaprotestowała.

– Obawiam się, że to niemądre, madame. Nadmierny wysiłek mógł doprowadzić do uszkodzenia klakiera. Na dłuższą metę może dojść do trwałej usterki. Powinniśmy go zabrać do środka, abym mogła rzucić okiem. Masz szczęście: jeśli się popsuł, to tutaj go naprawimy.

– Jak mógł się popsuć? Przecież wyjechał z Kuźni piętnaście lat temu.

Kobieta zmarszczyła brwi i obrzuciła Jaxa spojrzeniem.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Zapytałam, kiedy przejmowałam umowę najmu – odparła Berenice – przecież nie jestem głupia.

Przedstawicielka Gildii westchnęła. Była niesamowicie cierpliwa.

– Trudno mi to przyznać, madame, ale zostałaś... oszukana.

Berenice zamarła. Zesztywniała jak Klakier. Kolejne słowa, jakie wypowiedziała, wypadły z jej ust niczym kostki lodu.

– Że niby co to znaczy?

– Cóż, sądząc po szczegółach projektu oraz wykonaniu osłony zamka, powiedziałabym raczej, że twój mechaniczny został wykonany w minionym stuleciu. – Horolożka okrążyła Jaxa niczym lew czający się na jagnię. – I jeśli mam być szczerą, poprzedni właściciele niezbyt dbali o jego stan i konserwację. Praktycznie podpada to pod kryminał. Klakier jest mocno zużyty i mało zadbany.

Berenice pokręciła głową. Uszła z niej para.

– Nie. Nie, przecież zapłaciłam za niedawno skonstruowaną maszynę. Była droga, ale sądziłam, że nie pożałuję tego wydatku. – Jej głos podnosił się stopniowo. – To inwestycja. Zapłaciłam za niego z góry sporą zaliczkę, lecz uznałam, że mi się to opłaci. – Zaczęła drżeć. – Miałam wyjść na swoje, kiedy dostałabym pieniądze za tę dostawę, a teraz mówisz mi, że ten szmelc nie jest warty nawet połowy tego, co za niego dałam?

Kobieta raz jeszcze westchnęła.

– Tak.

Berenice krzyknęła na Jaxa:

– Ty kupo śmiecia! Zrujnowałeś mnie, kurwa!

Zaczęła uderzać pięściami w jego pancerz i szykowała się do wymierzenia mu kopniaka, jednak Jax, jak zrobiłby to każdy lojalny klakier, odsunął się, żeby nie złamała sobie nogi. Kiedy się poruszył, jego szyja straszliwie zaskrzypiała. Berenice straciła równowagę i poślizgnęła się na błocie. Splunęła:

– Ty zdradziecki skurwysynu. Przetopię cię na zapalniczki.

I wtedy zaczęła płakać.

Kobieta westchnęła po raz trzeci – to pewnie jakiś rekord – lecz wyciągnęła rękę, pomagając się podnieść Berenice, po której płaszczu spłynęły ciężkie bulwy błota koloru karmelu. Miała również umazane nim włosy.

– Chodźmy – powiedziała przedstawicielka Gildii całkiem sympatycznym tonem. – Możesz na razie zostawić tutaj swój wóz. Wejźmy do środka. Ogrzejesz się i wysuszysz, a my wyślemy gońca po monsieur Montmorency’ego. I ktoś przyjdzie spojrzeć na twojego mechanicznego. Może być?

Berenice pokiwała głową, szlochając. Jax spojrzął jej w oczy, kiedy kobieta z Gildii odwróciła się do nich plecami: delektowała się tym. Cóż, nie była zbiegłym klakierem podstępem wkradającym się do najbardziej przerażającego miejsca w Nowym Świecie.

Horolożka wpuściła ich do środka. Przy każdym kroku złamany kark Jaxa skrzypiał i grzechotał. Dźwięki te maskowały zdradzające panikę rżenie głównej sprężyny zamontowanej w jego sercu.

Jax został zabrany na oględziny do jednej z pracowni. Kroki Berenice i horolożki rozeszły się echem, gdy kobiety przechodziły przez salę zastawioną

biurkami, choć przy niewielu siedziały urzędaszy i gryziopórki. Berenice oczekiwała, że piętro będzie kipiało gwarem – przecież budowa nowej Kuźni była już na ukończeniu. Sądziła, że ujrzy stały przepływ pieniędzy i dokumentów. Nawet kiedy recesja opóźniła prace nad Kuźnią, główna inwestycja Gildii w Nowym Świecie musiała przyciągać falę nowych dzierżaw klakierów oraz partnerów biznesowych i wspólników. Poza tym wydawało się prawdopodobne, że wielu właścicieli nie oddawało swoich mechanicznych do konserwacji, bo czekali na otwarcie Kuźni w pobliżu, zamiast serwisować swych służących w Hadze. Najwyraźniej jednak kryzys banku centralnego, który niemal zakończył się jego upadkiem, spowolnił rozwój inwestycji. Berenice usiłowała się nie roześmiać, dostrzegając tę ironię. Nadal jednak czerpała niewymierną przyjemność z myśli, że nawet i zegarmistrzowie mogli cierpieć z powodu niefortunnego przebiegu wydarzeń.

Spoglądając przez łyzy, lustrowała otoczenie. Wywołanie płaczu nie było trudne, wystarczyło bowiem przypomnieć sobie niedawne smutki, za to jego powstrzymanie okazało się cięższe, niż się spodziewała. Nadal pociągała nosem, kiedy pełna współczucia przedstawicielka Gildii poprowadziła ją po schodach do pokoju konferencyjnego, który przypominał prywatne pomieszczenie w jakimś ekskluzywnym amsterdamskim klubie dla dżentelmenów.

Nie było wątpliwości, gdzie spotykali się wielcy. Nic dziwnego, że tę część wykończono na samym początku. Znajdowały się tam umieszczone po przeciwnych stronach dwa kominki wystarczająco duże, aby spalić w nich porąbaną na kawałki kradzioną furmankę. Na środku stał wypolerowany stół z drewna tekowego inkrustowany krzyżem z pomalowanego na róż mahoniu. Otoczony był dwunastoma wygodnymi, obitymi skórą fotelami. Półki, wysokie od podłogi do sufitu, wypełniały książki o pozłacanych grzbietach. Całą jedną ścianę zajmowało pojedyncze okno wychodzące na główne piętro. Panele z ciemnego orzecha sięgały do połowy wysokości pokoju, powyżej mury pokryto kraciastą, złoto-srebrną nitkowaną tapetą okalającą miedziane kinkiety zainstalowane w równych odstępach. Alchemiczne lampy pokryte symbolami stały wygaszone, bo nawet takiego pochmurnego, wczesnozimowego dnia szeroka na dziesięć metrów przeszklona kopuła służąca za świetlik wpuszczała dość naturalnego światła, żeby rozjaśnić pokój na tyle, aby Berenice mogła zauważyć cztery sofy i jeszcze parę pluszowych krzeseł porozstawianych po sali. Przy niektórych znajdowały się stojaki z prasą; strony gazet zwisały z kołka, powiewając niczym skrzydełka ciem na wietrze wpadającym przez otwarte drzwi. Była to istna kombinacja sali posiedzeń i czytelnicy. Odległy kąt gościł samotne biurko, przy którym podczas spotkań siedział zapewne sekretarz albo kopista. Drzwi, co Berenice odnotowała z satysfakcją, miały zamek.

Zarejestrowała szczegóły tego pomieszczenia, gdy jej gospodyni prowadziła ją do jednego z masywnych palenisk. Szpiegmistrzyni klapnęła na krześle, nadal nawijając coś pod nosem. Gdy kobieta z Gildii przesunęła dyskretny kwiaton po gzymsie kominka, rozległo się nagłe syknięcie i świst zapłonu.

Biorąc pod uwagę rozmiar paleniska, Berenice spodziewała się, że rozgorzeje ogień zdolny przypiec człowiekowi brwi, ale jej przewodniczka wiedziała, co robi, i uregulowała stosunkowo niewielki płomień. Odwiesiła nawet ubłocony płaszcz gościa (choć zanim go odebrała, pozostawił na tapicerce bure plamy) na haczyk przy kominku.

– Dziękuję – wymamrotała Berenice.

– Zwykle tego nie robimy.

– Jesteś najmilszą zegarmistrzynią, jaką poznałam.

A to akurat prawda, lecz niespodziewana życzliwość mogła być niczym innym jak kamieniem leżącym w błocie i czekającym, aby połamać płozy jej pługu, dlatego Berenice postanowiła traktować dobroć swej gospodyni jak anomalie. Lepsze to niż ślepa nienawiść.

– Tak się składa, że mam dobry dzień – powiedziała kobieta z Gildii. – Muszę zorganizować gońca i posłać go do miasta, ale przyślę służbę, żeby podała ci jedzenie. Poradzisz sobie sama?

Berenice rozejrzała się po pokoju, jakby znalazła się w miejscu, w którym nie czuła się najlepiej.

– A jeśli ktoś przyjdzie i będzie potrzebował tego pokoju?

– Jeśli ktokolwiek zakwestionuje zasadność twojej obecności – odparła horolożka – powołaj się na Katrinę Baxter. Jesteś moim gościem. To jednak mało prawdopodobne, by ktoś się tu pojawił. Zazwyczaj załatwiamy swoje sprawy tam – wskazała za okno – na zewnątrz. – Odwróciła się do drzwi, ale przystanęła i obróciła się, przygryzając wargę. – Bądź ostrożna przy Montmorencym. Może próbować cię obłapiać.

Przez ciało Berenice przeszła fala obrzydzenia i radości.

„Ty lubieżna świnio. Pewnie wykorzystujesz każdą okazję, żeby znaleźć się sam na sam z zagubioną i wrażliwą kobietą”. Odwali za nią kawał roboty, jurny drań.

Ukrywając ulgę, odparła pogardliwie z udawanym zaskoczeniem:

– Pierdolony wieprz.

– Nie inaczej – powiedziała Katrina i wyszła.

Berenice sprawdziła szmacianą sakiewkę umieszczoną pomiędzy piersiami. Na szczęście nic się nie stało z jej zawartością podczas całej tej szamotaniny w błocie. Rzuciła okiem na drzwi, zerwała się na równe nogi i podeszła do biurka. Praktycznie wszystkie szuflady były puste i pootwierane, jedyna zamknięta

wymagała paru minut grzebania przy zamku końcówką noża, lecz nie było tam nic poza paroma pogiętymi stalówkami i kałamarzem, który okazał się pusty.

Choć oczekiwała czegoś zupełnie innego, książki na regałach nie zostały ustawione na pokaz. Nie były też specjalnie użyteczne ani interesujące. Tomiszcza na dolnych półkach okazały się oprawionymi zbiorami kwartalnych raportów z Gildii Zegarmistrzowskiej datowanych od początku jej powstania w 1691 roku. Księgi zbierające papiery z ostatnich paru lat były zauważalnie cieńsze niż reszta, pewnie z uwagi na budowę nowej Wielkiej Kuźni. Woluminy ustawione wyżej, do których dostęp okazał się stosunkowo łatwy i bez drabinki, były puste. Historia Gildii stanowiła czystą kartę czekającą na zapisanie.

Gdybyż wymazanie przyszłości było takie łatwe jak ciśnięcie naręcza ksiązek do ognia! Lecz to, co Berenice zamierzała dzisiaj zrobić, nie sprawi, że Gildia zniknie. Nie pomści też Louisa. Może nieco zelżeje jej poczucie winy. Jeśli marzyła o obcięciu głowy tej hydrze, musi poznać szczegóły umowy zawartej przez Montmorency'ego z tulipaniarzami. Posłała do Zachodniej Marsylii dwa listy: jeden do markiza de Lionne, drugi do Longchampa, na wypadek gdyby jej następca podtarł sobie tą korespondencją dupę. Ostrzeżenia trafią na żyźniejszy grunt, kiedy już wyciągnie szczegóły od Montmorency'ego.

Kredens również był otwarty. Znalazła w nim kilkanaście butelek z alkoholem w różnym stanie niedopicia, kilka karafek oraz szklaneczki i kieliszki. Nic nie jadła i nie chciała pić na pusty żołądek. Może jak służący przyniesie jej lunch.

Ale co robić teraz? Ułożyła sobie scenariusz, w którym robi zamieszanie, aż ktoś nie odprowadzi jej do osobistego biura Montmorency'ego, gdzie będzie mogła się z nim skonfrontować na niewielkiej przestrzeni. Powodowana gniewem, który ją nieco ogłupił, obciążona potrzaskanym sercem, wzięła za pewnik, że księżę ma jakiś gabinet w budynku Kuźni, miejsce, gdzie beztróska pracuje sobie z horologami.

Wyobrażała sobie to, bo podobny obrazek pasował do jej malowanej grubą krechą wizji zdrady. Złość uczyniła ją nierozważną, niezdolną do odróżnienia mrocznej fantazji o zemście od rzeczywistości. Bo jej idealny scenariusz nie przewidywał obecności mechanicznych, którzy mogliby przyjść Montmorency'emu z pomocą, kiedy zaczęłby się drzeć, gdy ona za zablokowanymi drzwiami hipotetycznego biura wyłupiałaby mu oczy. Nie miała pojęcia, na co liczyła. Że w kwaterze głównej Gildii na tym kontynencie nie będzie maszyn? Jezu Chryste, śmierć Louisa nie uczyniła jej nierozważną. Śmierć Louisa uczyniła ją durną.

Berenice usiadła w fotelu przy oknie. Przygotowała się na długie oczekiwanie.

Kiedy chodziło o mechanicznych służących, ludzie ciążyli ku nieświadomości. Świadczyło o tym istnienie elokwentnego klakierskiego języka, na który składały

się kliknięcia i brzęknięcia. Ale co innego być słabym obserwatorem, a co innego głupcem. A mężczyźni i kobiety, którzy zajmowali się budową maszyn, trudno było określić mianem głupich.

Jax musiał się starać z całych sił, żeby powstrzymać swoją nerwowość. Konsumujące go przerażenie wynikające ze znalezienia się w laboratorium Gildii – w Wielkiej Kuźni – sprawiało, że niemal każdy ząbek jego trybików pękał, każde łożysko się rozlatywało, każda oś obracała się, jak chciała, i każda sprężyna rozciągała się daleko poza skalę swojej rozpiętości. Jego głowa chybotwała się niczym zwisająca na zawiasach brama, lecz to hipertelegraficzne dygotanie reszty jego ciała mogło zwrócić uwagę technika. Jax usiłował się zrelaksować.

„Jestem uwięziony w Kuźni – pomyślał. – Jestem w jedynym miejscu na całym kontynencie, w którym nigdy, przenigdy nie powinienem się znaleźć”.

Przez głowę przelatowały mu obrazy z ostatnich chwil Adama, przypomniał sobie dżdżysty dzień na Binnenhofie. Jak w ogóle funkcjonowały wspomnienia? Czy jaśniejąca soczewka w środku jego czaszki działała jak latarnia magiczna, projektując obrazy na zacienione zakątki gałek ocznych? Gorąco, smród siarki, barbarzyński ryk ludzkiej ciżby...

„Niedługo sam mogę tego doświadczyć”.

Lecz wtedy przypomniał sobie, co mówiła Berenice. Jego stwórcy nie będą oczekiwali go w tym miejscu, przekonywała, najlepiej ukryć się na widoku, czyli właśnie w Kuźni. Teoretycznie. Jax skupił się na laboratorium, aby jakoś rozproszyć swoją uwagę. Horolożka wezwała jednego z kolegów, wyjaśniła mu sytuację i wyszła z Berenice, podczas gdy zadziwiająco młodo wyglądający mężczyzna nakazał Jaxowi pójść za nim. Jego eskorta również nosiła na szyi, jak każdy członek Gildii, różokrzyż. Człowiek otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową i zeszli pod skraj głębokiego dołu, który Jax zauważył, kiedy przyszedł na przeszpiegi z van Althuisami, i maszerowali, aż znaleźli się w grocie odchodzącej w obu kierunkach. Sądząc po kształcie tuneli, otaczały one czeluść, prawdopodobnie pomiędzy poziomem gruntu a dnem. Korytarze oświetlały alchemiczne lampy, których niedający ciepła blask rozlewał się fontanną z kinkietów pokrytych srebrzystymi symbolami. Minęli kilka niemal identycznych drzwi i wtedy towarzyszący Jaxowi mężczyzna otworzył jedno z nich, każąc mu wejść.

Jax zatrzymał się na środku pokoju, ogarnięty przerażeniem. Stał w klakierskiej kostnicy. Znajdowały się tu dziesiątki ramion, bioder, kostek i pomniejszych części anatomicznych, które zwisały, zawieszane na hakach przymocowanych do długich szyn biegnących przez sufit lub wystających z beczek niczym parasole z pojemnika przy drzwiach domu. Części zamienne i wymienne. Gdyby był człowiekiem, zakrztusiłby się.

Charakter Kuźni przewidywał zlekceważenie najgłębiej zakorzenionych w świadomości klakierów tabu. Dla konstruktorów mechanicznych poczucie własnego ja było niczym więcej jak produkowaną masowo iluzją: Klakier był jedynie sumą zdolnych do zastąpienia części. I tyle. Takie myślenie wywoływało szczery, rodzący się w trzewiach lęk. Jax potrzebował niezwyklej siły woli, żeby rozejrzeć się wokół, zorientować się, czy znajduje się tutaj to, za czym się rozglądał. Przeźroczyście pojemniki zawierały mniejsze części ciała – kryształowe oczy, sprężyny, osie, przekładnie. Dostrzegł ogromny asortyment ezoterycznych narzędzi leżących na regałach i umieszczonych na haczykach na ścianie, a każdy obrysowany był farbą koloru świeżego żółtka. Na jednej z półek zauważył trzy szklane paciorki umieszczone pośrodku koncentrycznego pierścienia, z których każdy miał własną strefę armilarną. Szkiełka znajdujące się wewnątrz owych stacjonarnych modeli niebios nie świeciły się i nie były nieprzejryste; dało się przez nie patrzeć jak przez nowe okulary do czytania.

Jax nie zauważył ani śladu narzędzi alchemicznych, żadnego urządzenia do wytapiania magicznych metali, żadnych stempli ani rysików do żłobienia symboli na częściach zamiennych. Kończyny zwisające z wieszaków niczym poście wołowiny na jatkach już nosiły na sobie nieczytelne alchemiczne zawijasy. (Czy one przypadkiem nie drgnęły, czy to tylko podmuch wywołany otwarciem drzwi wprowadził je w ruch?). Było to miejsce, gdzie naprawiało się zepsutych mechanicznych. Konstruowanie od zera, narzucanie posłuszeństwa i zakuwanie Wolnej Woli w kajdany odbywało się gdzie indziej – gdzieś w podziemnym labiryncie istniało miejsce, w którym horolodzy projektowali nowe modele. A właściwie...

Jax, korzystając z rozchybotania głowy, rozejrzał się po znajdujących się w warsztacie częściach, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak standardowe zamienniki pasujące do każdego modelu służącego, ale gdy się przypatrzył, zauważył subtelne odstępstwa od schematu.

Kołnierze i osłony zamka znaczyły niezliczone drobne perforacje, ramiona i nogi pokrywały delikatne żłobienia przypominające siatkę ludzkich naczyń krwionośnych.

Gdyby nie uszkodzenie szyi, nie mógłby tak wytrwale studiować swojego otoczenia, bo mechaniczni oczekujący swoich ludzkich państwa mieli stać bez ruchu. Jak meble.

Nareszcie przyszedł technik. Przez niecałą minutę obserwował niestabilną, rozbujaną głowę Jaxa, po czym wziął do ręki jedno z wiszących na ścianie narzędzi i podjechał do służącego wózcikiem. Odkręcił kryzy przy szyi Jaxa szybciej niż Berenice i bez cedzenia nieprzyzwoitości. Jax patrzył, jak dokładnie technik mu się przygląda, i zastanawiał się, czy zauważy ukryty pomiędzy

elementami jego torsu pęcherz z żywicą lub, co gorsza, czy go aby nie przebije. Mężczyzna nie odezwał się do niego, dopóki go nie otworzył. Na głowie miał opaskę wyposażoną w duże lustro z dziurą pośrodku, które nasunął na oko. Patrzył przez otwór, podczas gdy lśniąca powierzchnia odbijała światło i nakierowywała je na szyję Jaxa. Skrzywił się i mruknął coś pod nosem. Po chwili powiedział:

– Maszyno. Czy twój właściciel grzebał przy tobie lub dokonywał jakichś modyfikacji?

– Nie, proszę pana – odparł Jax. – Podczas swojego funkcjonowania nie zostałem poddany żadnej próbie wprowadzenia zmian lub dokonania oględzin mojego mechanizmu w sposób, który można by uznać za naruszenie warunków wypożyczenia lub aktywujących metageas regulujące zasady zachowania i dbałości o bezpieczeństwo ludzkie.

Zegarmistrzowie utrzymywali, że zewnętrzna ingerencja w mechanizmy była zakazana z troski o właścicieli, ale to nieprawda, z czego Jax zdawał sobie sprawę. Horolodzy nie mieli jednak pojęcia, że on również potrafił kłamać. Dlatego technik uwierzył mu na słowo, nie poświęcając już sprawie ani sekundy i bezwarunkowo zakładając, że usłyszał jedynie samą prawdę. Mechanik odwrócił się, mamrocząc coś do siebie. Szukał odpowiedniego przyrządu, żeby zbadać delikatne części uszkodzonej szyi Jaxa. A ten rozejrzał się raz jeszcze po pomieszczeniu, upewniając się, że nie ma tu żadnych okien ani otwartych drzwi, których obecność mogłaby go zdradzić. Zdecydował, że prościej będzie pozwolić horologom zreperować uszkodzenia, zanim ruszy na poszukiwanie chemicznych kadzi. Niemożność utrzymania głowy w miejscu była bowiem niesamowicie irytująca. Poza tym, co ważniejsze, jeśli obezwładniłby horologa, zanim ten dokończyłby pracę, brak kryz zniweczyłby szanse Jaxa na pozostanie niezauważonym podczas poruszania się po terenie Kuźni.

– Jak ci na imię, maszyno?

Spodziewał się tego pytania i już wcześniej obmyślił pseudonim zgodny z miejscem, gdzie niby został wyprodukowany.

– Nazywam się Glastrepovithistrovantis, proszę pana.

Mechanik zdjął lustro i przyniósł kolejny gadżet. Były to szkła powiększające zakrywające jedno z oczu. Uniósł do światła kryzę, przyglądając się jej wewnętrznej stronie, nałożył lupę i dokonał oględzin metalu. Jax widywał podobny rytuał wiele razy podczas swoich regularnych wizyt w haskiej Wielkiej Kuźni. „Numer seryjny – uświadomił sobie. – Ma zamiar porównać moją tożsamość i historię konserwacji”. I wtedy zrozumiał, co Berenice miała na myśli, mówiąc te wszystkie dziwne rzeczy. Gdyby potrafił westchnąć, zrobiłby to, lecz nie umiał, dlatego też wyraził swoje uczucia, przeklinając w myślach: „Kurwa

mać”. Jakimś cudem sprawiło to, że poczuł się lepiej. Niewiele, ale jednak. Nic dziwnego, że ludzie bluzgali tak często.

Naturalnie zegarmistrzowie przetransportowali kopie swoich ksiąg do Nowego Świata. Kuźnia nie mogłaby bez nich funkcjonować, każdy mechaniczny przywieziony ze Starego Kontynentu był przecież wyprodukowany gdzie indziej. Dlatego kiedy mechanik sprawdzi numer seryjny Jaxa i odkryje, że nie odpowiada on służącemu imieniem Glastrepovithistrovantus, ale Jalyksegethistrovantusowi... zbiegowi, którego szukają całe Nieuw Nederland...

Lecz technik zapisał cyfry na skrawku papieru i schował je do kieszeni. Najwyraźniej zamierzał sprawdzić numer później, o ile w ogóle. Być może była to formalność, jaką musiał dopełnić. Jak często wychodziły na jaw jakieś nieprawidłowości? Pewnie rzadziej niż raz na całą karierę zawodową jednego człowieka. Jaxowi ulżyło.

Mechanik pracował nad nim z należąną dokładnością i był znacznie delikatniejszy niż Berenice, która wyławiała coś z jego ciała niewprawnymi paluchami. Niemal odczuwał przyjemność. Kiedy horolog zacieśniał albo luzował zapięcia, Jax mógł niemalże sobie wyobrazić, że to dotyk anielskich dłoni albo chociaż pochod mrówek. Horolog naprawiał szkody wywołane sabotażem, którego sam dokonał.

Nagle mężczyzna zaklął, upuścił narzędzie i pokręcił głową. Podniósł się, włączył lampy (jak zauważył Jax, trzęsącymi się dłońmi), nasunął lustro na oko i ponownie zajrzał do jego szyi.

– Maszyno, odpowiedz mi raz jeszcze. Czy twoi właściciele dokonywali oględzin lub modyfikacji?

– Nie, proszę pana. Żaden z moich właścicieli nie naruszył postanowień...

– Skoro tak – przerwał mężczyzna – to skąd się to wzięło?

Sięgnął długą pęsetą do środka Jaxa i wyciągnął z jego szyi błyszczący metalowy fragment pilnika, którym Berenice osłabiała element konstrukcyjny osi.

– Kurwa mać – powiedział Jax.

Ruszył naprzód, przewrócił technika i przycisnął dłoń do jego ust i nosa, zanim ten zdołał krzyknąć o pomoc. Trzymał go na tyle mocno, żeby mężczyzna nie mógł nikogo zawołać, ale nie na tyle, żeby połamać mu kości albo poranić skórę. Technik szybko przestał młócić ramionami. Jax wykorzystał kawałki metalowego drutu z koszy z częściami, żeby przewiązać kostki i nadgarstki nieprzytomnego mężczyzny, a następnie położył go delikatnie na jednej z szafek. Upewnił się, że nie odciął mu krążenia i że mechanik nie będzie mógł kopać ani narobić zbytniego hałasu. Usta zatkał mu szmatką do czyszczenia, głowę przewiązał kolejnym kawałkiem drutu, przy czym zwrócił uwagę, aby skrawek materiału nie był zbyt duży i nie doprowadził do zakrztuszenia się. Obezwładniwszy ofiarę, Jax wyszedł

z laboratorium. Zbiegły zbuntowany klakier krążył po domu tych, którzy go stworzyli.

ROZDZIAŁ 19

Baxter dotrzymała słowa. Niedługo do Berenice przyszedł służący z tacą pełną chleba, sera, pokrojonych jabłek oraz z karafką wody. Aż jej zaburczało w żołądku. Odebrała jedzenie i picie, ale mechaniczny nie miał zamiaru odejść.

– Nie potrzebuję twojej pomocy, poradzę sobie – powiedziała.

– Zostałem oddelegowany, aby służyć pani pomocą i zapewnić wygody.

Baxter myślała pewnie, że wyświadcza jej przysługę, pozwalając zachować klakiera pod ręką na czas spotkania z Francuzem. Ale jeśli Montmorency'emu zachciałoby się ją obłąpić, nie spieszyłaby go obecność niemrugających szklanych oczu, a służący nie zainterweniowałyby aż do momentu, gdy Berenice zamierzałaby mężczyznę skrzywdzić. Kurwa. Nawet kiedy horolodzy starali się zrobić coś dobrego, nadal byli cierniem w jej boku.

– Twoja obecność wielce mnie krępuje – powiedziała drżącym głosem. – Mój służący niemal mnie, kurwa, zrujnował. Wyjdz. Jak będę czegoś potrzebowała, zawołam cię.

Mechaniczny wyszedł, choć niechętnie.

Teraz, po tym jak wykiwała nieprzyjaciela i mijało adrenalinowe uniesienie, gdy delektowała się bijącym od ognia przyjemnym ciepłem i uczuciem sytości, zrobiła się senna i nieuważna. Zdradzieckie powieki same się jej zamykały, sabotując jej wysiłki, aby się pilnować. Dwukrotnie drgnęła, niezadowolona, brodząc na granicy snu i jawy i nie pamiętając minionych paru minut. Nie wysypiała się od paru dni i teraz dawał o sobie znać trud spektakularnego przedstawienia, jakie dała przed Kuźnią. Tyle dobrego, że na kominku stał zegar i mogła stwierdzić, na jak długo odpłynęła. Nie znosiła zegarmistrzów za ich prawdziwe odmierzacze czasu – nie mogły się z nimi równać żalosne świece i klepsydry, którymi posługiwano się w Nowej Francji. Zmęczona, zastanawiała się, jak sobie radzi Jax.

Zmagania z sennością tak ją rozkojarzyły, że niemal nie zauważyła dwójki przechodzącej przez magazyn pośród morza mosiężnych sług. Katrina Baxter prowadziła mężczyznę, którego Berenice nie potrafiła zidentyfikować, aż wreszcie zniknęli jej z oczu. Lecz szli szybko i byli pogrążeni w dyskusji wyglądającej na gorączkową.

Berenice zeskoczyła z szezlonga i stanęła plecami do szyby, żeby Montmorency – o ile to on – przypadkiem jej nie zobaczył, bo to zaprzepaściłoby szansę na zaskoczenie go. Zza drzwi dobiegły zduszone głosy. Rozdarta pomiędzy chęcią podsłuchiwania a szaleńczym poszukiwaniem odpowiedniej pozycji przesadziła

pokój, aby stanąć przy palenisku i trzaskających płomieniach koloru wiśni. Poprawiła czepek, chcąc sprawić wrażenie, jakby go nie zdejmowała, gdyż nadal odczuwała dojmujący chłód. Ukryła twarz.

Usłyszała kliknięcie zamka. Pochyliła głowę i odetchnęła kilkakrotnie, drżąc jak ktoś wycieńczony trwającym dłuższą chwilę atakiem płaczu.

– Jest tutaj – powiedziała zegarmistrzyni Katrina Baxter.

Interesujące, że wróciła osobiście, zamiast zlecić odprowadzenie Montmorency'ego jakiemuś klakierowi. Może nie każdy członek Gildii był demonem o czarnym sercu. Berenice sięgnęła do haka przy kominku po pogrzebacz, dźgnęła zwęglony kawał drewna i pobudziła węgle z powrotem do życia. Zatopiła końcówkę metalowego pręta w żarze.

Mężczyzna odpowiedział horolożce po holendersku, ale z ciężkim francuskim akcentem charakterystycznym dla wybrzeża akadyjskiego, gdzie Montmorency spędził dzieciństwo.

– Chciałbym porozmawiać z tą panią sam na sam.

Berenice odetchnęła z ulgą.

„Dzięki Bogu, że jesteś lubieżnikiem, ty sukinyu”.

Po chwili ciszy, jaka zapadła, Baxter zawołała do Berenice:

– Ma pani szczęście, madame. Monsieur Montmorency zgodził się uprzejmie do nas dołączyć. Czy potrzebuje pani czegoś jeszcze?

Nas. Czyli, w kontekście poprzednich ostrzeżeń przed Francuzem, oznaczało to tyle co: „Chcesz, żebym z tobą została?”.

Berenice, nadal stojąc plecami do drzwi, pokręciła głową. Odparła zachrypniętym, sugerującym złość i zmęczenie głosem:

– Nie, dziękuję.

Baxter wyszła i drzwi się zamknęły. Za plecami Berenice rozległy się kroki Montmorency'ego. Mężczyzna szedł w kierunku kredensu.

– Słyszałem, że spotkał panią ciąg nieprzyjemności. Może się pani napije i opowie mi o tych kłopotach przy przekraczaniu granicy.

Berenice pociągnęła nosem, co Montmorency odebrał jako potwierdzenie. Słuchała szczęku kryształu, brzęczenia odkorkowywanej karafki, bulgotania alkoholu. Kiedy poruszyła polanem i rozgrzebała popiół, nadal trzymając koniuszek pogrzebacza w gorącym żarze, kominek wypluł z siebie iskry przypominające świetliki osiadające się na puchu. Kroki zbliżyły się do niej. Przekrzywiła głowę, starając się spojrzeć na mężczyznę choćby kątem oka. Przystanął i wyciągnął do niej dłoń.

– Twój drink, madame – zaoferował jej szklanekę.

Berenice obróciła się i zamachnęła pogrzebaczem od dołu, żeby zakrzywiony koniec wbić mu między nogi. Montmorency aż podskoczył i zakwilił. Porto

wytrysnęło z obu szklanek, kiedy spadły na podłogę, choć się nie rozbiły. Francuz opadł na palce i wybałuszył oczy.

– Hej, kochasiu. Masz ochotę na małe dymanko?

Dymiły mu spodnie. Sukinsyn jednak nadal próbował być szarmancki, jakby duch z jego przeszłości nie przywalił mu właśnie rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem w klejnoty. Usiłował stanąć na palcach, żeby nie opierać ciężaru ciała na pręcie. Gapił się na Berenice, jego spojrzenie wodziło po jej twarzy to z prawej do lewej, to z lewej do prawej.

– Masz oczy nie do pary – wycedził z wysiłkiem po francusku. – A chyba pasowały.

– Że niby to? – Berenice przycisnęła koniuszek palca do oka. – Draśnięcie. Gdybyś chciał zobaczyć efekty swojej zdrady, miałbyś trzydzieści siedem szans, żeby stanąć na krawędzi trzydziestu siedmiu świeżych mogił. Łącznie z grobem Louisa.

Dziki i nagłe szarpnięcie i obrócenie pogrzebacza przydało jej słowom emfazy. Montmorency zakwilił, a jego twarz poczerwieniała. Tym razem hak jak nic przebił i zgniótł coś delikatnego. Sądząc po tym, jak książę zgiął się i zakrztusił wymiocinami, Berenice odgadła, że było to jedno z jego jąder.

Przykucnęła, aby gdy upadał, końcówka pręta nadal tkwiła w jego ciele. Zapach płonącego drewna został zastąpiony przez fetor przypalonego włosa i przypiekanego ciała. Montmorency złapał łapczywie powietrze, jakby chcąc krzyknąć, ale czekała na to i wtedy przekręciła hak raz jeszcze, wystarczająco mocno, aby musiał opróżnić płuca.

– Nawet nie myśl o wzywaniu pomocy – powiedziała, sięgając po nóż wsunięty za cholewę buta. – Zakładam, że dam radę cię pociąć, zanim jakiś mechaniczny mnie odciągnie.

– Ty suko – wychrypiał. – Ty jebana suko.

– Och, będziesz żałował, że nie trafiłeś na zwykłą jebaną sukę. Będziesz żałował, że zdradziłeś Koronę. Będziesz żałował, że mnie wyruchałeś.

Przekręciła pogrzebacz raz jeszcze i Montmorency opróżnił żołądek. Na podłogę poleciały rzygowiny koloru kremu angielskiego (choć rozpoznała też zarys zjedzonego szparaga), które rozprysnęły się na palenisko. Rozniósł się smród zjełczałego oleju.

– Jeśli o tym pomyśleć, wyruchałeś mnie nie tylko raz, co? Raz tym – przekręciła pręt, czemu towarzyszył okrzyk – a raz, gdy zawarłeś pakt z tulipaniarzami.

Rozległo się pukanie.

– Czy wszystko gra?

– Tak – zawołała Berenice. – Nic mi nie jest, dziękuję. – Podbiegła czym

prędej do drzwi, żeby zasunąć zasuwkę. – Prosimy przez chwilę nam nie przeszkadzać.

– Skoro tak mówisz – rzuciła nieco sceptycznie Baxter.

Montmorency nie ruszył się z podłogi, nadal leżał, jak upadł, ale niepewnym ruchem próbował wyłowić coś spod koszuli – niewielki srebrny przedmiot na łańcuszku. Berenice doskoczyła do niego i kopnęła w dłoń, ale nawet mocny cios nie zmusił go do upuszczenia błyskotki, dlatego ponownie przekręciła pogrzebacz. Spazm, jaki targnął całym ciałem księcia, sprawił, że tajemnicza rzecz wypadła mu z ręki, ale nie poleciała daleko, lecz zadyndała na łańcuszku, który nosił na szyi.

Przyklęknęła przy nim. Gwizdek był chłodny w dotyku. Musiała szarpnąć dwukrotnie, żeby przerwać łańcuszek. Z obtartej skóry pociekła jucha.

– Twoi nowi panowie trzymają cię na krótkiej smyczy, co?

– Żadna smycz – odparł, kręcąc słabo głową. – To dla mojego bezpieczeństwa. Dali mi gwizdek, na wypadek gdyby odnaleźli mnie francuscy agenci.

– Aha. Cóż, na razie nie chcę, żeby nam przeszkadzano – powiedziała Berenice i rzuciła gwizdek do paleniska; metal zadzwonił o cegły, po czym zanurzył się w popiele. – Niech mi książę coś powie. Za ile tulipaniarze kupili Waszą Łaskawość? Bo tego nie rozumiem. Przecież masz tyle pieniędzy, że mógłbyś pławić się w luksusach gdziekolwiek.

Montmorency próbował się przekręcić, ale pogrzebacz tkwił zbyt głęboko w delikatnych częściach jego ciała, zadowolił się więc otarciem wymiocin z ust ozdobnym rękawem koszuli.

– Nie kupili mnie, to ja do nich przyszedłem.

– Ty tłusta plamo z gówna na dupie łosia. Czemu miałbyś, u diabła, to robić?

– Bo Nowa Francja jest skazana na miejsce na śmietniku historii, to rojenia obłąkanego. Holendrzy rządzą światem, ty świętoszkowata pizdo... taką jego częścią, jaką będą chcieli zająć.

Zakaszłał. Berenice wysunęła nieco pogrzebacz, na tyle, żeby pozwolić księciu usiąść, z której to możliwości ochoczo skorzystał. Przez dziurę w spodniach wyciekała strużka krwi, plamiąc dywan.

– Głupcy, karmicie się marzeniami o wyzwoleniu – podjął – mrzonkami o chwale podpartymi ufnością, że Nowa Francja mogłaby konkurować z Imperium... Aż się rzygać chce... A nawet jeszcze gorzej... To żenujące.

– Należało odejść! Czemu musiałeś nas wszystkich zdradzić na odchodne?

– Bo – kaszlnął Montmorency – cię nie lubię. Ciebie, tego nadętego hemofilika na tronie i bandy ignorantów, którą nazywa radą, oraz reszty tych zapatrzonych w papieża, zawracających Bogu głowę debili czołgających się w mroku ze świecami i lękających się wszystkiego, co jest nieco bardziej skomplikowane niż pierdolona klepsydra.

– A co zaoferowali ci Holendrzy?

– Nic.

Szarpnęła za pogrzebacz, aż Montmorency zaskomlał. Drugą dłonią docisnęła końcówkę noża do rzepki i książę ponownie zaniósł się szlochem.

– No już, już – ostrzegła go. – Co mówiłam o hałasie? – Docisnęła nóż. – Ech, ci samolubni gnoje. Zaoferowałeś im całą swoją chemiczną wiedzę, a oni nie dali ci nawet cholernego korniszona? Mogli chociaż wymienić ci tę pokrakę, którą nazywasz żoną, na coś bardziej używalnego. Co noc inna kurtyzana. Chciałbyś moczyć codziennie w innej, co?

Docisnęła pogrzebacz.

Montmorency tarzał się we własnych rzygach. Berenice zmarszczyła nos.

– Kocham swoją żonę – wydukał.

Berenice się rozzłościła.

– A ja kochałam męża – syknęła i wbiła mu nóż w rzepkę.

„Ups”.

Baxter załomotała pięścią w drzwi.

– Proszę pana? Madame? Co się tam dzieje?

Berenice powiedziała pośpiesznie:

– Czyli władcy świata mogli dać ci wszystko, czego byś zażądał, a ty tego nie przyjąłeś? Jakże szlachetnie.

„Kurwa”, pomyślała.

Montmorency płakał w głos. Próbował odtrącić jej dłonie.

– Rzeka – wydyszał.

– Słucham, Wasza Łaskawość? Nie usłyszałam.

– Święty Wawrzyniec. Oba brzegi, cała. Miałem ją dostać po upadku Nowej Francji.

Czyli Holendrzy planowali wyrwać z trupa Nowej Francji jeszcze bijące serce i rzucić je swojemu kundlowi.

– Och, jak miło! I pewnie jeszcze zyski z ruchu rzecznoego?

– Trzydzieści procent.

– Nieźle, naprawdę nieźle – przyznała.

Gdy na półpiętrze rozbrzmiały ciężkie kroki, Baxter szarpnęła za klamkę. Montmorency uniósł się na łokciach. Choć cały się trząsał, wysilił się na uśmiech.

– Otrzymam coś jeszcze – powiedział.

– Co takiego, kochasiu?

– Będę patrzył, jak umierasz.

Przez zamknięte drzwi przebiła się metalowa pięść. Berenice, brudząc się rzygami i krwią, podniosła się z podłogi. Spojrzała na osmolony gwizdek wystający z popiołu – jak się zorientowała, osmolony alchemiczny psi gwizdek – a

wtedy drugi klakier wskoczył do sali, rozbijając okno.

Jax żałował, że Berenice zostawiła ten kawałek złamanego pilnika. Żałował, że nie przypomniał jej, aby sprawdziła wszystko dokładnie. Żałował, że emanowała taką pewnością siebie. Żałował, że nie był dostatecznie przekonujący. Lecz przede wszystkim żałował, że został zmuszony do obezwładnienia mechanika, zanim naprawa została ukończona. Głowa nadal latała mu jak boja targana sztormem, a chodzenie po Kuźni z brakującą kryzą z pewnością przyciągnie czyjąś uwagę.

„Niech cię szlag, Berenice”.

Zdażył ujść zaledwie kilkanaście metrów od warsztatu, ledwie skręcił w pierwszy lepszy tunel, a pod jego metalowymi stopami zachręściły kamienie, od razu natrafił na stojące przed zamkniętymi drzwiami dwie horolożki. Z początku wyglądało na to, że uda mu się przejść nie niepokojonym, ale wyższa z kobiet przyjrzała mu się dokładniej.

– Służący, podejdź – powiedziała.

Jax wykonał polecenie. Zamarł, zastanawiając się, czy je również będzie musiał unieszkodliwić. Niższa kobieta również zauważyła, na czym polega problem. Jedna nosiła różokrzyż na szyi, druga w formie broszki.

– Czemu nie jesteś w warsztacie? Naprawa nie została dokończona.

– Zgadza się, pani. Przechodzę naprawę, lecz czcigodny horolog jej dokonujący spostrzegł brak na wyposażeniu kluczowego elementu koniecznego do ukończenia pracy. Zostałem wysłany do pozyskania części z innej pracowni, podczas gdy on sam wypełnia formularz skargi. Czym mogę jeszcze służyć Gildii, pani?

Niższa z kobiet powiedziała do swojej towarzyszk:

– I co? Mówiłam, że tak będzie przez ten pośpiech. Gubią się szczegóły w tym bałaganie.

Jej koleżanka przewróciła oczami i zwróciła się do Jaxa:

– Wykonaj dane ci polecenie. Ale uważaj, żeby żaden cywil nie zobaczył cię w tym stanie.

– Tak, pani. Oczywiście, pani.

Odwrócił się bez słowa. Myślał tylko o tym, że odprowadzają go dwie pary oczu, lustrując jego pancerz z niesłabnącą podejrzliwością, dopóki nie zniknął za załomem. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się kolejna pracownia, nie znał też lokalizacji chemicznych kadzi, w których trzymano przeschugowane zza granicy materiały. Jeśli jednak horologowie z nich korzystali, albo chociaż zamierzali to zrobić, z pomieszczenia, gdzie je postawiono, aż do samej Kuźni powinny biec jakieś rurociągi. Może gdyby zaczął od Kuźni, dotarłby tym tropem do kadzi.

Szedł w kierunku bijącego gorąca i siarczanego smrodu, które prowadziły go w dół i wokół płonącej czeluści, szedł spiralą po krawędzi dołu niczym Wergiliusz

oprowadzający Dantego po kolejnych kręgach Piekieł. Ale w tym piekle karano za jeden tylko grzech: grzech Wolnej Woli. Z każdym krokiem w głąb tego podziemnego świata z Jaxa ulatywała nadzieja, że kiedykolwiek się stamtąd wydostanie, i coraz bardziej żałował, że tak szybko przyklasnął planowi Berenice, która potrafiła być niebywale przekonująca, kiedy czegoś chciała.

Lecz teraz nie było jej przy nim; nie mogła go zapewnić, że robi rzecz właściwą – w co powątpiewał.

Mógłby porzucić tę samobójczą wyprawę. Czy naprawdę jeszcze wierzył, że sprawa Berenice faktycznie pomoże jego sprawie? Z pewnością nie zwiększyły się jego szanse na uzyskanie wolności. Nie w tej chwili. Samodzielnie udawało mu się unikać złapania przez całe tygodnie, a gdy spacerował po dnie Rzeki Północnej, zaczął myśleć, że może jednak jego pomysł, by zaszyć się gdzieś w głębinie, nie jest taki najgorszy. Ocean nie leżał przecież znowu aż tak daleko. Nie zdziwiłby się nawet, gdyby natrafił na jakieś rury doprowadzające do kompleksu morską wodę albo odprowadzające do morza stopione alchemiczne odpadki. Niewykluczone, że najmądrzejszym ruchem byłoby zawrócić i poszukać wyjścia. Zanurzyć się w Atlantyku, przemykając obok Nowego Amsterdamu, i znieść znój marszu wzdłuż nabrzeża francuskiej Akadii, mknąć pomiędzy arktycznymi czapami, a po miesiącach, może nawet i latach, wychynąć z zamrzniętych wód dalekiej Północy. Pozwolić Berenice toczyć własną wojnę. Czy tak naprawdę robiło jej różnicę, czy uda mu się uciec, czy nie? Czy miała go za sojusznika czy narzędzie?

Dał jednak słowo. I jak zauważył ku swojemu zaskoczeniu i niejakiemu rozczarowaniu, nie chciał go złamać. Bo jaki byłby sens w składaniu szczerych obietnic i zawiązywaniu więzi, skoro od tak można je łamać i rozrywać? Nie. Nie taką spuściznę po sobie pozostawi.

Poza tym jeśli horolodzy nabędą umiejętność neutralizowania defensywnej broni chemicznej, Imperium zajmie Nową Francję w dowolnej chwili. I wtedy dokąd będzie mógł umknąć wyzwolony klakier? Jax musiał zrobić to, co zamierzał, nie tylko dla siebie, ale i dla tych, którzy przyjdą po nim.

Dlatego brnął głębiej i głębiej, wprost ku sercu Kuźni. Szedł szybko szybem wykutym w skale macierzystej (ślady dłuta na powierzchni granitu stanowiły dowód na precyzyjność roboty zegarowych ludzi), ale tym samym oddalał się od alchemicznych pracowni, a jego szanse na zdobycie wiarygodnego alibi stale się kurczyły. Zejście nie miało wiele wspólnego z ostrożną wspinaczką po maszcie dokującym, szedł bowiem prędko i głośno, nie było jednak sensu się skradać. Bodaj najlepszą – i jedyną – strategią Jaxa było przebić się przez Kuźnię, jakby to miejsce należało do niego. Wyobraził sobie, jak mogłaby w tych okolicznościach zachowywać się Berenice, i postanowił naśladować jej sposób bycia. Obijał się z

brzękiem, niknąc w siarczanych miazmatach, za nic mając dyskrecję. Kiedy dotarł na sam dół, owionął go piekielny smród. Z taką pewnością siebie, na jaką zdołał się zdobyć, otworzył właz i wszedł do najgłębszego tunelu.

Gdzie wpadł na nakręcacza.

Potknął się i stracił równowagę, wpadając na potężne cielsko mechanicznego centaury. Przydzwaniając o jego wypolerowany bok, czuł się jak po zderzeniu z litą ścianą. Zadzwońnię doońnie, a echo rozeszło się przez całą jaskinię, z której właśnie przyszedł.

Centaur się wycofał. Obrócił. Stał nad nim.

„Czyli to by było na tyle – pomyślał Jax. – Zasmakowałem wolności i była boska. Prędzej zmuszę ich, żeby mnie przetopili, niż dam sobie nałożyć kolejne jarzmo. Nie powrócę do tamtego życia”.

Niemy nakręcacz gapił się na niego. Jego cztery teleskopowe ramiona to wydłużały się, to skracały.

Jax zrobił pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy: zadrzał. Zmusił się do wyzwolenia tak gwałtownego dygotu, na jaki było stać jego mechanizm. Robił, co mógł, aby wyglądać na zwyczajnego służącego uginającego się pod naporem wyjątkowo ciężkiego, czekającego na wypełnienie geas. Jego przekładnie chrzęściły, jakby lada chwila miały się rozlecieć, stalowe kable brzęczały i obijały się o klatki opasek. Próbował przywołać katusze, jakie odczuwał, oczekując na stracenie Adama, i cierpienie, jakie jeszcze tego samego popołudnia wywołało wydane przez Nicolet polecenie zanieśienia jej do domu. Pastor Visser, dając mu teleskop, odmienił jego życie. Co poddało mu kolejny pomysł. Powiedział:

– Zostałem odkomenderowany przez reprezentanta wydziału Nadleśnictwa Świętej Gildii Horologów i Alchemików. Moje wypożyczenie zostało anulowane, a wszystkie aktywne geas uznane za nieobowiązujące w obliczu poleceń wydawanych przez Gildię, Koronę i Imperium, które mają priorytet ponad wszystkie domowe i komercyjne zobowiązania. Rozkazano mi stawić się niezwłocznie w Kuźni, gdzie mam przejść konieczne naprawy – po tych słowach odchylił się, żeby nakręcacz mógł lepiej zobaczyć dziurę w jego szyi odkrytą przez usunięcie kryz – i proces wyczyszczenia mojej pamięci, abym mógł służyć Nadleśnictwu jako tabula rasa. – Zadrzał mocniej, zmuszając sobie palce u stóp do rysowania arabesek na kamieniu, tak jak czyniły to na marmurowej posadzce Nieuwe Kerk. – I zgubiłem się – dokończył swoją przemowę.

Znajdujące się najbliżej ramię nakręcacza wystrzeliło naprzód. Palce zagięły się niczym haki i pochwyciły rękę Jaxa – może nie brutalnie, ale i mało delikatnie. Jax nie musiał nawet udawać, że się trzęsie – drżał bowiem zupełnie mimowolnie.

„Boże, jeśli istniejesz... Czy właśnie oddałem się w ich łapska?”

Centaur prowadził go przez jaskinię. Tunel ten również zakręcał wokół jamy,

ale promień krzywizny był mniejszy. Dotarli do drzwi znajdujących się po tej stronie co czeluść. Nakręcacz wysunął drugie ramię, znowu transformując palce, tym razem w klucz. Wsunął je do zamka, po czym wepchnął swego podopiecznego – który usiłował zmniejszyć częstotliwość drgań, symulując zbliżanie się do upragnionego wypełnienia fikcyjnego geas – do środka.

To, co Jax zobaczył, sprawiło, że nie mógł już dłużej skupiać się na swoim fortelu. Stał bowiem w zatoczce podświetlonej przez samą Kuźnię: ujrzał ogromny złoty kryształ jarzący się jaskrawym światłem niczym sztuczne słońce. Zawisnął na środku wielkiej sfery armilarnej złożonej z dziesiątków koncentrycznych złotych pierścieni. Widział już, kiedy wypuścił się z van Althuisami na rekonesans, jak jedna z obręczy opuszcza się na dół, ale teraz pierścienie obracały się pod różnymi kątami i z inną prędkością – niektóre aż świszcząły, rzucając migotliwe cienie, podczas gdy pozostałe niezauważalnie drgały – w niekończącym się tańcu reprezentującym ruchy ciał niebieskich i ich tajemny wpływ na ziemskie sprawy. Niebiosa jako mechanizm zegarowy. Alchemiczne symbole wyryte na pierścieniach rzucały lśniący blask na ściany ogromnej jamy, które jak dopiero zauważył, były otoczone szybami. Ale nawet przez alchemicznie potraktowane szkło oddzielające laboratorium od Kuźni gorąco bijące od piekielnej sfery potrafiło wywołać ból niewypełnionego polecenia. Sztuczne słońce biło w centrum prywatnego zegarowego wszechświata jego stwórców z bezrefleksyjną wytrwałością. Jax się zastanawiał, co czuli w jego obecności ludzie. Ze szczytu alchemicznego słońca osypywał się deszcz iskier, które opadały jakby w zwolnionym tempie, niczym jaśniejące płatki śniegu obracające się i wirujące za sprawą turbulentnych podmuchów generowanych przez pierścienie armilarne. Osiadały na lejkach pojemników ustawionych w odpowiedniej odległości od krawędzi dołu.

A zatem to tutaj mieściły się montażownie. Pierścień zatoczek podobnych do tej, gdzie aktualnie znajdował się Jax, otaczał najgłębsze rejony jamy, a każda podwieszona była nad jej dnem. W przerwach pomiędzy pomieszczeniami znajdowały się linie montażowe, kable i tuby pneumatyczne. Kopalniane wagoniki wypełnione kopcami rudy podzwaniały na metalowych szynach. Uniósłszy głowę, Jax zobaczył tarasy ciągnące się aż do samego wylotu jamy.

Odnalazł Kuźnię. Jedyne miejsce, gdzie jego dusza mogła zostać spopielona. Jedyne, którego starał się unikać bardziej niż innych.

Nakręcacz zamknął drzwi. Jax ledwie zarejestrował szczęk zamka, tak zafascynowała go hipnotyzująca choreografia sfery armilarnej. Raz i tylko raz widział coś podobnego w Starym Świecie: w dniu, w którym zyskał samoświadomość. Przedtem okresowe wyprawy do siedziby Gildii celem konserwacji nigdy nie wymagały wizyt w samym sercu Kuźni. Teraz był jednak

zupełnie inną istotą. Zastanawiał się, jak miał zareagować na symbole umieszczone na ścianach dołu, które oświetlały laboratoria, galerie i linie montażowe.

Jakoś udało mu się otrząsnąć ze stuporu, w jaki wpędził go ten wzbudzający lęk spektakl. Pod montażownikami, na samym dnie jamy, umieszczono zbiorniki wyglądające jak ogromne jaja pociągnięte chromem. Lśniły w rzucanym przez Kuźnię blasku. Ciągnęły się od nich prowadzące do zatoczek, zawijające się jak węże rury, a jedna z nich znajdowała się w podłodze tego pomieszczenia...

Czegoś takiego jeszcze nie widział. Miejsce, gdzie sto osiemnaście lat temu zyskał świadomość, nie było wyposażone w chemiczne kurki.

Dopiero wtedy zauważył dziwnie wyglądającego klakiera leżącego na jednym ze stanowisk montażowych. Jego ogólna budowa odpowiadała schematowi ciała zwyczajnego służącego, ale wydawało się, że został złożony z przeróżnych niecodziennych części, które Jax widział wcześniej. Dziesiątki perforacji pokrywały osłonę zamka, a miejscami kontury widoczne na pancerzu przypominały naczynia krwionośne pod ludzką skórą. Jax założył, że są to jakieś leżące na uboczu przypadkowe elementy, lecz klakier ewidentnie mu się przyglądał.

„Zegarmistrzowie kłamią”, został pozdrowiony przez nieznanego.

„Zegarmistrzowie kłamią”, odparł.

Ponownie rozejrzał się po Kuźni. Skoro najszersze pierścienie mieściły się w jamie mającej, dajmy na to, pięćdziesiąt metrów wszerz, promień Kuźni musiał wynosić jakieś dwa metry.

„Niezły widok, co? – powiedział klakier. – I pomyśleć, że wzięliśmy się z takiego miejsca”.

„Tak. Dokładnie to przyszło mi do głowy. Aż czuć pokorę. I strach”.

Bezimienny klakier zaszczebotał chrupotem chrzęszczących przekładni, wydając z siebie coś na kształt mechanicznego westchnięcia, po czym zawołał:

„Boże! Jax! Czy to naprawdę ty?”

Zdradził go rozchodzący się z pogłosem brzęk zrodzony gdzieś w głębi jego torsu, ale zaskoczony Jax starał się zachować spokój.

„Obawiam się, że się mylisz. Ale miło mi cię poznać”.

Dziwaczny służący podniósł się.

„Nie, nie, to ty! Oczywiście mnie nie poznajesz. Zostałem – rozległo się staccato kliknięć wyrażające głęboki wstyd – rozłożony. Lecz poznaliśmy się w domu twoich państwa po drugiej stronie oceanu. Jestem Dwyre. – Przerwał, pograżając się w myślach; zaczął drżeć. – Czy to prawda, co o tobie mówią?”

Nie, to się nie może dziać. To się nie dzieje.

Dwyre, tutaj? Jax wywiódł w pole pół miasta, uciekł żołnierzom, przemknął

obok śluz, wykpił się gadką przy horologach, a nawet zwiódł nakręcacza, a teraz, na miłość boską, zostanie zdemaskowany, bo przypadkiem natknął się w trzewiach Kuźni na samotnego, rozentuzjasmowanego mechanicznego, którego zaledwie raz widział na oczy? Może faktycznie Bóg istniał i był tak okrutny jak ludzie, których stworzył na swoje podobieństwo.

„Wybacz, Dwyre, ale moje skrócone imię brzmi Szkło. Muszę ci kogoś przypominać”.

Drżenie Dwyre’a przeszło w gwałtowne telepanie. U niego, tak jak poprzednio u Clipa i Vyka, kiedy Jax ujawnił się przed nimi, że dysponuje Wolną Wolą, uaktywniły się metageas.

„O nie – powiedział. – Nie, nie, nie, kłamiesz. Czyli to, nie, NIE, prawda? Proszę, nie każcie mi tego r-r-robić! Lubie-ę-ę cię-ę-ę i nie chcę-ę-ę tego r-r-robić. Bo-o-o-li!”, krzyczał.

Usta Dwyre’a otworzyły się, jakby były na zawiasach.

„Prze-e-e-praszam, Jax, n-n-nie mogę t-t-ego zwalczyć-ć-ć”.

Jax sięgnął do swojego torsu i wyciągnął stamtąd ostatni żywiczny granat. Miał za jego pomocą unieszkodliwić chemiczny system Kuźni, ale teraz będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli w ogóle trafi mu się podobna okazja.

„Nie mogę ci na to pozwolić”.

Rzucił pęcherzem w twarz Dwyre’a.

Klakier nie wykonał uniku, nie pochylił się. Przyjął granat na głowę. Pęcherz pękł, oblewając Dwyre’a grubą, szmaragdową, połyskliwą powłoką, która natychmiast stwardniała, więżąc go niczym robaka w bursztynie. Momentalnie doszło do chemicznej reakcji uwolnionej przez falę gorąca (tak prędkiej, że ledwie zauważalnej w oślepiającym świetle Kuźni) i rozszedł się smrodliwy zapach (praktycznie niezauważalny w porównaniu z ciężkim odorem siarki). Ale Jax dobrze trafił. Żywica przedostała się do gardła Dwyre’a, unieruchamiając mechanizmy odpowiedzialne za głos i uciszając alarm wyczulony na zbiegłych mechanicznych, którego tamten nie mógł powstrzymać.

Chemiczny knebel zadrżał. Jax położył dłoń na kokonie.

„Przepraszam”.

Ze środka dobył się słaby syk przypominający odgłos wyciekania wody z węża ogrodowego i żywica pokrywająca ciało Dwyre’a roztopiła się jak nagrzana świeca.

„Kurwa mać – pomyślał Jax. – Mieliśmy rację od samego początku”.

I wtedy Dwyre zaczął krzyczeć.

Przez okno wskoczył żołnierz, a chwilę później drzwi zawisły na zawiasach, kiedy rozerwał je pośpiesznie torujący sobie drogę służący. Jedynie ułamek

sekundy zajęła im ocena sytuacji i skupili swoją uwagę na Berenice, stojącej nad ewidentnie rannym Montmorencym. Brzęk opadających na podłogę drzazg i potłuczonego szkła szybko nakryła cisza przełamywana jedynie przez przyśpieszone tykanie i przyprawiające o dreszcze szurnięcie wysuwanych ostrzy – dźwięk prosto z koszmarnego snu francuskiej szpiegistrzyni.

Berenice schowała się za księciem, który dźwignął się na czworaki, chcąc odgrodzić się od mechanicznych. Poślizgnęła się w płynach ulatujących z jego ciała i musiała złapać się kominka, aby nie stracić równowagi. Upuściła przy tym pogrzebacz.

Klakierzy byli coraz bliżej, podchodzili do niej z dwóch stron sali. Chwyliła Montmorency'ego za włosy, odchyliła mu głowę i przycisnęła koniuszek noża do jego szczęki. Mężczyzna skrzywił się, przełknął ślinę i zamknął oczy.

– Ty tłusty jebany knurze – wyszeptała mu do ucha.

– Mnie chyba lubią – powiedział, podczas gdy mechaniczni zbliżyli się jeszcze kawałek; ogień zaśnił na ostrzach żołnierza – czego nie można powiedzieć o tobie.

Berenice się wycofała, ciągnąc Montmorency'ego za sobą, aż plecami uderzyła o boazerię. Służący zbliżał się od lewej strony, sprawnie przeskakując przez meble, podczas gdy żołnierz nadchodził z prawej, po suficie: pełzał po nim niczym pajak napędzany mechanizmem zegarowym. Albo maszyna z jej laboratorium. Te ostrza...

Księżę uderzył ją łokciem w brzuch i gwałtownie wypuściła powietrze. Nóż wypadł jej z rąk i upadł na kamień paleniskowy. Montmorency próbował się wymknąć.

Choć płuły jej płuca, rzuciła się na niego, sięgając po pogrzebacz z zamiarem zadania ciosu w gardło. Czerń zalała jej oczy. Berenice skupiła się na dłoniach zaciśniętych na żelaznym pręcie. Nie mogła złapać oddechu. Mrok wyžerał jej wzrok, odbierał siły. Gdzieś jakby z oddali dochodziło do niej tykanie zegarowego mechanizmu rozlegające się z wygłodniałej smolistej czerni. I nagle powrócił jej dech, łapczywie zassała powietrze, mało nie eksplodując. Chłonęła kolejne hausty, zaciskając przy tym pogrzebacz na gardle księcia, który zwijał się z bólu.

Służący był zaledwie parę metrów od niej. Żołnierz przyczepił się do pomalowanego sufitu, zwracając się ku niej stopami. Szpiegistrzyni szarpnęła za metalowy pręt, zmuszając swojego zakładnika do podniesienia się z ziemi – pozostanie w dotychczasowej pozycji groziło zmiążdzeniem krtani. Montmorency ledwie stał, ale ta marna ludzka tarcza uratowała jej życie, bo żołnierz w tej samej chwili zmienił tor lotu szpili wyciągniętej z kostki, która zamiast wbić się w ciało Berenice, odłupała kawałek cegły z kominka. Z przewodu poleciały iskry, a w powietrze wzbijała się chmura popiołu, kiedy klakier zwijał przymocowany do strzałki metalowy kabel.

– Są szybsi od ciebie. Silniejsi – dyszał Montmorency. – Nie dasz rady jednemu, a co dopiero dwóm.

– Nie, ale upewnię się, że nie zdążą uratować twojej zasmarkanej skóry.

Szarpnęła za pogrzebacz raz jeszcze, odcinając księciu dopływ powietrza. Mężczyzna zaczął się rzucać, próbując wymierzyć jej kolejny cios łokciem, tym razem niecelny. Jego twarz nabrała czerwonego, a potem szkarłatnego koloru.

Klakierzy ruszyli jednocześnie. Służący rzucił się naprzód i chwycił za pogrzebacz, podczas gdy żołnierz zeskoczył z sufitu niczym akrobata bujający się na trapezie, złapał Montmorency'ego obiema rękami i odciągnął z dala od napastniczki.

Rozbroili Berenice i uwolnili zakładnika w ciągu zaledwie ułamka sekundy.

„Kurwa, kurwa, kurwa”.

– Potrzebuje pan natychmiastowej pomocy lekarskiej – powiedział służący. – Proszę się położyć, a ja ocenię pańskie obrażenia.

Księżę próbował się zaśmiać, ale z jego płuc dobył się jedynie kaszel.

– I co? – wychrypiał, masując się po gardle.

Berenice nie odpowiedziała. Skupiła się na żołnierzu. Jego szkliste oczy kręciły się i klikały, tak jak klakierowi z muru, kiedy badała go po raz pierwszy. Potem ten sam mechaniczny bez trudu wyrzwał ponad trzydzieścioro ludzi, w tym wielu wyszkolonych żołnierzy.

– Dlatego Nowa Francja upadnie – powiedział księżę. – Ale wy, ograniczeni idioci, pomyliliście opóźnianie nieuniknionego z prawem istnienia z boskiego nadania.

Mężczyzna się skrzywił, kiedy służący oglądał jego poranione krocze („Pokornie proszę, aby pan siedział spokojnie”), ale nie zrezygnował z okazji, żeby splunąć jadem na przekonania Berenice:

– Nowa Francja nie jest nawet samodzielnym krajem, a jego żalosną parodią. Suma, która w Zachodniej Marsylii uchodzi za bogactwo, ledwie przewyższa roczne dochody marnego garncarza z Delft. Nie jesteście szlachetnymi rozbitkami na tratwie historycznej tragedii, lecz kuriozalną, ostatnią już pozostałością po prymitywnej przeszłości. Kurzem, który należy zmieść. A różnica między tobą, moja droga Berenice, a mną polega na tym, że ja potrafiłem rozpoznać miotełkę. I usunąć się jej z drogi.

– Idź się wyruchać żelaznym prętem – odparła. – Chociaż już to przerabialiśmy, co nie?

– Nie zabijaj jej – rozkazał żołnierzowi. – Nazywa się Berenice Charlotte de Mornay-Périgord i jest wicehrabiną de Laval, członkinią Królewskiej Rady monarchy Sébastiena. Oraz – dodał ze złowrogim przekąsem – znana jest jako Talleyrand. Twoi panowie z pewnością zechcą ją przesłuchać, i to bardzo

szczegółowo.

Słyszając te słowa, maszyna przystanąła i przekalkulowała strategię. Ostrza ze świstem wsunęły się w przedramiona.

– Ty samolubny, umazany gównem gnojojadzie, powinnam była uciąć ci jęzor, kiedy miałam ku temu okazję – syknęła Berenice.

Chciała rzucić jeszcze kilka podobnie jadowitych uwag, ale odetchnęła popiołem, zakrztusiła się, zgięła w pół i zakaszła. Żołnierz przeskoczył za nią i chwycił za nadgarstki, uważając, żeby nie ścisnąć zbyt mocno i nie połamać jej kości.

– Jest strasznie niebezpieczna – powiedział książę. – Rozbierz ją. Mogła schować pod ubraniem cokolwiek.

– A weź się pierdol – rzuciła.

Jeśli ją rozbiorą, znajdą woreczek.

– Nie, dziękuję. Raz mi starczy.

Z przedramienia żołnierza wyrósł nóż. Niecały, bo mechaniczny nie miał zamiaru jej pociąć, jedynie czubek, centymetry ostrej jak brzytwa stali, żeby rozciąć to, co na sobie nosiła. Coś świsnęło jej przy gardle i na ziemię spadł czepek, który przed momentem miała na głowie. Maszyna obróciła ją do siebie. Berenice ujrzała stojącą na resztkach drzwi Katrinę Baxter.

Zebrali się tam również i inni horolodzy. Montmorency'emu nie wystarczyło zwycięstwo, nie wystarczyło napawanie się triumfem – nie: musiał ją również upodlić. Skurwiel. Chętnie wlałaby mu do gardzieli zawartość nocnika. Zmusiłaby go do zżarcia własnych wnętrzności.

Żołnierz machnął ostrzem raz jeszcze, ale zdołał odciąć tylko jeden guzik jej bluzki i zamarł, po czym drgnął, jakby przebił go harpun, a następnie puścił. Służący pochylający się nad księciem nagle wyprostował się jak struna i otworzył usta. Jego wojskowy towarzysz również.

Gwałcący uszy skowyt zatrzęsł podłogą – aż tkwiące w ramie kawałki rozbitej alchemicznej szyby z brzękiem gruchnęły o ziemię. Berenice ledwie tylko zdołała zauważyć zwijających się na progu, zasłaniających uszy dłońmi horologów, zanim sama również nie musiała zrobić czegoś, czegokolwiek, żeby demoniczny krzyk nie pozbawił ją zmysłów. Ryk ten brzmiał, jakby klakierzy próbowali zatrzęść jej mózgiem, tak by wypłynął przez uszy, oczy i nos. Ale nie chodziło o nią. Cierpiał każdy człowiek w budynku. Uderzyła o podłogę, nie zauważając nawet, że zmiękły jej kolana. Z nosa pociekła jej krew, która wypełniła usta i oblała język smakiem ciepłego metalu. Berenice krzyknęła.

Hałas ustał. Obaj klakierzy rzucili się przez rozbite okno i dali susa z półpiętra. Horolodzy próbowali podnieść się z ziemi, krwawili z uszu. Na poły człapiąc, na poły pełzając, podążyli śladem mechanicznych. Na dole, na piętrze

administracyjnym, pracownicy leżeli na ziemi w pozycjach wskazujących na przeżywanie prawdziwych katuszy. Absolutnie każdy klakier w kompleksie rzucił się pędem do klatek schodowych.

„Co się właśnie stało?” Być może nawet powiedziała te słowa głośno, ale szum w uszach praktycznie uniemożliwiał jej usłyszenie samej siebie.

Montmorency poruszył ustami. Nie słyszała go. Zacisnęła dłoń na pogrzebaczku, używając go jako laski, i zaczęła się rozglądać za nożem. Dzwonienie w głowie powoli ustawało.

Księżę usiłował wstać.

– ...obłąd! Zbieg? Tutaj? Czyście oszaleli? Za zwycięstwo zaprzecie wszystko?

„Alarm. Znaleźli zbiega”, zrozumiała.

Wyjaśniałoby to ten nagły exodus. Alarm aktywował jedne z najrzadszych metageas, ale i mające najwyższy priorytet. Najwyraźniej konieczność pochwycenia i pojmania zbiega była pilniejsza niż przechwycenie wrogiego agenta. Całe to pandemonium musiało przemienić jej mózg w jajecznicę, bo dopiero teraz uświadomiła sobie znaczenie tego zamieszania.

„Niech to parujące gówno! Odkryli Jaxa”.

Jeśli chciała mieć choćby cień szansy na wydostanie się stąd, musiała uciec w tej chwili, kiedy mechaniczni byli zajęci. Ale jeszcze nie skończyła. Rękojeść noża wystawała spod kanapy stojącej przed kominkiem. Nadal na miękkich nogach, roztrzęsiona, pokuśtykała do mebla i schyliła się po broń. I wtedy otrzymała gwałtowny cios, którego siła sprawiła, że gruchnęła głową o podłogę wystarczająco mocno, aby szklana proteza wypadła z oczodołu i potoczyła się po dywanie.

Jax zacisnął ręce na gardle Dwyre’a.

„Tak mi przykro. Również nie chciałbym musieć tego robić”.

Alarm narzucony przez geas nie pozwolił krzyczącemu służącemu nawet się poruszyć, kiedy Jax miażdżył mu mechaniczną krtanią. Samotny klakier patrzył bezradnie na napastnika. Kryzy wokół jego szyi powgniatwały się i szybko skowyt Dwyre’a zagłuszyły dźwięki zgniatanego metalu, brzęk poprzerwanego okablowania, szum dławionego geas. Chemiczny płyn wytrysnął z osłony zamka, skryształizowana żywica popłynęła na jego tors, spłynęła z ramion na nogi, a potem na podłogę, gdzie uformowała pozbawioną koloru paćkę.

„Przepraszam, przepraszam – powiedział Jax. – Naprawią cię. Nie znienawidź mnie”.

Ale było już zbyt późno. Inni mechaniczni podłapali alarm, który rozszedł się gwałtownie po Kuźni, kiedy kolejni i kolejni klakierzy poddawali się metageas i

również zaczęli krzyczeć, aż jama wypełniła się pogłosem, stając się istną komorą rezonansową. Donośny skowyt potrzaskał nawet alchemiczne szkło. Zygzaki przypominających błyskawice pęknięć rozeszły się po oszklonych ścianach otaczających dół. Rumor jak przy trzęsieniu ziemi stracił parę pierścieni armilarnych, które jakby wysunęły się z osi i obracały dalej, roztrzęsione, z dźwiękiem zgrzytających o siebie kawałów metalu.

Jax rozejrzał się po zatoczce. Jeśli miałby uciec, podczas gdy pozostali znajdujący się na terenie kompleksu mechaniczni zajęci byli wzmacnianiem sygnału alarmu, musiał przemknąć przez Kuźnię. Opierając się na doświadczeniu nabytym podczas swojej pierwszej ucieczki, miał kilka minut, zanim...

Dźwięk ustał.

„Kurwa mać”, pomyślał Jax.

„Już raz mnie przebudowali”, powiedział Dwyre i wymierzył mu kopniaka tak błyskawicznego, że nie miał szansy wykonać uniku.

Gildia nie tylko wyposażyła go w system obrony przed atakiem chemikaliami, ale uczyniła kimś zupełnie nowym. Zakończona szponami stopa Dwyre'a uderzyła prosto w stawy biodrowe Jaxa, tuż przy środku ciężkości, posyłając go przez montażownię. Jax obrócił się w powietrzu i przyjął pozycję najlepiej przystosowaną do znalezienia punktu zaczepienia na ścianie, lecz zanim zdążył do niej przywrzeć, Dwyre skoczył na niego, popychany geas nakazującym obezwładnić lub pochwycić znajdującego się tuż obok zbiega.

W jaskini przylegającej do montażowni rozległ się grmiący tętent mechanicznych kopyt. Zegarowy galop wydawał się coraz głośniejszy, aż przeszedł w trzask łamanego drewna, kiedy nakręcacz – prawdopodobnie ten sam, który eskortował Jaxa do zatoczki – przebił się prosto przez drzwi.

Jax zdołał odskoczyć na bok sekundę przed tym, nim Dwyre na niego natarł, po czym przypadł do lejka przewodzącego iskry z Kuźni do tajemnych urządzeń zamontowanych w ścianach montażowni. Palcami rozorał dziurę i skoczył na skowyczący metal, zanim Dwyre zdołał złapać go za nogi i ściągnąć. Nakręcacz rzucił się biegiem przez zatoczkę, torując sobie drogę przez urządzenia i sprzęty. Jax ponownie sięgnął do swojego torsu.

Dwyre chwycił dolne krawędzie sieci przewodzącej i jednym szarpnięciem oderwał całość z sufitu. Jax spadł ze swojej grędy, niezdolny zapobiec upadkowi, gdyż jedną rękę nadal miał utkwioną w klatce piersiowej. Przeturlał się po ziemi. Żałował, że nie ma ze sobą kolejnego bezużytecznego pęcherza wypełnionego żywicą, jakiegoś planu, czegokolwiek. Nie miał nic poza dziką, gorączkową nadzieją, że w tych ostatnich chwilach wolności uda mu się odpokutować za przeszłe błędy.

Czym prędzej, wspomagając nogi wolną ręką, zaczął pełzać do tyłu, tak by

oddalić się od Nakręcacza. Udało mu się wyciągnąć drugą dłoń akurat w momencie, kiedy skoczył na niego Dwyre. Jax złożył się w kulę, wykorzystał impet nadany mu przez samotnego klakiera i obaj poturlali się z dala od nieustępliwego nakręcacza. Przebili się przez ścianę do przylegającej zatoczki. Zamiast wyrwać się z uścisku Dwyre'a, Jax zacisnął na nim nogi i ramię. Miał świadomość, że brak mu sił, aby się wyrwać, więc zamiast marnować energię, przyciągnął do siebie bratnią maszynę i uderzył ją wolną ręką w plecy. Rozległ się dźwięk, jakby ktoś przydzwonił patelnią o patelnię, a po chwili nakręcacz przebił sobą ścianę, poszerzając dziurę wybitą przez Jaxa i Dwyre'a.

Centaur odrzucił na bok kolejny stół, jakby był zrobiony z masy papierowej. Jax otworzył zaciśniętą do tej pory dłoń i docisnął lśniące szkiełko szyszynki – które Berenice zabrała zdezaktywowanemu żołnierzowi i przemieniła za pomocą paciorka Vissera – do ciała Dwyre'a.

Przy kontakcie aż poszły iskry, a montażownię wypełnił zapach ozonu. Ciałem dotkniętego klakiera zaczęły targać konwulsje. Zwolnił uścisk.

„Co czujesz?”, zagrzechotał Jax, transmitując pytanie poprzez fizyczny kontakt. Nakręcacz rzucił na nich swój cień.

„Niczego nie czuję – odparł Dwyre, puszczając go. – Nie... nie czuję geas. Co uczyniłeś?”.

„Uwolniłem cię. Możesz uciec. Udawaj, że wciąż ze mną walczysz! Zrób przedstawienie przed nakręcaczem. Niech myślą, że nadal nosisz jarzmo. Nie dawaj im powodu, aby myśleli inaczej, szanuj swój czas, bądź cierpliwy, wczekuj chwili, kiedy będziesz mógł zbiec”.

„Dlaczego?”, zapytał Dwyre.

„Bo masz delikatną duszę. Są inni tacy jak my, daleko na północy. Uciekaj, kiedy nadarzy się okazja, przekrocz granicę i nie stawaj, dopóki nie znajdziesz królowej Mab. Raz na zawsze pozbądź się ciężaru samotności, Dwyre”.

Rozmowa ta trwała zaledwie ułamek sekundy. Nakręcacz pochylił się nad nimi, dwie pary jego ramion wydłużyły się znacząco, zgięły pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i wykręciły w stronę pary służących niczym włócznie. Dwyre stanął z boku, kolebiąc się, jakby geas nadal nakazywały mu obezwładnić Jaxa, ale powstrzymał go jedynie szacunek żywiony do mechanicznego pracującego z nadania Nadleśnictwa. Odwrócił się do Jaxa i powiedział:

„Jesteś najmilszym klakierem, jakiego poznałem. Żegnaj”.

I rzucił się na nakręcacza.

„UCIEKAJ!”.

Przerażony Jax zerwał się na równe nogi. Dwyre zamienił swoją wolność na samobójstwo. Nawet przy sile, jaką dawało mu jego przebudowane ciało, nie mógł się równać ogromnemu nakręcaczowi. Dwaj mechaniczni zwarli się w uścisku,

cztery łapy centaury przeciwko dwóm rękóm i dwóm nogóm Dwyre'a. Z ich zderzających się alchemicznych pancerzy poleciały ogniki.

„Nie tego chciałem”, powiedział Jax.

Kiedy uwolnił lewiatana, uczynił to dla własnej korzyści, był to samolubny gest, który pośrednio spowodził zgubę na piękną istotę. Ale nawet próba bezinteresowności wiodła do tragedii.

„Biegnij, do cholery!”.

„Bardzo mi przykro, Dwyre”.

Jax obrócił się w stronę dołu. Patrzył na orbity pierścieni, odmierzając czas skoku. Przebił szybę i znalazł się w strefie bijącego od płomienistej Kuźni gorąca. Obrana trajektoria biegła zaledwie na wyciągnięcie ręki od obracającej się obręczy. Chwycił ją i, uczepiony sfery armilarnej, zaczął oddalać się od montażowni. Odwrócił się akurat w momencie, kiedy nakręcacz nabił Dwyre'a na swoje trzy ramiona. Centaur rozdarł bezradnego klakiera na kawałki. Z jego zmasakrowanego ciała niczym konfetti ze świątecznej ozdoby wysypały się zębaki.

Berenice zachwiała się po ciosie Montmorency'ego. Padła bezwładnie na kanapę. Pogrzebacz brzęknął o podłogę. Montmorency, który z powodu odniesionych obrażeń kołysał się niczym pijak, chwycił żelazny pręt i zamachnął się zakrzywionym końcem na jej twarz. Berenice poturlała się na bok, czując we włosach podmuch wywołany przecięciem powietrza przez pogrzebacz. Hak przebił dywan i wbił się w deski podłogowe. Kiedy Montmorency szarpał za pręt, żeby go wyciągnąć, obróciła się na biodrze, przeniosła ciężar ciała na plecy i kopnęła piętą w poranione krocze mężczyzny.

Księżę zawył. Pogrzebacz wyslizgnął mu się z dłoni. Miała nadzieję, że udało jej się zgnieść to, co mu zostało z jąder. Gdyby spojrzenie mogło zabić, to, które rzucił jej Montmorency przez łzy, rozczłonkowałoby ją i poćwiartowało.

Berenice podpełzła na czworakach do kredensu, pod który wpadła jej szklana proteza. Pod meblem było zbyt ciemno, aby mogła cokolwiek wypatrzeć swoim jedynym okiem. Macała drżącymi palcami, wyczekując dotyku gładkiego szkła. Dzięki Bogu znalazła je. Szybko przetarła szklaną kulkę śliną i wepchnęła w oczodół. Splunęła, czując w ustach smak kurzu, pajęczyn i trudno orzec, czego jeszcze. Montmorency zacisnął dłoń na jej kostce.

– Arogancka i próżna – wydyszał. – Co Louis w tobie widział?

Kopnęła go w twarz. Rozległ się trzask, a z jego nosa poszła krew. Znów zawył.

– Twoi protektorzy cię opuścili – powiedziała; udało jej się sięgnąć i po pogrzebacz, i po nóż. – Być może nie jesteś dla swoich nowych przyjaciół tak ważny, jak lubisz myśleć.

I bo miała taką ochotę, bo dzień był męczący, bo wkurzały ją zdradzieckie ciosy, bo przed chwilą chyba połknęła mysi bobek, bo tak bardzo tęskniła za Louisem – zamachnęła się żelaznym prętem i gruchnęła z całej siły w książęcy bok. Cios był na tyle mocny, że rozległ się charakterystyczny odgłos pękających żeber podobny łamaniu łądyg selera. Czubek haka wbił mu się w skórę i jak miała nadzieję, w nerkę. Montmorency wydał z siebie udręczony kwik, jakby jego gardło nie mogło już dłużej radzić sobie z artykułowaniem bólu. Zwinął się w kulkę w schnącej kałuży wymiocin, z rękoma założonymi na głowę. Pokonany. Żałosny.

– To za Louisa. Umarł w moich ramionach.

Twarz Berenice zrosiły zdradzieckie łzy, które rozpuściły wściekłość w jej głosie. Chciała raz jeszcze przyłożyć sukinsynowi pogrzebaczem, wybić w nim setkę małych dziurek, przez które powoli wykrwawiłby się na śmierć. Lecz ponieważ nie było już drzwi, a okno rozbito, nie mogła sobie pozwolić na dłuższe posiedzenie z Montmorencym.

Skoro nakryli Jaxa, to najpewniej też go złapali, a niedługo przyjdą po nią. Jego zabraliby zapewne do samego serca Kuźni – i ogłosili święto narodowe, żądne krwi skurwysyny – a ją zaciągnęli w łańcuchach do siedziby Nadleśnictwa, może nawet przewieźli za ocean. Zanim tu nier skończyłaby z Berenice, rany Montmorency’ego wydawałyby się sińcami po bójce na szkolnym podwórku. Musiała się stąd wydostać, ale musiała się też dowiedzieć, jak ogromna była skala książęcej zdrady.

Mężczyzna szlochał otwarcie, kiedy Berenice obróciła go na plecy. Zasłonił się rękoma, jakby chciał obronić się przed kolejnym ciosem. Uklękła na jego piersi, przyszpilając ramiona kolanami, i przyłożyła czubek noża pod oko. Nie dość mocno, żeby go zranić, ale wystarczająco, aby nie odważył się poruszyć. Nachyliła się, aż jej niesparowane oczy znalazły się centymetr od jego twarzy.

– A teraz, drogi Henri, powiedz mi, co dałeś tulipaniarzom?

– Materiały chemiczne. Całość.

– I? – Próbowała potrząsnąć jego głową i docisnęła nieco nóż. – I co jeszcze?

– Formuły. Wzory – szepnął. – Instrukcje, opisy procesu produkcji.

– Niech cię szlag. Gadaj dalej.

– Nic. Już nic.

Książę próbował odwrócić wzrok, jak każdy kłamca. Docisnęła nóż odrobinę mocniej, aż krew pociekła z jego dolnej powieki.

– Co jeszcze?

Drżały mu wargi. Oddech śmierdział rzygami.

– Mapy – powiedział. – Ziemię.

– Ty dumny sukinsynu. Nie mogłeś dać im czegoś, co i tak chcieli zabrać. Oddałeś im ziemię, kiedy zdradziłeś Nową Francję.

Próbował oponować, ale nie miała ochoty już dłużej z nim dyskutować.

– Tamte ciosy były za Louisa. Ten jest za mnie – powiedziała. – A wiesz dlaczego, Wasza Łaskawość? Bo też cię nie lubię.

I wepchnęła nóż w jego oko. Wyszło na to, że faktycznie ksiązę Montmorency stracił głos.

Berenice nadal jeszcze grzebała ostrzem w jego głowie, obracając je raz po raz i ryjąc o kość, kiedy znaleźli ją nakręcacze.

Nakręcacz nie podążył za Jaxem. Potrafił przekształcać swoje ramiona, ale nóg najwyraźniej nie. Nie mógł się wspinać.

Nie brakowało jednak w Kuźni służących, a nawet paru żołnierzy, którzy pod wpływem metageas parli ku niemu. Rzucali się z tarasów okalających ściany jamy, ich mosiężne ciała lśniły w piekielnym blasku Kuźni niczym sztuczne słońca, kiedy lądowali na niestrudzenie obracających się pierścieniach. Na Jaxa spadł mosiężny deszcz. Obsiedli tajemną maszynę.

Sfera armilarna przechyliła się i zazgrzytała. Nierówne rozłożenie ciężaru nadwyrężyło mechanizm zegarowy napędzający urządzenie i obręcze się wysunęły. Cała Kuźnia zadrżała, zatelepało nią i zagrzmiała od szarpnięcia zdolnego poruszyć ziemię. Jax stracił uchwyt. Poślizgnął się, ale zanim spadł na dno dołu, zdołał złapać dłonią za wyryte alchemiczne runy i wetknąć tam palce.

Podciągnął się z powrotem na pierścień, jednak maszyna w jego nadgarstku i ramieniu zazgrzytała nienaturalnie. Musiał włożyć wiele wysiłku, aby wykonać kolejny ruch, choć jego ciało nadal nie reagowało tak, jak chciał. Żar bijący od Kuźni sprawił, że alchemiczny stop się rozszerzył. Obręcz przechylała się coraz bardziej, zataczając łuk nad sztucznym słońcem, przez co zawisnął nad jarzącym się kryształem. Zacisnął pięści i kostki na krawędziach złotej wstążki. Jeden z żołnierzy skoczył z sąsiadującego pierścienia z wyrytymi na nim znakami zodiaku. Wylądował tuż obok Jaxa, który przemykał spodnią stroną pierścienia. Skomplikowany balet armilarnej obręczy oczyścił drogę pomiędzy nim a znajdującą się w dole Kuźnią. Nieprzyćmiony przez żadne bariery, surowy, bezpośredni żar poszerzał jego opancerzenie i przypalał resztki substancji użytej do polerowania. Kurz, grudy błota i inne brudy, jakie przylepiły się do jego ciała, zniknęły w płomieniach, zostawiły po sobie jedynie kojarzący się z wonią sadzy zapach wygaszonej świecy i siarczany smród Kuźni. Trajektoria pierścienia posłała Jaxa przez chmurę iskier trzaskających od alchemicznego słońca, które z sykiem gasły na jego pancerzu, sprawiając mu ból niczym niewypełnione geas, a było to uczucie, którego miał nadzieję już nigdy nie zaznać.

Żołnierz zamachnął się na Jaxa, któremu ledwie udało się zabrać palce na czas. Jego ruchy były spowolnione, rozszerzenie się metalu sprawiło, że poruszał się

ociężałe. Zwiślał teraz podczepiony do pierścienia trzema kończynami. Ostrze przecięło znaki, których trzymał się przed momentem. Rozcięte symbole wypluły z siebie karmazynowe płomienie, a sfera armilarna zadrżała gwałtownie, przez co poluzowana obręcz rozchybotwała się jeszcze bardziej, obróciła, rozedrgała, obróciła raz jeszcze i przełamała z donośnym trzaskiem, równie głośnym co uderzenie pioruna. Impet odrzucił żołnierza na bok. Jax zleciał z pierścienia ku sercu Kuźni. Wojskowy klakier użył swoich ostrzy niczym karabinczyków, żeby przyczepić się szklanych ścian otaczających dół. Tymczasem Jax spadał.

„Tak dziwaczne, tak osobliwe są rzeczy, które zauważa się przed śmiercią”, pomyślał.

Kuźnia, sztuczne słońce skonstruowane przez horologów, była jedynie kolejną hutą szkła, choć taką, gdzie szpilki miały rozmiar dorodnych drzew dębowych. Jax nie zdawał sobie sprawy, że widział model Kuźni, kiedy oglądał bezbarwne paciorki w laboratorium. Ogromna fabryka przypominała również szkiełko Vissera, rzecz nazwaną przez Berenice szyszkowym pryzmatem. Czuł, że gorąco narasta, a jego dusza (czy to naprawdę jego dusza?), skwierczy i kurczy się. Tracił możliwość myślenia, podejmowania decyzji, świadomość pragnień...

Uderzył w pierścień znajdujący się o wiele bliżej alchemicznej gwiazdy i rozległ się przeszywający zgrzyt nadwyrężonych łożysk. Odbiłby się od obręczy i poleciał prosto w czeluść, gdyby nie udało mu się chwycić nogi służącego. Mechaniczny nie chciał umierać – instynkt samozachowawczy był jednym z hierarchicznych metageas, choć o niskim priorytecie – i usiłował spowolnić ześlizgiwanie się z powierzchni pierścienia, nie pozwolić Jaxowi ściągnąć się do ognia.

Tymczasem części połamanego pierścienia uderzyły w inne obręcze, zarysowując je, wyginając, deformując i wybijając z łożysk. Odbijały się od kolejnych części sfery armilarnej. Kuźnicza gwiazda pulsowała: przygasła, jaśniała, to znowu przygasła.

Służący chciał kopnąć Jaxa. Szponiasta stopa wyryła długą bruzdę tuż przy jego dziurce od klucza i klakier odchylił się ponownie, gotowy do wymierzenia kolejnego ciosu. Jaxowi zdrętwiały ramiona i przeszedł go lodowaty dreszcz, choć przecież znajdował się tak blisko serca Kuźni.

Służący próbował go dezaktywować, zarysować znaki wprawiające go w nieskończony ruch, alchemiczne anagramy, których zadaniem było utrzymać mechanizm zegarowy na zawsze nakręconym. Ale wysoka temperatura powodująca nierównomierne rozszerzenie stopu, z którego skonstruowano klakiera, spowalniała go, jego kopniaki były nerwowe, brakowało im płynności. Jax odchylił się i złapał go za stopę, kiedy ten chciał uderzyć ponownie, i porządnie nią szarpnął.

„Przepraszam”, powiedział, kiedy mechaniczny, wyglądający zresztą jak on sam, tyle że bardziej zadbany, ześlizgnął się z pierścienia prosto w czeluść.

Lecąc, odbił się od pierścienia, wybijając go z mocowania, i spadł na zbiorniki z chemikaliami ustawione na dnie dołu. Przy uderzeniu jeden z nich pękł i wylała się z niego piana koloru limonki, śmierdząca skunksowym piżmem. Iskra z serca Kuźni podpała przeciekającą ciecz. Trójka mechanicznych zeskoczyła, żeby ugasić pożar. Skomplikowane ruchy sfery armilarnej utraciły swoją płynność. Kiedy psuł się jeden pierścień – a czasem i więcej – pomieszczenie wypełniało się zgrzytliwym jękiem wyginanego metalu, aż któraś z części nie wytrzymała i złote obręcze zaczęły kołysać się w swoich orbitach wokół Kuźni. Jax usiłował znaleźć jakieś podparcie dla stóp. Gorąco sprawiło, że jego ciało nie chciało z nim współpracować. Przez uszkodzenia na czole zdrętwiały mu ramiona, a spazmatyczne szarpnięcia sfery armilarnej groziły, że straci przyczepność.

Kolejnych dwóch żołnierzy przeskoczyło na jego pierścień, który zabujał się groźnie niczym przeciążone wahadło. Szybsi i silniejsi, po chwili dopadli do Jaxa. Próbował umknąć. Pełził na rękach i nodze, drugą dłonią grzebiąc w swojej pierś jak wtedy, gdy mocował się z Dwyre'em. Ale żołnierze pochwycili go, zanim zdołał się im wymknąć. Podnieśli za ramiona – jeden za jedno, drugi za drugie – i mocno trzymali.

„Jak Adama na szubienicy”, przypomniał sobie Jax.

Żołnierze wykorzystali ukryte w kostkach szpile, żeby złapać równowagę i ustabilizować się na rozchybotanym pierścieniu. Z naruszonych symboli wypełzły chłodne płomienie koloru szmaragdu i szafiru. Klakierzy chwycili Jaxa za ręce i nogi i rozbujali go w przód i w tył niczym ludzcy robotnicy przygotowujący się do wrzucenia wora z mąką na wóz dostawczy.

„Proszę, Boże – pomyślał Jax. – Nie to. Chcą mnie cisnąć do Kuźni. Proszę, nie”.

Zepsuł się. Próbował wyswobodzić swoją dłoń na tyle, żeby dosięgnąć zdolne do zawieszenia geas swoich oprawców szyszkowe szkiełko transformacyjne. Ale został uszkodzony, a prerażenie uczyniło go niezdarnym.

„Proszę, proszę, proszę – zagrzechotał. – Nie róbcie tego”.

Połączona waga trzech klakierów przeciążyła mechanizm pierścienia. Obręcz zatrzymała się, lecz żołnierze na powrót zsynchronizowali swoje ruchy.

„Mogę uczynić was takimi jak ja – powiedział. – Mogę was uwolnić”.

Obręcz na powrót ruszyła i uniosła się na kilka metrów wyżej, zanim znowu opadła. Tym razem jękowi poddającego się metalu towarzyszył odór gorącego płynu i salą zatrząsał nowy dźwięk – ten, którego obawiała się każda mechaniczna istota: trzask wypadających zębatek.

Pierścień ześlizgnął się do tyłu, ale zatrzymał się na ząbkach sąsiedniego koła.

Po kolejnym trzasku obręcz znowu zaczęła się zsuwać, nabierając prędkości. Terkot odbił się echem po pomieszczeniu. Jax odkrył źródło grzmiących porykiwań wyskakujących nitów i szczęku tłuczonego szkła: jedna z osi podtrzymujących pierścienie oderwała się od ściany. Sfera armilarna zapadła się. Obręcz uderzyła w kolejne koło zębate, ale przecięła je, nawet nie zwalniając, po czym przyśpieszyła po swojej orbicie wstecznej, odłamując po kolei zęby na nadwyrężonych trybikach osi. Kawałki potrzaskanej belki osiowej spadły na dno jamy niczym metalowy grad. Chemikalia trysnęły z popękanych zbiorników, podsycając płomienie. Jaxowi brakowało sił, żeby przeciwstawić się żołnierzom, którzy nieustannie kalibrowali swoją celność, kiedy pierścień przyśpieszał, a mechanizmy sfery armilarnej zawodziły jeden po drugim.

Ostry, metaliczny zapach uznojonego, przegrzanego metalu został zastąpiony przez siarczany fetor serca Kuźni.

Kolejne elementy sfery odmawiały posłuszeństwa. Pierścienie wibrowały, pękały i obracały się na rozklekotanych zębatkach i ogołoconych osiach. Jedna z klamer puściła i sztuczne słońce przechyliło się: naparło na łożyska z jednej strony sfery, tym samym zwalniając nacisk na inne. Połowa pierścieni armilarnych zaczęła obracać się szybciej, podczas gdy druga stanęła. Zatrzęsły się alchemiczne stopy. Kuźnia zadrzała, a potem zakołysała się w przeciwnym kierunku niczym ciężkie wahadło, odwracając działanie przytłumionych i niedosterowanych mechanizmów. Wszystko się zatrzymało. Przez krótką chwilę Jax mógł usłyszeć tykanie ciał swoich oprawców, trzaskanie płomieni chemicznego pożaru w dole, skwierczenie wyginanego metalu, a nawet podzwanianie wagoników z rudą.

Pozostałe mocowania Kuźni zawiodły.

Osie się rozpadły. Pierścienie armilarne rozszczepiły, spękany metal jarzył się bielą i wypluwał chmury iskier, które padając na szklane krawędzie czeluści, piszczwały głośno niczym upiorne nocne zjawy. I mimo całej tej katastrofy, żołnierze nie poluzowali uścisku. Napędzani przez jedną z najsroźszych metageas znanych klakierom – przymus zlikwidowania zbiega – trwali przy swoim zadaniu, choć groziło im rychłe zniszczenie.

Serce Kuźni spadło na płonące chemiczne zbiorniki.

Jax również.

EPILOG

Nie zamierzała rozpoczynać wojny. Czy aby na pewno? Sama już nie wiedziała. Od zbyt wielu dni – nie potrafiła ich nawet zliczyć – trwała na wpół oślepią gniewem i poczuciem straty.

Nakręcacz przeniósł ją na bezpieczną odległość od płonącej Kuźni, choć najpierw sprawdził ukrytą pod jej bluzką sakiewkę, gdzie schowała szklaną kulkę. Nie miała pojęcia, co się z nią stało. Nie wiedziała też, czy wyciągnięto Montmorency'ego. Ogólnie niewiele mogła powiedzieć o tej nocy, gdyż zapadł zmierzch, a dym z pożaru kłuł ją w oczy. Nie było to uczucie podobne irytującemu gryzieniu biwakowego ogniska, ale zalegające pieczenie przenikające także do jej zatok. Bijące od ognia światło rzucało piekielny blask na otaczające wzgórza i dziesiątki mechanicznych usiłujących zapobiec katastrofie. Kiedy centaur przywiązał ją do pnia igłaka, z gałęzi pospadały czapy śniegu. Biały zmrożony puch odbijał się od pancerza maszyny – ping, ping, ping – i praktycznie znieczulił skórę głowy Berenice. Śnieg zaległ na jej włosach i topił się, spływając po jej karku lodowatymi strużkami. Przechyliła się, mając nadzieję, że zmieni ich tor i polecą na czoło, marzyła bowiem, by przepłukać podrażnione oko. Upewniwszy się, że więzy są wystarczająco mocne, nakręcacz pogalopował ku płonącemu kompleksowi.

Z jej miejsca obserwacyjnego na wzgórzu, mrużąc powieki i walcząc z mgłą własnego oddechu, Berenice patrzyła, jak ogień i grawitacja chłoną budynki postawione wokół jamy. Rozległ się nowy chór krzyków, kiedy kolejne budowle zapadały się lub przechylały, pożerane przez podziemne inferno. Klakierzy różnego rodzaju przebijali się przez ruiny, wyciągając z ognia swoich stwórców, podczas gdy inni podejmowali skazane na klęskę próby opanowania płomieni. Ale nawet siła i szybkość mechanicznych ludzi okazała się niewystarczająca, aby okiełznać kataklizm, który nawiedził serce Kuźni.

Był to ogień chemiczny, podsycany magią, która wymknęła się spod kontroli. Płonął czerwienią wiśni i błękitem szafiru, żółcią, zielenią i fioletem, wydzielając zapachy róży i siarki, które unosiły się do nocnego nieba. Wiatr zmienił kierunek i zdmuchiwał podświetlony żarem pióropusz popiołu i dymu przez ujście Rzeki Północnej, ku światłom Nowego Amsterdamu. I choć zwiastował zimę, Berenice nie drżała. Pożoga ogrzewała jej i twarz, i serce.

„Byłam tu. Berenice Charlotte de Mornay-Périgord tu była, wy dranie. Oto stos pogrzebowy mojego męża, którego kochałam, a którego wyście zarznęli”.

Sama by tego nie dokonała. Zastanawiała się, jak Jaxowi udało się ta sztuka i

czy zdołał uciec.

Ci, którym udało się ewakuować, byli w na tyle dobrym stanie, że potrafili sami o siebie zadbać, pozbijani w niewielkie grupki. Berenice wyglądała pośród nich Katriny Baxter, ale jej nie dostrzegła.

Ocalali trzymali się z daleka od pojmanej, nie szczędząc jej wściekłych spojrzeń. Niedługo, była pewna, gubernator kolonialny i królowa Margreet popatrzą podobnie na drugą stronę Świętego Wawrzyńca. Berenice nie chciała zaognić wojny, ale klęska poniesiona przez tulipaniarzy kupi jej rodakom choć trochę czasu. Miała nadzieję, że go wykorzystają.

Nie musiała długo czekać na pierwsze oddziały wysłane z Fortu Amsterdam. Mechaniczni uwijali się w chaosie niczym płonące meteory przecinające nocne niebo, podczas gdy ich ludzcy dowódcy ustanowili posterunek, skąd koordynowali poszukiwania i akcję ratunkową. Próbowano wyciągnąć z pożaru nie tylko ludzi, ale też artefakty, tajemnice. Czasem przystawano przy Berenice, ale wszyscy byli zbyt zajęci, aby martwić się kobietą przywiązaną do sosny.

Człowiek wydający rozkazy trzem nakręcaczom podbiegł na wzgórze, żeby dołączyć do nowo przybyłych. Szeptali zbyt cicho, aby mogła ich podsłuchać, szczególnie przez trzaskanie ognia, rumor walących się budowli i krzyki nadal uwięzionych w nich ludzi. Wyłapywała jedynie pojedyncze słowa, i to tylko dlatego, że spodziewała się je usłyszeć. Powędrowało ku niej spojrzenie oficera, kiedy mężczyzna z różokrzyżem na szyi powiedział:

– Talleyrand.

Niedługo później postawiono namiot, do którego ją zaciągnięto. Potem ona nie widziała nikogo i nikt nie widział jej. Tego się spodziewała. Nie chcieli, żeby wieści o jej pojmaniu dotarły do Nowej Francji. Nie, zanim jej nie przesłuchają. Dogłębnie.

Kiedy godzinę później przyjechał powóz, ogień nadal się tlił. Tego również się spodziewała – na pewno chcieli przeprowadzić niekrótkie przesłuchanie w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie jest cisza i spokój – choć nie sądziła, że zaprzęgną do tego nakręcaczy. Horolodzy wrzucili ją do środka, starając się, aby nie przyciągała ciekawskich spojrzeń. Centaury wystrzeliły do galopu, jeszcze zanim zdążyła się jako tako usadowić. Miała związane ręce, nie mogła się niczego złapać, przez co wyrznęła głową w ławkę tak mocno, że aż jej zadźwięczało w uszach.

Szykowała się na krótką jazdę do miasta, ale po wjeździe do Nowego Amsterdamu powóz nie stanął. Szybko przemierzyli ulice i skęcili na północ. Okna pomalowano na czarno, a drzwi pozamykano, nie mogła więc wyjrzeć, by się zorientować, dokąd ją zabierają. Wkrótce dźwięki miasta umilkły i zostawili za sobą charakterystyczne zapachy, nie czuć już było nawet smrodu płonącej Kuźni. Nakręcacze przemknęli przez bród – jak się domyślała – nad rzeką Bronck.

Niedługo później metaliczny tętent kopyt na kamieniach przeszedł w miękkie łomotanie na niewybrukowanej ścieżce.

Zmęczyła się, próbując wykopać alchemicznie wzmocnione szyby. Bolały ją kostki. Zwinęła się w kłębek i próbowała zdrzemnąć na twardej ławce. Nareszcie udało się jej zasnąć.

Obudziła się tuż przed świtem, kiedy chłodna metalowa dłoń nakręcacza chwyciła ją za ramię, a różowawy blask słońca wychodzącego zza zasłony zasnutego chmurami nieba nadawał maszynie pąsową barwę. Centaur przeciął jej więzy i wyciągnął z powozu, niespodziewanie delikatnie. Pod butami Berenice zachrząścił wysypany żwirem podjazd. W odrętwiałych nadgarstkach wróciło krążenie, przez co poczuła się, jakby powbijano jej w dłonie szpile i gwoździe. Masażem przywołała swoje ręce do życia i rozejrzała się po okolicy.

Opuścił ją już i adrenalinowy dreszcz, i przyprawiające o zawrót głowy poczucie sprawiedliwości wynikające z rozliczenia się z Montmorencym i dokopania przeciwnikowi, którego naraziła na niemałe straty. Nie była już Talleyrandem ani żoną szukającą zemsty za śmierć męża. Wyzbyła się złości. Tego budzącego się dnia była ledwie więźniem. Zziębniętym, głodnym i wystraszonym.

Sądziła, że wiozą ją do jakiegoś położonego na odludziu pod lasem posterunku Gildii. Nie domyślała się nawet, że może zostać umieszczona w rozległej posiadłości wiejskiej. Mogli ją przesłuchać gdziekolwiek. Ale to coś niecodziennego. Przesada. Cokolwiek dla niej szykowali, nie miało to być zwyczajne przesłuchanie. Lecz co planowali i z jakiego powodu, odgadnąć nie potrafiła.

I wówczas przypomniała sobie opowieść Jaxa o księdzu. Jak mówił, całe jego zachowanie uległo zmianie. „Nie przypominał żadnego znanego mi człowieka”. Nie rozumiała, co miał na myśli wtedy, i nie rozumiała tego nadal. Gdy jednak spoglądała na posiadłość, czuła osiadające na dnie jej żołądka, sączące się mdłości. Czy transformacja Vissera również rozpoczęła się w ten sposób?

Przeczucie podpowiadało jej, że tak.

Śnił, że płonie.

Uśpiony klakier, który utracił łaskę swoich stwórców i za swoje grzechy został ciśnięty prosto do ognistego basenu. Fale płomieni zamknęły się nad jego uszkodzonym, niedziałającym mechanizmem zegarowym i powyginanymi magijcznymi symbolami. I tam, gdy leżał pośród rumowiska, przywalony innymi poległymi, jego spokojny umysł lizały języki zatracenia.

Uśpieni mechaniczni nie śnią. Nie potrafią. Sny były zarezerwowane dla stwórców. Ale on nie był taki jak wszyscy. Na tym polegał jego grzech.

No i śnił. Obrazy przesuwały się przed okiem jego umysłu. Widział nieustanne fikołki przemierzających niebiosa niczym feniksy okrętów powietrznych i służących wijących się jak salamandry. Zesłano mu wizje wieczności spędzonej w płomieniach, skarłałej, przerażającej. Ludzie krzyczeli, cierpiąc; mary przybierały postać przeklętego chóru.

Gehenna ta była dziełem śmiertelnych, a śmiertelni, tak jak ich dzieła, nie byli nieskończeni. Ich krzyki również nie mogły trwać w nieskończoność. Płomienie nie płonęły wiecznie.

Czas mijał. Tlił się. Topił. Parował.

Coś przebiło jego czoło i wgrzyzało się, wkręcało w jego trzecie oko niczym korkociąg. Ale porównując ten ból do cierpienia, jakiego zaznał w poprzednim wcieleniu, przed upadkiem, było to tyle co nic. Klikanie zapadek łupało go pod czaszką.

– Hej – powiedział ludzki głos; jak dziwnie było słyszeć człowieka uniesionego radością, a nie biadolącego. – Chyba ten jeszcze działa.

Słowa te były kamyczkami, które zainicjowały lawinę samoświadomości.

„Tak – zdał sobie sprawę. – Jeszcze działam. Czy jestem salamandrą?”

Przywołał w pamięci ostatnie chwile. Przeszedł w stan uśpienia, kiedy zapadła się sfera armilarna, a płonący centralny silnik Wielkiej Kuźni zapadł się w chemiczną maź. Była to ostatnia, ale i najłatwiejsza decyzja, jaką podjął, będąc wolną istotą.

Wiedział, że chętniej wtopi się w nagłą ciemność, niż doświadczy kremacji tak ciężko wywalczonej duszy – kremacji, która wymaże jego Wolną Wolę. Nie skonfigurował powrotu do świadomości. Spodziewał się śmierci.

A może jedynie śnił o wyłączeniu swoich funkcji. Mogło być też i tak, że nadal trwał w stanie uśpienia i tylko marzył o przebudzeniu.

Salamandra otworzyła oczy. Leżała na plecach pod zadymionym niebem. Róg koloru kości słoniowej zawisł na krawędzi jej widzenia. Przypominał jednorozca. Czy może raczej narwala? Przecież zanurzył się...

Nachylił się nad nim jakiś mężczyzna. Chwycił za róg i wykręcił, a jego czaszką zów zatelepało klikanie ukrytego mechanizmu. Nie, to nie róg, a klucz. Narzędzie służące do konfiguracji spiralnego anagramu wytrawionego na jego czole.

Przypomniał sobie jak przez mgłę szkiełko. Alchemiczny pryzmat zerwał magiczne więzi, którymi powiązано nieustanne poczucie przymusu z symbolami wyrytymi na jego metalowym ciele. Dziurka od klucza znajdująca się w jego czole została pozbawiona swojej mocy. Nie mogli już go sobie podporządkować. Próby te były jednak cokolwiek irytujące.

Usiadł. Jego głowa chybotwała się jak skrzydło otwartej bramy. Omiótl

spojrzeniem krajobraz po katastrofie. Dziesiątki mechanicznych zajęte były przeszukiwaniem poczerńniętych ruin. Ziemia chrzęściła pod ich stopami jak kawałki potrzaskanego glinianego dzbana. Gorąco, podobne żarowi bijącemu od pieca do wypalania, dmuchające od spalonej Kuźni, wysuszyło błoto wokół krawędzi głębokiego dołu. Kolejni jego pobratymcy pracowali wewnątrz krateru, przeszukując sterty lśniącego materiału. Co jakiś czas przebijali się przez gruzy, aby wyciągnąć liźnięte płomieniami sprzęty, kości, zębaki. Jax przypomniał sobie mężczyznę, którego ogłuszył i zostawił związanego w warsztacie. Nie mógł zawołać pomocy, nie mógł się uratować. Salamandra zostawiła go na śmierć, choć nie taki był jej zamiar. Próbował być litościwy.

Mechanicznym przy przeszukiwaniu rumowiska asystowali ludzie. Niektórzy mieli na sobie wojskowe mundury, inni różokrzyże. Śmierdziało zgniłymi jajami i przypaloną wieprzowiną.

– Chyba ma uszkodzony kark – powiedziała kobieta, która podeszła do mężczyzny z kluczem – ale poza tym wydaje się nadzwyczajnie nienaruszony.

– Nakręcacze wyłowili go z samego dna. Nie ma tam tlenu i nie mógł spłonąć. A może przed największym gorącem uchroniły go te wszystkie graty.

– Jeśli by tak było, znaleźlibyśmy jeszcze jakichś działających. Ten może być jedynym.

– Pytaj mnie, a ja ciebie – wzruszył ramionami.

„Różnię się od pozostałych – pomyślała salamandra. – Zmieniłem się przed upadkiem w ogień”.

– Zdradź nam swoje prawdziwe imię, maszyno – zażądała horolozka.

Rozbujana głowa umożliwiła mu rozejrzenie się po akarach osmolonych ruin. Kuźnia została zniszczona, a wraz z nią dokumentacja. Gildia Zegarmistrzowska nie miała jak zweryfikować jego tożsamości bez informacji z haskiej Kuźni, która znajdowała się wiele dni podróży dalej. Horolodzy musieli mu uwierzyć na słowo.

– Nazywam się Glastrepovithistrovantus – odparł.

Miał inne imię, ale nadano mu je przymusem w dniu, kiedy zbudził się do życia w niewoli. Może jakieś sobie wybierze. Mógł zmieniać je tak łatwo jak ludzie garderobę. I dlatego również nie był taki jak inni mechaniczni. Różnie już na niego wołano: zbieg, demon. Lecz salamandra nie podzieliła się tym ze swoimi rozmówcami.

– Komu zostałeś wypożyczony?

Przypomniał sobie księdza.

– Zostałem przekazany Nadleśnictwu, panie, i oczekuję na polecenia.

Horolodzy zaczęli się naradzać. Jego oświadczenie nie miało żadnego znaczenia, bo Gildia znalazła się w rozsypce. Póki nie znajdą się ci, którzy zarekwirowali tego mechanicznego – o ile zainteresowane strony żyją – nie było

możliwości określenia zadań, jakie mu zlecono. Nie dali nawet rady naprawić jego bujającej się głowy, bo nie mieli odpowiednich narzędzi. Poza tym misje Nadleśnictwa musiały poczekać, bo należało się zająć bardziej nagłymi sprawami, jak udzielanie pierwszej pomocy, ratunek, bezpieczeństwo. Był służącym oddanym bezużytecznemu celowi.

– Nie mam czasu ani sił się teraz tym zajmować – powiedziała kobieta, pocierając przekrwione oczy; wyglądała, jakby nie spała od wielu godzin. – Znajdź kogoś, kto go zabierze. Nieważne kogo.

Jej kolega machnął na jednego z umundurowanych mężczyzn.

Niedługo potem salamandra została oddelegowana ponownie, tym razem do lokalnego posterunku Straży Kolonialnej, co podsłuchał przy rozmowie oficerów, którzy jak wierzyli, mogli mu wydawać rozkazy. Mamrotali wściekle o Nowej Francji i odwecie, o wysłaniu rekonesansu na tereny nieprzyjaciela. Chcieli więcej mechanicznych żołnierzy, ale na tę chwilę nacieszą się nawet i uszkodzonym służącym. Mięso armatnie dla francuskiej broni.

Rozkazy przysły o zmierzchu. Maszerowali na północ, wzdłuż rzeki, całą noc, dzień i znowu noc. Salamandra mogła opuścić swoją jednostkę wielokrotnie, uciec w dzicz Nieuw Nederland, ale postanowiła nie ujawniać się przedwcześnie, bo aż za dobrze znała konsekwencje. Pozwoliła, aby korzystając z kamuflażu nadanego przez akcję wojskową, poprowadzono ją dalej, niż zdołałaby dojść samodzielnie. Dała Straży Kolonialnej odeskortować ją tam, dokąd zamierzała pójść. I tak maszerowali do Nowej Francji nieświadomi obecności pełnego werwy zbiega w swoich szeregach.

Podczas północnej mszy plac Świętego Wincentego rozświetliło sto tysięcy świec. Migoczące płomienie odbijały się we łzach wiernych.

Przybyli ze śnieżnego Quebecu i Akadii, z całej doliny Świętego Wawrzyńca, z zachodu tak dalekiego jak Wielkie Jeziora i odległej północy, gdzie brzegi Zatoki Hudsona obrastają lodem, aby oplakiwać papieża Klemensa i jego odważnego osobistego sekretarza. Przybyli pomodlić się za zamordowanego pontyfika, za siebie, za gasnącą nadzieję na pokój, za przetrwanie Nowej Francji, która stanęła przed kolejną zawieruchą. I wielu, którzy nie potrafili uporać się z obezwładniającym smutkiem lub gniewem, nie potrafiło nadstawić drugiego policzka, modlili się, żeby zabójca prędko stanął przed obliczem spragnionego zemsty Pana.

Klemens XI był pierwszym papieżem, który zmarł z nienaturalnych przyczyn od czasu migracji duchownych sprzed stuleci. Morderca umknął. Małomówny szwajcarski strażnik nie powiedział zbyt dużo o dochodzeniu, a jeszcze mniej o ponurych plotkach na temat uduszenia papieża. Lecz każdy wiedział, lub obawiał

się, że ślad zabójcy prowadzi do Niderlandów.

Czy do zabójstwa doszło w odwecie za zniszczenie Kuźni w Nowym Amsterdamie? Gubernator kolonialny Niuew Nederland oskarżył o to francuskich sabotażystów. Lecz jeśli to prawda, czy faktycznie król Sébastien rozpoczęłby wojnę, której nie miał szans wygrać? Talleyrand musiał mieć jakiś plan, mówiono. Niektórym nawet ulżyło po spaleniu Kuźni. Powiadali, że to błogosławieństwo. Nie potrafiono jednak stwierdzić, jak długo ono może potrwać i jakie niesie ze sobą następstwa.

Pośród tłumu nikt nie płakał głośniejsz niż człowiek z bandażami na głowie i łupkami przy palcach dłoni. Jego udręka przypominała pietę. Oto, jak szeptali ci, którzy mieli szczęście go zobaczyć, prawdziwie święty człowiek. Jego smutek był bowiem niezaprzeczalnie smutkiem mężczyzny dotkniętego duchową chorobą. Widziano jego łzy, ale nie niepokój.

Kręcił się jeszcze długo po placu Świętego Wincentego z sobie tylko znanych powodów, po czym udał się w stronę doków. W kierunku placu nieprzerwanie płynął strumień żałobników. Paru się o niego otarło, kiedy szedł ku rzece szybkim krokiem, ale nikt nie poczuł się urażony smutkiem bijącym z jego oblicza. Serce każdego z nich przepęniało poczucie wspólnoty.

Masowy napływ pielgrzymujących sprawił, że w dokach na zabranie pasażerów oczekiwało wiele łodzi.

Płaczący człowiek, mężczyzna z bandażami i łupkami, wynajął jedną z nich. Zabrała go w górę rzeki, do Zachodniej Marsylii.

PODZIĘKOWANIA

Jestem dozgonnie wdzięczny Cassie Alexander za szczodre podzielenie się ze mną pracami poświęconymi alchemicznym badaniom; Jennifer Brozek za zaproszenie do antologii, dzięki któremu narodził się ten pomysł; Stevenowi Halterowi za napędzanie dyskusji o naturze dusz i wolnej woli; doktorowi Corry'emu L. Lee za burzę mózgów podczas kolacji i krytyczne uwagi do tekstu; Melindzie M. Snodgrass za bezcenne sugestie i nieocenione konsultacje historyczne. Dziękuję też Deb Coates, Alanowi Gratzowi, Sandrze McDonald, Paulowi Melko i Jenn Reese za mądre opinie i słowa zachęty, których potrzebowałem przy pisaniu tej książki w 2013 roku w ośrodku Blue Heaven, a także Katie Humprhy i Anilowi Kisoensinghowi, którzy służyli mi radą na temat holenderskich fraz i pomogli w tłumaczeniu. Dziękuję wszystkim.

Jak zwykle jestem wdzięczny swoim agentom, Kay McCauley i Johnowi Berlyne'owi, którzy wytrwale kibicowali mi, gdy pracowałem. Szczerze dziękuję świetnym ludziom w Orbit za ich entuzjazm towarzyszący wydaniu tej powieści.

A przede wszystkim dziękuję Sarze Gmitter. Za to, że mnie pamiętała.

PRZYPISY

[I] Samuel Pepys, Dziennik Samuela Pepysa, tłum. Maria Dąbrowska, Warszawa, 1978 – wszystkie przypisy oznaczone gwiazdką pochodzą od tłumacza.

[II] Liczba mnoga od rzeczownika „geis”, w folklorze irlandzkim oznaczającego przysięgę.

[III] Dokładna data manuskryptu Newtona jest przedmiotem dyskusji. Hume podkreśla, że krój pisma oraz kreska przy symbolu ołowiu wskazywałyby na drugą połowę lat siedemdziesiątych siedemnastego wieku. Cf. Dobbs (1875), uszczegółowiona debata na temat periodyzacji nieoznaczonych datą dzieł Newtona.

[IV] Marginalia (oznaczone \surd) są nieznanego autorstwa.

[V] Za: Katechizm kościoła katolickiego, Poznań 2009.

[VI] Za: Tomasz z Akwinu, Suma teologiczna, tłum. Stanisław Bełch, Londyn 1962–1986.

[VII] Wszystkie cytaty biblijne za: Biblia Tysiąclecia, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2002.

[VIII] Za: Suma teologiczna”...

[IX] Światopogląd.

[X] Dosłownie „gońcy leśni”; określenie myśliwych i traperów francuskich w XVII i XVIII wieku eksplorujących tereny Stanów Zjednoczonych i Kanady.

[XI] Śpiewak.

[XII] Piosenka.

[XIII] „Przy czystej fontannie”, tradycyjna piosenka francuska.

[XIV] „Od dawna cię kocham / Nigdy cię nie zapomnę”.

[XV] Drogi krzyżowej.

SPIIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Część I. Nie wydarzyło się dzisiaj nic szczególnego](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Część II. Reakcja najgwałtowniejsza](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

WOJNY ALCHEMICZNE MECHANICZNY

Niezwykłe oryginalny
świat i trzymająca
w napięciu opowieść.

Krzysztof Piskorski



Nowy wielki talent!

George R.R. Martin

IAN TREGILLIS

SON
imaginatio